

Urzekająco piękna
historia w klimacie
Zanim się pojawiesz
Jojo Moyes

CHARLOTTE
LUCAS

idealny
ROK

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1. Jonathan

2. Hannah

3. Jonathan

4. Hannah

5. Jonathan

6. Hannah

7. Jonathan

8. Hannah

9. Jonathan

10. Hannah

11. Jonathan

12. Hannah

13. Jonathan

14. Hannah

15. Jonathan

16. Hannah

17. Jonathan

18. Hannah

19. Jonathan

20. Hannah
21. Jonathan
22. Hannah
23. Jonathan
24. Hannah
25. Jonathan
26. Hannah
27. Jonathan
28. Hannah
29. Jonathan
30. Hannah
31. Jonathan
32. Hannah
33. Jonathan
34. Hannah
35. Jonathan
36. Hannah
37. Jonathan
38. Hannah
39. Jonathan
40. Hannah
41. Jonathan
42. Hannah

43. Jonathan
44. Hannah
45. Jonathan
46. Hannah
47. Jonathan
48. Hannah
49. Jonathan
50. Hannah
51. Jonathan
52. Hannah
53. Jonathan
54. Hannah
55. Jonathan
56. Hannah
57. Jonathan
58. Hannah
59. Jonathan
60. Hannah
61. Jonathan
62. Hannah
63. Jonathan
64. Jonathan
65. Jonathan

66. Jonathan

67. Jonathan

68. Hannah

69. Jonathan

70. Epilog. Hannah

Podziękowania dla...

CHARLOTTE
LUCAS

idealny
ROK

Z niemieckiego przełożyła
Eliza Borg


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
DEIN PERFEKTES JAHR

Wydawca
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Joanna Popiołek

Korekta
Ewa Grabowska
Marzenna Kłos

© 2016 by Bastei Lübbe AG, Köln
Copyright © for the Polish translation by Eliza Borg, 2017

Świat Książki
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-703-1

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla mojej matki Dagmar Helgi Lorenz
(8.03.1945 – 20.10.2015)
i mojego ojca Volkera Lorenza

Życiu nie można dodać więcej dni,
Ale dniom można dodać więcej życia.

Powiedzenie chińskie

Dość banalna prawda.

Jonathan N. Grief

Do redakcji „Hamburger Nachrichten”
Dział łączności z czytelnikami

Hamburg, 31 grudnia

Szanowna Redakcjo,

zanim złożę Państwu życzenia noworoczne oraz pomyślnego startu w Nowy Rok, chciałbym zwrócić Państwa uwagę na kilka błędów, które wkradły się do najnowszego wydania gazety.

Na stronie 18 piszą Państwo o nowym filmie Eiszeit z Henningiem Fuhrmannem: „Henning Fuhrmann (lat 33), który w minionych latach jako odtwórca ról w serialach zyskał już sławę...”.

Chciałbym w tym miejscu zauważyć, że według Wikipedii Henning Fuhrmann ma dziś, a więc 31.12, urodziny. Zatem nie ma już lat 33, lecz raczej 34, co najwyraźniej umknęło Państwa uwadze. Ponadto w użytym przez Państwa sformułowaniu błędnie użyto następstwa czasów, prawidłowo należało napisać: „który w minionych latach jako odtwórca ról w serialach zyskał był już sławę”.

Z kolei na ostatniej stronie artykuł dotyczący filharmonii nad Łabą opatrzony jest tytułem „Jetzt gehen sie auf's Ganze!”. A przecież aufs pisze się oczywiście bez apostrofu!

Pozostaję niezmiennie z wyrazami szacunku
Jonathan N. Grief

Jonathan

1 stycznia, poniedziałek, godzina 7.12

Jonathan N. Grief nie był zadowolony. Jak każdego ranka punktualnie o szóstej trzydzieści włożył buty do biegania i mimo ujemnej temperatury wskoczył na rower górski, po czym ruszył na swą codzienną rundkę wokół jeziora Aussenalster^[1].

I jak każdego roku pierwszego stycznia złościł się nie tylko z powodu pozostałości fajerwerków, rac i chińskich petard, które wymieszane z rozmiękłym szarym śniegiem tworzyły wstrętą, śliską breję na wszystkich chodnikach, ścieżkach rowerowych i drózkach dla biegaczy; złościły go nie tylko okopcone, potłuczone butelki po piwie i winie musującym, które w nocy musiały posłużyć za stanowiska do odpalania rac, ale najwyraźniej nikt nie uważał za stosowne posprzątać ich potem i wynieść do kontenera na szkło; irytowało go także nie tylko zadymione, mgliste powietrze, które rozbawieni – w oczach Jonathana nieodpowiedzialni – mieszkańcy bezmyślnym odpalaniem petard koszmarne zanieczyścili mikropyłami, a te jako smog falowały teraz nad hanzeatyckim miastem Hamburg, utrudniając mu oddychanie.

O tej porze oczywiście wszystkie ofiary sylwestrowego upojenia alkoholowego leżały jeszcze zamroczone i skacowane w łóżkach, a noworoczne postanowienia, że będą mniej pić i rzucą palenie, już minutę po północy wystrzeliły na wiatr wraz

ze szczególnie głośną petardą i aż do wczesnych godzin rannych szalały i rozrabiały, jak gdyby nic ich nie obchodziło, że właśnie puściły z dymem sumkę, która w mig pomogłaby uzdrowić finanse państwa.

Nie, nie tylko to złościło Jonathana Griefa.

Najbardziej oburzało go, że jego była żona Tina także tego roku nie darowała sobie i w którymś momencie tej nocy postawiła mu przed drzwiami do mieszkania figurkę kominiarza z czekolady wraz z kartką, na której jak zawsze życzyła mu „Szczęśliwego i pomyślnego Nowego Roku!”.

Szczęśliwego i pomyślnego Nowego Roku! Gdy truchtał teraz przez most Krugkoppel, od którego prowadziła ścieżka w dół do parku nad jeziorem, mijając po drodze kawiarnię Red Dog, zwiększył tempo do 14 kilometrów na godzinę, tak że każdy jego krok wydawał chrzęszczący odgłos na piaszczystej nawierzchni.

Szczęśliwego i pomyślnego Nowego Roku! Aparat pomiarowy Jonathana wskazywał prędkość 16 kilometrów na godzinę i sto pięćdziesiąt sześć uderzeń serca na minutę, dziś uda mu się chyba zaliczyć trasę długości 7,4 kilometra w rekordowym czasie. Do tej pory jego najlepszym wynikiem było 33,29 minuty; jeśli utrzyma tempo, to pobije ten rekord.

Jednak na wysokości Anglo-German Club zwolnił. To przecież bez sensu. Czy naprawdę musi się aż tak bardzo denerwować idiotycznym prezencikiem od Tiny, żeby rujnować zdrowie i jeszcze może zafundować sobie naderwanie czegoś. W końcu rozstali się już przed pięcioma laty, więc chyba jakiś głupi czekoladowy kominiarz nie wyprowadzi go z równowagi.

Tak, kochał Tinę. Nawet bardzo. I prawda, opuściła go dla jego najlepszego (wtedy) przyjaciela Thomasa Burga, po ponad siedmiu szczęśliwych latach małżeństwa wniosła o rozwód. W każdym razie Jonathan wierzył zawsze, że byli ze sobą szczęśliwi. Tina najwidoczniej widziała to nieco inaczej, bo wtedy nie wydarzyłaby się chyba ta historia z Thomasem.

Wprawdzie zapewniała go, że nie ma to nic wspólnego z nim, Jonathanem, ale w końcu każdy, kto jest przy zdrowych zmysłach, wie, że w takim przypadku to zawsze ma coś wspólnego z nim samym.

Jonathan do dziś się zastanawiał, co też to mogło być. W końcu dosłownie zapewnił Tinie raj na ziemi. Kupił jej piękny dom w mieście tuż przy parku Innocentia w Harvestehude i przebudował go zgodnie z jej życzeniami (miała tam nawet swoje całkowicie własne królestwo, wraz z łazienką i garderobą!), sprawił, że mogła porzucić znienawidzoną pracę graficzki w agencji reklamowej i wieść swobodne życie całkowicie zgodne ze swoimi wyobrażeniami.

Niemalże odczytywał jej z oczu każde życzenie. Nieważne, czy chodziło o ładną sukienkę, elegancką torebkę ze szlachetnej skóry, biżuterię czy nowe auto – wystarczyło, że Tina napomknęła o tym, że coś jej się spodobało, a on już to kupował.

Beztroskie życie bez żadnych zobowiązań. Wydawnictwem książkowym Griefson & Books, które Jonathan przejął po swoim ojcu Wilhelmie, kierował naprawdę znakomicie dyrektor zarządzający, tak że on sam musiał tylko co jakiś czas wpadać jako „dyrektor śniadaniowy” i jako wydawca być do dyspozycji w celach reprezentacyjnych. Wraz z Tiną udawali się w luksusowe podróże do najbardziej odległych krajów, na każdym wydarzeniu towarzyskim w swoim mieście byli zawsze pożądanymi gośćmi, nie musząc się martwić przy tym, czy ich sfera prywatna nie zostanie przypadkiem naruszona przez prasę bulwarową.

Tina w pełni korzystała z uroków życia z nim, proponowała coraz bardziej egzotyczne cele podróży, nosiła coraz bardziej wyrafinowane stroje od modnych projektantów i w regularnych odstępach czasu urządzała na nowo wszystkie pomieszczenia ich willi.

To prawda, czasami się zastanawiał, czy ona się trochę nie

nudzi – zwłaszcza gdy przychodziła wciąż z tą jedną sprawą.

Szukała „czegoś więcej”, czego przez długi czas nie potrafiła nazwać, w każdym razie nie wobec Jonathana. Próbowwała kursów języków obcych, wspólnego biegania (to polecił jej Jonathan), gry na gitarze, chińskich ćwiczeń qigong, tenisa i najróżniejszych innych zajęć, w żadnym nie wytrzymując na dłużej. On doszedł już niemal do tego, że zaczął energiczniej poruszać temat dzieci (a nawet więcej, za słowami poszły czyny), mimo zapewnień Tiny, że we dwójkę mają przecież takie idealne życie.

A potem w końcu wylądowała u jakiejś terapeutki.

O czym dokładnie rozmawiała Tina podczas swych cotygodniowych seansów, Jonathan do dziś nie wie. Nie uznała za konieczne informować go o tym. Ale cokolwiek by to było, Tina najwyraźniej odnalazła ostatecznie owo nieokreślone „coś więcej” akurat w Thomasie, którego Jonathan znał od czasów szkolnych i który w Griefson & Books odpowiadał za marketing.

Odpowiadał był. Bowiem po ich rozwodzie Thomas wolał złożyć wypowiedzenie w wydawnictwie, posłał Tinę z powrotem do jej dawnej pracy w agencji i wprowadzili się do trzypokojowego mieszkania w dzielnicy Schanze.

Na myśl o tych dwojgu Jonathan potrząsał z niedowierzaniem głową, podczas gdy wzrok nadal miał wlepiony w neonowo żółte buty Nike. Tak sobie schrzanić życie w imię miłości! I akurat Tina życzy mu teraz „Szczęśliwego i pomyślnego Nowego Roku”? Czysta kpina!

Jonathan prychnął głośno, a przed ustami utworzył mu się obłoczek pary. On odniósł już sukces i był – do cholery! – szczęśliwy!

Przyspieszył kroku, tak że obok łąki – wybiegu dla psów, niemal się potknął i tylko o włos udało mu się nie wdepnąć w ślady pozostawione przez któregoś z kundli spuszcanych tu przez właścicieli ze smyczy.

Ciężko dysząc, zatrzymał się. Ze sportowej opaski na ramieniu, w której obok iPhone'a i kluczy do domu przechowywał też plastikowe woreczki, wysupłał jedną taką szeleszczącą torebeczkę, naciągnął ją sobie na dłoń, by sztywnymi palcami zebrać i wyekspediować psią kupę do najbliższego kosza na śmieci. Nie sprawiało mu to żadnej przyjemności, ale ktoś musiał się przecież o to zatroszczyć.

Kolejna sprawa, która niezmiernie irytowała Jonathana Griefa, to ci wszyscy wielcy „miłośnicy zwierząt”, którzy w swych eleganckich mieszkaniach w starych kamienicach w najbardziej niegodnych warunkach trzymali dogi albo te modne wyżły weimarskie, którzy ciągnęli te biedne zwierzaki po okolicy na obowiązkowe pięć minut i nawet nie potrafili sprzątnąć po nich kup.

W duchu pisał już kolejny mejl do redakcji „Hamburger Nachrichten”, ta skandaliczna sytuacja w nowym roku powinna się bezwzględnie zmienić! Ustawodawca będzie musiał sięgnąć po ostrzejsze środki i zastosować bardziej dotkliwe kary, żeby wreszcie każdy pojął, że jego własna wolność kończy się tam, gdzie powoduje ona szkody u innych ludzi. A psia kupa na bucie była w oczach Jonathana jak najbardziej szkodą. I to nader cuchnącą.

Rozpędzając się z powrotem, Jonathan rzucił szybkie spojrzenie na Run-App swego smartfona i stwierdził kolejną przykrość: przez tę krótką przerwę oczywiście popsuł sobie całą statystykę. Przez chwilę marzył, by dostać w swoje ręce winnego pozostawienia psiej kupy wraz z jego kundlem, dopiero by mu wygarnął!

Potem jednak jego myśli powróciły do Tiny i Thomasa. Tina i Thomas, przypuszczalnie mówili do siebie „Tini i Tommy”, ale może też „Bączek” i „Misiaczek”, kto ich tam wie?

Wyobraził sobie, jak wieczorami siedzą razem przy butelce wina z dyskontu w swoim salonie urządzonym banalnie

meblami z IKEA, podczas gdy ich córeczka Tabea – tak, taaak, no cóż, widocznie życie we dwoje nie było jednak szczytem doskonałości, gdyż mniej więcej trzydzieści sekund po ogłoszeniu swego związku z Thomasem Tina wydała na świat dzidziusia – śpi słodko w swoim piętrowym łóżku ze zjeżdżalnią, ręcznie bejcowanym na biomodrzew. A więc Tini, Tommy i Tabbi, to brzmiało prawie tak samo dobrze jak Tick, Trick i Track, siostrzeńcy Kaczora Donalda.

Tick, Trick i Track w swoim mieszkanku w Schanzenviertel. A Tick i Trick martwią się o Jonathana, i jak on sobie w ogóle radzi. W końcu Tick mówi, że skoczy jeszcze szybko do Aldiego, sprzedają tam właśnie tych słodkich kominiarzy z czekolady, to kupi jednego i zostawi swojemu eksowi z kartką pod drzwiami, ostatecznie wtedy porzuciła go w taki podły sposób i złamała mu serce.

– Świetny pomysł, Tick! – wykrzykuje Trick. – I weź przy okazji butelkę tego Chateau de Clochard, akurat mają w promocji, zrobimy sobie dziś wieczór święto!

Pulsomierz Jonathana pokazywał sto siedemdziesiąt dwa uderzenia serca na minutę, znowu musiał zwolnić kroku, jeśli nie chciał ryzykować zdrowiem. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje tego ranka, jednakże musiał niechętnie przyznać, że wciąż jeszcze nie udawało mu się zachowywać spokoju, gdy myślał o Tinie i jej nowym życiu.

I to mimo dwudziestu godzin u life coacha, który go zapewniał, że po ledwie dwóch czy trzech seansach będzie mógł wyrwać zło z korzeniami. Jeszcze jeden partacz, którym Jonathan mógłby się podenerwować, gdyby chciał. Facet był nawet na tyle bezczelny, że zarzucił mu niedostateczną współpracę, gdy Jonathan zwrócił uwagę na metodyczne niedociągnięcia w jego coachingu.

O dziwo, myślał Jonathan, mijając truchtem Pomost Bode’go (znowu z niepotrzebnym apostrofem, można zwątpić!), wtedy, po rozwodzie, Tina nie chciała od niego kompletnie nic. Żadnych

pieniędzy, żadnych alimentów, żadnego udziału w domu, w ogóle niczego.

A przecież mogła wtedy zażądać tego wszystkiego, według adwokatów Jonathana nawet dużo więcej. Ale wyszła tak, jak przyszła osiem lat wcześniej – bez żadnych pieniędzy i z kiepsko płatną pracą w zawodzie graficzki. Zostawiła nawet minicoopera, którego jej podarował, i – wbrew jego protestom – całą biżuterię.

Life coach Jonathana był zdania, że Tina wykazała wtedy klasę i dowiodła swojej przyzwoitości, no bo w końcu to ona chciała rozwodu. Ale już pomijając fakt, że wynajął trenera po to, żeby jak najszybciej odfajkować sprawę, a nie żeby wysłuchiwać jego dyletanckich uwag na temat zachowania swojej byłej, to Jonathan dziś widział tę sprawę trochę inaczej: rezygnacja Tiny ze wszystkiego, co jej prawnie przysługiwało, nie była żadnym godnym pożegnaniem, lecz niczym innym, jak małą, perfidną złośliwością, mającą mu pokazać, że ona go nie potrzebuje. Także jego pieniędzy. Nawet ich.

Dwadzieścia minut później Jonathan, spocony i zdyszany jak nigdy, dobiegł do plenerowej siłowni na łące Schwanenwik. Każdego ranka kończył tu swą rundkę trzydziestominutowymi ćwiczeniami na niewielkim placyku z urządzeniami sportowymi, który o tej porze był zwykle pusty. A już zwłaszcza w noworoczny poranek, gdy jak okiem sięgnąć Jonathan zdawał się być jedynym człowiekiem na Ziemi.

Wykonał pięćdziesiąt pompek, następnie pięćdziesiąt brzuszków, po których pięćdziesiąt razy podciągnął się na drążku. Ten zestaw powtórzył jeszcze dwukrotnie. Wtedy poczuł się w dobrej formie, gotowy do rozpoczęcia dnia, a gdy po kończących ćwiczeniach rozciągających spojrzął po sobie, kolejny raz stwierdził zadowolony, że jego codzienny program treningowy jak najbardziej przynosi wyniki.

Jak na swoje czterdzieści dwa lata był w naprawdę dobrej kondycji, w kwestii fitnessu bez trudu mógł rywalizować

z każdym dwudziestopięciolatkiem, a z wagą osiemdziesięciu kilogramów i wzrostem prawie stu dziewięćdziesięciu centymetrów był szczuplejszy niż większość mężczyzn w jego wieku. W przeciwieństwie do Thomasa, który już w czasach szkolnych miał wyraźną skłonność do *lovehandles* – tłuszczu w okolicach bioder.

I również w przeciwieństwie do „wielkiej miłości” Tiny Jonathan cieszył się gęstymi, czarnymi włosami, w których jedynie na skroniach pokazało się parę siwych pasemek. Interesujący kontrast z jego niebieskimi oczami, jak mawiała zawsze Tina.

Kontrast, który obecnie zdawał się już jej nie interesować, bowiem Thomas, biedaczysko, przed trzydzistką dorobił się błyszczącej tłusto łysiną czołową, którą jedynie czułe spojrzenie zakochanych oczu mogło określić jako „wysokie czoło”. A do tego kolor oczu sytuujący się gdzieś między brudnym brązem a butelkową zielenią.

Jonathan pozwolił sobie na przelotny uśmiech, gdy pomyślał o tym, jak często musiał pocieszać swego, wówczas jeszcze najlepszego, przyjaciela, gdy ten kolejny raz nie miał szczęścia z kobietami.

Tym bardziej niesprawiedliwa była obecna sytuacja. Gdy tylko pomyślał o zdaniu, które wygłosił wtedy Thomas: „No cóż, Jonathanie, nie bierz sobie tego do serca, lepszy zwycięża!”. Lepszy – akurat! Od zwolnienia z pracy Thomas najmował się jako „niezależny doradca marketingowy”, co ściśle biorąc, było jednak tylko upiększającym określeniem bezrobotnego; o sukcesie w jego przypadku nie mogło więc być mowy.

Ale teraz to już naprawdę koniec: zanim Jonathan zaryzykował, że kolejny raz popadnie w rozważania, dlaczego i z jakiego powodu Tina porzuciła go akurat dla tego, już patrząc czysto obiektywnie, „gorszego” faceta, wyprostował się i pomaszerował do swego górala, którego przypiął jak zawsze

przy wejściu do plenerowej siłowni.

Zdziwił się, gdy zobaczył czarną torbę dyndającą na kierownicy roweru. Skąd się tu wzięła? Czy ktoś jej zapomniał? Ale dlaczego akurat na jego rowerze? Dziwne. Czy też miałby to być jeszcze jeden „prezencik” od Tiny? Czyżby teraz czatowała już na niego na jego porannej trasie treningowej?

Zdjął torbę z kierownicy. Była stosunkowo lekka, a gdy się bliżej przyjrzał, stwierdził, że to tylko nieco solidniejsza torba na zakupy z nylonu zamykana na suwak, którą, zwiniętą w małą paczuszkę, można było kupić przy kasie każdego supermarketu.

Jonathan zastanawiał się, czy ma ją otworzyć, w końcu nie była jego własnością. Ale nie trwało to długo, ostatecznie ktoś zawiesił ją na jego rowerze, toteż energicznym pociągnięciem otworzył suwak i zajrzał do wnętrza.

Ukazała się gruba, oprawiona w ciemnoniebieską skórę książka. Jonathan wyjął ją zaciekawiony i obrócił na wszystkie strony. Książka była nowa, skóra szlachetnie wytłaczana, stębnowana białą nitką; zamykała ją mała klapka z zatrzaskiem.

Terminarz, jakiego w czasach iPhonu, Blackberry & Co. używało już tylko niewielu ludzi, w każdym razie, jeśli mieli poniżej pięćdziesięciu lat.

Jonathan był dezorientowany. Dlaczego ktoś zawiesił mu na rowerze torbę ze staromodnym kalendarzem?

1 Jedno z dwóch jezior, które tworzy w Hamburgu rzeka Alster; drugie to Binnenalster (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
29 października, niedziela, godzina 8.20

Hannah Marx obudziła się i wiedziała, że jest zakochana.

Ale nie miała pojęcia w kim.

Jedno tylko wiedziała: w żadnym razie – i to irytowało Hannah o wiele bardziej – nie chodziło o jej przyjaciela Simona Klamma, od którego już od dawna oczekiwała propozycji małżeństwa. Jednak tylko skrycie, do tej pory jeszcze mu tego ani razu nie powiedziała ani nie zrobiła choćby najłżejszej aluzji. Ale skoro od ponad czterech lat byli parą, to zdaniem Hannah chyba już na to najwyższy czas.

Odrzuciła kołdrę, usiadła i otumaniona tarła oczy. Co za dziwny sen przyśnił jej się tej nocy! Czuła jeszcze wyraźnie przyjemne mrowienie przenikające całe ciało, a szybkie spojrzenie w lustro obok łóżka zdradziło jej, że policzki ma zaróżowione z podniecenia. Rude loki sterczały jej tak dziko na głowie, jakby przez całą noc swawolnie rozkopywała poduszki, i nawet usta, czerwone i pełne, błyszczały jak po długich pocałunkach.

Bez dwóch zdań: Hannah we śnie się zakochała. Nie, to nie był erotyczny sen z jakimś nieznanym mężczyzną, nic takiego. Także nie sen z kimś, kogo znała, z jakimś dawnym kolegą, sąsiadem czy kimś z kręgu jej przyjaciół.

Ściśle biorąc, nie potrafiła sobie przypomnieć żadnego

mężczyzny, który odgrywałby jakąś rolę w jej śnie. Tylko właśnie to uczucie. To jednoznaczne uczucie zakochania. Uczucie ciepła i bezpieczeństwa, motyli w brzuchu, śmiechu i chichotów, bezmiernej radości i rozbawienia, szaleństwa. I szczęścia, tak, to też.

Wzdychając, spuściła nogi z łóżka i przez chwilę siedziała na jego krawędzi. Potrząsnęła głową w nadziei, że zaprowadzi z powrotem porządek w myślach i w ten sposób przepłoszy ten zagadkowy sen. Jakkolwiek sen był przyjemny, to jednak potrzebowała dziś jasnej głowy, w końcu czekał ją ważny dzień. Przez prawie pół roku ona i jej najlepsza przyjaciółka Lisa remontowały i urządzały zaniedbany lokal sklepowy przy Eppendorfer Weg, do tego sporządzały biznesplany i składały wnioski o zarejestrowanie firmy, tworzyły stronę internetową, a przy okazji dzięki crowdfundingowi zebrały nawet pokaźny kapitał startowy (trochę dołożyli rodzice Hannah i Lisy), obmyślały marketing i reklamę, drukowały ulotki, starego volkswagena busa Lisy okleiły wymyślonym przez siebie logo i robiły całe mnóstwo innych rzeczy.

Dziś o czternastej wreszcie nastąpi finisz: dziś otworzą swój lokal pod nazwą „Events. Banda Urwisów – agencja rozrywkowa dla dzieciaków”, urządając wielką zabawę dla dzieci!

Ten pomysł chodził Hannah po głowie od dawna, nawet jeśli nie miał jeszcze wyraźnych zarysów. Tak naprawdę marzyła o tym prawie od dziesięciu lat; od dnia, w którym ona i Lisa po ukończeniu szkoły pedagogicznej zaczęły razem pracę w tej samej grupie w przedszkolu.

Marne wynagrodzenie i fatalne godziny pracy to było jedno, co jej – i Lisie! – zawsze przeszkadzało. Ale jeszcze gorzej Hannah oceniała sytuację panującą w ich przedszkolu: ciągły brak pieniędzy na rozwijające zabawki i materiały do prac ręcznych, na wycieczki i dodatkowe zajęcia, jak rytmika albo lekcje muzyki; piaskownica na zewnątrz najczęściej była pusta, popsuta

huśtawka obok zagrażała życiu.

Wprawdzie rodzice ich małych wychowanków byliby absolutnie gotowi ponieść sami część kosztów – jednak z jakichś powodów, które do dzisiejszego dnia pozostawały dla Hannah i Lisy zagadką, kierownictwo przedszkola absolutnie sprzeciwiało się sięgnięciu po takie środki.

Także trzykrotna zmiana miejsca pracy na inne przedszkola nie przyniosła obu dziewczynom satysfakcji, wszędzie zdawały się panować podobne niedociągnięcia. W tej sytuacji w Hannah powoli, ale konsekwentnie, rodziło się pragnienie stworzenia czegoś własnego. Chciała zbudować coś, co naprawdę sprawiałoby dzieciom radość, coś niezależnego od wszelkich dyrektorów i menedżerów przedszkoli. Na co rodzice gotowi byliby wydać pieniądze, mając pewność, że ich pociechy są pod dobrą, troskliwą opieką.

Tak więc pół roku temu Hannah, gdy już zakończyła wałkowanie tego pomysłu na wszystkie strony, wtajemniczyła w swój plan Lisę i przekonała ją, że powinny spróbować; że muszą rzucić pracę i zabrać się do realizacji projektu Banda Urwisów. Bo inaczej nigdy się nie dowiedzą, czy zdołają odnieść sukces, i ponieważ, jak wiadomo, u kresu życia nie żałuje się rzeczy, które się zrobiło, ale tych, których się nie zrobiło.

Simon, kiedy Hannah opowiedziała mu o tym, określił ich plany jako skończony absurd. Jako coś, „czego świat nie potrzebuje” – i powiedział jeszcze, że to szaleństwo rzucać pewną pracę; „akcja kamikadze”, tylko dlatego, że ktoś „ma w głowie jakieś fiu-bździu”. A jeszcze na dodatek wciąganie w to przyjaciółki stanowiło w jego oczach „szczyt nieodpowiedzialności”.

Niekiedy prawie gotowa była przyznać mu rację. Na przykład po jakimś szczególnie wyczerpującym dniu, kiedy po pracy zmagala się jeszcze z biznesplanem. Albo kiedy nagle zaczynał ją targać lęk, że w przypadku niepowodzenia narazi przyszłość

nie tylko swoją, ale też Lisy.

Z czasem Hannah udało się jednak przekonać nie tylko samą siebie, ale i swego mającego skłonność do czarnowidztwa przyjaciela, że media w tym kraju przeżywają wprawdzie kryzys – którym Simon jako świeżo zwolniony redaktor „Hamburger Nachrichten” dotknięty był bezpośrednio (szef sformułował to elegancko jako „urlopowanie”) – ale mimo to jej pomysł agencji eventowej dla dzieci jest genialny.

Zanim jednak Hannah z Lisą wręczyły wymówienia, zadały sobie trud rozdania ponad dwustu parom rodziców szczegółowego kwestionariusza, za którego pomocą wysondowały, czego życzą sobie mamusie i tatusiowie dla swego potomstwa. I jaką cenę gotowi by zapłacić za każdym razem, kiedy chcieliby oddawać się beztrosko swej pracy zawodowej bądź doskonaleniu uderzeń w golfie.

Przeanalizowanie wyników ankiety, jak też sensacyjny sukces crowdfundingu w końcu zrobiły wrażenie nawet na Simonie. Musiał przyznać Hannah, że swym pomysłem nawet wtedy, gdyby miała się spełnić tylko połowa jej oczekiwań, spokojnie zarobi tę skromną pensyjkę, jaką dostawała jako wychowawczyni.

Plan był w gruncie rzeczy prosty: Lisa i ona będą oferowały swój program popołudniami, wczesnym wieczorem i przede wszystkim w weekendy, kierując go głównie do rodziców, którzy także poza godzinami pracy przedszkoli chcieliby czy musieli zapewnić dzieciom opiekę. Przy bezkonkurencyjnej stawce godzinowej 6 euro byłyby bardziej atrakcyjne niż każda babysitter, ale oferowałyby znacznie więcej niż tylko „płatne oglądanie telewizji” albo najzwyklejsze przechowywanie maluchów, gdzie za sukces uchodziło już samo to, że żadne się nie zabiło.

W Bandzie Urwisów miało być inaczej, z mnóstwem atrakcji i zabaw. Raz w miesiącu z soboty na niedzielę urządałyby nawet

„zabawę w nocowanie”, dając rodzicom możliwość wyjścia na imprezę i jeszcze odespania. Jeśli zainteresowanie byłoby duże, takie akcje można by urządzać częściej.

Tak w każdym razie wyobrażały to sobie Hannah i Lisa. Z grupą liczącą najwyżej szesnaścioro dzieci w wieku od trzech do sześciu lat – a więc ośmioro na jedną opiekunkę – proporcja doprawdy luksusowa, bowiem we wcześniejszej pracy często we dwie miały dwadzieścioro albo i więcej małych gagatków pod opieką – mogłyby organizować fajne rzeczy: czy to wycieczki na atrakcyjny plac zabaw i do jeleni na wybiegu w Niendorfie, do straży pożarnej albo na posterunek policji, do biblioteki w hamburskich Halach Książki, na nabrzeże Łaby wraz z darmową dla maluchów przejażdżką promem, na plac kreatywnego budowania przy Klinice Uniwersyteckiej, zaś w lecie dzieci mogłyby się pluskać w wielkim publicznym brodziku albo, albo, albo – pomysłów nie brakowało.

A w przypadku nieuniknionej w Hamburgu kiepskiej pogody miały w swym lokalu przy Eppendorfer Weg dosyć miejsca na zajęcia pod dachem. Obok wejścia z recepcją, szatnią, kuchenką i toaletą ze stolikiem do przewijania, właściwym centrum Bandy Urwisów był blisko czterdziestometrowy, obszerny pokój do zabaw i szaleństw. Tutaj przez ostatnie tygodnie Lisa i Hannah uwijały się przez wiele godzin, przemieniając to pomieszczenie w prawdziwy raj dla dzieciaków.

Ze ścianką z drabinkami i grubym matercem gimnastycznym, sklepem i kuchnią do zabawy, zamkiem rycerskim ze zjeżdżalnią (nabytym za jabłko i jedno jajko na eBayu), kącikiem wypoczynkowym z kocami, poduszkami, odtwarzaczem CD i książeczkami do oglądania, z namiotem księżniczki, skrzynią kostiumów do przebierania się, z samochodzikami, klockami i materiałami do zajęć plastycznych. Farbami do malowania twarzy i wieloma innymi akcesoriami.

W niewielkim ogródku z tyłu, należącym do lokalu, stała oczywiście przykrywana piaskownica i nowiutka huśtawka (również eBay, dwa jabłka i dwa piwa), poza tym rodzice Hannah ufundowali hamak, a rodzice Lisy kilka miniaturowych mebelków i mnóstwo zabawek.

A już absolutnym hitem – Hannah była z tego szczególnie dumna – było to, że od dwóch miesięcy brała lekcje gry na gitarze, żeby można było muzykować z maluchami. Lisa natomiast zajęła się tematem „minidisco” i nauczyła się kilku prostych układów choreograficznych do popularnych dziecięcych piosenek, jak *Kowboj Jim z Teksasu*, *Veo veo* i *Piosenka o mnie*, wykorzystywanych przez animatorów w klubowych hotelach.

Krótko mówiąc, pomyślały o wszystkim, naprawdę o wszystkim, czego tylko mogą zapragnąć dziecięce serca. I wierzyły mocno w sukces Bandy Urwisów, więcej, były o nim przekonane.

Nietypowe godziny pracy w weekendy i wieczorem nie stanowiły dla obu żadnego problemu. Lisa od trzech lat była singlem, chociaż nie tylko zdaniem Hannah wyglądała naprawdę zachwycająco: Ze swoimi stu sześćdziesięcioma pięcioma centymetrami była wprawdzie niewysoka, ale obdarzona nader kobiecymi kształtami, a jej czarne, krótkie, niesforne kosmyki wprost zapraszały do tego, żeby przejechać po nich dłonią. Jej oczy miały ciepłą barwę bursztynu, a do tego usta były z natury tak pełne, że niejeden chirurg plastyczny dałby się zabić, żeby tylko się dowiedzieć, jak mógłby sztucznie wymodelować coś takiego.

A jednak w życiu Lisy już od dawna nie pojawił się niestety żaden odpowiedni mężczyzna, co według jej własnej wypowiedzi „w najmniejszym stopniu” jej nie przeszkadzało. Hannah wprawdzie nie dowierzała jej do końca – ale ze względu na Bandę Urwisów całkowita dyspozycyjność Lisy była, rzecz jasna,

idealna.

Co się tyczyło Hannah, to do niedawna również zakładała, że wieczorami i w weekendy będzie mogła pracować bez przeszkód, gdyż Simon siedział wiecznie w redakcji. Więc to by świetnie pasowało i byłoby nawet z korzyścią dla ich związku, niestety po utracie przez niego pracy stało się to nieaktualne, ale mieli nadzieję, że sytuacja wkrótce się zmieni. A tymczasem Simon, jak zapewniał Hannah, nie widział w ogóle żadnego problemu w tym, że ona poświęcała się obecnie bez reszty projektowi. Nie wiedziała do końca, czy ma się cieszyć, czy raczej martwić brakiem protestu z jego strony, ale potem zdecydowała jednak, że powinna się cieszyć, co jej zdaniem w każdej życiowej sytuacji było lepszą postawą.

– Też się możesz w to włączyć! – zaproponowała nawet Simonowi. – W końcu masz teraz czas. A jeśli wszystko pójdzie tak dobrze, jak to sobie z Lisą wyobrażamy, to prędzej czy później będziemy potrzebować więcej ludzi.

– A co ja niby miałbym tam robić? – spytał. – Mam doskonalić swoje umiejętności malowania dzieciakom twarzy? A może z marszu już rano wskakiwać w kostium klauna?

– Tylko nie to! – odparła ze śmiechem Hannah. – Byłbyś z pewnością kimś w rodzaju Pennywise’a, przed którym dzieci z krzykiem i płaczem uciekają. – Już na samą myśl o klaunie z horroru Stephena Kinga *To* wstrząsnęła się.

– A co to niby ma znaczyć? – zachnął się Simon urażony. – Ja kocham dzieci.

– Tak, zwłaszcza kiedy śpią. Albo kiedy można je dostrzec tylko przez lornetkę bardzo daleko na horyzoncie.

– Phi! – Objął ją ramionami i przyciągnął mocno do siebie. – Kiedy już będziemy mieć własne dzieci, to dopiero zobaczysz, jakim będę fantastycznym tatusiem!

– Tak myślisz? – zapytała Hannah, śmiejąc się trochę piskliwie, gdyż uścisk Simona ją łaskotał.

Ale w rzeczywistości przy jego słowach serce jej niemal stanęło. „Własne dzieci”. Czy naprawdę myślał o tym na serio? Do tej pory nie rozmawiali nawet o ślubie czy choćby o zamieszkaniu razem – pół roku temu Simon wręczył jej tylko uroczyście klucz do swego apartamentu w Hohenfelde.

– Tak – odparł Simon lapidarnie i wycisnął całusa na czubku nosa Hannah – jestem o tym przekonany.

– No to mnie naprawdę zaintrygowałeś.

– W każdym razie, co się tyczy Bandy Urwisów. – Simon niestety znów szybko zmienił temat. – Oczywiście służę wam radą i czynem i z radością zatroszczę się dla was o kontakty z mediami. Ale poza tym to jednak najchętniej rozejrzę się za nową posadą redaktora dla siebie.

– Albo wreszcie napiszesz ten swój bestseller.

– Do tego akurat nie mam teraz w ogóle głowy!

– Dlaczego nie? – chciała wiedzieć Hannah. – Uważam, że moment jest idealny!

– Idealny?

– No tak, obecnie nie masz nic do roboty, ale mimo to będziesz dostawał przez pół roku pełną pensję. Razem z twoją odprawą pieniędzy wystarczy nawet na rok – uważam, że jesteś prawdziwym szczęściarzem!

– Szczęściarzem? – Simon wpatrywał się w nią osłupiały.

– Siedzieć przez rok w domu, dostawać przez ten czas pensję i pisać swoją wielką powieść? O tym marzy chyba każdy!

– Czasami działasz mi strasznie na nerwy z tą swoją postawą, że wszystko ma jakąś swoją dobrą stronę – odpowiedział Simon odrobinę zły. – Wiesz przecież, co to znaczy znaleźć się na ulicy z takim zawodem jak mój, podatnym na ciągłe kryzysy.

Hannah nic już na to nie odrzekła, nawet jeśli wydawało jej się trochę niesprawiedliwe, że Simon zupełnie zapomniał, jak często ona była w ostatnich latach kompletnie wykończona bałaganem w swoim przedszkolu. I że sam jeszcze niedawno wielokrotnie

powtarzał, o ileż bardziej odpowiedzialna niż jego jest jej praca i jak niesprawiedliwe jest to, że Hannah dostaje za nią tak niską płacę.

Powstrzymała się nawet od pytania, czy nie jest to właśnie najlepsza okazja na zmianę pracy dla Simona, skoro sytuacja w branży mediów jest aż tak dramatyczna. Bo to była prawda. Ona nie miała pojęcia, co to oznaczało: oprócz posady, którą człowiek uważał za pewną, utracić także perspektywy. Hannah była przecież „tylko” wychowawczynią w przedszkolu i nie miała nawet matury – ale za to była obdarzona rzeczywiście niezachwianym optymizmem.

Ten optymizm objawiał się między innymi tym, że Hannah była święcie przekonana, iż w zamian za każde drzwi, które się zamykały, otwierały się inne, nierzadko nawet lepsze. Ale tego też nie powiedziała Simonowi, gdyż potrafiła sobie wyobrazić, że na coś takiego on zareagowałby co najwyżej kąśliwym zdaniem „Oszczędź mi, proszę, tych swoich mądrości z kalendarza!”.

Nie, Simon powinien sam wygrzebać się z dołka, lepiej, żeby ona się nie wtrącała. I dopóki do tego nie dojdzie, musi się kisić we własnym sosie – albo może jednak przezornie sprawić sobie kostium klauna...

Sprawa nowej posady w jakiejś gazecie, magazynie czy redakcji online jawiła się jak do tej pory faktycznie jako nader trudna. Chociaż Simon składał papiery w każdej najmniejszej redakcyjce, to od tygodni dostawał same odmowy. Co niekoniecznie poprawiało mu nastrój i zarazem przyczyniało się do napiętych stosunków między nim a Hannah.

Gdy bowiem ona pełna werwy i entuzjazmu krzątała się przy swej agencji, Simon z każdym dniem, który spędzał, przesiadując bez zajęcia w domu, miał coraz gorszy humor. W skrytości ducha Hannah pragnęła niekiedy powrotu do początków ich znajomości, gdy Simon swą inteligencją, urokiem i czułą naturą wprawiał ją regularnie w podziw.

Hannah poznała go w przedszkolu, gdzie pracowała, gdy przyszedł raz odebrać swojego chrześniaka. Natychmiast pojawiło się między nimi to szczególne iskrzenie, a w następnych tygodniach Simon nagle zaczął często odbierać chłopca.

Przypadek czy umyślne działanie? Zdaje się, że to drugie, gdyż po mniej więcej dwóch miesiącach zapytał ją, czy jest możliwe, żeby spotkała się z nim czasem po pracy.

– Jeśli musiałbym mieć najpierw własne dzieci, żeby cię częściej widywać, mogłoby to jeszcze chwilę potrwać – powiedział. – A poza tym idealny moment dla nas pewnie by już wtedy minął. – Na myśl o tej oryginalnej prośbie Simona o randkę Hannah uśmiechała się rozmarzona.

Zapłonęło w niej wspomnienie o ich pierwszym spotkaniu. Simon zaprosił ją wtedy na piknik nad Łabą. Było pięknie! Tego cudownego dnia słońce szło z Simonem w zawody o to, kto jest bardziej promienny. A oni od przedpołudnia do późnej nocy siedzieli na nieprzemakalnym kempingowym kocu, przyglądali się statkom, racząc się przy tym smakołykami, które Simon przydźwigał w dwóch monstrualnych torbach. Czego tam nie było: schłodzone wino i szampan, soki owocowe i woda, owoce, sery, ciabatta, zrobione przez niego (zro-bio-ne przez nie-go!) sałatki, frykadunki, hiszpańska szynka Pata Negra, królewskie krewetki w oleju, mieszanka włoskich antipasti – Simon zaserwował kompletny catering, żeby zrobić na Hannah wrażenie.

Do tego miał ze sobą nawet prawdziwe kieliszki, talerze, sztucce i serwetki z materiału, a po zapadnięciu zmroku zapalił dwie smółowe pochodnie – Hannah czuła się jak podczas jakiegoś uroczystego przyjęcia. No dobrze, uroczystego przyjęcia na piasku.

Potem pierwszy pocałunek Simona... Taki był nieśmiały i czuły, tak podniecony i drżący, serce mu biło jak szalone, mogła je wręcz słyszeć.

A kiedy się akurat nie całowali, Simon opowiadał. Mówił, bez kropek i przecinków, o swojej fascynującej pracy w gazecie, o planach podróży dookoła świata, w którą kiedyś w przyszłości chciałby się wybrać, i o wielkiej powieści, którą chciałby napisać, gdy tylko będzie miał czas. Śmiał się i sypał żartami, fantazjował, oczarowując tym Hannah. Tyle energii, tyle pasji, tyle entuzjazmu!

Jednak niedługo potem najpierw zmarła na raka jego matka Hilde – jak kilka lat wcześniej ojciec, a gdy Simon trochę się otrząsnął z szoku, w mediach zaczął się kryzys.

Z odejściem każdego kolegi, który w następstwie tego kryzysu musiał zwolnić miejsce w redakcji, Simon stawał się bardziej niepewny, przygnębiony i coraz bardziej pesymistycznie nastawiony, aż wreszcie spełniła się jego największa obawa, że zwolnią i jego. Niekiedy Hannah myślała nawet, że Simon swoim gadaniem sam sprowadził na siebie to zwolnienie, biorąc pod uwagę, jak często złorzeczył sytuacji.

No i właśnie od tej pory handryczył się ze swym życiem, ze swym losem i z sobą samym, co z jednej strony Hannah wprawdzie potrafiła zrozumieć, z drugiej jednak czasami, aczkolwiek niechętnie się do tego przyznawała, działało jej na nerwy. Zwłaszcza że była przekonana, iż Simon z taką postawą obrał całkowicie błędną drogę. Może i miał prawo uważać to za bzdury, ale Hannah była pewna, że energia każdego człowieka idzie w ślad za jego postawą: optymiści doświadczają dobra, pesymiści nieszczęść, a kto zawsze zakłada tylko rzeczy negatywne, temu życie serwuje też pasujące do tej postawy doświadczenia.

Zdaniem Hannah, patrząc na to obiektywnie, Simon nie miał w ogóle żadnego powodu do użalania się nad sobą! W końcu był młody i zdrowy, nie głodował, miał dach nad głową i kochającą partnerkę u boku, wielu ludziom na świecie powodziło się przecież znacznie gorzej! Naprawdę miała nadzieję, że uda mu

się wrócić do poprzedniej formy, gdy tylko na horyzoncie pojawi się dla niego nowa praca.

Telefon Hannah zadzwonił i przepłoszył jej myśli o Simonie. Zeskoczyła z łóżka i rzuciła się do przedpokoju swego małego dwupokojowego mieszkania w dzielnicy Lokstedt. Aparat telefoniczny stał na komodzie obok drzwi.

– Dzień dobry! – Głos Lisy dmuchnął jej w ucho, gdy tylko podniosła słuchawkę.

– Dzień dobry! – odpowiedziała Hannah i stłumiła ziewnięcie.

– Och, przepraszam, chyba cię nie obudziłam?

– Coś ty, od paru godzin już nie śpię – skłamała.

– No to dobrze, bo już się bałam...

– Nie, nie, wszystko w porządku – przerwała jej przyjaciółka.

– No i jak? Jesteś gotowa?

– Też coś! Ledwie się mogę doczekać!

– To spotkamy się o dziesiątej na miejscu.

– Raczej o wpół do dziesiątej, jestem już prawie gotowa.

– No dobra, to ja się też pospieszę. Mam jeszcze załatwić coś po drodze?

– Jak będziesz przede mną, to możesz odebrać u Wernckego zamówione pączki i lukrowane amerykańskie ciasteczka. – To była piekarnia naprzeciwko Bandy Urwisów.

– Okej – powiedziała Lisa. – Coś jeszcze?

Hannah zastanawiała się chwilę.

– Nie, wszystko inne już jest. Skrzynki z napojami, butla z helem do dmuchania balonów i jednorazowe naczynia są jeszcze w samochodzie Simona.

– A kiedy on przyjdzie?

– Powiedział, że jakoś tak koło jedenastej.

– Okej. To niedługo się widzimy!

– Świetnie, do zobaczenia!

Ledwie Hannah odłożyła słuchawkę, znowu poczuła, jak nasila się w niej to łaskotanie ze snu. Uśmiechnęła się z ulgą, gdyż teraz

wreszcie wiedziała, co to było. W nocy faktycznie się zakochała, to było zupełnie pewne.

Mianowicie zakochała się w pomyśle, że od tej chwili nie jest już marnie opłacaną państwową urzędniczką, lecz Hannah Marx, dumną współwłaścicielką agencji Events. Banda Urwisów.

Jonathan

1 stycznia, poniedziałek, godzina 8.18

Ukradkiem, niemalże z nieczystym sumieniem, Jonathan rozejrzał się wokół siebie. Co oczywiście było kompletnym absurdem, ale jednak miał to osobliwe wrażenie na karku, jakby ktoś go obserwował.

Ale nikogo nie było. Wciąż jeszcze nad jeziorem jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy, tylko po drugiej stronie parku powoli jechało ulicą kilka samochodów.

Jonathan chciał ponownie zajrzeć do kalendarza, gdy kątem oka zarejestrował jakiś ruch. A więc jednak ktoś tu był! Na dole, na brzegu, dostrzegł niewyraźną postać na pół skrytą za knajpą Alsterperle. Nie zastanawiając się długo, puścił się biegiem, mocno ściskając terminarz i torbę.

Nie pomylił się, tuż nad brzegiem gładkiego lustra wody ktoś stał, odwrócony do niego plecami.

– Hej! – zawołał nieco zdyszany.

Żadnej reakcji, postać stała nadal bez ruchu i zatopiona w myślach wpatrywała się w wodę.

– Hej! – powtórzył Jonathan, tym razem głośniej, ale wciąż nie otrzymał odpowiedzi. Zwolnił kroku, był teraz dostatecznie blisko, by rozpoznać, że na brzegu stoi wysoki, szczupły mężczyzna.

Z pewnym zdziwieniem Jonathan zarejestrował, że tamten ma

na sobie jedynie dżinsy, sportowe buty i T-shirt w biało-czerwone paski. Trudno to raczej uznać za strój odpowiedni na noworoczny spacer nad rzeką, w końcu temperatura spadła poniżej zera.

– Halo? – zagadnął kolejny raz Jonathan i ostrożnie dotknął jego ramienia.

Teraz mężczyzna drgnął i odwrócił się. Był młody, Jonathan ocenił go na nieco ponad trzydzieści lat, może trzydzieści pięć, i przerażony wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Okulary w cienkich metalowych oprawkach sprawiały, że jego zielone oczy wydawały się jeszcze większe. – Do mnie pan mówi?

– Tak – powiedział Jonathan.

– Czego pan ode mnie chce?

– Czy to może należy do pana? – Jonathan podsunął obcemu mężczyźnie kalendarz i torbę pod nos. I w tej samej chwili poczuł się zupełnie idiotycznie. Jak to musiało dla tamtego wyglądać? Nieznajomy zziębnięty biegacz leci do niego i podsuwa mu pod nos jakieś rzeczy, to z pewnością robiło trochę dziwne wrażenie.

Zgodnie z oczekiwaniami mężczyzna potrząsnął głową, najpierw powoli, potem energiczniej.

– Nie – rzekł. – To nie należy do mnie.

– Hm, szkoda. – Jonathan westchnął. I uznał, że winien jest jakieś wyjaśnienie. – Znalazłem to przy swoim rowerze. To znaczy torba wisiała na kierownicy mojego roweru, a w niej był ten kalendarz. – Jakby na dowód wskazał jeszcze raz na terminarz. – A ponieważ nie widziałem tu nikogo oprócz pana, to pomyślałem, że spytam pana, czy może... – Brakowało mu słów.

– Zostawiłem tę torbę na kierownicy pańskiego roweru? – dokończył młody człowiek za Jonathana i uśmiechnął się.

– Ehm, no właśnie, tak.

Ponowne potrząśnięcie głową, tym razem z widocznym rozbawieniem.

– Bardzo mi przykro. Nie zostawiłem niczego przy pańskim

rowerze. – Teraz pokazał w uśmiechu zęby.

W tym momencie Jonathanowi przypomniał się Harry Potter. Okrągłe okulary w metalowej oprawce i ciemne, nieco rozwichrzone włosy w połączeniu z młodzieńczą twarzą mężczyzny wręcz narzucały to skojarzenie.

Przez ułamek sekundy w głowie Jonathana mignął obraz jego ojca Wilhelma, który zanim powaliła go demencja, skazując na życie w rezydencji dla seniorów, stale mówił o największej hańbie swego życia, gdy pod koniec lat dziewięćdziesiątych z oburzeniem odmówił opublikowania niemieckiego tłumaczenia historii o małym adeptce sztuki czarnoksięskiej, chociaż cała redakcja opowiedziała się za tą pozycją. Liczony milionowymi nakładami sukces Harry’ego Pottera Wolfgang Grief uznał za objaw upadku kultury Zachodu i plamę na honorze literatury.

Nawet dziś, gdy syn odwiedzał go co dwa tygodnie w luksusowym domu opieki nad Łabą, w rzadkich momentach jasności umysłu czasem o tym mówił. W skrytości ducha Jonathan uważał to za nieco dziwne, że ojciec nawet w tym stanie nie ma nic lepszego do roboty, tylko denerwować się niewinną książką dla dzieci. Miał nadzieję, że on sam w razie czego zachowa się inaczej, zarówno jeśli chodzi o demencję, jak i oplakiwanie przegapionych szans.

Kiedy ojciec snuł bolesne wspomnienia, Jonathan uspokajał go stwierdzeniem, że książki dla młodzieży wydawane przez Griefsona mają się znakomicie nawet bez Harry’ego Pottera. Było to wierutne kłamstwo, bowiem za radą swego dyrektora zarządzającego Markusa Bodego już przed trzema laty całkowicie zlikwidował dział Dzieci & Młodzież. Ten dział zbytnio rozwadniał ich markę, sprawiał, że ich ranga wydawnictwa z prawami na wyłączność była mniej czytelna, wytłumaczył mu Bode. Stawiali raczej na swoją podstawową działalność, czyli wydawanie ambitnej literatury i książek popularnonaukowych najwyższych

lotów, które tak cenili księgarze i zamożni odbiorcy, do jakich się kierowali.

Bode podkreślał nieustannie, jak bardzo opłacało się skoncentrowanie na „rzeczywiście istotnych sprawach”, a Jonathanowi pozostawało tylko się z nim zgodzić. Pieniądz płynął, zyski były satysfakcjonujące. A autorzy felietonów kulturalnych w poważnej prasie kochali ich tym bardziej.

– Wszystko z panem w porządku? – Głos młodego człowieka przywołał Jonathana z powrotem do rzeczywistości. Do nader zimnej rzeczywistości, stwierdził, gdy stał tu, nie ruszając się, na wietrznym brzegu jeziora.

– Tak, tak – pospieszył z zapewnieniem. – Uważam, hm, no więc uważam, że to dziwne, że ktoś powiesił tę torbę na moim rowerze.

Mężczyzna, wciąż jeszcze się uśmiechając, wzruszył obojętnie ramionami.

– Może to prezent noworoczny?

– Tak – odparł Jonathan bez większego przekonania. – Może. No to... – Chwilę stał jeszcze niezdecydowany, zanim uprzejmie skinął głową młodemu człowiekowi. – No to bez urazy! I oczywiście życzę panu szczęśliwego nowego roku.

– Panu też tego życzę! – Młody człowiek jeszcze nie skończył zdania, a już znowu odwrócił się w kierunku jeziora i robił to, czym zajmował się wcześniej – spoglądał w milczeniu na gładką jak lustro powierzchnię wody.

Jonathan zbierał się powoli, by wrócić do swego roweru.

– Szkoda.

Zabrzmiało to tak cicho, że Jonathan nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Zatrzymał się i odwrócił. Mężczyzna stojący na brzegu znów patrzył na niego.

– Słucham?

– Szkoda, prawda? – spytała kopia Harry’ego Pottera.

– Czego szkoda? – Jonathan z powrotem zrobił kilka kroków

w stronę nieznanego.

Tamten kiwnął głową w kierunku wody.

– Że nie ma łabędzi.

– Łabędzi?

– Wszystkie są teraz w zimowej kwaterze nad Młyńskim Stawem i dopiero wiosną przeniosą je tutaj z powrotem. – Westchnął. – Wielka szkoda.

– Hm. – Nic innego nie wpadło Jonathanowi do głowy. Ponieważ jednak młody człowiek wpatrywał się w niego jakoś tak wyczekująco, więc w poczuciu obowiązku dodał: – Rzeczywiście szkoda.

– Lubię patrzeć na łabędzie, wie pan?

– Tak. – Jonathan skinął głową, aczkolwiek nieco bezradnie. – To piękne ptaki.

– Ptaki z duszą – powiedział Harry Potter tak cicho, że Jonathan znów ledwie go zrozumiał. – Symbolizują światło, czystość i doskonałość, są znakiem transcendencji.

– Hm – odezwał się znów Jonathan – fascynujące. – Właśnie chciał zapytać, skąd młody człowiek to wie, gdy uświadomił sobie, dlaczego tamten w noworoczny poranek stoi ubrany tak lekko na mrozie.

Narkotyki!

Najwyraźniej mężczyzna miał za sobą szczególnie wesołą sylwestrową balangę i egzystował resztką sił w swym własnym świecie. Jonathan zastanawiał się przez chwilę, czy jego obywatelskim obowiązkiem byłoby wezwanie karetki pogotowia bądź policji, żeby ktoś się facetem zajął, zanim nabawi się poważnych odmrożeń albo zrobi jakieś inne głupstwo. Porzucił jednak ten pomysł, właściwie mężczyzna wydawał się być całkowicie przy zdrowych zmysłach. Nawet jeśli gadał dziwne rzeczy i wyglądał nieco blado, to nie sprawiał wrażenia, jakby był totalnie przymulony.

– Może pan przecież pojechać nad Młyński Staw –

zapropował zamiast tego Jonathan. – Jeśli tak pan lubi patrzeć na łąbędzie. To niedaleko stąd.

Mężczyzna kiwnął głową. I wciąż się uśmiechał.

– Tak, to faktycznie dobry pomysł. – Następnie odwrócił się, nie mówiąc już ani słowa, i poczłapał gdzieś, czy to w stronę Młyńskiego Stawu, czy gdzieś indziej, tego Jonathanowi nie zdradził.

Jonathan stał jeszcze przez chwilę i patrzył w ślad za dziwnym osobnikiem. Cokolwiek zażył ten Harry Potter, działanie wydawało się zdumiewające.

Zamyślony wrócił powoli do swego roweru. Łąbędzie. Ptaki z duszą. Transcendencja. Jakieś wariactwo.

Dopiero gdy dotarł do swego górala, zauważył, że wciąż trzyma w ręce torbę z terminarzem. No i co ma z tym teraz zrobić?

Kolejny raz rozejrzał się dokoła, ale poza młodym człowiekiem, który właśnie w oddali wdrapywał się po skarpie na ulicę, wciąż nikogo nie było widać.

Jonathan podszedł do jednej z ławek obok plenerowej siłowni i usiadł. Następnie pogłaskał obiema dłońmi miękką skórkową okładkę kalendarza. Wahał się przez chwilę. Wreszcie podniósł zatrzask zameczka i otworzył książkę.

Twój idealny rok

Właśnie to było napisane starannymi, łukowatymi literami, ewidentnie pismem ręcznym, na pierwszej stronie. Tylko to. Żadnego nazwiska, żadnego adresu, jak to jest zazwyczaj w takich kalendarzach.

Jonathan kartkował dalej i dotarł do 1 stycznia ledwie rozpoczętego, jeszcze dziewiczego roku. Kalendarz oferował mnóstwo miejsca, na każdy dzień przeznaczona była cała jedna

strona, ta pierwsza była jednak w całości zapisana. Tym samym pięknym pismem ręcznym co napis na stronie tytułowej:

1 stycznia

*Życiu nie można dodać więcej dni,
Ale dniom można dodać więcej życia.*

Powiedzenie chińskie.

Jonathan wzdrygnął się wewnętrznie. Cóż za banalna mądrość rodem z kalendarza! Gorsze było tylko jeszcze „Carpe diem!”. Albo ta cytowana często i przez to totalnie zarżnięta wypowiedź Charliego Chaplina, zgodnie z którą każdy dzień, kiedy człowiek się nie śmiał, to dzień stracony. Najokropniejsza poezja z kubków na prezent! A jednak rzecz go zaciekała, toteż przeczytał do końca wpis na dzisiejszy dzień:

Wyspać się do południa. Śniadanie w łóżku z H. Potem: Spacer nad jeziorem inclusive grzane wino w Alsterperle

Po południu: Maraton DVD. Filmy do wyboru:

PS: Kocham Cię

Choć goni nas czas

Pamiętnik

Milczenie owiec

Alternatywnie: Wszystkie odcinki Północ-Południe

Wieczorem: Tagliatelle z pomidorkami cherry i tartym parmezanem, do tego butelka dobrego wina Rioja

W nocy: Przytulanie, patrzenie na gwiazdy, szeptanie sobie życzeń

Teraz to już Jonathan musiał się roześmiać. To ci dopiero dobór filmów! Ciekawe, jak wypadłoby „szeptanie sobie życzeń” po obejrzeniu *Milczenia owiec*? Bardziej niż wątpliwe było chyba też to, czy po wszystkich odcinkach *Północ-Południe* w ogóle

doszłoby jeszcze do jedzenia albo przytulank czy czego tam jeszcze, gdyż z tego, co wiedział, serial ciągnął się w nieskończoność.

Tina zmusiła go raz przed laty, by tydzień w tydzień razem z nią oglądał kiczowatą *love story* z Orrym i Madeline – i jeśli dobrze pamiętał, męczyło go to mniej więcej tak bardzo jak dziesięć filmów o teksańskiej masakrze piłą mechaniczną jeden po drugim!

Zaciekawiony kartkował dalej. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że właściwie nie należy robić czegoś takiego, bo było to prawie jak grzebanie w cudzym pamiętniku – ale gdzie nie ma sędziego, nie ma też kata. Gdy tak przebiegał wzrokiem stronę po stronie, budziło się w nim niezaprzeczalne uczucie podziwu. Oto bowiem ktoś zadał sobie trud, by wpisać coś na każdy dzień aż do końca roku. Do trzydziestego pierwszego grudnia wszystkie strony były wypełnione. Mimo licznych banałów rodem z pensjonarskich pamiętników, jakimi rozpoczynał się każdy wpis („Dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Antoine de Saint-Exupéry”), wzbudzało to w nim pewien respekt.

Niekiedy plany były nieco bardziej wystawne, jak dwudziestego piątego sierpnia:

Wynająć busa kempingowego i pojechać do St. Peter-Ording, zbierać muszelki, grillować i spać na dworze. Nie zapomnieć płyty!

Ale były też skromniejsze zamierzenia, jak szesnastego marca:

Moje urodziny!

Po południu do Lütt Café przy Haynstrasse –

Objadać się ciastkami, aż robi się nam niedobrze.

Dwudziestego pierwszego czerwca napisano:

Początek lata! O 4.40 oglądać wschód słońca na plaży nad Łabą!

Gdy Jonathan kartkował kalendarz dalej, czytając kolejne wpisy, poczuł rodzące się w nim osobliwe uczucie smutku.

Po pierwsze bowiem ten kalendarz bezsprzecznie nie był przeznaczony dla niego. Nie znał przecież nawet jakiejś czy jakiegoś „H”! Pomijając sąsiadkę z lewej, Herthę Fahrenkrog. Ale nawet gdyby ta pocziwa osoba obchodziła urodziny szesnastego marca, to z całą pewnością miała ponad dziewięćdziesiąt lat i żyła tylko i wyłącznie dla swej pudlicy imieniem Daphne. Jonathan wykluczył, że to ona zasiadała przez wiele tygodni i drżącym pismem Sütterlina (akurat nie był to Sütterlin, ale pasowałby do Herthy Fahrenkrog) zapełniała dla Jonathana stronę po stronie jakiegoś kalendarza.

Ale właśnie to ręczne, kaligraficzne pismo było drugim powodem pojawienia się owego szczególnego uczucia melancholii, ba, Jonathan czuł się wręcz osobliwie poruszony.

Potrzebował dłuższej chwili, zanim sobie uświadomił, co to było: Ozdobne litery przypominały mu jego matkę Sofię, która rozstała się z ojcem, gdy Jonathan miał dziesięć lat.

Pisała właśnie tak, z tymi licznymi długimi dolnymi zapętlzeniami. Jonathan nie myślał o niej całe wieki, ale teraz, przebiegając wzrokiem wpisy, z bolesną dokładnością przypominał sobie wszystkie te listy i karteczki, które wcześniej zostawiała mu wszędzie w domu.

„Dzień dobry, skarbie, miłego dnia!” – na stole nakrytym do śniadania, obok talerza z jajecznicą na szynce. I później, gdy na przerwie odwijał kanapkę, za każdym razem znajdował napisane na papierze śniadaniowym „Smacznego!” wraz z namalowanym czerwonym flamastrem serduszkami. „Nie martw się, następna

klasówka pójdzie ci lepiej!” – wsunięte do zeszytu obok sknoconego testu z matematyki. „Życzę ci cudownych snów!” – naprawdę każdego wieczoru wsuwała mu to życzenie pod poduszkę.

Ale to były ostatecznie tylko karteczki, które też niczego nie zmieniły w fakcie, że matka Jonathana opuściła męża, ale jednocześnie również jedyne dziecko. W tym, że powróciła do swej ojczyzny, do miasteczka niedaleko Florencji, które porzuciła kiedyś bardzo niechętnie, poznawszy ojca Jonathana podczas jego pobytu we Włoszech pod koniec lat sześćdziesiątych.

Tak więc ponad trzydzieści lat temu uciekła z powrotem do pięknej, ciepłej ojczyzny – podczas gdy Jonathan na chłodnej północy pozostał ze swym równie chłodnym ojcem.

Pilnie strzeżoną tajemnicą Jonathana było, że „N” przy jego nazwisku oznaczało „Nicolò”. Niemalże słyszał, jak matka szepcze: „Nicolino, moje serce”. Tuż przy jego uchu. „Ti amo molto. Molto, molto, molto!”.

No cóż, molto czy nie molto, i tak odeszła. A po trzech latach okazjonalnych listów, telefonów i wzajemnych odwiedzin, w kulminacyjnym momencie okresu dojrzewania Jonathan zakomunikował matce na kartce pocztowej, że jeśli chodzi o niego, to w przyszłości może sobie ona zostać tam, gdzie dojrzewają cytryny.

Ze zdumieniem przyjął potem do wiadomości, że matka rzeczywiście się tego trzymała – nigdy więcej o niej nie myślał, do dzisiaj.

A teraz wpatrywał się w pismo, które w przejmujący sposób mu ją przypomniało.

Gdy kropla spadła na kartkę, rozmazując nieco atrament, Jonathan zdziwiony przesunął po niej prawym kciukiem. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy zauważył, że deszcz wcale nie pada. Żałosne!

Spiesznie zamknął kalendarz, włożył go z powrotem do torby

i zasunął suwak. Najlepiej byłoby teraz zostawić go na ławce, właściciel na pewno odnalazłby zgubę, gdyby jej szukał. Przymuszczałnie torba leżała po prostu wcześniej gdzieś na drodze, a jakiś uważny przechodzień powiesił ją na kierownicy roweru Jonathana, zakładając, że stamtąd spadła albo że w ten sposób łatwiej ją będzie zauważyć.

Ręce drżały Jonathanowi, gdy zaczął ustawiać szyfr zamka do roweru. Nic dziwnego, był kompletnie wypompowany i nic jeszcze nie jadł. Najwyższy czas pojechać do domu na śniadanie! Wskoczył na rower i popedałował, jego pomiar pulsu po kilku minutach wskazywał częstotliwość sto siedemdziesiąt pięć.

Chwilę później nacisnął energicznie pedały i wykonał pełne hamowanie, które o mało nie katapultowało go z siodełka. Nie. To nie było dobre rozwiązanie zostawić tak torbę na ławce, żeby ktoś ją sobie wziął – to przecież było niemalże jak zaproszenie dla jakiegoś zwykłego spacerowicza!

Zawrócił więc. Zabierze torbę z terminarzem do domu i tam spokojnie spróbuje odszukać prawowitego właściciela. Tak właśnie zrobi. Wydało mu się to jedynym słusznym rozwiązaniem.

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
29 października, niedziela, godzina 12.47

– Jeśli natychmiast nie podejdziesz do telefonu, dzwonię po policję! Albo dostanę zawału! A może obie te rzeczy naraz! – Hannah krzyczała tak głośno do słuchawki, że Simon powinien to usłyszeć w swym mieszkaniu daleko w Hohenfelde nawet bez telefonu.

– Powiedz mu, że naślemy na niego ruską mafię! – gardłowała z tyłu Lisa. – I od razu też Albańczyków!

– Słyszysz?! – ryknęła Hannah. – To była Lisa, i nie jest jej bynajmniej do śmiechu! – W milczeniu odczekała chwilę, ale poza ledwie słyszalnym szumem automatycznej sekretarki w słuchawce panowała cisza. Nikt nie odbierał telefonu stacjonarnego Simona, także wszystkie próby złapania go na komórkę spełżyły na niczym. Nic, *nada*, *niente*. Ukochany Hannah był nieosiągalny.

A tymczasem za godzinę przed drzwiami Bandy Urwisów stawią się pierwsi goście na uroczyste otwarcie, wszystko było zapięte na ostatni guzik: lalkarz przybył punktualnie i spacerował na zewnątrz, żeby się rozruszać, dwie dziewczyny zaangażowane przez Lisę i Hannah do malowania dzieciom twarzy rozkładały swoje przybory na stole w rogu, nadmuchiwany zamek do skakania stał na parkingu zaraz przy wejściu, z głośników rozbrzmiewały przeboje Rolfa Zuckowskiego & Co., bufet uginał

się nie tylko od pączków i amerykańskich ciasteczek z piekarni, ale też różnych ciast i innych smakołyków przyniesionych przez przyjaciół i rodziców Hannah i Lisy – jedynie pięćset balonów z nadrukowanym logo Bandy Urwisów leżało jeszcze nienadmuchanych w torbie, a lada z napojami, z wyjątkiem wody z kranu w małej wnęce kuchennej oraz opróżnionej do połowy butelki ciepłej coli light Lisy prezentowała się bardzo nędznie. Co jednak wobec braku zapowiadanych jednorazowych talerzyków i plastikowych kubeczków i tak nie miało znaczenia.

„Nie martwcie się, będę najpóźniej o jedenastej i wtedy nadmuchar balony!” – obiecał Simon jeszcze wczoraj wieczorem, gdy Hannah poskarżyła mu się, że noc przed ich wielkim dniem on woli spędzić nie u niej, ale, jak coraz częściej w ostatnim czasie, u siebie w domu. „Mam wrażenie, że złapałem małą infekcję, więc lepiej pójdę wcześniej do łóżka z termoforem, żeby jutro być w pełni formy”.

W pełni formy! Hannah właśnie to widziała. Simon jakby się zapadł pod ziemię. Już samo to nie było fajne, ale że przy okazji zabrał butlę z helem do napełniania balonów, naczynia i wszystkie napoje, to się równało katastrofie!

Nie mogła tego pojąć! Przecież Simon był zawsze tak szalenie odpowiedzialny. A ona naprawdę się ucieszyła, gdy zaproponował, że kupi te rzeczy w hurtowni Metro, do czego uprawniała go legitymacja prasowa. „Wszystko jest tam o wiele tańsze – mówił – a poza tym nie będziecie musiały nic dźwigać, ja się tym zajmę. Biorę też na siebie koszty, to mój prezent dla was na otwarcie”.

– I co my teraz zrobimy? – spytała Lisa Hannah. Szarpała sobie przy tym obiema rękami krótkie czarne włosy, co natychmiast zamieniło jej i tak najczęściej rozwichrzoną fryzurę w model „out-of-bed-look”.

Hannah wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.
- Myślisz, że Simon potraktuje serio to o ruskiej mafii i Albańczykach? Tak mi się tylko wypsnęło.
- Hannah przewróciła oczami.
- Chyba nie martwisz się teraz, czy on się przejmie twoim niefortunnym zdaniem?
- Nie, oczywiście że nie! – odparła Lisa prędko. Hannah wiedziała jednak, że się martwi. Lisa po prostu taka była.
- W porządku – powiedziała Hannah. – Zamiast się zastanawiać nad nastrojami Simona, powinniśmy rozwiązać nasz problem z napojami.
- Mogłabym zajrzeć jeszcze szybko do sklepu Wernckiego w sprawie wody i soków – zaproponowała przyjaciółka. – Może będą mieli nawet plastikowe kubeczki i talerzyki.
- Wiesz, ile to kosztuje? Zapłacimy po dwa euro za każdy karton głupiego Słońca Capri!
- A masz lepszy pomysł?
- Hannah zastanawiała się przez chwilę.
- Tak – powiedziała. Pobiegnęła w stronę kąjika kuchennego i złapała z wieszaka swój płaszcz. – Jadę do Simona i osobiście sprawdzę, gdzie się podziewa – rzuciła, mijając w pędzie Lisę w drodze do wyjścia.
- A co ja mam robić? – zawołała za nią przyjaciółka. – Nie możesz mnie tu zostawić samej!
- Zaczynj już nadmuchiwać balony. Jak się pospieszysz, to na pewno zdążysz zrobić z pięćdziesiąt!

*

Kwadrans później Hannah z piskiem opon zatrzymała swoje stare twingo przed mieszkaniem Simona na Papenhuder Strasse. Pospiesznie otworzyła drzwi samochodu i chciała wyskoczyć, ale

jej długi szal zaczepił się o kierownicę i omal się nie udusiła.

– Spokojnie, Hannah – szepnęła do siebie, usiłując jednocześnie wyplątać niesforny szal z kierunkowskazu. Dziesięć sekund później się udało, wysiadła, usiłując zachować spokój, zatrzasnęła drzwi samochodu i pobiegła w kierunku budynku z czerwonej klinkierowej cegły, w którym mieszkał Simon.

Położyła palec na tabliczce z nazwiskiem Klamm i zadzwoniła. Potem jeszcze raz. I trzeci, tym razem energiczniej i dłużej. Żadnej reakcji, także gdy nacisnęła guzik dzwonka po raz czwarty, piąty i szósty. Czyżby Simona nie było nawet w domu? Gdzie on się podziewał? Przecież powiedział jej, że nie czuje się za dobrze i dlatego zapakuje się z termoforem do łóżka!

A może – ta myśl przeszła ją, wzbudzając w niej nieoczekiwane przerażenie – Simon wcale nie złapał żadnego przeziębienia, tylko coś zupełnie innego?

Może rzeczywiście leżał z czymś rozgrzewającym w pościeli, tyle że nie był to napełniony gorącą wodą gumowy worek?

Nie, Hannah potrząsnęła głową, wykluczone. To nie pasowało do Simona. Na jakiś spontaniczny wyskok nie był w ogóle wystarczająco, no cóż, spontaniczny! W końcu potrzebował wielu tygodni, żeby zaprosić ją na randkę, nie, stanowczo nie był z niego szybki Bill.

A jeśli to nie żaden spontaniczny wyskok, tylko ktoś, kogo zna już od dłuższego czasu? – w głowie Hannah włączył się cienki, złośliwy głosik. Ale to przecież absurd, między nią a Simonem, pominąwszy utratę przez niego pracy, wszystko było w najlepszym porządku, a poza tym on na sto procent nie zrobiłby jej czegoś takiego, kiedy ona akurat startowała ze swą nową karierą. Simon miał styl i przyzwoitość, takie rzeczy nie pasowały do niego.

„Zawsze się musisz czegoś doszukiwać!” – powiedziałaaby w takiej sytuacji jej matka Sybille. Po niej Hannah odziedziczyła swoje pozytywne nastawienie do życia, podczas gdy jej ojciec

Bernhard – podobnie jak Simon – miał skłonność, by „za każdym krzakiem widzieć rabusia”. To jedno z powiedzonek jej matki, która śmiała się, gdy jej mąż kolejny raz zajmował się snuciem teorii spiskowych na temat ich otoczenia na spokojnym przedmieściu Rahlstedt.

I tak Bernhard Marx podejrzewał, że Müllerowie mają coś przeciwko niemu, tylko dlatego, że w supermarkecie sąsiad nie przywitał się z nim tak jak zawsze – aby kilka dni później dowiedzieć się, że pan Müller zapodział gdzieś okulary i po prostu go nie rozpoznał.

Innym razem z kolei ojciec Hannah wieszczył, że listonosz z czystej złośliwości wstrzymał paczkę, na którą on pilnie czekał. Krótco potem matka Hannah zadzwoniła do nadawcy i dowiedziała się, że tamten jeszcze nie zdążył jej wysłać. Następnie – z przesadnie odgrywanym oburzeniem – uskarżała się przed córką na tego „niemożliwego faceta”, który przez całe życie doprowadzał ją „do szaleństwa”.

Zamiast kontynuować dywagacje na temat swoich tak bardzo różnych rodziców, Hannah po raz siódmy nacisnęła dzwonek. A potem stwierdziła, że do tej pory zachowywała się bardziej niż przyzwoicie, więc teraz ma prawo użyć klucza i sprawdzić, co się stało z jej ukochanym.

Gdy biegła na górę po schodach do jego mieszkania, do jej irytacji wkradły się obawy. Bo jeśli Simon nie odbierał ani telefonu stacjonarnego, ani komórki, ani nie reagował na dzwonek do drzwi, to albo go rzeczywiście nie było w mieszkaniu, albo przez noc ogłuchł, albo – nie żył.

Jonathan

1 stycznia, poniedziałek, godzina 9.20

Jonathan wypił proteinowy shake (o smaku waniliowym), zjadł dwie kromki pełnoziarnistego proteinowego chleba wysokobiałkowego z chudą pierśią indyczą i usadowił się w przytulnym skórzanym fotelu, stojącym w jego gabinecie, a zarazem też bibliotece, przed dużym oknem w wykuszu wychodzącym na park Innocentia, i rozkoszował się widokiem zimowego krajobrazu.

Dziś jednakże psuł go nie tylko bałagan pozostały po nocy sylwestrowej, ale także okoliczność, że zarówno jego pojemniki na makulaturę i surowce wtórne, jak też inne w sąsiedztwie były przepełnione. Przyczyną było to, że oba pojemniki w tej dzielnicy opróżniano co dwa tygodnie. Ostatni raz w poniedziałek przed Bożym Narodzeniem, od tamtego czasu pracownicy czyszczenia miasta najwyraźniej gremialnie położyli się pod choinką i śpiewali *Cichą noc*. Oczywiście każdy powinien móc cieszyć się świętami i mieć przerwę na odpoczynek od pracy – ale takiego niedbalstwa też przecież nie powinno być!

Potrząsając głową, Jonathan N. Grief podniósł się z fotela, podszedł do sekretarzyka, zasiadł przy nim i otworzył swój notebook. Kilka minut później miał przed sobą stronę przedsiębiorstwa czyszczenia miasta, kliknął „kontakt” i zaczął pisać.

Szanowne Panie, Szanowni Panowie,

od razu na początku nowego roku chciałbym skorzystać z tego medium, by zwrócić Państwa uwagę na fakt, że stan pojemników na makulaturę i surowce wtórne w naszym pięknym mieście w chwili obecnej jest nie do przyjęcia. Pojemniki są przepełnione – nie jest to zbyt atrakcyjna wizytówka Hamburga!

Wprawdzie świadom jestem tego, iż skumulowanie kilku dni świątecznych prowadzi do pewnego spiętrzenia w zakresie opróżniania pojemników, jednakże byłbym bardzo wdzięczny, gdyby Państwo znaleźli w tej sytuacji rozwiązanie awaryjne, które zadowoli zarówno – płacących podatki! – obywateli, jak też Państwa i pracowników Państwa firmy.

Z pozdrowieniami

Jonathan N. Grief

(zamieszkały na Innocentiastrasse, z pełnymi pojemnikami przed drzwiami)

Jeszcze raz przebiegł tekst wzrokiem, po czym wysłał go i kiwnął głową. Tak, bardzo dobrze. Problem rozpoznany, problem rozwiązany.

Usadowiwszy się z powrotem wygodnie w fotelu, zajął się teraz terminarzem. To było dobre uczucie, załatwiać sprawy sensownie i konsekwentnie; ten sposób aktywności dostarczał mu przyjemnego dreszczyku i poczucie, że jest uczciwym obywatelem. Zamiast gubić się w domysłach na temat rodzaju pisma i wszystkich tych różnych wpisów, Jonathan skoncentrował się tym razem na poszukiwaniu informacji, które pomogłyby zidentyfikować właściciela kalendarza.

Na próżno. Pomijając wpis urodzinowy z szesnastego marca. Tu i ówdzie znajdowało się kilka konkretnych terminów, na przykład zaraz na początku, drugiego stycznia (godz. 19.00, Dorotheenstrasse 20, drugi dzwonek od dołu), ale po prawdzie trudno było niestety coś z tym zrobić. Chyba że byłby gotów

ustawić się jutro wieczorem na czatach na Dorotheenstrasse w nadziei, że ktoś się tam będzie błąkał, szukając głośno zgubionego terminarza. A właściwie to dlaczego zamiast nazwiska było tam tylko zapisane „drugi dzwonek od dołu”? Tego się nie dało nawet wygooglować! Po co takie tajemnice? To wszystko było nader dziwne – i w najmniejszym stopniu nie ułatwiało mu poszukiwań. Przez chwilę rozważał pomysł, by od razu pojechać pod wskazany adres. Zaraz jednak porzucił tę myśl: w święto nie należy nikogo niepokoić bez zapowiedzi.

Potem przyszło mu do głowy, żeby przerzucić terminarz do końca, gdyż w większości kalendarzy znajdowała się tam część z adresami. Może będą jakieś nazwiska i telefony i zaraz jutro może spróbować szczęścia! W każdym razie istniała szansa, że w ten sposób dotrze do kogoś, kto przynajmniej zna właściciela kalendarza i już wie o jego zgubieniu. Coś w tym rodzaju.

Znowu pudło. Za stroną z datą trzydziesty pierwszy grudnia pod hasłem „Notatki” znajdowało się tylko sporo pustych kartek oraz skórkowa okładka. Niemniej Jonathan usłyszał cichy szelest. Na tylnej okładce kalendarza znajdowała się skrytka, w której coś tkwiło, wystawał z niej biały rożek papieru. Jonathan pociągnął za niego i sekundę później trzymał w ręce kopertę z napisem: „Zachować na później!”. Teraz sprawa zrobiła się już intrygująca.

Otworzył kopertę – w końcu nie była zaklejona! – i z ostrym świstem wciągnął powietrze. Jak to dobrze, że nie zostawił torby na ławce w parku! Przeliczył szybko – w kopercie znajdowało się całe pięćset euro, posortowane na pięćdziesiątki, dwudziestki i dziesiątki.

Jonathan zrekapitulował w myślach: był więc ten kalendarz, który ktoś wypełnił od pierwszego do ostatniego dnia roku i który następnie zgubił nad jeziorem, wyrzucił albo specjalnie powiesił na kierownicy jego roweru. Do tego była ta koperta zawierająca pięćset euro. Poza tym nic. Żadnego numeru telefonu ani adresu, żadnej wskazówki co do osoby właściciela.

Cóż więc miał z tym zrobić on, Jonathan N. Grief? Było oczywiste, że nie może tak po prostu zatrzymać terminarza, którego z pewnością ktoś już rozpaczliwie szuka.

Biuro rzeczy znalezionych! – przemknęło mu przez głowę. Zanieś tam torbę i kalendarz, to najprostsze rozwiązanie! Ostatecznie biuro rzeczy znalezionych zajmuje się dokładnie takimi sprawami. Ktoś coś zgubił, ktoś inny to znalazł i odnosi, a właściciel może sobie zgubę odebrać, takie to proste!

Jonathan miał już wstać i podejść znów do notebooka, aby odszukać adres i godziny otwarcia właściwego biura, gdy nagle zastygł w połowie ruchu.

Czy to był naprawdę taki dobry pomysł? Kalendarz zdawał się mieć nad wyraz osobisty charakter. A do tego jeszcze ta duża suma pieniędzy! Pięćset euro to w końcu nie byle co. Jakim zaufaniem można obdarzyć ludzi, którzy pracują w biurze rzeczy znalezionych? Czy na pewno zarejestrują i przechowają terminarz zgodnie z regulaminem do czasu, aż zgłosi się jego właściciel?

Czy też aby nie przywłaszczą sobie pieniędzy, a kalendarz rzucą obojętnie na jakąś półkę, gdzie wraz z innymi przedmiotami będzie się kurzył i popadnie w zapomnienie? Ile zarabia w tym biurze referent? Majątek to z pewnością nie jest, a taki niespodziewany finansowy dar to chyba coś więcej niż tylko pokusa.

Nie, biuro rzeczy znalezionych odpada. Bądź co bądź torba wisiała na jego rowerze, to on był więc niejako odpowiedzialny za to, żeby kalendarz bezpiecznie powrócił do rąk osoby, do której należał!

Teraz jednak Jonathan wstał z fotela i usiadł do komputera. Wpadł bowiem na świetny pomysł.

Do redakcji „Hamburger Nachrichten”
Dział łączności z czytelnikami

Hamburg, 1 stycznia

Szanowna Redakcjo,

tym razem zwracam się do Państwa z osobistą prośbą. Dzisiejszego ranka podczas joggingu nad jeziorem przy plenerowej siłowni na wysokości Schwanenwik znalazłem torbę z terminarzem. Nie chciałbym tu podawać zbyt wielu szczegółów, by zminimalizować ryzyko zwabienia kogoś, kto tylko wietrzy w tym okazję.

Gdyby zgłosił się do Państwa prawowity właściciel, to proszony jest o podanie dokładnego opisu kalendarza i torby, który proszę przesłać do mnie, wówczas chętnie dostarczę mu zgubę za pośrednictwem Państwa redakcji.

Byłoby niezmiernie miło, gdyby mogli Państwo wydrukować ten apel w najbliższym wydaniu gazety!

Jak zawsze łączę wyrazy szacunku
Jonathan N. Grief

PS Jeszcze raz życzę szczęśliwego nowego roku!

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
29 października, godzina 13.24

Simon nie umarł. Ale na żywego też za bardzo nie wyglądał, gdy Hannah dwie minuty później stała w sypialni przed jego łóżkiem. Leżał zagrzebany pod kilkoma kołdrami, wystawała spod nich tylko jego blada twarz, wokół piętrzyły się nieapetyczne formacje ze zużytych chusteczek, na stoliku nocnym zgromadzone były rozliczne opakowania syropów od kaszlu i tabletek od bólu gardła, a pomiędzy nimi tkwił termometr.

– Co tu się dzieje? – wyrwało się Hannah.

Simon zamrugał i wydał z siebie zdumione, słabe „Hannah?”, jakby właśnie ukazał mu się Duch Święty. Ciężko rzeżąc, usiadł w łóżku i oparł się łokciami na poduszce.

– Jak tu weszłaś? – Głos mu drżał.

Jeśli Hannah jeszcze przed chwilą była przerażona marnym stanem Simona, to teraz jej troska przerodziła się momentalnie w irytację. Jednocześnie czując ulgę, że ukochany jednak nie zszedł z tego świata, i złość, jednym ruchem ściągnęła z niego kołdry. Cierpiący Simon leżał pod nimi w bluzie i długich narciarskich kalesonach.

– Hej! – zaprotestował, zadrżał i skrzyżował ramiona.

– Ja chyba śnię! – Głos Hannah również drżał, ale z gniewu. – Naprawdę chcesz wiedzieć, jak tu weszłam? Zapomniałeś, że za chwilę otwieramy Bandę Urwisów?

Simon momentalnie zrobił się jeszcze bledszy.

– Banda Urwisów? O nie! – Opadł z powrotem na poduszkę.

– Owszem, tak!

– Tak mi przykro! – Simon znów usiadł z jękiem i przejechał ręką po zmierzwionych, sklejonnych włosach. – Chciałem się tylko na chwilkę zdrzemnąć, ale potem musiałem na dobre usnąć. Ja... ja... – Patrzył na nią skruszony, próbując jednocześnie przywołać na twarz niewyraźny uśmiech, co jednak kompletnie mu się nie udało. – Naprawdę, ja... bardzo mi przykro.

– Tak, mnie też! – wycedziła Hannah wciąż jeszcze zła. Niemniej już nie tak bardzo rozsierzdzona, wygląd Simona istotnie budził litość. Bluza i kalesony kleiły mu się do ciała, był cały spocony.

Uczucie troski wzięło znów górę, Hannah z powrotem przykryła go kołdrami i usiadła obok niego na łóżku.

– Za pół godziny jest otwarcie, a ja czekam na ciebie od jedenastej. – To, co miało być właściwie zarzutem, nawet w jej własnych uszach zabrzmiało tylko smutno i z rezygnacją. Zresztą jak miałyby stawiać do pionu kogoś, kto wyglądał tak źle jak jej przyjaciel?

– Już za pół godziny? – Simon zaczął się podnosić, ale Hannah łagodnie, acz stanowczo popchnęła go za ramiona z powrotem na łóżko.

– Leż. Przecież widzę, jak parszywie się czujesz.

– Niestety, tak właśnie jest. – Wzdychając i postępując opadł na poduszkę, powieki mu drżały. – Gorączkę też mam.

– A ile miałeś? – Hannah zerknęła na termometr leżący na stoliku.

– Dziś rano trzydzieści osiem i dwie kreski.

– No tak. – Nie mogła się powstrzymać od nieco złośliwego uśmiešku. – Myślę, że z czymś takim jakoś się uda przeżyć. Nie musimy natychmiast wzywać śmigłowca ratunkowego.

– Ale ja się cały czas pocę. – Zabrzmiało to jak

usprawiedliwienie, choć raczej słabiutkie.

– Też bym się spociła, jakbym leżała pod trzema puchowymi kołdrami.

– Szyję mam całkiem obrzmiałą, zobacz! – Przyłożył obie ręce poniżej podbródka.

Hannah nachyliła się nad nim i dotknęła szyi Simona. Rzeczywiście była dosyć gruba.

– Faktycznie – powiedziała i zmarszczyła czoło. – Boli cię?

Potrząsnął głową.

– Niespecjalnie. Ale wziąłem około dziesięciu tabletek do ssania na ból gardła.

– Było aż tak źle?

Ponownie zaprzeczył.

– Raczej zapobiegawczo.

– Aha. – Zastanawiała się, czy było to typowe dla Simona, czy raczej typowo męskie, żeby mimo braku dolegliwości ładować w siebie pół opakowania leków. Z drugiej strony parę cukierków szałwiowych, jak zdążyła przeczytać na pudełku, nie mogło chyba wyrządzić większej szkody. Pomóc zresztą też chyba nie.

– Czuję się całkiem oklapły i bez sił – uzalał się dalej Simon. – Wszystko mnie boli i kręci mi się w głowie. Przedtem ledwie dałem radę dojść do łazienki, tak mi się nogi trzęsły.

– To najlepiej śpij dalej – powiedziała Hannah i podniosła się. Na więcej współczucia nie miała czasu, radiowy budzik Simona pokazywał, że jest parę minut po wpół do drugiej. – Wezmę tylko kluczyki od twojego samochodu i przepakuję po prostu rzeczy do mojego.

– Nie, poczekaj! – Kolejny raz usiadł, ale jeszcze wolniej niż poprzednio. – Daj mi dziesięć minut, to pojedę z tobą!

– Simon. – Hannah spoglądała na niego z mieszaniną troski i surowości. – Po pierwsze, nie mam dziesięciu minut, po drugie, w twoim stanie naprawdę nie byłbyś dużą pomocą. Sam przecież dopiero co powiedziałeś, że ledwo stoisz na nogach. Więc

najlepiej zostać w domu.

– Jesteś pewna? – Jeszcze gdy zadawał to pytanie, opadał na poduszki jak w zwolnionym tempie.

– Całkowicie. A teraz muszę już iść.

– Weź po prostu mój samochód. Wtedy nie będziesz musiała niczego przekładać!

– Twój samochód? – Myślała, że się przesłyszała. Stary ford mustang Simona był dla niego niemal czymś w rodzaju świętej krowy.

– Jasne – odrzekł. Jak gdyby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, że pozwala Hannah usiąść za kierownicą swej osobistej świętości. Do tej pory zdarzyło się to jeden jedyny raz. To było dobre pół roku temu, w jego trzydzieste piąte urodziny, gdy późno w nocy ze swymi najlepszymi przyjaciółmi Sörenem i Nielsem próbował wypić cały alkohol w barze Hans-Albers-Eck na Reeperbahn. Nie udało im się.

Niemniej gdy Simon zadzwonił do Hannah, błagając ją, by odwiozła jego i kumpli, gdyż za nic w świecie nie mógł pozostawić mustanga w dzielnicy rozrywki, jego głos brzmiał tak, jakby do pomyślnego końca misji zostało im najwyżej pół litra piwa.

To było o piątej rano, a Hannah była jeszcze wściekła, bo dwie godziny wcześniej wróciła sama do domu metrem. Mimo to wzięła taksówkę, popędziła na Reeperbahn i foldem Simona odwiozła swego kompletnie zalanego przyjaciela współ z kumplami do jego mieszkania, żeby tam wytrzeźwieli.

Ból głowy, na który wszyscy trzej uskarżali się następnego dnia, gdy Hannah około południa pojawiła się z wielką torbą bułeczek i trzema litrami soku pomarańczowego, uznała za słuszną karę. I oświadczyła Simonowi, że w przyszłym roku, gdy ona będzie świętować swe trzydzieste urodziny, godnie mu się zrewanżuje.

Ale naprawdę zła na niego nie była, właściwie w ostatnich

latach Simon o wiele za rzadko zachowywał się nierozsądnie i beztrosko. To się zaczęło po śmierci jego matki, a wskutek nieciekawej atmosfery w redakcji jeszcze się znacznie nasiliło. Zwykle był teraz rozważny i – w przeciwieństwie do wcześniejszego okresu – w każdej sprawie upewniał się po pięć razy, co Hannah często kwitowała przesadnym przewracaniem oczu. To, że trzy miesiące później stracił pracę... Tego przecież nikt nie mógł przewidzieć.

– Musisz się czuć naprawdę źle – stwierdziła.

– Gorzej niż źle – powiedział i spróbował kolejnego niewyraźnego uśmiechu. Tym razem się udało. – Więc znikaj, zanim odzyskam na tyle rozum, że dotrze do mnie, co właśnie robię.

– Okej, zadzwonię, jak skończymy – odpowiedziała Hannah pospiesznie.

– Lepiej ja zadzwonię, bo może usnę i będę spał do jutra rana, żeby odzyskać szybko siły.

Przez chwilę w Hannah obudził się znów cień nieufności. Dlaczego nie chciał, żeby to ona zadzwoniła? Czyżby jednak miał coś do ukrycia i nie chciał, żeby mu przeszkadzała?

Ale ta myśl była całkowicie absurdalna, jeden rzut oka na jego bladą twarz wystarczyło, by się upewnić, że jej przyjaciel nie miał żadnych niecznych zamiarów poza długim, ozdrowieńczym snem.

Hannah jeszcze raz schyliła się szybko nad Simonem i pocałowała go na pożegnanie. Sekundę później wypadła z mieszkania i zbiegła sprintem po schodach. Jeszcze tylko dwadzieścia minut. Teraz konik Simona musi pokazać, na co go stać!

Pan
Jonathan N. Grief

Hamburg, 2 stycznia

Szanowny Panie,
dziękujemy za Pańskie życzenia noworoczne, mając nadzieję, że i Pan dobrze wystartował w nowy rok.

My również zawsze cieszymy się z uważnych czytelników – a do tych już od dawna zaliczamy i Pana – którzy dają nam *feedback* w naszej pracy, a przy okazji zwracają nam też uwagę na ten czy inny błąd, jaki może nam się przytrafić w naszej nerwowej redakcyjnej codzienności.

Pana uwagę odnośnie do nieprawidłowo użytego apostrofu przekazaliśmy niezwłocznie do kolegów z korekty.

Co się zaś tyczy Pańskiego apelu w sprawie znalezionej torby względnie terminarza, to z przykrością musimy Pana poinformować, że w naszej gazecie nie mamy działu zajmującego się takimi sprawami. Niezależnie od tego ma Pan oczywiście możliwość zamieszczenia u nas stosownego ogłoszenia. Kontakt do naszego działu ogłoszeń jak również cennik dołączam do mejla.

Osobiście doradzałabym Panu odniesienie zarówno torby, jak i kalendarza do najbliższego biura rzeczy znalezionych. Za pomocą internetu z pewnością nietrudno będzie ustalić stosowną placówkę.

Z serdecznymi pozdrowieniami
Gunda Probst
Dział łączności z czytelnikami „Hamburger Nachrichten”
Od hamburczyków – dla hamburczyków!

Jonathan

2 stycznia, wtorek, godzina 11.27

A więc to tak. Na coś takiego nie ma żadnej rubryki w „Hamburger Nachrichten”! Podczas gdy Jonathan mimochodem oceniał jeszcze nieprawidłowo postawiony przecinek, już go swędziały palce, by odpisać tej pulardzie z działu łączności z czytelnikami i zapytać ją, jak dokładnie należy rozumieć hasło jej gazety „Od hamburczyków – dla hamburczyków!”, jeśli nie tak, że troszczą się właśnie o takie sprawy jak ta, którą im przedstawił?

Ale dał sobie spokój i zamiast tego zirytowany zamknął pocztę. Do biura rzeczy znalezionych! Za jak głupiego uważa go ta Gundula Figlarz? Jak gdyby już dawno nie wpadł sam na ten pomysł!

Zamknął notebook i wpatrywał się zamyślony w terminarz leżący obok na biurku. Jeszcze raz go otworzył.

To ręczne pismo! Nicolino.

Przyszła mu do głowy pewna myśl. Niesamowita. Niemal fantastyczna.

Szybko zamknął kalendarz z powrotem. To przecież nonsens! Dlaczego niby matka miałaby mu wieszać torbę z terminarzem na rowerze? Po tych wszystkich latach bez jednego znaku życia? To by nie tylko znaczyło, że jest w Hamburgu, ale też że obserwuje swego syna, zasadziwszy się na czatach.

Nie, nie, to absurd.

Jonathan N. Grief nagłym ruchem odepchnął się od biurka i wstał. Miał teraz ważniejsze sprawy do załatwienia, jego dyrektor zarządzający oczekiwał go o dwunastej na naradzie.

Już rano zadzwoniła sekretarka Bodego i uzgodniła ten „pilny termin”. Jonathan zastanawiał się, co mogło być aż tak naglące – w końcu ledwie cztery tygodnie wcześniej był w wydawnictwie z okazji uroczystości gwiazdkowej. Co niby mogło się ważnego wydarzyć przez ten czas i okres świąt?

*

Punktualnie jak zawsze Jonathan przekroczył próg dziewiętnastowiecznej białej willi nad Łabą, która już od pokoleń była w posiadaniu jego rodziny i do dziś dawała schronienie około siedemdziesięciu współpracownikom Griefson & Books.

To tu jego prapradziad Ernest Grief przed blisko stu pięćdziesięciu laty stworzył wydawnictwo – i zawsze gdy Jonathan wchodził na pierwsze piętro po wyłożonych niebieskim chodnikiem stopniach szerokich paradnych schodów, ogarniało go uczucie lokujące się gdzieś między respektem, dumą i pewnym dyskomfortem.

Na górnym podeście, tam gdzie na ścianie pyszniły się portrety jego przodków – Ernest Grief, pradiadek Heinrich, babcia Emilie (swego czasu na sali porodowej oczekiwano właściwie Emila, ale po pierwszym zaskoczeniu rodzina zareagowała elastycznie) i ojciec Wolfgang – to uczucie osiągało zazwyczaj apogeum, by za przeszkłonymi drzwiami, prowadzącymi po lewej do gabinetu wydawcy (czyli do jego gabinetu) znów się ulotnić.

– Szczęśliwego nowego roku! – powitała go sekretarka Renate Krug, która w chwili, gdy wchodził, zajęta była odkurzaniem fikusa. Porzuciła ściereczkę i drzewko, podeszła do niego i podała

mu prawą rękę, podczas gdy lewą poprawiła sobie okulary, a potem zręcznym, dyskretnym ruchem skontrolowała najpierw, jak leży na niej granatowy kostium, a następnie jaki jest stan jej fryzury.

Białe włosy miała jak zwykle starannie upięte, a fakt, że Renate Krug przekroczyła już sześćdziesiątkę, nie zmieniał niczego w tym, że była bardzo, bardzo piękną kobietą.

– Ja również życzę pani tego samego! – odrzekł Jonathan i posłał jej swój najmiłszy uśmiech, a potem skinął głową i zniknął w swoim biurze ze słowami: – Pan Bode może już przyjść.

– Powiadomię go – zawołała i Jonathan mógł po chwili usłyszeć, że wystukuje numer na telefonie na swoim biurku.

Jak daleko sięgał pamięcią – a było to dość dawno – Renate Krug pracowała dla jego ojca. Później Jonathan przejął ją jako swoją asystentkę i niekiedy było mu jej naprawdę żal, bo za jego rządów nie miała prawie nic do roboty. Chociaż z czasem w piątki mogła wychodzić już w południe, a poniedziałki miała wolne, to jej dwudziestoosmiogodzinny tydzień pracy wypełniony był maksymalnie piętnastoma godzinami faktycznych zajęć. Jeśli wręcz nie było tego jeszcze mniej.

Z drugiej strony Renate Krug była tuż przed emeryturą, więc przypuszczalnie mogła się uważać za szczęśliwą, że ostatnie lata pracy zawodowej spędza na... na... na odkurzaniu fikusa. I jeszcze na rozkoszowaniu się wspaniałym widokiem na Łabę.

Dokładnie to samo robił teraz Jonathan, czekając na pojawienie się swego dyrektora. Przez duże okna ze szprosami spoglądał na rzekę, po której przepływał akurat potężny kontenerowiec. Kilka mew z krzykiem towarzyszyło barce w stronę ujścia, a Jonathan zastanawiał się przez chwilę, dokąd też może ona płynąć. I – także przez moment – miał wrażenie, że w dole przy brzegu widzi parę łabędzi.

Gdy się jednak dokładnie przyjrzał, ptaki okazały się dwiema

miotanymi przez wiatr białymi plastikowymi torbami, więc Jonathan odwrócił się, wzruszając ramionami, przeszedł do kącika konferencyjnego obok swego biurka i usiadł.

– Puk, puk! – Markus Bode stał w drzwiach, pod pachą trzymał teczkę z dokumentami i stukał knykциями w futrynę.

Jonathan podniósł się i zrobił kilka kroków w jego kierunku.

– Życzę panu szczęśliwego nowego roku! – powiedział Bode, gdy witali się mocnym uściskiem dłoni.

– Ja panu także! – Jonathan zarejestrował, że jego dyrektor zarządzający wyglądał na nieco wykończonego. Ten zbliżający się do czterdziestki mężczyzna dotąd zawsze prezentował się nienagannie, w świetnie skrojonym garniturze, z jasnymi, uczesаныmi starannie z przedziałkiem włosami, ale teraz uwagę Jonathana zwróciły trzydniowy zarost, ciemne kręgi pod oczami i nieco pognieciona koszula. Krótko mówiąc, Marcus Bode nie wyglądał dobrze. I chyba coś go dręczyło.

– No tak. – Dyrektor przeszedł od razu do rzeczy, kiedy tylko usiedli. – Mamy pewien kłopot.

– To znaczy?

Bode otworzył teczkę, wyjął z niej plik papierów i położył je na stole przed Jonathanem.

– Przez święta – wyjaśniał – przejrzałem orientacyjne wyniki kwartalne, oprócz tego zająłem się szczegółowo planami na najbliższe miesiące.

– Czemu pan to robi?

Tamten spojrzał na Jonathana nierozumiejącym wzrokiem.

– Co pan ma na myśli?

– Myślenie o pracy podczas świąt. W tym czasie powinien pan przecież odpoczywać i spędzać czas z rodziną. – Jonathan wiedział, że jego dyrektor zarządzający ma uroczą żonę i dwoje małych dzieci.

– Ehm – odpowiedział Markus Bode. I wyglądał przy tym na kogoś jeszcze mniej rozumiejącego świat. – No cóż, jestem

dyrektorem zarządzającym w Griefson & Books. Wtedy ma się inny czas pracy niż większość ludzi. To należy do tego zawodu.

– Z pewnością – przytaknął Jonathan. – Ale niech pan pomyśli o zdrowiu. Nawet dyrektor zarządzający musi się kiedyś zrelaksować.

– Nie wtedy, gdy stwierdza, że nasze plany obrotów w minionym kwartale rozminęły się z rzeczywistością o trzydzieści procent. – Zakasłał, spojrział w dół i dodał nieco ciszej: – A jeśli w dodatku opuściła go właśnie żona i dzieci, to niekoniecznie potrzebuje wolnych dni.

– Ojej. – Teraz to Jonathan patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Hm, no tak.

– To rzeczywiście nie za dobrze. – Ten komentarz Jonathana nawet w jego własnych uszach zabrzmiał strasznie nieporadnie. Ale nie wiedział, co innego mógłby w tej sytuacji powiedzieć. Z Markusem Bodem łączyła go wprawdzie dobra, ale czysto biznesowa relacja, więc to osobiste wyznanie trochę go przerosło.

– Tak właśnie jest. – Bode jeszcze bardziej skulił się w sobie.

– Może byśmy... – Jonathan urwał, zastanawiając się, co właściwie chciał powiedzieć. Co się mówi w takiej sytuacji? Co powiedzieli mu jego przyjaciele, gdy zakomunikował im koniec swego małżeństwa z Tiną?

Zupełnie nic, przypomniał sobie. Nikomu wtedy o tym nie mówił, tylko całkiem sam poradził sobie z nową sytuacją. Zresztą z nikim nie był na tyle blisko, by odczuwać pragnienie wtajemniczenia kogoś w bankructwo swego prywatnego życia. Jeśli pominąć Thomasa. Ale z oczywistych względów nie wchodził on w rachubę jako pocieszyciel.

Dopiero później, gdy był już po rozwodzie, kilku znajomych dowiadywało się o jego samopoczucie, przy czym chodziło im zwłaszcza o ustalenia finansowe między nim a Tiną. A to przebiegło absolutnie bezproblemowo.

Markus Bode patrzył na niego wyczekująco, najwyraźniej

zakładając, że szef dokończy rozpoczęte zdanie.

– Może byśmy – zaczął od nowa Jonathan, gorączkowo poszukując właściwych słów – poszli na piwo?

– Na piwo?

– Tak, na piwo! – Chociaż Jonathan prawie nie pił alkoholu, a jeśli już, to od czasu do czasu kieliszek dobrego wina, ta propozycja wydała mu się na miejscu, mężczyźni, których porzuciły żony, szli na piwo, czyż nie?

– Ale jest dopiero dwunasta!

– No tak – przyznał Jonathan. Może jednak ten pomysł nie był za dobry.

– Sądzę, że powinniśmy raczej porozmawiać o wynikach. – Bode zdawał się wewnątrznie wyprostować, w jednej chwili przestał sprawiać wrażenie tak rozstrojonego.

– Dobrze. – Jonathan odetchnął skrycie, ostatecznie wolał jednak liczby niż męską rozmowę.

– Jak już mówiłem, do wykonania planu zabrakło nam trzydziestu procent. – Dyrektor zarządzający postukiwał palcem wskazującym prawej ręki w dokumenty na stole. – To spora katastrofa.

– Zdążył już pan przeanalizować przyczyny?

– Częściowo – odparł Markus Bode. – Jak pan wie, cała branża zmaga się ze zmniejszającymi się obrotami. Do tego jeszcze powoli spada sprzedaż naszego najważniejszego autora Hubertusa Krulla, a on z racji poważnej choroby w najbliższym czasie nie będzie mógł dostarczyć żadnego nowego tytułu – wyjaśnił bardziej szczegółowo. – Na wydane dotychczas pozycje nie możemy więc postawić, a bez nowej powieści stare książki nie przyciągną czytelników.

Jonathan kiwał z namysłem głową. Krulla pozyskała dla wydawnictwa jeszcze jego babka Emilie, gdyż uznała go wtedy nieomylnie za nadzieję niemieckiej literatury powojennej i zapewniła mu pozycję autora światowych bestsellerów.

– Ponadto w przypadku niektórych tytułów poważnie się przeliczyliśmy.

– Rozumiem – powiedział Jonathan. – A których konkretnie?

– Na przykład tego tu. – Bode wziął do ręki plik papierów, przewertował je i wyciągnął w końcu jedną kartkę, którą położył przed szefem.

Jonathan rzucił na nią okiem.

– *Samotność Drogi Mlecznej*? – zawołał zaskoczony. – Przecież to było nominowane w zeszłym roku do najważniejszej nagrody literackiej!

– Możliwe – zgodził się ze spokojem jego dyrektor. – Ale nie dość, że kupiliśmy ten tytuł o wiele za drogo, to jeszcze z trzydziestu tysięcy egzemplarzy, które wydrukowaliśmy po nominacji, w magazynach leży jeszcze dwadzieścia siedem tysięcy. A pierwsi księgarze zaczynają nam już zwracać książki.

– Hm. Co jest przyczyną?

– Powiedziałbym, że ludzie nie chcą tego czytać.

– Ale to przecież wspaniała powieść! – Jonathan przeczytał maszynopis, gdyż Bode chciał poznać jego opinię przed zakupem praw do książki. Był absolutnie przekonany o jej wartości, *Samotność Drogi Mlecznej* w jego oczach była ważnym dziełem literackim, napisanym zgodnie z wszelkimi regułami sztuki.

– Pan tak ją ocenia i ja ją tak oceniam, ale czytelnicy wolą raczej jedno z tych szmirowatych erotycznych romansideł albo Grishama. – Westchnął. – „Gdy o Niemczech myślę w nocny czas, sen mnie opuszcza aż po brzask”.

– W rzeczy samej. – Jonathan podarował sobie zwrócenie Bodemu uwagi, że jak wielu innych, zacytował *Nachtgedanken* Heinricha Heinego w błędnym kontekście. Poeta napisał te wersy na paryskiej emigracji i wyraził w nich swą tęsknotę za krajem, a przede wszystkim za matką, wcale nie zamierzał krytykować sytuacji politycznej w Niemczech. – Co zatem pan proponuje?

– Właściwie to ja chciałem pana o to zapytać.

– Mnie?

– No tak, to pan jest wydawcą.

– A pan jest fachowcem – odparł Jonathan odruchowo.

Bode zakasłał z mieszaniną zakłopotania i dumy.

– To prawda. Ale ja nie mogę samodzielnie ustalać planów wydawnictwa Griefson & Books.

– Powoli, powoli – wtrącił się Jonathan. – Tak jak jedna jaskółka nie czyni wiosny, tak jedna porażka nie oznacza jeszcze katastrofy. Nie musimy zatem mówić od razu o zmianie planów.

– Nie mówimy niestety o jednym niepowodzeniu. – Bode podsunął szefowi kilka kolejnych kartek. – To dotyczy raczej całego naszego programu. I to już od dłuższego czasu, tyle że do tej pory tłumaczyłem to sobie zwykłymi w tej branży wahaniem. Poza tym gdy mieliśmy Hubertusa Krulla, wciąż jeszcze udawało się nam sporo strat wyrównać. Teraz jednak czas nagli i trzeba opracować nową strategię.

– Hm. – Jonathan oparł się na fotelu. – Skoro pan tak uważa. Tylko musiałbym nad tym pomyśleć.

– Naturalnie nie twierdzę, że z dnia na dzień mamy zmieniać całe nasze portfolio – przyznał mu rację Bode. – Ale uważałem za konieczne zwrócić pana uwagę na aktualny rozwój sytuacji. Abyśmy mogli go śledzić i odpowiednio wcześniej reagować.

– Tak, tak – potakiwał Jonathan – bardzo dobrze. Teraz więc mam już wiedzę.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, każdy z nich pogrążony we własnych rozważaniach. Ciekawa rzecz, Jonathan znów pomyślał o młodym człowieku znad jeziora, który tak mu przypominał Harry’ego Pottera. Co też on lubi czytać? Może powinien był go zapytać!

– Tak. – Markus Bode przerwał w końcu tę ciszę. – No to chyba będę... Dokumenty zostawiam panu do przejrzenia. – Podniósł się.

– W porządku – odpowiedział Jonathan i także wstał. –

Dziękuję bardzo, że mnie pan poinformował. – Uścisnęli sobie ręce. Nieco dłużej niż zwykle. I znów Jonathan zastanawiał się, czy powinien powiedzieć coś jeszcze. Cokolwiek. – No to mam nadzieję, że u pana wszystko się ułoży – oświadczył wreszcie i wolną ręką poklepał niezgrabnie Markusa Bodego po ramieniu.

– Dziękuję bardzo – powiedział Bode. – Mam tylko nadzieję, że moja żona nie wróci.

– Słucham?

– To był żart.

Kręcąc głową, Jonathan patrzył w ślad za swym dyrektorem zarządzającym, gdy ten ciężkim krokiem opuszczał jego biuro.

Osobliwe poczucie humoru!

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
30 października, poniedziałek, godzina 10.47

– Najpierw dobra wiadomość: Twoje auto stoi pod domem nienaruszone i bez żadnej rysy.

– O nie! – wykrzyknął Simon i porwał Hannah w ramiona. – Taak mi przykro! – Łkał przy jej uchu i przyciskał ją tak mocno do siebie, że ledwie mogła oddychać. – Naprawdę, nie umiem ci nawet powiedzieć jak bardzo!

Uwolniła się z jego objęć.

– Jak to? Miałam je skasować czy co? – Z trudem tylko udawało jej się nie parsknąć śmiechem.

– No przecież nie to miałem na myśli! – odparł szybko jej przyjaciel. – Ale jeśli to jest ta dobra wiadomość, to zła brzmi pewnie tak, że wasze otwarcie było totalną porażką. Co ze mnie za idiota! – Uderzył się płaską dłonią w czoło.

– Nie. – Teraz uśmiechnęła się szeroko. – To był totalny sukces!

– Ale przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że zaczniesz od dobrej wiadomości.

– Zgadza się. A potem kolej na bardzo dobrą! – Hannah roześmiała się radośnie, patrząc na niego.

– Aha. – Simon potrząsnął głową. – To chodźmy do kuchni, zaparzyłem sobie właśnie herbatę. – W szlafroku i kapciach poczłapał przed nią korytarzem, w sumie jednak mimo swego wyglądu, który wprost krzyczał: „Pomocy, jestem chory!”

sprawił znacznie lepsze wrażenie niż dzień wcześniej. Bądź co bądź stał prosto i potrafił samodzielnie iść. To dobrze, gdyż Hannah miała wobec niego pewne zamiary.

– No to opowiadaj – ponaglił ją Simon, podczas gdy Hannah sadowiła się na jednym z jego krzeseł zaprojektowanych przez Charlesa Eamesa, a on już nalewał jej herbatę do filiżanki.

– Przez cały dzień przewinęła się ponad setka dzieci z rodzicami! – rozpoczęła natychmiast entuzjastycznie. – Do Gwiazdki nie mamy praktycznie wolnych miejsc. Nasz plan, że oferujemy program dopiero od popołudnia, musimy po prostu zmienić i zaczynać już przed południem. Popyt jest niewyobrażalny, ludzie wprost wyrywali nam z rąk formularze zgłoszeń!

– No to fantastycznie! – Simon obdarzył ją spojrzeniem wyrażającym uznanie. – Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem!

– A ja się spodziewałam, że ty się tego nie spodziewałeś.

– Jak to?

– No zgadnij!

– Głupia baba! – odpowiedział, szczerząc zęby.

– Poza tym „przyznać” brzmi jakoś tak negatywnie – dodała jeszcze.

– Hę?

– Mam na myśli, że musisz przyznać, że nie spodziewałeś się tego.

– Teraz to już nie rozumiem.

– Nieważne. – Machnęła lekceważąco ręką i znów się zaśmiała.

– Skądinąd najfajniejsza dla dzieciaków okazała się rzecz z balonami.

Simon odetchnął z ulgą.

– To znaczy zdążyłyście je w porę nadmuchać?

– Akurat – odparła Hannah. – Na to wróciłam o wiele za późno. Ledwie zdążyłyśmy rzucić na bufet plastikową zastawę i postawić

skrzynki z napojami, i już zjawili się pierwsi goście.

– Ale...

– Było genialnie! – opowiadała dalej. – Nadmuchaliśmy balony razem z dziećmiakami – to był absolutny hit, każdy chciał się dorwać do butli z helem! A gdy potem dzieci odkryły, że po użyciu gazu do balonów można mówić śmiesznym głosem Myszki Miki, to już w ogóle nie można ich było poskromić. – Zmieniła głos, skubiąc sobie nieistniejące jabłko Adama: – Halo, jestem mała Hania!

– Czyli to wcale nie było takie złe, że spartaczyłem sprawę? – dopytywał się Simon, patrząc na nią niepewnie, jakby czekał jeszcze na najgorsze.

– Przeciwnie, nie mogłoby się udać lepiej!

Teraz i on się uśmiechnął.

– Co by kolejny raz uzasadniało twoją tezę, że wszystko ma swoją dobrą stronę.

– Dokładnie tak, mój skarbie. – Pochyliła się ku niemu i wycisnęła soczystego całusa na jego czerwonym nosie. – A na dodatek nie plątałeś się nam pod nogami i nie dezorganizowałeś pracy. Tym samym była to dla wszystkich jakby sytuacja *win-win*.

– A co to ma znowu znaczyć? – Udał obrażonego.

– Zupełnie nic. – Dała mu znowu całusa, tym razem w odęte usta. – Cieszę się tylko okropnie, bo wszystko się tak fantastycznie udało. Lisa i ja musimy się natychmiast rozejrzeć za jedną lub dwiema osobami do pomocy, same nie mamy rady przy tylu zgłoszeniach.

– Tylko spokojnie, zgłoszenie to jeszcze nie jest zobowiązująca rezerwacja.

– Wrr! – Hannah przewróciła oczami i dała Simonowi kuksańca w ramię. – Cały ty. Oszczędź mi tych swoich negatywnych fluidów, psujesz powietrze!

– Chcę tylko powiedzieć, że przy całej waszej euforii nie

możecie wpaść od razu w pychę.

– Nie ma obaw. Od blokowania mam przecież ciebie.

– Cha, cha. Dziękuję bardzo!

– A na poważnie. – Chwyła jego ręce i ścisnęła je. – Nie martw się tak. Wiesz przecież, martwić się to jak bujany fotel – człowiek jest wprawdzie zajęty, ale nie posuwa się naprzód.

– Ukradłaś gdzieś to zdanie!

– To prawda – przyznała. – Ale już nie wiem skąd, więc teraz jest moje!

– Ja przecież wcale się nie martwię – upierał się Simon i głaskał kciukiem jej palce. – Ale nie chcę też, żebyś była rozczarowana. A tak się może zdarzyć, jeśli zawsze tylko zakłada się najlepszą z możliwości.

– To znowu typowe dla ciebie. Ja ci opowiadam, jak wszystko poszło super, a ty mówisz o rozczarowaniu.

– Ach, no tak. – Podniósł przepraszająco ramiona. – Przypuszczalnie mam po prostu kiepski nastrój.

– Też tak myślę – zgodziła się z nim Hannah. – I dlatego uważam, że musimy to radykalnie zmienić. – Wstała. – No to idziemy.

– Idziemy? A dokąd?

– Marsz pod prysznic, a potem jedziemy do Bandy Urwisów.

– Teraz? – Patrzył na nią skonsternowany.

– Tak – odpowiedziała lakonicznie. – Okres ochronny minął, a ja ci mówiłam, że pilnie potrzebujemy wsparcia.

– Hannah! Ja wciąż jeszcze jestem przeziębiony!

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęła się do niego. – Dziewięćdziesiąt dziewięć procent małych dzieci ma do dziesięciu infekcji rocznie, nie będziesz się rzucał w oczy! A my mamy ogromny zapas chusteczek higienicznych.

– Mam nadzieję, że to żart!

– Ani trochę, potrzebujesz czegoś, co cię wyrwie z twojego cierpiętnictwa. – Zaśmiała się do niego. – Trzeba trochę

pożartować, a więc nie bądź taki uparty i chodź ze mną do Bandy Urwisów. To ci dobrze zrobi, sam zobaczysz!

– Hm, a co ja będę tam robił?

– Najpierw razem ze mną i Lisą dokończysz sprzątanie, a potem o drugiej potrzebujemy klauna!

Jonathan

2 stycznia, wtorek, godzina 15.12

Pierwszą wizytę u ojca w nowym roku Jonathan chciał odbyć właściwie dopiero w czwartek. Jednakże po rozmowie z Markusem Bodem postanowił, że jeszcze dziś wpadnie do domu opieki Sonnenhof.

Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że nie będzie mógł porozmawiać z ojcem o najnowszej sytuacji w wydawnictwie. Po pierwsze, Wolfgang Grief mentalnie nie był już zdolny do takich rozmów, po drugie, nawet jeśli byłby jeszcze w stanie, to za bardzo by się zdenerwował. Jonathan przez pół godziny stał przed portretem ojca w nadziei na jakąś inspirację, dyskutując z nim bez słów, i raptem poczuł coś w rodzaju tęsknoty za swym staruszkiem.

Skierował ciemnoszarego saaba na szeroki, biało zwirowany podjazd prowadzący do Sonnenhofu. Nowoczesny budynek godny był dziś swej nazwy oznaczającej słoneczny dwór: w promieniach najpiękniejszego słońca, jakie można sobie tylko wyobrazić w styczniowy dzień w Hamburgu, szklany pałac królował na zboczu wysoko nad Łabą, światło odbijało się w licznych wielkich oknach, załamując się gdzieś w migotliwych refleksach. Przy takiej pogodzie widać było drugi brzeg rzeki z zakładami Airbusa po lewej stronie i terenem zalewowym Altes Land z rozległymi sadami owocowymi po

prawej.

Jonathan nieraz zastanawiał się, czy ojciec w ogóle dostrzega jeszcze piękno otoczenia. Zwykle bowiem po prostu siedział w fotelu w swoim pokoju i ze słuchawkami w uszach, z zamkniętymi oczami słuchał utworów Beethovena, Wagnera i Bacha.

Otoczony był przy tym relikdami minionych czasów. Firma przewozowa przetransportowała do domu opieki kompletne umeblowanie z willi wydawnictwa; pracownicy wnieśli biedermeierowskie meble, a antyczny sekretarzyk, przy którym Wolfgang Grief już nie zasiadał, przysunęli pod okno; ustawili wysokie regały i w obszernej bibliotece według określonego porządku ułożyli setki książek, których nie chciał lub nie mógł już czytać. Na gzymsie atrapy kominka rozstawili oprawione w ramki fotografie, których już nie oglądał.

Wolfgang Grief korzystał zwykle już tylko z łóżka i fotela, tak samo było i dziś. Gdy Jonathan zapukał i wszedł, musiał najpierw ściągnąć uwagę ojca na siebie. Za każdym razem, gdy go tak widział siedzącego, zatopionego całkowicie w muzyce, wahał się przez chwilę, czy w ogóle powinien mu przeszkadzać. Wyglądał tak pogodnie, taki odprężony, niemalże oderwany od świata. Ani śladu mężczyzny, którego dawniej ten czy ów pracownik wydawnictwa po cichu nazywał despotą lub szalonym patriarchą.

Nie, mężczyzna siedzący w fotelu z zamkniętymi oczami był po prostu nieszkodliwym dziadkiem, który drżącymi palcami rozwijał dla swego (nieistniejącego) wnuka karmelowy cukierek z szeleszczącego złotego papierka. Jego gęste siwe włosy odcinały się od ciemnej czerwieni obicia, na sobie miał pulower z golfem i wełniany blezer w kratkę, a do tego beżowe sztruksowe spodnie; stopy tkwiły w ciemnoszarych filcowych kapciach.

Wolfgang Grief mierzył dawniej prawie metr dziewięćdziesiąt, ale z czasem znacznie się zmniejszył, a ponadto gdy siedział, nie

było widać, że jest wyższy od większości mężczyzn w jego wieku. Wciąż jeszcze był tak szczupły jak w młodości, ściśle biorąc, obecnie, w wieku siedemdziesięciu trzech lat, sprawiał wrażenie nieco wychudzonego.

Jonathan poczuł, że ogarnia go smutek. W jakim stanie będzie on sam, gdy przekroczy siedemdziesiątkę? Czy także dotknięty demencją wyląduje w rezydencji dla seniorów tak jak ojciec, którego oprócz wciąż oddanej dawnemu szefowi Renaty Krug odwiedza jedynie syn?

Nie, prawda była jeszcze bardziej deprymująca, gdyż nie zanosilo się na to, żeby Jonathana czekały kiedyś odwiedziny syna. Albo córki. Albo choćby tylko Renate Krug. Istnienie pudlicy Daphne Herthy Fahrenkrog nagle stało się dla niego bardziej zrozumiałe.

– Cześć, tato – odezwał się cicho i ostrożnie dotknął ramienia Wolfganga Griefa, żeby przerwać swoje smętne, nieprowadzące do niczego rozmyślenia.

Ojciec otworzył oczy. Były jasne, stalowoniebieskie jak u Jonathana, w niczym nie zdradzały choćby śladu umysłowego zamętu.

Przez ułamek sekundy Jonathan poczuł się, jak gdyby się przeniósł się z powrotem w czasy dzieciństwa. Jak bardzo bał się wtedy bezlitosnego spojrzenia ojca, czuł, że jego surowy wzrok dociera aż do najgłębszego zakamarka jego duszy.

– Kim pan jest? – spytał zdziwiony Wolfgang Grief, zdejmując słuchawki. Trzymał je teraz w pokrytych starczymi plamami rękach. Wydobywały się z nich przytłumione dźwięki *Arii na strunie G* Bacha. Przywołany dopiero co obraz surowego ojca z nieprzejednaną twarzą rozpadł się momentalnie, pękł jak bańka mydlana.

– To ja, Jonathan – odpowiedział, przysunął sobie krzesło i usiadł. – Twój syn.

– Przecież wiem! – zachnął się ojciec, jakby sam go przed

chwilą o to nie spytał.

– No to dobrze.

– A po co przyszedłeś?

– Odwiedzić cię.

– Czy przyniósł mi pan już obiad? – Ojciec zmarszczył czoło. – Mam nadzieję, że nie będzie to znów taka breja jak wczoraj! Może ją pan sobie sam zjeść, drugi raz za nic w świecie nie wezmę tego do ust!

– Nie, tato. – Jonathan potrząsnął głową. – Nie przynoszę ci obiadu. Zresztą jest już dawno po obiedzie. Jestem twoim synem i chciałem cię tylko odwiedzić.

– Jest pan nowym lekarzem? – Teraz Wolfgang Grief obrzucił go nieufnym spojrzeniem.

Jonathan ponownie potrząsnął przecząco głową.

– Nie, jestem twoim synem, Jonathanem.

– Moim synem?

– Tak.

– Ja nie mam syna.

– Ależ masz, tato, masz.

Ojciec odwrócił głowę w bok i patrzył przez okno na Łabę. Przez dłuższą chwilę siedział, milcząc, oddając się myślom i przygryzając dolną wargę. Potem znów odwrócił się do Jonathana.

– Jest pan nowym lekarzem?

– Nie – powtórzył Jonathan. – Jestem twoim synem.

– Moim synem? – Głos zdradzał myślowy zamęt. Po paru sekundach ojciec się uśmiechnął. – Tak, naturalnie, mój syn! – Położył rękę na dłoni Jonathana i pogłaskał ją.

– Właśnie – przytaknął Jonathan z ulgą i odwzajemnił pieśczętę, choć czuł się przy tym dziwnie. – I chciałem cię odwiedzić. Dziś jest drugi stycznia, początek nowego roku. Chciałem zatem wiedzieć, czy dobrze się dla ciebie zaczął.

W tym momencie mimika twarzy ojca wyrażała zaskoczenie,

które sekundę później przerodziło się w przerażenie.

– Co?! – wykrzyknął z takim oburzeniem, że Jonathan drgnął przestraszony. – Nowy rok? – Usiłował wstać z fotela.

– Nie wstawaj – powiedział Jonathan i przytrzymał go za ramiona.

– Ale ja muszę iść! – wykrzyknął ojciec i z zadziwiającą siłą przeciwstawił się synowi.

– Ale dokąd się wybierasz? – Jonathan z trudem przytrzymał starszego pana w fotelu.

– Oczywiście do wydawnictwa! Wszyscy już tam na mnie czekają! – Ponownie spróbował wstać.

– Nie, tato – powiedział Jonathan, obejmując nadal jego ramiona. – Wszystko jest dobrze, nie martw się.

– Bzdury! – ofuknął go Wolfgang Grief. – Nie ma mnie tam, gdzie powinienem być, więc jak niby wszystko ma być dobrze?

– Byłem wcześniej w wydawnictwie – wyjaśniał Jonathan możliwie spokojnie. – Renate Krug i Markus Bode panują nad wszystkim.

– Ach, Renate. – Rozdrażnienie Wolfganga Griefa rozproszyło się tak szybko, jak się pojawiło, i zastąpił je łagodny uśmiech.

Jonathan kiwnął głową.

– Tak, to ona.

– Musisz mi koniecznie przypomnieć, żebym kupił dla niej kwiaty – rzekł ojciec i mrugnął do syna. – Renate Krug zawsze z okazji nowego roku dostaje ode mnie bukiet kwiatów, od lat. Białe goździki, szczególnie je lubi.

– Wiem – odparł Jonathan. Z przerażeniem przypomniał sobie, że dziś kompletnie zapomniał o tej tradycji, którą przejął od ojca. Zanotował w myślach, że musi to jak najszybciej nadrobić. – Ja się o to zatroszczę.

– Dobrze, dobrze.

– Sam widzisz, wszystko jest w jak najlepszym porządku i nie ma powodu do obaw. – Mówiąc to, czuł się jak oszust, pamiętał

bowiem, co wyjawiał mu ledwie kilka godzin wcześniej Markus Bode. Ale co niby powinien zrobić? Było po prostu wykluczone, by porozmawiać o tym z ojcem. Wolfgang Grief nie mógłby już w niczym pomóc wydawnictwu, nawet gdyby akurat nie uważał Jonathana za swego nowego lekarza czy pielęgniarza, który przynosi mu posiłki.

Przy czym – mała złośliwa myśl zaświtała mu w głowie, sprawiając, że niemal zachichotał – z drugiej strony spokojnie mógłby opowiedzieć ojcu o problemach w Griefson & Books, odmalowując nawet sytuację w najciemniejszych barwach. Wiedział bowiem, że starszy pan po trzech sekundach i tak by wszystko zapomniał. Demencja była nie zawsze tylko nieszczęściem, niekiedy okazywała się także dobrodziejstwem.

Ależ nie, oczywiście Jonathan by tego nie zrobił, w końcu był człowiekiem moralnym.

Przez chwilę siedzieli obok siebie bez słowa. Na pozór harmonijny obraz ojca i syna w Nowy, no, prawie Nowy Rok. Gdyby tylko nie okoliczność, że Jonathan łamał sobie głowę, co mógłby teraz powiedzieć.

Bądź co bądź przebywał tu ledwie niecałe dziesięć minut i uważał, że z jego strony byłoby nie tylko niegrzeczne, ale i nieczułe już się pożegnać. Nie wiedział jednak, czy ojciec w ogóle docenia jego towarzystwo, a może jest mu w gruncie rzeczy całkowicie obojętne, czy siedzi tu sam, czy z kimś. A może nawet wolałby pograć się z powrotem w swej samotności albo muzyce.

Trochę jak u pacjenta w śpiączce, u którego też nie wiadomo, czy w ogóle zauważa, że przy jego łóżku siedzą krewni lub przyjaciele. No dobrze, to porównanie nieco kulało, Wolfgang Grief był przecież jeszcze przytomny. Niemniej już od dłuższego czasu nie przebywał w tej rzeczywistości. I całkiem niedawno Jonathan przyłapał się na tym, że o swoim ojcu mówi już w czasie przeszłym.

„Niech pan podczas odwiedzin po prostu coś ojcu opowiada” – poradziła mu raz lekarka zajmująca się ojcem, doktor Marion Knesebeck; ku jego manifestowanemu od czasu do czasu oburzeniu opiekowała się nim kobieta! „Coś zajmującego albo zabawnego, coś z pana codziennego życia. Przez te całkiem zwyczajne rzeczy, które pan robi, pozwala pan ojcu uczestniczyć w swoim życiu, to w jego stanie jest dla niego szczególnie ważne”.

Tak, łatwo powiedzieć, ale przy najlepszych chęciach nie miał pomysłu, o czym mógłby opowiadać ojcu. W jego życiu działało się po prostu zbyt mało, toczyło się spokojnie i wytrwale do przodu, bez szczególnych wzlotów i upadków. Nie żeby Jonathan uskarżał się z tego powodu, przeciwnie. Tak właśnie lubił – ale jego codzienne życie po prostu nie dostarczało materiału do zabawnych anegdot.

Szukał dalej stosownych tematów na niezobowiązującą rodzinną pogawędkę. Zatem to, co wyjawiał mu Markus Bode, odpadało. Fakt, że Tina przysłała mu życzenia noworoczne, również. Wolfgang Grief nie był nigdy wielkim fanem synowej – z wzajemnością. Więc i to odpadało.

– Ach, muszę ci to opowiedzieć! – wykrzyknął w końcu Jonathan i aż się uderzył obiema rękami po udach, poczuł bowiem niesamowitą ulgę, że przypomniało mu się coś, co mógłby opowiedzieć ojcu. – Wczoraj rano przydarzyło mi się coś dziwnego.

– Tak? – Ojciec spojrzał na niego wyczekująco, rzeczywiście wyglądał, jakby na moment wyrwał się z letargu. Jak gdyby w ciemnym pokoju ktoś zapalił światło; jego wzrok wyrażał całkiem normalną ciekawość.

Jonathan kiwnął głową, wciąż jeszcze zachwycony, że tak nieoczekiwanie mógł zaserwować ojcu nader tajemniczą opowieść. I że była szansa na parę minut odprężającej rozmowy ze starszym panem.

– No więc – kontynuował – jak zawsze robiłem rundkę wokół jeziora, a gdy skończyłem i wróciłem do swojego roweru, na kierownicy wisiała czyjaś torba. – Przerwał, nie wiedząc, czy ojciec jest jeszcze odpowiednim odbiorcą takich dramatycznych finezji.

– A co było w środku? – zapytał Wolfgang Grief, wierząc się nieznacznie na fotelu. Jak dziecko, które w pierwszym rzędzie teatrzyku kukielkowego czeka na pojawienie się lalek.

– Terminarz. – Zdetonował bombę Jonathan.

– Kalendarz? – Ojciec popatrzył rozczarowany, najwyraźniej oczekiwał czegoś innego. Pliku pieniędzy albo może złotego runa. Lub tykającej podejrzanie paczki. Ale Jonathan jeszcze nie skończył.

– Tak – mówił niezrażony dalej. – I to wypełniony, taki kołonoatnik. Z terminami na cały następny rok!

– Hm. – Nie wyglądało na to, by ta wiadomość wbiła Wolfganga Griefa jakoś specjalnie w fotel. – Stary terminarz?

– Nie – poprawił go Jonathan – właśnie że nie. Żaden tam stary z zeszłego roku, tylko na nowy rok!

– No i?

– Ależ tato, to przecież jest śmieszne! – wykrzyknął Jonathan. – Bo oto ktoś zaplanował już z detalami cały nowy rok, wpisał to wszystko do kalendarza i powiesił go potem na moim rowerze!

– Prawdopodobnie ktoś tylko zgubił tę torbę, a jakiś spacerowicz ją znalazł i pomyślał, że spadła z twojego roweru – wyraził przypuszczenie Wolfgang Grief.

– Możliwe – przytaknął Jonathan. – Ale wtedy mamy intrygujące pytanie, kto zgubił torbę z kalendarzem.

Ojciec wzruszył ramionami, przybierając przy tym przesadnie znudzoną minę. – To przecież w ogóle nie twoja sprawa. Oddaj kalendarz do biura rzeczy znalezionych i koniec. Masz z pewnością coś lepszego do roboty, niż zastanawiać się nad takimi głupotami. – Jego wzrok był teraz całkowicie przytomny.

Całkowicie przytomny – i wyrażający dezaprobatę.

– Tkwiła w nim jeszcze koperta z pięciuset euro – zaprotestował Jonathan. – Z tyłu w okładce.

– Tego to już naprawdę nie potrzebujesz.

– Nie to mam na myśli! – Walczył z kielkującym w nim rozczarowaniem, z bezsilnym poczuciem, że został potraktowany po prostu lekceważąco, jak mały głupi chłopczyk. Mówił sobie, że przecież chodziło tylko o to, by w ogóle zamienić z ojcem parę powiązanych ze sobą zdań, wszystko jedno o czym i jak.

Tak jednak to nie działało, uczucie zawodu pozostało. Kontynuował więc próbę przekonania Wolfganga Griefa o niezwykłości zdarzenia w parku.

– Ale przecież torba z kalendarzem nie leżała po prostu gdzieś na drodze, tylko wisiała na mojej kierownicy. Jakby ktoś ją tam umyślnie powiesił.

– Jak już mówiłem, to był prawdopodobnie jakiś spacerowicz.

– Ale może jednak nie. – Tak łatwo Jonathan nie zamierzał się poddać. – A po drugie... – Zawahał się przez moment, niepewny, czy słusznie było opowiedzieć ojcu, dlaczego ten kalendarz tak go zafascynował. Ale ostatecznie był to właśnie ten ważny szczegół.

– A po drugie, te ręczne wpisy wyglądają prawie tak, jakby napisała je mama. – Słowo „prawie” skreślił w myślach, ale wypowiedziane na głos lepiej brzmiało.

Teraz Wolfgang Grief już nic nie powiedział. Spoglądał na syna z uniesionymi brwiami, twarz zastygła mu w grymasie zaskoczenia, jakby przeżył szok. W następnej chwili odwrócił głowę do okna, znów patrzył w milczeniu na zewnątrz; ledwie dostrzegalnie przygryzał dolną wargę.

– Tato?

Żadnej reakcji.

– Słuchasz mnie jeszcze? – Pogładził ręką ramię ojca.

Nic.

Nie rozmawiali o matce Jonathana. Nigdy, od dziesięcioleci. Gdy opuściła męża, Wolfgang Grief zawziętym milczeniem aż nadto wyraźnie dał do zrozumienia, że temat jest dla niego zamknięty. A po kartce wysłanej przez Jonathana i braku odpowiedzi jej imię nie padło ani razu.

– To przecież więcej niż dziwne – mówił Jonathan bezradnie dalej. – To znaczy, wiem oczywiście, że to tylko przypadek, że ktoś ma dokładnie ten sam charakter pisma co mama, ale że akurat na moim rowerze...

– Sofia. – Wzdrygnął się, gdy ojciec wypowiedział cicho to zakazane imię. Wciąż jeszcze z nieruchomą twarzą wpatrywał się w krajobraz za oknem.

– No właśnie – przytaknął Jonathan niepewnie. – W pierwszej chwili to mnie dosyć zirykowało.

– Sofia – powtórzył Wolfgang Grief. Zamknął oczy, westchnął głęboko i zaczął trochę szybciej przygryzać wargę.

– No tak, a teraz zastanawiałem się, czy powinienem spróbować się dowiedzieć, do kogo należy kalendarz.

Milczenie.

– Pomysł z biurem rzeczy znalezionych... Nie wiem, jakoś nie wydaje mi się to właściwe. Po prostu tam zginie. Albo właściciel wcale nie wpadnie na pomysł, żeby tam się dowiadywać – podzielił się z ojcem swymi wątpliwościami.

Żadnej reakcji.

– Ja w każdym razie bym się ucieszył, gdybym zgubił coś takiego, a ktoś zadałby sobie trud, żeby mi to oddać.

Cisza.

– I dlatego myślę, że powinienem spróbować odszukać właściciela. – Jonathan zauważył, że mówi coraz szybciej; bezradny monolog, którego nikt nie słucha. – Wczoraj napisałem już nawet do „Hamburger Nachrichten”, czy nie mogliby opublikować zgłoszenia, ale ci ignoranci bez ogródek odmówili i odpowiedzieli mi, że mogę przecież zamieścić płatne ogłoszenie,

wyobrażasz to sobie? – Roześmiał się z wysiłkiem. – Myślę tu o ich hasła „Od hamburczyków dla hamburczyków”, a gdy potem obywatel faktycznie ma jakąś sprawę, to go spławiają. Może napiszę do nich jeszcze raz, ale tym razem bezpośrednio do redaktora naczelnego...

– Była tu – przerwał mu ojciec.

– Tato, możesz mnie wysłuchać?! – Nie miał ochoty wdawać się w nagłą zmianę tematu, czym Wolfgang Grief często go zaskakiwał od czasu, gdy zachorował. – Naturalnie, mógłbym rzeczywiście zamieścić ogłoszenie.

– Ona – tu – była! – Wolfgang Grief wydobywał z siebie słowa tak energicznie, że Jonathan poczuł dreszcz na całym ciele.

– Kto?

– Sofia. – Wolfgang Grief odwrócił się z powrotem do syna i uśmiechał do niego, jego niebieskie oczy promieniały. – Sofia tu była.

– Co? – Jonathan zaniemówił, gorąco-lodowaty dreszcz przeniknął go na wskroś. Sądził, że się przesłyszał. – Mama tu była?

Ojciec kiwnął głową.

– Masz na myśli: tu? W Sonnenhofie? To znaczy ostatnio?

– Tak. – Znowu kiwnął. – Nawet bardzo często przychodzi mnie odwiedzić.

– Ehm. – Jonathan chciał coś powiedzieć, ale krtań miał jak zasznurowaną.

– Dużo rozmawiamy, gdy przychodzi – opowiadał dalej Wolfgang Grief. – O dawnych czasach.

– Przykro mi, tato – wyjąkał Jonathan nieco spokojniej. – Ale to nie może być prawda.

– Wszystko mi wybaczyła, wiesz – mówił dalej, jakby jego syn w ogóle nic nie powiedział.

– Co ci wybaczyła?

– Minęło już tyle lat, a teraz oboje jesteśmy starzy, to wszystko

się już nie liczy.

– O czym ty mówisz? Co mama ci wybaczyła? – W głowie miał goniwę bezładnych myśli. Nie dość, że ojciec najwyraźniej fantazjował, to jeszcze Jonathan nie miał najmniejszego pojęcia, o czym on mówi. Jego matka wtedy z dnia na dzień porzuciła rodzinę, jeśli więc w ogóle ktoś musiał kogoś za coś przeproszać, to chyba raczej odwrotnie. Ale zamiast odpowiedzi otrzymał jedynie kolejny uśmiech nie z tego świata. – Tato – indagował – możesz mi łaskawie powiedzieć, o czym ty mówisz? Mama odeszła już wiele lat temu. Całe wieki nie mieliśmy od niej wiadomości, mówisz nonsensy.

Uśmiech Wolfganga Griefa ustąpił miejsca pytającej minie.

– Pan jest nowym lekarzem? – Potem jego wzrok powędrował do okna i tam już pozostał.

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
30 października, poniedziałek, godzina 16.53

Mam małą papugę – PAPUGĘ!
Cały dzień się drze – SIĘ DRZE!

*

Muzyka, która ogłuszająco ryczała z odtwarzacza CD, urwała się. Simon wyciągnął obie ręce do góry i zastygł w tej pozycji, a dziewięcioro chichoczących i piszczących dzieci go naśladowało.

Hannah ucieszona obserwowała tę scenę. Jej ukochany całkiem dobrze odgrywał rolę klauna, nawet jeśli kolorowy kostium trochę na nim wisiał, a szminka na jego mokrej od potu twarzy zaczynała już spływać.

Nic dziwnego, od dwudziestu minut szalał jak derwisz po pokoju zabaw, taniec „stop” zdawał się sprawiać mu tyle samo radości co rozbrykanym brzdącom. Hannah miała zatem rację, przypuszczając, że Simon poczuje się od razu lepiej, jeśli się tylko przełamie.

Sama zabawa była dość nieskomplikowana. Dopóki grała muzyka, dzieci musiały po prostu tańczyć tak, jak robił to Simon; gdy tylko milkła, wszystkie miały się zatrzymać w połowie

ruchu. Kto się poruszył albo przewrócił, odchodził na bok. Co zresztą nie było przykre, bo ci, co wylecieli, mogli robić z Lisą w kąciку kuchennym popcorn, a potem za pomocą igły i nitki majstrować z niego łańcuchy.

Ważnym aspektem w opiece nad małymi dziećmi, którego nauczyła się Hannah podczas swoich studiów, była zasada: nie może być prawdziwych przegranych, inaczej nieuniknione są łzy i wybuchy złości. Dlatego usunięci z grupy tancerze z zachwytem pędzili do kuchni, do Lisy, niekiedy jakiś malec nawet specjalnie upadał, żeby w ten sposób dostać się na „Stację popcorn”.

Pod sufitem wisiało już sporo długich na kilka metrów białych węży, które byłyby jeszcze dłuższe, gdyby połowa popcornu nie zniknęła w okrągłych dziecięcych brzuskach.

Hannah energicznie wcisnęła ponownie guzik „play”, w pomieszczeniu znowu rozbrzmiała piosenka o papudze, a Simon wykonywał do niej przedziwne ruchy, jak królowa aerobiku Sydne Rome w swoich najlepszych czasach.

– Przepraszam, że się wtrącam – szepnęła Lisa do przyjaciółki, gdy zawieszała na ścianie tuż nad nią kolejny łańcuch. – Ale czy nie uważasz, że Simon powinien zrobić sobie przerwę?

– Ale właśnie tak fajnie się rozkręcił – odparła Hannah – a dzieciaki mają szaloną frajdę.

– À propos szalony – powiedziała Lisa, patrząc na Simona z troską – uważam, że wygląda, jakby miał zaraz paść. Popatrz tylko na jego twarz, jest już kompletnie zlane potem. I założę się, że pod szminką jest czerwony jak burak. Sorry, że tak mówię, ale tak właśnie myślę.

– W ten sposób wypoci przynajmniej resztki swojego przeziębienia – odparła Hannah.

– To ma być zemsta za wczoraj? – spytała Lisa.

– Co to znaczy zemsta? – Hannah uśmiechnęła się niewinnie. – Simon wystawił nas wczoraj do wiatru, a teraz chce to naprawić. To przecież sprawiedliwe, a my wszyscy na tym korzystamy.

Poza tym to był jego własny pomysł, żeby odgrywać wodzireja.

– Prawdopodobnie, bo wciąż jeszcze ma nieczyste sumienie. Ja w każdym razie bym miała.

– Może je więc od razu wytańczyć – odpowiedziała Hannah z uśmiechem. – Po prostu wyrzucić z siebie wszystko, wszystkie nagromadzone negatywne emocje.

Lisa rzuciła jej spojrzenie trudne do zinterpretowania, wzruszyła ramionami i ruszyła z powrotem do kącika kuchennego. Mruczała przy tym coś, czego Hannah dobrze nie rozumiała, co jednak było podejrzenie bliskie słowom „koszmarna przyjaciółka”.

Energicznym ruchem nacisnęła znów „stop” w odtwarzaczu. I Simon, i dzieci stanęli, ciężko dysząc. Tylko jeden chłopczyk imieniem Finn klapnął na pupę i popełznął spiesznie w kierunku kuchenki. Lisa miała rację, musiała przyznać Hannah, przyglądając się uważniej Simonowi. Rzeczywiście wyglądał na dosyć wyczerpanego, po kolejnej rundzie postanowiła zakończyć zabawę.

Po raz ostatni puściła muzykę, piosenka za kilka minut się skończy, a Simon będzie wybawiony. Poza tym i tak zbliżała się piąta, jeszcze pół godziny będą robić łańcuchy z popcornu i je wieszać, a w końcu zaczną porządkowanie i sprzątanie, podczas gdy kolejno będą się pojawiać rodzice, by zabrać swoje pociechy.

W sumie Hannah mogła już teraz zaksięgować ten dzień jako pełny sukces. Ich mali klienci bawili się świetnie i uczestniczyli we wszystkich grach pełni energii i entuzjazmu. Nie było żadnych płaczów ani klótni, ani żądań „Ja chcę do mamy!”, a co najważniejsze, nie doszło do żadnego wypadku.

Dzięki Simonowi zamiast szesnaściorgiem mogli się zająć dwadzieściorgiem czworgiem dzieci, tak że nie musiały nikomu odmówić. Hannah zwłaszcza w tej początkowej fazie wydawało się niesłychanie ważne, żeby nie trzeba było odsyłać żadnego zawiedzionego dziecka.

Pomijając już wpływy, gdyż przy czterech godzinach na dziecko przy stawce sześć euro za godzinę dawało to... dwadzieścia cztery razy dwadzieścia cztery... a więc... i potem jeszcze przez dwa... no dobrze, przez trzy... oczywiście przed opodatkowaniem... to daje...

– Och! – Hannah uniosła wzrok znad swoich palców, za których pomocą próbowała właśnie wyliczyć końcową kwotę. Patrzyła na przerażone dziecięce buzie, skierowane wszystkie w jedną stronę. Poszła za ich wzrokiem. I zdążyła jeszcze dojrzeć, jak Simon – z prawą ręką przyciśniętą do klatki piersiowej – właśnie osuwa się na ziemię.

Przez jedną pełną grozy sekundę wpatrywała się tylko w leżące bez życia ciało klauna na środku pomieszczenia, twarzą do podłogi. A potem usłyszała przeraźliwy krzyk. Krzyk, który wydobywał się z niej samej.

– Siiiiimon!

Jonathan

1 stycznia, godzina 16.04

Pół godziny później, po tym, jak na próżno usiłował jeszcze raz nakłonić ojca do mówienia, Jonathan siedział za kierownicą swego auta. Wzburzony i jednocześnie sfrustrowany. Nie był nawet w stanie pozbierać się na tyle, by uruchomić silnik, tak sparaliżowany się czuł, tak bezradny. W głowie miał zamęt.

Chociaż zdawał sobie oczywiście sprawę, że Wolfgang Grief wskutek demencji już dawno osunął się w jakiś równoległy kosmos, to jednak zadręczał się twierdzeniem ojca, że regularnie odwiedza go Sofia. W końcu chodziło o jego matkę!

Przed opuszczeniem Sonnenhofu Jonathan rozmawiał jeszcze z doktor Knesebeck, a także dwoma pielęgniarzami, na wpół z nadzieją, na wpół z obawą, że potwierdzą opowieść ojca – ale jak było do przewidzenia, zapewnili go, że do tej pory nie zawarli jeszcze znajomości z niejaką Sofią Grief ani też z Sofią Monticello, jak brzmiało nazwisko panięńskie matki.

I oczywiście jakiś pojawiający się często gość z pewnością nie uszedłby ich uwadze, w końcu Sonnenhof to nie hala dworcowa, gdzie ludzie mogą wchodzić i wychodzić, jak im się podoba, lecz pierwszy adres w okolicy. To ostatnie pani doktor Knesebeck powtórzyła nawet dwa razy, co w uszach Jonathana zabrzmiało jak uzasadnienie niebagatelnej sumy, na jaką miesiąc w miesiąc wystawiali rachunek.

A jednak. Cień wątpliwości, maleńki skrawek niepewności pozostał.

Do tego jeszcze à propos „pierwszych adresów”: ta rezydencja dla seniorów to nie był żaden Fort Knox, Jonathan nieraz snuł się tu po wyludnionych korytarzach, akurat w porze obiadowej także Sonnenhof upodabniał się do opustoszałego budynku biurowego. A ojciec opowiadał tak przytomnie, w tak oczywisty sposób o Sofii i jej wizytach, że zdrowemu człowiekowi z trudem przyszłoby sobie wyobrazić, iż to wszystko mogło być tylko wytworem jego chorego umysłu.

No i był przecież jeszcze ten kalendarz. Terminarz, który leżał w domu na biurku Jonathana i którego istnienie teraz, po rozmowie z ojcem, wydawało mu się tym bardziej zagadkowe.

Czy mogło tak być? Czy to naprawdę było możliwe?

Nie, Jonathan wciąż jeszcze wzdragał się przed tą myślą. Nawet gdyby jego matka postanowiła, żeby po blisko trzydziestu latach bez żadnego wcześniejszego znaku życia znów się pojawić na scenie, to przecież istniały o wiele mniej skomplikowane sposoby nawiązywania kontaktu. Mogłaby na przykład zadzwonić. Napisać list. Albo po prostu wpaść.

No cóż, odezwał się w nim tymczasem dobrze mu znany wewnętrzny głos, założywszy, że ojciec mówił prawdę, to przynajmniej do Wolfganga Griefa faktycznie po prostu wpadła.

Jakkolwiek brzmiało to bezsensownie, Jonathan musiał się zająć tą sprawą, inaczej nie da mu ona spokoju.

Energicznie nacisnął guzik z małą zieloną słuchawką telefoniczną w komputerze pokładowym swego samochodu i wydał głosem polecenie połączenia z Renate Krug. Jeśli ktokolwiek mógł z całą pewnością wiedzieć, czy ojciec przyjmował odwiedziny byłej żony, to tylko jego długoletnia asystentka.

– Halo, panie Grief – zgłosiła się Renate Krug, która natychmiast rozpoznała numer komórki szefa.

- Tak, halo, pani Krug!
- Czym mogę służyć?
- Proszę mi... – Zakasłał. – Byłem akurat u ojca...
- Czy wszystko u niego w porządku? – Usłyszał jej przestraszony głos w słuchawce.
- Co? Ach tak, nie, nie, to znaczy oczywiście tak, wszystko jest w najlepszym porządku. Ale miałbym jedno, no cóż, trochę dziwne pytanie.
- Dziwne pytanie? – powtórzyła. – Proszę pytać!
- No więc, prawdopodobnie zabrzmiałoby trochę dziwnie, ale czy nie wie pani przypadkiem, czy ojca w ostatnim czasie odwiedzała moja matka?
- Renate Krug milczała.
- Jest tam pani?
- Tak – odpowiedziała. – Ale obawiam się, że chyba nie zrozumiałam pana za dobrze. Pyta pan o pańską matkę?
- Tak, właśnie – potwierdził Jonathan. – Sofia Grief. Albo Monticello, to też możliwe.
- Skąd to panu przyszło do głowy?
- Tata opowiadał, że była u niego.
- Znowu chwila milczenia. A potem:
- Ach, Jonathanie. – Nigdy nie zwracała się do niego po imieniu, w każdym razie od kiedy skończył osiemnaście lat, pod tym względem Renate to była absolutnie stara szkoła. Teraz jednak jej głos brzmiał tak, jakby rozmawiała z małym podopiecznym. – Wie pan przecież, jak się mają sprawy z pana ojcem.
- Oczywiście, że wiem – zapewnił spieszenie i w tej samej chwili wydał się sam sobie bezdennie głupi, że w ogóle zapytał o to Renate Krug. – Chciałem się tylko upewnić, gdyż tata... No więc, on sprawiał przy tym wrażenie tak przytomnego, z zupełnie jasnym umysłem.
- Tak, to jest tragiczne w tej chorobie. – Usłyszał, jak przełknęła

ślinę. – Dla chorego to, czego doświadcza, jest absolutnie prawdziwe, uważa to za rzeczywistość.

– Czyli nic pani nie wiadomo o tym, by moja matka była w Hamburgu?

– Nie, Jonathanie, z całą pewnością jej tu nie ma.

– Czy pani... – już i tak zrobił z siebie idiotę, nic gorszego nie może się stać – w ogóle w poprzednich latach jeszcze coś o niej słyszała lub ją widziała?

– Nie – odparła Renate Krug. – Tyle co pan albo pana ojciec.

– A wie pani, gdzie ona teraz mieszka?

– O ile wiem, niedaleko Florencji. We Włoszech.

– Tak, też to wiem. Myślałem tylko, że może ma pani aktualny adres.

– Jeśli się przeprowadziła, to niestety nie. A spróbował pan napisać pod stary?

– Nie – przyznał. – Do tej pory nie było po temu powodu.

– A teraz jest jakiś?

– Właściwie nie. To tylko... No cóż, po tym jak ojciec powiedział, że odwiedzała go parę razy w Sonnenhofie, to...

– No więc, jeśli to pana tak absorbuje – przerwała mu Renate Krug – mogę pana na sto procent zapewnić, że nie jest to możliwe. – Zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się przez moment, czy rzeczywiście może to wykluczyć. – Bo i skąd Sofia miałaby wiedzieć, gdzie w ogóle znajduje się pana ojciec? Do mnie się w każdym razie nie zgłaszała i nie pytała o to. A może do pana?

– Nie – odrzekł Jonathan. – Oczywiście że nie. – Już od wielu lat, dodał w myśli.

– No widzi pan – powiedziała Renate Krug. – Jest więc nie tylko nieprawdopodobne, ale i niemożliwe, aby pana matka zjawiała się w domu opieki.

– Hm, no tak, dziękuję!

– Nie ma za co. – Zawahała się. – Czy jest jeszcze coś, co

mogłabym dla pana zrobić?

– Nie. – Zamierzał się pożegnać, gdy coś mu jeszcze przyszło do głowy. – To znaczy, owszem!

– Tak?

– Mój ojciec mówił, że moja matka coś mu wybaczyła. Wie pani może, co mógł mieć na myśli?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Nie wie pani o jakiejś kłótni czy czymś takim? O czymś, co mogło się wydarzyć wtedy między nią i ojcem?

– Nie, Jonathanie, nie było niczego takiego. Ona nie była tu, na północy, szczęśliwa i chciała wrócić do swojej ojczyzny, to wszystko. – Przerwała na chwilę. – I z pewnością wyobrażała sobie życie inaczej, niż u boku mężczyzny, który cały czas pracował tyle co pana ojciec. Jako Włoszka miała inną skalę wartości. Sądzę, że to miał na myśli pana ojciec, gdy mówił, że ona mu wybaczyła. Po prostu to, że czuła się przez niego zaniebawiana.

– Czy moja matka opowiadała to pani wtedy?

Renate Krug się roześmiała.

– Tego akurat nie – wyjaśniła. – Nie byłyśmy zaprzyjaźnione. Ona była tylko żoną mojego szefa. Ale pana ojciec mi to powiedział, i nie było powodu, bym wątpiła w prawdziwość jego słów.

Żadnego powodu, by wątpić w prawdziwość jego słów. No tak, przynajmniej to się obecnie zmieniło.

– Taak, zatem przypuszczalnie wszystko to odgrywało się tylko w jego głowie – stwierdził Jonathan.

– Tak się obawiam.

– Niemniej jest to bardzo zastanawiające – rzekł Jonathan. – Nigdy o niej nie mówił przez te wszystkie lata. A dziś nagle twierdzi, że nawet ją często widuje? To przecież dziwne!

– Niech się pan tym tak bardzo nie przejmuje – odparła Renate Krug. – Ludzie z demencją żyją bardziej w przeszłości niż

w terażniejszości, to jest całkowicie normalne. Nagle to, co wydarzyło się wiele lat temu, wydaje się im bliższe niż to, co się dzieje teraz.

– Wiem. – Zastanawiał się przez moment, czy powinien opowiedzieć asystentce ojca także o tajemniczym kalendarzu, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Ich relacje nie były aż tak bliskie, nawet jeśli znał ją od dzieciństwa. – W każdym razie bardzo pani dziękuję za informacje.

– Nie ma za co.

– Wobec tego na razie. I, ach, jeszcze jedno, pani Krug.

– Tak?

– Swój noworoczny bukiet naturalnie pani otrzyma, przykro mi, że o nim zapomniałem.

Renate Krug zaśmiała się cicho.

– Bez urazy, panie Grief, ale zawsze uważałam te goździki za okropne. Cieszę się, że w tym roku nie szpecą mi biurka.

– Ojej, naprawdę? Dlaczego nigdy pani tego nie powiedziała mojemu ojcu?

Ponownie rozległ się jej śmiech.

– Jeszcze się pan musi nauczyć paru rzeczy o kobietach.

– Co ma pani teraz na myśli?

– Kiedyś sam pan to zrozumie.

Pożegnali się i rozłączyli. Jonathan pozostał, sam w swoim saabie, bębniąc nerwowo palcami o kierownicę. I z osobliwym uczuciem w okolicy żołądka. W jakich właściwie jeszcze innych sprawach jego ojciec się mylił? I czego to niby on, Jonathan, miałby się nauczyć o kobietach?

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
30 października, poniedziałek, godzina 19.23

– Tak, tak, tak i jeszcze raz tak! Miałaś rację. Jestem okropną przyjaciółką. Ściśle biorąc, ostatnią jędzą. Jesteś teraz zadowolona? – Hannah siedziała na krześle w poczekalni pogotowia kliniki uniwersyteckiej Eppendorf jak biedna grzesznica przed pójściem do kościoła, z głową podpartą obiema rękami i łokciami na kolanach.

– Nie bierz tego tak serio! – odpowiedziała Lisa, która siedziała obok niej; razem czekały na pojawienie się dyżurującego lekarza.
– Przepraszam, że w ogóle to powiedziałam, wcale nie to miałam na myśli. Oczywiście nie jesteś okropna. I wcale nie chodzi o to, czy ja jestem zadowolona. Chodzi o Simona.

– Tak, oczywiście. – Hannah westchnęła. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Nie sądzę. – Lisa objęła przyjaciółkę ramieniem i pocieszająco przytuliła. – Prawdopodobnie było to dla niego odrobinę za dużo.

– To takie straszne! – lamentowała Hannah. – Ale nie mogłam przecież wiedzieć, że on nam zaraz padnie!

– Wiedzieć nie – powiedziała Lisa z krzywym uśmiechem. – Ale po jego wyglądzie można się było tego domyślić. Ja w każdym razie byłam trochę przerażona, jak go dziś w południe przywlokł do Bandy Urwisów. Dla mnie wyglądał jak ktoś, kto powinien leżeć w łóżku, a nie tańczyć wśród czeredy

wrzeszczących dzieciaków.

– Mogłaś mi to powiedzieć! – broniła się Hannah urażona.

– Za pozwoleniem, ja ci to mówiłam! – Lisa wciąż jeszcze się uśmiechała. – A jak niby zrozumiałaś moją uwagę: „O rany, ten to wygląda naprawdę kiepsko”?

Hannah wzruszyła ramionami.

– Musiałam chyba nie dosłyszeć.

– I dlatego odpowiedziałas, że jak mu pomalujesz twarz, to nie będzie nic widać?

– Już dobrze! – wycofała się Hannah. – Ale znasz przecież Simona i jego skłonność do przesady.

– Tak – potwierdziła Lisa. – Znam go. Jednak znam też twoją skłonność, żeby widzieć wszystko bardziej różowo, niż jest w rzeczywistości. Tak jak ci to akurat pasuje do twojego obrazu świata. – Szturchnęła Hannah lekko w bok. – Sorry, że to mówię, ale taka właśnie jesteś.

– To chyba lepiej, niż zawsze tylko zakładać najgorsze – broniła się Hannah.

– To zależy.

– Od czego?

– No cóż, jeśli to się kończy tym, że ktoś ląduje na pogotowiu, to moim zdaniem niekoniecznie jest to lepsze.

– Rany! – Hannah wyprostowała się raptownie i skrzyżowała ręce na piersi. – Przecież już powiedziałam, że jestem okropna.

– Tylko nie zaczynaj z tym znowu. Sorry. Zaczekajmy lepiej, zanim skoczmy sobie do oczu.

– Okej.

Przez chwilę siedziały, milcząc, obok siebie. Hannah przyglądała się ukradkiem innym ludziom w poczekalni. Większość z nich wydawała się, tak jak ona i Lisa, tylko osobami towarzyszącymi, ale tu i ówdzie siedział ktoś z opatrunkiem albo kulami. Z tyłu po lewej stronie usiadła w kącie matka z małą dziewczynką na rękach, która wtuliła głowę w jej szyję i cały czas

rozdzierająco szlochala.

Hannah nie mogła pozbyć się myśli, że sytuacja była wprawdzie wyjątkowo nieprzyjemna, ale przynajmniej nie czekają tu z powodu jakiegoś dziecka. Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby od razu pierwszego dnia musiały pojechać do szpitala z którymś z podopiecznych! Nie byłaby to zbyt dobra wizytówka Bandy Urwisów.

Fakt, że musiały wezwać do Simona karetkę pogotowia, która z włączoną syreną zajechała na ich ulicę akurat w momencie, gdy pojawili się pierwsi rodzice, miał w sobie niemal coś komicznego.

Dzieci w każdym razie były szalenie podekscytowane, okrągłymi oczami zaciekawione śledziły, jak ten zabawny klaun został najpierw zbadany przez sanitariusza, a potem z pomocą drugiego kolegi wyniesiony na noszach z przedszkola do karetki. To dopiero było widowisko!

Hannah pojechała z nim, Lisa dotarła pół godziny później, gdy już uspokoiła i pożegnała wszystkich klientów. Sanitariusze w tym czasie zawieźli gdzieś jęczącego Simona i od tej pory siedziały i czekały na informacje.

Hannah usłyszała, jak Lisa parsknęła śmiechem.

– Co jest? – spytała i popatrzyła na przyjaciółkę.

Ta machnęła ręką.

– Ach, nic takiego.

– No już, powiedz!

– Przypomniała mi się akurat scena z karetką pogotowia.

– Mnie też – przyznała Hannah, chichocząc.

– To był niezły show jak na pierwszy dzień!

– Możesz to chyba powiedzieć głośno!

– W każdym razie za jednym zamachem stałyśmy się sławne w całej dzielnicy. Nie każdego dnia się zdarza, żeby nosili po ulicy na wół nieprzytomnego klauna, do tego jeszcze otoczonego tłumem podnieconych ludzi.

- Myślisz, że to zaszkodzi naszemu wizerunkowi?
- Powiedziałabym, że tylko wtedy, jeśli klaun umrze.
- Lisa!

– Przepraszam! – zreflektowała się Lisa. – To był kiepski żart. – Następnie położyła Hannah uspokajająco rękę na ramieniu. – Wszystko jest dobrze. Powiedziałam rodzicom, że twój przyjaciel wypróbował właśnie nową dietę i pewnie dlatego zemdłał.

– Dietę? Simon i bez tego jest niemal wychudzony.

– Nic innego na poczekaniu nie przyszło mi do głowy. Czy też może miałam im powiedzieć, że jego dziewczyna wykorzystała go jako animatora zabaw, mimo że miał gorączkę i dreszcze?

– Bardzo śmieszne.

– No właśnie. W każdym razie nie musisz się martwić, jutro od czternastej znów mamy komplet dzieci.

– Mam nadzieję, że Simon poczuje się do tego czasu lepiej.

– Chyba nie chcesz, żeby przyszedł jutro do pracy? – Lisa patrzyła na Hannah z niedowierzaniem.

– Ależ owszem – odparła Hannah najpoważniej, jak mogła. – Dopóki trzyma się na nogach, musi się udzielać.

– No to życzę mu, żeby za szybko nie stanął na nogi, inaczej go zabijesz! – Roześmiały się obie tak głośno, że inni czekający popatrzyli na nie ze zdumieniem. Ale Hannah się tym nie przejęła, po prostu dobrze było na chwilę się odprężyć.

– Pani Marx? – Młody człowiek po trzydziestce, w białym fartuchu, podszedł do nich niepostrzeżenie i spoglądał na nie z góry przez okulary bez oprawek.

Przy próbie nagłego powstrzymania śmiechu Hannah wyrwał się ostry pisk.

– Ehm, tak? – zaskrzeczała.

– Jestem doktor Robert Fuchs. A pani to... – Przerzucił cienki plik dokumentów, które do tej pory trzymał pod pachą, i spojrzał na nie szybko. – Żona pana Klamma?

Hannah skinęła głową, na co przyjaciółka rzuciła jej z ukosa

zdziwione spojrzenie. Przy rejestracji bez zastanowienia podała się za żonę Simona. Martwiła się, że mogą jej do niego nie dopuścić. Znało się takie rzeczy z seriali *Ostry dyżur* i *Chirurdzy*. Biedna przyjaciółka musiała tam zawsze siedzieć na korytarzu bez jakiegokolwiek prawa do informacji, podczas gdy jej najdroższy poddawany był ryzykownej operacji mózgu. No dobrze, obawa, że to samo może się przydarzyć Hannah w klinice Eppendorf, była może nieco przesadzona, ale lepiej nie ryzykować.

– Może pani teraz do niego pójść. Proszę za mną.

Hannah zerwała się z krzesła.

– Oczywiście!

Lisa również się podniosła i jeszcze zanim lekarz zdążył coś powiedzieć, Hannah wyjaśniła:

– Ona jest siostrą pana Klamma.

– Niezły pomysł – szepnęła jej Lisa, gdy biegły za doktorem Fuchsem.

– Że jesteś siostrą Simona? – odszepnęła.

– Nie. Że postanowiłaś zachować nazwisko panieńskie. Przykro mi, ale Hannah Klamm niestety nie brzmi zbyt dobrze[2].

Hannah stłumiła chichot i dała Lisie ukradkiem kuksańca w bok.

Ostatnie, co chciałyby zaprezentować doktorowi Fuchsowi, to histeryczny atak śmiechu zatroskanej żony.

Szły za lekarzem przez niekończące się białe korytarze, mijając po drodze czekających ludzi i pacjentów. Szpital wyglądał na przepełniony, nawet na korytarzach stały łóżka ze śpiącymi bądź patrzącymi smutno przed siebie ludźmi.

W Hannah wzbierało uczucie niepokoju, nie spodziewała się takiego zakończenia popołudnia. A pomijając fakt, że pewnie nikt nie przebywał chętnie w szpitalu, przypomniało jej się nagle, jak niecałe cztery lata wcześniej byli z Simonem niemal codziennie w klinice uniwersyteckiej Eppendorf.

Wtedy umierała jego matka Hilde po wielomiesięcznej bezskutecznej walce z rakiem. Operacja, chemia, naświetlania – nic nie pomagało, pokonał ją złośliwy nowotwór płuc. Jej agonia ciągnęła się tygodniami, a ona, jęcząc, nieraz mówiła, że już dłużej nie wytrzyma i chce, by ją od tego wybawić.

Hannah i Simon znali się dopiero od sześciu miesięcy; zaraz po ich pikniku nad Łabą lekarze zakomunikowali jego matce, że nic już dla niej nie mogą zrobić. Mimo że ich związek był wtedy bardzo krótki, Hannah towarzyszyła Simonowi podczas wizyt w szpitalu tak często, jak tylko mogła, próbowała wspierać go w tym ciężkim okresie. Zwłaszcza że w matce tracił drugiego z rodziców, jego ojciec zmarł ponad dziesięć lat wcześniej, również na raka.

Mówi się zawsze, że chłopcy szczególnie cierpią, gdy tracą matkę. W momencie śmierci matki Simon był dorosłym mężczyzną w wieku trzydziestu jeden lat, a mimo to podczas pogrzebu płakał jak dziecko i jeszcze wiele miesięcy po jej śmierci niekiedy wybuchał znienacka takim płaczem, że Hannah była bezradna i nie wiedziała, jak ma go pocieszać.

Nie chciała uciekać się do banalnych sentencji typu: „Czas leczy rany” albo „Wszyscy kiedyś umrzemy” – ale też nic prawdziwie mądrego nie przychodziło jej do głowy. Najczęściej ograniczała się więc do tego, by objąć Simona, głaskać go po głowie i czekać, aż przestanie płakać. Czasami myślała, że może łatwiej byłoby, gdyby Simon miał rodzeństwo, z którym mógłby dzielić żalobę, ale podobnie jak ona był jedyakiem.

Gdy idąc teraz spiesznie z Lisą za doktorem Fuchsem, Hannah wspominała tamte czasy, postanowiła sobie, że w przyszłości nie będzie już taka surowa dla Simona. Bo przecież Simon naprawdę musiał uporać się z kilkoma poważnymi kryzysami i było niesprawiedliwe, że ona, Hannah, miała skłonność do przechodzenia nad tym do porządku lapidarnym „będzie dobrze”.

Łatwo jej było mówić, bądź co bądź oboje jej rodzice żyli i cieszyli się dobrym zdrowiem. Nawet jej dziadkowie ze strony matki – Marianne i Rolf, osiemdziesiąt pięć i osiemdziesiąt siedem lat – sprawiali wrażenie, jakby mieli zamiar chodzić po naszej pięknej planecie jeszcze przez parę dziesiątków lat. Także matka ojca Hannah, Elisabeth, ze swymi dziewięćdziesięcioma latami, to był chodzący wigor i żywotność.

– No to jesteście – przerwał lekarz rozmyślenia Hannah i zatrzymał się przed białymi drzwiami do sali chorych. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Hannah i Lisa postępowały tuż za nim.

² Niem. *klamm* – wilgotny, zdrętwiały – także – splukany; w innym miejscu chodzi o to drugie znaczenie.

Jonathan

2 stycznia, wtorek, godzina 18.56

Nic sobie przy tym nie myślał, absolutnie nic. Jonathan zadzwoniłby po prostu do mieszkania pod podanym adresem, grzecznie się przedstawił i wyłuszczył swoją sprawę. A po kilku minutach temat byłby definitywnie zakończony. Ktokolwiek miał o godzinie dziewiętnastej umówione spotkanie przy Dorotheenstrasse 20 – on czy ona, ucieszy się z odzyskania kalendarza, a Jonathan się przekona, że terminarz oczywiście nie należy do jego matki. To było proste. Żadna tam wielka sprawa, nic takiego.

Mimo to teraz, gdy przechadzał się w tę i z powrotem przed białym wielorodzinnym domem z przełomu wieków, aby punkt siódma nacisnąć drugi guzik od dołu, zauważył, że ręce mu zwilgotniały od potu. Nieprzyjemnie. I całkowicie nie na miejscu. Przecież nie było absolutnie żadnego powodu do zdenerwowania.

W każdym razie Jonathan mruzczał to do siebie cały czas jak mantrę, podczas gdy torba z kalendarzem huśtała się na wysokości jego prawego kolana. Tyle że ani jego gruczoły potowe, ani puls nie chciały się dać o tym przekonać. Ostatni raz czuł się tak przed końcowym egzaminem ustnym na studiach filozofii i literatury. A właściwie nawet nie, był świetnie przygotowany i wszystkie egzaminy zdał brawurowo i bez

żadnego wysiłku.

Długa wskazówka jego zegarka przeskoczyła na minutę przed siódmą. Jonathan N. Grief pokonał trzy schodki do numeru 20 i szukał właściwego dzwonka. Tu, drugi od dołu, „Schulz”.

Zanim zdążył zmienić zdanie, nacisnął go, trzy sekundy później rozległ się brzęczyk sygnalizujący otwieranie drzwi. Żadnego „Halo?” czy „Kto tam?” – najwyraźniej rzeczywiście oczekiwano kogoś o godzinie dziewiętnastej. Albo też mieszkaniec lub mieszkanka spod numeru 20 miała spore zaufanie do ludzi. Jonathan mógłby się przecież okazać nie wiadomo kim. Właśnie o tej porze roku często na przykład dzwonili faceci od wywożenia śmieci, prosząc o niewielki datek, czemu w zasadzie trudno było coś zarzucić. Jeśli przez cały rok wykonywali rzetelnie swoją pracę – dlaczego nie?

Jonathanowi przypomniał się jego mejl do zakładu oczyszczania miasta. Do tej pory nie otrzymał odpowiedzi i zastanawiał się, czy będzie miał jakiś efekt. W każdym razie pojemniki przed jego drzwiami do tej pory nie zostały opróżnione. Ale nie chciał być nazbyt niecierpliwy. I w żadnym razie nie powinien rozpraszać się teraz myśleniem o makulaturze!

Wolnym, miarowym krokiem wspiął się na drugie piętro, gdzie spodziewał się zastać pana bądź panią Schulz. Nie spieszył się. W końcu nie chciał przybyć tam ani zadyszany, ani jeszcze bardziej spocony, niż i tak już był.

Klatka schodowa była przestronna, jasna i przyjemna, ściany zdobiły jeszcze oryginalne secesyjne kafelki z barwnymi ornamentami, zwieńczone u góry ozdobną listwą. Zadbany dom, trzeba to przyznać. Jego matce w każdym razie na pewno by się podobał, miała ona – o ile pamiętał – typowy dla Włochów dobry gust.

Do tego jeszcze stara kamienica stała w samym centrum hamburskiej dzielnicy Winterhude, z licznymi kawiarniami

i sklepami. W ich rodzinnej posiadłości za miastem, nad Łabą, Sofia czuła się zawsze nieco oddalona od wszystkiego i znudzona. Często tęsknie wspominała pulsujące życiem ulice Florencji, a dokładniej rynek w miejscowości Fiesole, z której pochodziła.

Jonathan przypominał sobie jeszcze niejasno, jak ojciec przy takich narzekaniach zawsze wskazywał na katastrofalną sytuację z miejscami parkingowymi w mieście, także on sam krążył tu dzisiaj swoim saabem niemal przez kwadrans, zanim znalazł wystarczająco duże miejsce do zaparkowania. A i to tylko dzięki sztuce parkowania równoległego, gdyż bezpośrednio przed nim stał golf, którego kierowca najwyraźniej uznał za całkowicie w porządku ustawienie samochodu w odległości co najmniej pięćdziesięciu centymetrów od drzewa.

Kiedy już Jonathanowi, dzięki skomplikowanym manewrom, udało się w końcu wpasować w lukę za golfem, napisał do nieokrzesana od parkowania uwagę na kartce z notatnika, który zawsze miał przy sobie, i wsunął mu ją za wycieraczkę.

Szanowny uczestniku ruchu,

zaparkował Pan bardzo egoistycznie, Pański samochód blokuje miejsce dla dwóch! Z trudem tylko udało mi się ustawić za Panem; gdyby podjechał Pan kawałeczek do przodu, to ułatwiłby Pan życie swoim współobywatelom.

Pozdrawiam

Jonathan N. Grief

Jak gdyby to było nie dość irytujące, przy płaceniu za parkowanie zaskoczyły go wręcz paskarskie ceny. Cztery euro za godzinę! Jakby nie wynajmował zatoczki na parkowanie, ale chciał ją od razu kupić! Kolejny temat dla „Hamburger Nachrichten”, może w następnym mejlu zwróci uwagę redakcji na nowoczesne metody rabunku przez miasto. W duchu już

formułował tekst.

Szanowna Redakcjo,
jako jeżdżący samochodem obywatel naszego pięknego hanzeatyckiego miasta zwracam się dziś do Państwa z prośbą, by w swej gazecie zajęli się Państwo tematem „rozboju przy opłatach za parkowanie”...

No dobrze, nie chciał się dalej denerwować. Może powinien się teraz skoncentrować całkowicie na sprawie kalendarza, po to się tu w końcu znalazł.

Gdy dotarł do podestu drugiego piętra, oczekiwała go już tam dama, która uśmiechając się, stała w drzwiach do mieszkania. Jonathanowi przyszła na myśl piosenkarka Cher, ta kobieta była bowiem tak samo piękna – ale na szczęście bez oznak operacji plastycznych jak tamta. Ocenił ją na pięćdziesiąt parę lat, przy czym mogłaby być też co najmniej dziesięć lat młodsza. Albo starsza, trudno powiedzieć.

Długie, czarne, błyszczące włosy spadały jej na ramiona, wyraziste rysy twarzy miały w sobie coś autentycznie indiańskiego; ubrana była w wąskie spodnie w kolorze antracytu, współgrające pięknie z jej również ciemnoszarymi oczami. Ogólnie biorąc, była prawdziwym zjawiskiem. Ponadczasowa elegancja, tak zapewne określiliby jej wygląd jakiś pisarz.

Jonathan chrząknął, gdy zrobił kolejny krok w jej kierunku, i wyciągnął do niej rękę.

– Dzień dobry, pani Schulz. Nazywam się...

– Pssst! – przerwała mu kobieta. Położyła palec wskazujący na ustach, wciąż jeszcze się uśmiechając, ale teraz jakby konspiracyjnie. – Żadnych nazwisk! – dodała cicho. Jej głos był mroczny i zachrypnięty. Gdyby Jonathan musiał szukać dla pani

Schulz aktorki podkładającej głos, wybrałby dokładnie ten głos, jaki miała. Co prawda nazwisko Schulz niezbyt do niej pasowało. – Proszę wejść. – Otworzyła drzwi do mieszkania i odsunęła się o krok.

– Yyy, tak – zaczął się jąkać Jonathan. Wytarł buty i wszedł do mieszkania. – No więc, pani Schulz...

– Sarasvati – przerwała mu ponownie.

– Saras-watt?

– Nazywam się Sarasvati.

– Znaczą Sarasvati Schulz?

Roześmiała się głośno, jej śmiech brzmiał radośnie i perliście.

– Coś w tym rodzaju. Sarasvati to moje spirytualne imię. Moje duchowe imię.

– Spirytualne, ach tak. – Jonathan zwalczył w sobie odruch, by z miejsca się pożegnać i wziąć nogi za pas. Jakkolwiek ta kobieta była bardzo piękna, to jeszcze bardziej wydała mu się dziwna.

Natychmiast przypomniał mu się Harry Potter znad rzeki Alster, który także plótł o „duszy”. Czyżby w Hamburgu coś właśnie wpuścili do wody pitnej? No bo co tu się właściwie działo?

Oczywiście Jonathan nie poszedł sobie. Nie pozwoliła mu na to ciekawość. Ciekawość – i uczucie, że właśnie przeżywa coś w rodzaju przygody.

– Sarasvati to indyjskie bóstwo mądrości i wiedzy – wyjaśniła pani Schulz, wprowadzając Jonathana do salonu. Był urządzone bardzo stylowo, mieszaniną jasnych, nowoczesnych mebli i pojedynczych antycznych sprzętów z ciemnego drewna. Rzucił mu się w oczy przede wszystkim stojący zegar z misternymi snycerskimi zdobieniami. Na trzech dużych oknach zamiast zasłon wisiały szale z białej wełny, gruby dywan w połączeniu z marokańską lampą na suficie nadawał wnętrzu egzotyczne ciepło i przytulność.

Pani Schulz alias Sarasvati wskazała mu ręką jedno z tekowych

krzesel przy jadalnym stole, na którym królowała sześcioramienny świecznik. Obok stała kryształowa karafka z wodą i dwie puste szklanki, na środku leżała paczka kart. – Proszę, niech pan siądzie.

– Zaszło nieporozumienie – powiedział Jonathan, nie siadając na wskazanym krześle. – Ja wcale nie chciałem przyjść do pani.

– Nie chciał pan? – Sarasvati uniosła w górę jedną perfekcyjnie wyregulowaną brew.

– To znaczy tak, właściwie. Ale naprawdę to chciałem tylko coś oddać.

– No więc? – Wyciągnęła do niego zapraszającym gestem rękę. – To proszę to oddać.

Jonathan bezwiednie objął torbę obiema rękami i przycisnął ją do siebie. – Nie, to niemożliwe, to nie jest przeznaczone dla pani!

– Nie dla mnie? – Druga brew powędrowała w górę. – Wobec tego nie rozumiem, po co pan tu przyszedł. Wydaje mi się, że coś się panu pomyliło, młody człowieku.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić. – W skrytości ducha zirytował go ten „młody człowiek”, w końcu każdy wie, że w tym określeniu pobrzmiewa coś protekcyjnego. Ale udał, że nie zwrócił na to uwagi, i zamiast tego opowiedział Sarasvati o swoim joggingu nad jeziorem i znalezisku, które doprowadziło go do niej.

– Rozumiem – skomentowała, gdy skończył, i popatrzyła na niego rozbawiona. – W takim wypadku może pan z czystym sumieniem zostawić kalendarz u mnie. Przekażę go mojemu klientowi, jak tylko się pojawi.

– Pani klientowi? – Jonathan N. Grief ponownie przebiegł wzrokiem po pokoju i usiłował nie dać poznać po sobie, jakie myśli kłębią się przy tym w jego głowie.

Daremnie. Sarasvati znów się roześmiała.

– Nie to, co pan teraz pomyślał! – Wskazała na stół. – Wrózę z kart.

– Z kart?

Skinęła głową.

– Więc jest pani wróżką?

– Wolę określenie „udzielająca porad w sprawach życiowych”.

– Aha. – Następne myśli w głowie Jonathana były niekoniecznie bardziej pochlebne niż poprzednie, pojawiały się w nich bowiem takie określenia jak „szarlataneria” i „hokus pokus”.

– Nie ma pan o tym dobrego zdania, co? – Bądź co bądź dama dysponowała jednak pewnymi zdolnościami jasnowidzenia.

– Cóż – odparł Jonathan wymijająco. – Jeszcze nigdy się tym nie zajmowałem.

– Powinien pan, to fascynujące.

– Hm, tak... – Postanowił zignorować jej propozycję. – Wracając do mojej głównej sprawy: Chciałbym tylko mieć pewność, że terminarz trafi z powrotem do właściwych rąk.

– A moich rąk nie uważa pan za właściwe?

– Skąd to przypuszczenie?

Wróżka wzruszyła ramionami.

– Nie chce mi pan zostawić kalendarza, chociaż zapewniłam pana, że oddam go właścicielowi.

– Proszę nie brać mi tego za złe – odpowiedział Jonathan – ale ja przecież pani w ogóle nie znam. – Myślał o pięciuset euro w tylnej kieszonce kalendarza, a w duszy musiał przyznać, że zawód wróżki nie cieszy się w jego oczach najlepszą reputacją. Nawet jeśli to może błędne uprzedzenie – ale tak właśnie jest.

– Pan też niech mi nie weźmie za złe, ale ja także pana nie znam – odparła Sarasvati. – Mimo to stoi pan na środku mojego salonu.

– Sama mnie pani wpuściła!

– Bo myślałam, że jest pan klientem.

– Widzi pani. – Jonathan triumfował, nie mogąc się powstrzymać od nieco złośliwego uśmiechu. – I dlatego w życiu

nigdy nie należy ryzykować!

Potrząsnęła głową.

– No, z pana to rzeczywiście oryginał!

– Jak to?

Machnęła ręką.

– Nieważne. – Ponownie wskazała krzesło. – To może zrobimy tak: pan usiądzie i poczeka, aż tajemniczy właściciel terminarza się zjawi.

– A nie będę przeszkadzał?

– Nie, absolutnie! Następne trzy godziny zarezerwowałam całkowicie na umówione spotkanie, możemy więc posiedzieć razem, zanim pojawi się klient.

– Trzy godziny? – zdziwił się Jonathan, siadając przy stole i kładąc torbę z kalendarzem na krześle obok. – To trwa tak długo?

– Przy pierwszym spotkaniu tak – odparła Sarasvati i zajęła miejsce naprzeciwko niego. – Niekiedy robi się z tego i pięć godzin.

– Pięć? – wykrzyknął Jonathan osłupiały. – Przepraszam bardzo, ale co można omawiać przez pięć godzin?

– Życie – odparła lakonicznie. – I proszę mi wierzyć, niektórzy klienci przychodzą wciąż, bo życie jest tak złożone. Jedno jedyne posiedzenie absolutnie nie wystarcza.

– A ile pani na tym zarabia? – wymknęło mu się niechcący. Jego ciekawość była po prostu zbyt duża.

– A ile pan zarabia w swoim zawodzie? – spytała w odpowiedzi.
– Co pan w ogóle robi?

– Proszę wybaczyć. – Poczul, jak się czerwieni. – Nie pyta się o takie rzeczy. – A po chwili znów go podkusiło. – Z drugiej strony, jeśli ma pani dar jasnowidzenia, to powinna pani przecież wiedzieć, czym się zajmuję.

– Doradztwo w sprawach życiowych.

– Jak zwał, tak zwał. Nie chciałem pani urazić, po prostu byłem

ciekaw, ile zarabia się w pani... – ledwo udało mu się jakoś obejść słowo interes – ...*metier*.

– To zależy – odpowiedziała Sarasvati pogodnie.

– Od czego?

– Od człowieka, który szuka mojej rady.

– Decyduje pani według sympatii?

– Także – potwierdziła. – I według tego, na co klient może sobie pozwolić.

– Stosuje pani taryfę ulgową?

– Tak można by to określić – potwierdziła. – Ponadto decyduje też waga problemu. – Mrugnęła do niego rozbawiona. – W pana przypadku na pewno nie byłoby tanio.

– Pani przecież nic o mnie nie wie! – zaprotestował.

– Wiem już dostatecznie dużo – odparła z uśmiechem. – Wystarczy, że się panu przyjrzałam.

– Tak? – Jonathan skrzyżował ramiona na piersi. Zaskakujące, nie był nawet poważnie urażony. Raczej... zafascynowany. Nawet jeśli to wszystko było kompletnym nonsensem, ta Sarasvati miała w sobie coś, co go intrygowało. – Proszę mi wobec tego jeszcze zdradzić, co pani dokładnie widzi? I jak to działa?

– Nie ma tu czego zdradzać – odpowiedziała. – Po prostu wiem. To dar. Albo się go ma, albo nie.

– A do czego są pani w ogóle potrzebne karty? – Wskazał talie pośrodku stołu.

– To moje narzędzie pracy, tak jak stolarz potrzebuje młotka albo malarz pędzla.

– Młotka i pędzla?

– Pomagają mi w pracy. Mogę dzięki nim poznać, jak potoczą się sprawy.

Jonathan pochylił się ku niej nad stołem.

– Przepraszam, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Ma pan do tego absolutne prawo.

– Mam na myśli, że to są całkiem zwyczajne karty, czyż nie?

– To są karty do tarota, tak.

– A pani je tasuje, rozkłada i pstryk!, już pani wie, co się wydarzy w przyszłości?

Kolejny raz rozległ się jej perlisty śmiech.

– W pewnym sensie tak. Jednak to nie ja tasuję karty, lecz moi klienci. I potem widzę wcale nie przyszłość, lecz możliwości.

– Aha. – Wiadomo! Możliwości! Tak, zawsze możliwych było wiele rzeczy. Mogło się też zdarzyć, że jutro wyjdzie z domu i zostanie przejechany przez ciężarówkę. Wszystko już ponoć się kiedyś zdarzyło.

– Niech pan pozwoli mi wyjaśnić to nieco dokładniej – mówiła dalej Sarasvati. Wzięła karty do ręki i zaczęła je rozkładać przed Jonathanem. – W tarocie chodzi o „zasadę odpowiedniości”. – Z cichym plaśnięciem kładła kartę po karcie na stół. – Wszystkie nasze uczucia, nasze myśli, wszystko, czego pragniemy, czego się boimy lub co przeczuwamy, da się wyrazić jakimś obrazem.

– Okej – rzekł Jonathan. – Na razie wszystko jasne.

– Dobrze.

– Ale wciąż nie rozumiem, jak karty mogą wiedzieć, czego pragnę i czego się boję albo co czuję.

– To nie karty to wiedzą, to pana podświadomość reaguje na symbole obrazów, podobnie jak przy interpretacji snów.

Jonathan potrząsnął sceptycznie głową, to go nie przekonało.

– Ale założywszy, że tasuję karty i wyciągam którąś – to przecież wynik jest czystym przypadkiem i nie ma nic wspólnego z moją wiedzą czy moją podświadomością!

– Nic w życiu nie jest przypadkowe – pouczyła go Sarasvati. – Wszystko jest powiązane ze wszystkim, wewnątrz zawsze odpowiada temu, co na zewnątrz.

Odchylił się na krześle do tyłu.

– Obawiam się, że nie nadążam za panią.

– Mam panu pokazać?

– Co pani ma na myśli?

– No, że spojrzę dla pana w karty.

– Co? – Uniósł ręce w obronnym geście. – O nie, to nie dla mnie! Jestem tu tylko po to, żeby oddać kalendarz, to wszystko.

– Jak pan chce.

– Właśnie. – Rzucił okiem na stojący zegar, pokazywał kwadrans po siódmej. – Chyba to już nie potrwa długo.

– Może chciałby się pan napić wody? – Sięgnęła po karafkę. – Jest ożywiona leczniczymi kamieniami.

Dopiero teraz Jonathan zauważył, że na dnie kryształowej karafki leży kilka zabarwionym na liliowo kamieni.

– Nie, dziękuję. – Kto mógł wiedzieć, co się pławiło w tej cieczy. W najlepszym razie jakieś bakterie.

– To nie. – Nalała sobie wody i upiła dwa duże łyki, zanim, odetchnąwszy, odstawiła szklankę. – Ach, jak to świetnie robi!

– Hm. – Jonathan nie wiedział za dobrze, co powinien teraz powiedzieć. Niezobowiązująca do tej pory sytuacja stała się naraz krępująca i miał nadzieję, że klient nie każe na sobie zbyt długo czekać. Właściwie to impertynencja tak się spóźniać. Przy ustalonej porze spotkania – do tego jeszcze oficjalnego, w końcu dla pani Schulz jest to praca! – Jonathan uważał nawet akademicki kwadrans za absolutnie nie do przyjęcia.

Wróżce w każdym razie zdawało się to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzać, siedziała na krześle całkowicie odprężona, popijała swą leczniczą wodę, spoglądając na Jonathana otwarcie i życzliwie. Żadne się nie odzywało, jedynie tykanie dużego zegara wypełniało pomieszczenie.

Tuż przed wpół do ósmej Jonathan postanowił jednak spróbować wody i podsunął Sarasvati szklankę ze słowami:

– Jednak się trochę napiję.

Z uśmiechem napełniła jego szklankę, spróbował i był zaskoczony, jak orzeźwiająco i dobrze smakowała ta woda. Czy akurat „ożywczo”, tego nie potrafił stwierdzić – ale w żadnym wypadku nie gorzej niż preferowany przez niego evian.

Za kwadrans ósma. Jonathan obracał w palcach pustą szklanę.

– Wygląda na to, że pani klient już nie przyjdzie – stwierdził.

– Nie szkodzi – odparła Sarasvati.

– Ale pani zarezerwowała przecież specjalnie trzy godziny! – Jak ona mogła zachowywać taki spokój i opanowanie? On sam od razu się wściekał, gdy ktoś trwoniał jego czas.

– Zostały wcześniej opłacone.

– Bierze pani opłatę z góry?

– PayPal – wyjaśniła.

– Co to jest?

– System opłat przez internet.

– Aha.

– Bardzo praktyczny. Klient może po prostu ze swojego adresu mejlowego przesłać pieniądze na mój adres.

– Przesłać pieniądze mejlem? Jak mam to sobie wyobrazić, w załączniku są banknoty?

– Nie. – Roześmiała się. – Za pośrednictwem adresu mejlowego administrowane jest konto, to wszystko.

– Ale wtedy poznaje też pani nazwisko klienta – zauważył Jonathan.

– W tym wypadku nie – odrzekła ku rozczarowaniu Jonathana.

– Adres mejlowy, z którego dokonano wpłaty, nie pozwala na zidentyfikowanie nazwiska. Poza tym tę wizytę zamówiono jako prezent przez moją stronę internetową, można tam zobaczyć wszystkie wolne terminy i się zapisać.

– Ma pani też swoją stronę?

– Oczywiście. Muszę przecież iść z duchem czasu.

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnął się. – Wygląda pani na bardzo nowoczesną wróżkę – dodał głosem wyrażającym uznanie.

– Doradczynię w sprawach życiowych.

– To właśnie mam na myśli.

Oboje pogrążyli się ponownie w milczeniu, podczas gdy

wskazówki stojącego zegara pełzły z męczącą powolnością do przodu.

– No cóż – odezwała się Sarasvati, gdy zegar wybił ósmą. – Zdaje się, że ma pan słuszność, przypuszczając, że nikt już się nie zjawi. Nie mogę więc panu pomóc. A skoro nie chce mi pan zostawić kalendarza...

– Czy naprawdę nie ma żadnej możliwości dowiedzenia się, kto zamówił ten termin u pani? – wpadł jej w słowo Jonathan. Słyszał sam, jak desperacko zabrzmiał jego głos, i zmieszał się, że do tego stopnia stracił panowanie nad sobą. Zwłaszcza że w ogóle nie potrafił sobie wytłumaczyć gwałtowności swej reakcji.

Pani Schulz zmrużyła oczy i przyglądała mu się uważnie.

– Dlaczego to jest dla pana takie ważne? – spytała nagle. – Nie ma pan przecież nic wspólnego z właścicielem.

– To prawda, ale ... – Tak, ale co? Że kalendarz mógłby pochodzić od mojej matki? Że cała ta sprawa wygląda tak, jakby była ważna? Że w moim życiu nie zdarza się zbyt wiele, i po raz pierwszy od dawna... – Ach, nie wiem. – Poddał się wreszcie. – Najlepiej będzie, jak oddam terminarz w biurze rzeczy znalezionych i przestanę zawracać sobie tym głowę.

– Naprawdę tak pan sądzi? – Wpatrywała się w niego migdałowymi oczami tak intensywnie, że Jonathanowi zrobiło się gorąco.

– No cóż, jeśli właściciel nie zjawił się tu, a pani też nie wie, kim on czy ona jest... – Przeszyło go nagłe olśnienie, przerwał. – Mogłaby pani przecież wysłać mejl na adres, z którego opłacono wizytę! Mogłaby pani poinformować tę osobę, że znalazłem kalendarz, który można odebrać u mnie. Zostawię pani po prostu mój numer telefonu.

– Mogłabym – zgodziła się pani Schulz. – Ale dlaczego miałabym to zrobić?

– Ehm. – Pytanie sprawiło, że zamilkł na chwilę. – Bo jest pani miłą kobietą?

– Zgadza się, jestem miła. – Przy tych słowach jej twarz wprost promieniała. – A skoro jestem miłą kobietą, to jeszcze raz proponuję, że położę panu karty. Wizyta i tak jest opłacona.

– Nie, nie – ponownie zaprotestował. – To naprawdę nie dla mnie.

Nie ustępowała.

– Jeśli przez sekundę dopuści pan do siebie myśl, że nic w życiu nie zdarza się przypadkiem, a potem zastanowi się pan, dlaczego akurat siedzi tu pan przede mną – czy nie uważa pan za fascynujące, co mogłoby z tego wyniknąć?

– Och. – Wahał się przez moment. – Nie? – To, co miało zabrzmieć jak stwierdzenie, wyszło jak pytanie.

– Nie wierzę panu.

– A ja nie rozumiem, dlaczego się pani upiera, by rzucić okiem na moją przyszłość.

– Na pana możliwości – poprawiła go Sarasvati.

– Wszystko jedno. Nie jestem zainteresowany. – Jakby chciał przydać swym słowom więcej wagi, uderzył dłonią o stół, jednocześnie zbierając się, żeby wstać z krzesła.

Kobieta odchyliła się do tyłu i przez chwilę patrzyła na niego, potrząsając głową.

– Proszę mi powiedzieć – spytała – czego się pan właściwie tak boi?

– Boi? – Roześmiał się i opadł z powrotem na krzesło. – Ja się przecież niczego nie boję!

Hannah

Dwa miesiące wcześniej
30 października, poniedziałek, godzina 19.53

– Hej! – Simon siedział wyprostowany na łóżku przy oknie, uniósł rękę i uśmiechnął się do nich słabo, gdy weszły do sali chorych. Wciąż jeszcze był bardzo blady, od zgięcia w łokciu lewej ręki rurki prowadziły do dwóch przezroczystych plastikowych zbiorniczków, wiszących na stojaku obok łóżka. Na widok wymizerowanej twarzy ukochanego pod Hannah ugięły się kolana. Jej serce skurczyło się boleśnie, poczuła mdłości.

– Skarbie! – zawołała, przysunęła sobie krzesło, usiadła i chwyciła rękę Simona. – Co ty wyprawiasz?

Jego twarz przybrała szelmowski wyraz.

– Pytanie powinno raczej brzmieć, co ty wyprawiasz? Ze mną?

– Jest mi strasznie przykro – powtórzyła Hannah zdanie, które powiedziała już Lisie. – Gdybym wiedziała...

– Już dobrze – przerwał jej. – Przeżyłem. Według doktora Fuchsa chyba zasłabłem, więc w sumie nie ma dramatu.

– Tak – potwierdził doktor. – Jednak nie należy tego bagatelizować – dodał i popatrzył na małe grono z lekarską surowością. – Nadwerężył się pan, a przy niewyleczonej infekcji może to być naprawdę bardzo groźne. – Zrobił pauzę, by jego słowa zdążyły wywrzeć odpowiednie wrażenie na obecnych. Na Hannah w każdym razie wywarły, czuła, że wszyscy widzą, jak kurczy się na swym krześle. Lisa, która wciąż jeszcze stała przy

drzwiach, spoglądała także z poczuciem winy na twarzy, a przecież niczym się nie przyczyniła do stanu Simona.

Jedynie Simon sprawiał dosyć wesołe wrażenie. Czy Hannah się tylko zdawało, czy też naprawdę miał na twarzy wypisane: „A nie mówiłem!”?

– Akurat młodzi i witalni ludzie często nie przypuszczają, jakie szkody może wyrządzić zwykłe przeziębienie – pouczał dalej mentorskim tonem doktor Fuchs. – W najgorszym wypadku wirusy przeziębienia atakują inne organy, co może na przykład skutkować zapaleniem mięśnia sercowego. A to w pewnych okolicznościach może doprowadzić do śmierci. – Po tych słowach cała trójka przerażona wciągnęła powietrze.

– Niech pan nie wywołuje wilka z lasu! – wykrztusiła Hannah tonem pełnym wyrzutu, gdy już ochłonęła.

– Jestem jak najdalszy od tego, by państwa straszyć – odpowiedział lekarz nieco wyniośle. – Nie mówię o wilku, tylko o tym, z czym jako lekarz mam tu każdego dnia do czynienia.

Simon jęknął:

– Ehm, każdego dnia?

– No, tak często to może nie – wycofał się doktor Fuchs i chrząknął. – Ale wciąż jeszcze na tyle często, by zaordynować panu na najbliższe dni absolutny spokój i oszczędzający tryb życia. – Zaczął przerzucać dokumenty i zagłębiał się w ich treść, marszcząc przy tym czoło, jakby właśnie studiował spadek kursu akcji. – Zatem, panie Klamm, ustabilizowaliśmy mniej więcej pańskie krążenie. Gdy infuzje się skończą, siostra odłączy kroplówkę, żeby mógł pan się spokojnie wyspać. A jutro rano pana wypiszemy. – Kartkował nadal swe papiery. – Ma pan bardzo niskie ciśnienie, ale to nic niepokojącego. Jednakże morfologia krwi wykazuje pewne odstępstwa od normy, lekarz rodzinny powinien to u pana jeszcze raz zbadać.

– Odstępstwa? – dopytywał się Simon.

Lekarz złożył papiery i spojrzał wprost na niego.

– Po pierwsze, wartości świadczące o istnieniu stanu zapalnego są podwyższone, dlatego też oprócz roztworu soli fizjologicznej podajemy panu jeszcze antybiotyki. – Wskazał jeden z dwóch plastikowych pojemników na stojaku kroplówki. – Ten środek proszę brać w domu przez następnych sześć dni w formie tabletek, otrzyma je pan przy wypisie ze szpitala.

Simon posłusznie kiwał głową.

– Ponadto mamy do czynienia z łagodną niedokrwistością, moim zdaniem pochodzenia infekcyjnego.

– Niedokrwistością pochodzenia infekcyjnego? – powtórzyła Lisa.

– Skutek przeziębienia, które jednak zaklasyfikowałbym jako infekcję grypową. Zapalenie płuc mogliśmy na szczęście wykluczyć.

– Aha – powiedziała Hannah i poczuła się jeszcze gorzej niż do tej pory. Teraz więc była to już grypa, a ona mimo tego wcisnęła Simona w kostium klauna!

No dobrze, ale bądź co bądź nie było to zapalenie płuc. To przecież dobrze, czyż nie?

– To się przypuszczalnie samo unormuje, w pana wieku nie powinno być problemem – tłumaczył doktor Fuchs. – Niemniej zalecałbym, by za kilka tygodni, kiedy już poczuje się pan lepiej, zaprezentował się pan swojemu lekarzowi rodzinnemu. Powinien jeszcze raz pobrać krew i sprawdzić wszystkie wyniki.

Podczas gdy lekarz dalej mówił o tym, co Simon ma zrobić w najbliższym czasie, a z czego powinien zrezygnować, Hannah złościła się z powodu jego sztucznego, napszonego sposobu wyrażania się. „Zaprezentować się swojemu lekarzowi rodzinnemu”, cóż za pretensjonalność! „Dzień dobry, czy mogę się panu zaprezentować? Nazywam się Simon Klamm”. Brr, taki młody i już taki sztywniak, ten pan doktor!

– ...ale najważniejsze to absolutny spokój w najbliższych dniach – zakończył swój monolog półbóg w bieli.

– W takim razie wolałbym zostać w szpitalu – stwierdził Simon.

– Słucham? – spytał lekarz zdumiony.

– No bo jeśli potrzebuję spokoju, to wolałbym nie wracać do domu – odpowiedział przyjaciel Hannah, szczypiąc ją ukradkiem w rękę. – Tam mianowicie nie mogę odpocząć, gdyż moja osobista poganiaczka niewolników zmusza mnie do maksymalnych wysiłków. U pana na oddziale będę się czuł po prostu bezpieczniej, jakby w areszcie przewencyjnym.

– W areszcie przewencyjnym? – Doktor Fuchs wyglądał w tym momencie, jakby już w ogóle nic nie rozumiał, podczas gdy Lisa skręcała się ze śmiechu, a najwyraźniej zadowolony z siebie Simon z najwyższym trudem powstrzymywał uśmiech.

– Teraz to już naprawdę przestańcie! – zachnęła się Hannah. – Dotarło, nie musicie się tak nade mną pastwić.

– Już dobrze, skarbie – powiedział Simon i znów uścisnął jej rękę, tym razem uspokajająco. – Trzeba trochę pożartować. W końcu sama tak mówisz.

– Zależy czyim kosztem. – Wciąż jeszcze była urażona.

– Cóż, na każdego kiedyś trafi – odezwała się Lisa.

– Zatem tak czy inaczej – odezwał się ponownie lekarz – zostawiam państwa samych. Jutro rano przyjdzie do pana mój kolega, doktor Hausmann, i jeśli wszystko będzie w porządku, co zakładam, będzie pan mógł iść do domu. – Wahał się przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy powinien dodać „jeśli pan chce”. Ostatecznie nie zrobił tego, pożegnał się tylko krótkim skinieniem głowy i zniknął.

– Uff! – wyrwało się Lisie, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi.
– To dopiero był występ!

– Można tak chyba powiedzieć – przytaknęła Hannah. – Czulałam się, jakbym musiała wyznać wszystkie swoje grzechy na sądzie ostatecznym.

– Trochę by to musiało potrwać – wtrącił Simon i teraz już otwarcie parsknął śmiechem. Hannah rzuciła mu złe spojrzenie,

a on uniósł wolną rękę w obronnym geście. – No więc ten doktorek właściwie mi się podobał. Nareszcie ktoś, kto mnie potraktował poważnie!

– Tak jak gdybym ja cię nie traktowała poważnie! – odcięła się oburzona.

– Ach, chodź tu w tej chwili i daj się pocałować, nieznośna babo! – Przyciągnął ją do siebie i zaczął okrywać jej twarz pocałunkami. Pozwalała na to ze śmiechem.

– To ja już lepiej pójdę. Ktoś przecież musi posprzątać w Bandzie Urwisów – odezwała się Lisa.

– Poczekaj! – wymamrotała Hannah spod warg Simona. – Zaraz idę z tobą!

– Daj spokój. – Lisa machnęła ręką. – Tak dużo znowu tego nie ma, lepiej zostań z naszym pacjentem.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna! – Uśmiechnęła się szeroko i już była przy drzwiach.

– Widzimy się jutro? – spytała Hannah.

– Jeśli Simon może z ciebie zrezygnować, to oczywiście.

– Powtarzam – włączył się Simon. – Potrzebuję SPOKOJU!

– Pff! – To była Hannah.

Lisa pożegnała się, zostali sami.

– Och, mój skarbie – powiedziała Hannah i położyła głowę na piersi Simona – to były naprawdę niezłe emocje.

– Moim zdaniem nie takie straszne! Ujdzie. – Objął jej ramiona wolną ręką. – Poza tym jakoś mi się podoba, że tak się o mnie troszczysz. – Zaczął gładzić jej włosy.

– Wiesz – powiedziała Hannah, zamykając oczy i rozkoszując się dotykiem Simona – okropnie się przeraziłam, jak tam wtedy padłeś.

– Poważnie?

– Tak. – Uniosła głowę i popatrzyła na niego. – Naprawdę się o ciebie bałam.

– Bzdura – odpowiedział. – Złego diabli nie wezmą.

– To dobrze. – Głos jej trochę drżał. – Bo musisz wiedzieć, że cię kocham. A kiedy sobie pomyślę, że mogłabym cię stracić...

– Ciii! – Położył palec na jej wargach. Potem się uśmiechnął, pochylił nad nią i pocałował bardzo delikatnie i czule. – Ja też cię kocham. – Jeszcze raz ją pocałował. – I nie musisz się martwić, tak szybko się mnie nie pozbędziesz.

– Mam nadzieję!

– Na pewno!

– Nie?

– Nie, z całą pewnością nie! – Chrząknął. – Przypomniało mi się właśnie, że już dawno chciałem cię o coś spytać.

– Tak? – Serce Hannah na sekundę stanęło – tylko po to, by już w następnej chwili zacząć bić jak oszalałe. Czy teraz padnie to najważniejsze pytanie na świecie, na które w skrytości od tak dawna czekała? Czyżby tu? W szpitalu? Ale w końcu to było absolutnie wszystko jedno, gdzie Simon poprosi ją o rękę. Grunt, że to wreszcie zrobi! Może szok tego popołudnia uświadomił mu, że już najwyższy czas? Że życie jest krótkie i nie należy zwlekać ze sprawami, które są ważne, aż się zrobi za późno.

– No więc, sprawa jest taka... – Przerwał. – Ach, nie, nie wiem w ogóle, jak mam to powiedzieć.

– Po prostu to powiedz – zachęciła go.

Zaczerpnął głęboko powietrza, a potem zaczął od nowa:

– Przez cały czas chciałem cię zapytać...

– No i tak, panie Klamm! – Drzwi sali otworzyły się z impetem i z głośnym hukiem uderzyły o ścianę, a do środka wparowała krzepka pielęgniarka z końskim ogonem, który kołysał się w obie strony w rytm jej energicznych kroków. – No, to teraz uwolnię pana od kroplówki, już się skończyła. – Wprawnie wyciągnęła igłę z ramienia Simona i nalepiła na miejsce wkłucia plaster. Następnie skinęła uprzejmie głową obojgu, po czym wytoczyła się wraz ze stojakiem kroplówki z sali. Hannah patrzyła, jak

zamykają się za nią drzwi. Była jak zły duch, który wykonał swój krótki, ale efektowny występ. Mogłaby zabić madame Koński Ogon! Dlaczego akurat w tym momencie? DLACZEGO TERAZ?

– Mów dalej – poprosiła Simona, gdy zostali znowu sami.

– Nie, lepiej nie – odparł ku jej wielkiemu rozczarowaniu. I ziewnął przeciągle. – Jestem potwornie zmęczony i muszę koniecznie uciąć sobie drzemkę.

– Jesteś pewny? – Starła się nie okazywać rozczarowania, ale czuła już, jak do oczu napływają jej łzy. – Mogę poczekać, gdy ty się prześpisz.

– Kochana jesteś. – Uśmiechnął się do niej, opadając na poduszkę. – Ale jak odleczę, to na pewno nie obudzę się wcześniej niż jutro rano.

– Nie ma problemu – upierała się Hannah. – Po prostu zostanę tu.

– Nie bądź niemądra, ty też potrzebujesz snu.

– Prześpię się tutaj.

– Gdzie? – Zmrużył oczy. – Na tym niewygodnym krześle dla gości?

– Od biedy mogę się położyć na podłodze. – Sama zauważyła, jak niemądrze to zabrzmiało. W końcu nie była to sytuacja, że trzeba czuwać przy umierającym.

– Daj spokój – odrzekł Simon zgodnie z przewidywaniem i ziewnął szeroko. – Będzie mi całkiem dobrze, jak zostanę teraz trochę sam.

– A nie chcesz zapytać... – Wahała się przez chwilę, ale to po prostu nie dawało jej spokoju. O co chciał ją zapytać? O co? Musi to wiedzieć! Właśnie przed chwilą był tak blisko tego, tak blisko!

– Zrobię to innym razem, okej? – Powieki zaczęły mu opadać i Hannah zrozumiała, że musi się poddać.

– W porządku, skarbie. – Dała mu jeszcze delikatnego całusa. – Przyjdę znów jutro rano i zabiorę cię.

Zamiast odpowiedzi usłyszała tylko ciche pochrapywanie.

Jonathan

2 stycznia, wtorek, godzina 20.17

– A więc, to wygląda bardzo dobrze. Ma pan przed sobą długie i szczęśliwe życie!

Jonathan N. Grief patrzył sceptycznie na trzynaście kart, które wyciągnął lewą ręką, a Sarasvati ułożyła potem na stole według jakiegoś tajemniczego systemu. Nazwała go „krzyżem celtyckim”, dla Jonathana równie dobrze mogła to być abrakadabra, i tak nic z tego nie rozumiał.

Postukał prawym palcem wskazującym w górny obrazek. Przedstawiał on szkielet w rycerskiej zbroi siedzący na białym koniu.

– Nie chciałbym z panią polemizować – rzekł – ale ja widzę tu przede wszystkim śmierć... Tak jest nawet napisane na dole! – Gdy dotykał karty, po ciele przebiegł mu dreszcz.

– To prawda – odpowiedziała Sarasvati, a dreszcz się wzmógł. – Ale śmierci nie należy rozumieć dosłownie. Oznacza ona oderwanie się, radykalną zmianę. Transformację.

– No to mnie pani uspokoiła. – Jonathan przełknął głośno ślinę. – Mam na myśli, że kiedy się umiera, to jest to niewątpliwie zmiana. Jednakże taka, na którą chętnie jeszcze trochę poczekam.

– Jak już mówiłam, pańskie karty wróżą długie i spełnione życie.

– Jak pięknie!

– Ale...

– Aha, teraz pojawi się jakiś haczyk!

Pani Schulz surowym spojrzeniem nakazała mu milczenie.

– Ale – zaczęła ponownie i pochyliła się nad rozłożonymi kartami – musi pan też być gotów odważyć się na te zmiany.

– A co to niby za zmiany?

– Szsz! – Zirytowana machnęła ręką, jakby odganiała muchę, potem powoli przenosiła palce z jednego kolorowego obrazka na drugi. – Widzę, że się pan czymś martwi.

– A kto w dzisiejszej sytuacji na świecie się nie martwi?

Podniosła wzrok i cmoknęła.

– Jeśli będzie mi pan po każdym zdaniu przerywał, to na pewno nie zdążymy w tym czasie, który jeszcze pozostał.

– Już jestem cicho.

Ponownie zwróciła się do rozłożonego tarota.

– Tak, widzę to bardzo wyraźnie, kłębi się w panu silny lęk, który pana paraliżuje.

Jonathan dał sobie spokój z powtarzaniem, że naprawdę niczego się nie boi. W każdym razie w tym momencie, w ciągu najbliższej półtorej godziny mogło się to rzecz jasna zmienić.

– Musi się pan uwolnić z odrętwienia i podejść aktywnie do sprawy. – Postukała w obrazek z napisem „Głupiec”, przedstawiający młodzieńca, który balansuje na skalnym występie nad przepaścią. – Karty radzą panu więcej lekkości – wyjaśniła. – Niech pan pozbędzie się ciężarów i trosk, niech się pan nie czepia swego bólu, niech pan odrzuci wszelki balast.

– Ja nie mam żadnych trosk! – wyrwało się jednak Jonathanowi gwałtowniej, niżby chciał. – Poza tym, jeśli wolno mi wyrazić moje spostrzeżenie: młody człowiek wygląda tak, jakby lada chwila miał runąć w przepaść.

Sarasvati wydała z siebie dźwięk zdradzający niezadowolenie i odchyliła się na krześle.

– Przykro mi, ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Najlepiej skończmy, z panem to nie ma sensu. – Obiema rękami chciała zgarnąć rozłożone karty.

– Ach nie! – krzyknął przerażony Jonathan, rzucił się do przodu i przykrył jej dłonie swoimi. Dopiero gdy zauważył jej urażony wzrok, chrząknął zmieszany i zdjął ręce. – Przepraszam – wymamrotał. – Od tej chwili nic już nie powiem, obiecuję!

– Dobrze. – Kołysała głową w obie strony, jakby się zastanawiała, czy rzeczywiście ma spełnić jego prośbę. Po chwili jednak jej palce znów zaczęły się poruszać nad kartami. – Tu leży Rycerz Buław – objaśniła i wskazała kartę przedstawiającą mężczyznę, który podobnie jak Śmierć, miał na sobie zbroję i siedział na koniu. W ręce trzymał kij lub raczej gałąź, gdyż przyjrząwszy się dokładniej, Jonathan dostrzegł na niej zielone pączki. – Wzywa pana do działania, mówi panu, że coś się musi wydarzyć. Kije symbolizują element ognia, oznaczają siłę witalną i ruch. – Kiwnęła głową. – Tak, już pora obrać zupełnie nowy kurs.

Jonathan koniecznie chciał spytać, o jaki kurs na litość boską tu chodzi, ale nie miał odwagi się odezwać.

– Nie musi pan iść tą drogą sam, otrzyma pan na niej wsparcie. – Postukała palcem w obraz kobiety w koronie i żółtej sukni, siedzącej na tronie, także z długą gałęzią w ręce. – Ktoś da panu pierwszy impuls, pokaże właściwy kierunek.

– Kobieta? – odważył się zapytać Jonathan i nie mógł się powstrzymać, by znowu nie pomyśleć od razu o swojej matce.

– Możliwe. W każdym razie ma pan silnego towarzysza. – Wskazała kolejną kartę. – Tu leży Królowa Pucharów. Ten kielich kryje tajemnicę, która łączy się z pana uczuciami i pana duszą.

– Tajemnicę? Jaką tajemnicę?

– Trzeba się tego dowiedzieć. W każdym razie jest to bardzo emocjonalna karta, która wzywa pana, by bardziej pan słuchał swego serca, a mniej rozumu.

– Hm. – Powoli zaczęło go irytować, jak niejasne są wypowiedzi Sarasvati. To w końcu mogło znaczyć wszystko albo nic.

– Niech pan słucha intuicji – poradziła mu. – Jeśli będzie pan uważnie patrzył, to rozpozna pan znaki i będzie je pan też umiał interpretować.

– Aha.

Chyba zauważyła, że Jonathan jest niezadowolony, gdyż dodała:

– To całkiem proste: większość ludzi idzie przez życie z kłapkami na oczach i w ogóle nie zauważa, kiedy los udziela im jednej wskazówki po drugiej. Niech pan otworzy oczy i serce, niech pan będzie gotowy pójść nowymi, nietypowymi drogami, a wtedy znajdzie pan odpowiedzi na wszystkie pytania, które dręczą pana duszę.

– Aha – powtórzył. Wszystko to brzmiało w jego uszach bardziej niż mętnie. – Czy nie mogłaby pani mówić odrobinę konkretniej? Jak do tej pory nie za bardzo jeszcze wiem, co począć z tym, co mi pani opowiada.

Obawiał się, że Sarasvati kolejny raz go zbeszta, ale zamiast tego kiwnęła tylko głową z uśmiechem.

– Proszę bardzo – rzekła, a jej palce powędrowały nad kartami, które leżały obok siebie. – Jeszcze w tym roku wejdzie pan w bardzo bliski i owocny związek.

Nareszcie zrobiło się ciekawie!

– Bardzo bliski związek? – dopytywał się. – Jakiego rodzaju? Służbowy? – Już dawno nosił się z myślą, by awansować Markusa Bodego z dyrektora zarządzającego na wspólnika z udziałami w obrotach. To był zdolny człowiek, a ich ostatnia rozmowa pokazała, jak bardzo czuje się on związany z Griefson & Books; może więc byłoby to właściwe posunięcie, by nagrodzić jego zaangażowanie?

– Taak. – Sarasvati się uśmiechnęła. – Nie mogę tego stwierdzić

ze stuprocentową pewnością, ale kiedy tak patrzę na układ kart, to powiedziałabym, że wkrótce się pan ożeni.

Jonathan nie mógł się powstrzymać, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

– Ożenić się? Chyba musiałbym o tym wiedzieć!

– Nasza podświadomość wie o rzeczach, o których nie mamy pojęcia.

Znowu się roześmiał. W jego własnych uszach ten śmiech zabrzmiał niemal histerycznie.

– Okej, wie pani co? Miała pani rację! Do tego momentu jeszcze się nie bałem, ale kiedy teraz mówi mi pani, że jeszcze w tym roku... No więc, faktycznie zaczynam się bać. Nawet bardzo.

– Nie ma powodu się obawiać.

– Wcale się niczego nie obawiam. Bo pani twierdzenie to całkowity nonsens. Nie mam nawet dziewczyny. – Rzucił jej triumfujące spojrzenie. Tego się chyba nie spodziewała: że jest zdeklarowanym singlem, dalekim o miliony lat od jakiegokolwiek związku.

Jednak pani Schulz okazała spokój, nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Rok dopiero się zaczął – stwierdziła.

– Proszę mi wierzyć. – Wciąż jeszcze nie mógł przestać się śmiać. – Nawet gdybym wyszedł tu zaraz z mieszkania i wpadł na najcudowniejszą kobietę na świecie, to z pewnością bym jej tak na łapu-capu nie poślubił.

– Tak? A dlaczego?

– Bo to by było całkowicie nierozsądne.

– Niekiedy to, co nierozsądne, jest rozsądne.

– To się tak wprawdzie łatwo mówi, ale nie sprawdza się zupełnie w prawdziwym życiu.

– Wygląda na to, że pan się na tym świetnie zna!

– Na czym?

– No, na prawdziwym życiu – naśladowała go. – Oceniam pana na czterdzieści parę lat. I jeśli do tej pory nie znalazł pan żadnej partnerki, to chyba nic już z tego nie będzie.

– No nie, wypraszam sobie! Byłem nawet żonaty!

– Z akcentem na „byłem”. Musiał być powód, dla którego nie mógł pan zatrzymać damy przy sobie.

– Chce mnie pani obrazić?

– Tak.

– Wielkie dzięki!

Przez moment wpatrywali się w siebie. I gdy tak mierzyli się wzrokiem, Jonathan poczuł mrowienie. Niemal dostrzegł elektryzujące iskry między sobą a atrakcyjną panią Schulz. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni coś takiego czuł. Jeśli w ogóle: czasy z Tiną zdawały mu się odległe o tysiące lat.

Ale nie było to nieprzyjemne uczucie, przeciwnie. Naelektryzowany niezwykłym nastrojem, jaki nim owładnął, Jonathan pozwolił sobie na zuchwałą uwagę:

– Pani też zdaje się nie znalazła nikogo, zatem jedziemy na tym samym wózku.

– A skąd pan to niby wie? Teraz to pan jest jasnowidzem?

– Doradcą w sprawach życiowych – poprawił ją Jonathan.

– Trafiona! – Oboje się roześmiali.

– Czy ma pani kogoś? – chciał wiedzieć Jonathan, gdy śmiech ucichł. Sam nie potrafił sobie wytłumaczyć, co się z nim działo, że właśnie zachował się jak niewychowany nastolatek. Ale, musiał przyznać, sprawiało mu to ogromną frajdę.

– Tak – powiedziała po prostu. – Ale tutaj nie chodzi o mnie. Moim zdaniem w pana życiu jest dość sfer, o które powinien się pan zatroszczyć.

Jonathan odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona.

– Jeśli więc mogę podsumować: czeka mnie kilka radykalnych zmian. Zawrę bliską znajomość, może nawet się ożenię. Mam też zwracać uwagę na jakieś znaki i się do nich stosować.

- Tak, można by to tak ująć.
- Pytanie tylko, jak mam rozpoznać te znaki.
- To stosunkowo proste.
- Mianowicie?
- Niech się pan po prostu nauczy mówić „tak”.
- Po prostu „tak”? Nie rozumiem.

Przewróciła oczami.

– Z panem to rzeczywiście trzeba rozpocząć od Adama i Ewy.

- A co to ma teraz wspólnego z Biblią?

Sarasvati wydała z siebie dźwięk świadczący o irytacji.

- Robi to pan naprawdę dobrze.

– Co?

- No, naumyślnie udaje pan głupiego.

– Przepraszam, to nie było moim zamiarem.

– Więc dobrze, wytłumaczę to panu. Niech pan wypróbuje, co się stanie, gdy w najbliższym czasie na wszystko, co pana spotka, powie pan „tak” zamiast „nie”. Może to być na przykład zaproszenie, za które normalnie by pan podziękował.

- A czemu by to miało służyć?

– Gromadzeniu nowych doświadczeń, poszerzaniu horyzontów, by dać szansę losowi czy przypadkowi, czy jak pan to nazwie. A to się może udać tylko wtedy, gdy mówimy „tak”.

– Ma pani na myśli taką sytuację, jak na przykład teraz, gdy kalendarz przywiódł mnie niespodziewanie do pani i dlatego patrzymy w moje karty?

- Eureka! Pojął!

– Takie trudne to znowu nie było – odparował Jonathan trochę urażony.

– Niech pan wyciągnie jeszcze jedną kartę – poprosiła Sarasvati, nie reagując na jego humory. – Proszę się przy tym skoncentrować na czymś, co chce pan wiedzieć.

- Okej. – Przesunął lewą ręką nad rozłożonymi przed sobą

w wachlarz kartami. I zadał sobie pytanie, skąd mógł pochodzić ten terminarz i co ma z nim zrobić. Ku swemu zaskoczeniu poczuł lekkie mrowienie w palcach i położył palec wskazujący na karcie, nad którą unosiła się właśnie jego ręka. – Ta tutaj.

– Dobrze. Niech ją pan odkryje.

Zrobił to. I wspólnie z Sarasvati patrzył na Koło Fortuny.

– Idealnie! – wykrzyknęła wróżka i ucieszona klasnęła w ręce.

– Wyraźniej już nie można!

– Nie?

– Koło Fortuny symbolizuje sens życia. Kręci się nieustannie. – Sprawiała teraz wrażenie podnieconej, była wręcz w euforii. – Proszę mi podać swoją datę urodzenia.

Wymienił.

– Od razu wiedziałam! – zawołała Sarasvati, napisawszy liczby i zsumowawszy je według jakiegoś niezrozumiałego dla Jonathana systemu. – Pana liczba roku to też jest dziesiątka!

– Też?

Stuknęła palcem w cyfrę X na karcie, którą wyciągnął jako ostatnią. – Koło Fortuny w Wielkich Arkanach tarota ma również dziesiątkę. Nadchodzący rok stoi więc nie tylko pod znakiem wielkiej zmiany, ale także szczęścia. Wszystko, czego się pan podejmie w tym roku, uda się panu.

– Potrafi to pani wyliczyć? – spytał Jonathan zdumiony. – To fantastyczne!

– Tak, w istocie. Powiedziałabym, że czeka pana idealny rok! Musi pan tylko zdobyć się na odwagę, żeby się z tym zmierzyć.

– Idealny rok? – Przyglądał się jej nieufnie. Twój idealny rok. Nie wspominał, co jest napisane na pierwszej stronie kalendarza. To nie mógł być przypadek, to wyglądało jak ukartowane! – Proszę powiedzieć, czy jest pani absolutnie pewna, że nie wie pani, kto jest właścicielem kalendarza?

Zamrugnęła poirytowana.

– Nie, naprawdę nie. Dlaczego właśnie teraz znowu pan o pyta?

– Tak tylko. – Jonathan szukał w jej twarzy zdradzających ją znaków, ale niczego nie mógł odkryć. Czyżby jednak jego podejrzenie było błędne? Od wczorajszego ranka dzieją się jakieś kompletnie zwariowane rzeczy, może to tutaj też jest ich częścią?

– Taak – powiedział. – W każdym razie wygląda na to, że na najbliższy rok jestem świetnie przygotowany.

– Ma pan jakieś pytania? Trochę czasu jeszcze nam zostało.

– Miałbym nawet całą masę pytań. Ale dziś wieczorem raczej nie zdołamy znaleźć na nie odpowiedzi.

– Może pan zarezerwować następną wizytę.

Uniósł ręce w obronnym geście.

– O nie, wielkie dzięki! To była bardzo zabawna wyprawa w świat nadprzyrodzony, ale na początek w zupełności mi wystarczy.

Pani Schulz westchnęła.

– Wciąż jeszcze pan nie zrozumiał. To nie ma absolutnie nic wspólnego ze sferą nadprzyrodzoną. Powinien pan to potraktować raczej jako dialog, jako spojrzenie w głąb swojej podświadomości, zwierciadło tego, co naprawdę pana porusza.

– Tak czy inaczej – odrzekł i spojrzał na zegarek – powoli muszę się zbierać. Mój kwitek parkingowy stracił ważność ponad dwie godziny temu, a mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. – To o załatwianiu spraw było wprawdzie kłamstwem, ale nie miał ochoty wyjawiać Sarasvati, że koło dziesiątej leżał już zazwyczaj w łóżku z dobrą książką. Mógł sobie wyobrazić jej komentarz, nie musiał go słyszeć.

– A co pan teraz zrobi z terminarzem?

Machnął ręką.

– Sądzę, że jednak oddam go do biura rzeczy znalezionych. To będzie najrozsądniejsze.

– Najrozsądniejsze może tak.

– Co chce pani powiedzieć?

– Niech pan pomyśli.

Gdy Jonathan wrócił do samochodu, stwierdził, że:

a) golf zniknął, a on

b) z powodu przekroczonego czasu parkowania ma na szybie mandat i

c) za wycieraczką tkwi jeszcze jedna kartka.

Wyciągnął skrawek papieru i przeczytał:

Jonathan N. Grief

Szanowny Panie,

ja także życzę Panu cudownego dnia i życia wypełnionego szczęściem i miłością, w którym takie błahostki, jak nieco za mała luka do parkowania, odgrywają tak nieistotną rolę, że w ogóle nie będzie ich pan zauważał. I z powodu mandatu jest mi naprawdę przykro.

Pozdrawiam serdecznie: nieokrzesa ucześniczka ruchu drogowego

Wzdychając, Jonathan wyciągnął spod wycieraczki zawiadomienie o mandacie. Zmiął je w ręce. I ku swemu własnemu zaskoczeniu roześmiał się przy tym głośno.

Hannah

Piętnaście dni wcześniej
19 grudnia, wtorek, godzina 16.47

– Brr, ale ziąb na dworze, jestem chodzącym soplem. Potrzebne jest nam wszystkim gorące kakao, i to natychmiast! – Policzki Lisy płonęły purpurowo, gdy z siódmką trzęsących się z zimna dzieciaków, potykając się, weszła do lokalu Bandy Urwisów. Dobrą godzinę była z nimi w parku Eppendorf, gdyż maluchy domagały się bitwy na śnieżki, teraz jednak mimo czapek, szalików i nieprzemakalnych kombinezonów wszystkie były przemarznięte, ale za to szczęśliwe.

Na ich widok Hannah musiała się uśmiechnąć; wyszaleć się na śniegu to była dla maluchów po prostu najlepsza zabawa, nic się nie zmieniło od czasów jej własnego dzieciństwa. Dziecko, uzbrojone w wielką śniegową kulę, krzyczące z radości, gdy celnym rzutem trafia w pupę przeciwnika, w ogóle nie zwraca uwagi na minusowe temperatury, nie przeszkadza mu też, że z zimna nie czuje już stóp. Ona sama jako mała dziewczynka też nie posiadała się z zachwyty, gdy tylko w zimie spadł pierwszy śnieg. Jej rodzice zawsze wyciągali wtedy z piwnicy stare drewniane sanki, sadzali ją na nich i ciągnęli do najbliższego parku, gdzie staczała z ojcem regularne śniegowe bitwy.

– Halo? Ziemia do Hannah, wołaliśmy o kakao! – Lisa stała tuż przed nią i patrzyła ubawiona.

– Sorry, myślami byłam gdzie indziej.

– Trudno było tego nie zauważyć – rzekła przyjaciółka. – Miałś zupełnie szklane oczy. – Mrugnęła do niej. – Niech zgadnę. Chodziło o Simona.

– Pudło – stwierdziła Hannah. – O wspomnienia.

– Rozumiem. *Memories, memories.*

– Właśnie. – Pokazała ręką na kącik kuchenny. – Kakao w każdym razie czeka gotowe na kuchence.

– Super! – Lisa rozcierała ręce. – To może jednak mamy jeszcze szansę uniknąć odmrożeń. – Zdjęła zimową kurtkę, powiesiła ją na wieszaku i zabrała się do oswobodzania jednego dziecka po drugim z kombinezonów i botków.

Hannah tymczasem wróciła do sali zabaw, gdzie akurat, w przyjemnej temperaturze dwudziestu dwóch stopni, z ośmiorgiem innych dzieci zajęta była wyklejaniem gwiazd bożonarodzeniowych i aniołów z błyszczącego złotego papieru. Trzecia grupa, pod opieką matki Hannah, Sybilli, udała się w południe na zwiedzanie posterunku policji i też lada moment powinna zjawić się z powrotem na Eppendorfer Weg.

Optymistyczne prognozy Hannah i Lisy spełniły się z nawiązką. Ogromne zainteresowanie nie słabło od pierwszego dnia, przeciwnie, jeszcze wzrosło. Najwidoczniej szeptana propaganda działała znakomicie, a cztery artykuły o Bandzie Urwisów, które Simonowi udało się zamieścić – niestety jako teksty reklamowe, a zatem bez honorarium – nie tylko przyniosły im nieco kwaśny telefon od ich ostatniej szefowej („Mogłyście panie coś powiedzieć!”. „Mówiliśmy, ale pani nie słuchała”), ale także sprowadziły dzieci z odleglejszych dzielnic miasta, jak Blankenese i Sasel. Na razie nie pozostawało im nic innego, jak pocieszać zawiedzionych rodziców i wprowadzić listy oczekujących.

Oprócz ich matek – Sybilli i Barbary – w Bandzie Urwisów były zatrudnione już różne osoby do pomocy, jak studenci pedagogiki czy praktykanci, bowiem nie dość, że musiały otwierać przed

południem, to jeszcze z powodu dużego zainteresowania oferowały co drugi weekend imprezę z noclegiem. Jednym słowem: Banda Urwisów to był pełny sukces, po prostu trafiły w dziesiątkę! W sprawie gwiazdkowej premii w tym roku było znacznie lepiej niż w przedszkolu w minionych latach. Udało im się wypłacić każdemu ze współpracowników niewielki „datek świąteczny” w wysokości pięćdziesięciu euro.

Niekiedy Hannah przyłapywała się na myśli, jaka to szkoda, że nie zrealizowała swego pomysłu dużo wcześniej – ale właściwie nie była specjalnie zła z tego powodu. Gdybanie to już przeszłość, a lepiej późno niż wcale. I nawet rozważała pomysły rozszerzenia działalności, ale na razie nie dzieliła się nimi z Lisą ani z Simonem i zachowywała je dla siebie. Nie chciała uchodzić za osobę cierpiącą na manię wielkości, wołała raczej odczekać, czy jej model działalności gospodarczej sprawdzi się na dłuższą metę.

Poza tym, jakkolwiek sukces cieszył, to fakt, że u Simona kompletnie nic się nie działo, studził znacznie jej entuzjazm. Niestety jej ukochany od czasu omdlenia przed paroma tygodniami ani nie zadał jej wciąż jeszcze pytania zapowiedzianego w szpitalu, ani też nie znalazł nowej pracy i tym samym nie odzyskał dobrego nastroju.

Także w sprawach zdrowotnych nie poczynił znacznych postępów. Najwięcej czasu spędzał w domu na sofie, oglądając seriale, od czasu do czasu bez specjalnej ochoty wysyłał podanie o pracę, a poza tym pograżał się w narzekaniach, że wciąż nie może stanąć porządnie na nogi. Można się było załamać!

Oczywiście Simon, jak większość mężczyzn, był świetny w użalaniu się nad sobą, ale żeby wyciągnąć z tego konsekwencje i zasięgnąć porady medycznej, co zalecał mu wszak wyraźnie doktor Fuchs, to zdaje się nie przychodziło mu do głowy.

Hannah domyślała się, co naprawdę jest jego problemem. Była absolutnie przekonana, że Simon tkwi w swego rodzaju depresji, z której nie potrafi się wyrwać. Fizyczne dolegliwości były

jedynie objawem jego stanu psychicznego – i zarazem doskonałą wymówką, by móc kompletnie nic nie robić.

Poprzedniego wieczoru, po kolejnej nocy, którą spędziła bez Simona, bo on znów wolał się zaszyć w swoim łóżku, miała dość. Nie namyślając się, sama zawiozła go do jego lekarza rodzinnego, żeby jeszcze przed Bożym Narodzeniem gruntownie go przebadał. Wyniki laboratoryjne mieli mu przekazać dziś przed południem, a Hannah czekała już od kilku godzin na telefon z nadzieją, że Simon powie z zakłopotaniem, że lekarz przepisał mu preparaty witaminowe, a poza tym zalecił zdjąć dres i powrócić do życia.

Jednak do tej pory jeszcze się nie odezwał i Hannah powoli, ale nieubłaganie zaczęła się trochę denerwować. Nie chciała jednak do niego dzwonić, już dość go ponaglała, a nie miała najmniejszej ochoty, by stać się dla niego jędzą, która go bezustannie ciśnie.

– Masz teraz trochę czasu? – spytała Lisa, gdy kwadrans po szóstej pożegnały ostatnie dzieci oraz matkę Hannah i paroma wprawnymi ruchami zlikwidowały chaos w dużej sali zabaw. – Pomyślałam, że mogłybyśmy jeszcze raz omówić plan na następny tydzień. Oczywiście, tylko jeśli ci pasuje.

Zdecydowały, że nie zamkną Bandy Urwisów w końcu roku, gdy się okazało, że ich klienci właśnie w tym okresie – zestresowani przedświąteczną i noworoczną krzątaniną – niemalże płakali z wdzięczności, mając perspektywę, że ich dzieci przynajmniej na kilka godzin można będzie oderwać od domowego telewizora. Oczywiście dla Hannah i Lisy oznaczało to, że muszą sobie w tym tygodniu poradzić bez pomocy, gdyż wszyscy wybrali się na świąteczne urlopy. A Simon – cóż, Simon.

– Jasne – odrzekła Hannah. – Nie mam nic do roboty. – Nie udało jej się przy tym stłumić długiego, głębokiego westchnienia.

– O, to wcale nie brzmi dobrze! Co się dzieje?

– Ach, nic. – Hannah machnęła ręką. Tylko po to, by w następnej sekundzie się poprawić. – No tak, martwię się

o Simona.

– Znowu się gorzej czuje?

– Właściwie nie. Ale też nie lepiej.

– A był jeszcze raz u lekarza?

– Wczoraj rano – odpowiedziała Hannah. – Gdy go tam praktycznie sama zawlokłam. A dziś powinny już być wyniki morfologii, ale do tej pory jeszcze nie zadzwonił.

– To pewnie nic nie jest – stwierdziła Lisa. – Sama zawsze mówisz, że brak wiadomości to dobra wiadomość.

– Prawda. A jednak ucieszyłabym się, gdyby Simon zakomunikował mi po prostu ten brak wiadomości. Od paru godzin czekam, aż się odezwie.

– Mężczyźni! – Lisa przewróciła oczami. – Żyją w jakiejś innej strefie czasowej niż my, kobiety, to przecież wiadomo. Na pewno pograżył się gdzieś w nirwanie swego komputera albo telewizora i nawet mu do głowy nie przyjdzie, że jego przyjaciółka gryzie już sobie palce do krwi.

– No cóż. – Hannah wzruszyła bezradnie ramionami. – Przypuszczalnie masz rację. – Chyba jednak wyglądała przy tym dosyć nieszczęśliwie, gdyż na twarzy Lisy pojawił się natychmiast wyraz współczucia.

– Przepraszam, to chyba było niezbyt taktowne. Martwisz się o niego, prawda?

– Ach, też coś! – Hannah machnęła ręką, jakby chciała odegnąć wszelkie nieprzyjemne myśli.

– No tak, rzeczywiście to trochę dziwne, że już od tak dawna kiepsko się czuje.

– Ale przecież przed chwilą sama powiedziałaś, że to z pewnością nic nie jest.

– Tak, jasne, ale...

– Jeśli chcesz znać moje zdanie – Hannah energicznie przerwała przyjaciółce – to przede wszystkim na jego nastroju odbija się brak pracy, to wszystko.

– Związek między brakiem pracy a jedną infekcją po drugiej nie wydaje mi się na pierwszy rzut oka oczywisty – skomentowała Lisa.

– Wszystko jest ze sobą powiązane.

– No właśnie! – Przyjaciółka się roześmiała. – Amen!

Gdy zadzwoniła komórka, Hannah rzuciła się do swojej kurtki wiszącej na wieszaku i wyszarpnęła telefon z kieszeni.

– Ha! – zawołała, rzuciwszy okiem na wyświetlacz. – O wilku mowa! – Potem odebrała, witając Simona zdyszczanym: „Halo, wilku!”.

– Halo. – Głos Simona brzmiał jakoś głucho. I nawet bardzo, bardzo spokojnie. W jednej sekundzie pod Hannah ugięły się nogi, jak wcześniej, w szpitalu, musiała się oprzeć jedną ręką o ścianę. – To ja – dodał Simon i ani słowem nie odniósł się do jej osobliwego powitania. Co z kolei Hannah uznała za dziwne.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Tylko te trzy głoski, a już całe ciało Hannah ogarnęła ulga, przez chwilę zrobiło jej się gorąco i zimno, a potem znów gorąco.

– Dzięki Bogu – wyszeptała i na moment zamknęła oczy. Dopiero teraz dotarło do niej, że Lisa miała rację: poważnie się martwiła, ale nie chciała się do tego przyznać. – Co powiedział lekarz? – spytała i otworzyła oczy. Lisa uśmiechała się do niej, kiwając głową i pokazując do góry oba kciuki.

– Nic ważnego – odparł Simon. – Ważne jest tylko, żebyś poszła teraz szybko do domu, włożyła najładniejszą sukienkę i czekała, aż cię zabiorę, dokładnie za godzinę.

– Co? Nic nie rozumiem!

– Jedziesz do domu – powtórzył Simon powoli, a ona mogła usłyszeć, jak się przy tym uśmiecha. – Wkładasz ładną sukienkę, jesteś gotowa o wpół do ósmej.

– A po co?

– Tego ci nie zdradzę, to niespodzianka.

– Niech zgadnę. – Głos jej się załamał. – Znalazłeś nową pracę!
– Tu muszę cię rozczarować – odpowiedział. – Nadal jestem bezrobotny.

– Mógłbyś skończyć z tą tajemniczością i powiedzieć mi, co się dzieje?

– Dowiesz się tego w stosownym czasie.

– Simon! – zaprotestowała. – Chcę natychmiast wiedzieć, co zamierzasz.

– Nie. – Więcej nie powiedział. Zamiast tego po prostu się rozłączył. Hannah wpatrywała się zirytowana w swoją komórkę.

– Co jest? – spytała Lisa.

– Nie mam pojęcia. Mam włożyć sukienkę i czekać, aż on po mnie przyjedzie.

– To znaczy, że znalazł pracę?

Hannah potrząsnęła głową.

– To raczej nie.

– Hm. – Przez chwilę jej przyjaciółka wyglądała na bezradną. Potem jednak jej twarz się rozjaśniła, a ona klasnęła zachwycona w ręce. – Ojej, to brzmi jeszcze lepiej! – wykrzyknęła.

– Co brzmi lepiej? Nic nie kumam!

– Hannah! – Lisa obdarzyła ją surowym spojrzeniem. – To przecież jasne jak słońce! Normalnie nie jesteś taka tępa.

– O co ci chodzi?

– Dziś jest ten najważniejszy wieczór – on chce ci się oświadczyć!

– Naprawdę tak myślisz?

– Ależ oczywiście! A co może być innego, jeśli nie chodzi o nową pracę? Simon chyba nie prosiłby cię, żebyś się wystroiła na wieczór z nim tylko po to, żeby ci pokazać aktualne wyniki cholesterolu.

– Raczej nie – zgodziła się Hannah.

– Ha, ale super! Nareszcie coś się dzieje! – Potem uśmiechnęła się trochę krzywo. – Nawet jeśli nie w moim życiu.

– Wybacz mi, proszę! – pocieszała ją Hannah. – Jestem pewna, że i u ciebie całkiem niedługo na wycieraczce będzie stał właściwy facet. Ale do tego czasu – zatoczyła ręką koło – rozejrzyj się tylko! Uważam, że w ostatnich tygodniach wydarzyło się tu całe mnóstwo rzeczy.

– Tak, to prawda – przyznała Lisa, nie do końca przekonana. – Ale ja mówię o czymś naprawdę ważnym. Czymś znaczącym. Czymś... – Szukała właściwych słów. – Czymś decydującym o życiu!

Jonathan

3 stycznia, środa, godzina 9.11

Wróciwszy po rundce joggingu, Jonathan jak zwykle wziął prysznic, ubrał się i zjadł śniadanie, po czym zasiadł przy sekretarzyku i spoglądał na stos papierów, które poprzedniego dnia zostawił mu Markus Bode. Wiedział, że jako wydawca ma obowiązek zająć się tym – tyle że nie miał na to najmniejszej ochoty.

Gdyby to od niego zależało, Markus Bode mógłby po prostu rządzić w wydawnictwie zupełnie samodzielnie, robiąc to, co uważa za sensowne – miał do niego absolutne zaufanie. Tylko że powiedzenie mu tego wprost byłoby równoznaczne z ogłoszeniem bankructwa wydawcy, zatem nie pozostało mu nic innego, jak zagłębić się przynajmniej wstępnie w te materiały.

Jonathan przebiegł wzrokiem długie kolumny cyfr, w których tu i ówdzie Bode podkreślił coś markerem, jednak, co za wstyd, nie potrafił tak z miejsca zrozumieć, co jego dyrektor chciał przez to powiedzieć. Było mu głupio, że musi przyznać się do tego w tak dosadny sposób, ale czuł się jak w mrocznej Dolinie Niewiedzących[3]. Gdy zakomunikował ojcu o swej decyzji studiowania filozofii i literaturoznawstwa, ten uśmiechnął się życzliwie i powiedział tylko, że kwestii ekonomicznych i tak nauczył się od podstaw w wydawnictwie.

To ostatnie akurat nie doszło do skutku, bo Wolfgang Grief

w którymś momencie zdecydował, że jego syn nadaje się raczej do celów reprezentacyjnych. Jonathan do dziś nie wiedział, co skłoniło ojca do takiej jego oceny – ale w gruncie rzeczy było mu to właściwie obojętne, gdyż wynikający z niej podział ról zawsze bardzo mu odpowiadał. Na zewnątrz Jonathan występował jako wydawca i dbał o to, by autorzy czuli się komfortowo i doceniani. A któż nie lubi chodzić na sympatyczne przyjęcia i rozmawiać przy tym z kompetentnymi osobami o literaturze pięknej? Naprawdę ważne decyzje podejmował natomiast ojciec, nawet jeszcze wtedy, gdy oficjalnie pożegnał się z wydawnictwem, niby szara eminencja za kulisami. W każdym razie tak to praktykowali, zanim stan umysłu Wolfganga Griefa nie pogorszył się na tyle, że Jonathan nie mógł już po prostu polegać na jego zdaniu. To też nie było jeszcze tragedią, gdyż Markus Bode był przecież znakomitym menedżerem, a wydawnictwo miało się dobrze. Dlatego Jonathan mógł sobie pozwolić na to, by wszystko funkcjonowało tak jak zawsze. Do dzisiaj. Teraz dotarło do niego, w jakich się znalazł opałach: czy miał się przyznać swemu dyrektorowi, że ogóle nie ma pojęcia o zarządzaniu przedsiębiorstwem, a już zwłaszcza o księgowości?

Jonathan tępym wzrokiem wpatrywał się jeszcze parę minut w dokumenty, następnie odsunął je na bok i wzdychając, sięgnął po aktualne wydanie „Hamburger Nachrichten”. Wydawnictwem zajmie się później, teraz chciał rozpocząć dzień przyjemną poranną lekturą.

Nieco zirytowany stwierdził, że strona tytułowa ma oddarty kawałek. Będzie musiał porozmawiać z roznosicielem, by ten w przyszłości nieco uważniej wsuwał gazetę do przeznaczonego na nią pojemnika. Po to w końcu Jonathan kazał go zamontować. I czy to naprawdę jest takie trudne zrolować porządnie gazetę i wsunąć ją do obszernej tulei koło drzwi? No, chyba nie.

Z ciekawością przebiegł wzrokiem aktualne wiadomości, od czasu do czasu ostro zatemperowanym ołówkiem podkreślał

błędy ortograficzne bądź gramatyczne, przeskoczył dział sportowy – sport miał dla Jonathana tylko wtedy jakiś sens, gdy się go aktywnie uprawiało, a nie gdy się biernie czytało o osiągnięciach innych – i wreszcie zatrzymał się na dziale felietonu.

Gdy niecałą godzinę później odkładał gazetę na sekretarzyk, rzuciła mu się w oczy notatka na dole pierwszej strony:

We własnej sprawie:

Współpracownik „Hamburger Nachrichten”
zaginiony od Nowego Roku!

Hamburg. W poniedziałek zaginął 35-letni Simon Klamm z Hamburga Hohenfelde. Pan Klamm to wieloletni współpracownik „Hamburger Nachrichten”, dlatego też publikujemy ten apel w trybie bardzo pilnym. Według dotychczasowego śledztwa policji nie można wykluczyć, że Simon Klamm mógł sobie coś zrobić. Należy się liczyć z tym, że istnieje zagrożenie dla jego zdrowia lub życia.

Taak, tu artykuł się urywał, doręczycielowi niech będą dzięki. Brakowało dokładnie tego rogu, gdzie Jonathan domyślał się dokładniejszych informacji, jak też zdjęcia zaginionego. Co za świństwo!

Imię i nazwisko „Simon Klamm” coś mu jednak mówiło, coś mu w głowie bardzo cichutko dzwoniło. Ale dlaczego? Czy go znał? Nie, tego był pewien, jego pamięć działała znakomicie. Prawdopodobnie czytał po prostu kilka jego artykułów, należał on bowiem do zespołu „Hamburger Nachrichten”, które Jonathan abonował od wielu lat.

Zanim zaczął to roztrząsać, podskoczył na dźwięk dzwonka u drzwi. Rzucił okiem na zegarek. Była już dziesiąta, a on, jak to się często zdarzało, zapomniał, że w środę o tej porze

przychodziła Henriette Jansen, by zadbać o porządek w jego kawalerskim gospodarstwie.

Zerwał się z krzesła, zbiegł po schodach do jadalni, z hałasem pozbierał ze stołu talerze, filiżankę i sztucce ze śniadania i umieścił je w zmywarce. Przy drugim dzwonku skoczył do drzwi i otworzył je szeroko z radosnym: „Szczęśliwego nowego roku!”.

– Nawzajem, panie Grief. – Zdecydowanym krokiem weszła nieduża – sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu – korpulentna i przysadzista osóbka, położyła na komódce w holu pęk świeżych amarylisów i zaczęła rozwiązywać chustkę na głowie, aż ukazała się jej szaroniebieska fryzura z drobnymi loczkami. – No, już pan zdążył szybko posprzątać? Drzwi do kuchni jeszcze się kołyszają. – Mrugnęła do niego wesoło, a wokół jej jasnobrązowych oczu utworzył się milion kurzych łapek.

– Oczywiście, że nie! – odparł. – Po to przecież mam panią!

– No właśnie. – Potrząsnęła z rozbawieniem głową, zdjęła zimowe buty i przyniosła sobie parę zdrowotnych kapci, leżących w szafce w holu obok filcowych pantofli dla gości. – Coś specjalnego na dziś?

– Nie, wszystko jak zawsze.

– No to zaczynam.

– Już prawie wychodzę.

Gdy Henriette Jansen zniknęła w kuchni, Jonathan poszedł na górę, by wziąć z gabinetu jakąś dobrą książkę.

Na te pięć godzin, kiedy gospodyni będzie się u niego krzątała, usiądzie sobie gdzieś w kawiarni i poczyta. Od lat tak to robili, Henriette Jansen nie lubiła, gdy ktoś zagląda jej przez ramię podczas pracy.

Nieraz mówiła Jonathanowi, że mógłby jej dać klucz do domu, żeby nie musiał czekać, aż przyjdzie, i wpuszczać jej – ale jakoś nie mógł się zaprzyjaźnić z tym pomysłem. Nie to, żeby podejrzewał swą gospodynię o złe zamiary, absolutnie nie.

W końcu Henriette Jansen pracowała dla niego już wtedy, gdy mieszkał w willi razem z Tiną, i była uczciwa ponad wszelką wątpliwość. To było tylko... po prostu nie czułby się z tym dobrze.

Stanął przed dużym regałem w swoim gabinecie i przesunął wzrokiem po grzbietach niezliczonych książek. Na co miał dziś nastrój? Liryka? Raczej nie. Książka popularnonaukowa? Zdecydowanie nie. Powieść? Nie jest to dobry wybór, jakoś nie mógł się dziś skoncentrować. Jego wzrok skakał z tytułu na tytuł, żaden go nie zachęcał.

Mógłby sobie wydrukować jeden z tekstów do oceny, których kopie redakcja zawsze mu udostępniała. Ale ponieważ od razu musiałby przy tym pomyśleć o niewesołym temacie „wydawnictwo i liczby”, szczególnie nie miał na to ochoty. Wobec tego dziś tylko trochę pospaceruje, zamiast zajmować się literaturą.

Poczuł na skórze ukrop, gdy przypomniał sobie, że papiery Bodego leżą jeszcze rozrzucone na jego sekretarzyku, i nawet jeśli miał pełne zaufanie do Henriette Jansen, to jednak o sytuacji ekonomicznej firmy Griefson & Books najzwyczajniej nie powinna się dowiedzieć.

Podszedł do biurka, zgarnął stos papierów z liczbami i nie zastanawiając się, wsunął je między strony „Hamburger Nachrichten”. Przez chwilę się wahał. Następnie wziął gazetę i włożył ją na sam dół pudła na makulaturę stojącego na podłodze obok biurka. Lepiej nie ryzykować.

Z uczuciem ulgi zbiegł z powrotem na parter, włożył zimową kurtkę i podszedł do drzwi kuchni, by pożegnać się z Henriette Jansen.

- To ja wychodzę – oznajmił.
- Dobrze – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad blatu, który właśnie wycierała.
- Aha, jeszcze jedno: makulatury i śmieci nie musi pani dziś

wynosić. Pojemniki na zewnątrz i tak są przepełnione, nie ma już tam miejsca.

– Widziałam, w porządku.

– Dobrze. No to widzimy się w następną środę!

Już trzymał rękę na kłamce, gdy jego wzrok padł na torbę, która wisiała na wieszaku, a wcześniej była zasłonięta jego kurtką.

Torba z kalendarzem.

Teraz już wiedział, jak spędzi czas, zanim Henriette Jansen upora się ze swoją pracą. Pojedzie do biura rzeczy znalezionych w Altonie i odda tam terminarz.

Bądź co bądź próbował wszystkiego, co mógł, by odszukać właściciela. O całej reszcie niech zdecyduje los. Tak, los. Sarasvati Schulz sama to w końcu powiedziała.

³ Tak w dawnej NRD żartobliwie nazywano regiony, gdzie niemożliwy był odbiór telewizji zachodnioniemieckiej.

Hannah

Piętnaście dni wcześniej
19 grudnia, wtorek, godzina 19.56

„When the moon hits your eye like a big pizza pie, that’s amore...”.

Dean Martin wyśpiewywał na cały regulator swój hymn o miłości, gdy wchodzili do Włocha Da Ricardo przy Mansteinstrasse. Hannah była podekscytowana jak jeszcze nigdy w życiu, czuła się wręcz pijana z radości na myśl o tym, co ją czeka, wirującej w jej brzuchu jak oszalała horda motyli.

Simon, jak zapowiedział, przyjechał po nią do domu punktualnie o wpół do ósmej, poprowadził ją szarmancko pod ramię do swego auta, otworzył z fasonem drzwi po jej stronie i zamknął je, gdy usiadła.

Teraz, w przyćmionym świetle niewielkiej restauracyjki, ze skończoną elegancją pomógł jej zdjąć płaszcz, obdarzył ją pełnym podziwu spojrzeniem i powiedział:

– Wyglądasz prześlicznie!

– Dziękuję bardzo! – Oczywiście zadała sobie wiele trudu przed tą niespodziewaną randką. Rude loki, które w jej oczach przypominały najczęściej rozdartą poduszkę z kanapy, przez pół godziny pracowicie traktowała prostownicą, tak że teraz spadały miękkimi falami na ramiona (przy dużej dozie szczęścia wytrzymają tak co najmniej dziesięć minut).

Do tego w uszach miała złote kolczyki kreole, które Simon

podarował jej kiedyś na Gwiazdkę, i po raz pierwszy od okresu dojrzewania sięgnęła głębiej do kasetki z kosmetykami i spróbowała wizerunku *smoky eyes*. Przeczytała gdzieś, że przy zielonych oczach, takich jak jej, będzie to wyglądało szczególnie zmysłowo i tajemniczo.

Gdy jednak spojrzała w lustro, stwierdziła, że wyszedł jej raczej model przeciwpancerny, zmyła więc wszystko i nałożyła tylko dyskretny makijaż w naturalnych kolorach, dopełniony muśnięciem błyszczycy na ustach. Teraz poczuła się znacznie lepiej, naturalniej.

Jak sobie zażyczył Simon, włożyła na ten wieczór swoją „najładniejszą sukienkę”. Wybór przyszedł jej bez szczególnego trudu, miała bowiem tylko jedną. Na co dzień nie było po prostu żadnych okazji, których nie można by obskoczyć w spodniach, tak więc najpierw musiała dobrą chwilę szukać, zanim w najdalszym kącie szafy znalazła swą małą czarną, a potem, w szufladzie ze skarpetkami na samym dole, parę całych rajstop. Czarne szpilki kupiła kiedyś na pogrzeb matki Simona, miała jednak nadzieję, że on na ich widok nie pomyśli sobie, że Hannah nosi „pogrzebowe buty”. Ale prawdę mówiąc, zakładała, że Simon tego wieczoru będzie miał coś lepszego do roboty niż zastanawiać się nad jej obuwem.

– Ty też wyglądasz super! – stwierdziła Hannah, gdy Simon wrócił z szatni, gdzie powiesił ich płaszcze. I była to prawda: takiego eleganckiego rzadko go widywała, a co dopiero, gdy z racji utraty pracy w sprawach troski o wygląd przejawiał pewną niedbałość.

A teraz miał na sobie ciemnoszary garnitur w jodełkę, który podkreślał jego wzrost i szczupłą figurę. Kołnierzyk białej koszuli był idealnie wyprasowany, do tego bordowy krawat, a spod rękawów marynarki błyskały srebrne spinki do mankietów. Najwyraźniej zdążył jeszcze pojsć do fryzjera, gdyż jego ciemne włosy miały rzeczywiście jakąś formę, którą można by określić

jako fryzurę. Jego szczupła twarz była gładko ogolona i Hannah znów mogła się zachwycić uroczym dołeczkiem na policzku. Nawet okulary Simon zostawił w domu i włożył soczewki kontaktowe, co, jak wiedziała, robił tylko przy szczególnych okazjach, takich jak na przykład wywiad z jakimś prominentem z wyższej półki. Albo może na oświadczyńcy?

– *Buona sera!* – Uśmiechnięty życzliwie kelner podszedł do nich. – Jestem Ricardo. – No, no, sam szef we własnej osobie!

– Dobry wieczór! – przywitali się jednocześnie.

– Pan rezerwował? – zapytał kelner.

– Tak. – Simon skinął głową. – Klamm.

– Proszę za mną – powiedział Ricardo, nawet przez sekundę nie okazując zdziwienia, nie uśmiechając się ani w ogóle nie reagując na nazwisko Simona. To się zdarzało nieczęsto, większość ludzi nie mogła się od tego powstrzymać, gdy Simon się przedstawiał. Hannah w każdym razie potraktowała to jak dobrą wróżbę na cudowny wieczór, gdyż głupie żarciki w rodzaju: „Klamm? To proszę o zapłatę z góry, cha cha!” [4], wywoływały zarówno u Simona, jak i u niej co najwyżej już tylko ziewanie. A może powód był taki, że kelner – sądząc po akcencie – był cudzoziemcem i po prostu nie zrozumiał znaczenia nazwiska. Ale cokolwiek to znaczyło, był to dobry znak!

Kelner poprowadził ich obok sześciu zajętych stolików do tylnej części lokalu, odsunął kotarę, a ich oczom ukazało się puste *separé*.

– Och! – wymknęło się Hannah. Mały stół był nakryty na dwie osoby, wypolerowane kieliszki do wina i do szampana lśniły w blasku świec ustawionych w srebrnym świeczniku. Sztuńce także były srebrne, obrus z białego wykrochmalonego adamaszku, serwetki z materiału miały dokładnie ten sam odcień czerwieni co pojedyncza róża na długiej łydźce, leżąca na jednym z dwóch porcelanowych talerzyków na pieczywo. – Jesteś pewny, że nie chcesz świętować ze mną swojej nowej

pracy? – spytała Hannah i popatrzyła na Simona ucieszona, ale też skonsternowana. – Przyznaj się, że od teraz jesteś naczelnym redaktorem „Spiegła”!

– Niestety nie – odparł Simon z krzywym uśmiechem. – Chodzi o coś innego.

– Jestem zaintrygowana! Bardzo! – Jeśli do tej chwili Hannah żywiła jeszcze resztki wątpliwości, czy Lisa miała rację ze swoim przypuszczeniem, to na widok romantycznej aranżacji rozplynęły się one w uczuciu błogości. Mogło chodzić tylko o oświadczyzny, nic innego nie wchodziło w grę. A jeśli jednak – to Simon miałby naprawdę bardzo szczególne poczucie humoru!

– *Signora?* – Ricardo odsunął nieco krzesło, by Hannah mogła wygodnie usiąść.

– *Signorina* – poprawiła go i uśmiechając się kokieteryjnie, zajęła miejsce. To może było głupie, ale po prostu nie mogła sobie odmówić małego żarciku i mrugnęła porozumiewawczo do Simona. Ten jednak nie sprawiał wrażenia, jakby zrozumiał jej aluzję i był nią rozbawiony.

Przeciwnie, gdy usiadł na krześle, także odsuniętym przez kelnera, wyglądał śmiertelnie poważnie, rysy jego twarzy były napięte, niemalże zacięte. Hannah postanowiła spontanicznie, że na resztę wieczoru zrezygnuje z dowcipkowania, gdyż widać było, że Simon jest niezmiernie zdenerwowany. Co oczywiście było zrozumiałe, w końcu nie każdego dnia człowiek się oświadcza.

– Szampan? – spytał Ricardo i z brzękiem wyciągnął butelkę ze stojącego obok stołu kubelka wypełnionego lodem.

– Dziękuję, chętnie! – oświadczyła Hannah i podsunęła mu swój kieliszek, natychmiast jednak zawstydzona odstawiła go z powrotem, gdy zauważyła zdziwiony wyraz twarzy kelnera. Najwidoczniej czegoś takiego się nie robi, to pewnie było „zachowanie rodem z knajpy”, w eleganckim lokalu źle widziane.

Wprawnym ruchem i z cichym sykiem korka Ricardo

otworzył szampana, napełnił najpierw kieliszek Hannah, następnie Simona, odstawił butelkę, skinął im dyskretnie głową i bez słowa zniknął za kotarą.

Simon uniósł swój kieliszek.

– No to? – Nareszcie się uśmiechnął.

– Za nas! – powiedziała Hannah, trąciła się z nim, uniosła wąski kieliszek i delectowała się bąbelkami w ustach.

„Bells will ring, ting-a-ling-a-ling”, włączył się znów Dean Martin. „Ting-a-ling-a-ling”, powtórzyły echem motyle w brzuchu Hannah.

Przez minutę siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie i tylko na siebie patrzyli. To znaczy Hannah przypuszczała, że ona sama świeci jak tysiącwatowa żarówka, świecznik był w ogóle niepotrzebny. Raczej okulary słoneczne dla nich dwojga.

„Hearts will play, tippy-tippy-tay...”.

– Co też jest okazją do tej pięknej randki? – zapytała w końcu, gdy Simon w żaden sposób nie zamierzał przerywać milczenia. Słowa jeszcze nie zdążyły przebrzmieć, a ona już się złościła na siebie. W żadnym razie nie chciała poruszać tego tematu, postanowiła sobie bowiem solennie, że pozostawi Simonowi rolę gospodarza tego wieczoru i nie będzie go ponaglała. Jego zaproszenie, jego tempo!

Ale jej usta się usamodzielnily, zmyliły jej zwoje mózgowy (na pewno zdradziecko spowodowały krótkie spięcie!) i po prostu samowolnie wypaliły. Zawstydzona spuściła wzrok, nigdy, nigdy nie uda jej się zostać skromną, cierpliwą i dobrze wychowaną dziewczyną. No tak, dziewczyną to była już dość dawno temu, ale także dla siebie jako kobiety Hannah widziała przyszłość czarno.

– Nie tak szybko, mój skarbie – odpowiedział Simon natychmiast, sięgnął przez stół po jej rękę i ją uścisnął. Zaskoczona tym, jak zimne były jego palce, Hannah się wzdrygnęła i znów uniosła ku niemu głowę. – Najpierw chciałbym nacieszyć się z tobą tym wieczorem i wyśmienitym

jedzeniem. Mamy przecież czas.

– Tak, oczywiście. – Najchętniej by głośno krzyknęła. I tupnęła nogą. To była czysta tortura! Jak niby miała się cieszyć wieczorem i jedzeniem, gdy to oczekiwanie nie tylko wywoływało w niej elektryczne prądy, ale jeszcze do tego zasznurowało jej gardło?

Nie przełknie nawet oliwek stojących na stole w małej czarce, ani jednej! Nawet z groszkiem miałyby problem, ach, samo przełykanie przychodziło jej z trudem! Sięgnęła po kieliszek z szampanem i opróżniła go jednym haustem. Całe szczęście, pić jeszcze mogła.

– Za nasz wieczór – wykrztusiła, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to nazbyt wymuszenie. Liczyła też na to, że Ricardo zjawi się szybko i doleje jej szampana. Złapać samej za butelkę byłoby chyba kolejną niewybaczalną gafą.

– Ach, moje kochanie! – Simon zaśmiał się. – Wiem, że dziś wymagam od ciebie bardzo dużo.

– Prawdę mówiąc, tak – przyznała.

– Mogę cię zapewnić, że najlepiej, gdy ten dzisiejszy wieczór będziemy smakować do dna. – Pochylił się ku niej nad stołem, zniżył głos i zmrużył oczy. – Zanim zrobi się poważnie.

– Dobrze, chętnie. – Musiała znów przełknąć, tym razem bez szampana. Wielkie nieba, Simon zrobił z tej sprawy cały spektakl, dotychczas nie miała bladego pojęcia o jego żyłce dramaturgicznej.

– To na początek coś zjedzmy. – Jak na umówione hasło kotara się rozsunęła, pojawił się Ricardo i na przyniesionym stołku postawił ciężką czarną tacę z *raccomandazioni del giorno*. Szczegółowo studiowali dania. Simon zdecydował się na mieszane antipasti i grillowaną doradę, Hannah zamówiła *vitello tonnato* i pizzę z owocami morza, do tego poprosili o butelkę gavi.

– Cudownie! – rzekł Ricardo, gdy już wszystko zanotował,

zabrał tacę i znów zamierzał zniknąć.

– *Scusi?* – zatrzymała go Hannah, wskazując na swój pusty kieliszek do szampana. Było jej wszystko jedno, czy to elegancki sposób, czy nie, inaczej nie utrzyma swoich nerwów na wodzy. A poza tym butelka szampana na pewno była zapłacona i dlatego musi zostać wypita, zanim pojawi się wino, nieprawdaż?

– *Certo!* – wykrzyknął kelner, wziął butelkę i napełnił kieliszek Hannah. Chciał dolać też Simonowi, ten jednak grzecznie podziękował, wskazując wzrokiem na swój prawie jeszcze pełny kieliszek. Dobrze, Simon powinien zachować jasną głowę. Czekają go jeszcze wielkie zadanie, Hannah natomiast będzie musiała tylko w odpowiednim miejscu szepnąć: „Tak, chcę”, a to potrafi jeszcze w każdym stanie skupienia.

„When the world seems to shine like you’ve had too much wine, that’s amore...”.

– Co powiedział lekarz? – Hannah poruszyła nowy temat, gdy znów zostali sami.

– Właściwie nic – odparł Simon.

– Nic?

– To nie takie ważne – zbagatelizował. – Uważam, że na ten temat nie ma miejsca podczas naszej romantycznej kolacji.

– W takim razie poinformuj mnie, jakie tematy są po twojej myśli.

– Nie ma powodu się obrażać!

– W ogóle się nie obrażam! – odcięła się Hannah obrażona. – Uważam tylko, że to trochę nie fair, co ty właśnie ze mną wyprawiasz.

– Co ja z tobą właśnie wyprawiam?

– To. – Kiwnęła głową. – Wiesz dobrze, że cierpliwość niekoniecznie jest moją mocną stroną.

– Niekoniecznie twoją mocną stroną to mało powiedziane.

– Widzisz! Dobrze więc wiesz, że to mój absolutnie słaby punkt. Mimo to bez potrzeby wystawiasz mnie na tortury. –

Jeszcze mu tego wprawdzie nigdy nie powiedziała, ale jej zdaniem było to zasadniczo największym problemem ich związku: tempo Simona względnie jego brak często doprowadzało ją do szaleństwa. A w tym momencie chyba nawet do czegoś więcej.

Jej ukochany roześmiał się.

– Hannah, proszę, nie popsuj nam tego wieczoru!

– Ach tak? To już psuję nam wieczór? – Wiedziała, że jest na najlepszej drodze, by właśnie to zrobić i że byłoby lepiej, gdyby jak najszybciej się pohamowała. Ale jej nerwy były tak napięte, tak bliskie puszczenia, że ledwie już wytrzymała. W gardle rosła jej gęła, niewiele brakowało, żeby za chwilę wybuchnęła płaczem.

Simon zdawał się to czuć. Naraz bowiem spojrzał na nią wzrokiem pełnym czułości, wziął jej rękę i głaskał delikatnie jej skórę.

– Kochanie – powiedział cicho – z całą pewnością nie chcę cię denerwować ani dręczyć. A już na pewno doprowadzać do płaczu. – Westchnął. – Miałem tylko nadzieję na beztronski wieczór, ale jeśli to jest dla ciebie takie trudne, to powiem ci od razu, o co chodzi.

– Ach, nie! – Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Oczywiście nie mogła się doczekać, by wreszcie usłyszeć od niego te magiczne słowa, ale jednocześnie czuła się źle, że nie udało się jej nawet odrobinę poczekać. Na to, żeby Simon wybrał idealny moment.

– Już dobrze – powiedział. – Może tak będzie lepiej, inaczej na końcu jeszcze zabraknie mi odwagi.

– Wobec tego zamieniam się natychmiast w słuch!

– No więc, Hannah. – Wciąż jeszcze trzymał jej rękę, teraz trochę mocniej, jakby się bał, że mogłaby się zerwać i uciec. Co naturalnie było absurdem, dlaczego miałyby zrobić coś takiego? Pragnęła dokładnie czegoś odwrotnego, na zawsze i do końca życia być u boku Simona.

– Tak? – NO JUŻ! RUCHY!, ryczał jej mały wewnętrzny awanturnik.

Simon odchrząknął.

– Na początek chciałbym ci jeszcze raz powiedzieć, jak cudownie dziś wyglądasz.

– Dziękuję bardzo. – NO JUŻ – TERAZ – RAZ – DWA!

– Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, wtedy gdy przyjechałem po Jonasa, to z miejsca się w tobie zakochałem, to było jak grom z jasnego nieba.

Hannah zachichotała i wymamrotała zawstydzona:

– No coś ty!

– Ależ tak, to prawda. Zobaczyłem cię i od razu wiedziałem, że jesteś dla mnie stworzona. I w tej kwestii nic się do dzisiaj nie zmieniło.

– Hm. – Rumieniec pokrył policzki Hannah. I musiała przyznać, że tempo Simona nagle jej się niesłychanie spodobało. Niech sobie spokojnie pełźnie z prędkością ślimaka aż do oświadczyń; jak długo robił to takimi cudownymi słowami, mogła spokojnie czekać.

– Masz w sobie tyle energii, tyle życia! Twój entuzjizm od początku mnie porwał, nawet jeśli czasami myślałem, że nie byłoby źle, gdybyś od czasu do czasu wrzuciła niższy bieg.

– No tak, ja...

– Pst, teraz ja mówię.

– Okej.

– Czasami już nawet sobie myślałem, że nasze wspólne dzieci powinny być bardziej podobne do ciebie niż do mnie. – Roześmiał się. – Wtedy bowiem odziedziczą nie tylko twoją cudowną przekorę i pozytywne nastawienie, ale też twoje rude loki.

Pokaszując, Hannah przejechała ręką po włosach, zastanawiając się, czy jej fryzura właściwie jeszcze istnieje, czy też już znów się usamodzielniała.

– Naprawdę, Hannah! Ucieleśniasz to wszystko, czego zawsze w życiu pragnąłem. Jesteś wymarzoną kobietą, najlepszym przyjacielem, doradcą, wsparciem, wszystkim jednocześnie. O takiej kobiecie mężczyzna może tylko marzyć! – Mówił teraz tak głośno i euforycznie, że Hannah zaczęła się trochę wstydzić. Miała tylko nadzieję, że na zewnątrz, w głównej sali restauracji, nikt nie słyszy tych przesadnych hymnów pochwalnych. Przy czym słowa Simona były nadzwyczaj pochlebne.

– Dziękuję, Simonie – powiedziała. – Ale powoli powinieneś kończyć te panegiryki.

– Nie – odparł. – Nie skończę, bo jesteś miłością mojego życia.

– A ty moją.

Przełknął z trudem.

– Dlatego też to, co chciałbym ci powiedzieć, nie jest łatwe.

Teraz to ona ścisnęła mu rękę, dodając mu odwagi.

– Po prostu to powiedz.

– Hannah... – Zamknął na moment oczy, a gdy je z powrotem otworzył i nie spuszczał z niej wzroku, poczuła się zupełnie oszołomiona. Tyle uczucia, tyle miłości kryło się w tym spojrzeniu, że gotowa była uwierzyć w każde z wypowiedzianych wcześniej słów, przesadnych czy nie. – I dlatego – przerwał na chwilę – dlatego zwracam ci wolność.

– Tak! – wykrzyknęła z radością. – Chcę!

Zerwała się z krzesła, chciała okrążyć stół i rzucić się Simonowi na szyję. Dopiero w połowie tego ruchu uzmysłowiła sobie, co on właśnie powiedział. Skonsternowana opadła ciężko na krzesło.

– Ehm, przepraszam, ale... co ty powiedziałaś?

– Że zwracam ci wolność – powtórzył. – Pozwalam ci odejść, żebyś mogła być szczęśliwa z kimś innym. Chociaż przychodzi mi to z trudem, ale nie jestem tym właściwym.

– Słucham? – Potrząsnęła głową, by przepłoszyć halucynacje, które najwidoczniej miała. Dwa kieliszki szampana chyba nie mogły doprowadzić do takiego zaćmienia umysłu. Gwałtownym

ruchem wyszarpnęła rękę z jego dłoni. – Czy dobrze cię rozumiałam? Kończysz ze mną? – Simon miał jednak niewybredne poczucie humoru!

– Nie – odparł spokojnie. – Nigdy bym się z tobą nie rozstał, nigdy!

– Ale właśnie to zrobiłeś.

– Proszę. – Znow chciał sięgnąć po jej rękę, ale ona splotła palce obu dłoni. – Mogę zrozumieć, że to cię wytrąciło z równowagi.

– Czyżby? – Czują, jak jej brwi się uniosły. – Niby dlaczego? Przecież to całkiem normalne, że chłopak najpierw w długiej przemowie wyjaśnia ci, że jesteś kobietą jego marzeń, aby za chwilę z nią zerwać.

– Pozwól mi wytłumaczyć, nie robię tego dobrowolnie.

– Jesteś więc do tego zmuszony?

Wzruszył ramionami.

– Coś w tym rodzaju.

– Aha. – Teraz to już nic nie rozumiała. – A kto cię do tego zmusza? Czyżbyś prowadził w tajemnicy podwójne życie jako szpieg, o czym ja nic nie wiem? Musisz zniknąć? Program ochrony świadka koronnego?

– Nie, Hannah. – Patrzył na nią ze smutkiem. – Ale chciałbym, żebyś była szczęśliwa, a ze mną to niemożliwe.

– O czym ty mówisz? – napadła na niego. Teraz już naprawdę była bliska płaczu, to nie mogło być prawdą, to tylko sen. Nie, to senny koszmar!

„When you walk in a dream but you know you’re not dreaming...”.

– Sprawy mają się tak, Hannah. – Chrząknął ponownie, sięgnął po serwetkę i zaczął ją nerwowo miąć. – Wygląda na to, że chyba nie przeżyję następnego roku.

Wpatrywała się w niego zupełnie wytrącona z równowagi. Zrobiło jej się jednocześnie gorąco i zimno, zakręciło jej się w głowie. I poczuła się niedobrze, bardzo, bardzo niedobrze.

– Co? – spytała cicho. Głos jej drżał. – Nie rozumiem, co przed chwilą powiedziałeś.

– Strasznie mi przykro. Za rok prawdopodobnie nie będę już żył.

– *Alora!* – Kotara się rozsunęła, Ricardo podszedł do ich stolika i zamaszystym ruchem podsunął Simonowi pod nos butelkę. – Gavi!

⁴ Gra słów: niem. *klamm sein* – nie być przy forsie.

Jonathan

3 stycznia, środa, godzina 19.47

Nie, to jednak nie było słuszne. Co radziła mu pani Sarasvati? Od teraz ma na wszystko reagować pozytywnie, mówić „tak” i zebrać się na odwagę, by zmierzyć się z czekającym go rokiem. To, co tu właśnie wyczyniał, było prawie dokładnym przeciwieństwem jej zaleceń. To było jednoznaczne „nie”. Parkował przed wejściem do biura rzeczy znalezionych, za chwilę miał wcisnąć kalendarz w rękę jakiemuś pracownikowi i więcej się nim nie zajmować.

To było bardzo rozsądne, zgoda. Ale czy było też słuszne?

A co, jeśli kalendarz kryje jakąś tajemnicę, którą Jonathan powinien rozwikłać? Tarocistka także o tym mówiła, o tajemnicy, która ma związek z jego duszą i uczuciami...

Energicznym ruchem Jonathan otworzył drzwi samochodu i postawił nogę na chodniku. No, bo chyba nie będzie się poważnie zastanawiał nad pozbawioną sensu gadaniną jakiejś wróżki!

Stał już obok auta, z kalendarzem w ręce, gotów pomaszerować do biura rzeczy znalezionych i cisnąć go z hukiem na ladę – czy gdzie tam kładło się znalezione przedmioty. Książka przecież do niego nie należała, nie istniał zatem najmniejszy powód, by się nią nadal zajmować.

Potem jednak znów się zaczął wahać. Słusznie czy nie? Źle czy

dobrze? Westchnął, usiadł z powrotem za kierownicą i zamknął drzwi auta. Jeśli teraz po prostu odda terminarz, to nigdy już się nie dowie, o co w tym wszystkim chodziło. Do kogo należał, kto go wypełnił i dla kogo był przeznaczony. I w jaki sposób, do diabła, wylądował na kierownicy jego roweru. Czy ta niepewność będzie go nadal prześladować? Dręczyć go, nie dawać mu spokoju?

Nie musiał sobie nawet odpowiadać na to pytanie, gdyż faktycznie kalendarz już w tej chwili dokładnie to robił: dręczył go, nie dawał mu spokoju.

Jakkolwiek brzmiało to niewiarygodnie – ewentualności, że jego matka Sofia ma z tym coś wspólnego, nie mógł tak po prostu kategorycznie i ze stuprocentową pewnością wykluczyć. A także możliwości, że nawet gdyby to nie była prawda, mógłby przegapić coś ważnego.

Wziął kalendarz i jeszcze raz go otworzył. Przekartkował do wpisu na dzisiejszy dzień, trzeci stycznia:

*W roku są tylko dwa dni, w które można nic nie robić.
Jeden to wczoraj, drugi to jutro. To oznacza, że dziś jest
właściwy dzień, by kochać, wierzyć i przede wszystkim żyć.*

Dalajlama

No tak, kiedy ludziom już nic innego nie przychodzi do głowy, to chętnie cytują Dalajlamę, ten w końcu zawsze się nada. Jonathan musiał jednak przyznać, że logika tej sentencji jak najbardziej do niego przemawia. Bo oczywiście, ani wczoraj, ani jutro nie można było niczego zrobić, zaiste nie trzeba być geniuszem ani Dalajlamą, żeby wygłaszać takie mądrości. Ściśle biorąc, podpadało to pod rubrykę „Filozofia gospodyń domowych”. Która po prawdzie znakomicie się sprzedawała.

Pomyślał o książkach Paula Coelho, Sergia Bambarena,

François Lelorda *et consortes*, których ckliwe, tandetne wytwory wprawiały w zachwyt tłumy czytelników i całymi miesiącami królowały na listach bestsellerów. Jego ojciec nazywał to zawsze, nawiązując do Karola Marksa, „opium dla ludu” i podkreślał, że w Griefson & Books nie potrzebują takich tanich sukcesów, w końcu i na literaturze poważnej można dobrze zarabiać. Wygłaszając takie uwagi, ojciec zwykł skłaniać głowę w kierunku oprawionej w skórę serii dzieł Hubertusa Krulla, które pyszniły się na regale na poczesnym miejscu.

Cóż. Jeśli Jonathan właściwie zinterpretował wypowiedzi swego dyrektora zarządzającego Markusa Bodego, to wydawnictwo obecnie bardzo potrzebowało paru sukcesów. A już szczególnie paru tanich.

Albo może powinien raczej powiedzieć: szybkich?

Zanim ponownie odbiegł od zasadniczego tematu, zagłębił się z powrotem we wpisie w kalendarzu, gdyż na stronie pod datą trzeciego stycznia napisane było jeszcze coś. Pismo było tu tak drobne, że musiał się schylić do schowka na rękawiczki i wyjąć okulary do czytania. Nałożył je i zaczął studiować resztę tekstu.

Natychmiast jako zadanie na każdy dzień:

Z tyłu, w części „Notatki”, zapisz rano trzy rzeczy, za które jesteś wdzięczny. Coś, co płynie z serca: za to, że świeci słońce; za miłość, za to, że możesz chodzić; za wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

Wieczorem zapisz trzy rzeczy, które były dziś fajne: dobre jedzenie; miła rozmowa; twoja ulubiona piosenka w radiu.

Zaczynaj!

Teraz już naprawdę zabrzmiało to jak pomysły dojrzewającej nastolatki. Co ma znaczyć ten nonsens? Kto ma czas na coś takiego? I przede wszystkim: po co?

Jonathan wiedział, za co jest w swoim życiu wdzięczny, nie

musiał tego wypisywać. W przeciwieństwie do ojca nie miał jeszcze demencji, nie istniało więc ryzyko zapomnienia.

Na przykład był wdzięczny za... za... wdzięczny za...

Tak, właściwie za co?

Hannah

Piętnaście dni wcześniej
19 grudnia, godzina 21.23

Nie wypili wina Gavi. Nie zjedli też dorady ani *vitello tonnato* i pizzy z owocami morza. Nie zjedli niczego. Zamiast tego rozmawiali. Nie, to Simon mówił.

O tym, że pół dnia spędził w szpitalu, gdzie wysłał go jego lekarz domowy. Że przebadali go tam od stóp do głów, z badaniem palpacyjnym, kolejnymi analizami krwi i USG. Że w którymś momencie siedział przed triumwiratem lekarzy, którzy z zatroskanymi minami zakomunikowali mu, że ich zdaniem jest chory na nowotwór węzłów chłonnych, z którego to powodu w celu dokładniejszej diagnozy doradzają mu wykonanie pilnej biopsji, by móc określić rodzaj chłoniaka i stadium choroby.

Że w całkowitej panice opuścił klinikę. Przerażony, zrozpaczony, pełen lęku. Że w końcu wylądował w domu i tam przed komputerem zaczął szukać informacji. I tak doszedł do druzgocącej prawdy, że w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy z pewnością umrze.

W tym miejscu Hannah mu przerwała, połykając dzielnie łzy.

– Ale dlaczego właściwie o tym pomyślałeś? Jeszcze przecież wcale nie jest pewne, że...

– Hannah! – przerwał jej w pół zdania. – Nie byłaś przy tym! A ja widziałem tych lekarzy. Jak po sobie patrzyli, jak mnie

obmacywali od przedziałka po podeszwy stóp, a przy tym cały czas potrząsali głowami. Jak z uniesionymi wysoko brwiami studiowali wyniki moich badań i obrazy USG, jak wymieniali między sobą posępne spojrzenia. Wierz mi, rak jest już wszędzie, te „dalsze badania”, o których mówili, mają mnie tylko uspokoić. Żebym nie skoczył natychmiast z najbliższego mostu. – Zaśmiał się gorzko. – Co się tyczy tematu raka, to niestety wiem coś o tym. Moim rodzicom lekarze też wciąż robili nadzieję, a prowadziło to dla obojga tylko do wieloletnich cierpień.

– Nie możesz wiedzieć, jak jest w twoim przypadku! – wykrzyknęła Hannah, głos jej się załamywał.

– Owszem, mogę – zaoponował. – Po pierwsze, jestem genetycznie obciążony i od dawna noszę w sobie duże ryzyko nowotworu. – Odliczał na palcach. – Następnie zdaje się cierpieć już na objawy ogólne B.

– Objawy ogólne B?

– To, co uważałem za uporczywe, ale niegroźne przeziębienie, jest moim zdaniem już objawem towarzyszącym chłoniakowi.

– Twoim zdaniem?

– Nie, nie tylko moim. Internet pełen jest historii o ludziach, którzy czuli się tak samo jak ja. Większość z nich przed upływem pół roku nie żyła. Właśnie u młodych ludzi, takich jak ja, nowotwór rozwija się błyskawicznie. Wpisz w Google hasło „nowotwór węzłów chłonnych”, to sama zrozumiesz, o czym mówię.

– Cholera, Simon! – Uderzyła dłonią w stół i wpatrywała się w niego wytrącona z równowagi. – Przy takiej ważnej sprawie chyba nie chcesz polegać na doktorze Google!

– Jasne, że nie. Ale nie zapominaj, że jestem dziennikarzem. Wiem, które źródła można traktować serio, a które nie. A ja nie jestem jakimś fantastą, który zawsze tylko zakłada najlepsze i mówi sobie, że nie będzie tak źle.

– Masz na myśli mnie? – Zdusiła w sobie kolejny atak płaczu.

– Nie – odpowiedział szybko. Potem jednak się poprawił, szukał właściwych słów. – Hannah, brakuje mi tego pozytywnego nastawienia, nie zostało mi to dane. Nie uważam cię za fantastkę – popatrz tylko, z jakim sukcesem stworzyłaś Bandę Urwisów – ale jesteśmy po prostu zupełnie różni. I ja wolę spojrzeć w oczy prawdzie, że za rok przepuszczalnie nie będę już żył. Nie mam zamiaru niczego sobie wmawiać.

– A ja nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać tych bredni! – odparła Hannah i poczuła, jak wzbiera w niej bezradny gniew. Gniew z powodu uporu Simona, by kategorycznie wykluczać każdą możliwość, że właśnie nie jest tak źle, jak się obawia. – Pojedziemy teraz do domu i zastanowimy się w spokoju, jak mamy dalej postępować. Jeśli trzeba, to będę cię ciągnąć od jednego specjalisty do drugiego, w ogóle nie wchodzi w rachubę, żebyś chował głowę w piasek!

– Nie – powiedział Simon. – Nie ma już żadnego „my”.

– W żadnym wypadku! Nie pozwolę ci odejść, przetrwamy to razem!

Simon nie odpowiadał, tylko patrzył na nią smutno.

– No już! – Wstała z krzesła. – Zapłacimy przy wyjściu.

Simon nie ruszał się z miejsca, więc Hannah z powrotem opadła na krzesło. Nagle zobaczyła, że on też walczy ze łzami. A potem poczuła nagle coś, czego do tej pory nie chciała do siebie dopuścić: strach. Który chwycił ją za gardło. Który bezlitośnie dławił ją lodowatym uściskiem.

– Simon – szepnęła. – Proszę!

Ujął ponownie jej rękę.

– Wiem, jakie to dla ciebie straszne. Ale decyzja jest nieodwołalna. Moja matka przez dziesięć lat towarzyszyła mojemu ojcu w umieraniu. Cały czas między lękiem a nadzieją, dzień w dzień. Te wszystkie operacje, chemioterapie, nieprzespane noce z bólami i rzyganiem, wielotygodniowe pobyty w szpitalu, znów i znów, i znów. Drobne postępy, które

jednak prowadziły tylko do kolejnych nawrotów. Mama kompletnie odłożyła na bok swoje własne życie, zawiesiła je dla taty. A potem? Gdy on wreszcie umarł i mogła cieszyć się latami, które jej jeszcze pozostały, sama zachorowała i umarła w cierpieniach. Nie chcę cię na to narażać, za nic w świecie.

Hannah oddychała z trudem. To, co mówił Simon, brzmiało rzeczywiście przerażająco.

– Wiem o wszystkim, co tu opowiadasz – przyznała. – Ale mimo to cię nie opuszczę.

– Wcale nie musisz. – Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął portfel, otworzył go i położył na stole dwie pięćdziesiątki. – Bo to ja ciebie opuszczam. Przykro mi. – Z tymi słowami odsunął krzesło i wstał.

– Nie możesz tego zrobić! – Hannah także się zerwała. Tak gwałtownie, że o mało nie przewróciła stolika z całą zastawą. Jednym susem była przy nim i rzuciła mu się na szyję, przywarła do niego. – Ja cię przecież Kocham! – Teraz już nic jej nie hamowało, łzy spływały niepowstrzymanie po jej policzkach.

– Ja też cię Kocham. – Simon otoczył ją ramionami i przytulił mocno do siebie. Gładził ją czule po włosach, pochylił głowę, by pocałować ją delikatnie w ucho. Płakał przy tym tak samo jak Hannah, wstrząsał nim szloch, i jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie, tak mocno, że była święcie przekonana, iż lody pękły i on nigdy już jej nie puści.

Jednak to zrobił.

Po kilku minutach uwolnił się z jej objęć, łagodnie, ale stanowczo. Nadal patrzył na nią smutnym wzrokiem, po czym przejechał dłonią po twarzy, a potem otarł także łzy Hannah.

– Chciałbym wrócić do domu – powiedział.

– Mogę z tobą pojechać? Proszę!

– Nie, Hannah. Muszę być teraz sam.

– Wcale nie musisz, ty...

– Proszę – powtórzył. – Dzień był już wystarczająco ciężki.

– A ja sprawiam, że jest jeszcze cięższy? – Nie udało jej się ukryć, że poczuła się urażona.

– Tak – powiedział, ale natychmiast się wycofał. – Nie. Oczywiście że nie. Ale... – Westchnął. – Nie utrudniaj mi tego.

– Ale ja ci właśnie chcę to utrudnić – odparła i usiłowała się słabo uśmiechnąć. – Nie możesz ode mnie oczekiwać, że przyjmę to tak po prostu i pozwolę ci odejść.

– Daj mi chociaż kilka dni, okej? W głowie mam totalny chaos, potrzebuję trochę dystansu i spokoju.

– Więc cofasz rozstanie?

– Ach, Hannah! – Kolejny raz przyciągnął ją do siebie i pocałował u nasady włosów. – Hannah – mruzczał – moja szalona, słodka, cudowna Hannah.

Odsunęła go kawałeczek, uniosła głowę, wspięła się na palce i pocałowała go długo i czule.

– Damy radę – powiedziała cicho, puszczając go.

Simon nic nie powiedział.

– No więc jestem absolutnie pewna, że nie ma powodu do rozpacz. Kiedy minie pierwszy szok, znajdziemy sposoby, żeby ci pomóc. – Hannah sama zauważyła, że wpadła w nerwową paplaninę. Ale nie potrafiła tego powstrzymać. – I oczywiście że przeżyjesz następny rok! Masz jeszcze co najmniej pięćdziesiąt dobrych lat przed sobą, dobrze wiesz! Ach, co ja gadam, co to znaczy „dobre lata”? Wspaniałe, idealne!

Simon nadal nic nie mówił.

– Mogłabym na przykład...

– Chodźmy – przerwał jej w końcu. – Odprowadzę cię do domu, a potem się położę.

– Jak mówiłam, chętnie z tobą pójdę!

Uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Wiem. Mimo to odprowadzę cię teraz do twojego mieszkania, ty mały uparciuchu. A o reszcie porozmawiamy później.

Jonathan

3 stycznia, środa, godzina 16.44

Zapadł już zmrok, gdy Jonathan skierował samochód na brukowany podjazd przed swoim domem. Zgasił silnik i przez chwilę siedział w aucie. Czuł się zawstydzony.

Wcześniej błąkał się trochę bez celu po mieście, następnie zrobił zakupy (skończył mu się chleb proteinowy i wędlina z indyka), a wreszcie usiadł na ławce w parku Planten un Blomen, wziął do ręki terminarz i wyciągnął długopis.

Chciał to zrobić, chciał przelać na papier swoją osobistą listę wdzięczności. Tak tylko, dla żartu. Bo w końcu miał mówić „tak”, zamiast „nie”, i tylko dlatego chciał wykonać tę małą wprawkę. A ściśle mówiąc, i tak nie miał nic innego do roboty, musiał jedynie wypełnić czymś czas, aż Henriette Jansen upora się ze swoją pracą. Dlaczegoż więc nie spędzić go na sporządzaniu listy wdzięczności? Kartkę z kołonotatnika potem by wyrwał, nie będzie się to w ogóle rzucało w oczy, gdy kalendarz trafi wreszcie do właściciela.

A potem: nic.

Całkowita pustka w głowie, nie przychodziła mu na myśl ani jedna rzecz, za którą czułby wdzięczność.

Owszem, naturalnie, banały w rodzaju: „Że nie siedzę na wózku” albo: „Że mam pełne konto”, „Że nie głoduję”, „Że jestem szanowanym i poważanym człowiekiem” – takie rzeczy,

owszem.

Ale niestety nic, za co byłby naprawdę wdzięczny. Tak z głębi serca. Coś, co rzeczywiście zasługiwałoby na określenie „wdzięczność”, co napełniałoby go szczęściem, radością i satysfakcją, o czym mógłby myśleć najpierw rano przy wstawaniu i na koniec dnia, zanim wieczorem zaśnie.

Bo i jak? Żona zdradziła go z jego najlepszym przyjacielem i jest teraz sam. Ojciec odchodził, matka porzuciła go, gdy był jeszcze dzieckiem. Jak się niedawno dowiedział, w wydawnictwie zanoszą się na kryzys, a on być może wylądował na bruku. No i sytuacja na świecie, a także w jego otoczeniu doprowadzała go częściej do rozpaczki, niż sprawiała, że odczuwał wdzięczność. Wystarczyło tylko, że pomyślał o psich kupach w parku.

Nie, nie był niewdzięczny czy nieszczęśliwy, co to, to nie. Jego życie było... w porządku. Ale właśnie nic więcej. Jego życie po prostu się toczyło, biegło przed siebie, bez szczególnych wzlotów i upadków. Ono... funkcjonowało. On funkcjonował. Przy czym, jeśli miał być szczery, nie było tu wiele do funkcjonowania. W końcu sam tak urządził to swoje życie, że mógł je prowadzić w dużej mierze w sposób wolny od wszelkiej odpowiedzialności. Wolny od wszelkiej odpowiedzialności – ale przez to także od wszelkiej euforii.

Deprymujące. Tak, musiał to przed sobą przyznać: ta myśl była dosyć deprymująca.

Zły zamknął wreszcie kalendarz i postanowił jednak wrócić do biura rzeczy znalezionych, by go oddać. Co niby miał zrobić z czymś, co wyrywało go z jego wygodnego położenia?

Godziny otwarcia biura pokrzyżowały mu jednak plany. Stał przed zamkniętymi drzwiami, stwierdzając z niedowierzaniem, że placówka we wtorki czynna jest tylko do godziny trzynastej. W środy i piątki była zamknięta na cztery spusty, i tylko w czwartki, zgodnie z wywieszką, pracowników można było zastać do godziny osiemnastej.

Ta informacja sprawiła, że irytacja Jonathana przerodziła się w złość; co to za dziadostwo? Nic dziwnego, że kraj schodzi na psy, jeśli aparat urzędniczy pracuje tylko pół dnia albo wcale!

Żeby odreagować, pojechał do studia fitnessu, gdzie bywał od czasu do czasu, i przez trzy godziny się katował. W dzinsach i skarpetkach, bo naturalnie sportowa torba została w domu, gdzie nie należało przeszkadzać Henriette Jansen w pracy. Tak więc pod zdziwionymi spojrzeniami pozostałych gości studia Jonathan podnosił zawzięcie ciężary, cały czas mówiąc sobie, że listy wdzięczności i podobne bzdury to coś dla małych dziewczynek, a nie dla doświadczonych mężczyzn takich jak on!

A poza tym co to właściwie ma znaczyć? Być wdzięcznym? Tak, a niby komu? Losowi? Panu Bogu? Po co to w ogóle, czemu to ma służyć? Czy człowiek był wdzięczny, czy też w Anglii księżniczka spadła z konia – czyż nie wychodziło na to samo? I czy w zamian nie można było być „niewdzięcznym” za wszystko, co nie było dobre lub się nie udało? Ponadto i tutaj nasuwałoby się pytanie, do kogo kierować pretensje.

Tak więc Jonathan siedział w aucie na podjeździe swego domu i oddawał się absurdalnym myślom. Na siedzeniu dla pasażera wciąż jeszcze leżał ten przeklęty kalendarz, przyklejony do niego jak duch, którego nie można się pozbyć. A przecież wcale go nie przywoływał!

A może jednak?

– Do diabła! – zaklął głośno, sięgnął po terminarz, wysiadł i pomaszerował do domu.

Gdy wszedł do holu, wciągnął w nozdrza orzeźwiający cytrynowy zapach. Lubił, gdy Henriette Jansen na zakończenie sprzątanía przecierała wszystkie podłogi tym mydlanym ługiem, którego woń unosiła się w powietrzu jeszcze przez kilka dni.

I choć to dziwne, dopiero w tym momencie uświadomił sobie, skąd się to brało. Ten zapach przypominał mu dzieciństwo, gdyż matka używała tego samego środka. Za każdym razem przy

proteście ojca, który wyznawał pogląd, że „pani Grief” nie wypada samej zajmować się pracami domowymi. Ale tu Sofia nie wdawała się w żadne dyskusje: dla prawdziwej włoskiej „mammy” pozostawienie tego pola obcej osobie w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Jonathan, już w lepszym humorze, zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku, następnie wbiegł po schodach do swojego gabinetu i rzucił kalendarz na biurko.

Nie pozwoli się zastraszyć tej księżczynie i popsuć sobie przez nią humoru, nie ma mowy! Niech tu sobie leży na biurku, a on może kiedyś znowu dojrzeje do tego, by zjawić się w biurze rzeczy znalezionych podczas tych trzydziestu sekund, kiedy będzie otwarte. Dopóki to się nie stanie, nie zaszczyca jej więcej uwagą, w końcu ma ciekawsze rzeczy do roboty. Na przykład...

Spojrzenie Jonathana padło na pudło z makulaturą.

Puste.

Jak to?

Czyż nie poinstruował Henriette Jansen, by go nie opróżniała?

Ależ tak, zrobił to.

I gdy nagle zakręciło mu się w głowie, nie potrafił od razu stwierdzić, co go bardziej zdenerwowało: fakt, że gospodyni nie posłuchała jego zaleceń, czy to, że aktualne wyniki Griefson & Books wylądowały gdzieś wśród odpadów. Aktualne alarmujące wyniki. Dostępne teraz dla każdego, kto je przypadkiem znajdzie.

Bardziej przejął się dokumentami. Otrząsnął się z odrętwienia, zawrócił na pięcie i popędził na parter. Szarpnął drzwi wejściowe, zbiegł ze schodów i rzucił się do wciąż jeszcze przepelnionego pojemnika na makulaturę. Już gdy podnosił pokrywę, wiedział, że nie znajdzie tu dokumentów Markusa Bodego. Na samym wierzchu leżała ozdobna torebka, do której Tina włożyła kominiarza z czekolady (samego kominiarza Jonathan... no cóż, spałaszował, takich rzeczy się nie wyrzuca).

Ale gdzie się podziały dokumenty? Gdzie Henriette Jansen

wyrzuciła stertę z pudła?

Jonathan popędził z powrotem do domu, wyrwał telefon z bazy w holu i wybrał numer gospodyni.

– Jansen – zgłosiła się natychmiast.

– Tak, halo, tu Jonathan Grief.

– Halo, panie Grief! Czy coś zapomniałam?

– Nie, chciałem tylko panią spytać, co pani zrobiła z makulaturą. Wie pani, tą z pudła koło mojego biurka.

– Z makulaturą? – W jej głosie słychać było zdziwienie. – Wyrzuciłam ją.

– Przecież pani powiedziałem, żeby tego nie robić! – Ledwo się powstrzymał, by nie dodać: „Dlaczego ignoruje pani moje polecenia?”. W tej sytuacji wydało mu się to jednak niestosowne.

Teraz Henriette Jansen roześmiała się.

– Tak, powiedział pan. Ja jednak pozwoliłam sobie ją wynieść.

– A dokąd, jeśli mogę wiedzieć? – Czuł, jak na czole występuje mu pot.

– Cóż, na makulaturę, a gdzieżby?

– Ale w pojemniku przed domem tego nie ma! – krzyknął do słuchawki.

– Dlaczego jest pan taki zdenerwowany?

– Nie jestem zdenerwowany! – Zadał sobie trud, by mówić spokojniejszym głosem. – Niestety wyrzuciłem kilka dokumentów, których teraz pilnie potrzebuję – wyjaśnił.

– O, to niedobrze! – Głos Henriette Jansen był zafrasowany. – Myślałam, że się pan ucieszy, gdy ...

– Gdzie to teraz jest? – przerwał jej.

– Przy parku, w publicznym kontenerze, tam było jeszcze miejsce – odpowiedziała. – Zdaje się, że opróżnili go koło Nowego Roku, dlatego ...

– Wszystko jasne, dziękuję! – krzyknął, odłożył słuchawkę i wybiegł znów z domu w kierunku parku Innocentia, do dużych kontenerów na szkło i makulaturę. Modlił się, żeby znaleźć tam

jeszcze swoje dokumenty.

Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby te dane dostały się w niepowołane ręce!

W wyobraźni widział już nagłówki w części lokalnej „Hamburger Nachrichten”: „Hamburskie wydawnictwo z tradycjami ma kłopoty!”.

Sam sobie nakazywał spokój. Snucie katastroficznych scenariuszy w niczym mu nie pomoże, a w ogóle to nie jest jeszcze powiedziane, że coś takiego nastąpi. Żeby tak się stało, ktoś musiałby natrafić na dokumenty w śmieciach. A potem musiałby rozumieć, o co chodzi, i na dodatek wyciągnąć wnioski, że ta informacja może zainteresować media. A te z kolei musiałby też uznać, że wydawnictwo Jonathana zasługuje na wzmiankę w gazecie. Wszystko razem było więcej niż nieprawdopodobne. Pomijając fakt, że Griefson & Books obecnie może i ma pewne kłopoty, ale daleko mu do upadku. Taką nadzieję żywił w każdym razie Jonathan, nawet jeśli jemu samemu te liczby niewiele mówiły.

Mimo to puls mu walił, gdy dobiegł do kontenerów. Pojemnik na papier miał wąską szczelinę do wrzucania, ale na szczęście po drugiej stronie była duża niebieska kłapa na większe kartony, która dała się bez trudu otworzyć. Jonathan zajrzał do środka. Najgłębsza ciemność, niczego nie widział. Nachylił się, jak daleko mu się udało. Macał jedną ręką wokół, w nadziei, że natrafi na coś, co będzie mógł uchwycić. Ciągle jednak sięgał w pustkę; w przeciwieństwie do jego prywatnego pojemnika przed domem kontener faktycznie został niedawno opróżniony.

Stękając, wspiął się na palce, wolną ręką trzymał brzeg otworu i podciągnął się tak daleko przez kłapę, że prawie wisiał w kontenerze głową w dół. Teraz wreszcie jego palce trafiły na kawałek papieru, złapał go i pociągnął. Papier wysliznął mu się z ręki, spróbował więc ponownie dotrzeć do swego celu.

Gdy zauważył, że punkt ciężkości jego ciała za bardzo

przesunął się do przodu, było już za późno. Jonathan stracił oparcie, wpadł głową w dół do pojemnika i wylądował niedelikatnie z twarzą na kawałku tektury. Pachniała podejrzenie pizzą.

Jonathan jęknął, a jednocześnie rozległo się głośnie „Au!”.

Zdumiał się. On bowiem wcale się nie odezwał. Głos należał do kogoś innego.

Hannah

Piętnaście dni wcześniej
19 grudnia, wtorek, godzina 23.17

– Przepraszam, ale jeśli się nie uspokoisz, to nic nie zrozumieję. Mówisz, jakbyś była trzylatką ze smoczką w buzi!

– Jaaa... jaaa... – Nie da rady, Hannah nie mogła wydobyć z siebie jednego zrozumiałego słowa. Nie mówiąc już o kompletnym zdaniu. Nie potrafiła nic innego, jak tylko płakać i szlochać. Nic dziwnego, że Lisa nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

Trzy minuty wcześniej Hannah wyrwała przyjaciółkę ze snu. Lisa rzeczywiście przeprosiła za to, że nie odebrała po pierwszym sygnale, i gdyby Hannah nie miała akurat zupełnie innych zmartwień, to z pewnością by jej wyjaśniła, że nie ma najmniejszego powodu do przeproszania za to, że w nocy nie śpi się na telefonie.

– Spokojnie, Hannah – powiedziała teraz Lisa. – Odetchnij najpierw głęboko. Powoli i spokojnie, wdech, wydech! I wdech, i wydech! – Demonstrowała oddechy jak nauczycielka jogi, robiła głośne wdechy i wydechy do słuchawki.

– Okk... Okej. – Hannah próbowała zastosować się do rady przyjaciółki. Nigdy by nie pomyślała, że to może być takie trudne, po prostu oddychać. Ale tak właśnie było, jej klatka piersiowa sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się rozerwać.

Jeszcze pół godziny wcześniej czuła się całkiem dobrze. Albo przynajmniej stosownie do sytuacji. Simon odwiózł ją do domu, na pożegnanie objął i pocałował. Obiecał, że odezwie się następnego dnia, zapewnił, że nie zamierza rzucić się z mostu. I że gdyby jednak zupełnie przypadkiem znalazł się przy jakiejś barierze, to stamtąd zadzwoni. Jak na razie wszystko dobrze.

Hannah zachowała zdumiewający spokój. Zdjęła sukienkę, zmyła makijaż, nałożyła na twarz krem i umyła zęby. Następnie wśliznęła się w nocną koszulę i natychmiast poszła do łóżka, ten wieczór bardzo ją wyczerpał.

Ledwie jednak zgasiła światło i zamknęła oczy, znów się rozbudziła. Nagle pojawiły się wszystkie te straszne myśli i obrazy.

Potworny strach, że może Simon nie myli się w swej ocenie sytuacji i umrze w ciągu najbliższych miesięcy. Że rak przeżarł już całe jego ciało, że nic i nikt nie może pomóc jej ukochanemu. Że wkrótce zostanie sama.

Hannah próbowała przegnać te lęki z głowy, zastąpić je pięknymi, idyllicznymi wspomnieniami. Zaczęła nawet podśpiewywać sobie cichutko w nadziei, że zatrzyma w ten sposób wirującą w głowie karuzelę myśli. Nic z tego.

Umrzeć. Zniknąć. Po prostu już nie być, odejść, na zawsze. Popiół do popiołu, proch do prochu.

To wyobrażenie było potworne, było... niewyobrażalne!

Do tej pory Hannah nie miała jeszcze żadnych doświadczeń ze śmiercią. Pomijając matkę Simona i jej powolną agonię, a i przy tym przeżyła tylko końcówkę, była świadkiem jedynie ostatnich miesięcy jej cierpień. Hannah było wtedy smutno, jednak głównie ze względu na Simona. Że o wiele za wcześnie musiał pożegnać człowieka tak dla siebie ważnego. Dla Hilde Klamm, w to Hannah wierzyła wtedy święcie, śmierć była wybawieniem, jej umieranie potwierdzało całkowicie ten pocieszający frazes.

Ale teraz chodziło o coś zupełnie innego. Po raz pierwszy

dotykało ją to bezpośrednio, po raz pierwszy chodziło o człowieka, którego kochała. I po raz pierwszy – wstydziła się przyznać do tego przed sobą, ale tak właśnie było – uzmysłowiła sobie swoją własną śmiertelność. Uzmysłowiła to sobie w sposób najbardziej bolesny z możliwych.

Oprócz lęku, że może utracić Simona, nie wiadomo skąd pojawiła się myśl, która aż do tej pory była jej raczej obca: pewnego dnia i ty umrzesz, pewnego dnia i ty będziesz musiała opuścić ten świat.

Oczywiście wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie, każdy człowiek to wiedział.

Ale przecież była to tylko mglista, abstrakcyjna wiedza. Coś, z czym Hannah – jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało – nie miała nic wspólnego, w każdym razie jeszcze nie teraz. Ostatecznie nie ma nawet trzydziestu lat, a Simon jest tylko pięć lat starszy! Umierać – to będzie kiedyś tam, gdzieś na jakimś dalekim horyzoncie. Umieranie dotyczyło do tej pory zawsze tylko innych.

W dłuższej perspektywie wszyscy jesteśmy martwi. Gdy tak leżała w łóżku, do głowy przyszło jej to zdanie, które chętnie cytowała jej babcia Marianne, gdy była mowa o kresie życia. Dotąd zawsze się z tego śmiała, bawił ją cięty dowcip babci, której przyznawała rację. W dłuższej perspektywie, tak. Długiej, długiej, jak najdłuższej.

Wyznanie Simona jednym ruchem przybliżyło teraz śmierć na wyciągnięcie ręki, do jej własnej rzeczywistości, katapultowało Hannah w sam środek lęku. Panika przeniknęła jej do krwi jak śmiertelna trucizna, zagnieździła się w niej jak niszczycielski pasożyt.

Do tego wstyd, wstręt do samej siebie, gdyż w obliczu sytuacji, że Simon jest bardzo, bardzo chory – może nawet śmiertelnie! – ona nie ma nic lepszego do roboty, jak martwić się swoją własną przemijalnością. Ostatecznie nie chodzi przecież o nią, ona jest

teraz całkowicie nieważna. To Simon jest zagrożony rakiem, ona nie ma prawa czuć się źle. Przeciwnie, ma obowiązek być teraz dla niego szczególnie silna.

W swej rozpaczycy Hannah nie widziała w końcu innego wyjścia, jak tylko zadzwonić do Lisy, nieważne, że było późno. Chciała, musiała z nią porozmawiać, żeby nie zwariować i nie zrobić czegoś głupiego. Żeby nie wybiec na ulicę z krzykiem o pomoc na przykład. Albo żeby nie pojechać do Simona i płacząc, prosić go, żeby zaraz, natychmiast jechał z nią do szpitala i wykonał wszystkie konieczne dalsze badania.

Wiedziała dobrze, że to zła droga, że w ten sposób niczego nie osiągnie, a Simon już zupełnie się zamknie. Bardzo wyraźnie powiedział jej, że teraz potrzebuje czasu, dystansu i spokoju, aby oswoić się z tym, co zakomunikowali mu lekarze, i aby mógł to wszystko przemyśleć. Hannah chciała mu na to pozwolić, nawet jeśli ona sama była na wpół oszalała, że skazana jest na totalną bezczynność.

Dlatego wybrała numer Lisy. Teraz jednak, gdy miała przyjaciółkę przy telefonie i usiłowała wykonywać jej zalecenia, czyli spokojnie oddychać, panika wciąż nie ustępowała. Przeciwnie, zdawała się nasilać, w tej chwili Hannah walczyła dodatkowo z zawrotami głowy i otumanieniem.

– Już ci lepiej? – spytała Lisa.

– Tttt ...nnnni...

– Słuchaj uważnie: wskakuję natychmiast do samochodu i jadę do ciebie, okej? To niestety potrwa parę minut, ale postaram się być jak najszybciej.

– Nnnnn...

– Na razie! – Lisa odłożyła słuchawkę.

Hannah na czworakach popęzła z powrotem z korytarza do sypialni, wspięła się na łóżko i naciągnęła sobie kołdrę na głowę. Potem czekała. Czekwała z bijącym sercem na to, by ten przeklęty strach zniknął. I by wreszcie zjawiała się Lisa.

Jonathan

3 stycznia, środa, godzina 17.04

– Jest tam ktoś? – spytał przestraszony Jonathan i wiosłując ramionami, próbował jednocześnie odzyskać postawę pionową.

– Tak, łajzo! – syknął męski głos w ciemności. – Ja tu jestem. A ty mi właśnie skoczyłeś na łeb.

– Przepraszam! – powiedział Jonathan. – A kim pan jest? – Zmrużył oczy, ale w ciemności nadal nie mógł nic dostrzec.

– Ciekawsze jest chyba pytanie, co robisz w moim kontenerze!?

– Ach, to pana kontener?

– Zapomnij! – Jonathan usłyszał szelest papieru, tuż obok siebie poczuł jakiś ruch i odsunął się tak raptownie, że z metalicznym odgłosem „bang” wpadł na ścianę kontenera. – Cholera jasna! – zaklął mężczyzna.

– Przepraszam – powtórzył Jonathan, chociaż to przecież on się uderzył. – Nie wiedziałem, że ktoś jest w środku. – Zakasłał nerwowo. – To chyba zresztą trochę nietypowe, prawda? Poza tym wpadłem tu tylko niechcący, chciałem...

– Trzymaj się brzegu – został opryskliwie upomniany. Kątem oka dostrzegł zarysy jakiejś postaci, która wyprostowała się obok niego.

– No więc, proszę wybaczyć...

– Nie – powiedział ten ktoś – nie wybaczę! – Koło Jonathana

w kierunku otworu w kontenerze przesunęła się czyjaś głowa, usłyszał wysilone stęknienie, zaraz po nim szczęk i odgłos podeszew, które plasnęły o asfalt. Ktokolwiek był razem z nim w kontenerze z makulaturą – teraz znalazł się na zewnątrz.

Mimo niepewnego podłoża Jonathanowi udało się stanąć na nogi. Obiema rękami uchwycił się krawędzi otworu i podciągnął w górę. Mógł teraz zobaczyć tego mężczyznę, stojącego przed kontenerem. Tamten miał na sobie granatowy wojskowy płaszcz i wpatrywał się wrogo w Jonathana.

– Dzień dobry – powiedział Jonathan jak najgrzeczniej i wyciągnął rękę, drugą nadal trzymając się krawędzi. Jego kompan z kontenera zignorował ten gest, w zamian patrzył na niego jeszcze bardziej nieprzychylnie. – No cóż. – Jonathan przeszedł do porządku nad tą krępującą sytuacją i zaczął się wygrzebywać z kontenera. Co zresztą nie było wcale łatwe, bo otwór zrobił się jakby ciaśniejszy.

Obcy obserwował przez chwilę daremne wysiłki Jonathana, a potem podszedł do niego o krok i wzdychając, podał mu rękę.

– Dziękuję – powiedział Jonathan, chwycił rękę, a mężczyzna wyciągnął go i podparł. – Bardzo miło z pana strony – rzekł, gdy stanął już na twardym gruncie i z zakłopotaniem otrzepywał ubranie. Miał wrażenie, że sam już pachnie jak pudełko po pizzy. No nie, czy ci ludzie naprawdę nie wiedzą, że zabrudzony papier wyrzuca się do śmieci kuchennych?

– Ni ma za co – odpowiedział mężczyzna. Uśmiechał się teraz powściągliwie, przez co od razu wyglądał znacznie sympatyczniej. Miał kilkudniowy siwy zarost i długie, związane w kucyk i także siwe włosy. Jego twarz była blada, skóra nieco obwisła, a długi do ziemi szynel sprawiał wrażenie, jakby pochodził ze zbiórki używanych ubrań, taki był znoszony. Jonathan oceniał mężczyznę na co najmniej sześćdziesiątkę, w każdym razie głębokie bruzdy przecinające jego twarz pozwalały sądzić, że nie jest już najmłodszy. – Napędziłeś mi

porządnego stracha – powiedział nieznajomy.

– Pan mnie też! – Ponownie wyciągnął ku niemu rękę. – Jonathan Grief.

Mężczyzna wahał się chwilę, zanim ją ujął i uścisnął. Jego palce tkwiły w rękawiczkach z obciętymi palcami, a uścisk był mocny.

– Leopold – przedstawił się.

– Leopold? – Cóż za niezwykle imię! Zwłaszcza tu, na północy, chyba jest raczej południowoniemieckie!

– Moi kumple mówią do mnie Leo. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – No więc dla ciebie Leopold.

– Proszę bardzo! – odparł Jonathan. – Dopiero po chwili zrozumiał, co nieznajomy właśnie przed chwilą mu powiedział.

– No i co, John-Boy? Czego chciałeś w moim kontenerze?

– Szukałem czegoś.

– Czego niby?

– Kilku dokumentów, nic ważnego – wyjaśnił Jonathan, lekceważąco machając ręką. Nie miał najmniejszej ochoty wyjaśniać temu dziwnemu człowiekowi bliższych szczegółów swoich poszukiwań.

– Ale w każdym razie na tyle ważnych, żeby pod osłoną nocy wleźć komuś na głowę.

– Po pierwsze, jeszcze nie jest noc, lecz dopiero popołudnie – poprawił go Jonathan. – A po drugie, nie mogłem przecież wiedzieć, że pan jest w kontenerze. – Wpatrywał się w Leopolda z nieskrywaną ciekawością. – Co pan tam właściwie robił?

– A co niby? Grzałem się.

– Wśród makulatury?

Mężczyzna skinął głową.

– Tak, to fajnie grzeje.

– Dlaczego nie pójdzie pan po prostu do domu?

W tym momencie Leopold się roześmiał. Tak głośno, że Jonathan zdrygnął się przerażony.

– No nie! Co z ciebie za śmieszny gość! – Parskał i uderzał się

w uda. – Skąd cię wypuścili?

– Jak to?

– Tak tylko! – Mężczyzna otarł sobie łzy z kącików oczu. – Wiesz – wyjaśnił, łapiąc oddech – moja willa w mieście jest akurat niestety remontowana, dlatego nie mogę do niej wrócić.

– Tak? – Jonathan spoglądał na niego sceptycznie. Coś mu podpowiadało, że Leopold nieźle sobie z niego kpi.

– Człowieku. – Leopold natychmiast potwierdził jego podejrzenie. – Z księżyca spadłeś? Spójrz tylko na mnie! Jestem bezdomny!

– O! – Na coś takiego Jonathan N. Grief nie umiał odpowiedzieć. Poza tym że nagle poczuł się bardzo, bardzo głupio. Ale tego nie chciał nieznanemu oczywiście powiedzieć.

– Tak, o! – Leopold kiwnął głową. – A w szczególnie zimne dni, takie jak dzisiaj, ucinam sobie niekiedy drzemkę w kontenerze.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – spytał Jonathan. – W końcu może się zdarzyć, że akurat go opróżniają, gdy pan śpi.

– Tak – przyznał Leopold. Potem postukał się palcem wskazującym w skroń. – Ale tu mam wszystkie terminy opróżniania kontenera.

– To dobrze.

– Nie spodziewałem się tylko, że ktoś mi skoczy na głowę.

– Jak mówiłem, przepraszam.

– Już dobrze, nic się w końcu nie stało.

– Na szczęście.

– A co z tymi rzeczami, których szukasz?

Jonathan wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Miałem nadzieję, że leżą na samej górze.

– Hm. Obawiam się, że wszystko nieźle rozgrzebałem, jak sobie wcześniej mościłem tu posłanko.

Przy tych słowach Jonathan musiał się roześmiać. To określenie z pewnością nigdy by mu nie przyszło do głowy

w związku z kontenerem na makulaturę.

– Masz latarkę? – spytał Leopold.

– Tak, w domu – odpowiedział Jonathan i wskazał swoją willę po drugiej stronie ulicy.

Leopold wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

– Wow! Tam mieszkasz? Nieźle!

– Ehm, no tak. – Natychmiast przez głowę przeleciała mu myśl, że to był chyba zły pomysł, żeby tak niefrasobliwie pokazać temu człowiekowi, gdzie mieszka. W końcu nigdy nie wiadomo...

– Mam propozycję – przerwał Leopold jego rozważania. – Ty przyniesiesz latarkę. Potem ja wejdę jeszcze raz do kontenera, a ty mi poświecisz.

– No nie wiem – odparł Jonathan z ociąganiem.

– Aha, to jednak faktycznie nie jest aż tak ważne.

W wyobraźni Jonathana pojawił się znów nagłówek w „Hamburger Nachrichten”.

– Nie, jest – przyznał niechętnie. – Nie chcę tylko sprawiać panu kłopotu i zabierać czasu.

– To żaden kłopot. A czas to jedyne, co mam w nadmiarze.

Przez chwilę Jonathan zastanawiał się jeszcze, a potem przyjął z wdzięcznością ofertę Leopolda i poszedł do domu, aby przynieść latarkę.

Gdy wrócił do kontenera, Leopold już do niego machał z otworu.

– Dobra – powiedział. – No to czego szukamy?

– Sterty papieru z liczbami.

– A ździebko konkretniej?

– Gdzieś tam napisane jest coś czerwonym flamastrem.

– Okej. To nurkuję. – Co rzekłszy, zniknął w czeluści kontenera. Jonathan schylał się z latarką tak głęboko, jak tylko zdołał, i mu przyświecał.

– Tak, tak jest dobrze – zabrzmiał głuchy głos tamtego. Zaraz potem zabrzmiał okrzyk: – Fúj, ale obrzydliwe! – Tuż obok głowy

Jonathana przeleciała skórka od banana, musnąwszy jego lewe ucho. – Co za świństwo, co ci ludzie tu wrzucają! – złorzeczył Leopold. Jonathan musiał mu w tym przyznać rację, pudełka po pizzy jeszcze można zrozumieć, ale bioodpadki to już naprawdę nie powinny tu trafiać. Z miejsca uznał nowego znajomego za znacznie sympatyczniejszego, zdawał się bowiem podzielać poglądy Jonathana, co wolno, a czego nie wolno.

– Czy o to chodzi? – dobiegł go głos Leopolda. Mężczyzna wystawił z otworu rękę ze zgniecioną kartką. Jonathan wziął ją, rzucił na nią okiem.

– Tak – potwierdził ucieszony. – To jest to! Ale tylko część.

– Chwila, jest tego więcej. – Szelest, a po chwili Leopold podsunął mu pod nos kolejne strony.

– To też! Szuka pan we właściwym miejscu!

– Ty. – Usłyszał z głębi kontenera stękanie. – Skoro już tu przekopuję się dla ciebie przez te śmieci, to chyba możemy spokojnie przejść na ty, tak sędzę.

– W porządku, ty. – Jonathan darował sobie uwagę, że Leopold wbrew wszelkiej etykietce już od samego początku tak do niego mówił.

– Ilu stron jeszcze brakuje?

– Nie wiem – przyznał Jonathan. – Zaraz spojrzę, są numerowane. – Wyciągnął latarkę i skierował ją na kartki.

– Hej – zaprotestował Leopold. – Dawaj światło!

– Już. Inaczej nic nie zobaczę. – Jonathan wetknął sobie latarkę między zęby i szukał numerów na pogniecionych kartkach. Na jednej ze stron w prawym dolnym rogu zauważył „3 z 12”. Zaczął je porządkować. 1, 2, 3, 4... 8, 9, 10, 12. – Brakuje jeszcze czterech kartek! – zawołał do Leopolda.

– No to dawaj światło!

Jonathan ponownie zaświecił w głąb kontenera, Leopold przekopywał się na czworakach przez papiery. – Mam tylko nadzieję, że to, czego szukamy, jest naprawdę ważne.

– Jest – uspokoił go Jonathan.

– To dlaczego, do diabła, to leży w makulaturze? – sapnął Leopold. Plastikowa torba przeleciała ze świstem koło głowy Jonathana.

– Przez pomyłkę – wyjaśnił ten, uchylając się. – Czy mógłby pan... czy mógłbyś trochę uważać albo mnie ostrzegać, kiedy coś wyrzucasz?

– Sorry. – Mógł nieomal słyszeć uśmiech Leopolda. – Będę uważał, obiecuję. – Za chwilę przeleciała koło niego poduszka, a za nią okrzyk: „Ups!”.

– To powinieneś sobie zostawić – zażartował Jonathan i wrzucił poduszkę z powrotem.

– Nie potrzeba – odparł Leopold, wystawił głowę z otworu i z triumfalną miną uniósł cztery kolejne pogniecione kartki. – Powiedziałbym, że zapracowałem sobie rzetelnie na spędzenie nocy w cieple.

– Tak? – spytał Jonathan, przyjmując z podziękowaniem kartki. – A gdzie?

Leopold wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Zgadnij! – A potem podbródkiem pokazał w kierunku willi Jonathana po drugiej stronie ulicy.

Nie! – chciał zawołać spontanicznie Jonathan. – W żadnym razie! Potem jednak pomyślał o słowach Sarasvati.

I zamiast tego powiedział:

– Tak, z chęcią!

Hannah

Piętnaście dni wcześniej,
19 grudnia, wtorek, godzina 23.52

Gdy dwadzieścia minut później jej przyjaciółka nacisnęła dzwonek, Hannah ostatkiem sił dowłokła się do drzwi i otworzyła. Ledwie ujrzała Lisę przed sobą, ze szlochem rzuciła się jej w ramiona.

– Hannah! – wykrzyknęła Lisa przerażona i objęła ją. – Co się stało?

Zamiast odpowiedzi Hannah płakała dalej, ciesząc się poczuciem bezpieczeństwa, tym, że bliski człowiek trzyma ją w ramionach. Pragnęła, żeby ją tylko tak obejmować, jak małe dziecko, które rzuca się w ramiona mamy, szukając u niej schronienia.

– Przepraszam, że to tyle trwało, ale...

– Ciii – zdołała jednak wykrztusić Hannah. Wszystko jedno, ile to trwało, najważniejsze, że Lisa była w tej chwili przy niej.

– Możesz mi opowiedzieć, co się stało? – spytała po chwili przyjaciółka ostrożnie i pogładziła Hannah po włosach.

A ta kiwnęła głową i wydobyła z siebie żalosne „tak”.

Lisa wzięła ją pod ramię i zaprowadziła do niewielkiego pokoju dziennego, gdzie usadowiły się ciasno obok siebie na wiklinowej sofie i przykryły kocem.

Lisa nie przerywała, kiedy Hannah opowiadała o wieczorze w Da Ricardo. Słowa wprost z niej tryskały, opuszczały coraz

szybciej jej usta, jakby otworzyła im jakąś śluzę. Opowiadała o raku, którego lekarze zdiagnozowali u Simona. O jego przekonaniu, że umrze przed upływem roku, o jego odmowie poddania się dalszym badaniom, bo uważa je za bezsensowne. O tym, że chce się rozstać z Hannah, bo jest zdania, że w tej sytuacji nie może jej narażać na cierpienie u jego boku; że nie chce jej obciążać losem, który musiała znosić jego matka.

Na końcu wreszcie Hannah wyznała Lisie nawet, z jakimi lękami zmagają się ona sama: że wpadła w panikę i nie mogła przestać myśleć o własnej śmiertelności. Jak bardzo się tego wstydzi. Potwornie, potwornie wstydzi.

– To przecież zupełnie normalne – uspokajała ją Lisa. – To naprawdę nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem.

– Tak uważasz? – spytała Hannah nieśmiało.

– Oczywiście! – zapewniła ją przyjaciółka. – Każdy z nas tak ma. Kiedy widzimy jakiś straszny wypadek na autostradzie albo czytamy o czymś okropnym w gazecie, o jakiejś katastrofie naturalnej albo zamachu terrorystycznym, to przecież od razu pojawia się myśl: „A gdyby to przydarzyło się mnie?”. Albo jeszcze gorzej: „Dzięki Bogu, że nie trafiło na mnie!”.

Hannah odetchnęła z ulgą.

– Cieszę się, że to mówisz i nie uważasz mnie za jakiegoś potwora. Od razu poczułam się troszkę lepiej.

– I dobrze. – Lisa przyciągnęła ją do siebie. – Samooskarżanie się to najgorsze, co możesz w tej chwili zrobić, to wszystko jest już wystarczająco straszne.

– Ale mimo to czuję się głupio, że coś takiego w ogóle przychodzi mi do głowy.

– Już ci mówiłam, nie masz najmniejszego powodu, żeby czuć się głupio.

– To mówi kobieta, która przeprasza za każde głupstwo i nieustannie ma wyrzuty sumienia.

– To prawda. – Lisa roześmiała się. – Ale jak właśnie sama

stwierdziłaś, najczęściej chodzi o jakieś bzdety.

– W tym wypadku chodzi niestety o coś znacznie więcej.

– I znowu masz rację.

Hannah westchnęła.

– A ja myślałam, że Simon zaprasza mnie na romantyczną kolację, by mi się oświadczyć. I spytać mnie, czy chcę zostać z nim do końca moich dni! – Westchnęła z goryczą. – Nie mogłam się przecież domyślić, że to chodzi o koniec jego dni. A już zwłaszcza że ten koniec jest tak blisko.

– Stop! – przerwała jej Lisa, spoglądając na nią surowym wzrokiem. – Kto i kiedy osiągnie kres swoich dni, to jeszcze nie jest przesądzone!

– Powiedz to Simonowi! Ten jest już na etapie wyszukiwania sobie miejsca ostatniego spoczynku i kamienia na grób.

– Daj mi telefon, zadzwonię do niego.

– W żadnym wypadku!

– Ale przecież mówiłaś przed chwilą, żebym mu to powiedziała.

– No tak... to znaczy nie. – Hannah nadal miała kłopoty z koncentracją. – Simon jest całkowicie wytrącony z równowagi. Jeśli zaczniemy wywierać na niego jakąś presję, to może mieć odwrotny skutek.

– Co masz na myśli z tym „odwrotnym skutkiem”?

– Sama dobrze nie wiem – przyznała Hannah niespokojnie. Musiała pomyśleć o moście. – W każdym razie nie sądzę, żeby to był dobry pomysł dzwonić teraz do niego. Poza tym nie jestem pewna, czy byłby zadowolony, że ci o tym powiedziałam.

– Czy byłby zadowolony? – spytała Lisa z niedowierzaniem. Z niedowierzaniem i oburzeniem.

– To przecież dość prywatna sprawa – wyjaśniła Hannah.

– Proszę cię! Co znaczy „prywatna sprawa”?

– Może się wstydzi...

– Wstydzi? Czego? – przerwała Hannah Lisa. – Twój przyjaciel

nie obrabował emerytki, tylko ma raka!

– Ach, Liso, wiesz przecież, co mam na myśli.

– Tak, wiem. – Kiwnęła stanowczo głową. – I coś ci powiem. Zrobiłaś bardzo słusznie, że do mnie zadzwoniłaś! Bo czego niby spodziewa się Simon? Że zwała ci taką wiadomość na głowę, a ty, wzruszając ramionami, przechodzisz nad tym do porządku i udajesz, że nic się nie stało? Że sama ze sobą ustalasz, że od razu jutro zakładasz profil na portalu randkowym, podczas gdy on jak stary słoń szuka sobie jakiegoś kąta na cmentarzu, żeby tam umrzeć?

– Przecież ja wcale nie twierdziłam, że on czegoś oczekuje.

– Ale z całą powagą zastanawiasz się, czy będzie zadowolony, że mi to opowiedziałaś. Przyznaj szczerze, takie dywagacje pasują do mnie, ale przecież nie do ciebie!

Hannah uśmiechnęła się.

– Po prawdzie to tak jest.

– Przecież mówię!

– Mimo to nie mam pojęcia, co mam zrobić. Co w ogóle mogę zrobić.

– To trudne pytanie – przyznała Lisa. – Przypuszczalnie masz rację ze swoją oceną, że za duży nacisk mógłby tu zaszkodzić.

Hannah bezradnie wzruszyła ramionami i z nieszczęśliwym wyrazem twarzy patrzyła na przyjaciółkę. A potem wykrzyczała z gniewem:

– Po prostu nie pojmuję, jak można być tak ograniczonym, żeby nawet odmawiać dalszych badań! Że Simon sam sobie bez zastanowienia stawia diagnozę i przyjmuje ją za pewnik. Gdybym ja była na jego miejscu, to już bym się skontaktowała z dziesięcioma najlepszymi na świecie onkologami, a on nie robi literalnie nic, tylko po prostu kapituluje i z założonymi rękami poddaje się wyrokowi losu?

– No tak, mogę poniekąd zrozumieć, że chce się z tym najpierw jakoś oswoić.

– Co tu jest do oswajania? Jeśli jest z nim tak źle, jak on myśli, to liczy się przecież każdy dzień!

– Tu muszę ci się sprzeciwić – powiedziała Lisa. – Jeżeli on naprawdę się boi, że jest tak źle, to tym bardziej rozumiem, że nie pędzi do kolejnego specjalisty.

– Co? – Hannah ze zdumieniem uniosła brwi. – Musisz mi to wyjaśnić!

– Po pierwsze, Simon ma naprawdę złe doświadczenia z tematem raka przez chorobę swoich rodziców...

– Trudno uwierzyć, żeby ktoś miał dobre doświadczenia z rakiem – zauważyła Hannah.

– Po drugie – kontynuowała Lisa niezrażona – jestem sobie w stanie wyobrazić, że człowiek wcale nie chce tak dokładnie wiedzieć o pewnych rzeczach.

– Nawet jeśli są tak ważne, jak w przypadku Simona?

– Może woli zostawić sobie resztki niepewności?

– Resztki niepewności?

– To przecież możliwe! – powiedziała Lisa. – Jeśli odmawia poddania się biopsji, znaczy to nie tylko, że pozbawia się szansy dowiedzenia się od lekarzy, że wcale nie jest tak źle i że mogą mu pomóc, ale że jednocześnie unika ryzyka, iż ktoś mu powie: „Taa, niestety nie możemy już dla pana nic zrobić. Proszę wracać do domu, leczenie zakończone”. Pomyśl tylko, w ten sposób omija groźbę otrzymania czarno na białym i nieodwołalnie swojego wyroku śmierci!

Hannah ponownie wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam! – Lisa uderzyła się dłonią w czoło. – Jestem kompletną idiotką! Jak mogłam w ogóle powiedzieć coś takiego!

– Nnnie – szlochała Hannah. – Masz rację. – Obiema rękami wytarła sobie twarz i dzielnie próbowała się uśmiechnąć. – Tylko że tak trudno mi to zrozumieć. Ja sama zawsze wolałabym wiedzieć, na czym stoję, zamiast błędzić po omacku. Tylko wtedy można się przygotować i odpowiednio działać.

– Hm... Jesteś pewna, że tak byś zrobiła? Jeszcze nigdy nie znalazłaś się w takiej sytuacji.

– Mimo to absolutnie tak.

Lisa zastanawiała się przez chwilę, zanim wolno i w skupieniu sformułowała następną myśl:

– Załóżmy, że ktoś potrafiłby ci w stu procentach przepowiedzieć przyszłość...

– Czegoś takiego przecież nie ma.

– Teraz to nieważne, po prostu załóżmy, że tak jest. I ten ktoś mógłby ci też zakomunikować, którego dokładnie dnia umrzesz, to czy naprawdę dałabyś sobie coś takiego powiedzieć? Czy też wolałabyś, żeby śmierć dopadła cię kiedyś tam, jak grom z jasnego nieba, żeby cię bez żadnego ostrzeżenia wyrwała ze środka życia?

– To paskudne pytanie!

– Ale przed takim właśnie pytaniem stoi teraz Simon.

– Nie do końca – zaprotestowała Hannah. – Simon przecież wie, że jest chory, o gromie z jasnego nieba nie może więc być mowy.

– No tak, przynajmniej diagnoza spadła na niego z jasnego nieba.

– Raczej z zachmurzonego – odparła Hannah. – Już od miesięcy przecież nie za dobrze się czuł. I fizycznie, i psychicznie.

– No nie, nie wierzę! Sorry, ale czyżbyś właśnie uważała, że Simon powinien być przygotowany na ten szok lepiej, bo już od miesięcy czuje się kiepsko? – Lisa pomachała ręką, gdy Hannah spojrzała na nią z przerażeniem. – Właśnie to robisz, czyż nie? Lepiej zastanów się nad moim pytaniem.

– Dobrze – zgodziła się Hannah niechętnie. Faktycznie znów nie musiała się zastanawiać długo nad odpowiedzią. – Ja w każdym razie chciałabym to wiedzieć – potwierdziła. – Mogłabym wtedy całkowicie świadomie przeżyć czas, który mi pozostał, wykorzystać w pełni każdy dzień. Mogłabym uporządkować swoje sprawy, jak to się ładnie mówi, pożegnać

się ze wszystkimi najbliższymi osobami albo udać się w podróż po świecie – a na koniec urządzić może jeszcze wielką balangę.

– No pięknie – powiedziała Lisa. – Właśnie tak sobie pomyślałam. Taka po prostu jesteś.

– Niby jaka?

– Pragmatyczna.

– Pragmatyczna?

– Wzrok zawsze skierowany do przodu – wyjaśniała Lisa. – Nie dawać się i we wszystkim dostrzegać jakąś korzyść, coś w tym rodzaju. Tylko że ludzie są po prostu różni, a Simon, zdaje się, obrał dla siebie inną drogę.

– On nie obiera żadnej drogi, on się zatrzymał.

– Bezczytność to też jest jakaś decyzja.

Hannah obdarzyła ją zdumionym spojrzeniem.

– Od kiedy mówisz jak jakiś guru?

Lisa się zaczerwieniła.

– Yhm, niedawno gdzieś to przeczytałam.

– A gdzie? W piśmie „Duchowość Dziś”?

– Nie kpj sobie ze mnie! Chcę tylko pomóc.

– Przepraszam, nie chciałam. – Szturchnęła Lisę pojednawczo w bok.

– Przepraszanie to moja działka – stwierdziła Lisa i oddała kuksańca. – Poza tym to zwykle przecież ty wymądrzasz się na temat kryzysów jako szans i takich tam, to pomyślałam, że trochę od ciebie ściagnę.

– Cha, cha!

Przez chwilę tylko się do siebie uśmiechały. Hannah cieszyła się, że przyjaciółka jest teraz z nią. To sprawiało, że sytuacja wprawdzie nie straciła nic ze swej grozy, ale jednak stała się bardziej znośna.

– A co z tobą? – spytała w końcu Hannah. – Ty chciałabyś wiedzieć, kiedy umrzesz?

– Nie mam pojęcia. W ogóle się nad tym nie zastanawiam.

– Uff. – Hannah przewróciła oczami z udawaną irytacją, a potem pogroziła jej palcem wskazującym. – O nie, moja droga! Nie przepuszczę ci, ty też musisz odpowiedzieć na to pytanie!

– Muszę?

– Tak.

– No dobrze, niech pomyślę. – Lisa oparła się na sofie i zamknęła oczy. Myślała. Długo. Bardzo długo.

– Usnęłaś? – spytała po chwili zniecierpliwiona Hannah.

– Nie. – Wprawdzie Lisa otworzyła teraz oczy, ale nadal uparcie milczała i wpatrywała się w sufit, jak gdyby zobaczyła tam coś ciekawego.

– To chyba nie jest takie trudne – poskarżyła się Hannah, gdy upłynęły kolejne dwie minuty, a jej przyjaciółka nadal nie otworzyła ust. – Grasz tylko na zwłokę!

Wreszcie Lisa odwróciła się do Hannah i popatrzyła na nią z poważną miną.

– Nie – powiedziała i potrząsnęła wolno głową. – Nie chciałabym znać daty swojej śmierci. W żadnym wypadku. A gdyby ktoś chciał mi ją zdradzić, tobym mu zabroniła. Nie chciałabym także wiedzieć, kiedy umrze ktoś inny. To byłoby potworne, wiedzieć, kiedy ty umrzesz. Albo moi rodzice.

Hannah uniosła ręce w obronnym geście.

– Po co od razu tak śmiertelnie podniosłeś! Bez obaw, raczej nie mogłabym ci tego zdradzić.

– Przykro mi.

– Co znowu?

– Że odbierasz to, co mówię, jako podniosłe.

– To przecież nic złego – łagodziła Hannah. – Zdziwiło mnie tylko, że naraz zrobiłaś się taka poważna.

– To poważny temat.

– To w głównej mierze spekulacje myślowe. Bo my nie mamy przecież nikogo, kto mógłby nam wiarygodnie przepowiedzieć, kiedy umrzemy.

- Nie – przytaknęła Lisa. – Nie mamy.
- To proszę, przestań robić taką minę, boję się jej.
- Przykro... Akurat musiałam tylko o czymś pomyśleć.
- A o czym?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- Jak to nie możesz?
- Bo to dla mnie kłopotliwe. Jest mi niezręcznie.
- Teraz to już mnie zaintrygowałaś, to podłe!
- Przy... Nie chciałam.
- Liso Wagner! – Hannah patrzyła na nią surowym wzrokiem.
- Siedzimy tu teraz, bo mój chłopak, którego kocham nad życie i od którego spodziewałam się dziś oświadczyć, obwieścił mi, że uważa się za skazanego na śmierć. Czy ty naprawdę sądzisz, że mam jeszcze siłę, żeby kpić sobie z ciebie, bo może w twoim życiu jest coś wstydliviego?
 - Przykro mi. – Na twarzy Lisy pojawił się wyraz poczucia winy.
 - Nie powinno ci być przykro, tylko powinnaś mi o tym powiedzieć!
 - No dobrze. – Lisa uznała się za pokonaną. – Przypomniałam sobie właśnie, jak kiedyś wróżbita chciał mi przepowiedzieć datę mojej śmierci. I jak straszne mi się to wydało.
 - Co? – Hannah patrzyła na nią z zaskoczeniem. – Byłaś kiedyś u wróżbity?
 - Nie raz. – Lisa wydawała się zmieszana. – Szczerze mówiąc, chodzę do niego regularnie.

Jonathan

3 stycznia, środa, godzina 17.46

– Ale fantastyczny dom! – Leopold stał w holu wejściowym i rozglądał się z uznaniem. – Widziałem już parę chałup, ale tę tu można by spokojnie obfotografować dla jakiegoś magazynu wnętrzarskiego i nawet nie trzeba by przedtem przejechać jeszcze raz odkurzaczem.

– Hm, dziękuję – odparł Jonathan i odczuł przy tym mieszaninę dumy, zakłopotania i obawy.

Duma była oczywista.

Zakłopotanie czuł, gdyż w obecności tego człowieka w zniszczonym szynelu wojskowym wydawał się sobie wstrętnym bufonem. Żarłokiem, który na oczach głodujących ludzi delectuje się obiadem z dziesięciu dań. I który jeszcze to, czego nie zdołał zjeść, spokojnie wyrzuca do kubła.

Już sama duża waza na prawo od drzwi, w której Henriette Jansen jak co tydzień ułożyła artystycznie świeży pęk amarylisów (ten zwyczaj wprowadziła Tina, a Jonathan, nie zastanawiając się, zachował go), kosztowała przypuszczalnie tyle, że Leopold mógłby za to zakwaterować się wygodnie w eleganckim hotelu.

Kafle z terakoty na podłodze pochodziły naturalnie z niewielkiej włoskiej manufaktury, a tkany ręcznie chodnik, po którym szło się do schodów na pierwsze piętro, znajdował się od

pokoleń w posiadaniu rodziny, tak że Jonathan nawet w przybliżeniu nie odważyłby się oszacować jego wartości.

Nigdy nie był tak świadom swego bogactwa, jak w tym momencie, gdy stał obok człowieka, którego niechcący wyłowił z kontenera na makulaturę. Tak niemile świadomy.

Ale właśnie ta okoliczność napełniała też Jonathana obawą. Czyżby swym wypowiedzianym spontanicznie zaproszeniem, nie, raczej zgodą na poniekąd wymuszone zaproszenie do swojego domu popełnił poważny błąd?

Czy nie było to wysoce ryzykowne wpuszczać obcego człowieka, do tego jeszcze bezdomnego, w swoje cztery ściany? Leopold sprawiał sympatyczne wrażenie. Ale na nic się to Jonathanowi nie przyda, gdy na koniec obudzi się w swoim łóżku z poderżniętym gardłem. I co to w ogóle znaczy: „Widziałem już parę chałup”? Może ten Leopold był całkiem cwany typem, który z przyzwyczajenia zagnieżdżał się u łatwowiernych ludzi? I którego, Boże uchroni, nie można się było pozbyć?

Zastanawiał się gorączkowo, poszukując jakiegoś pretekstu, by elegancko wyekspediować nieoczekiwane gościa z powrotem na ulicę.

Jego spojrzenie zatrzymało się na przeszklonych drzwiach. W świetle lampy nad wejściem widział tańczące płatki śniegu, pogoda nie zapowiadała się dobrze. Nie. Nie zdobędzie się na to.

I to przecież prawda, że Leopold wyświadczył mu ogromną przysługę. Kartki w prawej ręce przypominały mu o tym.

Mógłby się dziś w nocy zabarykadować w swoim pokoju. Wtedy naraziłby się co najwyżej na ryzyko, że Leopold ulotni się z paroma cennymi przedmiotami. To i tak byłoby lepsze, niż dać się podstępnie zamordować.

Albo też mógłby zamknąć Leopolda. Może po kryjomu, gdy ten tylko zaśnie. Pokój gościnny, przedtem królestwo Tiny, w którym go zamierzał ulokować, miał własną łazienkę, więc jego gość w każdej chwili mógłby skorzystać z toalety. Tyle że wydało się to

Jonathanowi okropnie nie miło. Nie tylko wydało mu się nie miło, to by było nie miło.

Przy czym słowo „nie miło” stanowiłoby chyba jedynie eufemizm, właściwym określeniem było raczej „bezprawne pozbawienie wolności”.

– Niech zgadnę! – Usłyszał słowa Leopolda.

– Co? – Spojrzał zirytowany na swego gościa, był bowiem tak pogrążony w rozmyślaniach, że dopiero teraz spostrzegł, iż prawdopodobnie od paru minut stoi, milcząc i rozmyślając w holu.

– Po głowie ci się teraz tłucze, jak by się mnie jeszcze pozbyć.

– Bzdura! – zaprotestował gwałtownie Jonathan N. Grief, czerwieniąc się.

– Ależ tak – odpowiedział natychmiast Leopold, ale w najmniejszym stopniu nie wyglądał na rozgniewanego ani obrażonego, raczej na rozbawionego. – Wyraźnie to po tobie widać, masz to wypisane wielkimi literami na czole. A ja mogę to nawet zrozumieć. – Położył rękę na klamce drzwi wejściowych. – No to chyba lepiej będzie...

– Nie! – krzyknął Jonathan. Czuł się okropnie, że po jego twarzy można było poznać, nad czym się właśnie zastanawia. – Wierz mi, całkowicie się mylisz! – Wskazał niemalże służalczo na wieszak. – Proszę, rozgość się i zdejmij płaszcz.

Rozbawienie zniknęło z twarzy Leopolda. Z wahaniem mierzył nieśmiało wzrokiem kurtki i płaszcze wiszące koło drzwi. – Jesteś pewny? Obawiam się, że mój jest dosyć brudny i... – Nie kończąc zdania, popatrzył po sobie.

– Żaden problem – powiedział Jonathan odrobinę zbyt spokojnie, żeby zabrzmiało to wiarygodnie. – Powieś go na wolnym wieszaku. Potem pokażę ci twój pokój.

– Dostanę własny pokój? Na sofie też by było całkiem w porządku, nawet na podłodze byłby raj!

– Jeśli tak wolisz, to możesz się położyć w pokoju gościnnym

na podłodze.

– Nie, jasne, że nie, chętnie sypiam w łóżku! – pospieszył z odpowiedzią Leopold, zdjął płaszcz i ciężkie buty. Skarpetki, które się przy tym ukazały, przyprawiły Jonathana o szok, gdyż z obu wyglądały paluchy Leopolda. Ale czego mógł oczekiwać od bezdomnego włóczęgi? Najelegantszych skarpetek od Hugo Bossa, jakie sam nosił?

Jonathan otworzył drzwi szafy w korytarzu i wyjął z niej parę filcowych pantofli.

– Masz. – Wcisnął je gościowi w rękę, ten przyjął je z podziękowaniem i od razu wsunął w nie stopy, wyraźnie starając się nie zauważać dziur w swoich skarpetkach.

– No to jazda.

To było dziwne uczucie, wejść z Leopoldem do pokoju byłej żony. Od lat jego noga tu nie postąpiła, jedynie Henriette Jansen co kilka tygodni odkurzała i przecierała wszystko.

Jeśli nawet Jonathan od rozstania z Tiną nazywał to pomieszczenie „pokojem gościnnym” i z pościelonym łóżkiem oraz czystymi ręcznikami w sąsiadującej z nim łazience w każdej chwili było ono gotowe do przenocowania jakiegoś gościa, to w istocie żaden gość ani razu tu nie spał.

Po prostu jakoś się nie złożyło. Zwłaszcza że Jonathan nie tylko urodził się i dorastał w Hamburgu, ale także nigdy jeszcze nie opuszczał miasta na dłużej niż trzy tygodnie, toteż nie miał żadnych znajomych w innych miastach czy państwach, którzy mogli czy chcieliby go odwiedzić.

A gdyby nawet, to jego potencjalni goście byliby zapewne podobni do niego samego i przedkładali nocleg w hotelu nad wtargnięcie do prywatnej sfery drugiego człowieka.

Kontakty Jonathana z włoskimi krewnymi całkowicie ustały wraz z odejściem jego matki czy też z jego ostatnią kartką pocztową do niej, z tej strony więc także nie należało się nikogo spodziewać. Jonathan wiedział, że matka miała we Włoszech

siostrę, jako dziecko widział ją parę razy. Ale nie potrafił już nawet powiedzieć, jak miała na imię; wydawało mu się, że pamięta coś jakby Nina czy Gina.

W każdym razie nie miał żadnego powodu, by przebywać w dawnym pokoju Tiny, pozostała część domu oferowała mu więcej miejsca, niż potrzebował. Tak więc gdy stał teraz z Leopoldem pośrodku kolorowego, patchworkowego świata swojej byłej żony, zrobiło mu się niewyraźnie w żołądku. Jak gdyby jej duch tkwił tu jeszcze w ścianach, jakby cały pokój oddychał jej obecnością.

W przeciwieństwie do pozostałej części willi Tina przy urządzeniu swojego całkowicie osobistego terytorium postawiła nie na nowoczesną prostotę, lecz na fantazyjny styl wiejskiego domu.

Na łóżku szerokości stu czterdziestu centymetrów leżał barwny tartan pełniący funkcję narzuty, nad nim rozpościerał się lekki baldachim z koronki, pozostałe meble, jak szafa ubraniowa, regał na książki, toaletka i pasujące do niej krzesło, Tina własnoręcznie pomalowała farbą kredową (właśnie wtedy ćwiczyła „Do it yourself” w ramach poszukiwania sensu życia), tak że spod białej lazury przeświecało usłojenie drewna. Na ściany wybrała delikatny pastelowy odcień moreli, na wysokości oczu biegła ozdobna bordiura w kwiatowy wzór. Ten sam deseń miały zasłony w oknie.

W sumie był to pokój z dziewczęcych marzeń, jakie się spotyka jeszcze tylko w położonych na uboczu romantycznych hotelikach, mała garderoba po lewej stronie była już tylko kropką nad i. Niemile poruszony Jonathan przypominał sobie, że gdy Tina zaprezentowała mu swoje gotowe dzieło, powiedział coś w rodzaju: „Czyżbyś właśnie przeżywała swój drugi okres dojrzewania?”. Tina wybuchnęła na to płaczem, a on nie zdołał poprawić żonie nastroju nawet zaproszeniem do jej ulubionej ekskluzywnej restauracji i drogą kolia.

Wszystkie następne uwagi z jego strony, że pokój wyszedł naprawdę „całkiem ładny”, kwitowała zdaniami: „Tylko tak mówisz” i „Sprawiłeś mi przykrość”. No tak, gdy się dokładnie przyjrzeć, rzeczywiście nie pasowali do siebie zbyt dobrze. Dziwne, ale gdy teraz pokazywał Leopoldowi dawny azyl Tiny, musiał uczciwie przyznać przed sobą, że pokój gościnny rzeczywiście jest ładny i miły. Zupełnie niezgodny z jego gustem, ale na pewno przytulny.

– Och! – wykrzyknął Leopold. – Laura Ashley żyje!

– Kto? – spytał Jonathan.

– Laura Ashley – powtórzył Leopold. – Nie znasz?

– Nigdy nie słyszałem. Kto to?

– Zdaje mi się, że to ona wynalazła ten styl, taki w kierunku angielskiego ziemiaństwa i tak dalej.

– No, no, co za wiedza!

– Nie podejrzewałybyś mnie, co? – Wyszczrzył zęby. – Będziesz zaskoczony, ale nie przyszedłem na świat w kontenerze na makulaturę.

– Ehm, to przecież jasne. – Jonathan znów się o mało nie zaczerwienił, tak celnie Leopold po raz drugi trafił go w ciągu paru minut. – Może się pan tu rozgościć – oświadczył, żeby zmienić temat, i niechący użył znów formy grzecznościowej pan. – Ty – poprawił się. – Chcę powiedzieć, że możesz się tu rozgościć.

– Wszystko jasne.

– Tak, i... – Jonathan rozejrzał się niezdecydowany, a potem się wyprostował. – Pokażę ci jeszcze szybko kuchnię.

Poszli z powrotem do holu, a stamtąd do obszernej kuchni urządzonej meblami ze znanej firmy Bulthaup. Jonathan tłumaczył gościowi, gdzie znajdzie talerze, sztuce i szklanki i gdzie stoi skrzynka z wodą mineralną; powiedział, że soki i mleko są w lodówce, podobnie jak wędlina i ser.

– Możesz się wszystkim częstować. – Mówiąc to, otworzył

pokrywkę pojemnika na pieczywo na blacie roboczym.

– To naprawdę bardzo, bardzo miło i wielkodusznie z twojej strony, dziękuję!

– Ni ma za co – odpowiedział Jonathan i obaj mężczyźni się roześmiali.

Lody zostały przełamane.

Sekundę później znów stężały.

– Taa. – Jonathan klasnął w ręce. – Proponuję, żebyś czuł się tu jak u siebie w domu, a ja idę na górę. Zobaczymy się rano.

Leopold patrzył na niego osłupiały.

– Chcesz mnie tu zostawić samego?

– Yy, tak? – powiedział Jonathan pytająco i zatrzymał się w pół kroku. – Brakuje ci czegoś?

– Nie, nie. Ale myślałem, że spędzimy wieczór razem.

– Że spędzimy wieczór razem – powtórzył jak echo Jonathan.

Leopold zakasłał.

– To, jak to mówisz, brzmi zabawnie. Chciałem powiedzieć co innego. Myślałem, że może coś razem ugotujemy i pogadamy. Taki męski wieczór, miałbym na to straszną ochotę. Nieczęsto się zdarza, że ja... – Na jego twarzy pojawił się ten sam zawstydzony wyraz co przy wieszaku, potrząsnął lekko głową, a potem spuścił wzrok. – Nie, zapomnij – zamruczał. – I tak już było dostatecznie bezczelne z mojej strony, tak się wprosić do ciebie. – Skierował się do drzwi kuchni. – To ja pójdę i wezmę prysznic, okej?

Jonathan położył mu z tyłu ręce na ramionach i zatrzymał go.

– Męski wieczór, to brzmi nieźle.

Leopold odwrócił się do niego.

– Tak?

– Ale gotować musisz sam. Ja potrafię tylko usmażyć jajecznicę z szynką.

– To po co masz tu tę wypasioną kuchenkę z sześcioma palnikami? – spytał gość i kiwnięciem głowy wskazał ogromną, wolno stojącą wielofunkcyjną kuchnię pośrodku pomieszczenia.

– I po co ci te osiem garnków ze szlachetnej stali i cztery patelnie? – Wskazywał teraz na profesjonalny sprzęt, wiszący nad kuchenką.

Jonathan wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale wygląda dobrze, co? Jajeczniczy też się nie da usmażyć w garści.

– Jaka szkoda!

– Że nie da się usmażyć jajeczniczy w garści?

– Nie. – Leopold zaśmiał się. – Że taka kuchnia wie dzie taki nędzny żywot u człowieka, który nie umie jej docenić.

Jonathan rozpostarł ramiona i szerokim gestem objął całą kuchnię.

– Jak już mówiłem: czuj się jak u siebie w domu! *Mi casa es su casa.*

– Znasz włoski?

– To hiszpański – wyjaśnił Jonathan. I pomyślał, że nawet nie zna włoskiego. Też szkoda.

Hannah

Czternaście dni wcześniej
20 grudnia, środa, godzina 01.01

– Ten typ to był oszust. Kompletnie niepoważny. – Hannah przysłuchiwała się z zaciekawieniem, gdy Lisa opowiadała o swych doświadczeniach ze świata wróżbitów. Ledwie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka od lat co kilka tygodni dawała sobie wróżyć z kart – i że nigdy się do tego nie przyznała.

Hannah poczuła odrobinę zawodu i urazy, gdyż właściwie uważała siebie i Lisę za tak sobie bliskie, że oczekiwałyby więcej zaufania. Próbowwała nie myśleć o tej „zdradzie”, która nią przecież nie była, i po prostu wysłuchać przyjaciółki. W końcu każdy człowiek ma prawo do swoich tajemnic, więc Lisa także.

– Ale mogłam to z góry przewidzieć – kontynuowała opowieść Lisa o wizycie u samozwańczego „doradcy w sprawach życiowych”, który niepytany chciał ją poinformować o dniu jej śmierci. – Chcę powiedzieć, że jeśli ktoś się nazywa Mister Magic, to czego możesz się po nim spodziewać?

– Mister Magic? – Hannah zakrztusiła się i zakasłała. – Nie mówisz serio!?

– Ja nie – powiedziała Lisa. – Ale on tak.

– Jak trafiłaś do kogoś takiego?

Lisa wzruszyła ramionami.

– Przez internet – odrzekła. – Jego strona mimo tego kretyńskiego imienia wyglądała dość dobrze. No więc

postanowiłam spróbować.

– To jest właśnie problem z siecią. Zna się takie rzeczy z giełd singli, gdzie przystojni faceci, ludzie sukcesu, przy pierwszym spotkaniu w realu okazują się zawsze maminsynkami z piwnym brzuchem, jeszcze z czterdziestką na karku, siedzącymi w domu rodziców w swoich pokojach nastolatków.

Lisa roześmiała się.

– O tym doświadczeniu możesz mi od razu opowiedzieć. Chętnie posłucham!

Hannah machnęła lekceważąco ręką.

– Tylko tak powiedziałam, ja sama jeszcze nigdy się tam nie kręciłam.

– Lepsze mocne twierdzenie niż słaby dowód!

– Właśnie tak – przytaknęła Hannah. – Ale opowiadaj dalej. Jak zareagowałaś, kiedy on ci to zaproponował?

– No, a jak myślisz? Wstałam i wyszłam!

– Też bym tak zrobiła.

– Jeszcze przed chwilą twierdziłaś coś przeciwnego, powiedziałaś, że ty chciałabyś wiedzieć – zauważyła Lisa.

Hannah przewróciła oczami.

– No tak, zgadza się. Ale przecież nie od jakiegoś wróżbity! Poza tym wcale nie wierzę, że możliwe jest przepowiedzenie daty śmierci.

– Ja też nie do końca w to wierzę – stwierdziła Lisa – ale mimo to gdy ktoś ci mówi, że może zobaczyć, kiedy umrzesz, to najpierw dostajesz pietra.

– Gdy ten ktoś nazywa się Mister Magic, to raczej dostałabym ataku śmiechu.

– Nie byłaś przy tym – powiedziała Lisa nieco urażona.

– To prawda. Ja po pierwsze w ogóle bym nie poszła do faceta, który się tak nazywa.

– Po fakcie każdy jest zawsze mądry. A poza tym są też inni oprócz Mistera Magica.

– Mam nadzieję.

– Nie, serio – zapewniała przyjaciółka. – Mnie takie seanse ogromnie pomogły.

– W czym? – Hannah nie mogła się powstrzymać, by nie przybrać sceptycznej miny.

– Na przykład w podejmowaniu decyzji.

– Wymień mi choć jedną!

Lisa zastanawiała się przez chwilę.

– Na przykład gdy chodziło o kwestię, czy mamy się stać samodzielne z Bandą Urwisów...

– Chcesz powiedzieć, że przy podejmowaniu decyzji, czy mamy zaryzykować ten krok, zasięgałaś rady u wróżbity? – przerwała jej Hannah.

– U doradcy do spraw życiowych. – Przyjaciółka, urażona, ściągnęła usta. – A poza tym to była kobieta.

– W takim wypadku jest to, rzecz jasna, coś zupełnie innego.

Lisa westchnęła.

– Zapomnij! Natychmiast przestaję ci dalej opowiadać, to nie ma żadnego sensu.

– Nie, proszę, Uważam, że to intrygujące.

– Nie – powiedziała Lisa. – Nie mam już ochoty.

– Proszę! – marudziła Hannah.

– Nie.

– Proszę, proszę, proszę! To mi pomaga oderwać się od tych cholernych rozmyślań o Simonie.

– No, tu to już przegięłaś, to jest nie fair! Jak ja mogę teraz powiedzieć „nie”? – Lisa skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła z wyrzutem na przyjaciółkę.

– No już, nie daj się prosić! – zebrała Hannah dalej. – Ja już nie odezwę się ani słowem.

– I tak nie wytrzymasz.

Hannah pokręciła wyimaginowanym kluczem przed swoimi ustami i szerokim gestem udawała, że go wyrzuca.

– No dobrze. – Lisa okazała się łaskawa. – Oczywiście nie uzależniałam swojej decyzji całkowicie od tego, co powiedzą mi karty. Seans umocnił mnie po prostu w przekonaniu, że postępujemy słusznie, gdyż wszystkie znaki wskazywały na sukces.

– No do zie dziesze – wymamrotała Hannah z przymkniętymi ustami, na co Lisa obrzuciła ją kolejnym surowym spojrzeniem.

– Właściwie to jest tak – kontynuowała Lisa – że przy tym człowiek sam sobie udziela odpowiedzi, którą, prawdę powiedziawszy, już zna. Tyle że spojrzenie na to jest zablokowane, a karty pomagają je odblokować, rozumiesz?

Hannah kiwnęła głową.

– Weźmy jeszcze jeden przykład. – Lisa znowu zdawała się wpadać w nastrój pogawędki. – Ty i Simon: wiem dobrze, że oboje się zastanawiacie, kiedy ja wreszcie rozejrzę się za jakimś facetem. Ale jeśli mam być szczerą, to przez cały ten czas nie chciałam w ogóle żadnego, gdyż w głębi duszy wiedziałam, że nie nadeszła jeszcze właściwa pora. Od mojego ostatniego rozstania stale były ważniejsze sprawy.

Hannah nadstawiła uszu.

– Aha – wywnioskowała – mówisz „były”, w czasie przeszłym. Czyżby coś się tu zmieniło?

– Masz wprowadzić nadal zakaz mówienia, ale tak.

– Tak? Poznałaś kogoś?

– Jeszcze nie, ale wkrótce.

– Wkrótce?

– Po prostu jest tak, że moje życie w pojedynkę w ostatnich latach bardzo mi się spodobało – tłumaczyła Lisa. – Nie odczuwałam braku nikogo, lecz raczej cieszyłam się tym, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. I to właśnie pokazywały mi wciąż karty, mianowicie, że jest dobrze tak, jak jest teraz. – Przerwała na chwilę, by się zastanowić. – Dopiero od kilku tygodni, od kiedy otworzyłyśmy Bandę Urwisów... Jak ci to

wytłumaczyć? Z naszym przedszkolem czuję się tak dobrze i jestem taka szczęśliwa, że nagle coraz częściej zaczęłam myśleć o tym, jak by to było fajnie mieć u boku partnera, który by się cieszył wraz ze mną.

– Serio? – Hannah poczuła rosnące wzruszenie. Chwyciła rękę Lisy i ścisnęła ją. – Nie potrafię ci powiedzieć, jaką ulgę poczułam, gdy to usłyszałam. Czasami bowiem trochę się martwiłam tym, czy aby na pewno miałam rację, namawiając cię na złożenie wymówienia. To wszystko mogło przecież nie wypalić.

– To było absolutnie słuszne! – Lisa z przekonaniem pokiwała głową. – Gdybym wiedziała, jakie to jest fajne, to zrobiłabym to o wiele wcześniej.

– Jak już ci powiedziałam, poczułam ulgę. – Hannah uśmiechnęła się. – A od kiedy wiem, że twoja wróżbitka zabezpiecza nam tyły, to już w ogóle nie muszę się niczym martwić. Jakbyśmy zbankrutowały, to mogę zwalić na nią – w końcu powinna to zobaczyć w swojej szklanej kuli.

– W kartach – poprawiła ją Lisa. – Sarasvati kładzie mi karty, ze szklanymi kulami nie ma nic wspólnego.

– Sarasvati?

– No, tak mi się tylko wymknęło – mruknęła Lisa.

– Wymknęło to wymknęło – stwierdziła Hannah wesoło. – Sarasvati w każdym razie brzmi jeszcze bardziej zwariowanie niż Mister Magic!

– Ona jest naprawdę fantastyczna! – broniła się Lisa. – A wszystko, co mi do tej pory przepowiedziała, się sprawdziło.

– To spytaj ją kiedyś o liczby w totolotku!

– Przestań się wygłupiać! – Lisa wyglądała na porządnie urażoną.

– Sorry, nie chciałam cię zdenerwować – wycofywała się Hannah. – Opowiadaj dalej! Więc ta Sarasvati uważa, że wkrótce spotkasz mężczyznę swojego życia?

– O mężczyźnie życia nic nie wspominała, ale gdy byłam u niej

przed dwoma tygodniami, powiedziała mi, że w następnym roku czeka mnie szczególne spotkanie.

– Szczególne spotkanie to dość pojemne stwierdzenie.

– Według Sarasvati chodzi o partnerstwo.

– Może miała na myśli mnie? W końcu także jesteśmy partnerkami. W pewnym sensie.

– Po pierwsze, już cię znam, więc to raczej odpada – odpowiedziała Lisa. – A po drugie, w kartach był mężczyzna.

– Okej. – Hannah mrugnęła do Lisy. – Mężczyzną nie jestem.

– Zgadza się. Tylko często się zachowujesz jak facet.

– Wielkie dzięki!

– To był jak najbardziej komplement.

– Toteż powiedziałam grzecznie, że dziękuję.

Roześmiały się, a potem Hannah znów spoważniała.

– Ale pomijając już to, że w sprawach Bandy Urwisów i wymarzonego mężczyzny masz, jak widać, dobre karty, to co ja mam teraz zrobić z Simonem?

– Nie wiem – przyznała Lisa. – Odczekać, powiedziałabym.

– Z trudem mi to przychodzi. Najchętniej bym go zaciągnęła za włosy do szpitala, żeby sobie zrobił dalsze badania.

– Nie możesz go zmusić, powinien sam tego chcieć.

– Wiem. Ale gdybym tylko mogła go jakoś przekonać, że w tej sytuacji nie powinien tracić otuchy. Że na pewno ma przed sobą nie tylko ten jeden rok, że zupełnie niepotrzebnie sam się nakręca, tworząc jakieś katastroficzne scenariusze.

– A jak go chcesz o tym przekonać? Tak naprawdę sama tego nie wiesz.

– A właśnie że wiem! – zaprotestowała Hannah. – Jestem tego absolutnie pewna.

– A skąd czerpiesz tę pewność?

– Nie mam pojęcia, po prostu wiem. To wykluczone, że Simon wkrótce umrze. Nie pozwolę na to! – Do oczu znów napłynęły jej łzy. Wiedziała bowiem sama, że właśnie przedstawiła nader

dziecinne argumenty. Że to nie było nic innego jak magiczne myślenie; rozpaczliwa próba zatykania sobie uszu, by to, czego człowiek nie chce usłyszeć, do niego nie docierało.

Lisa popatrzyła na nią smutno.

– Niekiedy rzeczy, które wydają się tak straszne, że nie możemy w nie uwierzyć, są jednak prawdziwe.

– Tak – powiedziała Hannah cicho i zaszlochała. – Są takie. Niestety.

I tak siedziały obok siebie, dwie przyjaciółki, które nie wiedziały, co jeszcze mogłyby powiedzieć. Lisa znowu zaczęła głaskać Hannah po głowie, jakby ją pocieszała z powodu rozbitego kolana. A chodziło o ciężką ranę, tak ciężką, że może nigdy się nie zagoi.

– Chyba mam pomysł – przerwała wreszcie tę ciszę.

– Tak, a jaki?

– Mogłybyśmy przecież posłać Simona do Sarasvati, żeby i dla niego popatrzyła w karty.

Hannah wyprostowała się i spojrzała na Lisę z powątpiewaniem.

– To nie jest dobry pomysł. Po pierwsze, on nigdy się nie zgodzi na takie bzdury, jak to z pewnością nazwie, a po drugie, nie wiemy przecież, co wyjdzie mu z kart. Na koniec jeszcze mu powie, że nie ma żadnej szansy – i co wtedy?

Lisa potrząsnęła głową.

– Nie zrobi tego, przecież ona to nie Mister Magic. Sarasvati pokazuje swym klientom możliwe drogi, pomaga odkryć szanse.

– Mimo to Simon na to nie pójdzie, wiem dobrze. – Niemal się roześmiała. – Już sobie to wyobrażam! Że mówię mu: „Słuchaj, wiem, myślisz, że wkrótce musisz umrzeć, ale ja mam tu adres fajnej wróżbitki, powinieneś się kiedyś do niej wybrać”. Bądźmy szczerze, pokaże mi kółko na czole.

– To była tylko propozycja. – Lisa westchnęła. – Ja też jestem kompletnie bezradna, nie wiem, jak mogłybyśmy mu pomóc.

– Ach, trudno. Mnie pomagasz już przez samo to, że po prostu jesteś tu ze mną, że nie muszę być dziś w nocy sama.

– To przecież rozumie się samo przez się. – Lisa uśmiechnęła się, następnie nachyliła i cmoknęła Hannah w policzek. – I jestem absolutnie pewna, że razem znajdziemy jakieś rozwiązanie. – Ziewnęła przeciągle i zsunęła się nieco na sofie. – Teraz jeszcze może nie, ale jutro wszystko będzie wyglądać już nieco lepiej. Mam nadzieję.

Hannah położyła głowę na ramieniu Lisy i zamknęła oczy. Mimo że też była śmiertelnie zmęczona, jej myśli nadal kłębiły się jak szalone. Gdyby tylko coś jej wpadło do głowy, coś, co pozwoliłoby wyciągnąć Simona z czarnej otchłani, w którą wpadł! Jakiś pomysł, jak mogłaby natchnąć go optymizmem, jak mogłaby go przekonać, że na pewno, na pewno nie umrze w ciągu następnego roku.

Może jednak ten seans u tarocistki? Nie, to bzdury, to by nic nie dało.

Po spokojnym oddechu Lisy poznała, że przyjaciółka usnęła. Sama też chciała iść spać i w ten sposób przynajmniej na parę godzin uciec przed myślami. Ale nic nie pomagało, mimo wyczerpania kojący sen nie nadchodził. Po kilku minutach odrzuciła więc koc i wstała ostrożnie, żeby nie zbudzić Lisy.

Zamyślona przyglądała się śpiącej przyjaciółce. Naprawdę się cieszyła, że ma Lisę. Nie tylko dlatego, że razem z nią z sukcesem stworzyła własną firmę, ale przede wszystkim dlatego, że bez niej w ogóle by nie wiedziała, jak przetrwać tę noc.

Hannah poszła do sypialni, usiadła na łóżku i wzięła z nocnego stolika swoją komórkę. Zwykle wyłączała ją w nocy, podobnie jak telefon stacjonarny, ale dziś położyła ją w zasięgu ręki na wypadek, gdyby zadzwonił Simon. Rzut oka na wyświetlacz pokazał, że się nie zgłaszał, ale też nie liczyła na to.

Niemniej miała taką nadzieję. Pragnęła tego. Pragnęła, by przed zaśnięciem przysłał jej jeszcze esemesa, krótkiego,

„Kocham cię i myślę o tobie” albo choćby „Nie martw się, czuję się dobrze”. Po prostu cokolwiek.

Hannah otworzyła przeglądarkę internetową w komórce. Choć pokusa dowiedzenia się czegoś więcej o raku węzłów chłonnych była wielka, to zdołała się jej oprzeć. Nie chciała narażać się na ryzyko, że podobnie jak Simon zwariuje, radząc się doktora Google’a. Nie, zachowa spokój i nie pozwoli się wepchnąć w myślowe błędne koło przez opinie jakichś ludzi, których wiedza medyczna pochodziła z „Przeglądu Aptecznego”.

Zamiast tego zaczęła szukać inspiracji do tematów „apetyt na życie, optymizm i radość”. Historii, które dowodziły, że z każdej, choćby najbardziej beznadziejnej sytuacji istnieje jednak zawsze jakieś wyjście.

Gdy tak czytała i czytała, przez głowę przebiegała jej jedna jedyna myśl: jak mam nakłonić Simona do tego, by mimo choroby z ufnością stawiał czoło następnemu rokowi? Jak mogę go przekonać, że to od niego zależy, jak przeżyje te dwanaście najbliższych miesięcy? Że nie wolno mu tracić wiary. I że liczy się każdy dzień, każda godzina, a nawet minuta, które powinien wykorzystać w pełni i cieszyć się nimi. Bowiem na koniec wiadomo przecież: to naprawdę wszystko jedno, jak długo się żyło – w ostatecznym rozrachunku dla każdego człowieka liczyło się zawsze tylko Tu i Teraz, każda chwila.

Wyświetlacz komórki pokazywał już godzinę szóstą dwadzieścia trzy, gdy zbawczy pomysł się pojawił. Z radości Hannah wydała z siebie okrzyk tak głośny, że hałas z pokoju dziennego zdradził, iż Lisa właśnie spadła z sofy.

Sekundę później przyjaciółka stanęła w drzwiach sypialni i patrzyła na nią przerażona.

– Na litość boską, co się stało?

– Nic – odparła Hannah i zaśmiała się. – Przyszedł mi tylko do głowy genialny pomysł.

– Jaki znowu? – Lisa wskoczyła na łóżko obok niej i patrzyła na

nią w napięciu.

– Właściwie to całkiem prosty.

– No to mów wreszcie!

– Ja i ty jesteśmy poniekąd menedżerkami od eventów, prawda?

– No tak, choć to określenie jest może odrobinę na wyrost.

– No i dobrze. Pewne jest, że każdego dnia dbamy o to, żeby nasze dzieciaki spędzały fantastycznie czas.

– Obawiam się, że nie całkiem za tobą nadążam.

– To bardzo proste: to, czego potrzebuje Simon, to fantastycznie spędzany czas!

– Fantastycznie spędzany czas?

Hannah skinęła głową.

– Właśnie tak!

– Aha. – Na twarzy Lisy malowało się tysiąc znaków zapytania.

– Jestem stuprocentowo przekonana – wyjaśniała Hannah – że Simon rzeczywiście pogrążony jest w czymś w rodzaju depresji. Śmierć matki i utrata pracy – to wpędziło go w kryzys i nie może znaleźć z niego wyjścia.

– Zapominasz, że dopiero co dowiedział się o swojej śmiertelnej chorobie.

– Nie, nie zapominam, dojdę do tego później. Mogę mówić dalej?

– Jasne, przepraszam.

– No więc głowiłam się, jak mogę przekonać Simona do tego, by znów potrafił cieszyć się życiem. A przecież odpowiedź widać jak na dłoni: musi po prostu znów intensywniej żyć, to wszystko! Simon musi stać się aktywny!

– A jak to się ma odbyć? – zapytała Lisa. – Jeśli cię dobrze zrozumiałam, to on właśnie planuje swój własny pogrzeb. To chyba nie jest najlepszy moment na wzywanie go, żeby, niech to szlag, cieszył się życiem.

– Błąd! – sprzeciwiła się Hannah.

– Błąd?

– To jest wręcz najlepszy moment! Bo który moment byłby lepszy niż ten, kiedy człowiek musi sobie uświadomić własną śmiertelność? Gdy przypominają mu dobitnie, że wszyscy przemijamy?

– Tak uważasz?

Hannah kiwała z zapalem głową.

– Absolutnie!

– A jaki dokładnie masz plan?

– Zrobię mu kalendarz!

– Kalendarz?

– Tak! – Hannah ponownie kiwnęła głową. – Jeszcze dziś zacznę planować dla Simona następny rok, wymyślę mu całą masę pięknych terminów i zadań.

– Masz na myśli to, że podyktujesz mu, co ma zrobić w następnym roku?

– Co to znaczy „podyktować”? To mają być inspiracje, trzysta sześćdziesiąt pięć pomysłów, po jednym na każdy dzień! – Głos jej omal się nie załamał z entuzjazmu. – Wytyczę mu tropy prowadzące w przyszłość.

– Tropy w przyszłość?

– Tak – potwierdziła Hannah.

– Nie rozumiem.

– To bardzo prosta zasada. Jeśli wytyczasz tropy prowadzące w przyszłość, to zachowujesz się tak, jakby to, czego pragniesz, już dziś się spełniało.

– Ciągle jeszcze nie rozumiem – przyznała Lisa.

– Praktyczny przykład: kupujesz sobie spodnie w numerze trzydzieści osiem, chociaż nosisz rozmiar czterdzieści, ale chętnie byś schudła o jeden numer. Kupując sobie już teraz coś, co będzie na ciebie pasować później, wytyczasz tropy w przyszłość.

– Aha.

– To naprawdę bardzo proste! Nasza energia idzie w ślad za

naszą uwagę – tłumaczyła Hannah coś, w co głęboko wierzyła. – A jeśli skierujemy nasze myśli na to, czego pragniemy, to prawdopodobieństwo, że to osiągniemy, jest o wiele większe, niż gdybyśmy ciągle narzekali na coś, czego nie chcemy. Wtedy bowiem kierujemy naszą uwagę dokładnie na to, czego właściwie chcielibyśmy uniknąć.

– Przepraszam, ale jeśli dobrze zrozumiałam, to zgodnie z tą logiką na przykład całkowicie błędne byłoby zapinanie pasów podczas jazdy.

– Teraz to ja nie rozumiem.

– To przecież jasne: jeśli zapinam pasy, to tym samym wytyczam trop w przyszłość, że może mi się zdarzyć wypadek.

– To tak nie działa – odparła Hannah zirytowana. – Wytyczać trop w przyszłość to przecież nie znaczy, że kompletnie wyłączam rozum i w poczuciu siły skaczę z dachu, bo wierzę święcie, że umiem latać.

– Szkoda.

– Głupia gęś!

– Sama jesteś głupia gęś!

Hannah musiała zachichotać.

– Jak na kogoś, kto porwał się na samodzielność na podstawie wypowiedzi jakiejś wróżki, to jesteś nadzwyczaj krytyczna.

– Doradczyni w sprawach życiowych – poprawiła Lisa. – Poza tym próbuję tylko przyjąć perspektywę Simona i dlatego pokazuję ci jego możliwe reakcje. Ja uznałabym taki kalendarz za super, ale tu niestety nie chodzi o mnie.

– Wszystko jedno, jak on zareaguje, ja i tak go zrobię! Simon wierzy, że nie przeżyje tego roku, no więc ułożę mu ten następny rok, wytyczę tropy w przyszłość, żeby czarno na białym miał przed oczami to wszystko, co ma jeszcze do zrobienia. Że jest absolutnie niemożliwe, żeby umarł, gdyż kalendarz nie da mu na to ani chwili! – Odzyskała dawny entuzjazm.

– Naprawdę nie zamierzam cię zniechęcać – Lisa ponownie

odegrała rolę adwokata diabła – ale serio wierzysz w to, że on właśnie teraz jest otwarty na coś takiego?

– Już ci mówiłam, ten moment jest wręcz szczególnie korzystny.

– To o przemijalności brzmi wprawdzie ładnie, pięknie oraz logicznie, ale między teorią i praktyką jest przecież chyba spora różnica. Poza tym każdy człowiek jest inny. Jeden dowiaduje się, że niebawem się zawinie... – Przerwała i po chwili dodała nieśmiało „przepraszam”.

– Nic, mów dalej.

– No więc jeden się dowiaduje, że niebawem kopnie w kalendarz, lub, jak to mówią, musi „oddać łyżkę”, i dopiero zaczyna ostro balować, tak jak ty byś zrobiła. A drugi zaszyje się w najciemniejszym kącie.

Hannah nic na to nie odpowiedziała, wpatrywała się tylko w Lisę.

– Powiedziałam coś nie tak?

– Nie – odrzekła Hannah z namysłem i zmarszczyła czoło. A potem uśmiechnęła się do Lisy. – Przeciwnie! – zawołała. – Powiedziałaś coś wspaniałego!

– Naprawdę?

– Tak! Lista łyżek, dokładnie tak powinien wyglądać mój kalendarz!

– A cóż to znowu ta lista łyżek?

– Nie widziałaś filmu *Choć goni nas czas*?[5]

– Nie, a powinnam?

– Koniecznie, jest super! Opowiada o dwóch facetach, którzy są nieuleczalnie chorzy na raka...

– No, rzeczywiście super. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– To w ogóle nie jest ważne! Ci dwaj zaprzyjaźniają się ze sobą i zaczynają wspólnie tworzyć swoją listę łyżek. To lista wszystkich tych rzeczy, które chcą jeszcze przeżyć, zanim...

– ...oddadzą łyżkę – dokończyła Lisa.

– Właśnie.

– A jak się kończy ten film?

Hannah zaczęła się niespokojnie kręcić.

– No dobrze, na końcu obaj umierają. Ale przedtem realizują punkty ze swojej „listy łyżek”.

Teraz to Lisa wpatrywała się w Hannah.

– Brzmi naprawdę wspaniale! I tak osunęli się do grobu jako spełnieni ludzie!

– Ach, musisz po prostu zobaczyć ten film, wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi.

– Absolutnie cię rozumiem – odrzekła Lisa. – Chcesz zachęcić Simona, żeby sporządził swoją „listę łyżek”. Czyli powiedzieć mu: hej, napisz jeszcze szybko, co chcesz zrobić, zanim oddasz łyżkę. Wprawdzie twoim zdaniem to już tylko parę miesięcy czy tygodni, ale musimy jeszcze zrobić wypad do parku rozrywki w Soltau. A jak będziemy mieli szczęście, to tak cię to popędzi do galopu, że zaraz zapomnisz o tym swoim umieraniu. Tak szczerze, jeśli boisz się tego, że mógłby cię ochrzanić za sugestię, by poradzić się wróżki, to twoja „lista łyżek” na bank spotka się z jego wielkim uznaniem!

Hannah patrzyła na Lisę z nieszczęśliwą miną.

– Oczywiście nie nazwałabym tego „listą łyżek”. W ogóle mój plan jest taki, że to nie on sam ją pisze, ale robię to dla niego ja. Kalendarz ma być właśnie po to, poniekąd dam mu gotową listę.

– A co niby ma się na niej znaleźć? Oprócz wypadu do parku rozrywki?

– Jeszcze nie wiem – przyznała Hannah. – Pomysł dopiero mi przyszedł do głowy, muszę się nad nim w spokoju zastanowić. – Gestykulowała bezładnie. – Jakies fajne rzeczy po prostu, coś, co moglibyśmy robić razem. Pojechać nad morze. Pobiegać boso po ukwieconej łące, przetańczyć noc do piątej rano...

– W stanie Simona raczej bym to usilnie odradzała – wtrąciła Lisa. – Przepraszam – dodała natychmiast, gdy zauważyła wzrok

Hannah. – Tak tylko myślę.

– W tym kalendarzu mogą się znaleźć najróżniejsze rzeczy, nie muszą to być wcale jakieś spektakularne wydarzenia – puszczała wodze fantazji Hannah. – Takie tam drobiazgi, rzeczy, które zapewniają ci dobre samopoczucie. Albo choćby tylko parę pocieszających myśli, jeszcze dobrze nie wiem. – Zastanowiła się przez moment. – Wpisałabym mu na przykład datę, kiedy wreszcie by usiadł i zaczął pisać tę swoją powieść.

– Mogłoby się z tego zrobić jakieś chore dzieło. I do tego jeszcze niedokończone.

– Lisa!

– Przepraszam – rzekła przyjaciółka i spuściła oczy. – Nie chcę tylko, żebyś się rozczarowała – mruknęła.

Hannah westchnęła.

– Gorzej niż teraz i tak chyba nie może być, muszę po prostu spróbować. A jeśli Simon naprawdę myśli, że umrze w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy, to co ma do stracenia?

– Właściwie nic.

– No właśnie. Jeśli go poproszę, żeby zrobił to dla mnie i przynajmniej spróbował, to może jednak to zrobi? Po prostu dlatego, że przecież mnie jeszcze odrobinę kocha i jestem dla niego ważna?

– To mogłoby się udać – przyznała wreszcie Lisa.

– Taką mam nadzieję.

– A co z jego chorobą? Nie może jej po prostu ignorować, musi iść do lekarza albo jeszcze raz do szpitala.

– Ja też jeszcze nie wiem. Liczę na to, że uda mi się wykrzesać w nim znów tyle energii, by podjął walkę i dał sobie pomóc. – Hannah uśmiechnęła się smutno. – A jeśli Simon naprawdę nie myli się w tych swoich ponurych przypuszczeniach i nie pozostaje mu zbyt wiele czasu, to powinien to być cholernie dobry czas dla niego, najlepszy w jego życiu! – Przełknęła z trudem ślinę i zanim się obejrzała, znów zaczęła szlochać. –

Cholera! – wykrzyknęła i uderzyła dłonią w narzutę. – Jeśli to ma być naprawdę jego ostatni rok, to tym bardziej chcę, żeby to był dla niego cholernie, cholernie wspaniały rok!

Lisa objęła ją ramieniem.

– Uda ci się – powiedziała cicho. – Pomogę ci.



5 Tytuł oryginału amerykańskiego: *The Bucket List*.

Jonathan

3 stycznia, środa, godzina 18.32

Dwadzieścia minut później obaj mężczyźni siedzieli przy długim tekowym stole w jadalni Jonathana, każdy z jajecznicą na szynce na talerzu. Jonathan nie tylko nie umiał sam przyrządzić nic innego – nie miał też nic innego do „gotowania” w domu.

Zaproponował wprawdzie, że może pojechać do supermarketu i kupić parę rzeczy, które Leopold wypisze mu na kartce, ale ten machnął tylko rękę.

– Grunt, żeby zjeść coś na ciepło!

Następnie przeprosił, że weźmie szybki prysznic, i po kwadransie wrócił do kuchni w szlafroku w kwiatki, który wisiał w łazience Tiny. Pogwizdując wesoło, wyjął z lodówki jajka i zabrał się do dzieła.

Rezultat, jeśli chodzi o treść, nie różnił się wprawdzie zanadto od jajek sadzonych Jonathana, ale pod względem smaku dzieliły je światy. Leopold skorzystał z szuflady z przyprawami i sporządził jakiś miks, który bez przesady uczynił z jajek najlepsze danie, jakie Jonathan kiedykolwiek jadł.

– Przepyszne! – pochwalił swego nowego znajomego.

– Cieszę się.

– Skąd umiesz takie rzeczy?

Leopold się uśmiechnął.

– Jajecznica to naprawdę żadna wielka sztuka.

– Ale jak smakuje. – Jonathan kiwnął głową z uznaniem. – Naprawdę bardzo, bardzo pyszna.

– Kiedy człowiek musi się ograniczać, to uczy się wyciskać maksimum z minimum.

– Rozumiem – rzekł Jonathan.

– Poza tym jestem wykwalifikowanym kucharzem.

– To wszystko tłumaczy.

– Masz! – Leopold podsunął mu koszyk, w którym leżało kilka kromek ciemnego chleba. – Weź kawałek, będzie smakować jeszcze lepiej.

– Dziękuję, nie. – Jonathan zamachał odmownie rękę. – Po osiemnastej nie jem już żadnych węglowodanów.

Leopold o mało się nie zakrztusił swoją jajecznicą.

– Mówisz serio? – wymamrotał z serwetką przy ustach.

– Jak najbardziej! Produkty zawierające skrobię to wieczorem prawdziwa trucizna dla organizmu.

– Kto tak mówi?

Jonathan wzruszył ramionami.

– To powszechna opinia.

– To znaczy czyja?

– Nie mam pojęcia – musiał przyznać Jonathan. – Gdzieś to kiedyś przeczytałem i wydało mi się przekonujące.

– No dobrze. – Leopold wziął kromkę chleba i ugryzł ją ze zdrowym apetytem. – Za powszechną opinię – powiedział, żując.

– Ale za to mam coś innego, co znakomicie pasuje do tej pory dnia! – Jonathan wstał, wyszedł z pokoju i zniknął w kuchni, by po chwili wrócić z butelką czerwonego wina i dwoma kieliszkami na wysokich nóżkach. – Bordeaux, nader wyśmienity trunek na szczególne okazje – objaśnił, siadając z powrotem; postawił kieliszki i zabrał się do otwierania butelki.

– Czuję się niesłychanie zaszczycony – powiedział Leopold, choć miał trochę nieszczęśliwą minę. – Ale teraz obawiam się, że popsuję ci zabawę. Nie piję alkoholu.

Jonathan przerwał otwieranie butelki.

– To przecież tylko wino!

– Przepraszam, jestem całkowitym abstynentem, więc także żadnego wina.

– Hm. – Jonathan popatrzył na niego bezradnie, niepewny, czy mimo to ma otworzyć butelkę. Jednocześnie zdumiało go, że bezdomny nie pije, stereotyp nie stereotyp, ale zawsze był święcie przekonany, że wszyscy ludzie żyjący na ulicy umilają sobie życie chlaniem. Do tego jeszcze kucharz! O nich też myślał, że wszyscy są w skrytości uzależnieni od butelki. Połowa flaszki wina do sosu, połowa do gardła faceta przy kuchni. – Od zawsze? – spytał.

Leopold się zaśmiał.

– Nie, nie od zawsze. Przeciwnie, wcześniej chętnie piłem. Nazbyt chętnie. I to jest też powód, dlaczego już nie biorę alkoholu do ust.

– Aha. – Jonathan wciąż jeszcze siedział z otwieraczem, który wkręcił już do połowy korka, i nagle nie wiedział, co ma zrobić z rękami. I z butelką.

– Ależ proszę cię bardzo – powiedział Leopold – napij się tego wyśmienitego trunku, mnie to nie przeszkadza.

– Na pewno?

– Absolutnie. – Uśmiechnął się. – Gdybym nie mógł znieść, że ludzie w moim otoczeniu coś piją, musiałbym zamieszkać na jakiejś odludnej wyspie. I nawet tam mogłoby mi się przydarzyć, że napatoczyłby się jakiś rozbitek z piersiówką. A więc nalej sobie!

Z głośnym „pum” korek wyskoczył z butelki. Jonathan nalał sobie łyżeczek, następnie poruszył kieliszkiem, a wreszcie uniósł go do ust.

Darował sobie okazywanie zachwyty, w końcu już i tak czuł się na wpół przestępcą, że pije w obecności alkoholika. Gdyby to przewidział, zostałyby przy wodzie, którą wcześniej nalał do

szklanek.

– Rzuciłem to nie tak dawno temu – opowiadał Leopold, odchylając się do tyłu na krześle.

– Co masz na myśli?

– No, picie.

– Ach tak?

Skinął głową.

– Sześć tygodni temu znowu wylądowałem w klinice. Policja zabrała mnie z Reeperbahn, gdzie w nocy położyłem się u wejścia do jakiegoś kasyna. Miałem trzy i dwie dziesiąte promila na alkomacie, gdy się przebudziłem na odwyku.

– Trzy i dwie dziesiąte promila? – O mało nie dodał: „Szacunek!”, ale jakoś zdołał się powstrzymać.

– Tak. – Leopold z jednej strony sprawiał wrażenie skruszonego, z drugiej także w jakiś sposób wojowniczego. – Po tygodniu na tyle odzyskałem jasność umysłu, że poprzysiągłem sobie: koniec z piciem! Nie chciałem już nigdy więcej wylądować w takim przybytku i postanowiłem od zaraz znowu wziąć życie w swoje ręce.

– Ale wciąż jeszcze mieszkasz na ulicy?

– Co to znaczy: wciąż jeszcze? Tak szybko to się nie dzieje – rzekł Leopold. – Dopiero przecież zacząłem.

– A zasilek nie przysługuje każdemu? – Jonathan nie orientował się w sprawach pomocy społecznej, bo i skąd, jednakże, o ile wiedział, nikt, kto tego nie chciał, nie był w tym kraju zmuszony żyć na ulicy.

– Przy tym temacie mógłbym może jednak napić się łyeczek – stwierdził Leopold, ale jednocześnie uniósł ręce w obronnym geście, aby postawić sprawę jasno, że to był tylko żart. – To wszystko jest dość skomplikowane. Bezdomność to błędne koło, które nie tak łatwo przerwać, trzeba na to czasu. Czasu i wytrwałości.

– Czy mógłbym... – Jonathan musiał się pohamować, żeby nie

dokończyć zdania słowem „pomóc?”; trochę niezgrabnie zvekslował na: – Dowiedzieć się o tobie czegoś więcej? – Przyjemnie było siedzieć tu sobie z Leopoldem, ale jednak nie zamierzał w przyływie spontanicznych emocji proponować mężczyźnie od razu gościny.

– Ach, nie – odparł Leopold i machnął lekceważąco ręką. – To nie jest szczególnie ciekawe. Lepiej ty opowiedz coś o sobie. Jak dotychczas nic jeszcze o tobie nie wiem. Poza tym, że masz super dom z fantastyczną kuchnią, której nie używasz. I że wyrzucasz ważne dokumenty.

– Za wiele nie ma tu do opowiadania.

– Nie wierzę ci.

– Ale tak jest.

– Udowodnij to!

– No dobrze. – Jonathan upił kolejny łyk wina. – Jestem jedynym potomkiem hamburskiej dynastii wydawców. Mojego majątku w większej części nie wypracowałem więc sam, lecz go odziedziczyłem. Mój ojciec jest apodyktyczny, ale obecnie cierpi na demencję i najczęściej jest łagodny, moją matkę widziałem po raz ostatni trzydzieści lat temu. Jestem rozwiedziony i bezdzietny, większość czasu spędzam na czytaniu, spacerach i sporcie. To tyle.

– Jakieś hobby?

– Codziennie biegam i dużo czytam.

– A poza tym?

– Co poza tym?

– Co robisz w wolnym czasie, którego zdaje się, masz całą masę?

– A co niby mam robić?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Leopold. – To, co się normalnie robi, jak przed człowiekiem wszystko stoi otworem. Na przykład podróżowanie. Albo zarządzanie jakimiś projektami dobroczynnymi. Żeglowanie, gra w polo, w golfa, to przecież

robią tacy ludzie jak ty.

– Istnieje fundacja wydawnictwa wspierająca młodych autorów, zajmują się tym pracownicy. Koni się boję, żeglowanie uważam za nudne, golf tak samo, a od kiedy porzuciła mnie żona, nie mam zbytnej ochoty na podróże. Właściwie to bardzo chętnie przebywam w domu.

Leopold gapił się na niego z twarzą bez wyrazu. Potem po raz drugi tego dnia powiedział „wow!”, nie bez aż nadto słyszalnej nutki ironii w głosie.

– Mówiłem, że nie ma tu za dużo do opowiadania. – Jonathan przeszedł do defensywy.

– Oczywiście – zgodził się z nim Leopold. – Ale tak mało?

– Większość ludzi nie prowadzi życia jak Indiana Jones.

– Ale między nim i bezsensowną egzystencją jest chyba jeszcze coś pośrodku.

– A jak sensowna jest egzystencja w kontenerze na śmieci? – odgryzł się Jonathan.

Oczy Leopolda zwęziły się w szparki, atmosfera, przed chwilą jeszcze przyjazna, w jednej chwili przerodziła się we wroga i Jonathan nastawił się na to, że jego nowy znajomy za parę sekund będzie byłym znajomym. Że wstanie i wyjdzie. A jeśli Jonathan będzie miał pecha, to na odchodnym może mu jeszcze nawet przyłoży.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Zamiast tego Leopold uniósł ku niemu swoją szklanekę z wodą, uśmiechnął się i powiedział:

– Trafiony!

– Zdrowie! – odwzajemnił się Jonathan, wziął swój kieliszek i trącił się z Leopoldem.

– Wracając do momentu, gdy się poznaliśmy – mówił Leopold dalej. – Płonę z ciekawości, czego szukałeś z taką determinacją w kontenerze na makulaturę. List miłosny to przecież nie był. – Mrugnął porozumiewawczo do Jonathana.

– Ach, to... – Jonathan wahał się. A potem postanowił wszystko opowiedzieć. Bądź co bądź Leopold wyznał mu problem swojego alkoholizmu, więc byłoby fair, gdyby on teraz odwzajemnił zaufanie. Ponadto nie przypuszczał, by mieli wspólnych znajomych i że Leopold mógłby jakoś wykorzystać te informacje. A jeśli nawet, to jego intuicja podpowiadała mu, że mężczyzna po drugiej stronie stołu jest porządnym facetem. Wprawdzie ciężko doświadczonym przez życie, ale przyzwoitym. – To były aktualne wyniki mojego wydawnictwa i przypuszczalnie nie wyglądają one zbyt różowo. Przestraszyłem się więc, że ktoś mógłby je znaleźć i wykorzystać.

– Przypuszczalnie? – powtórzył Leopold. – Liczby przypuszczalnie nie wyglądają różowo?

– Tak dokładnie ich nie przestudiowałem.

– Ale to przecież twoja firma, nie?

– No tak. – Jonathan zaczął ogarniać nieprzyjemne uczucie, jednak powinien był zachować to dla siebie. Ale teraz było już za późno. – Strategią wydawnictwa zajmuje się mój dyrektor zarządzający, ja o tych sprawach... – Przerwał.

– Nie masz żadnego pojęcia? – dokończył Leopold.

– Nie za bardzo – przyznał.

– Nie interesuje cię to?

– Nie, interesuje, ja... – Szukał właściwych słów. – Sam nie wiem, pasjonuję się książkami, jak najbardziej. To tylko... – Jonathan zamilkł i popatrzył bezradnie na Leopolda.

– Boisz się sam prowadzić swój interes?

– Przecież to robię! – wykrzyknął Jonathan i wypił kolejny łyk wina.

Leopold wzruszył ramionami.

– Taaa, jeśli to nie to, to pozostaje tylko brak zainteresowania.

– To nie jest takie proste.

– Owszem – sprzeciwił się Leopold. – To jest bardzo proste. I powiem ci jedno: jeśli życie mnie czegoś nauczyło, to tego, że

należy robić tylko te rzeczy, które cię pasjonują. Wszystko inne to lipa, nikt nie powinien działać wbrew swemu sercu i przekonaniom. – Uderzył dłonią w blat stołu, jakby chciał podkreślić wagę tych słów.

– Bardzo cię przepraszam – odparł Jonathan. – Naprawdę nie chcę cię urazić, ale kiedy patrzę, dokąd zaprowadziło cię takie nastawienie, to...

– Błąd! – przerwał mu Leopold. – Znalazłem się w tej przykrej sytuacji właśnie dlatego, że tę postawę przyjąłem dopiero od niedawna. Wcześniej nigdy nie postępowałem zgodnie z moim przekonaniem, robiłem rzeczy, które mnie tak unieszczęśliwiały, że zostałem pijakiem. Przez to doprowadziłem do ruiny małżeństwo i rodzinę, straciłem pracę, a w końcu wylądowałem na ulicy. Niestety zrozumiałem to o wiele za późno, tak na dobre uświadomiłem to sobie dopiero podczas ostatniego pobytu w szpitalu. Jakby mi z oczu spadły łuski, zrozumiałem, że przez dziesięciolecia szedłem niewłaściwą drogą.

– Ach tak? – odparł Jonathan cynicznie. – A ponieważ przed sześcioma tygodniami doznałeś olśnienia, to teraz nauczasz jako apostoł?

Leopold potrząsnął głową.

– Wcale nie. Ale tak patrzę na ciebie i myślę, że oddałbym nie wiem co, żeby jeszcze raz mieć piętnaście lat mniej i móc zrobić wszystko inaczej.

– Za pozwoleniem. – Jonathan zakasłał. – Ani nie jestem uzależniony od alkoholu, ani nie żyję na ulicy.

– Ale twoje małżeństwo diabli wzięli i sam mi dopiero co powiedziałeś, że wyniki twojej firmy nie są za różowe. A taka chałupa jak ta też się raczej sama nie finansuje.

– Tak, ale...

– W twoim wieku także od czasu do czasu delektowałem się wyśmienitym trunkiem – mówił dalej Leopold, nie reagując na słowa Jonathana – i stałem na samym szczycie kariery.

– Jako kucharz – odgryzł się sucho Jonathan.

– Nie, ty ośle! – Leopold podniósł głos. – Szkoda, że nie pozostałem przy gotowaniu! To mnie cieszyło, było moją całą namiętnością. Ale chciałem wciąż czegoś więcej, nigdy nie miałem dość. Więc zrobiłem maturę w szkole wieczorowej, potem studiowałem zarządzanie i przez lata awansowałem z menedżera sieci restauracji do zarządu wielkiego koncernu spożywczego.

– To brzmi całkiem nieźle – wtrącił Jonathan.

– Tak, pewnie – wykrzyknął Leopold. – Wszystko było super! Wspaniała pensja, wspaniały samochód służbowy z kierowcą, wspaniały dom, wspaniała żaglówka, nadzwyczaj wspaniali przyjaciele z towarzystwa. Wspaniałe ego i wspaniała depresja, bo w nawale całej tej pracy, z której nie miałem żadnej przyjemności, w ogóle już nie wiedziałem, kim naprawdę jestem. A gdy zaczęło iść źle, to nie tylko moja żona i dzieci, ale wszyscy ci moi wspaniali przyjaciele także zniknęli, a ja zostałem sam ze swoją wódą i olbrzymią górą długów. Tak to właśnie wyglądało.

– Och. – Nic więcej Jonathanowi nie przyszło do głowy.

– Właśnie, och! I dlatego radzę ci dobrze się przyjrzeć i wczuć w tę sytuację. Jeśli wydawnictwo to nie twoja bajka, to je po prostu sprzedaj.

– Sprzedać? – Jonathan zaśmiał się z oburzeniem. – To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo to firma rodzinna, z długimi tradycjami!

– To żaden powód.

– Właśnie że tak.

– Jeśli tradycje rodzinne to jedyny powód, to tym bardziej powinieneś sprzedać wydawnictwo.

Usta Jonathana otwarły się do jakiejś repliki. I zamknęły się z powrotem, bo kompletnie zaniemówił.

Kim był ten facet? Jak znalazł się przy jego stole? Jego głowę

przeszyła pewna myśl: to nie mógł być przypadek! Od dwóch dni spotykają go przedziwne rzeczy – to musi być jakaś nieczysta sprawka!

Nie, absurd, oczywiście to był przypadek! Nikt nie mógł przewidzieć, że Henriette Jansen wyrzuci dokumenty do pojemnika na makulaturę, a Jonathan w ten sposób natknie się na Leopolda.

Ale było to dziwne. Prawie niesamowite. Albo... fantastyczne. Tak, to było jak w baśni! Tam też pojawiał się zawsze jakiś pomarszczony mały człowieczek, który sprowadzał bohatera opowieści na właściwą drogę.

Albo na złą, to zależy.

– Przepraszam. – Leopold wyrwał go z rozmyślań. – Wpadłem w jakiś szal gadania, nie mam prawa tak mówić.

– W porządku – rzekł Jonathan. – W każdym razie to było... interesujące.

– Nie, naprawdę, pozwoliłem sobie na zbyt dużo. W ogóle cię nie znam i nie mam najmniejszego pojęcia o twoim życiu. U ciebie wszystko zdaje się toczyć całkiem dobrze. Naprawdę nie powinienem oceniać ludzi po sobie.

– Tak, nie powinno się tego robić. – A jednocześnie Jonathan myślał: Leopold ma rację. Moje życie się toczy. Tyle że właśnie nic ponadto. – Wiesz – powiedział – przedwczoraj przydarzyło mi się coś dziwnego.

– Chcesz powiedzieć, że coś dziwniejszego niż znalezienie kogoś w kontenerze na makulaturę?

– Powiedzmy: dziwnego inaczej.

A potem opowiedział Leopoldowi o sprawie z kalendarzem. A nowy przyjaciel słuchał uważnie.

*

Kwadrans po trzeciej. Kwadrans po trzeciej nad ranem! Jonathan nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni siedział z kimś przy dobrym winie aż do świtu i gadał. Nie pamiętał, żeby robił to kiedykolwiek w życiu. Nie był nocnym markiem, a sen był dla człowieka dokładnie tak samo ważny jak to, by wystarczająco jeść i pić.

Ale gdy opowiedział Leopoldowi o swoim znalezisku, a w końcu także mu je pokazał, wdali się obaj w spekulacje: skąd mógł pochodzić kalendarz i dla kogo był przeznaczony (Leopold uznał teorię z matką Jonathaną za dość niedorzeczną). Co sądzić o wizycie Jonathaną u Sarasvati i co mogły oznaczać te pieniądze. I dyskutowali o tym, co najlepiej z nim zrobić. Leopold był zdecydowanie przeciwny pomysłowi, by oddać kalendarz w biurze rzeczy znalezionych, gdyż z jednej strony on także wyznawał pogląd, iż jest bardziej niż wątpliwe, że w ten sposób trafi on do właściciela, z drugiej zaś traktował całą sprawę jako zbyt intrygującą, by ją tak po prostu zakończyć.

– Gdy los podsuwa ci coś takiego, nie masz prawa tego zignorować – powiedział.

– Co to się nagle stało, że wszyscy gadają o losie? – dziwił się Jonathan.

– I nad tą sprawą warto się zastanowić – odparł Leopold i uśmiechnął się tajemniczo. W każdym razie Jonathan tak to odebrał, co jednak mogło też być spowodowane winem, gdyż wbrew swoim zwyczajom, zgodnie z którymi tylko okazjonalnie pozwalał sobie na jeden kieliszek, w ciągu tego długiego wieczoru opróżnił sam prawie całą butelkę.

A teraz leżał w łóżku, kwadrans po trzeciej nad ranem. W głowie mu huczało, co jednak mniej się wiązało z winem, a bardziej z natłokiem myśli, które urządziły sobie szalony mecz ping-ponga. Nie były to złe myśli, tylko niezwykłe. Zamknął oczy i westchnął, dni, które miał za sobą, naprawdę obfitowały w wydarzenia.

Był o krok od zaśnięcia, gdy coś mu się jeszcze przypomniało.

Usiadł raptownie, zapalił lampkę na stoliku nocnym i sięgnął po terminarz, który tam położył. Otworzył go i wziął do ręki ołówek, wsunięty między kartki. A potem zaczął pisać.

Jestem wdzięczny za moje spotkanie z Leopoldem i dobrą rozmowę, jaką odbyliśmy.

Ucieszony patrzył na swój wpis. Więc jednak! Było coś, za co był wdzięczny, naprawdę i z głębi serca. I to też nie miało nic wspólnego z winem, nawet jeśli wraz z uśmiechem wyrwało mu się głośne czknięcie.

Chciał już zamknąć kalendarz, ale po chwili dodał coś jeszcze:

Rano zaproponuję mu, żeby na razie został w pokoju Tiny. Jeśli się zgodzi, będę również wdzięczny, gdyż miło sobie wyobrazić, że on mieszka w moim domu.

Jonathan N. Grief odłożył kalendarz na nocny stolik, czknął jeszcze raz, zgasił światło i wśliznął się z powrotem pod kołdrę.

To będzie miło, pomyślał, zanim powieki mu ostatecznie opadły. Męska komuna. Czemu nie?

Hannah

Cztery dni wcześniej
31 grudnia, niedziela, godzina 23.59 i 59 sekund

Gdy w nocne niebo nad Hamburgiem wystrzeliły pierwsze race, Hannah nie wiedziała, co ma powiedzieć. „Szczęśliwego nowego roku”?

Nie, to nie wchodziło w rachubę.

Stała z Simonem na małym balkonie jego mieszkania, razem z nim patrzyła na rzekę i obserwowała fajerwerki, którymi mieszkańcy świętowali nadejście nowego roku. On objął ją od tyłu ramionami, podbródek oparł na jej głowie, a Hannah pragnęła, by stać tu tak z nim do końca życia.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Na kilka minut sprawa była odroczone, a ona mogła się zatracić w wyobrażaniu sobie, że to po prostu noc sylwestrowa jak wiele innych, ale kiedyś będą musieli wrócić do mieszkania. A wtedy wybije dla nich obojga godzina prawdy. Tyle że Simon jeszcze się niczego nie domyślał, a Hannah strasznie się tego bała. Jak zareaguje na jej prezent?

Nie rozmawiali więcej o jego chorobie, od wieczoru w Da Ricardo nie wspomnieli o niej nawet słowem. Hannah spróbowała jeden jedyny raz, następnego dnia, ale Simon poprosił, by zostawiła tę kwestię do czasu, aż on sam będzie w stanie się z nią uporać.

Hannah to zaakceptowała. Szczęśliwa, że jednocześnie nie poruszył więcej tematu rozstania, że nie wykluczył jej

kompletnie ze swojego życia. To powinno na początek wystarczyć. Jedna cząstka jej osoby poczuła nawet z tego powodu ulgę; ta cząstka usiłowała schować się przed prawdą jak dziecko, które zakrywa sobie oczy, wierząc, że jego też wtedy nikt nie widzi.

Jednak jej taktyka wypierania została uwieńczona jedynie miernym sukcesem, tak więc następne dni, podczas których ona i Simon udawali, że nic się nie stało, spróbowała chociaż wykorzystać na to, by zrobić dla Simona kalendarz. Zaraz po nocy, którą spędziła u niej Lisa, Hannah rozpoczęła pracę. W drogim sklepie papierniczym znalazła szczególnie piękny terminarz. Był oprawiony w elegancką granatową skórę, miał białe stębnowanie i dobrze leżał w ręce.

Hannah podobało się wyobrażenie, że skóra z latami będzie się stawała coraz miększa, tak miękka, że Simon kiedyś przyłoży ją skrycie do policzka i będzie się rozkoszował tym dotknięciem. Po latach, po wielu, wielu latach.

Nad zdaniem, które miało się znaleźć na pierwszej stronie tego notatnika, Hannah nie musiała się zastanawiać. „Twój idealny rok”, napisała wiecznym piórem, które kupiła w tym samym sklepie papierniczym. Następnie z zapalem rzuciła się w tę pracę, wspólnie z Lisą zastanawiając się, co sprawiłoby Simonowi radość, co by go zachwyciło i wyrwało z letargu. Co pozwoliłoby mu zapomnieć o chorobie i może nawet skłoniłoby do tego, by stawiał jej czoło i zaczął z nią walczyć.

Hannah napisała wszystko to, w co wierzyła i według czego postępowała. Wszystko, wszystko, wszystko. Szperała w internecie w poszukiwaniu krzepiących, a mimo to niebanalnych sentencji; w powracających wciąż chwilach, które groziły, że pokona ją zwątpienie, sama się ich czepiała, posuwała się dalej i dalej w nadziei, że to, co robi, przekona Simona, żeby nie poddawał się rzekomemu wyrokowi losu.

W Bandzie Urwisów od momentu wyznania Simona

w zasadzie była nieobecna i dziękowała Lisie, jej i swoim rodzicom, że bez żadnego sprzeciwu wspierali ją w jej planach. Inaczej nigdy w życiu nie zdołałaby skończyć kalendarza do nocy sylwestrowej, ale dla niej, a także dla innych, było oczywiste, że musi wręczyć Simonowi terminarz właśnie w tym symbolicznym momencie.

Ten kalendarz miał być ni mniej, ni więcej, tylko pobudką, wezwaniem: „Rusz się”. W każdy wpis Hannah włożyła całą swoją siłę, całą miłość. Jak z uznaniem stwierdziła Lisa podczas lektury gotowego dzieła, przeszła samą siebie. A potem obie przyjaciółki z płaczem się objęły. Lisa głównie ze wzruszenia, gdy przeczytała, że Hannah na drugi stycznia rzeczywiście zarezerwowała wizytę u Sarasvati.

– Bo ostatecznie – wyjaśniła przyjaciółka – chodzi właśnie o każde, choćby najmniejsze źdźbło nadziei. Gorzej i tak już nie może być.

Na koniec Hannah skopiowała dla siebie wszystkie strony kalendarza, żeby móc wspierać Simona przy realizacji jego idealnego roku i zawsze dokładnie wiedzieć, na co akurat przyszła kolej. Miała nadzieję, taką ogromną nadzieję, że on zrozumie właściwie sens tego terminarza, że go zaakceptuje!

– Chodź, wejdźmy do środka, cała drżysz. – Tymi słowami Simon dał sygnał startu do najtrudniejszego momentu w dotychczasowym życiu Hannah. Nie miała bowiem pojęcia, czy kalendarz, który mu zaraz wręczy, spełni swoje zadanie. Czy Simon tak samo jak Lisa będzie wzruszony, czy...

Nie, pod żadnym pozorem nie zamierzała dopuszczać jakichkolwiek wątpliwości. „Uważaj na swoje myśli, bo myśli stają się rzeczywistością”. Jeśli to, co matka Hannah mówiła jej od małego, zawierało choćby najmniejszą cząstkę prawdy, to teraz był najwłaściwszy moment, by wziąć sobie tę radę do serca,

– Czemu tak na mnie patrzysz? – zapytał Simon, gdy usiedli na kocu, który rozłożył przed kanapą. Hannah poprosiła go, żeby

świętowali sylwestra tak jak ich pierwszy wieczór nad Łabą, piknikiem na kocu, w nadziei, że ten nastrój pomoże w sukcesie czekającej ją misji. Rozbawiony spełnił jej prośbę, nazwał ją swoją małą romantyczką, a potem zaczął przestawiać przygotowane jedzenie ze stołu na koc. – Czy coś jest nie tak?

Hannah przełknęła ślinę, starając się nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. On ją na serio pyta, czy coś jest nie w porządku? Ale zamiast na niego krzyknąć, że nic nie jest w porządku, zupełnie nic, od kiedy jej powiedział, że czeka na swoją rychłą śmierć, sięgnęła po dużą torbę leżącą u jej stóp, wyjęła z niej opakowany w ozdobny papier terminarz i wręczyła Simonowi ze słowami:

– Proszę, to dla ciebie.

– Co to jest?

– Otwórz.

– Od kiedy to na sylwestra dostaje się prezenty?

– Od dziś.

– No to mnie zaintrygowałaś. – Z denerwującą powolnością odklejał ostrożnie każdy kawałek taśmy klejącej – Simon zawsze tak rozpakowywał prezenty, doprowadzając tym Hannah do szaleństwa.

Znowu musiała się opanować, tym razem po to, aby nie wyrwać mu paczki z rąk i nie rozerwać papieru na strzępy. Jej cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę, wszystkie tabletki świata nie wystarczyłyby, żeby uspokoić jej rozdygotane nerwy. Ale potem, wreszcie, wreszcie, jakby upłynął kolejny nowy rok, terminarz leżał w jego ręce.

– Kalendarz? – Popatrzył na nią zdziwiony.

– Tak. – Skinęła głową. – Na następny rok.

– Ale... – Nic więcej nie powiedział. Tylko to „ale”. Jednak w tym jednym jedynym słowie kryło się sto tysięcy zdań, w spojrzeniu Simona więcej niż milion odpowiedzi.

Wszystko to, czego bała się Hannah, pobrzmiwało w jego

„ale”. „Ale ja nie mam już roku przed sobą, dlaczego dajesz mi w prezencie kalendarz? Ale ja przecież wkrótce umrę, nie potrzebuję terminarza. Ale ja nie wierzę w to, że będę mógł jeszcze używać twojego prezentu, ale ja wiem, że nie ma już dla mnie żadnej nadziei, ale ja...”.

– Wypełniłam go – powiedziała Hannah, aby zatrzymać bezgłośnie dudnienie słów Simona w swojej głowie. – Na każdy dzień coś wymyśliłam. Jedyne, czego bym chciała, to żebyś przyjął mój prezent i przynajmniej spróbował. Proszę! Dla mnie! Dla nas!

Simon nie odpowiadał, zamiast tego odpiął zatrzask i otworzył kalendarz. Zaczął przerzucać kartki, czytał wpis za wpisem, od czasu do czasu się uśmiechał albo marszczył czoło, czytał i czytał, i nie mówił ani słowa.

A potem, gdy doszedł do ostatniej strony, podniósł znowu wzrok.

Był bardzo blady.

– Ja – zaczęła Hannah, ale zamilkła, gdy Simon odłożył kalendarz na bok, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Trzymał ją tak samo mocno jak tamtego wieczoru w Da Ricardo, mogła słyszeć bicie jego serca i czuć, jak mocno drży.

– Dziękuję – szepnął jej do ucha. – Jeszcze nigdy nikt nie dał mi czegoś tak pięknego. Dziękuję ci.

– Więc go przyjmujesz? – Odsunęła się od niego, by widzieć jego twarz.

Simon uśmiechnął się.

– A dlaczego miałbym nie przyjąć?

Hannah roześmiała się z ulgą i rzuciła się Simonowi na szyję.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie! – zawołała. – Zobaczysz, damy sobie radę! Rak nas nie pokona, wyzdrowiejesz, wiem to!

– Tak – odpowiedział powoli. – Ja też w to wierzę.

– Nie potrafię ci po prostu powiedzieć, jak się cieszę, że to mówisz! Jak tylko święta się skończą, poszukamy jakiegoś

dobrego onkologa. Ach, co ja gadam! Najlepszego! Nawet gdybyśmy musieli jechać w tym celu do Konstancji! Jeśli trzeba, pojedziemy autostopem, pójdziemy pieszo! Znajdziemy genialnego specjalistę! On zajmie się twoim ciałem, a dzięki kalendarzowi poradzimy sobie z twoją duszą.

– To brzmi bardzo dobrze, tak zrobimy.

Hannah zachichotała, nie mogła się powstrzymać.

– Co cię tak śmieszy? – Teraz to on odsunął ją od siebie, żeby jej się przyjrzeć.

– Nic, nic zupełnie. Ja tylko tak cię szaleńczo, tak wariacko kocham, to wszystko.

– Ja też cię kocham. Szaleńczo i wariacko.

Było jeszcze ciemno, gdy Hannah obudziła się w łóżku Simona.

To znowu było to! Dokładnie to samo uczucie, którego doświadczyła rankiem w dzień otwarcia Bandy Urwisów, ten niewiarygodny dreszczyk z nadmiaru emocji i zakochania. Tyle że w tym momencie był on o wiele silniejszy niż kilka tygodni wcześniej.

Hannah odwróciła się na bok, by przytulić się do Simona i z czułością go obudzić. Pragnęła jeszcze odrobinę więcej tego, co dzielili ze sobą tej nocy, więcej tej namiętności, z jaką kochali się aż do wyczerpania.

Ale miejsce obok było puste; Hannah leżała w łóżku sama.

Radiowy budzik na nocnym stoliku wskazywał godzinę siódmą pięćdziesiąt dziewięć. O tej porze Simon nie wstawał, nawet gdy był zatrudniony jako redaktor, gdyż w gazecie nigdy nie zaczynali przed dziesiątą, za to pracowali do późnego wieczora nad wydaniem na następny dzień.

Usiadła na łóżku i przeciągnęła się, jednocześnie nasłuchując odgłosów z mieszkania, oczekiwała szumu prysznic, bulgotania ekspresu do kawy albo dźwięku telewizora. Jednak w mieszkaniu panowała absolutna cisza, jedynie kilka gałęzi na zewnątrz stuknęło lekko o szybę okna w sypialni.

– Simon? – zawołała. – Gdzie jesteś? Wracaj do łóżka!

Żadnej odpowiedzi.

– Simon? – Znowu nic. Hannah zawinęła się w kołdrę i przetoczyła na koniec łóżka, skąd wpatrywała się w ciemny przedpokój. – Simon? – zawołała nieco głośniejszym głosem. – Gdzie ty się podziewasz?

Gdy nadal nie odpowiadał, wstała i na ile pozwalała jej kołdra, drobnymi kroczkami wyszła z sypialni. Zniecierpliwiona zajrzała do salonu, wszystko leżało jeszcze tak, jak poprzedniego wieczoru, tylko Simona ani śladu. To samo zobaczyła w łazience i w kuchni, jakby jej ukochany zniknął z powierzchni ziemi.

Uspokajała się myślą, że prawdopodobnie poszedł do piekarni po bułki, i postanowiła spłukać z siebie tę krótką noc pod prysznicem.

Kiedy szła do łazienki, jej wzrok padł na drzwi wejściowe. I na kartkę, leżącą na kopercie przed nimi, wraz z pękiem kluczy Simona. Już z daleka widziała, że na kartce jest więcej tekstu niż tylko proste: „Poszedłem po bułki”.

Podeszła bliżej, schyliła się i wzięła kartkę do ręki. Jeszcze gdy czytała, kolana tak się pod nią ugięły, że oparła się o drzwi i ześliznęła w dół na zimne kafle.

Moja ukochana Hannah,

jest mi niezmiernie przykro, że Ci to robię i że zadaję Ci tyle bólu – ale gdy znajdziesz ten list, nie będę już żył.

Przypuszczalnie jesteś teraz zszokowana. Może też jesteś wściekła, taką mam nawet nadzieję. Nie mam odwagi stawić czoła tej chorobie. Cierpienie moich rodziców trwało zbyt wiele lat, mój strach, że będę musiał przemierzyć tę samą drogę, jest zbyt duży. A jeszcze większy jest strach przed tym, że zrobię Ci dokładnie to, co musiała wycierpieć moja matka. Nie zasłużyłaś na to, nikt na to nie zasłużył.

Dziś w nocy zrozumiałem z całą jasnością, że Ty mnie nie

opuścisz. I jakkolwiek to jest piękne, że jestem tak pewny Twojej miłości, to jednak jest to też straszne. Gdyż i ja nie potrafię rozstać się z Tobą.

Prezent, który mi zrobiłaś, jest tak szczególny, tak niewiarygodnie cudowny, że brak mi słów. Tylko że nie będę mógł dotrzymać obietnicy, że go przyjmuję, nie mam przed sobą całego roku.

Hannah, proszę, uwierz mi, gdy piszę, że to wiem. Czuję, że mam raka, wiem, że nie mogę go już pokonać, jest na to dużo za późno. Nie potrzebuję lekarza, który mi to powie.

Jeśli mam być szczerzy – a jeśli nie teraz, to kiedy miałbym być szczerzy? – już dawno temu sobie uzmysłowiłem, że coś jest nie tak. Miałaś całkowitą rację, gdy mówiłaś mi, że się zmieniłem, że jakoś straciłem życiową energię.

Niestety to była prawda. Nie wiem, czy to się zaczęło wraz ze śmiercią mamy, czy wtedy, gdy straciłem pracę. Może sprawiły to obie te rzeczy naraz albo może stało się to już wcześniej. Prawda jest taka, że nie pisałem żadnych podań o pracę, nawet jednego. To było kłamstwo, że starałem się o nową pracę. Kłamstwo, że cały czas dostawałem tylko odmowy, to wszystko było kłamstwem!

Sądzę, że to wcale nie rak mnie zabija. Coś we mnie już od dawna jest martwe, tylko że do tej pory nie miałem odwagi wyciągnąć z tego logicznych wniosków. W jakiejś książce przeczytałem kiedyś pewną bardzo pocieszającą myśl: Człowiek, umierając, powraca do stanu, w jakim był już od milionów lat przed swoim urodzeniem. Ciałem już go nie ma. Więc to w ogóle nie jest nic złego, że każdy z nas musi kiedyś opuścić ten świat, wracamy po prostu do wszechświata, gdzie nasza dusza i tak już przez większość czasu jest i była. Dla mnie ten moment nadszedł teraz, czuję to z całą wyrazistością.

Proszę, wybacz mi ten krok i bądź szczęśliwa beze mnie. Wiem, że z Twoim niezrównanym optymizmem to Ci się uda. Ba, jestem przekonany, że będziesz miała fantastyczne życie, o wiele lepsze

beze mnie niż ze mną.

Jak to Ty zawsze mówisz? Wszystko ma swoją dobrą stronę. Wierz mi, to jest dobre. Gdyż jest to decyzja, którą podjąłem dla siebie. Ja tego pragnę.

Proszę, bądź tak miła i oddaj klucze właścicielowi lokalu. Z mojego mieszkania możesz po prostu usunąć graty, ale nie ma pośpiechu. Środków na moim koncie wystarczy jeszcze na kilka miesięcy czynszu. Zlikwiduj mieszkanie dopiero wtedy, gdy będziesz na to gotowa.

Kluczyki od samochodu zachowaj, gdyż od teraz mustang jest Twój. Możesz nim jeździć albo go sprzedać, dowód rejestracyjny i karta pojazdu razem z kluczykami leżą na komodzie w salonie. W dużej kopercie znajdziesz pełnomocnictwo ogólne, które gwarantuje Ci wszelkie prawa i z którym będziesz mogła, mam nadzieję, wszystko załatwić. To nie jest niestety jakiś urzędowy formularz, ale z moim podpisem też powinien być ważny.

Jeśli na koniec na moim koncie zostaną jeszcze jakieś pieniądze, to są one także dla Ciebie. Najbardziej bym chciał, żebyś je wykorzystowała dla Bandy Urwisów, żebyś użyła ich do tego, aby Twój wspaniały pomysł mógł się rozwijać.

Hannah, kocham cię! I jestem z Ciebie dumny!

Ale chociaż jest mi tak przykro, ta miłość nie wystarczy, by próbować dalej.

Simon

Hannah wpatrywała się w linijki listu Simona, czytała je raz po raz. A gdy zorientowała się, że litery zaczynają się rozpląwać i tańczyć jej przed oczyma, że za chwilę zemdleje, ugryzła się tak mocno w dolną wargę, że z bólu straciła oddech, a w ustach poczuła krew.

Ta miłość nie wystarczy...

Wstała, zrzuciła z siebie kołdrę, przeszła do salonu i tam wyjęła telefon z bazy. Była spokojna, nawet palce jej nie drżały, gdy

wybierała numer policji. Po pierwszym sygnale odebrała kobieta.
– Proszę szybko przyjechać – powiedziała wolno i wyraźnie do słuchawki. – Mój przyjaciel chce się zabić.

Jonathan

4 stycznia, czwartek, godzina 10.07

Jonathan N. Grief wcale nie miał wyrzutów sumienia, gdy następnego dnia obudził się dopiero po dziesiątej. Wieczór się przeciągnął, było więc naturalne, że nie zerwał się z pościeli już o wpół do siódmej jak zazwyczaj. Niemniej czuł lekkiego psychicznego kaca, pewną melancholię, jakiś nieokreślony... no właśnie, czuł coś nieokreślonego.

Ledwie jednak usiadł w łóżku, ten nikły, nieuchwytny smutek już się ulotnił, gdyż wraz ze spojrzeniem na terminarz przypomniało mu się, co postanowił przed kilkoma godzinami. Zaproponuje Leopoldowi, by na razie zamieszkał u niego.

Zadowolony pomaszerował do łazienki, wziął długi prysznic i się ubrał. Żadnych sportowych ciuchów – po prysznicu uprawianie sportu i tak nie miałyby sensu – ale spodnie i golf. Codzienną przebieżkę nadrobi później. Albo – zuchwała myśl – dziś w ogóle z niej zrezygnuje. Nie miał po prostu ochoty, a rada Leopolda, by kształtować swe życie zgodnie z zasadą „Rób, co chcesz”, wydała mu się co najmniej tak przekonująca, jak rezygnacja z węglowodanów po godzinie osiemnastej.

Zbiegł po schodach, podszedł do drzwi pokoju Tiny i zapukał.

Drzwi otwierały się do środka, więc Jonathan cofnął się o krok, aby uniknąć ewentualnego zmieszania gościa, gdyby się okazało, że tamten jeszcze się nie ubrał.

– Leopoldzie! – zawołał. – Dzień dobry, to ja, Jonathan! – Czekając na odpowiedź, był wewnątrznie rozbawiony tym, że wymienił swe imię. A kto niby miał tu stać? W pokoju panowała cisza, więc Jonathan ponownie cicho zapukał. – Leopoldzie? Nie śpisz już? Ale teraz to już wyskakuj z betów! – Żadnej odpowiedzi. Jonathan zapukał jeszcze raz, a potem wszedł do pokoju.

Pokój Tiny był pusty, drzwi do małej łazienki stały otworem, także tutaj nikogo nie było. Łóżko było rozgrzebane, leżał na nim szlafrok w kwiatki i użyty ręcznik. Jednak poza tym nic nie wskazywało na czyjąś obecność.

Zdziwiony Jonathan wyszedł na korytarz. Gdzie ten Leopold się podział? Popatrzył na wieszak – wojskowy szynel zniknął, podobnie jak buty jego nowego przyjaciela.

W jednej chwili w Jonathanie wezbrał niepokój. Czyżby naprawdę okazał się takim idiotą? Zignorował wszystkie ostrzeżenia po to tylko, żeby stwierdzić, że dał się nabrać jakiemuś cwaniakowi i oszustowi? Komuś, kto nadużył jego gościnności i już dawno ulotnił się ze wszystkim, co zdołał unieść? A on nawet nie pozamykał najważniejszych pomieszczeń, jak biuro czy jadalnia (cenne srebra!), tylko upojony winem padł na łóżko.

Czy naprawdę jest – jak nazwał go Leopold – takim osłem?

Najwidoczniej tak.

Jonathan miał wrażenie, że słyszy śmiech swojego ojca. Głośny i pełen złośliwej satysfakcji, że jego niewydarzony syn kolejny raz dowiódł swej życiowej nieudolności. Intuicja? Cha, cha, cha, cóż za intuicja!?

Nie. Jonathan N. Grief wyprostował ramiona. To się mogło przydarzyć każdemu. Każdemu, kto jak on wierzył jeszcze w moralność i przyzwoitość, kto...

Ach, po co komu ten wewnętrzny dialog? Lepiej by było sprawdzić jak najszybciej, z jakimi cennymi przedmiotami

ulotnił się Leopold, a potem zawiadomić policję. A niech tam, policjanci mogą się z niego śmiać, najważniejsze, żeby wykonali swoją pracę i schwytali złodzieja. W końcu w tych dziurawych butach Leopold nie mógł zająć zbyt daleko.

W pół godziny Jonathan spenetrował cały dom.

Nic.

Nie brakowało absolutnie niczego. Ani rodowych sreber, ani gotówki, którą trzymał w kasetce na biurku, ani jednej spinki do koszuli, nawet opakowań zwrotnych z plastikowej skrzynki na tarasie, które można by spieniężyć. Było wszystko – tylko Leopolda brakowało.

Jonathan nieco bezradny poszedł do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Dopiero tam zwrócił uwagę na swój stojak z winami. I na to, że czegoś w nim brakuje: puste było miejsce na trzy, cztery butelki. Jonathan odwrócił się spiesznie i pobiegł do jadalni, gdzie z tyłu w kącie po lewej stał barek. Tu także brakowało paru butelek, jak stwierdził od razu. Podszedł bliżej i zobaczył, że zniknęły whisky i gin. Droga grappa, którą kupił kiedyś dla gości i od tego czasu ani razu jej nie otworzył, jeszcze stała. Tyle że butelka była prawie pusta. Jonathan westchnął ciężko. A potem zauważył kartkę leżącą pod butelką z resztką grappy. Wziął ją do ręki, usiadł przy jadalnym stole i zaczął odcyfrowywać ledwie czytelne gryzmoły.

Mój Drogi Przyjacielu,

wygląda to tak, jakbym na mojej odludnej wyspie rzeczywiście spotkał faceta z piersiówką. Bardzo mi przykro, dzisiejszej nocy pokusa okazała się zbyt silna. Dziękuję Ci szczerze za ten wieczór i Twoją gościnność – i wstydzę się, że tak bardzo Cię zawiodłem.

Twój Leo

PS Gdybym był Tobą – a z pełnym przekonaniem mówię, że cieszę się, że Tobą nie jestem (na pewno rozumiesz właściwie ten mały docinek, mój przyjacielu) tobym złapał ten kalendarz i ostro

zabrał się do roboty. Takiego prezentu nie dostaje się każdego dnia. Żałuję, że ja nigdy nie dostałem czegoś takiego.

Jonathan przeczytał wiadomość jeszcze dwa razy. Następnie ze stojącej na bufecie obok stołu misy wziął ołówek i uzupełnił przecinek, którego brakowało po nawiasie (gdybym był tobą). Nie zastanawiając się dłużej, poszedł następnie do kuchni i wyrzucił ołówek i kartkę do śmieci.

Hannah

Tego samego dnia,
4 stycznia, czwartek, godzina 10.53

Trzy i pół dnia. Trzy i pół dnia jak trzy i pół roku. Jak dziesięć lat, jak dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto. Jak tysiąc lat, niczym sen śpiącej królowny. Mroczny, posepny sen za kilkumetrowym żywopłotem składającym się wyłącznie z cierni, bez jednej choćby róży. Ale nikt nie przyszedł, by obudzić Hannah z tego koszmarnego snu. Nikt nie przyszedł, by ją pocałować.

Na początku uspokajanie. Mający dobre intencje policjanci w mundurach, którzy ją uspokajali, którzy zapewniali, że na pewno znajdą jej ukochanego. Którzy zaklinali się, że akurat zapowiedziane samobójstwa rzadko są wcielane w czyn. I tak, oczywiście, zrobią wszystko, by znaleźć Simona, że zaraz zamierzają wszcząć poszukiwania, każdy patrol będzie go wypatrywał, jednakże użycie oddziału z psami i nurków (w rzece Alster oraz Łabie), czego domagała się Hannah, wobec wielkości obszaru miasta nie jest ani wykonalne, ani celowe. Potem od następnego dnia apele w radiu. Trzeciego dnia informacja w gazecie. I prośba policjantów do Hannah, by wróciła do domu, bo i tak przecież nic nie pomoże.

Ale ona nie była w stanie, nie była po prostu w stanie wrócić do siebie. Nie była zdolna do niczego innego, mogła tylko siedzieć w mieszkaniu Simona i czekać, aż on się pojawi w drzwiach. Aż jej wyjaśni, że ten list to był błąd. Żart, kiepski żart. Ot, coś

nowego, nie w prima aprilis, ale w Nowy Rok, cha, cha!

Oczywiście, powie jej, że to było niesmaczne, nawet bardzo. Jest mu też przykro, ale czuł się tak osaczany przez nią, przez Hannah, Hannah wywierała na niego taką presję, tak go przypierała do muru, wymagała od niego zbyt wiele, więc on po prostu... Naturalnie rozumie aż za dobrze, że ona jest na niego zła. Tak naprawdę, naprawdę zła albo nawet wściekła. Że już nigdy nie będzie chciała zamienić z nim ani jednego słowa. Nawet gdyby był gotów poddać się teraz dalszym badaniom, a nawet żyć według jej infantylnego kalendarza.

Trzy i pół dnia. Siedemdziesiąt cztery godziny i trzydzieści osiem minut. Tak długo już siedziała z tymi myślami w mieszkaniu Simona i czekała na niego. Nie potrafiła robić nic innego, jak biegać między sypialnią, salonem, kuchnią i łazienką, wciąż jeszcze w czarnej sukience, którą włożyła drugi raz, zaraz po wieczorze w Da Ricardo, za każdym razem wydając okrzyk, gdy tylko ktoś dzwonił do drzwi albo gdy odzywała się jej komórka.

Ale to nigdy nie był on. Dzwoniła tylko Lisa albo jej matka, które na zmianę zaglądały do niej i przynosiły coś do jedzenia. Które jej mówiły, że w Bandzie Urwisów i bez niej wszystko działa jak trzeba (jak gdyby Hannah choćby w najmniejszym stopniu to obchodziło; za przeproszeniem, nic a nic); które zdawały raport, że w mieszkaniu Hannah, gdzie natychmiast wprowadziła się Lisa, Simon też się nie pojawił. I które dokładnie tak samo jak policjanci, na klęczkach błagały ją bez ustanku, by porzuciła swe „czuwanie”, albo przynosiły jej, jak wczoraj, wydanie „Hamburger Nachrichten”, aby Hannah mogła się na własne oczy przekonać, że apel o pomoc w poszukiwaniu Simona, jak obiecali jego dawni koledzy, ukazał się na pierwszej stronie.

I podczas gdy Hannah wegetowała w mieszkaniu Simona – gdyż trudno to określić inaczej – co dziesięć sekund sprawdzając

swoją komórkę, odsłuchując sekretarkę telefonu domowego i przeglądając skrzynkę mejlową, z nikłą nadzieją, że dostanie jakąś wiadomość od Simona, to jednak przez cały ten czas już wiedziała. Wiedziała to od chwili, gdy przeczytała jego list pożegnalny. Wiedziała, że niezależnie od tego, ile by szalała, krzyczała i płakała – Simona już nie ma.

Nie było tak, jak przypuszczał jeden z funkcjonariuszy, że po prostu zwiął; nie spalił za sobą mostów i nie opalał się teraz gdzieś pod palmą z drinkiem w ręce. Nie. To były tylko hasła ku pokrzepieniu, żeby ona, Hannah, nie zaczęła szaleć i bez opamiętania walić we wszystko, co napotka na drodze.

To było schizofreniczne, zachowywała się schizofrenicznie. Chociaż bowiem wiedziała, wiedziała, wiedziała, że Simon nie jest mężczyzną rzucającym puste obietnice, nigdy nim nie był, to jednocześnie z rozpaczliwą siłą czepiała się kurczowo każdej najbardziej nawet nieprawdopodobnej możliwości; choćby był to tylko ten cholerny drink pod jeszcze bardziej cholerną palmą.

Ale swojego mustanga, nie, jego nigdy by nie zostawił. Jakkolwiek absurdalnie i raniąco by to brzmiało, była to prawda. Gdyby choć przez sekundę rozważał, czy przedłożyć drink pod palmą nad samobójstwo, wskoczyłby za kierownicę i odjechał. Tego, że zostawi ją, nie uważała za całkowicie nieprawdopodobne. Ale swój samochód? Nie, nigdy. Kluczyki do mustanga, leżące w salonie wraz z listem pożegnalnym i upoważnieniem (kopie; oryginały zabrała policja), były przygniatającym dowodem na to, czego Hannah nie chciała przyjąć do wiadomości.

Jedynie kalendarza nie mogła nigdzie znaleźć. Ani w mieszkaniu, ani w żadnym z pojemników na śmieci na zewnątrz, do których zajrzała prawie pewna, że tam go znajdzie.

Ten cholerny terminarz, wrzucony przez Simona między lepkie skorupki od jaj i fusy po kawie – ostatnia rzecz, jaką zrobił, to dzieło, które Hannah sporządziła w swojej, no cóż,

złudnej wierze w przekraczanie granic możliwości. W naiwnym przekonaniu, że z pomocą odrobiny tralala i hopsasa oraz postawą „Każda komórka mojego ciała jest szczęśliwa” potrafi uwolnić kogokolwiek od lęku przed śmiercią.

Już na samą myśl o tym Hannah najchętniej zrobiłaby to samo co Simon. Chciała złapać nóż kuchenny, przeciąć sobie żyły albo odważyć się na skok z jego balkonu na trzecim piętrze; byłaby to jedyna sensowna kara za to, czego narobiła.

Za to, że swą przesadną aktywnością, frazesami typu: „Wszystko ma swoją dobrą stronę”, „Kryzys jako szansa” czy „Światło wynaleziono w ciemności” doprowadziła go do tego aktu rozpacz.

Czy we wszystkim naprawdę kryje się jakiś sens? Jaki niby sens miałyby to, co się stało? Jeśli nie wyłącznie ten, by rzucić Hannah na kolana? By wykazać jej, że prawdziwe życie nie ma nic wspólnego z jej kolorowym światem Pippi Långstrump? Kompletnie nic.

Drgnęła, widząc mignięcie swojej komórki. Przyszedł nowy mejl. Kolejna wiadomość od Lisy albo rodziców Hannah lub katalog sklepu wysyłkowego online, albo też informacja, że jakiś zmarły multimilioner z Nigerii uczynił ją swoją jedyną spadkobierczynią.

Nic z tego. To był mejl od Sarasvati.

Hannah potrzebowała dłuższej chwili, by zlokalizować w głowie to imię. Dzień, w którym napisała do tarocistki Lisy i przedstawiła jej sytuację z prośbą, by raz zapomniała o swej etyce zawodowej i odbyła dla jej śmiertelnie chorego przyjaciela „bardzo specjalny” seans, który może dodałby mu odrobinę otuchy (i broń Boże nie zdradziła przy tym, że została wcześniej poinstruowana przez Hannah), zdarzył się jakby w jakimś innym życiu.

Aha, Sarasvati, Hannah już sobie przypomniała. Otworzyła mejl.

Droga Hannah,

zwykle nie dopytuję się, gdy ktoś nie pojawi się na umówionym spotkaniu, gdyż nie chcę na nikogo naciskać. Ale w tym wypadku czynię wyjątek, sprawa ta bowiem nie przestaje mnie absorbować.

Przyjaciel, o którym Pani pisała, nie przyszedł. Za to pojawił się pewien mężczyzna, który znalazł jego kalendarz nad jeziorem. Więcej nie mogę Pani powiedzieć, dochowałam także tajemnicy, jeśli chodzi o szczegóły umówionego spotkania z Pani przyjacielem, gdyż nie byłam pewna, czy ich ujawnienie by Pani odpowiadało.

Teraz jednak myślę, że był to chyba błąd, bardzo dziwnie się z tym czuję. Dlatego też chciałabym się upewnić, czy u Pani wszystko w porządku. Jak się miewa Pani przyjaciel?

Światło i miłość

Sarasvati

Jeszcze nigdy Hannah nie wybierała numeru w takim pośpiechu. Jej palce po prostu śmigały po klawiaturze komórki, gdy wbijała cyfry, podane w mejlu pod podpisem Sarasvati.

Po kilku sekundach doradczyni w sprawach życiowych odebrała telefon.

– Tu Ha... Hannah Marx – krzyknęła tak nerwowo do telefonu, że aż się zająknęła.

– Halo, dzień dobry! – rozległ się w słuchawce miły i ciepły głos. – Nie spodziewałam się, że od razu pani do mnie zadzwoni.

– Mój przyjaciel zaginął – wypaliła Hannah prosto z mostu. – Napisał mi list pożegnalny, w którym zapowiedział, że chce się zabić.

– Och, mój Boże! – Na sekundę w słuchawce zapadła cisza, po chwili Sarasvati poprosiła Hannah, by jej opowiedziała, co się stało.

– W sylwestra podarowałam Simonowi kalendarz, pisałam już pani o tym. A on mi obiecał, że przez ten rok spróbuje kierować się nim w życiu. Że się nie podda, zanim w ogóle zacznie walkę. –

Zamilkła na wspomnienie ich ostatniego wspólnego wieczoru. – Następnego ranka zniknął, zostawiwszy mi list pożegnalny. Od tego czasu szuka go policja i oczywiście ja.

– Boże, tak mi przykro! – Hannah usłyszała, jak Sarasvati pociągnęła nosem. – Jak mogłam się nie domyślić od razu, że coś się tu nie zgadza, gdy zjawił się u mnie ten mężczyzna z kalendarzem. Ale pomyślałam sobie tylko, że pani przyjaciel widocznie nie uznał tego za dobry pomysł. Pisała mi pani przecież, że sama nie wie, czy on na to pójdzie. No nie, jak mogłam postąpić tak głupio!

– Co za mężczyzna? Jak on się nazywa?

– Tego niestety nie wiem. – Sarasvati sprawiała wrażenie szczerze zgnębionej. – Nie spytałam go o nazwisko, zazwyczaj tego nie robię. Wielu ludzi myśli bowiem od razu, że dzięki jakiemuś ukrytemu w uchu guzikowi czy jeszcze inaczej po kryjomu będę chciała wykorzystać zdobytą o nich wiedzę.

– Czy wie pani, w jaki sposób wszedł w posiadanie kalendarza?

– Powiedział, że znalazł go w torbie, którą ktoś zawiesił na kierownicy jego roweru.

Nadzieje Hannah rozwiały się. Tak bardzo pragnęła, tak bardzo modliła się o to, by się okazało, że Simon osobiście przekazał komuś kalendarz, że z jakichś powodów komuś go podarował albo oddał na przechowanie. Że z nim lub z nią zamienił może jeszcze parę słów albo nawet opowiedział, co się dzieje i co zamierza zrobić.

Niekiedy łatwiej było wyjawić całkiem obcej osobie, co człowiekowi leży na sercu, niż zwierzyć się komuś zaufanemu. Inaczej Hannah nie potrafiła sobie wytłumaczyć tego, że Simon nie powiedział jej nic o ogromie swojej desperacji.

Natychmiast poprawiła się w myślach. Ależ tak, powiedział jej. Wprawdzie nie dosłownie, ale powiedział. Tylko że ona, Hannah, nie wsłuchiwała się w to dostatecznie, tylko zalała go swoim optymizmem z gatunku „Głowa do góry!”.

– A więc torba wisiała na kierownicy jego roweru? – spytała, kończąc samooskarżenia.

– W każdym razie tak twierdził ten człowiek. Opowiadał, że pierwszego stycznia, jak każdego dnia, biegał nad jeziorem, a gdy po joggingu wrócił po rower, torba już tam była.

– Nie powiedział nic więcej? – Hannah tak mocno ścisnęła telefon, że bolały ją palce, a kostki kciuka całkiem zbieleły. – Czy coś zauważył? Może widział Simona?

– Nic takiego nie mówił. Powiedział, że sam by się chętnie dowiedział, do kogo należy kalendarz, i tylko dlatego przyszedł do mnie, gdyż dzień i godzina zapisane były w terminarzu. Chyba sądził, że właściciel też się pojawi.

– Więc tylko chciał oddać kalendarz?

– Tak sądzę – odparła Sarasvati. – Z drugiej strony wydawał się strasznie zaintrygowany tym, do kogo należy. Koniecznie chciał poczekać na jego przyjście. A żeby wypełnić czas i skoro seans i tak był opłacony, udzieliłam mu porady. Szczególny typ.

– Opowiedziała mu pani, o co prosiłam panią dla Simona?

– Oczywiście że nie! – powiedziała to łagodnie, ale stanowczo. – Także pani przyjacielowi powiedziałabym tylko to, co zobaczyłabym w kartach, mając jednak świadomość szczególnych okoliczności. – Po chwili dorzuciła jeszcze: – Kwotę za seans naturalnie pani zwrócę!

– To niepotrzebne – zapewniła ją Hannah. – Mnie chodzi tylko i wyłącznie o to, żeby znaleźć Simona. A fakt, że w noworoczny poranek musiał się zjawić gdzieś nad jeziorem... To mógłby być jakiś punkt zaczepienia, choćby maleńki. Ale lepsze to niż nic!

– A co sądzi o tym policja?

– O jeziorze jeszcze w ogóle nie wiedzą, ale natychmiast do nich zadzwonię.

– Miałam na myśli, co do tej pory zrobili?

Hannah westchnęła.

– Moim zdaniem nie za wiele. Policja go szuka, wszczęła

szeroko zakrojoną akcją, ale on może być wszędzie. – Zabroniła sobie choćby tylko w myśli dodania „jeśli jeszcze w ogóle żyje”. – Jego komórka leży w domu, więc jej lokalizowanie nie ma sensu. Ale teraz istnieje przynajmniej jakiś punkt wyjścia dla poszukiwań, a może też widział go jakiś spacerowicz albo ktoś mieszkający w sąsiedztwie.

– Naprawdę chciałabym znać nazwisko faceta, który się u mnie pojawił!

– Jak on w ogóle wyglądał?

– Koło czterdziestki, dość przystojny. Takie niebieskie oczy rzadko się spotyka, do tego jeszcze przy czarnych włosach. Drogie ubranie, i bardzo grzeczny, ale to wszystko. Taak, i sprawiał wrażenie jakoś tak mocno spiętego i nerwowego, ale dopiero później wydało mi się to dziwne.

– To nas chyba daleko nie zaprowadzi.

– Nie – przytaknęła doradczyni od spraw życiowych. – Poza tym on przecież wcale nie widział pani Simona, miał tylko jego kalendarz.

– Ale mimo to może by sobie coś przypomniał, gdyby z nim porozmawiać. Jakiś drobiazg, który uznał za nieistotny, a który dopiero w kontekście nabiera sensu. Sam terminarz jest dla mnie całkowicie bez znaczenia, ale poza nim nie mamy żadnych punktów zaczepienia, a jeśli istnieje jakaś szansa, że ktoś widział jeszcze Simona żywego, to po prostu muszę pójść tym tropem!

– Tak, rozumiem to. Chciałabym pani pomóc. Ale po seansie po prostu wyszedł i zabrał ze sobą kalendarz. Gdybym...

– Czy powiedział pani, co zamierza z nim zrobić? – przerwała jej Hannah.

– Tak. Chciał go oddać do biura rzeczy znalezionych.

– No to od razu tam zadzwonię! Może zapisują nazwiska znalazców. – Hannah próbowała wykrzesać z siebie iskierkę optymizmu. – A jeśli tak, muszą to przekazać policji.

– W każdym razie należy spróbować.

– Tak – rzekła Hannah. – Dziękuję, że odezwała się pani do mnie.

– Skarbie! – Ten nagle tak poufały zwrot nie wydał się Hannah ani trochę nie na miejscu. – Żałuję, że nie mogę zrobić dużo więcej! – Zastanawiała się przez chwilę. – A może wpadłaby pani do mnie? Mogłabym położyć pani karty.

– Czy jest możliwe, że w ten sposób znajdziemy Simona?

– Nie. – Innej odpowiedzi Hannah też się nie spodziewała. – Ale mogłybyśmy znaleźć coś innego.

– To naprawdę miło z pani strony. Ale nie szukam niczego innego, tylko Simona.

– Rozumiem. Mimo to chętnie panią przyjmę, o każdej porze! I proszę mnie informować na bieżąco o wszystkim, co dotyczy poszukiwań Simona.

– Obiecuję – powiedziała Hannah. Pożegnały się i rozłączyły.

Bezpośrednio po tej rozmowie Hannah najpierw zadzwoniła do policjantki, która dała jej swoją wizytówkę ze słowami, że można się z nią kontaktować o każdej porze, gdyby dowiedziała się czegoś nowego.

– Simon był nad jeziorem! – krzyknęła do słuchawki, gdy tylko kobieta odebrała. – Musi pani wysłać tam paru ludzi, natychmiast! – Potem, chociaż zdawała sobie sprawę, że zdanie: „I proszę wreszcie użyć nurków!” świadczy raczej o jej pesymistycznym nastawieniu i tym samym sprzeciwia się kompletnie jej credo o „tropach prowadzących w przyszłość”, zażądała właśnie tego.

– Na początek wyślemy tam paru kolegów – odparła spokojnie policjantka. – Potem zobaczymy.

Hannah rozłączyła się i głęboko odetchnęła. Dobrze. Policja znów zacznie intensywniej poszukiwać Simona, tym razem mając konkretną wskazówkę co do ostatniego miejsca jego pobytu.

Następnie wygooglowała numer biura rzeczy znalezionych

i zapytała mężczyznę, który odebrał telefon, o terminarz. Pudło, od sylwestra nikt nie oddał niczego, co choćby w przybliżeniu przypominało kalendarz. Hannah poprosiła mężczyznę, by zawiadomił ją, gdyby zjawił się ktoś z terminarzem oprawionym w granatową skórę. Spodziewała się jego nieco mrukliwej odpowiedzi, że nie jest punktem informacyjnym, dlatego też wyjaśniła mu pokrótce, o co chodzi. Na to mężczyzna z biura rzeczy znalezionych zmienił ton i obiecał, że zadzwoni natychmiast, gdy tylko jemu bądź jego kolegom ktoś odda kalendarz.

Hannah podziękowała i zakończyła rozmowę. Co jeszcze? Co mogła jeszcze zrobić?

Po raz trzeci wzięła komórkę do ręki i zadzwoniła do redakcji „Hamburger Nachrichten”, opowiedziała o najnowszych informacjach i poprosiła o opublikowanie następnego dnia jeszcze jednego apelu, wzywającego znalazcę kalendarza lub innych ewentualnych świadków, którzy widzieli Simona w pobliżu jeziora, by niezwłocznie się zgłosili. Obiecali jej, że to zrobią, znowu na pierwszej stronie gazety.

Gorączkowo zastanawiała się dalej nad tym, jakie kolejne kroki mogłaby jeszcze podjąć. Musiała odszukać mężczyznę, który znalazł kalendarz! Dlaczego go nie oddał, jak zapowiedział, w biurze rzeczy znalezionych? Co wobec tego z nim zrobił?

No tak, najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy, że mógłby dostarczyć cennych wskazówek, że w noworoczny poranek znalazł się przypadkowo w sytuacji, w której naprawdę chodziło o czyjeś życie albo śmierć. Nie mógł wiedzieć, jak pilnie jest poszukiwany. Na myśl o tym, że właśnie upływa drogocenny czas, Hannah poczuła się bezsilna, bezradna i bardzo, bardzo zła. Jak mogła trafić na tego faceta, który znalazł kalendarz Simona, jak?

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Znalazca złożył wizytę u Sarasvati; może spróbuje jeszcze raz gdzie indziej i wykorzysta

jakiś kolejny termin, zanim uda się do biura rzeczy znalezionych? Tarocistka powiedziała, że chciał się koniecznie dowiedzieć, do kogo należy kalendarz. Nieważne, z jakiego powodu: z ciekawości czy też z poczucia obowiązku, wszystko jedno. Istniała na to maleńka szansa, zatem Hannah wygrzebała z torby kopię, którą zrobiła z kalendarza Simona, i drżącymi rękami zaczęła ją kartkować. Gdzie znajdował się następny wpis z datą, godziną i miejscem, w którym mógłby się pojawić tajemniczy znalazca kalendarza?

Całkowicie rozczarowana musiała stwierdzić, że stanie się to dopiero za dziesięć dni, czternastego stycznia. Za dziesięć dni! Jeśli do tego czasu Simon się jeszcze nie pojawi albo nie zostanie odnaleziony, to...

Zabroniła sobie dokończyć to zdanie i skoncentrowała się z powrotem na wpisie. Czternastego stycznia na godzinę dziewiętnastą zanotowała Simonowi wieczór autorski z Sebastianem Fitzkiem w centrum artystycznym Kampnagel. Fitzek był bezapelacyjnie najulubieńszym autorem Simona, uwielbiał go wręcz i z zachwytem pochłonał wszystkie jego thrillery.

Wprawdzie Hannah nie potrafiła w ogóle zrozumieć, jak można dobrowolnie zamulać sobie mózg morderstwami i zabójstwami (hasło: „Uważaj na swoje myśli!”), ale Simon tłumaczył jej zawsze, że dla niego jest to rodzaj psychohigieny. „Fajne czytało od Fitzka – i potem jestem odporny na wszystkie te straszne doniesienia, które dzień w dzień muszę czytać albo pisać jako dziennikarz. I które w przeciwieństwie do thrillera są niestety prawdziwe”.

Dlatego ogromnie się ucieszyła, gdy we wrześniu odkryła, że pisarz przyjeżdża do Hamburga na swój wieczór autorski. Potraktowała to jako znak od losu (wprawdzie to wielkie słowo jak na skromny wieczór autorski, ale Hannah właśnie tak to odebrała), by dzięki spotkaniu z ulubionym pisarzem popchnąć

Simona powoli, ale konsekwentnie w kierunku idei: „Zacznij wreszcie pisać swoją własną książkę!”, i natychmiast zarezerwowała online dwa bilety. Właściwie chciała mu je podarować na Gwiazdkę, ale potem, nie namyślając się wiele, użyła ich inaczej, przeznaczyła je na cele idealnego roku.

Bilety będą czekały w kasie czternastego stycznia, zamówienie miało numer sto trzydzieści siedem, to także zaznaczyła w kalendarzu. Chciała pozostawić Simonowi wybór, czy zabierze ją jako osobę towarzyszącą, czy zwróci się raczej do Sörena, który dzielił z nim upodobanie do mrocznych opowieści. Obie możliwości akceptowała – gdy wpisywała do kalendarza wieczór autorski, przemknęła jej bowiem przez głowę myśl, że opowieści Fitzka mogą wywołać u niej jakieś koszmary.

Teraz jednak nie miałyby nic przeciwko koszmarom, gdyby tylko Simon mógł w ogóle spędzić jeszcze ten wieczór z kimkolwiek. Albo żeby przynajmniej ten człowiek, który znalazł kalendarz na swoim rowerze, zjawił się przy kasie, by zobaczyć, kto odbierze zaproszenie numer sto trzydzieści siedem.

Do tego czasu musi jeszcze upłynąć dziesięć dni, dziesięć nieznośnie długich dni! Nie, Hannah tak długo nie wytrzyma, wcześniej oszaleje. Dlaczego nie pomyślała o dodatkowych terminach? Dlaczego chciała, żeby na początku roku wszystko przebiegało spokojnie, i po jego inauguracji spotkaniem u Sarasvati wybierała głównie zadania, które Simon mógł rozwiązywać sobie sam w domu?

Zakładała, że w pierwszych dniach nowego roku będą musieli zaplanować masę wizyt u lekarzy i pobytów w klinice, dlatego nie umieściła w terminarzu zbyt wielu zajęć. Poza tym przez cały czas musiała przecież myśleć także o własnej pracy, którą teraz – aczkolwiek z błogosławieństwem innych – karygodnie zaniedbywała, czego jednak nie mogła wcześniej przewidzieć.

A teraz przeklinała siebie za to, że nie zorganizowała niczego

na dzisiejszy dzień: dokładna godzina ze współrzędnymi co do milimetra, żeby tylko się nie minąć. Znowu: gdyby...

Gdyby, gdyby, gdyby. Gdyby tak miała choć blade pojęcie, jak dopaść tego głupiego biegacza.

Tego głupiego biegacza?

„Opowiadał, że pierwszego stycznia, jak każdego dnia, biegał nad jeziorem”, zabrzmiały jej w uszach słowa Sarasvati. To było TO!

Dwadzieścia minut później z pudełkiem pinezek i pięćdziesięcioma ogłoszeniami, które wydrukowała z komputera Simona, popędziła schodami w dół do wyjścia.

Biegając ulicą Papenhuder tak ostro wzięła zakręt w ulicę Hartvicus, że o mało nie upadła i z trudem się pozbierała. Na końcu ulicy mogła już dojrzeć jezioro, i tam właśnie zmierzała ze swymi kartkami. Każdą ławkę, każde drzewo, każdy krzak i każde pojedyncze źdźbło trawy chciała wytapetować apelem o pomoc w poszukiwaniach, zawierającym obraz kalendarza – odbitkę ściągnęła ze strony producenta – i zdjęcie Simona. Z jaskrawoczerwonym tytułem: „Kto widział tego mężczyznę lub taki kalendarz???”.

Jeśli ten gość, który pojawił się u Sarasvati, rzeczywiście biega tu każdego dnia, to Hannah nie chciała dać mu najmniejszej szansy na to, że nie zauważy jej ogłoszenia. A nawet gdyby nie natknął się na nie, to przecież ktoś musiał zauważyć Simona, ktoś musiał! Bo jej przyjaciel był tam w noworoczny poranek!

Ciężko dysząc, Hannah zatrzymała się przed Alsterperle; zacznij tu, od popularnego wśród spacerowiczów lokalu. Gdy przymocowywała do drzewa pierwsze ogłoszenie, czuła się już lepiej. Nareszcie mogła coś zrobić!

Jonathan

4 stycznia, czwartek, godzina 11.16

Jonathan N. Grief włożył już swój sportowy strój, siedział na ławeczce przy telefonie w holu i właśnie zamierzał zawiązać buty do biegania na swą nieco spóźnioną rundkę, gdy w pół ruchu się zatrzymał.

Czy to było słuszne? Żeby po wczorajszym wieczorze nadal postępować tak jak do tej pory? Żeby jak zmoknięty pies otrząsnąć się z wody, a potem spokojnie podreptać dalej, jak gdyby jeszcze przed paroma sekundami nie pędził za kuszącą kością, która okazała się jedynie głupim patykiem?

Tak właśnie czuł się Jonathan. Był zawiedziony, miał poczucie, że został wykiwany. A jednocześnie zauważył u siebie cień wstydu, obawiał się bowiem, że miał jakiś udział w recydywie Leopolda. Oto martwił się o swoje cenne przedmioty i zdrowie oraz życie, a po prawdzie lepiej by zrobił, gdyby uważał, żeby Leopold nie miał swobodnego dostępu do jego okazałego zapasu trunków. Zastanawiał się, czy sam wręcz nie sprowokował sytuacji, że bezdomny pod osłoną nocy zwiął z licznymi butelkami wina i wódek. Czy w ostateczności byłoby lepiej, gdyby odmówił zabrania Leopolda do swego domu i zostawił go po prostu w kontenerze z makulaturą? Ale nie mógł przecież tego wszystkiego przewidzieć, uspokajał Jonathan swoje sumienie.

Westchnął. Tak pięknie to sobie wymyślił, tak odświeżająco, tak ożywczo. Leopold i on, w nieco dziwacznej męskiej komunie. Włóczęga i wydawca, jego ojciec przecierałby oczy ze zdumienia! W każdym razie w przeblasku jasności umysłu, gdy w trakcie opowieści Jonathana o jego nowym przyjacielu w ogóle dotarłoby do niego, że jest coś, czym się trzeba zdumiewać.

Ha! Taka dziwna para pierwszej wody to w końcu był materiał, z jakiego rodziły się powieści! Wprawdzie powieści popularne, czyli takie, którym nigdy by się nie udało dostać do planów wydawniczych Griefson & Books, ale zawsze powieści.

Jonathan wyciągnął przed siebie nogi i zamyślony wpatrywał się w pustkę. Jeszcze raz przed oczami przesunęły mu się wydarzenia poprzedniego wieczoru i nocy. Rzeczy, które opowiadał mu Leopold, ta otwarta, zażyła rozmowa między mężczyznami. I te dwa wpisy, które, upojony winem, jeszcze szybko sformułował, leżąc w łóżku. Tak, niech to diabli, czuł się winien i źle. Tylko co niby miał zrobić? Czy powinien udać się teraz na poszukiwanie Leopolda? W nadziei, że gdzieś go znajdzie, żeby go zabrać z powrotem do domu? Jeśli trzeba, to siłą?

Ale przecież nie był żadnym streetworkerem ani terapeutą, takie zadanie go przerastało. Pomijając już fakt, że Hamburg to wielkie miasto, prawdopodobieństwo znalezienia gdzieś włóczęgi było bliskie zeru. Czyżby więc miał po prostu zapomnieć o swym nowym „przyjacielu”, zawiązać teraz buty i zwyczajnie przejść nad tym do porządku?

Nie, to w ogóle nie brzmiało dobrze.

Jonathan N. Grief zdecydowanym ruchem zrzucił buty z nóg i w skarpetkach udał się na górę do swego pokoju. Jogging może poczekać do jutra. Przynajmniej dziś zastosuje się do rady Leopolda i sięgnie po kalendarz.

Usadowił się wygodnie w fotelu i otworzył terminarz na czwartym styczniu. Przeczytał wpis i roześmiał się. Nawet jeśli

Leopold zniknął, jego poglądy najwyraźniej tu pozostały.

Życie jest zbyt krótkie, by zajmować się rzeczami, które nie sprawiają żadnej przyjemności.

Sporządź dziś dwie listy. Jedną ze wszystkim, co napęłnia Cię radością. A drugą ze wszystkim, co wprawdzie robisz, ale co nie sprawia Ci żadnej przyjemności.

Od zaraz konsekwentnie skreślaj wszystko, co znajduje się na drugiej liście, i kieruj się w życiu tym, co jest na pierwszej! Wyłącznie! Napisz także, co sprawiłoby Ci radość, gdybyś to robił – i zrób to! I to jeszcze DZIŚ! Nieważne, jak szalone się to wydaje. Zrób NATYCHMIAST co najmniej jedną rzecz z pierwszej listy!

To ci dopiero było wyzwanie! Dostyc nieżyciowe, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Kto bowiem może sobie pozwolić, by kształtować swoje życie zgodnie z chęciami i kaprysem i robić wyłącznie to, co sprawia przyjemność? Żaden człowiek tego nie może – pomijając kilka nielicznych uprzywilejowanych osób. Albo może ci, którzy stoją już nad grobem i jest im absolutnie wszystko jedno, na czym strwonią czas, który im pozostał. Wszyscy inni muszą się niestety ugiąć przed społecznymi konwenansami i oddawać jakiejś działalności, która zapewni im utrzymanie. A jeśli było to skręcanie długopisów przy taśmie, to trzeba było te długopisy przy taśmie skręcać. Nieważne, czy sprawiało to przyjemność, czy nie.

Ale co mu się stało, że znowu pogrążył się w rozmyślaniach nad innymi ludźmi? W końcu on sam znajdował się w tej uprzywilejowanej sytuacji, w której mógł postępować, jak mu się żywnie podoba, Leopold to bardzo słusznie rozpoznał. Kto, jeśli nie on, mógł sobie pozwolić na luksus tej małej myślowej igraszki?

Jonathan N. Grief wyciągnął długopis. No więc czego chce? Co

sprawia mu przyjemność?

Jeszcze nie skończył kreślić litery b od „bieganie”, gdy się zatrzymał.

Wprawdzie biegał każdego dnia, ale właśnie gdy chciał to napisać, zastanowił się, czy naprawdę robi to chętnie.

Jeszcze nigdy nie zadał sobie tego pytania, nigdy nawet nie przyszło mu ono do głowy. Bo i dlaczego? Sport to zdrowie, każdy to wie. Codzienna rundka była integralną częścią jego życia jak mycie zębów, tego nie musiał już naprawdę podawać w wątpliwość. A może jednak?

W zadumie obgryzał koniec długopisu, próbował wczuć się w czynność biegania. Czy sprawiało mu ono przyjemność?

Właściwie nie. Przypominało raczej wypełnianie obowiązku. Moment po bieganiu, ten miał już więcej wspólnego z przyjemnością. Kiedy ta mordęga już się skończyła, a on cieszył się, że znowu udało mu się zwalczyć w sobie lenia w momencie wczesnej pobudki i wysiłku, i mógł też popatrzeć na efekty.

Ponownie przyłożył długopis do kartki i pisał:

Sprawia mi przyjemność, kiedy już skończę biegać i codzienna porcja sportu jest zaliczona.

Bezradnie przyglądał się swemu wpisowi. Co to znowu znaczyło? Czy bieganie zaliczało się tym samym do rzeczy, które powinny się znaleźć na liście „przyjemności”, a więc powinien je kontynuować? Czy też raczej nie? Nawet jeśli wyobrażenie, że likwiduje codzienną rundkę joggingu ze skutkiem natychmiastowym, w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Jedyne, co wiedział, to to, że każdy psycholog i każdy lekarz sportowy, a nawet „Bild-Zeitung”, zalecał wysiłek fizyczny jako cudowny środek na niemal wszystko. Zarówno w dolegliwościach fizycznych, jak i psychicznych nic nie

pomagało tak, jak wprawianie „maszyny-człowieka” raz dziennie porządnie w ruch. W każdym razie jeśli dolegliwości fizyczne nie polegały akurat na porażeniu dwukończynowym, gdyż wówczas zalecany byłby raczej jogging mózgu.

Sport był więc i pozostawał obowiązkiem. Tylko czy musiało to być koniecznie bieganie wokół jeziora? Jeśli Jonathan miał być szczery, to mógł sobie wyobrazić przyjemniejsze rzeczy, niż truchtanie o świcie i przy każdej, choćby najpodlejszej pogodzie przez wymarłe miasto, wrywany od czasu do czasu z nudnej monotonii kroków jedynie przez takie irytujące przypadki, jak psie kupy albo rowerowi kamikadze.

Przytaczanego często *runner's high*, tego uzależniającego stanu, o którym mówi tylu ludzi i który sprawia, że człowiek po prostu musi zaliczać kilometr za kilometrem, nigdy jeszcze nie doświadczył, lecz po prostu za każdym razem przewycięzał samego siebie.

A może bieganie... nie było wcale sportem odpowiednim dla niego?

Tenis. Ta myśl pojawiła się ni stąd, ni zowąd. W dzieciństwie chętnie grywał w tenisa. Nie tak na poważnie i też nie w jakimś klubie, ale od czasu do czasu razem z matką odbijali piłki w ogrodzie willi nad rozciągniętym sznurem do suszenia bielizny. Tak, to sprawiało mu przyjemność, nawet dużą. Jednak jakoś nie kontynuował tego sportu, w jego rodzinie grywało się w golfa. Na polu golfowym bowiem, od najwcześniejszej młodości wbijał mu do głowy ojciec, można robić najlepsze interesy.

Co było bez sensu, jeszcze nigdy Jonathan nie dokonał jakiegoś wielkiego dealu w spodniach w kratę i butach z kolcami. Jednak po pierwsze, mogło to być spowodowane tym, że od chwili, gdy wskutek choroby ojca awansował na pozycję wydawcy, z ulgą odstawił swoje kije golfowe do kąta, gdyż golf przez cały ten czas straszliwie go nudził. Po drugie, on sam nie odpowiadał za

zawieranie wielkich transakcji, od tego miał w końcu Markusa Bodego.

Bode. Rzeczywiście najwyższa pora, by się skontaktować z dyrektorem zarządzającym, który przypuszczalnie czeka już na jego telefon.

Najpierw jednak chciał popracować dalej nad „listą przyjemności” – a rozmowy telefoniczne z Markusem Bodem na temat przyszłości wydawnictwa z pewnością nie zaliczały się do tej kategorii. To już lepiej tenis.

Zapisał: „Grać w tenisa”.

Po chwili nabazgrał poniżej: „Śpiewać”. Jonathan zupełnie o tym zapomniał! Jako mały chłopiec lubił także śpiewać, naśladował ludowe piosenki neapolitańskie, które jego matka często z uczuciem intonowała.

Taa. O swym śpiewającym juniorze ojciec miał jeszcze gorsze zdanie niż o uganianiu się za małą, złotą filcową piłeczką, tak więc wraz ze zniknięciem Sofii Jonathan porzucił swe muzyczne pasje. Po mutacji już nawet nie podśpiewywał sobie cicho pod prysznicem.

Teraz nabrał głęboko powietrza i zaczął śpiewać.

Guarda, guarda, stu giardino

Siente, siesti scuranante...

Raptownie przerwał. To przecież brzmiało okropnie! Jeśli nie przestanie, to Daphne z domu obok zaraz zacznie dziko wyć. Poza tym nie znał dalszych słów piosenki. Ta prawda zaboląła go, pamiętał bowiem dokładnie, że jako chłopiec znał na pamięć cały tekst *Torna a Surriento*.

Zarzucone i utracone, jak tyle innych rzeczy.

Zastanowił się. Zatem tenis i śpiewanie. Co jeszcze? Zatopiony w myślach postukiwał czubkiem długopisu w kartkę,

zagrzewając samego siebie. No chyba wpadnie mu do głowy coś więcej niż te dwa marne punkty!

Nic.

Wobec tego lista z rzeczami, które w ogóle nie sprawiają mu przyjemności. Bieganie? Tak? Nie? Tak?

Zadzwoił telefon.

Na wyświetlaczu ukazało się nazwisko Markusa Bodego.

Przypadek? Czy też aż nadto wyraźny znak, wskazujący na rzeczy, które były mu nienawistne? Odebrał telefon.

– Jonathan Grief – zgłosił się.

– Dzień dobry, Markus Bode z tej strony.

– Pan Bode! Jak to miło, że się pan odezwał. Właśnie też zamierzałem do pana dzwonić!

– Czy już się pan zastanowił i ma jakieś pomysły?

– Jak najbardziej – odpowiedział Jonathan.

– Spotkamy się zaraz w wydawnictwie?

– Nie.

– Nie?

– Nie – powtórzył Jonathan, uśmiechając się. – W rzeczy samej, rozmyślałem o naszej sprawie. I właśnie się zastanawiam. Proszę mi powiedzieć, mój drogi, czy gra pan może w tenisa?

– W tenisa?

Hannah

Tego samego dnia
4 stycznia, czwartek, godzina 16.14

Chociaż zaczął padać nieprzyjemny deszcz ze śniegiem, pokrywając wszystko mokrą i zimną warstewką lodu, Hannah siedziała na ławce tuż obok mostu Krugkoppel, ściskając w ręce ostatni z plakatów. Zachowała ten jeden po akcji rozwieszania, żeby podsuwać go pod nos przechodniom. Tyle że przy tej pogodzie spacerowiczów było jak na lekarstwo, a kartka, którą ledwo udawało jej się schować pod płaszczem, wyglądała na porządnie sfatygowaną. Powinna była włożyć ogłoszenia do przezroczystych koszulek, ale w pośpiechu naturalnie o tym nie pomyślała.

Jutro powiesi nowe, zabezpieczone przed deszczem, i tak przecież nie ma nic innego do roboty. A przez resztę dzisiejszego dnia wytrwa na tej ławce; będzie tu siedziała tak długo, aż natrafi na kogoś, kto będzie jej mógł pomóc, bo może coś widział. Albo tak długo, aż zamarznie. W tym momencie naszło ją podejrzenie, że to drugie mogłoby nastąpić wcześniej.

Okrążyła prawie całe jezioro, rozwieszając swoje ogłoszenia, aż zostało jej tylko to jedno. Dwa razy napotkała przy tym policjantów, którzy jej powiedzieli, że rozglądają się za Simonem. Przynajmniej to działało!

Funkcjonariusze poprosili ją, by wróciła do domu, i zerknąwszy na wydruki Hannah, nieco urażeni stwierdzili, że

już wykonują przecież swoją robotę, nie ma powodu się niepokoić. Ale Hannah Marx nie byłaby Hannah Marx... gdyby nie była Hannah Marx.

Zadzwoiła jej komórka; wygrzebała ją zeszytwniałymi z zimna palcami z kieszeni płaszcza i odebrała telefon.

– Słuchaj, ty ciągle jeszcze jesteś na dworze? – To była Lisa, z którą już dziś trzy razy rozmawiała przez telefon. Uważała ona wprawdzie, że pomysł z apelem o pomoc w poszukiwaniach jest dobry, ale jednocześnie była zdania, że Hannah powinna wrócić do domu, bo przy tej paskudnej pogodzie prędzej padnie trupem niż znajdzie Simona.

– Chcę jeszcze poczekać, aż się ściemni.

– Popatrz tylko na niebo! Już się właśnie robi ciemno.

– Tu jest pełno latarni, jest dobrze.

– Hannah!

– Lisa, przestań, proszę. Naprawdę wiem, co robię.

– Przepraszam, ale wcale nie jestem tego taka pewna. Jeśli nabawisz się zapalenia płuc, to też nie pomożesz Simonowi.

– A co, jeślibym się teraz zwinęła, a dwie minuty później przechodziłby tu ktoś, kto go widział?

– A kto niby miałyby się tam przechadzać przy minusowej temperaturze i w śniegu z deszczem?

– Zostanę jeszcze tylko pół godzinki. Obiecuję!

– Gdzie ty właściwie sterczysz?

– Przy moście Krugkoppel.

– To przynajmniej gdzieś usiądź. Na rogu jest przecież Red Dog, na pewno dają tam gorącą herbatę.

– Nie wiem, czy jest otwarte.

– To idź i sprawdź! – W głosie Lisy pobrzmiwało czułe zniecierpliwienie. Tak przemawiała, gdy z podziwu godną cierpliwością usiłowała przekonać jakieś dziecko, by nie ściągało czapki i rękawiczek, bardzo, bardzo proszę!

– Ale stamtąd przecież nie będę widziała... – zaczęła Hannah.

– Żadnych zwariowanych spacerowiczów, oczywiście. – Westchnęła. – Słonko, zrobiłaś naprawdę, co tylko mogłaś. Trochę musisz zaufać losowi, na który tak chętnie się powołujesz. Nie wszystko leży w twojej mocy.

– Sama to przecież wiem. – Wbrew sobie Hannah znów zaszlochała. Nie miała pojęcia, ile łez wylała już w minionych dniach, ale z pewnością więcej niż w całym dotychczasowym życiu.

– Przyszłabym do ciebie, ale to niestety niemożliwe. Kłębi się tu wokół mnie jeszcze dwadzieścioro dzieciaków, w żadnym razie nie mogę ich zostawić samych z twoją i moją mamą.

– Nie, nie – przytaknęła Hannah. Rosło w niej nieczyste sumienie. Właściwie bowiem miała coś lepszego do roboty, niż siedzieć tu bezradnie na ławce w padającym mokrym śniegu. A nawet jeśli już nie coś lepszego, to przynajmniej coś innego. – Posłuchaj – powiedziała – zostanę naprawdę jeszcze tylko pół godziny, a potem przyjdę do Bandy Urwisów i pomogę ci przynajmniej posprzątać, dobrze?

– To byłoby wspaniale! Potem mogłybyśmy pójść razem coś zjeść.

– Ehm...

– Albo pojedziemy do mieszkania Simona i zamówimy sobie pizzę? I butelkę dobrego wina?

Hannah uśmiechnęła się do telefonu.

– Kocham cię!

– Ja ciebie też.

*

Za kwadrans piąta Hannah, zgodnie z obietnicą, podniosła się z ławki. Przez ostatnie trzydzieści minut rzeczywiście nie minął jej ani jeden człowiek. Wszystko ją bolało z zimna, a przy próbie

postawienia jednej stopy przed drugą czuła takie bóle mięśni, jak po przebiegnięciu maratonu bez treningu.

Przez chwilę się zastanawiała, czy nie wezwać taksówki i pojechać na Eppendorfer Weg. Przed południem zapomniała jednak nie tylko o przezroczystych koszulkach, ale i o zabranii pieniędzy. Z kawy w Red Dog i więc tak nic by nie wyszło. Ale skoro już nie mogła sobie pozwolić na taksówkę i musiała iść piechotą, to po drodze mogła przecież jeszcze pokazać jednemu czy drugiemu przechodniowi swoje ogłoszenie.

– Wszystko ma jakiś sens – powiedziała do siebie głośno i energicznie, a potem ruszyła po śniegu w kierunku Harvestehuder Weg. Jeśli będzie dziarsko maszerować, to pokona trasę do Bandy Urwisów w ciągu dwudziestu minut. Trzydziestu z ewentualnymi przerwami na pytanie przechodniów, do tego czasu chyba nie nabawi się zapalenia płuc. Zakasłała.

Po dziewięciu minutach Hannah przebyła połowę drogi, bardziej bowiem biegła, niż szła, i oprócz kilku rowerzystów i mężczyzny, który na jej zapytanie tylko spojrzął na nią zdziwiony, a potem bez słowa poszedł dalej, nie napotkała żywej duszy.

Co się działo z tymi hamburczykami? Ta odrobina deszczu ze śniegiem chyba nie mogła ich na serio przestraszyć ani zagonić w domowe pielesze na kanapę! Prawdziwy hanzeata był przecież zaprawiony w burzach i w domu w zasięgu ręki miał co najmniej trzy żółte, gumowe „fryzyjskie norki” i jeden wodoodporny kapelusz.

Wzdłuż parku Innocentia Hannah dawała susy po mokrym od śniegu bruku, pod osłoną okolicznych willi. Była już tak przemarznięta, że uznała groźbę zapalenia płuc za całkiem realną. Powinna była jednak wziąć taksówkę i w Bandzie Urwisów pożyczyć na nią pieniądze od Lisy, ale jej upór kolejny raz zwyciężył wszelki rozsądek. A teraz już się nie opłacało

dzwonić po samochód.

W odległości trzydziestu metrów w kręgu światła przy wejściu do jednego z domów Hannah ujrzała jakąś niewielką postać wychodzącą na chodnik. Dziecko? Przyspieszyła kroku. Dziecko nie dziecko, przynajmniej tej jednej osobie chciała jeszcze pokazać swoje ogłoszenie, wtedy jej wędrówka na mrozie może będzie miała jakiś sens.

Gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że nie jest to dziecko, ale niewysoka starsza osobka z pudlem na smyczy. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i plastikowy kapturek, pies także ubrany był w płaszczyk.

– Halo! – zawołała Hannah i rzuciła się w kierunku damy, która drgnęła. – Niech się pani nie boi, chcę panią tylko o coś zapytać!

Zamiast odpowiedzi mała pani z zadziwiającą prędkością popędziła z powrotem do wejścia swej willi. Ciągnęła przy tym za sobą biednego psa.

– Halo! – zawołała Hannah ponownie, uniosła swą kompletnie przemoczoną kartkę w górę, doskoczyła wielkim susem do właścicielki psa i położyła jej od tyłu rękę na ramieniu. – Niech pani zaczeka!

– Proszę mnie natychmiast puścić! – Kobieta była nie tylko zdumiewająco szybka, ale też dysponowała jeszcze bardziej zdumiewającym organem głosu; jej okrzyk przeszył Hannah do szpiku kości. Przerażona cofnęła rękę, starsza pani odwróciła się do niej i popatrzyła na nią ze złością. Ze złością, ale i ze strachem, tak że Hannah od razu zrobiło się jej żal. – Czego pani ode mnie chce? – zajazgotała staruszka. – Niech mnie pani zostawi w spokoju!

– Przepraszam, ja tylko chciałam... – Hannah zrobiła krok, w jej pojęciu pojednawczy, w kierunku kobiety i wyciągnęła do niej prawą rękę.

– Na pomoc! – zapiszczała dama. A zaraz po chwili krzyknęła: –

Daphne, bierz ją! – Co zabrzmiało zgoła kuriozalnie, biorąc pod uwagę wygląd psa.

Pudel ani nie wyszczerzył zębów, ani nie zawarczał, ale za to zaczął gwałtownie ujadać, tak że Hannah, w obawie, że ponury łydkożerca rzuci się jej zaraz pod kolano, na wszelki wypadek odskoczyła do tyłu.

– Źle mnie pani zrozumiała, całkowicie – zawołała, starając się, by zabrzmiało to możliwie uspokajająco, podczas gdy jednocześnie podniosła ręce w obronnym geście. – Ja... ja...

– Co tu się dzieje?

Obie kobiety odwróciły się raptownie w lewo, skąd dochodził męski głos. W drzwiach domu obok stały jakieś dwie postacie i w ciemności wytężyły wzrok w ich stronę.

– Czy wszystko u pani w porządku, pani Fahrenkrog? – dopytywał się mężczyzna.

– Wszystko dobrze! – krzyknęła Hannah, bojąc się, że dama z pudlem znów zacznie krzyczeć wniebogłosy. – To tylko pomyłka!

Następnie ruszyła w kierunku Brahmsallee, na tyle szybko, by wyglądało to na godny odwrót. Za sobą słyszała wciąż ujadanie Daphne, ale przynajmniej starsza dama już nie krzyczała, a z dwóch postaci z sąsiedniej willi żadna chyba jej nie ścigała.

Niemal się roześmiała. Najwyraźniej o włos uniknęła oskarżenia o czynną napaść. A przecież chciała tylko spytać właścicielkę psa o Simona. Czemu ta kobieta tak się wystraszyła, że niby czego Hannah od niej chciała? Wcisnąć jej abonament jakiegoś pisma? Teraz Hannah już się naprawdę śmiała – chociaż sytuacja bynajmniej nie była śmieszna.

Jonathan

4 stycznia, czwartek, godzina 16.50

– A niech to, Bode, szacunek! – Jonathan spoczywał ledwie żywy w jednym ze skórzanych foteli w salonie swego domu, dokąd zaprosił dyrektora po meczu tenisowym na „pożegnalnego drinka”, czyli szklanek orzeźwiającej mrożonej herbaty. Uśmiechał się, gdyż był nie tylko wyczerpany, ale też jednocześnie nieomal w euforii. Tak, gra z Markusem Bodem sprawiła mu ogromną frajdę. Chociaż piłki tylko fruwały mu koło głowy, a wszystkie mięśnie bolały, jakby wpadł pod ciężarówkę. – Nigdy bym nie pomyślał, że umie się pan tak dobrze posługiwać rakieta!

– A dlaczego nie? – Markus Bode także się uśmiechnął, i to z nieukrywaną dumą.

– Nie mam pojęcia. – Jonathan wzruszył ramionami. – Po prostu nigdy bym nie pomyślał.

– Ja też bym nie przypuszczał, że jest pan taki słaby – odparł dyrektor zarządzający i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – W końcu to pan zaproponował rundkę, więc założyłem, że umie pan grać w tenisa.

Jonathan się roześmiał.

– Wtedy jeszcze nie przypuszczałem, że jest pan drugim Johnem McEnroe.

– Dziękuję, że nie porównuje mnie pan z Borisem Beckerem. –

Markus Bode był zadowolony. – Ale naprawdę z każdą minutą był pan lepszy.

– Nie musi się pan tak podlizywać tylko dlatego, że jestem szefem.

– Mówię poważnie. Widać, że pan kiedyś grał. Po prostu trochę pan zardzewiał. Jak dawno grał pan ostatni mecz?

– O żadnym meczu w ogóle nie może być mowy – wyjaśnił Jonathan. – Jako mały chłopiec odbijałem z matką od czasu do czasu parę piłek w ogrodzie, w zasadzie to wszystko.

Bode uniósł pytająco brwi.

– A skąd ten nagły pomysł, żeby zagrać?

– Ach – odrzekł Jonathan wymijająco. Wykluczone, żeby opowiadał swemu dyrektorowi zarządzającemu, że kieruje się jakimś tajemniczym kalendarzem. – Nie mam pojęcia. W nowym roku mam ochotę zmienić parę rzeczy. Chcę wnieść do swojego życia więcej rozmachu i pomyślałem, że spróbuję z tenisem.

– Rozumiem. – Bode skinął zamyślony głową i opuścił wzrok na swoją opróżnioną do połowy szklanę. – Koniec roku obu nam przyniósł zmiany, co?

– Na to wygląda – przytaknął Jonathan. – A co tam teraz u pana? – Czuł, że w tej sytuacji powinien zapytać o samopoczucie Bodego.

– Jakoś leci. Moja żona i ja „rozmawiamy”, jak to się ładnie mówi.

– Ach tak? To brzmi całkiem nieźle!

– To zależy, o czym się rozmawia. W naszym przypadku są to, szczerze mówiąc, tylko adwokaci, którzy rozmawiają za nas, a w zasadzie chodzi o wysokość alimentów i o to, jak często będę mógł w przyszłości widywać dzieci.

– Och. – Jonathan popatrzył na niego zawstydzony. – To rzeczywiście nie brzmi za dobrze.

– Nie za bardzo.

– No tak. – Sam zauważył, jak znowu w swym zakłopotaniu

ześliznął się w niestosowny, jowialny ton, ale w końcu musiał jednak powiedzieć coś mądrego. – Niech pan posłucha mężczyzny, który ma już to wszystko za sobą: to też mija.

– Hm. – Dyrektor Bode kiwnął głową. – Tyle że pan i pańska była żona nie mieliście dzieci.

– To prawda – przyznał Jonathan.

– I o ile wiem, to po rozwodzie pańska żona zachowała się bardzo przyzwoicie i nawet nie żądała od pana alimentów.

– Skąd pan to wie? – spytał Jonathan zaskoczony. Zaskoczony i niemile poruszony.

– Od piętnastu lat pracuję w Griefson & Books. Od odejścia pana ojca nawet jako dyrektor zarządzający, jeśli umknęło to pana uwadze.

– Ależ nie, oczywiście wiem to. Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Ujmijmy to w ten sposób: częścią mojej pracy jako dyrektora zarządzającego jest być poinformowanym o wszystkich sprawach w wydawnictwie.

– Nie myślałem, że moje nieudane małżeństwo zalicza się do „spraw w wydawnictwie”. – Jonathan nie zdołał ukryć oburzenia w głosie.

– Nie, naturalnie że nie! – zapewnił go spieszenie Markus Bode i poczerwieniał na twarzy. – Przepraszam, nie chciałem przez to...

– Już dobrze – powiedział Jonathan. – Właściwie to i tak wszystko jedno.

– Nie, nie, przepraszam – powtórzył dyrektor. – Ale tak już jest, że jako wydawca znajduje się pan w centrum zainteresowania, jest więc oczywiste, że ludzie gadają.

– Ludzie? – Jonathan ponownie poczuł przykrość. – Co niby za ludzie?

– No, pana pracownicy. Oni też się interesują swoim szefem.

– Aha. – Świadomość, że jego życie prywatne jest przedmiotem

dyskusji wśród pracowników, wydała mu się nader niemiła. Nigdy się z czymś takim nie liczył. Właściwie zawsze zakładał, że widzą w nim jako w wydawcy jedynie nieokreśloną, świetlaną postać, która pojawiała się od czasu do czasu i która poza tym nie ma większego znaczenia. A teraz dowiedzieć się od Bodego, że jest inaczej, to, to...

– Naprawdę nie musi się pan tym za bardzo przejmować – przerwał jego myśli Markus Bode. – To przecież zupełnie normalne, plotkowanie to u większości ludzi elementarna potrzeba. To poniekąd jak serial telewizyjny albo dobra powieść popularna.

– Chyba nie przyrównuje pan właśnie na serio mojego życia do jakiegoś serialu, czy też...?

– Ach, niechże pan da sobie z tym spokój! Jak to bardzo słusznie powiedział wielki Oscar Wilde? Jest tylko jedna rzecz gorsza od tej, że gadają o człowieku – gdy o nim nie gadają.

– Ten chyba wiedział, o czym mówi – skomentował sucho Jonathan. – O ile jestem poinformowany, to drogi mister Wilde spędził ostatnie lata w niegodnych warunkach w więzieniu, a po zwolnieniu z niego umarł w całkowitym opuszczeniu i nędzy.

– Mimo to mówił niegłupie rzeczy.

– Tylko że nic mu one nie pomogły.

– Za to jego potomnym jak najbardziej.

– Z pewnością jest to dla niego wielką pociechą *post mortem*.

– Taa. – Markus Bode rozłożył ręce. – Czyż nie jest to coś, co każdego dnia próbujemy robić? Pozostawić dla potomności wielką literaturę?

– Bardziej bym się cieszył, gdyby została doceniona i uhonorowana już przez ten świat.

Markus Bode natychmiast przyjął oficjalny ton.

– Może byśmy porozmawiali teraz o sprawach firmy?

– Eee. – Cholera! Cholera, cholera! Niechcący sam się wmanewrował na grząski teren, w końcu zamierzał jak najdłużej

odwlekać ten temat. No pięknie! Na oczekaniu nie przychodziła mu do głowy żadna dobra wymówka, więc poddał się i postanowił przestawić się na atak. – Chętnie – powiedział. – Ponieważ jednak dopiero co podkreślał pan swoje długoletnie doświadczenie w wydawnictwie, więc przede wszystkim byłbym ciekaw, jak wyglądają pana propozycje.

– Ze mną jest zupełnie na odwrót – odparł Bode. – Chętnie bym posłuchał, co pan jako wydawca sądzi o aktualnych tendencjach, które niestety tak wyraźnie zarysowują się w dokumentach.

– Pan pierwszy, proszę!

– Nie, nie, chętnie ustąpię panu pierwszeństwa!

Jonathan zakasłał. Co to ma być? Lorient[6] z ukrytą kamerą? Dlaczego Markus Bode tak się uchyla od wyrażenia swojej opinii? Czyżby się... bał?

Bał się jego, Jonathana N. Griefa? Ledwie mógł to sobie wyobrazić, nie był przecież swoim ojcem. Poza tym – ostatecznie to on sam się bał.

Czy naprawdę teraz to pomyślał?

– Bądźmy szczerzy, panie Bode – rzekł Jonathan, starając się przybrać autorytatywny ton. – Jest pan odpowiedzialny za sprawy zarządzania i zna pan wszystkie dane i kierunki rozwoju znacznie lepiej niż ja. Ma pan lepszą orientację na rynku, więc byłoby głupio z mojej strony, gdybym nie wysłuchał najpierw opinii eksperta.

– Tak pan myśli?

– Tak, oczywiście.

– Chce pan więc zupełnie szczerze wysłuchać mojego zdania?

– Proszę!

Markus Bode wahał się przez chwilę. Następnie odstawił szklankę na stolik, przysunął się z fotelem aż do jego krawędzi, podciągnął nogi i skrzyżował ręce na kolanach.

– Jeśli mam być szczerzy, to według mnie sprawa wygląda następująco: marszrutę, której zawsze przestrzegało

wydawnictwo od dnia jego powstania, nie możemy już kontynuować w niezmienny sposób. Z takim modelem działania przestaliśmy być konkurencyjni.

– Mógłby mi pan wyjaśnić to dokładniej?

– Griefson & Books jest znakiem literatury wysokiej. Tyle że prawie nikt już jej nie kupuje. Jeśli mnie pan pyta, to musimy jak najszybciej stać się bardziej popularni.

– Popularni? – Wypluł to słowo, jakby poczuł w ustach jakiś wstrętny smak.

Markus Bode pokiwał głową.

– Co pan ma na myśli?

– Mam na myśli to, że pilnie potrzebujemy paru tytułów z gatunku popularnych. Romanse, kryminały, thrillery. Czytadła historyczne.

– W żadnym wypadku!

– Przewidywałem, że tak pan zareaguje. Ale nie widzę innej możliwości.

– Griefson & Books nie wydaje takich rzeczy!

– Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce Griefson & Books nie będzie już wydawał niczego.

– Mimo to – upierał się Jonathan. – Jeśli ma się fabrykę śrubek, też nie można z dnia na dzień postanowić, że od dziś sprzedajemy kołki rozporowe, bo lepiej idą.

Markus Bode popatrzył na niego z irytacją, co Jonathan mógł nawet zrozumieć. Sam nie wiedział, z jakiej partii jego mózgu wyskoczyło to porównanie ze śrubkami. Musiała to być jakaś paniczna reakcja pod wpływem impulsu, nawet dla niego samego to wszystko brzmiało nader mętnie. Jednak jego dyrektor zarządzający przyznał mu rację:

– Rzeczywiście, nie można, trzeba po prostu sprzedawać inne śrubki. Jeśli się tego nie chce, to trzeba zamknąć interes, bo wszystko idzie źle.

– No, tak dramatycznie to chyba nie będzie!

- A przyjrzał się pan w międzyczasie dokładniej liczbom?
 - Oczywiście, że to zrobiłem.
 - Wobec tego powinno być dla pana jasne, że sytuacja jest absolutnie dramatyczna.
 - Ale... – Jonathan szukał właściwych słów. Żadne nie przychodziły mu do głowy. Poza krnąbrnym: „Mimo to nie będziemy brać udziału w ogłupianiu świata tylko po to, żeby osiągnąć zyski!”. Nie wydobył z siebie nic sensownego.
 - Skąd właściwie bierze się pana niemal już patologiczna awersja do wszystkiego, co choćby z daleka pachnie rozrywką? – zapytał Bode.
 - To nie jest żadna awersja! – odparł Jonathan opryskliwie, zastanawiając się jednocześnie, czy on i jego rozmówca właśnie się kłóć. Prawie na to wyglądało.
 - Nie?
 - Zawsze myślałem, że reprezentujemy tę samą linię, a pan całkowicie zgadza się z naszym programem.
 - I tak jest! Jednak tu chodzi nie tylko o mój osobisty gust – albo o pański – ale i o to, co się sprzedaje. Griefson & Books to wciąż jeszcze przedsiębiorstwo gospodarcze, które ponosi odpowiedzialność za swoich pracowników.
 - Przede wszystkim jest to przedsiębiorstwo zbudowane na długiej tradycji rodzinnej. Czuję się zobowiązany także wobec tej tradycji.
 - Przecież ja to rozumiem – rzekł Bode pojednawczo. – Wcale też nie proponuję, żebyśmy od jutra wydawali wyłącznie powieści z Dzikiego Zachodu. Tylko od czasu do czasu jakiś sprzedający się dobrze tytuł, dzięki któremu będziemy mogli finansować nasz główny profil.
 - Uważam to za hipokryzję!
 - Ja uważam to za inteligentne.
 - Wobec tego tu się chyba różnimy.
- Wpatrywali się w siebie. W milczeniu. Bez jednego nawet

mrugnięcia. *W samo południe* przy parku Innocentia.

Jonathan zamierzał właśnie odchrząknąć i dla rozładowania sytuacji powiedzieć coś w rodzaju, że chyba się zapędzili w niezłą słowną utarczkę, gdy z zewnątrz dobiegł ich przenikliwy krzyk.

– Niech mnie pani natychmiast puści!

Jonathan zerwał się z fotela, jakby go coś ugryzło, Markus Bode za nim, i razem pobiegli przez hol do drzwi wejściowych.

– Na pomoc! – Usłyszeli głos, teraz piskliwy. – Daphne, bierz ją!

– To pani Fahrenkrog, moja sąsiadka! – stwierdził Jonathan, otworzył z impetem drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Markus Bode trzymał się blisko niego. Kilka metrów od nich na chodniku przed jej willą Jonathan dojrzał starszą panią. Stała w półmroku przed inną kobietą, z którą się najwyraźniej kłóciła.

– Wszystko u pani w porządku? – zawołał Jonathan w kierunku pani Fahrenkrog i już chciał do niej biec.

– Wszystko dobrze! To tylko pomyłka! – odpowiedziała obca kobieta. Jej głos miał w sobie coś uspokajającego, przez chwilę Jonathan rzeczywiście wierzył, że nic się nie stało. Potem jednak kobieta oddaliła się tak szybko, że Jonathan musiałby pobiec, żeby ją dogonić. Najpierw jednak chciał się zatroszczyć o sąsiadkę.

– Dobrze się pani czuje? – spytał, gdy znalazł się przy niej.

– Tak. – Mała pani Fahrenkrog trzęsała się jak osika. – Dziękuję, nic mi nie jest.

Daphne, jakby na potwierdzenie, wydała z siebie bojowe sapnięcie.

– Czego chciała od pani ta kobieta?

– Nie wiem. – Mówiła płaczliwym głosem. – Całkiem niespodziewanie na mnie napadła, tak po prostu.

– Mam wezwać policję?

Hertha Fahrenkrog uśmiechnęła się, usta jej drżały.

– To niepotrzebne, panie Grief. Dzięki panu nic się przecież nie stało.

– Jest pani pewna, że da sobie pani radę?

Hertha Fahrenkrog kiwnęła głową.

– Idę teraz do domu i zrobię sobie dobrej herbaty.

– To znakomity pomysł – odpowiedział Jonathan. – A gdyby coś się działo, jestem obok.

Kolejny uśmiech, tym razem już spokojny.

– Dobrze to wiedzieć. – Skinęła mu głową, pociągnęła smycz Daphne i powoli, nieco chwiejnie, ruszyła w kierunku drzwi swojego domu.

Jonathan chciał się już odwrócić i także pospieszyć do ciepłego mieszkania, gdy coś mu jeszcze przyszło do głowy.

– Proszę pani? – zawołał.

Odwróciła się do niego.

– Co takiego?

– Kiedy ma pani urodziny?

– W maju. A dlaczego?

– Nie szesnastego marca?

– Nie. – Wyglądała na poirytowaną. – Siódmego maja, z całą pewnością. Taka stetryczała jeszcze nie jestem, żeby tego nie pamiętać.

– Naturalnie – odrzekł. – Wobec tego życzę pani spokojnego wieczoru!

Poszedł do swoich drzwi, gdzie ciągle jeszcze czekał na niego Markus Bode.

– Co to było? – zapytał, gdy obaj stali znów w holu willi Jonathana.

– Moja sąsiadka została napadnięta przez jakąś nieznaną kobietę.

– W tej dzielnicy? – Dyrektor zarządzający kręcił z niedowierzaniem głową. – Kto by pomyślał.

– Tak, ja też jestem trochę zszokowany.

– Jakaś pacjentka z zakładu psychiatrycznego na przepustce?

– Możliwe. Przy czym zachowywała się właściwie zupełnie

normalnie.

Markus Bode pokiwał głową.

– Tacy są jak wiadomo najgorsi.

– Wejdziemy z powrotem?

– Z największą chęcią, ale niestety muszę już iść. – Ostentacyjnie rzucił okiem na zegarek na przegubie. – Mam jeszcze spotkanie z moim adwokatem, sam pan wie... Musimy więc skończyć naszą... naszą dyskusję innym razem.

– Jaka szkoda – powiedział Jonathan. A pomyślał coś dokładnie odwrotnego: Hurra!



6 Prawdziwe nazwisko Vicco von Bülow (1923–2011), niemiecki komik, autor komiksów, pisarz, reżyser.

Hannah

5 stycznia, piątek, godzina 6.53

Godzina siódma. Dlaczego u diabła piekarnia na rogu otwiera się dopiero o siódmej? Czyżby nie było dostatecznie wielu ludzi, którzy o tej porze muszą już być w pracy? Tak, którzy może wręcz mają już za sobą pół dnia w firmie? Co z nimi? Czy oni muszą wychodzić z domu bez kawy i bułeczek?

Przestępując z nogi na nogę przed zamkniętymi drzwiami Piekarni Hanzeatyckiej, Hannah zastanawiała się, czy nie powinna pobiec szybko do samochodu i pojechać na stację benzynową przy rondzie Horner Kreisel. Była czynna przez całą dobę i z pewnością na regale z prasą leżały już „Hamburger Nachrichten”.

Właściwie to chciała tam pędzić już o trzeciej w nocy i zapewnić sobie wydanie wieczorne, ale Lisa, po wspólnym spożyciu butelki czerwonego wina, powstrzymała ją od tego, by usiadła za kierownicą swojego twingo. Zrobiła to bardzo energicznie, wyrwała Hannah kluczyki z ręki i z surową miną nakazała jej przespać co najmniej sześć godzin!

Mimo to do wpół do siódmej Hannah przewracała się w łóżku Simona z najczarniejszymi myślami w głowie, podczas gdy jej przyjaciółka spała snem sprawiedliwego na sofie w salonie. Potem Hannah wstała i nieumyta, nieuczesana, popędziła do Piekarni Hanzeatyckiej.

I oto stała tu, potargana jak wałęsający się kot, i starała się nie ulec pokusie, by szarpać za opuszczoną metalową roletę i krzycząc na całe gardło, domagać się wstępu.

Szósta pięćdziesiąt sześć. Więc jednak na stację? Ale nawet Hannah musiała zrozumieć, że dla czterech minut trud się nie opłaca, a ostatecznie, gdyby teraz opuściła swój posterunek, to trwałoby jeszcze dłużej, zanim dostałaby do rąk „Hamburger Nachrichten”. Miała nadzieję, że piekarni już dostarczono prasę! Jeśli nie, to dostanie ataku histerycznego płaczu.

O szóstej pięćdziesiąt dziewięć rozległ się długo wyczekiwany odgłos przekręcanego od środka klucza, parę sekund później uniosła się metalowa roleta. Starsza pani za drzwiami przyglądała się nieco oburzona, jak Hannah, zaledwie sklep został otwarty, rzuciła się do środka, nie witając się, zażądała egzemplarza „Hamburger Nachrichten”. Jednocześnie sama popędziła do szklanej lady i chwyciła gazetę z leżącego tam stosu.

– Reszta dla pani! – krzyknęła sprzedawczyni, gdy Hannah wcisnęła jej do ręki pięć euro. Ale Hannah była już wtedy z powrotem na ulicy.

Ciężko dysząc, od razu rozpostarła gazetę. Poczowała ulgę, redakcja dotrzymała słowa. Apel o pomoc w poszukiwaniu Simona został umieszczony na pierwszej stronie, z dużym zdjęciem jej ukochanego, a nawet ze zdjęciem kalendarza, trudno go było nie zauważyć. Jeśli ktokolwiek widział Simona nad jeziorem w noworoczny poranek albo też znalazł terminarz, to dzięki temu artykułowi znajdą go. Z całą pewnością, nie mogło być inaczej!

Jonathan

5 stycznia, piątek, godzina 6.15

Gdy zadzwonił budzik, Jonathan jak każdego ranka usiadł na łóżku. I potrzebował trzech sekund, by zrozumieć, że nie ma żadnego powodu, by się tak zrywać. Przeciwnie, to pora na to, by zwolnić, gdyż codzienna rundka biegania przed świtem stała się dla niego historią. Ze skutkiem natychmiastowym.

Jego nowym joggingiem był teraz tenis, zatem Jonathan precyzyjnym uderzeniem uciszył budzik i opadł z powrotem na poduszkę, nawet podciągnął sobie kołdrę aż na nos i opatulił się błogo. Cudownie! Będzie leżał tak długo, jak długo będzie mu to sprawiało przyjemność.

I sprawiało mu przyjemność, nawet wielką, gdyż pomijając nieciekawą sytuację finansową wydawnictwa – i obawy, że Markus Bode nie odpuści – już dawno nie czuł się tak dobrze. Sam nie potrafił powiedzieć dlaczego, bo właściwie nic się nie wydarzyło. Ale tak właśnie było.

O wpół do dziewiątej Jonathan N. Grief ponownie się obudził. Uśmiechnął się zuchwale, zerknąwszy na budzik. Wpół do dziewiątej w zwykły dzień to przecież właściwa godzina dla człowieka światowego, dla znawcy życia, za jakiego od dziś chciał uchodzić. Budzika mógł się właściwie od razu pozbyć, nie istniał bowiem żaden powód, by każdego dnia pozwalać mu dzwonieniem wyrywać się ze snu.

Usiadł, wsunął stopy w filcowe kapcie przy łóżku, przeszedł do bujanego fotela i sięgnął po szlafrok, żeby go narzucić. Teraz filiżanka dobrej kawy, świeżo podgrzany croissant, a do tego gazeta; podobał mu się taki start w nowy dzień.

Już gdy szedł schodami do kuchni, z trudem potrafił sobie wyobrazić, że tę pierwszą trasę w ciągu dnia pokonywał do tej pory zawsze w stroju do biegania, najczęściej trochę zmęczony i niezadowolony. Co mu kazało tak się katować przez te wszystkie lata? I dlaczego, u diabła, wybiegał na dodatek w porze, kiedy wszyscy jeszcze śpią, chociaż dla niego, jako prywatnego przedsiębiorcy, nie było w ogóle żadnego powodu do takiego szaleństwa?

To musiała być chyba siła przyzwyczajenia. Od lat, od kiedy rozpoczął studia, leciał rano pobiegać, i z czasem ten rytuał tak wszedł mu w krew, że nigdy go nie podważał. Podziękował niemo kalendarzowi, gdyż bez jego inspiracji przypuszczalnie każdego ranka katowałyby się wokół jeziora aż do czasu, gdy w końcu pielęgniarz musiałby go pchać na wózku.

Gdy w kuchni nastawił ekspres do kawy i położył na blasze w piekarniku rogalik, wyjął „Hamburger Nachrichten” z tulei na gazety obok drzwi wejściowych i rozłożył ją na stole w jadalni gotową do lektury. Potem wrócił do kuchni, żeby przynieść sobie śniadanie. Kawa jeszcze nie była gotowa, więc pobiegł ponownie na górę do gabinetu i złapał kalendarz. Od tego zacznie, jeszcze przed lekturą gazety.

Nowym, codziennym rytuałem będzie teraz czytanie rano wpisu na dany dzień. I – choćby pokusa była wielka – postanowił nie wybiegać naprzód. Wprawdzie wcześniej przeleciał już kilka wpisów na późniejsze dni, ale to się nie liczyło, bo wtedy miał przecież inne intencje: chciał znaleźć właściciela i musiał to zrobić.

Od teraz jednak zamierzał traktować terminarz, którego najwidoczniej nikt nie szukał (lub też który podsunął mu los, tak,

LOS!), jak kalendarz adwentowy. Wolno w nim otworzyć codziennie tylko jedne drzwiczki, gdyż inaczej, hi, hi, hi, dostaniesz po łapach. I tak będzie startował w każdy nowy dzień z jakąś piękną niespodzianką. Ze swoim najzupełniej osobistym workiem cudów, swoją poranną wyrocznią, swoim... no tak, swoim sekretnym programem zajęć.

W zgodzie ze sobą i światem siedział dziesięć minut później w jadalni, wgryzał się z apetytem w cudownie ciepły i miękki rogalik, otworzył kalendarz na dacie piąty stycznia i zaczął czytać.

Zaordynuj sobie medialną dietę!

Medialną dietę? A co to znowu takiego? Zaciekawiony czytał dalej.

Nasza energia postępuje w ślad za naszą uwagą. Unikaj zatem złych wiadomości. Żadnych gazet, żadnej telewizji, żadnego radia (nie na zawsze, tylko na jakiś czas). Wiesz przecież, że media donoszą najczęściej tylko o rzeczach negatywnych, nie dopuszczaj ich do siebie!

Zamiast tego Twoim zadaniem jest obecnie to: pomyśl, jak sobie wyobrażasz swoje życie! Napisz listę wszystkich tych małych i wielkich rzeczy, których pragniesz. Sukces, pieniądze, miłość, nowe hobby, dziesięcioro dzieci... Poszukaj do nich obrazów, na przykład w czasopiśmie, wytnij je i naklej na arkusz brystolu. Powieś go tam, gdzie będziesz go dobrze widział, to będzie Twój „vision board”! Zaznacz swoje tropy w przyszłość, obrazki pomogą Twojej podświadomości w tym, by urzeczywistnić wszystkie Twoje marzenia. Gdyż: „Jeśli nie wiesz, do jakiego portu płyniesz, żaden wiatr nie jest dobry” (Seneka). I jeszcze jedno: „Pragnienia to przeczcucia rzeczy, które naprawdę można urzeczywistnić” (Johann

Wolfgang Goethe).

Aha, roboty ręczne. Dla Jonathana była to jeszcze odleglejsza przeszłość niż tenis, po raz ostatni posługiwał się nożyczkami i kolorowym papierem dawno temu w przedszkolu. Wszystko jedno, to brzmiało jak zapowiedź zabawnej czynności. A cytat z Goethego bardzo mu się spodobał. Nawet jeśli autor czy autorka bezczelnie opuścili „von” w nazwisku. Jonathan wziął do ręki ołówek i wcisnął jeszcze „v.” po Wolfgangu. Bądź co bądź w roku 1782 pisarz otrzymał tytuł szlachecki od cesarza Józefa II, trzeba to było uszanować!

Vision-board – kreatywna mapa marzeń. Przeczuwał oczywiście, do czego to miało prowadzić. Nie był głupi, co to, to nie. To ćwiczenie służyło najwyraźniej temu, by wyostrzyć własne postrzeganie spraw, które są dla człowieka ważne. I za pomocą obrazów przywoływać je sobie wciąż w pamięci, umieszczać je jakby w centrum zainteresowania.

Znało się takie rzeczy: gdy tylko człowiek zaczyna się zajmować jakimś tematem, to nagle natyka się na niego na każdym rogu. To tak jak kobiety w ciąży, które naraz widzą wszędzie same wózki i niemowlęta, to jest coś w tym rodzaju. Jonathan wprawdzie nigdy jeszcze nie był w ciąży, ale do tego zadania jego zdolność abstrakcji w zupełności wystarczała.

To było ni mniej, ni więcej celem i sensem vision-board, Jonathan był tego całkowicie pewny.

Bezwiednie pomyślał o innym Wolfgangu. O swoim ojcu. W jaki sposób Wolfgang Grief odpierał zawsze okazjonalne rewolty nielicznych współpracowników, którzy domagali się dla przedsiębiorstwa „nowych wizji”? Słynnym cytatem byłego kanclerza, zmarłego niedawno Helmuta Schmidta: „Kto ma wizje, niech idzie do lekarza”. Wolfgang Grief powtarzał to chętnie i często, najczęściej publicznie, wobec zgromadzonej załogi. A potem śmiał się grzmiąco, ze złośliwą satysfakcją.

W momentach, gdy był świadkiem takich scen, Jonathan czuł za każdym razem coś w rodzaju wewnętrznego dylematu. Był uwięziony między dumnym respektem dla swego wszechwładnego ojca a uczuciem skrywanego wstydu z powodu jego niemal już nieznośnego zachowania dominującego samca.

Na to wspomnienie Jonathan się wzdrygnął. Faktycznie tych cech po ojcu nie odziedziczył. Przeciwnie, jak określał to zawsze jego rodzic, „nie miał kości w wężach”. Wolfgang Grief używał tego zwrotu jak najbardziej obraźliwie, ale Jonathan nie potrafił być inny. Brak mu było po prostu genu alfa rodziny Grief, u niego odzywało się raczej włoskie dziedzictwo. W każdym razie tak przypuszczał, z całą pewnością nie mógł tego rzecz jasna stwierdzić, gdyż właściwie nie miał żadnego wyobrażenia o tym, jaka była jego włoska rodzina.

Co by powiedział ojciec na propozycję Markusa Bodego, by uczynić wydawnictwo bardziej „popularnym”? Jonathan mógł to sobie świetnie wyobrazić. I już choćby z tego powodu szkoda było choćby jednej myśli na temat nowego profilu. O jego ojcu w kwestii relacji międzyludzkich można było myśleć i mówić, co się chciało – ale wiedział on, jak z sukcesem kierować wydawnictwem! I nawet jeśli obecnie na papierze wydawcą był Jonathan, a Wolfgang Grief był już tylko częściowo poczytalny, to jednak jako jego syn czuł się zobowiązany prowadzić dalej firmę zgodnie ze sprawdzoną formułą.

Daleki był wprawdzie od tego, by wątpić w kompetencje Markusa Bodego – w rzeczywistości bardzo cenił umiejętności swojego dyrektora zarządzającego – a jednak... Maleńka buntownicza myśl wśliznęła się do jego mózgu. Co najmniej w przypadku Harry’ego Pottera ojciec nie miał racji, mały uczeń czarnoksiężnika z pewnością zachęcił do czytania więcej młodych ludzi niż równie arcypedagogiczny co deficytowy dział ksiązek dla dzieci w Griefson & Books, który za radą Bodego musiał z tej przyczyny zlikwidować. Ponadto Hubertus Krull,

o którym Wolfgang Grief miał takie wysokie mniemanie, także nie był literackim odkryciem ojca, lecz babki Emilie. I jeśli Jonathan miał być szczery, nie uważał propozycji Bodego za aż tak niedorzeczne.

Jonathan usiadł raptownie. To, co on tu robił, to było przecież – to było wręcz psychiczne ojcobójstwo! I jak niby miał przejąć odpowiedzialność za wydawnictwo? Czy to potrafił? Miał do tego prawo? Czy nie byłoby lepiej, gdyby wszystko zostało po staremu? Takiej dalekosiężnej decyzji, jak ta o postawieniu profilu wydawnictwa Griefson & Books totalnie na głowie, nie można było w końcu podejmować ot tak sobie, mimochodem.

Żeby uniknąć ugrzęźnięcia w tych niewesołych tematach, postanowił wziąć prysznic, ubrać się, a następnie oddać się zadaniu, które zostało przewidziane w kalendarzu na dzisiejszy dzień. No więc zmastruje jakiś vision-board. Ale bez pomocy nożyczek i kolorowego papieru, aż tak zacofany Jonathan nie był! Nie, stworzy wysoce profesjonalny dokument na swoim notebooku. PDF z obrazami wszystkich tych rzeczy, o których marzył i których pragnął.

Na przykład marzył... o naprawdę dobrej rakiecie tenisowej. Ha! Pierwszy motyw był już ustalony, to dziecinnie proste! I z całą pewnością znajdzie też w sieci zdjęcie klubu tenisowego przy Rothenbaumchausse, gdzie wczoraj grał z Markusem Bodem. Najchętniej od razu zapisałby się do niego albo przynajmniej zamówił kilka lekcji z trenerem. Wytyczać tropy w przyszłość, tak to się dokładnie odbywało! A w dalszej kolejności Jonathan wymówiłby też wreszcie członkostwo w klubie golfowym, za które płacił od lat, nie pokazując się tam wcale. Nie musi przecież opowiadać o tym ojcu.

Zerwał się uskrzydłony z krzesła, rozpierała go chęć działania. Był już w połowie drogi do drzwi, gdy nagle zawrócił i złapał „Hamburger Nachrichten”. Nie czytając, wyrzuci gazetę na makulaturę, ostatecznie ma przestrzegać medialnej diety. I tak

zresztą miał dziś ciekawsze rzeczy do zrobienia, niż irytować się pracą tych niedouczonej pismaków oraz przedstawiać propozycje usprawnień, które ostatecznie i tak lądują w koszu.

*

Niecałe cztery godziny później Jonathan zachwycony oglądał swoje dzieło. Zachwycony – i zdumiony samym sobą. I odrobinę zmieszany. Tego kolażu, który wykonał, używając zdjęć z internetu, a następnie wydrukował, z pewnością nigdzie nie powiesi. W każdym razie nie tam, gdzie ktoś poza nim mógłby go zobaczyć, nawet Henriette Jansen. Nawet jeśli jego gospodyni była ponad wszelką wątpliwość osobą dyskretną, Ale czy aż tak?

W trakcie tej pracy Jonathana trochę poniosło, inaczej nie potrafił sobie wyjaśnić powstania tego, co czarno na białym – czy raczej w czterobarwnym druku – leżało przed nim na biurku. Do rakiety tenisowej i logo klubu tenisowego dołączyły tam bowiem także obrazy, które częściowo jawiły się samemu Jonathanowi jako zagadka. Jak gdyby wybrał je, kierowany jakąś obcą wolą.

Okej, piosenkarza przy mikrofonie potrafił sobie wytłumaczyć, w końcu dopiero co odkrył, że śpiewanie było jego zarzuconą kiedyś pasją. To samo dotyczyło zdjęcia starego forda mustanga, które wybrał. Nawet jeśli Jonathan od lat jeździł saabem, gdyż obok volvo nie istniało jego zdaniem nic bardziej solidnego – to ilekroć dostrzegał któryś z tych rozłożystych amerykańskich krążowników szos, wyobrażał sobie, jak by to było pędzić legendarną drogą nr 66 z otwartym dachem i z towarzyszeniem dobrego swingu. Do tego nocować po drodze w podupadłych motelach, by wieczorami, z zimnym budweiserem w ręce, siedzieć na werandzie i obserwować innych gości.

Gdy kiedyś zaproponował Tinie, by razem wyruszyli w taką podróż, zwróciła mu uwagę, że odczuwa wstręt do piwa jako

„trunku dla ludzi o niewybrednym guście”, a na widok karaluchów, które ze stuprocentową pewnością czekają na nich w przybytkach wzdłuż drogi 66, w ogóle nie wygrzebały się z pisania listów ze skargami do menedżerów poszczególnych moteli. Tą uwagą go zraniła (może był to mały akt zemsty za jego nietaktowny komentarz o „drugim dojrzewaniu”, jaki wygłosił na widok jej patchworkowego pokoiku, kto to mógł wiedzieć?), ale trafiła w samo sedno. Tak więc pozostali przy czysto teoretycznym pytaniu: „A może byśmy tak kiedyś?”, gdyż Tina, wysuwając swoje obiekcje, miała absolutną rację.

Następnie Jonathan włączył do obrazka dom nad morzem, samotny i opuszczony, położony za wydmiami. To także nie zaliczało się jeszcze do motywów „narzuconych z zewnątrz”, gdyby bowiem nie miał zobowiązań wobec wydawnictwa i swego hamburskiego życia, mógłby sobie wyobrazić, że mieszka właśnie tam, na odludziu, wśród surowej natury, jak okiem sięgnąć żadnych ludzi, którzy by zakłócali jego samotność. Z dala od cywilizacji, nad brzegiem Morza Północnego, może nawet na jakiejś wysepce, w najlepszym ze światów, bez internetu i zasięgu komórki. Nie to, żeby u Jonathana nieustannie dzwonił telefon albo żeby bez przerwy otrzymywał mejle, ale coś w nim od czasu do czasu tęskniło za klasztornym wręcz odosobnieniem.

Dlatego też tym bardziej niezrozumiałe jawiło się zdjęcie tych dwojga małych dzieci, które Jonathan z czystego kaprysu umieścił zaraz poniżej. To przecież nijak nie pasowało! Równie mało jak para trzymająca się za ręce, biegnąca po plaży w stronę zachodzącego słońca.

Okej, tych dwoje też w końcu było nad morzem, a dzieci bawiły się w piasku – ale to była jedyna rzecz, która łączyła te obrazy. Gdy dodał do tego jeszcze zdjęcie rozbawionego towarzystwa biesiadującego wokół wielkiego stołu w ogrodzie, możliwy był właściwie tylko jeden wniosek: schizofrenia. Jego

kolaż zdradzał pewien stopień schizofrenii.

A prawda była po prostu taka, że Jonathan z jednej strony cieszył się spokojem czy wręcz samotnością, a z drugiej nadzwyczaj podobał mu się wieczór z Leopoldem czy mecz tenisowy z Markusem Bodem. A to, że nie miał dzieci, nie znaczyło wcale, że ich nie pragnął.

Gdy był jeszcze żonaty, to oczywiście myślał o potomstwie, już choćby dlatego, że pary zwykle mają dzieci. Wraz z odejściem Tyny sprawa stała się nieaktualna, ale w głębi serca najwyraźniej ten temat nadal go absorbował, nawet jeśli „zewnątrzny” Jonathan już go sobie właściwie odpuścił.

Przesunął obiema rękami po swojej „kreatywnej mapie marzeń”, jakby w ten sposób mógł wyczuć, który z obrazów szczególnie do niego przemawia. Jedno czy drugie zdjęcie musiałyby zapewne wyrzucić, bo w życiu wszak nie można mieć wszystkiego.

Przy okazji: Kto to właściwie powiedział?

Kto twierdził, że w życiu nie można mieć wszystkiego? Czy to jakieś niepodważalne prawo? Z pewnością było to zgodne ze zdrowym rozsądkiem – ale czy z tego powodu było też prawdziwe?

Jonathan N. Grief wstał, by zrobić sobie w kuchni kolejną kawę. Nad tą kwestią będzie się musiał zastanowić dłużej.

Hannah

10 stycznia, środa, godzina 23.51

Nic. Nic, nic. Od pięciu dni zupełnie nic, artykuł nie odniósł najmniejszego skutku, jakby nie przeczytał go ani jeden człowiek.

Także ogłoszenia Hannah nad jeziorem, które wieszała jeszcze dwa razy, nie przyniosły nic więcej ponad jeden jedyny telefon na jej komórkę. A i to ktoś chciał jej tylko zakomunikować, że wydaje mu się, iż chodził z Simonem do szkoły podstawowej i jakoby rozpoznał go na zdjęciu.

Hannah czuła pokusę, by wrzasnąć na tego człowieka, czy aby ma dobrze w głowie, że zgłasza się do niej z takimi głupotami i doprowadza ją tym do zawału. Jednak tylko podziękowała słabym głosem i rozłączyła się.

Policja także nie znalazła nic nowego. A głos funkcjonariuszki, z którą Hannah była w kontakcie, nie brzmiał już tak optymistycznie jak na początku poszukiwań. Wprawdzie nie powiedziała wprost, że zaczynają wątpić w odnalezienie Simona, ale bardziej niż wyraźnie było to słychać w jej łagodnym, pocieszającym głosie – to był ten ostrożny sposób, w jaki możliwie delikatnie próbowano zakomunikować bliskim, że nie ma już żadnej nadziei.

To przecież nie mogła być prawda, to nie miało prawa być prawdą! Tylko gdzie ten Simon się podziewa? Gdzie – on – się –

podziewa? To pytanie tłuło się bezustannie w głowie Hannah. Także teraz, gdy jak często w ostatnim czasie leżała na łóżku Simona, nie mogła myśleć o niczym innym; owinięta ciasno jego kołdrą, wdychając ostatnie resztki jego zapachu w pościeli.

Szlochała. Szlochała jak małe dziecko. Czuła się taka pusta i słaba, samotna i bezradna, i myślała, że nigdy więcej nie podniesie się z tego łóżka. Będzie tak leżeć aż po kres swoich dni. Albo tak długo, aż Simon wreszcie pojawi się obok niej.

– Proszę – szeptała cicho w przestrzeń. – Proszę, kochany Panie Boże, spraw, żeby Simon żył. Spraw, żeby do mnie wrócił. Albo przynajmniej, żeby popijał sobie gdzieś na Karaibach te drinki. Wszystko jest lepsze od tego koszmaru, proszę, pomóż mi, Boże! Proszę, proszę, proszę!

Jonathan

14 stycznia, niedziela, godzina 9.11

Jonathan N. Grief był zadowolony. Jak każdego ranka od prawie dziesięciu dni siedział w szlafroku ze świeżo zaparzoną kawą i ciepłym rogalikiem przy stole w jadalni i z ciekawością brał do ręki kalendarz. Co też szykuje mu dziś książka z niespodzianką?

Od kiedy zaczął się kierować wytycznymi terminarza, zebrał już całą masę ciekawych doświadczeń. Na przykład nie odczuwał absolutnie żadnego braku, gdy przy śniadaniu nie zaglądał do gazety, lecz nieczytaną odkładał na makulaturę. Świat i tak kręcił się dalej, choć Jonathan nie wiedział, jak to się dokładnie odbywa.

Rozważał już pomysł, by zrezygnować z abonowania „Hamburger Nachrichten”, tak mało brakowało mu tej lektury. Trudno też było akurat twierdzić, żeby jego inicjatywy kierowane do redakcji – albo do Gundel Jakiejś tam z działu łączności z czytelnikami – wzbudziły kiedykolwiek objawy zachwyty. Zatem nieczytanie gazety nie było dla żadnej ze stron zbyt dotkliwą stratą.

Zamiast tego Jonathan zgodnie z zaleceniem nadal zapisywał każdego ranka i wieczoru w trzech punktach, za co jest wdzięczny – i coraz łatwiej przychodziło mu znaleźć jakiś powód do odczuwania wdzięczności.

Na przykład jego nieustannie rosnący entuzjazm dla tenisa. W minionym tygodniu już trzy razy spotkał się wieczorem

z Markusem Bodem na partię. Jednemu smutek, drugiemu radość – dla Jonathana akurat okazało się szczęśliwym trafem, że jego dyrektor zarządzający obecnie nie ma po pracy nic innego do roboty, jak przesiadywać samotnie w pokoju hotelowym. Albo właśnie poodbijać razem z nim parę piłek.

Ku swej radości Jonathan nadzwyczaj szybko robił postępy, przede wszystkim jego forhend był naprawdę mocny. Nadał już sobie skrycie dziecinny nieco przydomek „Jonathan Bum Bum”, a przedwczoraj sprawił sobie własną profesjonalną rakietę, jak też szykowny strój do tenisa. Wszystkie korty tenisowe Hamburga stały przed nim otworem, Jonathan N. Grief był gotowy!

O dalszej polityce wydawnictwa on i Bode więcej nie rozmawiali. Jonathanowi zawsze udawało się elegancko omijać temat, nawet wobec siebie samego. Markusa Bodego pocieszał nieco mgliście tym, że powinni poczekać, jak potoczy się bieżący rok gospodarczy, a co do reszty ma nadzieję, że wszystko jakoś samo z siebie zmieni się na dobre. Może Hubertus Krull niespodziewanie ozdrowieje i będzie trząsał na komputerze jeden płomienny pamflet po drugim? Albo może wszystkie te entuzjastyczne recenzje, które otrzymała książka *Samotność Drogi Mlecznej*, jednak wpłyną na wyniki sprzedaży?

Aby nieco dopomóc sprawie, Jonathan przerobił jeszcze raz swą kreatywną mapę marzeń i w tym celu sporządził mały fotomontaż. Wydrukował z „Biuletynu Księgarskiego” ranking stu wydawnictw odnoszących największe sukcesy i logo firmy Griefson & Books nakleił zuchwale na pierwszym miejscu. Następnie zeskanował stronę i umieścił ją w środku swojego kolażu, tak że trudno ją było przeoczyć.

Kilka razy dziennie otwierał teraz drzwi szafy – tam za koszulami schował poprawioną mapę – i przyglądał się swoim wizjom. Jeśli to rzeczywiście była prawda, że w ten sposób programował podświadomość na spełnienie życzeń, to niech ta

podświadomość pokaże, co potrafi!

Także w innych sprawach Jonathan jak pojętny uczeń odrabiał wszystkie zadania, które do tej pory stawiał przed nim kalendarz: przez cały jeden dzień uśmiechał się życzliwie do wszystkich napotkanych ludzi, wywołując tym bez wyjątku sympatyczne reakcje. No dobrze, jakiś starszy pan zapytał go, czy coś mu dolega i czy nie potrzebuje pomocy, a kilka dorastających nastolatek zignorowało go, chichocząc, ale poza tym wszyscy odpowiadali na jego pozdrowienie. Zaczął codziennie po kilka minut medytować i po początkowych trudnościach stwierdził, jak dobrze mu to robi, że od czasu do czasu siada w fotelu, koncentruje się spokojnie, nie myśląc przy tym o niczym i będąc wyłącznie tu i teraz.

Ponadto już dwa razy pojechał tak po prostu nad morze i w lodowatym wietrze spacerował trzy godziny po plaży, gdy kalendarz polecił mu na ten dzień: „Zrób to, na co masz chęć”, a ostatnio znowu zaczął z ogromnym zapałem i przyjemnością śpiewać – nawet jeśli tylko pod prysznicem i w samochodzie.

W parku Innocentia Jonathan objął nawet drzewo, mając nadzieję, że nikt go przy tym nie obserwuje, jednak to ćwiczenie zapisał sobie pod hasłem „ściemapudło”. Poza plamą z żywicy na kożuszku nic mu ono nie dało.

Znacznie bardziej spodobała mu się zaordynowana wyprawa na targ staroci, która poprzedniej soboty zawiodła go na pchli targ Flohschanze z zadaniem, by kupić tam „coś specjalnego”. Jonathan nigdy jeszcze nie robił czegoś takiego, gdyż do tej pory nie rozumiał sensu takich giełd; tym bardziej był zachwycony, gdy wśród straganów oferujących wszelkie możliwe i niemożliwe barachło odkrył prawdziwy skarb: świetnie zachowany tomik poezji Josepha barona von Eichendorffa z roku 1837 (!), który udało mu się nabyć za sto dwadzieścia euro – chociaż książka była warta dziesięć razy więcej. Ale w końcu Jonathan nie był winien temu, że ludzie nie mieli pojęcia, co tu

sprzedawali za bezcen. A teraz książeczka stała na regale w bibliotece i cieszyła jego wzrok, gdy na nią spoglądał.

Ugryzł rogalik i otworzył kalendarz na stronie na niedzielę, ciekawy, co jest przewidziane w dzisiejszym programie.

Twój ulubiony pisarz ma dziś wieczór autorski w Kampnagel – a Ty tam będziesz! Dwa bilety dla Ciebie i wybranej osoby towarzyszącej czekają w kasie pod numerem zamówienia 137, wejście jest o 19.00. Baw się dobrze!

PS Jeśli nie wiesz, kogo masz zabrać, to znam kogoś! ☺

Wpis zelektryzował Jonathana. Wieczór autorski!

Nie żeby był szczególnym fanem takich imprez – większość tych wieczorów, podczas których jakaś blada postać w czarnym golfie mamrotała coś w swoją szklankę z wodą, śmiertelnie go nudziła, od zawsze też wyznawał zasadę, że pisarz powinien pisać, a nie czytać, ale po tym, gdy już wielokrotnie odniósł wrażenie, że kalendarz w jakiś tajemniczy sposób ma coś wspólnego z nim, to podejrzenie kolejny raz się nasiliło. Jakkolwiek by było, to jednak kuriozalny przypadek, że zapraszają wydawcę na wieczór autorski.

Przypadkiem jeszcze bardziej kuriozalnym byłoby jednak, gdyby tego dnia wieczorem w centrum kultury w dawnej fabryce Kampnagel miał się naprawdę pojawić jego ulubiony autor. Był nim bowiem Tomasz Mann – a ten już od jakiegoś czasu nie żył.

Hannah

14 stycznia, niedziela, godzina 17.14

– Kiedy dokładnie ostatni raz coś jadłaś? – Lisa sprawiała wrażenie porządnie zszokowanej, gdy stanęła w drzwiach mieszkania Simona, aby zabrać Hannah na wieczór autorski Sebastiana Fitzka w Kampnagel.

– Co? – spytała Hannah w roztargnieniu, manipulując trzęsącymi się rękami przy swym płaszczu. Chciała go zapiąć, ale palce tak jej drżały, że z trudem udawało jej się przesunąć guziki przez wąskie dziurki. Czowała się bez sił, jakby miała hipoglikemię i w każdej chwili mogła się przewrócić. Ale nie zrobi tego, pójdzie z Lisą na to spotkanie, bo to był ostatni cień nadziei, jaki jeszcze jej pozostał. – Wszystko w porządku – wymamrotała – możemy iść.

– Hannah! – Lisa położyła jej obie ręce na ramionach i patrzyła na nią z troską. – Wyglądasz po prostu okropnie, jak duch samej siebie.

– Czuję się dobrze – upierała się Hannah. – Naprawdę.

– Nie wierzę ci. – Lisa westchnęła. – Gdybym wiedziała, że przystąpiłaś do strajku głodowego, to już dawno zabrałabym cię do siebie i osobiście nakarmiła.

– Zjadłam coś!

– Tydzień temu?

– To przecież nieważne! Chodźmy, bo się spóźnimy.

– Mamy jeszcze mnóstwo czasu – oświadczyła Lisa stanowczo, złapała Hannah pod ramię i wepchnęła ją łagodnie z powrotem do mieszkania Simona. – Zanim wyjdziemy, zrobię ci kanapkę.

– To będzie trudne – wyjaśniła Hannah. – Lodówka jest pusta.

– Okej, to zjemy coś po drodze.

– Lisa, proszę cię, to potrwa o wiele za długo! Muszę koniecznie znaleźć się przy kasie, gdy tylko ją otworzą! Jeśli ktoś będzie odbierał bilety, nie wolno mi go przegapić.

Przyjaciółka ujęła ją za rękę i wyciągnęła za sobą z mieszkania.

– Nie ma obawy, na pewno zdążymy na czas. Ale teraz musisz coś zjeść, chociaż precla na stacji benzynowej. Bez dyskusji!

– Dobrze – odpowiedziała Hannah potulnie i powlokła się za Lisą. Jakkolwiek czuła się okropnie, to jednak było jej też troszeczkę przyjemnie, że ktoś ją tak troskliwie ubezpieł.

Sama przecież wiedziała, że długo tak nie pociągnie. Że ostatnie półtora tygodnia, kiedy to, pomijając bieganie nad jezioro, by sprawdzać ogłoszenia, nie robiła nic poza tym, że leżała na łóżku Simona, płacząc i kontrolując, czy jej komórka działa, doprowadziło ją na skraj wyczerpania. Że dłużej tak nie da rady, inaczej po prostu padnie, że kompletna rezygnacja z własnego życia z całą pewnością nie pomoże w tym, by Simon pojawił się z powrotem.

Gdy potykając się, schodziła teraz za Lisą po schodach, w myślach była już w Kampnagel. Czy jej modły zostaną wreszcie wysłuchane? Czy – jeśli już nie Simon osobiście – na wieczorze zjawi się przynajmniej ten ktoś, kto ma jego kalendarz? I czy będzie potrafił powiedzieć, co się przytrafiło jej ukochanemu?

Była nader sceptyczna, ale mimo to z całych sił skoncentrowała się na wyobrażaniu sobie, jak staje przed nią ktoś i mówi jej, że zna miejsce pobytu Simona. I jak jej tłumaczy, że sprawa z samobójstwem to po prostu jedynie gigantyczne nieporozumienie, gdyż tak naprawdę Simon cieszy się

najlepszym zdrowiem.

Ale jakkolwiek miałoby wyglądać to nieporozumienie i jak bardzo Hannah usiłowała przywołać obraz nieznanego wybawiciela, ściągnąć go bliżej, brakowało jej do tego wystarczającej siły. Aby obudzić z powrotem do życia jej niezłomną wiarę w to, że na końcu wszystko jakoś będzie dobrze, potrzeba było chyba czegoś więcej niż precla.

Jonathan

14 stycznia, niedziela, godzina 18.23

Wprawdzie Jonathan nigdy w życiu nie był na koncercie rockowym, ale tak mniej więcej go sobie wyobrażał: od drzwi wejściowych aż do piętrowego garażu na terenie centrum kulturalnego Kampnagel wiała się długa kolejka czekających, złożona w większości z chichoczących i paplających nastolatk.

Jonathan poczuł irytację. Czy aby na pewno znajdował się we właściwym miejscu? I o właściwym czasie? Wyciągnął z aktówki kalendarz i jeszcze raz otworzył go na odpowiedniej stronie. A jednak stało tam jak wół: „Niedziela, 14 stycznia, godzina 19.00, Kampnagel”.

Ale dlaczego było tu tak dużo ludzi? To niemożliwe, żeby wszyscy wybierali się na spotkanie z pisarzem! On sam dotychczas znał takie imprezy tylko z, no cóż, skupioną nabożnie publicznością. Tak skupioną, że wieczory autorów, których dzieła publikowała firma Griefson & Books, rozbawieniem i poziomem hałasu z reguły dorównywały podniosłej ceremonii pogrzebowej. Odpowiadał tej atmosferze także dyskretny szelest chusteczek do nosa i przeciętna wieku obecnych, która niezależnie od wieku autora oscylowała wokół siedemdziesiątki.

Ale to tutaj? To pasowało raczej do występu Rolling Stonesów. Na to jednak publika akurat była za młoda. Jonathana otaczały same nastolatki. To przecież niemożliwe! Ludzie byli nie tylko

rozbawieni, ale do tego jeszcze młodzi – to jeszcze mniej pasowało do wydarzenia kulturalnego!

– Przepraszam bardzo – zwrócił się do dwóch dziewcząt, stojących w kolejce bezpośrednio przed nim. – Kto ma tu dziś wieczór autorski?

Obie wpatrywały się w niego tak szeroko otwartymi oczami, jak gdyby właśnie spytał, czy ziemia nie jest aby płaska. – Sebastian Fitzek – zapiszczala podekscytowana ta po lewej stronie.

– Fitzek? – upewniał się.

– Tak. – Teraz przytaknęła ta z prawej. – To tournée jubileuszowe – dodała i obdarzyła Jonathana spojrzeniem, jakby ten nie był całkiem poczytalny.

– Bardzo dziękuję! – Dziewczęta odwróciły się i chichocząc, zaczęły coś szeptać z pochylonymi ku sobie głowami, podczas gdy Jonathan jeszcze raz przesunął wzrokiem po tłumie.

Ten Fitzek zwabił tu aż tylu ludzi? Wiedział, że pisarz jest nadzwyczaj poczytny, ale takich tłumów nie potrafił sobie wyobrazić w najśmielszych snach.

Teraz zauważył, że wielu ludzi miało pod pachą po kilka książek pisarza, niektórzy trzymali nawet jego wielkie zdjęcia w rękach, co Jonathan tłumaczył sobie tym, że liczyli na autograf. Tu i ówdzie wyciągano komórki, dziewczęta pstrykały sobie i przyjaciółkom selfie, aby uwiecznić ten najwyraźniej tak ważny dla nich moment i podzielić się tym w mediach społecznościowych.

Zdumiewające, to było naprawdę zdumiewające. Jonathan sam z siebie nigdy by nie wpadł na pomysł, by przyjść na spotkanie z Sebastianem Fitzkiem. Teraz jednak był zaintrygowany, co jest z tym kultem pisarza – trudno to nazwać inaczej. Był zarazem zdziwiony faktem, że w terminarzu umieszczono to wydarzenie. Bądź co bądź ledwie kilka dni wcześniej została w nim zaordynowana „dieta medialna”,

zgodnie z którą należało unikać wszelkich negatywnych informacji. O ile Jonathan wiedział, książki Fitzka były dość brutalnymi thrillerami, chętnie zapytałby więc autora terminarza, jak by wyjaśnił tę sprzeczność.

Kwadrans trwało, zanim Jonathan dobrnął do kasy. Całe szczęście, że jak zawsze zaplanował dosyć czasu, chociaż naturalnie nie spodziewał się aż takiego szaleństwa przed tą imprezą.

Właśnie chciał podać człowiekowi w kasie numer zamówienia swoich biletów, gdy został tak gwałtownie popchnięty, że na chwilę aż się zachwiał na nogach. Sprawczyni – kobieta, która gorączkowo krzyczała coś do swojej komórki – nawet tego nie zauważyła, ale wraz z przyjaciółką, biegnącą tuż za nią, przepychała się przez czekający tłum.

Boże, to było niemal groźne dla życia! Można było powątpiewać, czy ten ścisk nie narusza przepisów przeciwpożarowych, w razie wybuchu masowej paniki zgromadzeni mieliby marne szanse na ratunek!

Urażony Jonathan patrzył w ślad za dwiema kobietami, ale zaraz dziewczyna stojąca za nim niedelikatnym kuksańcem w plecy i okrzykiem: „Niech się pan przesuwaj!” zwróciła mu uwagę, by dłużej nie blokował ruchu.

– Dobry wieczór – Jonathan zwrócił się ponownie do człowieka w okienku biletowym. – Pod numerem sto trzydzieści siedem powinny być dla mnie dwa bilety. Ja jednak potrzebuję tylko jednego.

– Chwileczkę – odparł tamten i pogrzebał w skrzyneczce pełnej białych kopert. – To ta. – Wyciągnął jedną kopertę. – Numer sto trzydzieści siedem, proszę bardzo.

– Jak już mówiłem, potrzebuję tylko jednego biletu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Są już zapłacone, to niech pan po prostu jeden komuś podaruje. Spotkanie odbywa się w hali K sześć.

– Dziękuję. – Jonathan wziął kopertę.

W tym momencie ktoś z tyłu położył mu rękę na ramieniu. Jonathan już chciał się obrócić i ofuknąć pchającą się dziewczynę, gdy z tyłu odezwał się męski głos.

– Halo. – Usłyszał. – Ja wezmę drugi bilet.

Jonathan się wzdrygnął. Tego się nie spodziewał. Odwrócił się w przekonaniu, że stanie twarzą w twarz z właścicielem kalendarza.

Hannah

14 stycznia, niedziela, godzina 18.48

Po zjedzeniu kanapki i wypiciu pół litra soku pomarańczowego Hannah czuła się wprawdzie fizycznie trochę lepiej, ale przeżywała prawdziwe duchowe katusze, gdy wraz z Lisą stała tuż obok okienka kasowego i argusowym okiem lustrowała każdego gościa wieczoru autorskiego. Jej przyjaciółka dotrzymała słowa, dotarły na teren centrum kultury Kampnagel, zanim otwarto drzwi, od razu więc, gdy tylko zaczęto wpuszczać ludzi, mogły zająć stanowisko obserwacyjne.

Lisa trzymała Hannah za rękę i ścisnęła ją cały czas, gdy obserwowały, jak czekające w kolejce głównie nastoletnie dziewczęta odbierały swoje bilety, z rzadka tylko zdarzali się chłopcy lub starsi ludzie, kobiety i mężczyźni. Przy każdym mężczyźnie, który podchodził do okienka, Hannah wstrzymywała oddech, wiedziała bowiem od Sarasvati, że znalazcą kalendarza jest mężczyzna.

Jednak za każdym razem przeżywała rozczarowanie, nikt nie wymieniał numeru sto trzydzieści siedem. Hannah czuła się jak przy ogłaszaniu liczb w totolotku albo bingo. Jak gdyby czekała na to, że wyciągnięta zostanie ta najważniejsza w życiu liczba – ale to nie następowało.

– On nie przyjdzie! – lamentowała, gdy kolejny mężczyzna wymieniał nie ten numer. – Po prostu nie przyjdzie!

– Nie denerwuj się – powiedziała Lisa i kolejny raz ścisnęła jej rękę. – Na zewnątrz stoi ciągle tyle ludzi, on wciąż jeszcze może się zjawić!

– Mam nadzieję – wymamrotała Hannah i zagryzła nerwowo dolną wargę. – Tak bardzo na to liczę!

W następnej chwili usłyszała ciche dzwonienie i poczuła wibrowanie w tylnej kieszeni spodni, gdzie włożyła komórkę. Przez krótką chwilę myślała, żeby to zignorować, żeby za nic w świecie nie przegapić niczego przy kasie. Potem jednak wyciągnęła ją nerwowo i rzuciła okiem na wyświetlacz.

Przerażona zakryła dłonią usta, знаła ten numer, bo w minionych dniach niemal bez przerwy go wybierała. To była policjantka, która powiedziała Hannah, że może do niej dzwonić o każdej porze.

Lisa patrzyła na nią pytająco, reakcja Hannah nie uszła jej uwadze.

– Kto to?

– Policja – powiedziała Hannah, a głos jej drżał. Odebrała telefon i zamknęła oczy. – Marx.

– Dzień dobry pani. – To była faktycznie policjantka. – Gdzie pani teraz jest?

– Na Kampnagel – odparła.

– Jest pani sama?

– Nie, z przyjaciółką.

– To dobrze. – Na chwilę zapadła cisza. – Czy mogłaby pani przyjść z nią na posterunek? Komisariat przy Wiesendamm znajduje się tuż za rogiem.

– Co się dzieje? – Głos Hannah się załamywał.

– Proszę najpierw przyjść tutaj.

– Nie! – krzyknęła. – Proszę mi natychmiast powiedzieć, co się dzieje!

Policjantka powiedziała coś, czego Hannah nie zrozumiała, gdyż wokół niej w tej chwili kilka dziewcząt wybuchnęło

głośnym śmiechem.

– Chwileczkę – krzyknęła do słuchawki. – Nic nie słyszę, wyjdę na zewnątrz. – Przez sam środek kolejki rzuciła się najkrótszą drogą do wyjścia, ignorując protesty ludzi, których potrącała w pośpiechu. Lisa biegła tuż za nią.

– Co pani powiedziała? – zawołała Hannah, gdy znalazła się na dworze.

– Chciałabym prosić panią, by przyszła pani do nas na komisariat – powtórzyła policjantka.

– Nie – upierała się Hannah. – Proszę mi od razu powiedzieć, co się dzieje, inaczej nie ruszę się stąd na krok. Czy znaleźli państwo Simona?

Milczenie na drugim końcu.

– Halo? – krzyknęła Hannah. Jej nerwy były tak napięte, że groziły zerwaniem. – Znaleźli go państwo?

– Tak – odpowiedziała cicho policjantka. – Mamy go.

Hannah ponownie zamknęła oczy, oddychała z trudem, miała uczucie, że za chwilę ugną się pod nią kolana.

– Dobrze się czuje? – Już gdy zadawała to pytanie, wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

– Nie – odparła funkcjonariuszka. – Przykro mi, pani Marx. Simon Klamm nie żyje. Kilkoro spacerowiczów znalazło przed godziną jego ciało.

– Jest pani pewna? Jest pani całkowicie pewna, że to on?

– Obawiam się, że tak. Mogliśmy go zidentyfikować na podstawie dowodu, który miał przy sobie. Ale żeby uzyskać całkowitą pewność, musimy poczekać na autopsję.

– To znaczy, że może jeszcze chodzić o pomyłkę?

– Proszę pani, chciałabym panią naprawdę prosić, żeby przyszła pani na posterunek.

– Proszę mi najpierw powiedzieć, czy istnieje możliwość pomyłki!

Policjantka westchnęła.

– Istnieje czysto teoretycznie, naprawdę wychodzimy z założenia, że to on.

– Gdzie? – krzyknęła Hannah. – Gdzie go znaleziono?

– Leżał na skarpie nad Stawem Młyńskim. Wygląda na to, że utonął.

Hannah łapała powietrze, zachwiała się, Lisa złapała ją w ostatniej chwili.

– Dobrze – wychrypiała do telefonu. – Przyjdziemy.

Jonathan

14 stycznia, niedziela, godzina 18.50

– No, no. A więc wybiera się pan na wieczór autorski Fitzka? Jak pan widzi, jestem niezmiernie zaskoczony! – Nie był to żaden nieznajomy, który chciał odzyskać swój kalendarz, lecz Markus Bode. I uśmiechał się przy tym od ucha do ucha.

– Taa – Jonathan roześmiał się z przymusem – pomyślałem, że raz to sobie obejrzę. W celach badawczych, można by powiedzieć, muszę się przecież orientować, co się dzieje na rynku. – Czuł się w niemiły sposób przyłapany, a przecież dopiero co objaśniał swemu dyrektorowi zarządzającemu, że książki takich autorów jak Fitzek uważa poniekąd za upadek kultury Zachodu. Czuł się niemal tak, jakby dyrektor przyłapał go w klubie swingersów czy w pornoshopie. Ale w każdym razie Bode sam też się tam znalazł i mieli do czynienia z sytuacją patową, która mogłaby być krępująca albo dla nich obu, albo dla żadnego z nich. Co prawda Bode już przyznał, że z przyczyn ekonomicznych ostatnimi czasy zaczął się jak najbardziej interesować literaturą swinger... popularną.

– Naprawdę nie musi się pan przede mną usprawiedliwiać – powiedział Bode. Zabrzmiało to protekcyjnie. – Przeciwnie, co za szczęśliwe zrządzenie! Impreza jest mianowicie wyprzedana, a ja miałem nadzieję, że uda mi się jeszcze dostać bilet przed samym rozpoczęciem. Jak widać, miałem szczęście. W każdym

razie, jeśli będzie pan tak miły i zabierze mnie ze sobą.

– Tak – odparł Jonathan. – W rzeczy samej, cóż za przypadek! I oczywiście, chętnie dam panu drugi bilet. – Otworzył kopertę, wyjął z niej bilety i podał jeden Markusowi Bodemu.

– Dziękuję bardzo! – rzekł dyrektor zarządzający i kiwając głową, wziął bilet. – Ile jestem panu winien?

– Co też pan! – Jonathan był oburzony. – Naturalnie jest pan zaproszony! – Nawet jeśli nie przeze mnie, dodał w myśli.

– Jeszcze raz dziękuję – odrzekł Bode. – No to chodźmy to zobaczyć.

Dali się ponieść rozgadanemu tłumowi w kierunku hali K6, ponownie ustawili się w kolejce i wreszcie wręczyli kontrolerowi przy wejściu swoje bilety. Oderwał odcinek i wpuścił obu mężczyzn do sali, gdzie miało się odbyć spotkanie.

– Wow! – wykrzyknął Markus Bode i stanął jak wryty. Celny opis sytuacji, bo to było naprawdę „wow!”, niezaprzeczalnie. I w najmniejszym stopniu nie przypominało spotkań autorskich, jakie znał do tej pory Jonathan.

Po prawej stronie hali zbudowano ogromną scenę, na której całkiem wygodnie pomieściłby się dziesięcioosobowy zespół rockowy. Było tam kilka stojaków na mikrofony ustawionych wokół perkusji, zanurzonej w barwnym świetle wirujących reflektorów. Tuż nad nią zwisał z sufitu wielki ekran, na który projektor rzucał okładkę najnowszego thrillera Fitzka. Perkusja? Ekran? Co ich tu czekało?

Najwidoczniej całe mnóstwo wrażeń, gdyż wśród publiczności widziało się wyłącznie twarze w euforii. Setki (setki!) widzów siedziało na trybunie (trybunie! żadne tam rzędy krzeseł, lecz prawdziwa trybuna!), atmosfera była naładowana elektrycznością jak podczas finału mistrzostw świata, gdy Niemcy grali przeciwko Brazylii, brakowało jeszcze tylko wuwuzeli i fanów powiewających flagami. Ani jednej siedemdziesięciolatki z chusteczką w zasięgu wzroku, za to ładne

dziewczyny, proponujące lody i napoje. Był też popcorn, pod stopami Jonathana chrzęściło, gdy razem z Bodem przeciskali się między rzędami do swoich miejsc.

Ich siedzenia były dosyć blisko, z dobrym widokiem na scenę, anonimowy sponsor wybrał znakomite miejsca. Jonathan rzucił okiem na zegarek, spektakl miał się zacząć za kwadrans.

I spektakl się zaczął. Punkt o wpół do ósmej światła pogasły, rozległa się ogłuszająca muzyka, na ekranie ukazało się nadnaturalnej wielkości zdjęcie Sebastiana Fitzka, a tuż po nim zmontowany dynamicznie zwiastun jego nowej książki. Publiczność wrzeszczała, rozległy się oklaski, przybierały na sile, przechodząc na koniec w dzikie tupanie, gdy sam autor wkroczył wreszcie na scenę, wykrzykując do swego mikrofonu:

– Witam serdecznie i dobry wieczór, Hamburgu! Nazywam się Sebastian Fitzek!

Ekstatyczne piski, ludzie w uniesieniu zrywali się z miejsc, Niemcy strzelili jeden do zera! To był występ! Gdyby Jonathan nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłby. Jasny gwint!

*

– Taa. – Więcej Markus Bode na razie nie powiedział, gdy po spotkaniu siedzieli w winiarni na rogu, by przy kieliszku dobrego wina podsumować wspólnie wieczór.

– Taa – przytaknął Jonathan. Patrzyli na siebie w milczeniu, obaj jeszcze nieco wstrząśnięci. Sebastian Fitzek odpalił podczas tych dwóch minionych godzin prawdziwe fajerwerki sztuki rozrywki.

Swobodnie prowadził swą publiczność przez ten wieczór, odczytywał trzymające w napięciu pasażę ze swego thrillera i używając prezentacji w Power-Pointcie, objaśniał tło opowieści. Sam przeprowadzał ze sobą wywiad, zapraszał na scenę osoby

spośród publiczności i sypał żartami. Następnie jakiś zespół odegrał „ścieżkę dźwiękową” do książki, Fitzek bębnił przy tym pałeczkami na perkusji, a widzowie w regularnych odstępach szaleli. Majtki nie latały w powietrzu, ale nawet to by Jonathana nie zdziwiło.

Zaraz po spotkaniu autor zasiadł przy ustawionym we foyer stole z książkami, a ludzie pielgrzymowali do niego gremialnie, by podpisał im egzemplarze, a także po autograf albo żeby zrobić sobie z nim zdjęcie. Bardzo prawdopodobne, że Fitzek będzie tam siedział jeszcze do następnego ranka, by sprostać tej nawale, cała ta rzecz miała w sobie coś z kultu świętych.

– Taa – powtórzył Markus Bode, przerywając tym samym rozmyślenia Jonathana. – Rozumie pan teraz, co mam na myśli, mówiąc, że Griefson & Books dobrze by zrobiło, zawierając kontrakt z takim pisarzem? Jeden jedyny autor kalibru Fitzka – i moglibyśmy sobie pozwolić na dziesięciu kolejnych laureatów nagród literackich.

– Raczej dwudziestu – odparł Jonathan, kiwając głową. – Tak, rozumiem bardzo dobrze, co ma pan na myśli. – I nie tylko to. W skrytości ducha musiał przyznać coś, czego jednak z pewnością nigdy by nie zdradził Markusowi Bodemu: świetnie się bawił, cały ten wieczór przeleciał mu w przyspieszonym tempie.

Żadne porównanie z wieczorami autorskimi, w jakich zazwyczaj sam uczestniczył. Miały one w sobie zawsze coś przytłaczającego, a każda minuta, w której autor, w poczuciu własnej wielkości, czytał fragmenty swego dzieła, ciągnęła się tak niemiłosiernie długo jak kawałek przezutej do cna i pozbawionej wszelkiego smaku gumy.

– Czy my w ogóle mamy – zapytał z ociąganiem – jakieś propozycje, które by szły w kierunku literatury popularnej?

– Jak do tej pory nie. Tych rzeczy nam nie przysyłają, bo jak już pan sam mówił, Griefson & Books nie ma nic wspólnego

z takim gatunkiem. Musielibyśmy się trochę rozejrzeć. – Popatrzył wyczekująco na Jonathana. – Mam się tym zająć? Mógłbym zadzwonić do kilku agentów i poprosić ich, by dostarczali nam i takie materiały.

– Pozwoli pan, że się nad tym zastanowię – przyhamował go Jonathan. – Nie mogę zdecydować tak szybko. – Poza tym chciał porozmawiać o tym z ojcem. Oczywiście, gdy trafi na moment jego jasności umysłowej. Miał nadzieję, że Wolfgang Grief zachował jeszcze dostatecznie dużo rozumu na tak ważną rozmowę, przynajmniej na kilka minut. Inaczej Jonathan musiałby sam podejmować tę decyzję, a to...

Jutro złoży ojcu wizytę w Sonnenhofie!

Hannah

15 stycznia, poniedziałek, godzina 8.05

Niekiedy rzeczy, które wydają się tak straszne, że nie możemy w nie uwierzyć, są mimo to prawdziwe.

To zdanie tłuło się wciąż Hannah po głowie. To jedno złe zdanie, które Lisa wypowiedziała ledwie parę tygodni temu. I to się zgadzało. To było okropne. I było prawdziwe. Simon się zabił, naprawdę to zrobił.

Wprawdzie Hannah nie widziała zwłok, które wczorajszego wieczoru znalazła para starszych ludzi podczas spaceru wokół Stawu Młyńskiego, ale policja w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach była pewna, że martwy mężczyzna to Simon.

Funkcjonariusze nie uważali za konieczne identyfikowania ciała przez Hannah (usilnie też jej to odradzali), ostateczną pewność przyniesie zarządzona przez prokuraturę autopsja, gdyż przyczyna śmierci nie została jeszcze ustalona.

Wprawdzie zakładano, że Simon utonął, że odebrał sobie życie w lodowatej wodzie jeziora – przemawiał za tym nie tylko jego list pożegnalny, lecz także okoliczność, że wstępne ustalenia nie wskazywały na działania osób trzecich – ale rozmówczyni Hannah wyjaśniła jej, że chcą mieć absolutną pewność, przeprowadzając obdukcję. Nie było bezpośrednich świadków samobójstwa, należało więc wzmocnić poszlaki jednoznacznymi dowodami.

Hannah już nie potrzebowała takiej pewności. Dla niej pewne było to, o czym w głębi serca właściwie cały czas wiedziała. Nawet jeśli do końca nie chciała przyjąć tego do wiadomości. W noworoczny ranek, gdy ona, niczego nie przeczuwając, spała w jego łóżku, gdy obudziwszy się, myślała jeszcze, że swoim kalendarzem coś w nim poruszyła, że udało jej się natchnąć go nową nadzieją, tego właśnie ranka Simon się zabił. Podjął samotną decyzję, zostawił Hannah, nie dał jej nawet szansy, by z nim o tym porozmawiała i by wspólnie poszukali jakiegoś wyjścia. Zamiast tego wybrał dla siebie ostatnie, najbardziej ostateczne wyjście ze wszystkich.

Siedziała w kuchni Simona na jednym z jego kultowych krzeseł Eamesów i czuła się jak odrętwiała. Lisę odprawiła godzinę temu do domu, po tym jak przyjaciółka pierwszą połowę nocy spędziła z nią na komisariacie, a drugą w mieszkaniu Simona. Lisa była bezradna. Oniemiała. Z wyjątkiem słów „tak mi przykro” nie była w stanie niczego z siebie wydobyć. Bo i co można tu było powiedzieć? Poza tym, że rzeczywiście komuś jest przykro.

Z powodu Simona. Z powodu Hannah. Z powodu wszystkiego, co mogłoby jeszcze być, a teraz już nigdy nie będzie możliwe. Koniec. Minęło. Na zawsze.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę sama? Mogę zadzwonić po twoich rodziców – zaproponowała Lisa, gdy Hannah poprosiła ją, żeby już poszła, bo chciała oddać się myślom w samotności.

– Nie chcę teraz nikogo widzieć. Ale byłoby miło, gdybyś zadzwoniła do mamy i taty i opowiedziała im, co się stało, tego akurat nie jestem w stanie zrobić – odpowiedziała i sama była zdziwiona, jak spokojnie to zabrzmiało. Już na komisariacie była tak nienaturalnie opanowana, wydawała się jak ogłuszona, jakby pod wpływem silnych leków. Oczekiwane przez nią samą i innych załamanie nerwowe nie nastąpiło, reagowała jak w stanie szoku. – Nie martw się o mnie, dam sobie jakoś radę.

A poza tym musisz przecież iść później do Bandy Urwisów.

– Że też w ogóle o tym myślisz! To naprawdę nie jest teraz ważne.

– Owszem, jest – zaprzeczyła Hannah. – To jedyne, co jeszcze mam. Jak tylko poczuję się lepiej, znów się zaangażuję na całego, jeszcze tylko parę dni.

– Daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz, ja przecież tam jestem i trwam na posterunku, a nasze matki mi pomagają.

– Na co? – spytała Hannah. – Na co mam sobie dać tyle czasu? Żeby tu wysiadywać i myśleć o tym, że Simon naprawdę nie żyje? Że naprawdę nigdy już nie wróci? Że nigdy już go nie obejmę ani nie pocałuję, że tego już nigdy, nigdy, nigdy nie będzie? – Wtedy wreszcie popłynęły jej łzy, wylały się w istnych rwących potokach. Hannah szlochała tak głośno, tak rozpaczliwie, że cała się trzęsła.

– Ciii! – Lisa objęła ją ramionami i kołysała łagodnie. – Już dobrze, kochana, już dobrze.

Ale nie było dobrze. Nic nie było dobrze i nic już nigdy nie będzie dobrze. Hannah uświadomiła to sobie z brutalną wyrazistością, gdy tak siedziała sama w kuchni Simona. Naraz poczuła się obco w mieszkaniu zmarłego.

Czego ona tu jeszcze szuka? Rzeczy, które ją tu otaczały, to nie były jej rzeczy, a ten, do którego należały, już niczego nie potrzebował. Ani swoich ukochanych krzesel, ani wymyślnego włoskiego ekspresu do kawy, ani talerzy i sztuców w szafce czy paskudnego kubka z kamionki z napisem „SzeF”. Niepotrzebne już stały się ciuchy, leżące wciąż jeszcze w suszarce, i ogromna liczba książek na regale w salonie, rower wiszący na ścianie w przedpokoju, a także jego okropne zdrowotne kapcie Birkenstock, na których widok Hannah, gdy po raz pierwszy ujrzała je na jego nogach, powiedziała, że właściwie jest to powód do natychmiastowego zerwania.

Nic z tego, nic, nic, nic już nie potrzebował. To były tylko

rzeczy! Martwe rzeczy bez życia, całkowicie bezużyteczne bez swego właściciela.

Hannah zerwała się z kuchennego krzesła i chodziła nerwowo po mieszkaniu. Po łzach pojawił się gniew. Szalony, bezmierny gniew na Simona, który był takim tchórzem.

Tchórz, tchórz, tchórz!

Samobójstwo to było takie bezwzględne, takie tchórzliwe rozwiązanie! Rzucić wszystko, nie zastanawiając się choćby przez chwilę nad tym, kogo się w ten sposób zostawia. Po prostu wyciągnąć wtyczkę, a po mnie choćby potop, to było takie egoistyczne, takie podłe, takie... całkowicie nieludzkie! Tak, temu, który odszedł, było łatwo, jego już nic nie obchodziło, i tak przecież nic już do niego nie docierało. A reszta niech się martwi, jak sobie z tym dać radę, jak pozamiatać skorupy, jak powrócić do życia, jak funkcjonować dalej.

Ryms! Jednym energicznym ruchem Hannah zepchnęła z blatu ekspres do kawy, który z głośnym trzaskiem wylądował na podłodze, rozbijając przy tym dwie płytki. To był dobry odgłos, bardzo dobry.

Szarpnęła drzwiczki górnych szafek, strącała wszystko z półek, widziała, jak tłuką się talerze, filiżanki, kieliszki, i z każdym naczyniem, które rozpadało się na kawałki, czuła, jak pękają także cieniutkie jak włos rysy przecinające jej serce. W ślad za naczyniami poleciały torebki z makaronem, konserwy, słoiczki konfitur, puszki z herbatą, cukier, sól, mąka, wszystko to z pasją ciskała na podłogę, aż kuchnia przypominała pole bitwy.

Wyszła do przedpokoju i kontynuowała swe dzieło w salonie. Przewróciła telewizor, strąciła ze stołu wazon z zawartością, zdjęła ze ścian obrazy i roztrzaskała je o róg parapetu, zerwała wszystkie zasłony z karniszy i rzucała po mieszkaniu płytami CD.

– Duppek! – wrzasnęła i chwyciła stojące na komodzie obok sofy zdjęcie w ramce, przedstawiające Simona i ją. Z całej siły trzasnęła nim o ścianę. – Ty cholerny, głupi dupku! Jak mogłeś

mi to zrobić!

Tupnęła nogą, krzyknęła jeszcze raz „dupek!”, tym razem tak głośno, że w każdej chwili spodziewała się sąsiadów pod drzwiami. Tak, jak Simon mógł jej to zrobić? Wszystko jedno, jak wielki był jego lęk, jak ogromna jego obawa, że będzie musiał wycierpieć ten sam los, co jego rodzice – to, co zrobił, było nie fair!

To było nie fair, gdyż pozbawiło Hannah szansy na to, by się z nim mogła przynajmniej pożegnać. Jeszcze raz móc chociaż potrzymać go za rękę, jeszcze raz go objąć i powiedzieć mu to, co chciała mu powiedzieć. A on po prostu wszystko przeciął i zostawił Hannah oniemiałą, z tym nedorzecznym listem i stwierdzeniem, że jego miłość nie wystarcza, żeby spróbować iść dalej razem! Trzask!

Wzrok Hannah padł na kluczyki do samochodu, leżące razem z kartą pojazdu i dowodem rejestracyjnym na komodzie. Mustang Simona. Jego świętość.

Złapała kluczyki, wypadła z nimi z mieszkania i dwie minuty później była przy samochodzie. W pierwszym odruchu chciała zdemolować auto, rozwalić reflektory, pogiąć wycieraczki, zdeptać lusterka, chciała przejechać kluczykami po ciemnoczerwonym lakierze i ze zgrzytem pozostawić na nim głębokie rysy. Tak głębokie i ostre, jak rysy na jej duszy.

Potem jednak się opamiętała. Ciężko dysząc, stała przy mustangu i powoli się uspokajała. Wystarczająco długo miotała się i szalała, wystarczająco sobie ulżyła. Zamiast zdemolować samochód, wsiadła do niego i zapuściła silnik.

Miała inne plany co do skarbu Simona.

Jonathan

15 stycznia, poniedziałek, godzina 8.33

To było naprawdę dziwne. Ledwie Jonathan przemógł się wczorajszego wieczoru, by podjąć próbę rozmowy z ojcem, a już tajemniczy kalendarz jakby go umocnił w tym zamiarze.

Nie możemy rozwiązywać problemów, używając takiego samego schematu myślowego, jakim posługiwaliśmy się w trakcie ich pojawienia się.

Albert Einstein

Tym cytatem rozpoczynał się wpis na dzisiejszy dzień, a Jonathan, czytając to zdanie, kiwał głową z aprobatą. Spodobał mu się także dalszy ciąg.

Postępuj dzisiaj dokładnie odwrotnie niż zwykle. I czekaj z ciekawością, co z tego wyniknie. Zmiana bierze się z robienia czegoś inaczej, gdyż tylko w ten sposób możesz zdobyć nowe doświadczenia, które być może Cię zaskoczą. Złam swoje przyzwyczajenia, wypróbuj siebie, poszerz swój horyzont! Trzymaj telefon lewą ręką, jeśli zazwyczaj trzymasz go w prawej. Kupuj w innym marcecie i inne marki niż dotychczas, pojedź autobusem, a nie samochodem, bądź szczególnie miły dla ludzi, którzy Cię zwykle denerwują, w restauracji zamów coś, czego nigdy nie

jadasz, raz przeżyj świat wokół siebie w zupełnie nowy sposób, jakbyś był innym człowiekiem, a nie sobą. Baw się przy tym dobrze!

PS A ponieważ drogi pan Einstein powiedział na ten temat tyle mądrych rzeczy, że trudno się zdecydować, które tu przytoczyć, więc jeszcze jeden cytat starego specy od teorii względności: „Szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów”.

Jonathan roześmiał się głośno i potrząsnął głową. W ten sposób jeszcze nigdy na to nie patrzył, chociaż to oczywiście absolutna prawda. To było szaleństwo!

Większość ludzi nieustannie robiła to samo, postępowała zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami, a na koniec dziwiła się, że wciąż wychodziło to samo. Jonathan też nie był tu wyjątkiem, wcale nie miał zamiaru twierdzić co innego. Dopiero gdy znalazł kalendarz, w jego życiu zaczęły się pojawiać niezwykle wydarzenia.

Sarasvati, Leopold, gra w tenisa z Markusem Bodem, a wreszcie wieczór autorski Sebastiana Fitzka, na który w normalnych okolicznościach nigdy by się nie wybrał. To, co zalecał mu terminarz, wcielał więc w czyn właściwie już cały czas. Tyle że nie był tego świadom.

A dziś oto ma odbyć rozmowę z ojcem. Jeśli dotąd zawsze odczuwał niewyraźne bóle brzucha na myśl, że musi wyjawić starszemu panu trudności, w jakich znalazła się firma Griefson & Books, i że z tego powodu trzeba poszukać nowych rozwiązań, to teraz widział potwierdzenie, że należy przynajmniej spróbować.

Bo i co niby mogło się wydarzyć? Najbardziej prawdopodobne było to, że Wolfgang Grief nie będzie mógł już nadażyć za jego wywodami. Wprawdzie Jonathan nie stanie się mądrzejszy niż przedtem, ale bądź co bądź także nie będzie głupszy.

Po śniadaniu wziął prysznic i ubrał się, po czym chwycił

aktówkę z kalendarzem i kluczami od samochodu, by udać się w kierunku Sonnenhofu przy Elbchaussee.

Na podjeździe przed domem otworzył kliknięciem drzwiczki swojego saaba i już chciał usiąść za kierownicą, gdy nagle się zatrzymał. Kalendarz zalecał dziś przecież skorzystanie z publicznych środków transportu. Gdyby wsiadł teraz do samochodu, oznaczałoby to, że ignoruje zalecenie, schował zatem kluczyki do kieszeni płaszcza i pomaszerował na piechotę.

Po kilku krokach przyszło mu jednak do głowy, że nie ma pojęcia, dokąd właściwie ma iść, ponieważ od dzieciństwa nigdy nie podróżował autobusem ani metrem. Bo i dlaczego? Miał samochód, nie istniał więc żaden powód, by korzystać z usług miejskich zakładów komunikacyjnych Hamburga.

Jak dotrzeć z parku Innocentia do Elbchaussee komunikacją publiczną, tego nie wiedział. Tylko to, że to dość daleka trasa, na którą na swoich czterech kółkach potrzebował pół godziny. Jak długo potrwa cała podróż, jeśli nie pojedzie saabem, lecz wsiądzie do autobusu? To będzie przecież trwonienie czasu, czyż nie? A trwonienie czegoś – na to Jonathan reagował alergicznie we wszystkich obszarach życia.

Poszedł z powrotem do auta, w tej kwestii zignoruje zalecenie terminarza, w końcu nie miał czasu do stracenia.

Powtórnie otworzył kliknięciem drzwiczki od strony kierowcy – i powtórnie zatrzymał się w połowie ruchu. Hm. Nie wyglądało to na całkowicie słuszne. Jakby robił coś zabronionego. Jakby siadał za kierownicą bez prawa jazdy (czego nie zrobiłby oczywiście nigdy, nigdy; nie przychodził mu przy tym do głowy żaden powód, dla którego miano by mu je kiedykolwiek zabrać). Klik, zamknął drzwiczki, odwrócił się i znowu poszedł ulicą.

Ale którą?

Zawrócił i poszedł z powrotem do auta.

Gdy był już blisko, ponownie zawrócił. Może w ramach kompromisu wziąć taksówkę, zastanawiał się Jonathan. Już

wyciągał komórkę, by ją w jakiś sposób wezwać, ale po chwili ją schował.

Nie, nie powinien się oszukiwać, taksówka byłaby nawet nie znikłym kompromisem, ale najzwyczajszym mydleniem oczu. W końcu chodziło o nowe doświadczenia, o to, by poszerzać horyzonty – a jak byłoby to możliwe w taksówce? Chyba że Jonathan natrafiłby na kierowcę, który przekazałby mu jakieś nowe prawdy. Nie, jazda taksówką byłaby oszustwem.

– Dzień dobry panu! – Głos z tyłu kazał mu się odwrócić. Hertha Fahrenkrog podeszła do niego wolnym krokiem, jak zawsze towarzyszyła jej pudlica. – Co pan tak stoi jak półtora nieszczęścia?

– Słucham?

– No tak. – Uśmiechnęła się. – Obserwowałam pana z okna kuchennego i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zauważyć, że sprawia pan wrażenie nieco zdezorientowanego. Biega pan tam i z powrotem i nie wygląda na kogoś, kto wie, dokąd chce iść.

– Ależ nie – odparł Jonathan. – Chcę odwiedzić ojca. Nie wiem tylko, jak się tam dostać.

– Pana samochód się zepsuł?

– Nie. Ale pomyślałem, że raz pojadę komunikacją publiczną.

– Jak to? – Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. – Chcę tylko powiedzieć, że skoro pana samochód nie jest zepsuty, to niech pan go weźmie.

– Tak, ja, yyy ... – Jak ma to wyjaśnić? Jazda autobusem jako podróż w głąb samego siebie? – Wątpił, by Hertha Fahrenkrog to zrozumiała. – Potem muszę jeszcze iść do okulisty – skłamał, mając nadzieję, że nie zrobił się przy tym czerwony. Normalnie bowiem przez jego usta nie przeszłoby najmniejsze nawet kłamstwo, które natychmiast nie zostałoby zauważone. Jego ojciec często się z tego śmiał, matka natomiast widziała w tym oznakę, że Jonathan ma dobre serce. – Zrobią mi tam badanie – tłumaczył dalej człowiek o dobrym sercu – i w tym celu zaaplikują mi krople, po których nie można prowadzić

samochoodu.

– Ach tak. – Hertha Fahrenkrog kiwnęła głową ze zrozumieniem. – Zaćma, co? Mój Heinzi też to miał. – Westchnęła. – Panie świeć nad jego duszą, pod koniec nic już prawie nie widział. – Pochyliła się nad swoim pudłem. – Nieprawdaż, Daphne, pan na koniec prawie już nas nie poznawał.

– Aha, no tak – bąknął Jonathan.

– Ale tak to już jest na starość – dorzuciła jeszcze sąsiadka z uśmiechem. – Wszyscy musimy żyć z paroma dolegliwościami.

– To prawda – potwierdził Jonathan. To mu jednocześnie przypomniało, że dopiero co przy śniadaniu przeczytał, by być miłym dla ludzi, którzy zwykle go irytują. Tak więc był dla Herthy Fahrenkrog miły, był nawet bardzo miły. Tak miły, że darował sobie wyłuszczenie jej, iż ma dopiero czterdzieści dwa lata, zatem w przeciwieństwie do jej zgasłego małżonka nie pochodzi z epoki cesarstwa niemieckiego. Bowiem jeśli nawet nie miał przyjemności poznać osobiście drogiego Heinziego, to biorąc pod uwagę okoliczność, iż szanowna pani Fahrenkrog sama zbliża się do setki, przypuszczałby, że...

– A dlaczego nie zadzwoni pan po prostu po taksówkę? – przerwała te rozważania sąsiadka, zanim Jonathan zdążył się jeszcze głębiej zaplątać w myślach w skomplikowane struktury zdaniowe.

– Dobre pytanie!

– A dlaczego by nie?

– Bo... bo... bo dziś chcę po prostu pojechać autobusem. – Dlaczego nie miałyby powiedzieć prawdy? Przecież nie było w tym nic złego!

– Autobusem? – Daphne skamlała. – Pan?

– A dlaczegóż by nie?

– Ma pan przecież dość pieniędzy na taksówkę.

– Tylko dlatego, że mam dość pieniędzy, nie muszę nimi od razu szastać!

Hertha Fahrenkrog zachichotała.

– Co w tym jest takiego zabawnego?

– Zupełnie nic – odparła. – Tylko że trudno mi sobie wyobrazić pana w autobusie.

– Musi mi to pani wyjaśnić.

– No cóż – zaczęła – to jest raczej coś dla zwykłych ludzi.

– A mnie pani nie uważa za zwykłego człowieka?

– W żadnym wypadku.

– To nie zabrzmiało akurat jak komplement.

– To pana sprawa.

– Co jest moją sprawą?

– Czego się pan dosłucha w tym, co mówię. – Uśmiechnęła się do niego wesoło, a Jonathan był niemal zszokowany tym, że w głowie tej małej, pomarszczonej osóbki rodziły się tak szybkie riposty. Zdumiewające! Czy dostawała na to leki od swojego lekarza? Czy też to Daphne utrzymywała ją w takiej formie umysłowej? Wobec tego powinien rozważyć sprawienie sobie psa, ale tylko w przypadku, gdyby demencja jego ojca miała się ostatecznie okazać dziedziczna.

– Jakkolwiek by było – stwierdził Jonathan – postanowiłem dotrzeć do Elbchaussee autobusem i metrem.

– Jak Günter Wallraff – zadała mu kolejny sztych sąsiadka.

Ten jednak udało się Jonathanowi nawet odparować.

– Właśnie! – „Jonathan N. Grief na samym dnie”^[7], sparafrazował tytuł znanej książki Wallraffa, dzięki której w latach osiemdziesiątych zyskał on sławę jako dziennikarz pracujący w przebraniu. O ile Jonathan wiedział, był to także bestseller z rodzaju tych, jakich pilnie potrzebowało wydawnictwo Griefson & Books. Jakoś tak się dzieje, że wciąż coś go kieruje ku temu tematowi, wygląda na to, że vision-board w stu procentach spełnia swoje zadanie. – No to! – Uniósł rękę w geście pożegnania, odwrócił się i odmaszerował.

– A gdzie pan chce iść? – zawołała za nim Hertha Fahrenkrog.

Odwrócił się do niej z powrotem.

– Do autobusu – wyjaśnił.

– To na pana miejscu udałabym się w odwrotnym kierunku – powiedziała. – Tam na początku ulicy nie jeździ żaden autobus.

– No tak – odrzekł i skierował się w przeciwną stronę.

– Jeśli chce się pan dostać na Elbchaussee, to i tak musi pan pojechać metrem.

Ponownie się zatrzymał. I poddał się. To było bez sensu, udawać, że ma choćby minimalne pojęcie, którędy jechać. W tej sytuacji pozwoli, by pewna stulatka wytłumaczyła mu, jak ma dojechać do celu komunikacją publiczną.

Dwadzieścia minut później Jonathan stwierdził, że porównanie z Wallraffem wcale nie było takie chybione. Jechał pociągiem linii U3 od stacji Hoheluftchaussee w kierunku St. Pauli (stamtąd miał się przesiąść do autobusu numer 36 w kierunku Blankenese, wbijała mu do głowy sąsiadka) i mógł przy okazji stwierdzić, że naprawdę istnieją ludzie, którzy uważają piwo za napój do śniadania.

Nieco zalekniony siedział wciśnięty w kąt, obserwując dwóch mężczyzn, którzy stali niedaleko od niego w przejściu i wymachując puszkami piwa Astra, tak głośno ze sobą dyskutowali, że wyglądało to raczej na porządną kłótnię.

Jonathan trochę się obawiał, że ci dwaj w każdej chwili mogą wszcząć bijatykę, w którą zostałyby ewentualnie wciągnięty. Odwrócił wzrok, by niechcący nie sprowokować piwoszów, zamiast tego zaczął obserwować innych pasażerów.

Większość z nich czytała, nie byli jednak zagłębeni ani w lekturze gazety, ani książki, lecz wstukiwali coś w swoje komórki albo tablety. Interesujące. I przerażające.

Pamiętał jeszcze dobrze, jak kilka lat temu w wydawnictwie odbywała się dyskusja na temat książek elektronicznych, którą jego ojciec zdławił w zarodku, stwierdzając autorytatywnie: „E-książka to tylko przemijające zjawisko pewnej mody, do której

w żadnym wypadku nie dołączymy! Griefson & Books drukuje wyłącznie na papierze i basta!”. Niemniej Bode wkrótce potem uparł się, by na potrzeby redakcji zakupić stosowne czytniki, bowiem, jak wyjaśniał nieco zawstydzony, czyni to szczytywanie tekstów książek tak efektywnym, że redakcja w żadnym razie nie chce już dłużej obywać się bez nich. A teraz, gdy Jonathan rozglądał się po wagonie, widział, że nie tylko jego redaktorzy doceniali zalety cyfrowej książki.

Na stacji St. Pauli opuścił pociąg, choć fakt, że wysiedli tu również dwaj piwosze, o mało nie sprawił, że pojechałby dalej. Także tablica informacyjna tuż przy wyjściu ze stacji metra, przypominająca o absolutnym zakazie posiadania broni oraz alkoholu w tej dzielnicy, nie wzbudziła w nim bynajmniej potrzeby, by przebywać w tym miejscu dłużej niż to konieczne.

Z ulgą stwierdził, że przystanek autobusu linii 36 znajduje się w odległości zaledwie paru metrów, nie będzie więc musiał nawet krążyć po Reeperbahn, narażając się przy tym na spotkanie jakichś ponurych typów spod ciemnej gwiazdy, które nie traktowały zakazu noszenia broni zbyt dosłownie. Stanął koło przystanku i czekał na właściwy autobus; zgodnie z rozkładem miał nadjechać za kilka minut.

Tuż przed nim przejechał ciemnoczerwony samochód, ściągając na siebie jego uwagę: stary ford mustang, i to szczególnie piękny i dobrze utrzymany model. Gdy auto zatrzymało się na światłach na skrzyżowaniu przy Millerntor, mógł dojrzeć za kierownicą kobietę z rudymi włosami.

Jonathan musiał się uśmiechnąć, i to nie tylko dlatego, że część jego vision-board właśnie niejako stawała się ciałem, to znaczy blachą, ale też dlatego, że w tym momencie przyłapał się na myślowym stereotypie. W tej dzielnicy spodziewałby się kobiety raczej na siedzeniu pasażera, a auto prowadziłyby sutener. Ale przypuszczałnie w dzieciństwie i młodości zbyt dużo nasłuchiwał się od rodziców na temat bandytów z pistoletami na Reeperbahn,

co miało jeden jedyny cel – trzymać go z dala od grzesznych rewirów Hamburga.

Z sukcesem – musiał przyznać. Nigdy jeszcze nie był w tej dzielnicy, nawet jako dorosły. Dlaczego właściwie? Czyż niejako obowiązkiem każdego hamburczyka nie było chociaż raz zabawić się na Reeperbahn? Od sobotniego wieczoru do wczesnego rana w niedzielę, z bułeczką z krabami z targu rybnego jako zwieńczenie udanej nocy.

Stojąc tu i patrząc nieco rozmarzony na mustanga, poczuł, jak wzbiera w nim ogromna chęć, by raz to zrobić. Z wyjątkiem oczywiście bułeczki z krabami, gdyż tego paskudztwa nie cierpiał. Resztę programu uznał jednak za nader kuszącą. Może też Markus Bode byłby właściwym kompanem do takiej imprezy w dzielnicy występku? Każdy program alternatywny do samotnego wieczoru w hotelu musiałby chyba wzbudzić w nim entuzjazm.

Światło zmieniło się na zielone, kobieta w mustangu dodała gazu i po chwili zniknęła wraz z pojazdem z pola widzenia. Jonathan westchnął i odwrócił się ze smutkiem. To było naprawdę, naprawdę piękne auto.

⁷ Günter Wallraff, pisarz i reportażysta, przedstawiciel tzw. dziennikarstwa uczestniczącego, autor słynnej książki *Na samym dnie*.

Hannah

15 stycznia, poniedziałek, godzina 9.39

„Reeperbahn, do ciebie gnam. Ten grzeszny bulwar tak dobrze znam” [8]...

Ostatnie, na co Hannah miałyby ochotę, gdy dotarła samochodem Simona do wieżowców przy Millerntor, znaczących wejście do hamburskiej dzielnicy uciech, to śpiewanie. Mimo to nuciła hołd Udo Lindenbergowi dla Reeperbahn, czując jakąś mroczną, naznaczoną wisielczym humorem wesołość.

Przez półtorej godziny krążyła mustangiem Simona po okolicy. Pełna skrupułów, czy to, co zamierza, naprawdę powinna wcielić w czyn, czy nie przesadza w swym świętym oburzeniu. Ostatecznie doszła do wniosku, że jej dobrym prawem jest przesadzać i że musi coś zrobić, żeby znaleźć jakiś wentyl dla swego żalu, bólu, i owszem, również dla wściekłości, która wciąż jeszcze w niej szalała.

By dać wyraźny znak. Głośny, grzmiący znak, który z rozbiegu zepchnąłby Simona z jego chmury czy gdzie tam akurat się podziewa. Więc w końcu skierowała się na Reeperbahn, wydało jej się to jedyną logiczną konsekwencją „zdrady”, jakiej dopuścił się wobec niej.

Rankiem dzielnica rozrywki nie miała w sobie absolutnie nic z tej migotliwej fascynacji, jaką wywierała w nocy na ludzi,

pielgrzymujących tu, żeby raz porządnie się zabawić. Żadnych kolorowych świateł, żadnych neonowych reklam, żadnych wysztafirowanych kobiet ani głośnej muzyki z barów po obu stronach ulicy. Wszędzie tylko syf, syf, jeden syf i szary smutek. Wyjściowy strój na nocne szaleństwa wietrzył się jeszcze na sznurku. Na chodniku siedziały grupki punkowców z wielkimi psami, tu i ówdzie przed zamkniętymi jeszcze salonami gier i barami leżały śpiwory, w których spali bezdomni.

Na wysokości McDonalda Hannah odkryła wolne miejsce do parkowania, dostatecznie duże, by bezkolizyjnie wmanewrować tu mustanga. Włączyła migacz i skręciła kierownicę. Wprawdzie znak informował, że miejsca postojowe od godziny dwudziestej zarezerwowane są wyłącznie dla taksówek, ale jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, o tej godzinie mustang już dawno nie będzie tu stał.

Zgasła silnik i zostawiła kluczyki w stacyjce. Następnie rozłożyła na siedzeniu kartę pojazdu i dowód rejestracyjny w taki sposób, by były dobrze widoczne przez okno z zewnątrz.

Wysiadła. Zatrzasnęła drzwiczki. A potem, pogwizdując, poszła w kierunku stacji metra.

⁸ *Reeperbahn, ich komme an. Du geile Meile, auf die ich kann...* Początek piosenki Udo Lindenberg *Reeperbahn*.

Jonathan

15 stycznia, poniedziałek, godzina 12.03

Gdy Jonathan nieco po dwunastej po krótkiej odysei – kobieta w mustangu najwyraźniej tak przykuła jego uwagę, że wsiadł nie do tego autobusu, co jednak zauważył dopiero na stacji końcowej w Schenefeld – wkroczył do pokoju ojca w Sonnenhofie, Wolfgang Grief stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Rzadki widok. A jeszcze do tego obiecujący. Najwyraźniej Jonathan złapał ojca w jeden z jego lepszych dni.

– Cześć, tato! – przywitał się z nim.

Wolfgang Grief odwrócił się do niego i uśmiechnął.

– Cześć, synu! – Kiwnął głową w kierunku okna. – Cudowna dziś pogoda, prawda?

– Tak – przytaknął Jonathan. Wprawdzie niebo było zachmurzone, a światło raczej posępne, ale bądź co bądź nie padało. Jak na warunki hamburskie, taka pogoda w styczniu przy odrobinie dobrej woli mogła uchodzić za „cudowną”.

– Jak się miewa twoja droga pani matka? – zapytał ojciec, siadając w fotelu.

Odwaga Jonathana stopniała. Więc jednak nie był to dobry dzień. On sam rozstał się już z myślą, że Sofia mogłaby przebywać w Hamburgu i podarować synowi kalendarz. Uznał to za wykluczone, choćby tylko dlatego, że postawiłaby poprawnie przecinki. Nie, terminarz w żadnym razie nie został zapisany

przez nią, Jonathan tylko przez chwilę kierował się swoimi życzeniami.

Dlatego spytał teraz:

– Masz na myśli Sofię? – Być może ojciec mówił o jakiejś innej pani.

Wolfgang Grief się roześmiał.

– A masz jeszcze jakąś inną matkę?

– Nie – odparł Jonathan. – Oczywiście, że nie.

– No właśnie. Więc jak ona się miewa? Czy wpadnie tu później?

– Tato... – Zamilkł. Co miał na to odpowiedzieć? Postanowił dalej bawić się w tę grę, która nią wcale nie była, toteż odrzekł: – Myślę, że tak.

– Jak miło! – ucieszył się ojciec. – To będziemy mogli zrobić sobie później razem wycieczkę. Miałbym znów ochotę na kawę i ciastko w Witthüs w Parku Jeleni. – Przejechał koniuszkiem języka po wargach. – Tak, duży kawałek świeżego ciasta z wiśniami i kruszonką to jest właśnie to, czego mi dziś trzeba!

– Dobry pomysł, tato – rzekł Jonathan, tłumiąc przy tym westchnienie. – Tak zrobimy.

– No to miejmy nadzieję, że twoja matka wkrótce się tu zjawi.

– Hm. – On także usiadł. Jeśli przed chwilą jeszcze się cieszył, że w ogóle dotarł do rezydencji dla seniorów, to teraz miał wrażenie, że mógłby od razu jechać z powrotem. Tym razem jednak taksówką.

Ale nie chciał być nie fair. Zobaczyć ojca w takim dobrym humorze – już samo to było wszak wiele warte. Fakt, że jego nastrój poprawiał się proporcjonalnie do stopnia otępienia, zasmucał Jonathana. Wyglądało na to, że ma wybór między ojcem przy zdrowych zmysłach i zręcznym a takim, który zachowuje się jak dziecko i emanuje nieporadną wesołością.

– I co tam masz nowego do opowiadania? – zapytał Wolfgang Grief.

Jonathan wahał się przez chwilę. Czy miał zaryzykować próbę?

Nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że to przedsięwzięcie jest przypuszczalnie bez szans, powinien był przynajmniej spróbować.

– Chętnie porozmawiałbym z tobą o wydawnictwie – zaczął więc.

– Dawaj, chłopcze! Wszystko gra?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo.

Ojciec patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem, jakby Jonathan odpowiedział mu w obcym języku.

– Co masz na myśli?

– Jest trochę problemów ze sprzedażą.

Oczy Wolfganga Griefa zwężyły się do dwóch szparek.

– Zdefiniuj te „trochę problemów”!

– No cóż, bieżący program realizuje się bardzo źle.

– Co to oznacza w liczbach?

Zdumiewające, naprawdę zdumiewające. Dopiero co ojciec był w stanie zidiocenia, a teraz jakby ktoś zapalił w nim światło. Naraz wydawał się zupełnie przytomny, na czole wystąpiła wyraźnie zmarszczka gniewu, stalowoniebieskie oczy mierzyły syna dokładnie takim wzrokiem, jakiego Jonathan przez całe życie zawsze się bał.

– Jest spadek, zdaje się trzydzieści procent.

– Trzydzieści procent? – zgromił go ojciec. – Pokaż mi aktualne rozliczenia!

– Nie mam ich teraz ze sobą, ale...

– Jak możesz zjawiać się tu z taką informacją, nie mając przy sobie potrzebnych dokumentów? – huknął ojciec.

– Tato, jest...

– Czy ty zdajesz sobie właściwie sprawę z tego, co właśnie robisz? Co z ciebie za biznesmen?

– No więc, ja...

– Ach, po cóż ja się tak denerwuję? – Ojciec potrząsnął głową. – To przecież było jasne, że nie masz smykałki do interesów. Nigdy

nie powinienem się był wycofywać z działalności strategicznej.

– No więc naprawdę to jest...

– A co mówi na to Markus Bode? – przerwał mu ojciec.

– To jest właśnie najważniejsze – odparł Jonathan. – Bode jest zdania, że powinniśmy umieścić w planach wydawniczych kilka tytułów dla masowej publiczności. Wczoraj na przykład byliśmy na wieczorze autorskim Sebastiana Fitzka...

– Fitzek? Powiedziałeś: Fitzek?

– Tak, powiedziałem. – Jonathan wyprostował zdecydowanie ramiona. Nie pozwolił swemu zdemenciałemu ojcu traktować się dłużej jak dziecko, ostatecznie jest dorosłym facetem! – A gdybyś sam to widział, to miałbyś teraz zupełnie inne zdanie na jego temat. Ja w każdym razie pomyśl, by włączyć do planów także takie pozycje, uważam właściwie za całkiem...

– Jonathanie! – przerwał mu ojciec. – Proszę cię! Chyba nie chcesz ze mną na serio dyskutować o tym, czy Griefson & Books ma spaść do poziomu literatury popularnej. To przecież absurdalne!

– Wcale nie uważam tego za takie absurdalne – odparł Jonathan. I to była prawda, już nie uważał tego za absurdalne. Zwłaszcza że ojciec sam najpierw zapytał o wyniki, był przecież handlowcem do szpiku kości. Może tylko nie chciał zrozumieć, że czasy się zmieniły i że jest coraz mniej ludzi gotowych wydawać pieniądze na ambitną literaturę? Czyż zatem zadaniem, ba, obowiązkiem Jonathana nie było wyprowadzić go z błędu?

– Nie, mój chłopcze, wcale nie musimy o tym dalej rozmawiać. Przynieś mi aktualne wyniki, a potem zobaczymy, jak mamy postępować.

– Ale ja myślę, że...

– A ja myślę, że nie – uciął ojciec.

– Tato, ja...

Ktoś zapukał do drzwi, sekundę później do pokoju weszła Renate Krug.

– O, witam – powiedziała do obu mężczyzn. – Nie przeszkadzam?

Na twarzy Wolfganga Griefa wykwitł natychmiast uśmiech.

– Sofia! – wykrzyknął, podbiegł tanecznym krokiem do swej dawnej asystentki i objął ją. – Jak miło, że jesteś! Oczywiście, że nie przeszkadzasz! Właśnie mówiłem Jonathanowi, że cieszę się już na to, żeby wybrać się z wami dwojgiem na wycieczkę.

– Ależ chętnie, mój drogi! – powiedziała Renate i zaśmiała się, jakby to była rzecz najnormalniejsza w świecie, że: a) Wolfgang Grief uważa ją za swoją dawno niewidzianą żonę, i b), że chce się gdzieś wybrać z nią i synem jak rodzina.

– Yhm. – Jonathan spojrzał poirytowany na Renate Krug, ona odwzajemniła jego spojrzenie z konspiracyjnym skinieniem, które miało chyba znaczyć tyle co „Niech pan pozwoli mu trwać w tym przekonaniu”.

Jonathan ponownie westchnął. A niech tam, no to po prostu wybierze się z ojcem i „matką” na wycieczkę.

Hannah

15 stycznia, poniedziałek, godzina 13.19

– Coś ty zrobiła? Oszalałaś? – Lisa wpatrywała się w nią przerażona. – Och, przepraszam – dorzuciła po chwili szybko, i wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną. – Nie chciałam tego powiedzieć, no więc, nie że oszalałaś, oczywiście, że nie, to mi się tylko tak wysnęło, ale...

– Już dobrze – odrzekła Hannah spokojnie. – Może to jest szaleństwo. Nawet raczej na pewno. Ale i tak jest to super uczucie.

– Ale nie możesz przecież zostawiać samochodu Simona z kluczami i całą resztą na St. Pauli.

– Nie ma obaw. – Hannah zachichotała i sama uznała, że sprawia przy tym wrażenie odrobinę szalonej. – Jestem dość pewna, że mustang już tam nie stoi. Po nim i po kimś już dawno nie ma śladu. – Sięgnęła po cukierek toffi z otwartego pudełka, stojącego na blacie ich małej kuchenki, włożyła go sobie do ust, possała błogo i uśmiechnęła się beztrąsko do Lisy.

– Idziemy! – zawołała przyjaciółka, złapała kurtkę z wieszaka i włożyła ją.

– Dokąd się wybierasz?

– No, na Reeperbahn, sprowadzimy samochód z powrotem! Może jeszcze tam stoi.

– Nie – odpowiedziała Hannah stanowczym głosem. – Na

pewno tego nie zrobimy. Przygotujemy się teraz spokojnie na popołudnie z dziećmi i będziemy robić po prostu dalej to, co do tej pory.

– Ale to jest kompletne wariactwo! Nie możesz przecież... Samochód Simona jest na pewno... no więc, nie mam pojęcia, ale jest wart na pewno parę tysięcy euro!

– Stawiam na dziesięć – odpowiedziała Hannah niewzruszona.
– Jest przecież zadbany na tip-top, to prawdziwy egzemplarz kolekcjonerski. – Kiwnęła głową. – Na pewno, tak z dziesięć tysięcy euro, Simon zawsze to mówił.

– Naprawdę zwariowałaś. – Lisa potrząsnęła teraz bezradnie głową. – Jak mogłaś go zostawić na St. Pauli? Czy pomyślałaś choć przez chwilę, co mogłybyśmy zrobić z tą forszą? Tu, w Bandy Urwisów? Mogłybyśmy postawić na podwórku najfajniejszy zamek do wspinania i sama już nie wiem co jeszcze!

Hannah w tym momencie wzdrygnęła się, na ułamek sekundy poczuła się winna. A potem powoli potrząsnęła głową.

– Być może masz rację – przyznała. – Niemniej wcale nie chciałabym użyć tych pieniędzy dla Bandy Urwisów. Wydaje mi się, że gdybyśmy coś za nie kupiły, to patrząc na to, za każdym razem musiałabym myśleć, że ta forsa była za mustanga Simona. A to by jakoś... ach, sama nie wiem, to by przypominało ograbianie zmarłych.

– Ograbianie zmarłych? – powtórzyła Lisa wstrząśnięta. – Simon ci przecież nawet napisał, że masz wykorzystać jego pieniądze na nasze przedsięwzięcie, to...

– Lisa, proszę! – przerwała jej Hannah. – Tak właśnie zdecydowałam i niech tak zostanie.

– Jesteś w szoku – powiedziała jej przyjaciółka i popatrzyła na nią ze współczuciem. – Rano będzie ci na pewno przykro.

– Nie, nie będzie. I nie jestem w szoku. Od dawna nie myślałam tak trzeźwo. – Nie zdążyła dokończyć tego zdania, gdy z oczu popłynęły jej łzy.

– Hannah. – Lisa objęła ją, przyciągnęła do siebie i pogłaskała po głowie. – Już dobrze, wyrzuc to wszystko z siebie.

– Ja... ja... ja – jękała się Hannah i wczepiła się w Lisę, jakby tylko ona dawała jej jeszcze jakieś oparcie. Jakieś oparcie, podczas gdy czuła się, jak gdyby niepowstrzymanie spadała w otchłań bez dna.

– Wiem, kochana, wiem...

– Jak ja mam dalej żyć? – łkała Hannah. – Jak to będzie? – Jedną ręką wytarła sobie nos. – To wszystko wydaje mi się koszmarem! To przecież nie może być prawdą! Przez cały czas myślę, że za chwilę się obudzę. Jak ja mam dalej żyć, jak to ma funkcjonować?

– Małymi kroczkami i każdego dnia, inaczej się nie da. – Lisa odsunęła Hannah odrobinę od siebie i popatrzyła na nią zachęcająco. – Człowiek zawsze dostaje tylko tyle ciężarów, ile zdoła unieść.

Hannah patrzyła na przyjaciółkę przez łzy.

– Naprawdę w to wierzysz?

Lisa zastanawiała się przez chwilę, a potem potrząsnęła wolno głową.

– Nie, szczerze mówiąc, to totalna bzdura. To tylko głupia kalendarzowa mądrość dla ludzi, którzy nie mają o niczym pojęcia. Są ciężary, które są o wiele za ciężkie, cofam więc wszystko i twierdzę, że jest dokładnie na odwrót.

Wbrew sobie Hannah musiała się roześmiać.

– Mimo to dziękuję za tę próbę.

– Z niezmienną przyjemnością!

– Chodź – rzekła Hannah i ponownie wytarła sobie twarz. – Zaczynajmy. Wydaje mi się, że pracą najlepiej mogę się oderwać od moich myśli.

– A samochodu naprawdę nie chcesz sprowadzić z powrotem? Na pewno?

– Nie, już wcześniej przekazałam go wszechświatowi. –

Westchnęła. – Zgroza mnie ogarnia na samą myśl, że muszę zlikwidować mieszkanie Simona i zająć się wszystkim. – Wzdrygnęła się. – Pogrzeb.

– Nie myśl teraz o tym. Rozmawiałam już z twoimi rodzicami, że zajmiemy się zorganizowaniem pogrzebu i o wszystko się zatroszczymy. Jeśli chcesz, opróżnimy też mieszkanie Simona.

– To miło z twojej strony, ale przynajmniej sprawę z mieszkaniem chcę załatwić sama, tak będzie lepiej, niż gdyby obcy ludzie... – przerwała. – Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć.

– To przecież dla mnie jasne! Ale żebyś wiedziała jedno: jak tylko zechcesz, chętnie ci we wszystkim pomogę. Damy sobie radę, nie będzie tak źle.

– Dziękuję – rzekła Hannah. – Bez ciebie naprawdę bym sobie nie poradziła.

– To przecież oczywiste.

– Wcale nie – odparła Hannah. A potem znów zaczęła płakać. – To wcale nie jest oczywiste i dziękuję ci z całego serca!

Jonathan

15 stycznia, poniedziałek, godzina 18.08

– No więc, jedna rzecz by mnie naprawdę niezmiernie interesowała. – Jonathan N. Grief siedział na tylnym siedzeniu taksówki obok swej asystentki Renate Krug i usiłował uporządkować myśli. Popołudnie było wprawdzie miłe, ale dość absurdalne.

We trójkę wybrali się na wycieczkę nad Łabę, a potem wstąpili na kawę i ciastka do kawiarni Witthüs. Jak całkiem normalna rodzina w całkiem normalne popołudnie. Tyle że właśnie nie byli całkiem normalną rodziną: zdemenciały „tatuś” i niespokrewniona „mamusia”.

Niemniej Wolfgang Grief uparcie zwracał się do Renate Krug „Sofio”, a ona nie podjęła najmniejszej próby, by uświadomić mu nieporozumienie.

Absurdalne, kuriozalne, jak u Loriota!

– Od kiedy ojciec uważa panią za moją matkę?

– No więc... – Przypatrywała się swoim paznokciom, jakby chciała się zorientować, czy już czas na manikiur. – Mniej więcej od pół roku, tak mi się zdaje.

– A pani do dziś nie uważała, że powinna mnie o tym poinformować? Nawet wtedy, gdy wprost panią o to spytałem?

– Zgoda, to było błędem z mojej strony – przyznała, na jej twarzy pojawił się jednak wyraz przekory. – Ale to przecież

całkowicie obojętne, w co wierzy pana ojciec. A jeśli jest szczęśliwy z wyobrażeniem, że jestem jego żoną – komu to przeszkadza?

– Hm – odparł Jonathan – na przykład mnie?

– Dlaczego?

– No bo po prostu nie jest pani moją matką! – Chrząknął. – Nie może pani udawać, że tak jest.

– Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie można by tego robić.

– Jeśli pominiemy zasady przyzwoitości.

– Ach, przyzwoitość! – Machnęła lekceważąco ręką. – Przyzwoitość jest przeceniana. Pana ojciec jest chory, bardzo chory, i przede wszystkim chodzi o zadbanie, by czuł się dobrze.

– Rozumiem. I dlatego jest w porządku, jeśli traktuje go pani, jakby był upośledzony na umyśle.

Nic na to nie odpowiedziała, ale Jonathan wiedział, co sobie myśli. Bo w gruncie rzeczy sam tak uważał. Ojciec jest upośledzony na umyśle, w jego głowie panuje kompletny zamęt. Taki zamęt, że teraz uważa swą dawną asystentkę za żonę.

– Nie rozumiem tylko, skąd mu to przyszło do głowy – odezwał się w końcu Jonathan. – Od lat moja matka nie odgrywała już w jego życiu żadnej roli, skąd ta nagła zmiana nastawienia?

– Mówiłam panu, że chorzy na demencję żyją głównie w przeszłości. Wówczas odradzają się dawno zapomniane uczucia, pragnienia i tęsknoty.

– Sądzi więc pani, że powrót mojej matki to właśnie owo dawno pogrzebane pragnienie ojca?

– Na to wygląda. Najwyraźniej nie przepracował jeszcze ostatecznie jakiejś sprawy.

– Mogę to sobie wyobrazić, Bo i jak przepracować to, że człowiek, którego się kocha, po prostu z dnia na dzień znika.

– Taak. – Renate Krug westchnęła. – To niełatwe.

Jonathan postawił sprawę jasno:

– Mimo to źle się czuję z myślą, że ojciec jest w tym obłądzie jeszcze utwierdzany.

– Nie sądzę, byśmy w ten sposób robili coś złego czy pogarszali jego sytuację.

Jonathan zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Nie – powiedział – prawdopodobnie nie. Po prostu to smutne, patrzeć, jak ten błyskotliwy umysł gaśnie.

– To zależy.

– Od czego?

– Nie sądzi pan, że choroba pańskiego ojca ma też pewne zalety?

– Co pani ma na myśli?

– No chociażby to, że jest miłszy w obcowaniu niż dawniej.

– Dziwię się, że mówi to właśnie pani. Myślałem, że pani żyła z nim w najlepszej zgodzie.

Renate Krug wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

– Pana ojciec był tyranem!

– Nawet wobec pani? – Nigdy by nie uwierzył, że wiernie oddana ojcu Renate Krug może myśleć o nim tak krytycznie.

– Powiedziałabym wręcz, zwłaszcza wobec mnie. To na mnie zawsze się wyżywał, na mnie wyładowywał każdy swój humor, każde niezadowolenie.

– To dlaczego pani nie odeszła? Z pewnością mogłaby pani znaleźć inną pracę.

Spuściła wzrok.

– Bo poza tym był to wielki człowiek. Wybitny charakter, ktoś, kto dokładnie wiedział, czego chce. Kogoś takiego rzadko się spotyka.

– Hm. To, co nazywa pani charakterem, inni określiliby jako upór – zauważył Jonathan.

– Czy mówi pan o swoich nowych planach dla wydawnictwa? – Jonathan spojrział na nią zaskoczony, a Renate Krug zmieszała się. – Zanim weszłam, stałam dłuższą chwilę pod drzwiami.

Choćbym nie chciała... – przerwała.

– Podśłuchiwała pani – stwierdził Jonathan.

– Tak bym tego nie nazwała. Po prostu nie chciałam przeszkadzać i przy okazji coś niechcący usłyszałam.

– Aha. – Jonathan musiał się uśmiechnąć. – Wobec tego bardzo by mnie interesowało pani zdanie, jeśli już pani „coś niechcący usłyszała”.

– Moje zdanie? – Wydawała się zaskoczona.

– Oczywiście!

– Ach. – Machnęła ręką i odrobinę się zaczerwieniła. – O takich sprawach nie mam pojęcia, wolę trzymać się od nich z daleka.

– Proszę pani – upierał się Jonathan – nie domagam się od pani opinii wyrafinowanego eksperta. Chciałbym tylko wiedzieć, co pani sądzi o tym, żeby Griefson & Books w przyszłości wydawał także popularne powieści!

– Naprawdę nie wiem...

– Niech pani da spokój! – przerwał Jonathan swej asystentce. – A co pani sama chętnie czyta?

Jej twarz przybrała barwę jeszcze o ton ciemniejszą.

– Yyy... trochę się wstydzę.

– Aż tak źle? – zażartował Jonathan.

Renate Krug przytaknęła. Następnie pogrzebała przy zamku swej torebki, otworzyła ją niezgrabnie i sięgnęła do środka.

– Na przykład coś takiego – powiedziała i podała Jonathanowi jakąś sfatygowaną książkę.

Rzucił na nią okiem.

Zdołał ukryć fakt, że z zaskoczenia odebrało mu dech, zamiast tego, starając się zachować spokój, powiedział tylko:

– Och.

Renate Krug natychmiast schowała książkę z powrotem do torebki.

Dalsza droga przebiegała w milczeniu, nie mówili o tym więcej. Niemniej Jonathan walczył ze sobą, by nie popłakać się ze

śmiechu, a gdy dojechali do domu Renate Krug w Eimsbüttel, gdzie wysiadła, dał temu upust.

Kiedy taksówka piętnaście minut później stanęła przed domem Jonathana, wciąż jeszcze się śmiał. Głośno i radośnie. Renate Krug zaskoczyła go dziś nie tylko z jednego powodu. Ale że czytała romansidła pod takim porywającym tytułem, jak *Żar namiętności* – no to już był szczyt wszystkiego.

Co jeszcze mógł na to powiedzieć? A przede wszystkim: co powiedziała by na to jego ojciec?

Hannah

24 stycznia, środa, godzina 12.03

Rozpięła skrzydła dusza,
Tęsknotę sycąc swą.
Nad cichą płynie głuszą,
Tam leci, gdzie jej dom[9].

Hannah mruczała po cichu te słowa razem z pastorem, który wygłaszał je na zakończenie pogrzebu Simona. Był to cytat z wiersza Josepha von Eichendorffa, którego Simon bardzo lubił, dlatego też Hannah wybrała go na ceremonię pogrzebową.

A teraz stała tu, przy grobie mężczyzny, o którym jeszcze niedawno myślała, że spędzi z nim życie. Prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Lisa była tuż obok niej i ścisnęła jej rękę. Dotrzymała słowa, w ostatnich dniach nie odstępowała przyjaciółki na krok i przetrwała wszystko wspólnie z nią. Towarzyszyła Hannah wraz z jej rodzicami w rozmowach z właścicielką firmy pogrzebowej i pastorem, pomogła jej wybrać miejsce na grób na cmentarzu Ohlsdorf i razem z nią zaprojektowała i wysłała zawiadomienia.

Ponad dwieście osób przyszło, by oddać Simonowi ostatnią posługę, zespół redakcyjny „Hamburger Nachrichten” stawiał się w komplecie, obecni byli wszyscy przyjaciele, jak też żalodne resztki krewnych Simona w osobie jednego wuja i kuzynki.

Wszyscy oni ustawili się w długiej kolejce składających kondolencje, Hannah ścisnęła niezliczone dłonie, wysłuchiwała kolejnych wyrazów współczucia, zastanawiając się, jak długo to jeszcze potrwa, zanim będzie mogła wreszcie znaleźć się sama w domu i ponownie pogrążyć w rozpacz.

Tak bowiem właśnie się czuła, jakby w każdej chwili miała się przewrócić, zapaść się w sobie jak przekłuty balonik. Jeszcze do wczorajszego popołudnia trzymała się stosunkowo dzielnie. Ale potem przyszła do niej do domu ta miła policjantka, która dała Hannah swój numer, i poinformowała ją – „narzeczoną” Simona – całkowicie poufnie o wyniku obdukcji.

Tak, Simon utonął, to nie ulegało wątpliwości. I jeszcze jeden fakt był dla lekarzy sądowych bezsporny: Simon rzeczywiście nie miał przed sobą długiego życia, najwyżej kilka miesięcy. Jego choroba nowotworowa była zbyt zaawansowana, żeby miał jakąkolwiek szansę na wyleczenie.

Reakcja Hannah przestraszyła policjantkę, ta bowiem wybuchnęła histerycznym śmiechem i przez wiele minut nie mogła się uspokoić. Sama nie całkiem to rozumiała. Można by sobie raczej pomyśleć, że ta informacja jakoś ją pogodzi z odejściem Simona. Bądź co bądź widziała teraz, że miał rację, przypuszczając, że niebawem umrze, i o tyle postąpił słusznie, że gwałtowną śmiercią uprzedził długie umieranie w mękach. Ostatecznie każdy w takim przypadku miał prawo decydowania o zakończeniu swego życia, przynajmniej Hannah tak do tej pory uważała.

A jednak. A jednak ta informacja usunęła Hannah grunt pod stopami, bowiem w jednej chwili jej prezent dla Simona – który, patrząc wstecz, trzeba było potraktować jako prezent pożegnalny – wydał jej się obecnie tylko wstrętny i cyniczny.

Kim bowiem była, ona, Hannah Marx, by w swej pysze ulec złudzeniu, że wie lepiej? Ta arogancja, z jaką tak po prostu wymiatała lęki i troski Simona; jak faktycznie wierzyła w to, że

swoim śmiesznym kalendarzem i jego przesłaniem: „Radość to to, co sam z tym zrobisz!” nie musi spojrzeć faktom w oczy.

Czuła wstyd. Tak, nie było innego określenia na to uczucie, które szalało w niej od wizyty policjantki, oprócz głębokiego, najstraszliwszego wstydu.

Także teraz, gdy Hannah ścisnęła ręce tych wszystkich, którzy składali jej kondolencje, to uczucie jej nie opuszczało, czuła się jak hipokrytka. Jakby nie miała prawa w ogóle tu stać i boleć nad śmiercią Simona jako „wdowa” po nim. Podała się nawet fałszywie za jego narzeczoną, aby uzyskiwać wszelkie informacje od policji. Żeby w ogóle mieć prawo do informowania jej na bieżąco przez policję o stanie dochodzenia.

Narieczona Simona. Hannah zamknęła oczy i zdławiła kolejny szloch. Miało się to odbyć jedenastego maja, w dzień, kiedy ona i Simon się poznali. Tak pięknie to sobie wymyśliła! W niewielkiej pracowni jubilerskiej przy Eppendorfer Landstrasse wyszukała parę pierścionków zaręczynowych z młotkowanego srebra i poprosiła o ich odłożenie; powiedziała właścicielce sklepu, że ktoś przyjdzie i je odbierze.

W każdym razie miała nadzieję, że Simon kupi pierścionki, po to wsunęła do kieszonki kalendarza kopertę zawierającą pięćset euro. Jubilerka była zachwycona jej romantycznym planem, z radości niemal krzyknęła, gdy Hannah instruowała ją, by nabywcy – oczywiście jeśli ten naprawdę kupi pierścionki – wręczyła kopertę, w której były wszystkie dalsze polecenia: że jeszcze tego samego wieczoru o godzinie ósmej Simon ma przyjść do Da Ricardo, gdzie Hannah zarezerwowała dla nich „ich” stół. I gdzie chciała mu się oświadczyć, gdy tylko się pojawi.

Akurat! Życie to jest to, co się dzieje, podczas gdy ty snujesz właśnie jakieś inne plany, John Lennon miał całkowitą rację. Nie będzie już żadnych oświadczeń, w każdym razie nie jej i Simona. Pierścionki kupi kiedyś kto inny, jakaś inna para przysięgnie

sobie wieczną miłość i wierność.

Hannah wiedziała, że powinna zawiadomić jubilerkę, że nikt już nie przyjdzie i nie odbierze pierścionków. Żeby mogła odłożyć je z powrotem na wystawę, bo zaręczyny Hannah i Simona zostały zerwane, zanim w ogóle do nich doszło. Ale nie zrobiła tego, nie znalazła w sobie dość siły, by zadzwonić do sklepu. To wydałoby się jej kolejną zdradą, jakby podeptała pamięć o Simonie. Uspokajała się myślą, że jedenasty maja nadejdzie i przeminie, a jubilerka, gdy nikt się nie pojawi, by odebrać pierścionki, po prostu wprowadzi je z powrotem do sprzedaży. Co znaczyło te parę tygodni? Nic. W porównaniu z wiecznością, do której wkroczył teraz Simon bez Hannah, nie znaczyło nic.

– Wciąż jeszcze nie mogę tego zrozumieć! – Kolega Simona, Sören, stał przed nią i podawał jej rękę. Wyglądał tak, jak ona się czuła: oczy czerwone i zapuchnięte, pod nimi ciemne obwódki.

– Ja też nie – powiedziała Hannah cicho. – Ja też nie.

– Dajesz sobie radę? – dopytywał się Sören.

Wzruszyła ramionami.

– A jakie to ma znaczenie? Życie jakoś musi się toczyć dalej.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi znać, dobrze?

– Tak, z chęcią.

– A co zrobisz z mieszkaniem Simona? Mam ci pomóc je opróżnić?

– Nie – odpowiedziała. – Nie ma pośpiechu. Czynnosc jest jeszcze ściągany z konta, to nie takie pilne.

– Ale czy jednak nie byłoby lepiej, gdybyś załatwiła to jak najszybciej?

– Ja... – Hannah przez chwilę nie była w stanie mówić dalej. Myślała o pobjawisku, jakie zostawiła w mieszkaniu Simona. Oczywiście uporządkuje to, uprzątnie jego rzeczy osobiste i odda klucze właścicielowi. Kiedyś to robi, ale teraz cieszyła się, że jest jeszcze w stanie oddychać. – Po prostu teraz jeszcze nie mogę.

– Dobrze to rozumiem – powiedział Sören. – Jak do tego dojrzejesz, zadzwoń do mnie, okej?

– Na pewno. – Objęli się, a potem Hannah odwróciła się do następnych żałobników.

Niecałą godzinę później Lisa odstawiła Hannah pod jej mieszkanie w Lokstedt. Po pogrzebie nie było żadnej stypy, na samą myśl, że z okazji śmierci Simona ma zaprosić ludzi na kawę i ciastka, Hannah przewracał się żołądek. Gdy już uścisnęła rękę ostatniej osobie, chciała tylko wracać do domu. Zagrzebać się w pościeli, naciągnąć kołdrę na głowę i czekać tak długo, aż ból powoli ustanie. Chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, że to kiedykolwiek nastąpi.

– Najlepiej się trochę położyć – poradziła Lisa, której Hannah zdążyła już oświadczyć, że nie ma ochoty na żadne towarzystwo.

– Tak zrobię – odparła Hannah. Popatrzyły na siebie przez chwilę w milczeniu. A potem Lisa pochyliła się, objęła przyjaciółkę i mocno przytuliła do siebie.

– Tak mi przykro – powiedziała cicho. – Tak bym chciała, żeby zostało ci to oszczędzone.

– Tak. Ja też bym chciała.

9 Joseph von Eichendorff, *Księżycowa noc*, w: *Dwanaście wierszy*, tłum. Jerzy Szymik, Katowice 2007.

Jonathan

16 marca, piątek, godzina 14.23

La professoressa e nell'aula. Anche nell'aula sono gli studenti. Jonathan powtarzał te zdania skupiony. Wprawdzie nie miał pojęcia, kiedy w ogóle znajdzie się w takiej krępującej sytuacji, że będzie musiał tłumaczyć jakiemuś Włochowi, iż w klasie jest nie tylko nauczycielka, ale, cóż za niespodzianka!, także uczniowie – czy można to jednak było wiedzieć na pewno?

Poza tym: autorzy kursu języka włoskiego, który ściągnął na komórkę, coś sobie musieli przy tym myśleć. Choćby tylko to, by za pomocą nauczycielki, uczniów i ich klasy wbić Jonathanowi do głowy przebrzydłe włoskie przyimki. *Nel, sul, dal, nella, sulla, dalla* – w głowie mu huczało, gdy próbował powtarzać zdania możliwie poprawnie. Jednocześnie zastanawiał się, czy nie byłoby jednak lepiej zapisać się na kurs we wszechnicy ludowej. Ale wyobrażenie, że będzie siedział w ławce razem z gospodyniami domowymi z Pinnebergu (co tam stereotypy!), wydało mu się nieco dziwne, tak więc gdy przed dwoma tygodniami terminarz zalecał mu opanowanie jakiejś zupełnie nowej umiejętności, zdecydował się na wersję elektroniczną.

Nieźle sobie radził i sam był zaskoczony, jak szybkie robił postępy. Bądź co bądź potrafił już zamówić pokój z prysznicem (*una camera con doccia*), popielniczkę (*un portacenere*), chociaż w ogóle nie palił, jak również wodę niegazowaną bez lodu (*una*

aqua liscia senza ghiaccio). Ponadto umiał się przedstawić bez wpadki (*mi chiamo Jonathan Grief*) i wyjaśnić, skąd pochodzi (*sono di Amburgo in Germania*).

Być może nie bez znaczenia był fakt, że Jonathan miał zdany państwowy egzamin z łaciny na poziomie zaawansowanym i dzięki temu łatwo mu przychodziły początki włoskiego – pomijając chwilowo przyimki, te pozbawione były wszelkiej logiki. Pewną niewielką rolę odgrywało też być może jego pochodzenie. W każdym razie czasami przypominało mu się jakieś zdanie z dzieciństwa, chociaż matka rozmawiała z nim prawie zawsze po niemiecku, gdyż ojciec nie cenił wychowania dwujęzycznego, wyrażając pogląd, że „chłopiec ma się przede wszystkim uczyć porządnie po niemiecku”. Zostawmy otwartą kwestię, czy niemiecki Sofii, która nauczyła się go dopiero jako osoba dorosła, można było uznać za „porządny”, ale na wszelki wypadek zastosowała się do instrukcji męża.

Tylko wieczorami, gdy kładła Jonathana spać, siadała jeszcze na parę minut na jego łóżku i śpiewała mu piosenki ze swej ojczyzny. *Se sei felice tu lo sai batti le mani*, gdy to wspominał, miał w uszach jej ciepły głos, nucący: „Kiedy jesteś szczęśliwy, klaszcz w dłonie!”.

I Jonathan był – w jakiś sposób – szczęśliwy. Nie tak, żeby radować się głośno albo w euforii unosić się do góry. Ale gdy się zastanawiał nad swoim samopoczuciem w latach po rozstaniu z Tiną (ściśle mówiąc, już także w czasie trwania małżeństwa), to dziś czuł się znacznie lepiej. Był bardziej zadowolony. Bardziej zrównoważony. W zgodzie ze sobą.

Albo przynajmniej prawie, gdyż w kwestii wydawnictwa nadal jeszcze nie posunął się naprzód. Jonathan nie wiedział po prostu, co jest właściwą drogą dla Griefson & Books. Ilekroć ważył wszystkie argumenty za i przeciw włączeniu do planów wydawniczych literatury popularnej, wynik za każdym razem był nierozstrzygnięty.

To znaczy, on, Jonathan, był niezdecydowany. Chodziło nie tylko o renomę i tradycję wydawnictwa, ale także o jego rentowność. A on wcale nie miał pewności, że wystarczy opublikować po prostu kilka tytułów z głównego nurtu, a najgorsze będą mieli za sobą.

Nie, takie przedsięwzięcie mogło równie dobrze przynieść efekt odwrotny do zamierzonego, gdyby handel i czytelnicy nie zaakceptowali w ogóle nowej strategii. Gdyby się z nich wyśmiewano, wykrzykiwano: „Pilnuj, szewcze, kopyta!”. Wystarczy sobie wyobrazić, że wspaniali berlińscy filharmonicy ni z tego, ni z owego nagrywają album z najpopularniejszymi melodiami musicalowymi – jakież krzyk oburzenia podniósłby się w świecie kultury, i słusznie! I czy udałoby im się później uzyskiwać jeszcze podobne wyniki sprzedaży dla swoich bardziej ambitnych projektów – Jonathan również mocno w to powątpiewał.

Markus Bode przedstawił mu propozycję, by po prostu powołać do życia nową markę wydawniczą, czyli podwydawnictwo, w którego ramach mogłaby się ukazywać lżejsza beletrystyka. Zastrzeżenie Jonathana, że uważa takie posunięcie za dość obłudne, dyrektor zarządzający zbagatelizował, mówiąc: „Ach, tak przecież robią wszyscy!”. A poza tym wyjaśnił, że tak czy owak, sensowne byłoby najpierw przyjrzenie się rynkowi, a następnie głębsze zastanowienie nad dalszą strategią.

Markus Bode z zapalem zabrał się do pracy i wypytywał o tytuły w różnych agencjach literackich, chociaż Jonathan wcale jeszcze nie dał mu ostatecznego sygnału „naprzód”. Jeden z agentów zadzwonił już bezpośrednio do Jonathana i dopytywał się trochę zakłopotany, czy ze zleceniem jego dyrektora wszystko jest w porządku, Markus Bode poprosił go bowiem mejlem o parę „pięknych czytań z dziedziny love & landscape, happy tears, urban fantasy i cosy crime”, dlatego chciałby się

upewnić, że wszystko się zgadza...

– Och, to musi być jakaś pomyłka! – przerwał Jonathan w pierwszym odruchu pośrednikowi literackiemu, tak niemiłe były mu już same tylko określenia gatunków. „cosy crime”? Kryminał przytulanka? Co to niby ma być?

– To znaczy, że mam nie przysyłać maszynopisów? – chciał wiedzieć agent.

– Ehm, nie, tak, owszem – wycofywał się skonfundowany Jonathan.

– Więc mam coś przysłać?

– Tak, bardzo proszę.

– Czy u pana wszystko w porządku?

– Tak, w najlepszym! – Odchrząknął. – Właśnie próbujemy tylko... czegoś... czegoś... nowego. Coś w rodzaju eksperymentu literackiego.

– Aha. – Agent zrobił irytującą pauzę. – Dobrze, to w najbliższych dniach przyślę panu i panu Bodemu kilka propozycji.

„Propozycje” leżały jak dotąd nieruszone na biurku Jonathana, pięć grubych maszynopisów z tak wiele mówiącymi tytułami jak *W złotych płomieniach stepu* czy *Spisek primadonny*. Nawet gdyby te dzieła pochodziły spod ręki samego Hubertusa Krulla – z takimi tytułami po prostu to nie mogło być nic dobrego!

I jakby to nie było jeszcze dostatecznie fatalne, Markus Bode w przypływie euforii nabył dodatkowo wszystkie powieści w twardych okładkach i wydaniach kieszonkowych, które akurat tłoczyły się na liście bestsellerów Top-20. Każdy tytuł podwójnie, „żebyśmy obaj mogli sobie wyrobić zdanie”, jak dumie wyjaśniał Jonathanowi, gdy trzy tygodnie wcześniej przyniósł mu dwa wielkie pudła z książkami. Słaby protest Jonathana, że powinni poczekać na zakończenie roku gospodarczego, by mieć podstawy do oceny, jak się rozwinie sytuacja w wydawnictwie, zbył uwagą:

– Przecież nic nie zaszkodzi, jeśli to przeczytamy, w razie czego

będziemy na bieżąco poinformowani. – Następnie, uśmiechając się, wyjął z pudła jedną książkę i wcisnął ją Jonathanowi do ręki. – Tę tutaj chcę panu szczególnie polecić, to cudownie ciepła opowieść o mężczyźnie z porażeniem dwukończynowym, który zamierza się zabić, a pewna młoda i nieco niezdarna pielęgniarka chce go od tego odwieść.

– Hm, to brzmi w rzeczy samej cudownie ciepło. – Odpowiedź Jonathana była niezupełnie wolna od ironii. I trochę się zdziwił, co też wstąpiło w Markusa Bodego. Do tej pory byli przecież w kwestii „wartości literackiej” zawsze tego samego zdania; rozstanie z żoną chyba wstrząsnęło nim bardziej, niż to okazywał. Bowiem podczas gdy na zewnątrz sprawiał wrażenie dawnego siebie, to wypowiedzi w rodzaju: „cudownie ciepła” jednak dawały powód do niepokoju.

Jonathan przegnał myśli o życiu prywatnym swojego dyrektora zarządzającego i skupił się na zdaniach rozbrzmiewających w słuchawkach. Miał ambitny cel, by do końca miesiąca przerobić pierwszy moduł, zaplanowany właściwie na pół roku, by zaraz kontynuować lekcje dla zaawansowanych. Sam za dobrze nie wiedział, do czego miał mu się przydać jego język „matczyny”, gdyż nawet nie zamierzał jechać do Włoch, od rozwodu rodziców ten kraj był dla niego w pewien sposób... tak, nie potrafił tego określić inaczej, emocjonalnie skażony, ale to była właśnie pierwsza spontaniczna inspiracja, jaką poczuł, gdy kalendarz zalecił mu opanowanie jakiejś nowej umiejętności, i po prostu ją realizował.

Właśnie w chwili, gdy głos w jego uchu wezwał go do znalezienia samodzielnie właściwego przyimka, ćwiczenie zostało przerwane przez melodyjny dzwonek. Jonathan rzucił okiem na komórkę, była za kwadrans trzecia, a nastawiony alarm przypominał mu, że czeka go dziś jeszcze jedno spotkanie. O trzeciej chciał być w kawiarni Lütt Café przy Haynstrasse, by zjeść tam tyle ciastek, aż zrobi mu się niedobrze. Albo

przynajmniej jedno.

Wyłączył odtwarzacz, podniósł się z fotela, zszedł po schodach i chwycił kurtkę. Piechotę miał do kawiarni jakieś dziesięć minut, przyjdzie więc punktualnie o trzeciej. Przy czym właściwie nie musiał być punktualnie, w kalendarzu mowa była jedynie o „popołudniu”. Ale według Jonathana – a jak sądził, także według rozpowszechnionej opinii – popołudnie zaczynało się po prostu o godzinie trzeciej, postanowił więc, że o tej porze pozwoli sobie na małą przerwę na kawę w środku swojego kursu włoskiego. Wprawdzie od dawna przestał liczyć na to, że znajdzie właściciela kalendarza (jeśli miał być szczery, wcale już tego nie chciał), ale dokładne stosowanie się do instrukcji terminarza stało się swego rodzaju manią. A dlaczego by nie? Niczemu to nie szkodziło, a jemu sprawiało radość.

Z rozmachem otworzył drzwi domu. Nawet jeśli normalnie po południu nie pił kawy ani nie jadł ciastek, już choćby dlatego, by nie zaszkodzić swemu idealnemu indeksowi BMI, to teraz cieszył się na spacer w wiosennym słońcu zakończony kawałkiem tortu. Może w Lütt Café mieli nawet bezę agrestową? Jonathan uwielbiał ją od najwcześniejszego dzieciństwa, gdyż babcia Emilie miała dobrą rękę nie tylko do literatów, ale i do znakomitego tortu z agrestem z niebiańsko słodką pianą z białka.

Gdy Jonathan jak zawsze zamknął dom na dwa zamki i uruchomił alarm, odwrócił się z uśmiechem – i zdumiał się niepomiarnie.

– Cześć, Jonathanie!

– Ciebie to już zupełnie się nie spodziewałem!

Hannah

16 marca, piątek, godzina 14.17

– „Dzisiaj może padać deszcz, śnieg albo grad, bo ty sama świecisz dziś jak tysiąc wat, dziś masz urodziny, więc je świętujemy, wszyscy przyjaciele z tobą cieszą się!”. No, a teraz wyskakuj z piernatów, i to już!

– Co się dzieje? – Nieprzytomna i wyczerpana Hannah wygrzebywała się spod kołdry i łzawiącymi oczami mrugała w świetle dnia. – I co to w ogóle za hałas?

– Wyskakuj! – powtórzyła Lisa, która stała tuż przy jej łóżku i uśmiechała się do niej szelmowsko.

– Lisa, zniknij, proszę! – zamruczała Hannah, złapała kołdrę i naciągnęła ją sobie z powrotem na głowę.

– Przykro mi – zabrzmiał nieczuły głos przyjaciółki. – Ale nie zrobię tego pod żadnym pozorem!

– Odejź! – burczała Hannah w prześcieradło, wierzgając gniewnie nogami. – I najlepiej zostaw od razu swój klucz!

– O nie! – wykrzyknęła Lisa. Sekundę później nastąpiło brutalne szarpnięcie i Hannah leżała bez swego ochronnego kokonu.

– Zostaw! – fuknęła na przyjaciółkę i usiadła na łóżku. Błąd, bo natychmiast w jej głowie zaczęło szaleć staccato bólu, ruch był o wiele za szybki.

– Kac? – zapytała Lisa, wskazując pustą butelkę po czerwonym

winie w nogach łóżka.

– I to jaki – westchnęła Hannah i podrapała się po głowie.

– Tak to jest, kiedy się samemu zaczyna świętować urodziny. Do tego jeszcze trzydzieste! – Pochyliła się i przybrała sztucznie konspiracyjną minę. – Coś takiego przynosi nieszczęście. I ból głowy.

– O świętowaniu nie może być mowy – odparła Hannah z jękiem i przyłożyła rękę do czoła. – Wczoraj w nocy sama się ubzdryngoliłam do nieprzytomności.

– W każdym razie taki miałaś głos.

Hannah popatrzyła na nią przerażona.

– Czyżbyśmy rozmawiały przez telefon?

Lisa kiwnęła głową.

– Owszem. Nawet trzy razy.

– Poważnie?

– Tak, poważnie.

– W ogóle tego nie pamiętam – przyznała Hannah i poczuła, jak na twarz wypływa jej rumieniec wstydu.

– Nic nie szkodzi – stwierdziła Lisa. – I tak gadałaś to samo co od tygodni. No tak, szczerze mówiąc, więcej bełkotałaś.

– A co dokładnie?

– Że nie wiesz, jak masz dalej żyć bez Simona, że wszystko jest bez sensu i jeszcze że on jest egoistycznym dupkiem, że się zabił, nie zapytawszy uprzednio ciebie o zgodę. Coś w tym rodzaju.

– Cholera! – Z głośnym westchnieniem Hannah opadła z powrotem na łóżko. – Miałam nadzieję, że to wszystko tylko mi się śniło i że dopiero teraz się obudziłam.

Lisa usiadła przy niej na łóżku i wzięła ją za rękę.

– Przykro mi, słonko, to ciągle jeszcze prawda.

– Cholera – powtórzyła Hannah, a z oczu popłynęły jej łzy. Czowała się tak każdego ranka od śmierci Simona. Budziła się, z początku była trochę odurzona i dezorientowana snami w nocy, a potem, gdy powoli odzyskiwała jasność umysłu,

z miejsca rosło w niej to okropne uczucie rozpacz i beznadziei, ścisnęło jej pierś jak żelazna obręcz, tak że ledwie mogła oddychać, i już nie ustępowało, dopóki późno w nocy całkiem wyczerpana nie padała do łóżka.

Od dwóch miesięcy każdy dzień przebiegał dokładnie w ten sam sposób – i nic się nie poprawiało. Jeśli czas naprawdę leczy rany, to w przypadku Hannah zdawał się czynić to w takim tempie, że mocno wątpiła, czy jeszcze za życia dozna choćby odrobiny ukojenia. Było bowiem odwrotnie. Im więcej czasu mijało od śmierci Simona, tym głębiej zdawała się wpadać w tę czarną otchłań smutku i gniewu, tym gorsze stawały się prześladowujące ją koszmary i lęki.

Postanowienie, by jak najszybciej podjąć znów pracę w Bandzie Urwisów i w ten sposób przegnać ponure myśli i powrócić do codzienności, musiała złamać już dziesięć minut po rozpoczęciu zajęć, gdyż niespodziewanie dopadł ją tak ostry atak paniki, że ziemia usunęła jej się wręcz spod stóp.

Stała pośród hałasujących dzieci i nie mogła wykonać żadnego ruchu ani niczego powiedzieć. Była jak sparaliżowana, niezdolna do jednej trzeźwej myśli, poza tymi strasznymi zdaniami, które wirowały w jej głowie jak niekończąca się pętla: „Wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Także te dzieci kiedyś umrą, te małe, słodkie i niewinne dzieci nie będą kiedyś żyły. A także ich dzieci i dzieci tych dzieci, i... To wszystko jest bez sensu, bez sensu, bez sensu! Żyjemy tylko po to, żeby zbliżać się do śmierci, każdy dzień przybliża nas do śmierci”.

Matka zawiozła w końcu płaczącą i trzęsącą się Hannah do domu, zapakowała córkę do łóżka i wezwała lekarza, który zdiagnozował zespół stresu pourazowego i zaordynował całkowity spokój. Hannah przestrzegała tego zalecenia, nawet więcej, kompletnie się odizolowała. Wychodziła z mieszkania tylko wtedy, gdy nie dało się już tego w żaden sposób uniknąć, co dzięki usłudze dowożenia pizzy oraz supermarketowi na rogu,

który także dostarczał Hannah do domu najniezbędniejsze rzeczy, już dawno się nie zdarzało. Ukryła się, chciała być sama ze swym bólem i cierpieniem.

Wczorajszy wieczór był szczególnie straszny, gdyż zamiast razem z Simonem świętować swoje okrągłe urodziny, siedziała, płacząc, na łóżku, skakała chaotycznie po kanałach telewizora w sypialni i sama wypila butelkę wina.

Dopiero teraz, gdy siedziała koło niej Lisa, Hannah zdołała sobie niejasno przypomnieć rozmowy telefoniczne z przyjaciółką, podczas których Lisa na wszelkie sposoby próbowała ją przekonać, że do niej wpadnie. Hannah bez ogródek odmówiła, powiedziała, że także w swoje urodziny nie chce nikogo widzieć, ale, jak musiała teraz stwierdzić, Lisa po prostu zignorowała jej zakaz.

– Uważam, że najwyższa pora, żebyś wstała, wzięła prysznic i wyszła ze mną – zarządziła Lisa, przy czym jej głos brzmiał zarazem łagodnie i stanowczo. – Twoi rodzice też tak zresztą uważają, jeśli cię to interesuje. Sybille odbywa właśnie ekstra dyżur w Bandzie Urwisów, mam więc dla ciebie mnóstwo czasu!

– Ale ja nie chcę wychodzić!

– Oczywiście, że chcesz! Słońce świeci, jest cudowny dzień.

– Dzień w ogóle nie może być cudowny – odparła Hannah krnąbrnie i popatrzyła na Lisę buntowniczo. – Poza tym lekarz powiedział, że potrzebuję absolutnego spokoju.

– Możliwe – powiedziała przyjaciółka. – Ale nie wierzę, że miał przy tym na myśli to, że upijasz się w domu i... – Nachyliła się, sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła spod niego dwa pudełka po pizzy. – ...I odżywasz się byle czym. – Lisa otworzyła jedno z pudełek i na widok zaschniętych resztek pizzy skrzywiła się zde gustowana.

– Wcale tego nie robię! – Hannah złapała pudełko i wyrwała je Lisie. Gdy w nozdrza uderzył ją zapach starej kiełbasy, sama musiała zdusić w sobie zgrozę. Nie zastanawiając się, rzuciła

karton na podłogę obok pustej butelki po winie.

– No więc, skarbie – mówiła teraz Lisa przymilnym tonem – wstań i weź prysznic. Nie pachniesz o wiele lepiej niż ta stara pizza. Ja tu czekam, aż będziesz gotowa, a potem wychodzimy.

– Ale ja naprawdę nie chcę.

– Jest mi to obojętne.

– Raczej nie uda ci się mnie zmusić.

– A i owszem – odparła Lisa. – Uda mi się, i to jak.

– A jak niby chcesz to zrobić?

– Całkiem po prostu – wyjaśniła przyjaciółka. – Będę tu siedziała tak długo, aż ze mną wyjdiesz.

– No to powodzenia! – zawołała Hannah i chciała się znów przykryć. Lisa była jednak szybsza, wyrwała jej kołdrę z rąk i rzuciła ją na podłogę.

– I będę śpiewać. – Odchrząknęła i zaczęła: – „Dzisiaj może padać deszcz, śnieg albo grad...”.

– Lisa, proszę! – zajęczała Hannah.

Przyjaciółka nie dała się zbić z tropu i wyśpiewywała dalej:

– „Bo ty sama świecisz dziś jak tysiąc wat!”.

– Przestań! – rozkazała Hannah i zatkała sobie rękami uszy.

– „Dziś twe urodziny, więc je świętujemy...”.

– Lisa, proszę! Przestań mnie dręczyć!

Lisa natychmiast zamilkła, na jej twarzy pojawił się wyraz poczucia winy.

– Przepraszam, nie chciałam.

– Już dobrze – odpowiedziała Hannah. I ku swemu własnemu zdziwieniu zauważyła, że musiała stłumić chichot. Ale tak łatwo nie zamierzała się poddać. – Wiesz – wyjaśniła – to nie jest tak, że ja chcę się pogrążyć w apatii. Po prostu jeszcze wciąż jestem w żałobie.

– Rozumiem. Ale dwa miesiące żałoby dwadzieścia cztery godziny na dobę moim zdaniem wystarczą.

– Nie bez powodu żałobę nosi się przez rok.

– To prawda – przyznała jej rację Lisa. – Jednak tylko nieliczni na cały rok się zamykają.

– Każdy jak mu się podoba.

– Nieprawda! Chodzi mianowicie nie tylko o ciebie.

– Ach tak?

– Tak – potwierdziła Lisa. – Już czas, byś pomyślała też o innych. Na przykład o twoich rodzicach, oni bowiem potwornie się martwią. Ja zresztą też.

– Widzisz przecież teraz, że czuję się dobrze. – Hannah podjęła jeszcze ostatnią żalostną próbę nakłonienia przyjaciółki, by sobie poszła.

– Dobrze? – Lisa się roześmiała. – Powiedziałaś właśnie: „dobrze”? – Rozłożonymi szeroko rękami ogarnęła pokój. – Siedzisz w tej swojej zapuszczonej norze, w której śmierdzi jak w klatce pumy, i wyglądasz jak po półrocznej odsiadce w pojedynczej ciemnej celi. – Prawie z rozbawieniem potrząsnęła głową. – Przykro mi, ale „dobrze” wygląda kompletnie inaczej.

– W każdym razie jeszcze żyję – odparowała Hannah sarkastycznie.

– Nazwałabym to raczej wegetowaniem. I jakkolwiek jest mi przykro...

– Powtarzasz się.

– Co?

– No, że ci przykro, powiedziałaś to już piąty raz.

Lisa uśmiechnęła się do niej.

– No więc! W tym cuchnącym czymś, co siedzi akurat przede mną, tkwi jednak jeszcze odrobina Hannah! Wprawdzie dość skutecznie ukryta pod grubą skorupą brudu, ale gdzieś tam w środku jest ona.

– Cha, cha!

– Właśnie. – Lisa wstała. – No już, zbieraj te swoje skacowane gnaty z łóżka. – Uniosła palec wskazujący, grożąc nim Hannah. – Inaczej z powrotem zacznę śpiewać.

- Ale rok żałoby...
- Jak chcesz, możesz sobie włożyć coś czarnego. – Lisa zdusiła w zarodku następną próbę oporu.
- Dobrze. – Hannah westchnęła. – Już widzę, że nie mam żadnej szansy, żeby z tobą wygrać.
- Tak właśnie jest – potwierdziła przyjaciółka.
- A dokąd zamierzasz mnie zaciągnąć? – spytała Hannah, przymierzając się do wstania.
- Powinnaś to wiedzieć.
- Nie mam najmniejszego pojęcia.
- Przecież sama coś na dziś zaplanowałaś – przypomniała jej Lisa. – Idziemy do Lütt Café i jemy ciastka.
- Hannah znieruchomiała.
- Nie uważam tego za dobry pomysł.
- Dlaczego nie?
- Bo... bo... – Do oczu ponownie napłynęły jej łzy. – Bo zaplanowałam to dla Simona i dla siebie, to przecież nasza ulubiona kawiarnia. I ponieważ...
- Właśnie. – Lisa nie pozwoliła jej dokończyć. – Już pora, by stawić czoło demonom. Dlatego jest ze wszech miar słuszne, byśmy poszły razem do tej kawiarni!
- Naprawdę tak sądzisz? – Hannah sama słyszała, że jej głos brzmi płacząco jak u małej dziewczynki.
- Absolutnie!
- Ale mogłybyśmy też pójść gdzieś indziej.
- Mogłybyśmy – zgodziła się Lisa. – Ale tego nie zrobimy.

Jonathan

16 marca, piątek, godzina 14.51

– Aleś się zdziwił, co? – Leopold uśmiechał się od ucha do ucha i jawnie napawał tym, że swą wizytą tak dalece wytrącił Jonathana z równowagi. – Ale mimo to możesz z powrotem zamknąć usta, inaczej wygląda to trochę głupkowato.

– Co... co ty tu robisz?

– Chcę uregulować moje długi.

– Długi? Jakie długi?

Leopold wskazał stojący u jego stóp karton, w którym znajdowały się przeróżne butelki.

– Trzy flaszki czerwonego wina, jeden riesling, whiskey, gin i grappa – wyjaśnił. A potem zrobił przeproszającą minę. – Nie wiem tylko, czy to właściwe marki. W dziale monopolowym poprosiłem o najlepsze, jakie mają. – Wzruszył ramionami. – Co dokładnie zwinąłem wtedy u ciebie, tego niestety nie mogłem sobie przypomnieć.

– Chyba zwariowałeś! – wykrzyknął Jonathan.

Leopold opuścił natychmiast wzrok.

– Przepraszam – wymamrotał. – Wiem, że nieźle narozrabiałem.

– Bzdura! – Teraz Jonathan się roześmiał. – Strasznie się cieszę, że cię widzę! Ale nie musiałeś się tu zjawiać z całym arsenałem butelek, to naprawdę nie było konieczne!

– Było. – Leo znów spojrzał na niego. Z niepewnym uśmiechem na ustach. – Było – powtórzył. – To jest konieczne. Właściwie jest jeszcze o wiele więcej niż to, ale pomyślałem, że na początek spróbuję z butelkami.

Przez chwilę patrzyli na siebie z uśmiechem i pewnym wahaniem, a potem Jonathan zrobił zdecydowany krok w kierunku Leopolda, objął go i poklepał po ramionach. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie zrobił, nigdy nie objął drugiego mężczyzny, ale po prostu poczuł taką potrzebę.

– Opowiadaj! – rozkazał Jonathan swemu marnotrawnemu przyjacielowi, gdy już się od niego odsunął. – Co się z tobą działo? Dobrze wyglądasz! – I była to prawda, faktycznie Leopold miał na sobie czyste dżinsy, bluzę i kurtkę, jego broda była porządnie przystrzyżona, włosy zaplecione w sztywny warkocz, roztaczał też wokół siebie woń mydła i Old Spice’a.

– Ale przecież nie na ulicy – powiedział Leo.

– Przepraszam – rzekł pospiesznie Jonathan. – Gdzie się podziały moje maniery? Nie chcesz wejść?

– A nie przeszkadzam? Chciałeś akurat wyjść, prawda?

– Nic ważnego – wyjaśnił Jonathan, ale od razu się poprawił. – To znaczy tak, miałem wyjść do kawiarni. I byłoby bardzo miło, gdybyś mógł mi towarzyszyć i opowiedzieć spokojnie, co się wydarzyło po twoim sekretnym zniknięciu.

– Z chęcią! – Leopold roześmiał się wesoło. – I chyba mi nie uwierzysz, co przeżyłem od tamtego czasu!

Hannah

16 marca, piątek, godzina 15.23

– Naprawdę nie jest mi łatwo wejść tu teraz. – Stały przed drzwiami Lütt Café. Hannah patrzyła sceptycznym wzrokiem na pograżonych w pogawędkach ludzi, którzy siedzieli za wielką witryną i delektowali się kawą i ciastkami.

– To jak zrywanie plastra – odezwała się Lisa. – Im szybciej się to zrobi, tym mniej boli. Więc po prostu: otwieramy drzwi i wchodzimy!

– Sama nie wiem... – Hannah wskazała grupkę roześmianych kobiet. – Kiedy się tak przyglądam ludziom, czuję się jak jakaś pozaziemska istota. Jakbym przybywała z innej planety.

– No to po prostu nie patrz na nich – poradziła jej lapidarnie Lisa i wzruszyła ramionami.

– Nie o to chodzi – odparła Hannah. – Oni wszyscy będą patrzeć na mnie! Wyrażając się dokładniej, będą się na mnie gapić!

– Aż tak intrygująca to znowu nie jesteś!

– Mam tylko uczucie, że na kilometr widać po mnie wdowę w żałobie.

– Kompletna bzdura. Wyglądasz fantastycznie! – Z tymi słowami Lisa chwyciła za kłamkę i lekko pchnęła Hannah, tak że przyjaciółka – aczkolwiek nadal niechętnie – weszła do kawiarni.

Ale już na wycieraczce stanęła jak wryta.

– Co jest? – spytała Lisa, która na nią wpadła.

– Wiedziałam – syknęła Hannah przez ramię i wskazała podbródkiem na prawo. – Spójrz, ten facet tam. Gapi się na mnie! Lisa poszła za jej wzrokiem.

– Kto?

– Tam – szepnęła Hannah i kiwnęła ponownie głową w kierunku rogu po prawej stronie, gdzie dwóch mężczyzn siedziało przy okrągłym stoliku. Jeden z nich, najwyraźniej starszy pan, gdyż miał długie, siwe włosy, splecione w warkoczyk, siedział odwrócony do nich plecami. Ale drugi mężczyzna, koło czterdziestki, ciemnowłosy, szczupły, przystojny, patrzył na Hannah, nie ukrywając tego specjalnie.

– Bzdura – powiedziała Lisa. – Nie gapi się na ciebie.

– Naprawdę się gapi! – upierała się Hannah. – Sprawia niemal wrażenie, jakby miał jakąś wizję.

– Przypuszczalnie jest krótkowidzem – skomentowała przyjaciółka i znów dała jej lekkiego kuksańca.

Hannah odwróciła się do niej i popatrzyła błagalnie.

– Lisa, proszę! Wyjdźmy stąd, czuję się po prostu okropnie.

– Ale...

– Proszę! – powtórzyła Hannah. – Nie chodzi tylko o tego typu. Tu jest zbyt dużo wspomnień, tak często przychodziłam tu z Simonem.

Przyjaciółka westchnęła.

– Jeśli będziesz unikała wszystkich miejsc, które są emocjonalnie skażone, bo zdarzyło ci się być tam kiedyś z Simonem, to musisz przypuszczalnie zmienić miasto.

– Wiem – odpowiedziała Hannah nieszczęśliwym tonem. – Dam sobie z tym radę, obiecuję. Tylko nie dzisiaj! Pospacerujmy sobie po prostu trochę po ulicy, zgoda? To przecież wystarczy na początek.

– W porządku – zgodziła się Lisa. – Nie chcę cię dręczyć.

– Dziękuję! – Hannah pchnęła drzwi kawiarni i wymknęła się pospiesznie na zewnątrz. Wciąż jeszcze czuła spojrzenie obcego

mężczyzny na plecach, ale się nie odwróciła. Nie miała pojęcia, dlaczego facet tak natarczywie się w nią wpatrywał, wiedziała tylko, że przeszły ją ciarki. Nawet z odległości tych kilku metrów między drzwiami i stolikiem uwagę zwracał kolor jego oczu. Był to tak jasny i przenikliwy błękit, że Hannah poczuła się jakoś dziwnie; jakby jednym spojrzeniem przeniknął w głąb jej duszy. Wzdrygnęła się, jak gdyby musiała się wybudzić z czegoś w rodzaju hipnozy, i gdy tylko znalazła się na chodniku, odetchnęła głęboko.

– W porządku? – spytała Lisa.

– Tak – odpowiedziała Hannah. – Wszystko w porządku.

– Super. A gdzie mamy teraz pójść?

Hannah zastanawiała się przez chwilę.

– Mogłybyśmy złożyć wizytę w Bandzie Urwisów – zaproponowała. – Może nasze mamy potrzebują wsparcia.

Lisa patrzyła na nią zaskoczona.

– Jesteś pewna?

Hannah zastanawiała się przez chwilę. Potem kiwnęła głową.

– Tak. Jestem pewna. Mam akurat wielką ochotę zobaczyć paru małych rozrabiaków.

Lisa uśmiechnęła się do niej radośnie.

– To zabrzmiało już bardzo dobrze!

Jonathan

16 marca, piątek, godzina 15.11

– To nie może być prawda! Wciskasz mi tonę kitu, co?

– Wcale nie! Było dokładnie tak, jak ci opowiadam. – Leopold oparł się na krzesło i mieszał kawę z nieukrywanym zadowoleniem, że Jonathan jest tak oszołomiony jego opowieścią.

– Tak, ale kto robi takie rzeczy? – dopytywał się Jonathan, bo wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co akurat usłyszał. – Kto, na litość boską, zostawia swój samochód w samym środku podejrzanej dzielnicy z kluczykami w stacyjce i kładzie dokumenty na siedzeniu?

– Tego nie umiem ci powiedzieć – odparł Leopold. – Ale jest mi to i tak obojętne, po prostu przyjąłem ten dar losu, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego tak się stało. – Nadział na widelczyk kawałek truskawkowego ciasta z kruszonką i podniósł do ust.

– A co to w ogóle było za auto?

– Stary ford mustang – odpowiedział Leo, żując. – Oldtimer, ale jeszcze całkiem nieźle grzeje.

– Mustang?

– Tak.

– Może czerwony?

Leopold zaskoczony skinął głową.

– Tak, naprawdę piękna, soczysta, ciemna czerwień. Skąd wiesz?

– No więc... – Jonathan usiłował uporządkować myśli. – To naprawdę dziwne – zaczął od początku – ale parę tygodni temu widziałem kobietę, która jechała na Reeperbahn czerwonym fordem mustangiem.

– Taa – rzekł Leopold lakonicznie. – Może to była ta szlachetna fundatorka. Kto wie.

– A co było w dokumentach? Musiał być w nich przecież wpisany użytkownik wozu.

– Już nie pamiętam dokładnie – wyjaśnił Leo.

– Jak to nie pamiętasz?

– Człowieku, nie zapisałem sobie tego. W każdym razie to był jakiś mężczyzna. Coś jakby Blank czy jakoś podobnie.

– Blank?

– Tak, coś w tym rodzaju. Stefan Blank, zdaje mi się.

– Hm.

– Ale to przecież wszystko jedno.

– A nie próbowałeś odszukać właściciela samochodu?

Leopold popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– A dlaczego miałbym to robić?

– No bo uważam, że to byłoby właściwe. Nie można przecież tak po prostu zatrzymać sobie czyjegoś samochodu! – Nagle pomyślał o kalendarzu, który jak zawsze nosił ze sobą w aktówce jak dobrze strzeżony skarb. To jednak było coś zupełnie innego, terminarz to nie było w końcu drogie auto. Poza tym na początku Jonathan próbował przecież wszystkiego, by odszukać jego właściciela.

– Wcale go nie zatrzymałem! – odparł Leopold. Teraz nie sprawiał już wrażenia tak swobodnego jak na początku pogawędki przy kawie; między jego oczami utworzyła się bruzda.

– Nie można też tak po prostu sprzedać czyjegoś auta.

– Jeśli, by tak rzec, podany zostaje jak na tacy, to owszem.

– Ale...

– Posłuchaj, przyjacielu – przerwał mu szorstko Leo. – Mogę zrozumieć, że ktoś taki jak ty uważa to za niewłaściwe. Gdybyś jednak był w mojej sytuacji, to też byś się chwycił brzytwy, którą ci podają. Może nie?

Jonathan zawstydzony spuścił wzrok i zamruczał:

– No tak.

– No właśnie. A ja nie zrobiłem niczego innego. Jeśli ktoś zostawia swój samochód na Reeperbahn, wraz z kluczykami i papierami wozu w widocznym miejscu, to moim zdaniem jest to zaproszenie dla tego, kto znajdzie samochód, by go sobie wziął i zrobił z nim, co chce. Nie sądzisz?

– No tak – powiedział Jonathan i znów na niego spojrzał.

– A nie mówiłem?

– Czy dowiadywałeś się na policji, że to jest w porządku?

Teraz to już Leopold się roześmiał, bijąc się obiema rękami po udach.

– Policja? Zwariowałeś? – Ponownie parsknął śmiechem. – Jak myślisz, co oni by zrobili z takim lumpem jak ja? Z miejsca oskarżyliby mnie przecież, że ukradłem ten samochód, i by mnie zapuszkowali. – Potrząsnął głową na poły z rozbawionym, na poły z pobłażliwym uśmiechem. – Nie, jasne, że nie poszedłem do glin. Capnąłem wózek i zatroszczyłem się o to, żeby się go jak najszybciej pozbyć.

– Aha – odpowiedział Jonathan. – A gdzie, jeśli wolno spytać, można się pozbyć takiego auta?

– Na pewno nie u licencjonowanego przedstawiciela Forda – oświecił go Leopold. Pojechałem z nim do Rothenburgsort, na Billhorner Brückenstrasse. To olbrzymi teren, handlarz koło handlarza.

– W ogóle nie znam tych okolic.

– Nie dziwię się. Tam siedzą raczej cwane chłopaki. No wiesz,

import-eksport, te szroty, które bardziej przypominają cmentarzyska samochodów, tyle że z kolorowymi proporczykami na górze ogrodzenia z siatki.

– Ogrodzenia z siatki?

– Pozwól, że tak to określe: ktoś taki jak ty nie kupowałby tam samochodu.

– A dlaczego odprowadziłeś samochód akurat tam?

Leopold przewrócił oczami z udawanym zniecierpliwieniem.

– No bo tam mogłem go najłatwiej opylić. Żadnych pytań, a forszę z transakcji dostajesz do łapy.

– Ile dostałeś za ten samochód?

Leopold znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pięć tysięcy euro. A dwóm taksówkarzom, którzy zawieźli mnie tam z samochodem i z powrotem do miasta, też jeszcze za mnie zapłacili.

– Dwóm taksówkarzom?

– No tak, w ostatnich tygodniach naprawdę nie nadawałem się do prowadzenia samochodu – wyjaśnił Leopold. – Poza tym w ogóle nie mam prawa jazdy.

– Nie?

– Już nie – przyznał Leopold. – Musiałbym robić je od nowa, ale na to brakowało mi do tej pory pieniędzy. – Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. – Teraz znowu jestem bogatym człowiekiem.

– Rozumiem.

– No dobra – skwitował Leopold. – Nie zrobiło to na tobie zbyt wielkiego wrażenia. Ale mnie tyle wystarczy. – Zjadł kolejny kawałek ciasta.

– Nie, nie – zapewnił go pospiesznie Jonathan. – Jestem tylko jeszcze totalnie... No więc, ta historia jest wprost nieprawdopodobna.

– Zgadza się, ja z początku też nie mogłem w to uwierzyć. Ale tak było. I nieważne, co ty o tym sądzisz: mnie ten niespodziewany prezent naprawdę uratował tyłek.

- A co zrobiłeś z pieniędzmi?
- Ulokowałem w akcjach.
- Naprawdę? W jakich?

Tym razem Leopold roześmiał się tak głośno i grzmiąco, że kilka osób w kawiarni odwróciło się w ich kierunku, posyłając im spojrzenia pełne dezaprobaty. Ludzie w eleganckim Eppendorfie nie byli przyzwyczajeni do takiego zachowania.

– Jasne, że nie kupiłem żadnych akcji! – kontynuował Leo, zniżając głos. – Najpierw wróciłem na St. Pauli. W ogóle nie wiedziałem, gdzie mam się podziąć. Tam obgadałem sprawę z dwoma kumplami, ci uważali, że za tę forszę możemy chlać, ile tylko chcemy. – Twarz mu znowu spoważniała. – Ale potem przeżyłem, Bogu niech będą dzięki, chwilę olśnienia. Powiedziałem sobie, że los daje mi drugą szansę, której nie wolno mi schrzanić. – Przerwał na chwilę, by zjeść kawałek ciasta. Jonathan nabrał niejakich podejrzeń, że w ten sposób Leo chciał tylko spotęgować napięcie.

– No i? – spytał, by nie pozbawiać go tej przyjemności.

– Zaszylem się na pięć dni w tanim pensjonacie i tam przede wszystkim wytrzeźwiałem – ciągnął. – To nie było fajne, taki zimny odwyk na własną rękę, ale nie chciałem jeszcze raz iść do kliniki. Ostatnim razem zwiąłem stamtąd, odgrażając się: „Nieprędko mnie tu znów zobaczycie!”, więc nie zamierzałem znów płaszczyć się tam przed nimi.

– I udało się?

– A popatrz na mnie! – Leopold dotknął kołnierzyka swojej czystej koszuli. – Już dawno nie czułem się tak dobrze.

– Cieszę się, naprawdę! A teraz robisz prawo jazdy?

– Nie. – Leopold machnął przecząco ręką. – To nie jest takie ważne. Poszukałem sobie małego, jednopokojowego mieszkanca w Barmbeck, a ponieważ mogłem wyłożyć na stół czynsz za trzy miesiące z góry, więc je dostałem. – Westchnął. – W ten sposób przerwałem to błędne koło bezdomności, bo kiedy znów mam

stały adres, to z powrotem działa państwowe wsparcie. Dostają nawet dodatek mieszkaniowy. A ze sprzedaży mustanga też jeszcze coś zostało.

– Społeczny pasożyt! – skomentował żartobliwie Jonathan.

– Burżuj! – odciął się Leopold. – W każdym razie teraz muszę jeszcze tylko znaleźć jakąś robotę, a wtedy, mam nadzieję, wyjdę z kryzysu.

– Zacząłeś już szukać?

– Tak. Ale to nie takie proste, nawet dla kucharza. – Uśmiechnął się krzywo. – Niestety, na pięćdziesięcioczworoletka nikt nie czeka, a w moim życiorysie jest przecież parę nieładnych dziur. Nie uwierzysz, ale epizod z zarządem akurat mi nie pomaga: nikt mi po prostu nie wierzy, że naprawdę mam chęć zwyczajnie stać przy kuchni.

– Byłeś już w urzędzie pracy?

– Dzisiaj to się nazywa modnie Jobcenter – oświecił go Leopold. – Jasne, byłem. Już choćby z powodu zasiłku. Ale jak do tej pory nic dla mnie nie mają. – Zachichotał. – To znaczy, owszem, coś mi nawet zaproponowali.

– I to było nic?

– Chodziło o knajpę, gdzie transmitują mecze futbolowe, szukali tam kogoś do stania za barem. Stać przy nalewaku to chyba nie dla mnie.

– Chyba nie – zgodził się Jonathan i sam musiał się też roześmiać. – Chciałbym ci pomóc – dodał po chwili. – Ale w wydawnictwie nie mamy nawet kantyny. I robimy niestety w księżkach, a nie w branży spożywczej.

– Sprzedawanie wszędzie funkcjonuje tak samo – zaproponował Leopold.

– Znaczący, yy... – zaczął się jękać Jonathan, nie wiedział bowiem, co miał na to powiedzieć. Czy Leopold mówił serio?

– Nie martw się, nie będę się starał o posadę u ciebie. Jeśli o mnie chodzi, to zrozumiałem, że ściganie się to nie dla mnie,

poszukam sobie raczej czegoś przyjemniejszego. Aż tak bardzo mi się nie spieszy, z zasiłkiem i dodatkiem na mieszkanie radzę sobie całkiem dobrze.

– Mimo to dam ci znać, gdybym o czymś usłyszał.

– Okej – rzekł Leopold, aczkolwiek takim tonem, w którym pobrzmiwało trochę: „A gdzie niby ty miałbyś o czymś usłyszeć?”. Zmienił temat. – Ja już się dość nagadałem. Teraz ty opowiedz, co się wydarzyło u ciebie.

– Całe mnóstwo – powiedział Jonathan nie bez uczucia dumy. – Wziąłem sobie do serca twoją radę i układam swoje życie najczęściej według kalendarza.

– I jak to wygląda?

– Super! – Zaczął wyliczać na palcach: – Rzuciłem bieganie i teraz gram w tenisa, codziennie medytuję, a rano i wieczorem zapisuję, za co jestem wdzięczny. W ostatnich dwóch miesiącach byłem tyle razy nad morzem, ile przez pięć ostatnich lat, znów sprawia mi przyjemność śpiewanie – nawet jeśli tylko w samochodzie i pod prysznicem – a od niedawna uczę się włoskiego.

– Wow! – skomentował Leopold z uznaniem. – To brzmi jak program na maksa.

– Daję radę. Większość rzeczy robię tak przy okazji.

– A jak się miewa wydawnictwo?

– Całkiem dobrze – odpowiedział Jonathan wymijająco.

– To znaczy z powrotem wszystko w porządku?

– Jeszcze niezupełnie. – Jonathan włożył do ust duży kawałek ciasta.

– To znaczy, że na razie niczego nie zmieniłeś – wywnioskował Leopold.

– Pracuję nad tym.

– Hm.

– Co „hm”?

Leopold machnął bagatelizująco ręką.

– Zostawmy ten temat, zanim znów narozrabiam. Zamiast tego weźmy sobie jeszcze po kawałku ciasta.

– Dobry pomysł! – Jonathan już się chciał podnieść, gdy jego wzrok padł na drzwi, przez które właśnie wchodziły do kawiarni dwie kobiety. Jedna z nich była wysoka i szczupła i miała rude włosy w lokach, druga, o głowę niższa, miała bardzo kobiece kształty i kontrastującą z nimi rozwichrzoną krótką fryzurę.

Jonathan Grief poczuł się, jak gdyby dostał obuchem w głowę.

Albo jakby w jego wnętrznościach rozpały się fajerwerki, które po sekundzie zgasły.

Jak gdyby jeszcze raz miał cztery lata i znalazł pod choinką wymarzoną kolejkę Carrera.

Jak gdyby matka wzięła go na ręce i szeptała mu cicho do ucha: „Nicolino”.

Jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało: on, Jonathan Grief, poczuł, że jest zakochany. I nie wiedział w kim.

Ledwie bowiem ta niewiarygodnie piękna kobieta o rudych włosach weszła do kawiarni, już jej znowu nie było, wybiegła na ulicę i zniknęła mu z oczu. Jonathan uniósł się odruchowo kilka centymetrów z krzesła, by odsunąć stolik i pobiec za nią – ale wtedy głos Leopolda przywołał go z powrotem do rzeczywistości.

– Halo? Co się dzieje?

– Słucham?

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Yy – wyjąkał – nie, yy, nic, nic. – Wciąż jeszcze wpatrywał się w drzwi.

Teraz i Leopold się odwrócił.

– Kto tam jest?

– Nikt – wyjaśnił Jonathan pospiesznie. – Wydało mi się tylko, że kogoś znam.

– I dlatego zrobiłeś się biały jak ściana?

– Naprawdę?

– Biały jak ściana.

– Yhm. – Przez krótką chwilę Jonathan jeszcze się wahał. A potem naprawdę się zerwał, przecisnął koło stolika, tak że o mały włos go nie przewrócił, i wybiegł na ulicę. Było mu wszystko jedno, czy to wypada, czy nie – jeśli w minionych tygodniach czegoś się nauczył, to tego, że najważniejsze jest, by mówić życiu „tak”. I dlatego musiał się koniecznie dowiedzieć, kim jest kobieta, która przed chwilą zjawiała się w kawiarni. Nieważne, czy się przy tym zbłąźni, czy nie.

Pod zdziwionymi spojrzeniami pozostałych gości dotarł do drzwi, szarpnął je i jednym skokiem znalazł się na chodniku. Spojrzał w lewo – nic. W prawo – nic. Z sercem walącym jak młotem pobiegł do najbliższego rogu, ale i tu nie było ani śladu kobiety z rudymi lokami. Spróbował na drugim końcu ulicy, również bez skutku.

Powoli zawrócił do drzwi kawiarni i postać jeszcze kilka minut na zewnątrz z rozpaczliwą nadzieją, że kobieta może znów się pokaże.

Nie wróciła.

Zamiast tego po chwili otworzyły się za nim drzwi i dobiegł go głos Leopolda.

– Wchodzisz jeszcze? – pytał tamten. – Czy też nie chcesz płacić rachunku? Nie musisz, ja stawiam.

Wbrew sobie i chociaż w ogóle nie było mu do śmiechu, Jonathan musiał się roześmiać.

– Powiesz mi, o co chodzi? – spytał Leopold, gdy znów siedzieli przy stoliku, a Jonathan wciąż jeszcze mruczał coś do siebie. – Też bym się chciał pośmiać.

– To jest absurdalne – wydusił z siebie Jonathan, prychając.

– Co masz na myśli?

– Zakochałem się.

– Zakochałeś się?

– Tak. – Kiwnął głową. – Tak właśnie jest, dopadło mnie na amen.

– Chyba nie całkiem cię zrozumiałem. Zakochałeś się? Właśnie teraz czy jak?

– Tak – powtórzył Jonathan. – Przed chwilą weszła tu kobieta. Tylko na nią spojrzałem i trafiło mnie.

– Poważnie?

– Tak, poważnie. Bum, bach, trach.

– A która to niby? – Leopold obrócił się, wyciągnął szyję i przebiegł wzrokiem po kawiarni.

– W tym sęk – wyjaśnił Jonathan i znów musiał się roześmiać.

– Ona natychmiast wyszła i jakby ją ziemia pochłonęła, nie mogłem jej odnaleźć.

– A niech to.

– W rzeczy samej.

– Często ci się to zdarza?

– Co?

– No, że tak ni stąd, ni zowąd się zakochujesz.

Jonathan musiał się ponownie roześmiać.

– Nie, nigdy! Naprawdę nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. – Z rozbawieniem potrząsał głową. – Ale ta kobieta, ona miała w sobie coś... Ach, sam nie wiem, to przecież kompletnie porąbane.

– Lubię takie zwariowane historie.

– Ja właściwie nie. Do tej pory... – Umilkł zaskoczony i spojrzał wielkimi oczami na Leopolda.

– Co znowu?

– Sarasvati!

– A co ma z tym wspólnego ta wróżka?

– Doradczyni w sprawach życiowych – poprawił go Jonathan.

– Wszystko jedno, ale dlaczego teraz ci się przypomniała?

– Przepowiedziała mi, że jeszcze w tym roku spotkam kobietę, którą może nawet poślubię.

– I ty w to na serio wierzysz? I że to była właśnie ta kobieta?

– Nie mam pojęcia. – Jonathan wzruszył ramionami. – Sam już

nie wiem, w co mam wierzyć. Ale jedno jest pewne: moje życie stanęło na głowie, odkąd znalazłem ten kalendarz. – Jego twarz rozjaśniła się w jednej chwili. – Poczekaj, mam pomysł!

– Niby jaki?

– Kalendarz! To jest to! Wszystko jest ze sobą powiązane. Kalendarz, ta kawiarnia, kobieta, którą tu zobaczyłem, to wszystko się ze sobą łączy.

– Nic z tego nie kumam.

– W porządku, no więc powoli i od początku: dlaczego tu siedzimy?

– Hm. – Leopold patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Bo razem tu przyszliśmy?

– Źle! – wykrzyknął Jonathan.

– Źle?

– Jesteśmy tu, bo ta data była zapisana w terminarzu. Ktokolwiek to wpisał – on czy ona – ma dziś urodziny i chciał je tu świętować.

– Sorry, ale chyba nie nadażam. Co chcesz przez to powiedzieć?

– To przecież bardzo proste! – Jonathan zerwał się z krzesła. – Po prostu spytam każdego gościa w kawiarni, czy ma dziś przypadkiem urodziny.

– A co ci to da?

– Metoda eliminacji! – wykrzyknął Jonathan. – Jeśli nie ma tu nikogo, kto obchodzi dziś urodziny, to jest możliwe, że kobieta, którą akurat zobaczyłem, jest tą właściwą!

– Tą właściwą?

– No, po pierwsze tą, która ma dziś urodziny i ukrywa się pod literą H. A zarazem też tą, która zapisała kalendarz. – Jonathan był zachwycony swoim sprytnym pomysłem.

– Jonathan?

– Tak?

– Gadasz jak potłuczony.

– Nie szkodzi – odpowiedział Jonathan ze śmiechem. – To w ogóle nie ma żadnego znaczenia.

– Żebyś cię tylko dobrze zrozumiał: Jeśli więc nie ma tutaj nikogo, kto dziś odchodzi urodziny, to możliwe, że kobieta, w której się z miejsca zakochałeś, jest właścicielką kalendarza.

– No właśnie!

– Ale nawet jeśli to ona, to nie posuwa cię ani o centymetr dalej. Bo ty przecież nie masz pojęcia, do kogo należy kalendarz.

– No właśnie – potwierdził znów Jonathan.

Leopold westchnął.

– Wobec tego nie rozumiem, jak ma ci to pomóc w znalezieniu tej kobiety.

– Ja też jeszcze tego nie wiem – przyznał Jonathan, nadal się uśmiechając. – Będę się nad tym zastanawiał, jak przyjdzie czas. Jak to się ładnie mówi? *Don't cross the bridge until you come to it*^[10].

– Aha.

¹⁰ Dosłownie: Nie przechodź przez most, zanim do niego dojdiesz.

Hannah

16 marca, piątek, godzina 15.47

– Hannah! Hannah! Hannah! – Ledwie Hannah przekroczyła próg Bandy Urwisów, a już rzuciło się na nią czterech malców i przywarło do jej nóg.

– Hej! Spokojnie, bo zaraz mnie przewrócicie! – wykrzyknęła, jednocześnie znowu walcząc z łzami. Nie była tu – pomijając jedyną próbę, którą po paru minutach musiała przerwać – trzy miesiące. Dla maluchów to cała wieczność, w tym wieku równa się to pewnie dziesięciu latom. Mimo to została powitana przez swoich podopiecznych tak serdecznie, jakby była najważniejszym człowiekiem na ziemi.

Jej wzruszenie mieszało się z uczuciem wstydu. Zwyczajnie porzuciła te dzieci, które tak szybko się do niej przywiązały, zakopała się w swoim mieszkaniu i pławiła w roztkliwianiu się nad sobą. I w tym wszystkim po prostu zapomniała, co jest w życiu najważniejsze. Na przykład radość i szczęście, jakie każdego dnia dostawała od tych dzieci – i które powinna im też łaskawie odwzajemnić! To prawda, Simon po prostu się zmył. Ale to jeszcze nie powód, by zrobić to samo ludziom, dla których jest ważna.

Zanim Hannah zdążyła się pogrążyć w samooskarżeniach, z tyłu objęły ją mocno czyjeś ramiona. Teraz już nie potrafiła się powstrzymać i z kącika lewego oka jednak stoczyła się łza.

Wiedziała kto to, nie musiała się nawet odwracać. Mama!

– Mój skarbie. – Głos jej matki drżał, czule dotknęła ręką policzka córki. – Tak się cieszę, że tu jesteś!

– Zdaje się, że beze mnie nie dajecie sobie rady z tymi małymi łobuziakami – spróbowała zażartować Hannah. Ale i jej głos się łamał, musiała się naprawdę wziąć w garść, by nie wybuchnąć rozpaczliwym płaczem na oczach dzieci, które z zaciekawieniem obserwowały tę scenę. Zwłaszcza że Sybille, zwykle uosobienie wigoru i witalności, wyglądała na podobnie wykończoną, jak czuła się Hannah. Jej rude włosy, które odziedziczyła po niej córka, sprawiały wrażenie zmatowiałych, wydawało się, że jest w nich znacznie więcej siwych pasemek, niż Hannah pamiętała. Cerę miała bladą i ziemistą, a zielonkawe oczy utraciły blask. Hannah znów zalała fala wstydu – czy to z jej powodu?

– Wszystkiego dobrego z okazji urodzin – powiedziała cicho jej matka i jeszcze raz przycisnęła ją do siebie. – Teraz już wszystko będzie dobrze – szepnęła jej do ucha.

– Tak – odparła Hannah również szeptem. – Tak będzie. – Odsunęła się od matki i uśmiechnęła do niej dzielnie. – Dziś są w końcu moje urodziny!

I w tym momencie postanowiła, że będzie dokładnie tak: dziś były jej urodziny. Jej drugie narodziny, początek jej życia „po Simonie”. Czegóż innego w ogóle nie dopuści.

Jonathan

16 marca, piątek, godzina 17.33

– Taa – stwierdził Leopold dwie godziny później. – Wygląda na to, żeśmy właśnie doszli do mostu. I jak teraz przejdziemy na drugą stronę? – Razem z Jonathanem przepytali każdego gościa w Lütt Café z osobna, czy nie ma dziś przypadkiem urodzin. Nawet obsługę wypyтали, a ponadto wywiedzieli się, czy może ktoś rezerwował dziś stół na urodzinową kawę. Następnie ustawili się przy drzwiach wejściowych i każdego gościa, który wchodził do kawiarni, atakowali od razu pytaniem o datę urodzin. Pudło, pudło, pudło.

A teraz siedzieli na ławce na zewnątrz nad kanałem Isebek, po tym, jak właściciel kawiarni poprosił ich najpierw grzecznie, a po kolejnej półgodzinie bardzo stanowczo, by zaprzestali nagabywania jego klientów. W zamian ich konsumpcja idzie na rachunek lokalu, najważniejsze, że mają natychmiast zniknąć. Jonathan chciał jeszcze protestować i upomnieć się o swoje prawa obywatelskie, jednak został wyciągnięty za rękaw z kawiarni przez Leopolda, który syknął mu do ucha:

- Tutaj obowiązuje prawo gospodarza lokalu, ty idioto!
- Przynajmniej wiemy teraz, że rudowłosa kobieta może faktycznie jest tą osobą, która ma dziś urodziny i do której należy kalendarz – powiedział Jonathan.
- Fantastycznie! – skomentował Leopold. – Jak już mówiłem,

stoimy przed mostem, teraz musisz mi tylko powiedzieć, jak przejdziemy na drugi brzeg.

– Nie mam pojęcia – przyznał Jonathan. – Ale ja po prostu muszę ją znaleźć!

– Boże, mówisz jak Romeo!

– I tak się czuję!

– W takim razie sam wiesz, jak to się skończy. Gdybyś przypadkiem nie znał dramatu Szekspira: niedobrze. Zatem zapomnij o rudowłosej i zakochaj się lepiej w jakiejś innej.

– Nic nie rozumiesz! – zachnął się Jonathan.

Leopold uniósł ręce w obronnym geście.

– Och, proszę o wybaczenie, panie Grief! Oczywiście ktoś taki jak ja nie ma pojęcia, co to jest miłość. Jestem przecież tylko starym, głupim lumpem.

– Nie to miałem na myśli – odparł Jonathan już bardziej ugodowo. – Ale podczas gdy ja jeszcze kilka tygodni temu byłem święcie przekonany, że coś takiego jak los i przeznaczenie to kompletna bzdura...

– To teraz wierzysz, że kobieta, którą widziałeś z daleka przez jakieś pięć sekund, jest ci przeznaczona? – dokończył Leopold rozpoczęte przez Jonathana zdanie.

– Ach, sam nie wiem. – Jonathan westchnął. – Wszystko mi się pomieszało. Jakby myśli w mojej głowie grały w ping-ponga. Nigdy się jeszcze tak nie czułem.

– To masz szczęście. Ja najczęściej tak się czuję.

– Bardzo zabawne!

– Ale to prawda.

– No tak, gdy moja matka wtedy tak po prostu zapadła się pod ziemię, miałem całkiem podobne odczucia. – Westchnął ponownie. – Wygląda na to, że wszystkie kobiety, które są dla mnie ważne, rozpływają się w powietrzu.

– No już nie przesadzaj! Zakochałeś się ni z tego, ni z owego, w porządku. Ale żeby zaraz mówić, że to ktoś „ważny”?

– Masz rację. – Jonathan wpatrywał się w swoje buty, było mu bowiem głupio spojrzeć na Leopolda. Czuł się jak dwunastoletni uczeń po sknoconej klasówce z matmy.

– Jak to się w ogóle stało, że twoja matka zwała?

– Nigdy nie czuła się dobrze w Hamburgu i chciała wrócić do swojej ojczyzny, do Włoch.

– Z tego powodu nie porzuca się przecież dziecka! – oburzył się Leopold.

– „Się” może nie, ale moja matka owszem.

– A potem nigdy już o niej nie słyszałeś?

– Na początku tak. Odwiedziła mnie, a potem ja pojechałem parę razy do Włoch. Ale później...

– Co później?

– Ach, gdy miałem trzynaście czy czternaście lat, napisałem do niej idiotyczną kartkę, że już nigdy nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Takie tam wściekle brednie wieku dojrzewania.

– A potem nastąpiła cisza w eterze?

– Całkowita – potwierdził Jonathan. – Nigdy już o niej nie słyszałem.

– Przykro mi, ale nie mogę sobie wyobrazić, że jakaś idiotyczna kartka pocztowa jakiegoś jeszcze głupszego nastolatka mogła wywołać taki skutek.

– Hm. – Jonathan wzruszył ramionami. – Też się nad tym długo zastanawiałem. Ale w końcu zrobiło mi się to po prostu obojętne.

– A co powiedział na to twój ojciec?

– Mój ojciec? – Jonathan roześmiał się kpiąco. – Nie znasz go. Nic na to nie powiedział, do niedawna nie wymienił ani razu jej imienia. Dopiero teraz, gdy ma demencję, mówi o niej, a nawet myśli, że jego dawna asystentka to moja matka. – Uniósł znowu wzrok i uśmiechnął się krzywo do Leopolda.

– To wszystko wygląda na jakąś dysfunkcyjną rodzinę.

– I to mówi akurat ktoś taki jak ty – odgryzł się Jonathan. – A co z twoimi dziećmi? Masz z nimi kontakt?

– Niestety nie. Ale nie dlatego, że nie chcę.

– Tylko?

– Że nie mogę.

– Aha.

– „Tymczasowe zabezpieczenie roszczenia”. Także skutek mojej pijackiej kariery, raz chyba za bardzo mnie poniosło. – Zacisnął pięści. – Ale przysięgam ci: gdy tylko odzyskam grunt pod nogami, zawalczę o prawo do kontaktów z dziećmi, żebym znów mógł być dla nich prawdziwym tatą.

– Ehm, przepraszam, ale czy one nie są już dawno pełnoletnie?

– Nie – odpowiedział Leopold. – Tim ma trzynaście lat, a Sara piętnaście. I zanim tak wysoko uniesiesz brwi, że za chwilę wylądują ci na przedziałku: tak, jestem późnym ojcem.

– Przynajmniej jesteś w ogóle ojcem – rzekł posępnie Jonathan.

– Ty też jeszcze możesz nim zostać.

– Pff.

– I znowu masz rację. Kto by tam chciał nadzianego kawalera z willą przy Innopark i własnym wydawnictwem.

– Tylko nie mówmy znów o wydawnictwie!

– Okej – zgodził się Leopold. – To wracamy do kobiet. Co właściwie jest z twoją byłą żoną?

– A co ma z nią być?

– Przed chwilą powiedziałeś, że wszystkie kobiety, które były dla ciebie ważne, rozplynęły się w powietrzu. Znaczy, że ona też po prostu zniknęła?

– Tina? Nie, ona jeszcze jest i ze swym drugim mężem i wspólną córeczką cieszy się najlepszym zdrowiem. Zawsze pierwszego stycznia przysyła mi nawet życzenia noworoczne.

– To miło z jej strony!

– No tak, jeśli pominąć, że Thomas, jej drugi mąż, był wcześniej moim najlepszym przyjacielem. Ja osobiście określiłbym jej drobne uprzejmości raczej jako kompensację jej nieczystego

sumienia.

– I co teraz jest z Tiną?

– A co niby ma z nią być?

– No, jeśli muszę się o nią dopiero dopytywać, to chyba nie można jej zaliczyć do „ważnych” kobiet.

– Oczywiście, że można!

– Tak?

– Bądź co bądź poślubiłem ją!

– Kierujesz także wydawnictwem, które cię nie interesuje.

– No nie! – Jonathan zerwał się oburzony z ławki. – Uważam, że posuwasz się odrobinę za daleko!

Leopold uśmiechnął się niewinnie.

– To, co trafia, okazuje się trafne.

– Ja... ja... – Jonathanowi brakowało słów.

– Chodź, siadaj z powrotem, ośle.

Jonathan N. Grief usiadł. Chociaż sam nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego zamiast tego nie odszedł bez słowa.

– A teraz z ręką na sercu – ciągnął Leopold. – Kochałeś Tinę naprawdę? Tak prawdziwie i z całej duszy?

– Tak!

Leopold tylko spoglądał na niego w milczeniu, z tym prowokująco niewinnym uśmiechem na ustach.

– W każdym razie dosyć ją lubiłem.

– Dosyć ją lubiłeś? – Leopold obiema rękami uderzył się po udach. – Mówisz, że dosyć lubiłeś swoją żonę? A potem się dziwisz, że zwiła z innym?

– Po prostu dobrze nam było ze sobą.

– Zdaje się nie tak dobrze, jak sądzisz.

– Hm. – Jonathan zastanowił się przez chwilę. – Możliwe – przyznał. Jednak w następnym momencie ogarnęła go złość. – Mimo to! Zadać się akurat z moim najlepszym przyjacielem to chyba nie uchodzi! To mi złamało serce!

– Ach tak? Z innym facetem nie byłoby tak bolesne?

- Jasne, że nie!
- To znaczy, że nie jest aż tak źle.
- Co, przepraszam, nie jest aż tak źle?
- Cała ta sprawa. Nie masz złamanego serca, tylko zranione ego. Z tym można sobie łatwiej poradzić. Trzeba tylko chcieć.
- Bardzo panu dziękuję za pańską analizę, panie psychologu.
- Zawsze do usług, panie Grief.
- Ty mnie też.

Przez dłuższą chwilę siedzieli, po prostu milcząc, obok siebie na ławce. Spoglądali na wodę. I nadal uparcie nie odzywali się do siebie. Wycieczkowy statek płynął z terkotem w dół kanału. Jonathan i Leopold, milcząc, śledzili go wzrokiem. Obok nich przepłynęły dwie ósemki wiosłowe, kajak i rower wodny, a dwaj mężczyźni nadal nie odzywali się do siebie. Dopiero gdy Jonathan dostrzegł łabędzia, który płynął przy samym brzegu, chrząknął.

– Masz rację – powiedział potulnie. – Chyba nie kochałem jej tak prawdziwie. I zapewne to jest powód, dla którego ode mnie odeszła. Fakt, że musiało się to stać z Thomasem, widocznie najbardziej mnie dotknął.

– Widzisz! – Leopold trzepnął go po ramieniu. – To wcale nie było takie trudne!

– A na pewno tańsze niż mój life-coach.

– Twój co?

– Nieważne. – Jonathan machnął ręką. – W każdym razie, kiedy porównuję moje odczucia, gdy zobaczyłem tę kobietę, z moim pierwszym spotkaniem z Tiną, to... to jest różnica jak między dniem a nocą.

– Okej. No to faktycznie musimy ją znaleźć.

– To byłoby zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Moim zdaniem są tylko dwie możliwości.

– Mianowicie?

– Albo rozbijamy pod Lütt Café obóz na tak długo, aż ona znów

się tam pojawi. Jeśli do tego czasu nie otrzymamy tymczasowego postanowienia, że nie wolno nam się zbliżyć bardziej niż na pięćdziesiąt metrów.

– Albo?

– Albo postępujemy zgodnie z twoją teorią, że wszystko w jakiś sposób łączy się z kalendarzem. Wobec tego powinniśmy tam poszukać dalszych wskazówek.

– Ten drugi pomysł podoba mi się znacznie bardziej.

– Masz przy sobie ten kajecik?

– Jasna sprawa! – Jonathan położył aktówkę na kolanach, otworzył ją i wyjął z niej terminarz.

– No to popatrzmy.

Leopold otworzył kalendarz.

– No, super! – powiedział zachwycony. – Dziś wieczorem idziemy na St. Pauli, przebalujemy tam noc, a rano o szóstej zjemy na targu rybnym bułeczkę z krabami. Za każdym razem jakiś fantastyczny pomysł!

– Świetnie. Zawsze marzyłem o tym, by kiedyś pozataczać się razem z milionem innych ludzi. Ty dostaniesz oczywiście tylko wodę mineralną z plasterkiem cytryny, a ja pośrodku tego dzikiego tłumu na Hans-Albers-Platz z całą pewnością odnajdę kobietę z rudymi lokami. Niestety na zakończenie zwymiotuję jej na stopy, gdyż niczego na świecie nie nienawidzę bardziej niż krabów. – Rzucił krytycznym wzrokiem na kartkę. – A poza tym, mój drogi, jesteś właśnie przy wpisie na dwudziesty drugi września.

– Teraz nie strać tylko poczucia humoru!

– Lepiej poszukajmy porządnie.

– Już to przecież robię.

Leopold przewertował kartki z powrotem do obecnej daty i pochyleni nad kalendarzem zaczęli go studiować strona po stronie. Co jakiś czas Leopold zaśmiewał się zachwycony, gdy jakiś wpis szczególnie mu się spodobał.

– Popatrz, to tutaj pasuje do ciebie jak ulał: „Uważaj na swoje myśli, gdyż staną się słowami. Uważaj na swoje słowa, gdyż staną się czynami. Uważaj na swoje czyny, gdyż staną się przyzwyczajeniami. Uważaj na swoje przyzwyczajenia, gdyż staną się twoim charakterem. Uważaj na swój charakter, gdyż stanie się on twoim losem”. To z Talmudu, tak tu jest napisane.

– A dlaczego to niby pasuje do mnie?

– Pomyśl!

– Już myślałem i naprawdę nie mogę podzielić twojego zdania.

– A kto dopiero co zrobił „pff”, kiedy powiedziałem, że możesz przecież jeszcze zostać ojcem?

– A kto to był ten menel, który parę tygodni wcześniej w środku nocy zwał z całą baterią flaszek? – odgryzł się Jonathan oburzony.

– Z akcentem na „był”.

– Szukajmy dalej – rzekł Jonathan, zanim zdążyli się na dobre pokłócić.

Tymczasem zostawili za sobą kwiecień – ze szczególnie ryzykownym poleceniem, by pierwszego kwietnia napisać własną mowę pogrzebową, co Jonathan uznał za żart primaaprilisowy, a Leopold za fantastyczny pomysł.

– Zastanów się tylko – mówił – co chciałbyś usłyszeć o sobie na własnym pogrzebie! Jak zamierzałeś żyć, co chciałeś przeżyć? Dlaczego byłoby ci przykro, gdybyś czegoś nigdy nie zrobił?

– Gdybym nie zepchnął cię do kanału Isebek – odparł Jonathan, zgrzytając zębami. – A teraz przewróć stronę!

A potem: nareszcie! Nareszcie znaleźli coś. Konkretne zalecenie na jedenasty maja:

– „Pójdź dzisiaj do sklepu przy Eppendorfer Landstrasse 28c” – czytał Jonathan podniecony. – „Coś tam na ciebie czeka. Jeśli to kupisz, dostaniesz jeszcze coś”.

– O co tu może chodzić?

– Wkrótce będziemy to wiedzieć! Mianowicie pójdziemy tam

teraz, natychmiast, to zaraz za rogiem.

– Ale przecież dziś nie jest jeszcze jedenasty maja!

– Mówisz jak dawny Jonathan!

– He?

– Nowy Jonathan nie przejmuje się już takimi drobiazgami. – Mówiąc to, wstał i pomaszerował zdecydowanym krokiem. Leopold ledwie za nim nadązał. Po dziesięciu minutach dotarli do Eppendorfer Landstrasse 28c. Zaskoczeni stwierdzili, że stoją przed małą pracownią jubilerską. A zaraz potem zauważyli, że od godziny szóstej była już zamknięta, spóźnili się całe siedem minut.

– Co za pech! – powiedział Jonathan, rozglądając się za dzwonkiem. Gdy nie znalazł żadnego, zastukał energicznie w szybę wystawy.

– Co ty robisz?

– Może ktoś jeszcze jest.

– Tak – rzekł Leopold – instalacja alarmowa. A ta zaraz zadziała, jeśli będziesz dalej walił w szybę.

Jonathan opuścił rękę.

– No dobrze. Nowy Jonathan nie jest znów aż tak nowy, żeby ryzykować coś takiego. Najwyżej przyjdziemy jutro.

– To nic nie da – zauważył Leopold, wskazując na wywieszkę w drzwiach. – W soboty nieczynne, otwierają dopiero w poniedziałek o dziesiątej.

– Niech to szlag.

– To przecież nic takiego – odparł Leopold. – Jeśli to ma być kobieta twojego życia, to dwa dni nie odgrywają przecież żadnej roli.

– Cha, cha!

– Niemniej zastanawiam się, co tam ma być dla ciebie odłożone. Para spinek do koszuli?

– Zapominasz, że ściśle mówiąc, to wcale nie jest dla mnie.

– I znowu prawda. No to może szykowne kolczyki ze strasu?

Już cię w nich widzę. Bardzo ładnie.

– Nie wygląda na to, żeby mieli tu takie rzeczy.

Oglądali wystawę, na której leżały różne ozdoby z młotkowanego złota i srebra. Doczepione do nich metki informowały, że są to ręcznie robione unikaty. Nawet jeśli Jonathan nie miał pojęcia o biżuterii, to te wyroby mu się podobały. Były gustowne i dyskretne, żadne tam krzykliwe błyskotki, jakie wystawiają w drogich sklepach w centrum. Musiał zarazem niechętnie przyznać, że właśnie takie błyskotki nader często kupował dawniej dla Tiny. Albo prosił o ich kupno Renate Krug.

Biżuterię Tina po rozwodzie zwróciła z uwagą, że ta tandeta nigdy jej się szczególnie nie podobała. No tak, myślał sobie cynicznie Jonathan, teraz oszczędzone jej były takie niegustowne przykrości, Thomas zarzucał ją zapewne klejnotami z automatu z gumą do żucia.

Ejże! – upomniał sam siebie. Pomyślał, że wcześniej, na ławce nad kanałem, zostawił to ostatecznie za sobą, uspokojony i na nowo pogodny, dzięki swemu nowemu życiu i zrozumieniu, że przy rozstaniu bardziej chodziło o jego zranioną dumę niż o złamane serce. No dobrze, może nie powinien od razu na początku wymagać od siebie zbyt wiele.

– No więc co teraz robimy? – przerwał jego rozmyślania Leopold.

– Proponowałbym, żebyśmy wrócili do domu. A w poniedziałek punkt dziesiąta stoimy tu znów na wycieraczce.

– Ajajaj, to głupio.

– Jak to głupio?

– Nie mogę z tobą przyjść, dokładnie o tej porze mam umówione spotkanie w Jobcenter.

– Szkoda.

– Nie bądź taki ironiczny!

– Ironia jest mi całkowicie obca.

Hannah

19 marca, poniedziałek, godzina 8.17

Poniedziałki to najlepsze dni, żeby zacząć coś nowego. Na przykład dietę. Albo program fitness. Pozbyć się z domu rupieci i naprawdę uporządkować swoje sprawy: poniedziałek nadaje się do tego znakomicie. Nawet rozstania w poniedziałek udają się łatwiej, swobodny i świeży start do nowego tygodnia bez żadnej skazy niebywale uskrzydla duszę. W każdym razie Hannah już od dawna była święcie przekonana, że tak to właśnie działa. W tym najlepszym ze światów poniedziałek wypadał nawet niekiedy w pierwszy dzień miesiąca, ale ponieważ nie znajdowała się akurat w najlepszym ze światów, więc musiała się zadowolić dziewiętnastym.

Otworzyła drzwi mieszkania Simona i wciągnęła głęboko powietrze, zanim weszła do środka. Od pamiętnego wybuchu furii jej stopa tu nie powstała i Hannah trochę się bała tego, co zastanie. Jeśli przerastało ją zjedzenie w piątek kawałka ciasta w Lütt Café, to tu dopiero czekało na nią zadanie, co do którego jeszcze nie wiedziała, czy mu podoła. Ale chciała przynajmniej spróbować. Skapitulować zawsze będzie mogła.

Wprawdzie zarówno Lisa, jak i jej rodzice oraz Sören ponownie zaproponowali, że przyjdą i jej pomogą, ale im podziękowała. Po pierwsze, Lisa i rodzice musieli być przecież w Bandzie Urwisów, gdy Hannah ostatni raz, taką miała nadzieję,

wzięła wolne. Po drugie, koniecznie chciała załatwić to sama, to było jej osobiste katharsis i nikt nie powinien jej w tym przeszkadzać.

Hannah wciągnęła do przedpokoju cztery przyniesione ze sobą kartony do przeprowadzki i zabrała się do ich składania. Zaplanowała to na dobre trzy godziny – zapakowanie wszystkiego, co chciała sobie zostawić po Simonie, i wstawienie na razie do swojej piwnicy. O dwunastej miała przyjechać firma opróżniająca mieszkania, żeby zabrać meble, ciuchy, książki, płyty CD i całą resztę i zostawić pusty, uprzątnięty lokal. Jutro Hannah odda właścicielowi komplet kluczy i tym samym temat zostanie zamknięty, życie Simona rozwiązane i zlikwidowane.

Jeszcze raz wzięła głęboki oddech. Czekala ją ciężka praca, ale wiedziała, że to było konieczne, by jej własne życie mogło potoczyć się dalej. Zamknąć oczy i naprzód marsz, innego wyjścia nie ma.

Zanim wzięła się do wszystkich szuflad i szafek, zajęła się usuwaniem śladów demolki. Najgorzej wyglądała kuchnia: zmiotła makaron, płatki owsiane i kukurydziane, herbatę, cukier, sól i mąkę, starła z podłogi dżem i wrzuciła wszystko do dużego worka na śmieci. Ekspres do kawy nie przetrwał jej furii, razem z dwoma rozbitymi kafelkami też trafił do worka.

W salonie Hannah pozbierała wszystko, co zostało uszkodzone, i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że telewizor przetrwał jej atak bez szkody. Swoje zdjęcie z Simonem wyjęła ze złamanej ramki i włożyła do torby, absolutnie chciała je zachować.

Po uprzątnięciu szkód chwyciła pierwszy karton i zabrała się do sypialni. Otworzyła szafę Simona i patrzyła na jego spodnie, koszulki, swetry, koszule i garnitury. Owiał ją jego zapach i na jedną krótką chwilę zamknęła oczy. A potem energicznie zatrasnęła drzwi szafy. Nic z tego nie potrzebowała, nie chciała mieć żadnego T-shirtu Simona, żeby go jej przypominał. Do

którego w nocy z płaczem przyciskałaby twarz jak dziecko do przytulanki; to tylko na nowo rozrywałoby jej ranę. A zapach Simona ulotniłby się o wiele za szybko, to wyobrażenie wydało jej się po prostu straszne.

Przesunęła wzrokiem po pokoju. Ostatecznie niczego nie zapakowała, nawet swojej własnej koszuli nocnej, leżącej w górnej szufladzie komody przy ścianie po lewej stronie. Także swojego dużego portretu z Simonem, wydrukowanego na płótnie, który wisiał nad łóżkiem. Na co jej był potrzebny? Miała małe zdjęcie ich obojga, portret nadnaturalnej wielkości w jej domu sprawiałby wrażenie ołtarza wspomnień. A płótno może kogoś ucieszy, bo będzie mógł je przemaalować. Albo i nie. Było jej to kompletnie obojętne.

Także w łazience, kuchni i salonie Hannah nie znalazła niczego, co chciałaby zatrzymać. Nie potrzebowała urządzenia stereofonicznego firmy Bang & Olufsen, nie miała zastosowania dla bogatego zbioru płyt CD brytyjskich pieśniarzy, z których Simon często i chętnie puszczał jej wybrane utwory. Nie, właśnie ulubiona muzyka Simona budziła w niej tak bolesne wspomnienia, że już krótkie spojrzenie na okładki płyt wystarczało, by doprowadzić ją do płaczu.

Pozostał więc tylko jego gabinet. Notebook Simona zapakowała, być może znajdowały się w nim jakieś pliki, zdjęcia albo mejle, które mogłyby się jej przydać później. Na myśl o haśle Simona, które zdradził jej w momencie niezupełnej trzeźwości, ale za to niezwykle sentymentalnym, musiała się na chwilę roześmiać – a potem znów od razu się rozpłakać: KHMd2099. Kocham Hannah Marx do 2099 roku. „Co najmniej”, dodał wtedy, mrugnawszy okiem. No cóż, miłość nie przetrwała aż tak długo, jego życie albo raczej jego śmierć stanęła temu na przeszkodzie.

Hannah spojrzała na biurko, które, jak zwykle u Simona, było perfekcyjnie uprzątnięte. Leżały na nim tylko dziurkacz,

zszywacz, pięć ołówków oraz koszyk na pocztę przychodzącą i wychodzącą. Hannah wzięła listy i włożyła je do kartonu. Przejrzy je później, może znajdują się wśród nich ważne pisma albo dokumenty, wskazujące na konieczność załatwienia czegoś. Następnie wysunęła górną szufladę szafki na kółkach pod biurkiem. Tu także tylko artykuły biurowe, jak spinacze, markery, karteczki samoprzylepne, nożyczki, nic, co by chciała zabrać.

Gdy otworzyła następną szufladę, odkryła w niej grubego segregator. Simon wpinał do niego wszystkie swoje artykuły, włożone porządnie do przezroczystych koszulek. Było ich tak wiele, że w szufladzie leżał jeszcze drugi segregator. Jego „dorobek życia”, zaopatrzony w dziurki i porządnie przechowywany. Tego także nie chciała wyrzucać, zapakowała więc segregatory do kartonu, gdzie znalazła się już poczta Simona.

W ostatniej szufladzie odkryła coś, co na krótką chwilę odebrało jej dech. Arkusz białego papieru. Na nim wielkimi, drukowanymi literami napis:

ŚMIECH HANNAH

Ręka jej drżała, gdy sięgała po niego. I dopiero, gdy go wyjęła, zobaczyła, że była to tylko pierwsza strona grubego stosu kartek. Potrzebowała obu rąk, by wydobyć z szuflady całą tę stertę. A potem położyła ją na biurku i usiadła na krześle.

Już znowu musiała zaszlochać, gdy przeczytała tekst na drugiej stronie:

Dla mojej ukochanej Hannah, która tak mocno we mnie wierzy.
Oto ona, moja pierwsza powieść.

Powieść? To Simon napisał powieść? Dlaczego nigdy jej o niej nie opowiadał? Dlaczego ciągle tylko gadał i zachowywał się tak, jakby po prostu nie mógł się do niej zabrać – a teraz nagle leżał przed nią ten gruby stos kartek?

Jej wzrok padł na przypis w prawym dolnym rogu, gdzie obok adnotacji: „copyright Simon Klamm” była data. Cztery lata! Książka miała już niemal cztery lata, zatem musiał ją napisać bezpośrednio po tym, jak się poznali i jak w upojeniu, liczyła bowiem kilkaset stron.

Tym bardziej zagadkowe, że nigdy nie wspomniał o tym ani słowem. Czyżby uważał, że książka jest nieudana, czy był zakłopotany? Czy chciał najpierw znaleźć wydawcę i dopiero wtedy ją zaskoczyć?

Cokolwiek było przyczyną tej dobrze i długo strzeżonej tajemnicy, Hannah przewróciła kartkę i zaczęła czytać.

Gdy spytać pary, jak się poznały, to ich opowieści są najczęściej mało spektakularne. Siedzieli obok siebie w autobusie. Sięgnęli jednocześnie po ostatnie opakowanie mrożonej pizzy z salami przy ladzie chłodniczej. Przez trzy lata dzielili w firmie biuro, zanim między nimi zaiskrzyło, albo też zderzyli się na jakimś party, gdy jedno wylało na drugie kieliszek czerwonego wina.

A gdyby jeszcze ktoś chciał wiedzieć, co ich tak pociągnęło w drugiej osobie, to słyszy się takie rzeczy, jak: „Miał niesamowicie piękne ręce” albo: „W tej letniej sukience wyglądała wprost fantastycznie”, albo też: „Stopniowo odkrywaliśmy, że mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego”.

Z Hannah i ze mną nie było inaczej. Po raz pierwszy spotkaliśmy się, gdy odbierałem mojego chrześniaka z przedszkola, w którym ona pracowała jako wychowawczyni. Niespektakularnie. W każdym razie dla osób stojących z boku. Dla mnie samego w momencie, gdy ją zobaczyłem, otwarły się

drzwi do nowego kosmosu. I nie chodziło o jej rude włosy ani cudowne zielone oczy czy piękną twarz, które w jednej chwili zmieniły kompletnie moje życie. Nie, to nie było to. To był jej śmiech.

Śmiech, którego nie sposób opisać. Gdybym miał spróbować, zrobiłbym to najprędzej tak: Wyobraźcie sobie człowieka, który promieniuje z siebie taką miłością, ciepłem i radością, jakby chciał – a także mógł – objąć nimi cały świat. Tak to mniej więcej jest. Taki jest śmiech Hannah.

Hannah czytała i czytała, kartki migają jej tylko przed oczami. Nie mogła tego pojąć, nie mogła zrozumieć, że Simon zataił przed nią, że napisał książkę. A podczas gdy co jakiś czas musiała się roześmiać albo rozplakać, podczas gdy zdumiewała się zwrotami akcji (bo nawet jeśli na początku była to historia ich dwojga, to po kilku stronach Simon oderwał się od prawdy, tworząc świat fikcji), podczas gdy chwilami się złościła, bo Simon opisywał ją jako osobę bezczelną i egocentryczną, i gdy potem wzruszała się, kiedy w odrealniony sposób opisywał swoje pożegnanie z matką – pośród tych wszystkich uczuć, które w niej szalały, czuła przede wszystkim jedno: dumę. Była dumna z Simona, z tego, co tu stworzył. Dumna, że potrafił spełnić swoje wielkie marzenie, by zostać pisarzem, nieważne, czy książkę opublikował, czy nie. I jednocześnie Hannah była nieskończenie smutna, że dowiedziała się o tym dopiero teraz, po jego śmierci.

Było już po piątej, gdy przeczytała ostatnie zdanie. Siedziała na podłodze w pustym mieszkaniu Simona, bowiem w międzyczasie zjawiała się zamówiona ekipa. Trzech młodych mężczyzn wyniosło wszystko, co leżało dokoła niej, rzucając jej poirytowane spojrzenia, gdyż Hannah tkwiła całkowicie nieobecna w kącie pokoju z maszynopisem i dwoma zapełnionymi kartonami. Było jej wszystko jedno, co pakujący meble sobie o niej pomyślą. Powieść Simona całkowicie ją

pochłonęła.

Uważała, że jest dobra. Naprawdę dobra. Nie tylko dlatego, że napisał ją Simon i że traktowała o nim i o niej. Tylko dlatego... no, po prostu uważała, że jest naprawdę dobra.

A teraz czytała ostatnie zdanie. Oburzona i śmiejąc się przez łzy. Brzmiało ono bowiem: „Tak, chcę!”. Ten gnojek samobójca faktycznie zakończył swą książkę tym, że poprosił ją o rękę! To tyle, jeśli chodzi o fikcję i rzeczywistość.

W zamyśleniu odłożyła stos kartek na bok i zaczęła się zastanawiać, co powinna z tym zrobić. Spakować również ten maszynopis do jednego z kartonów, wstawić wszystko do piwnicy i od czasu do czasu, wzdychając, przypominać sobie, że Simon napisał tę piękną historię? Spalić go rytualnie? Czy też może powinna go posłać do jakiegoś wydawnictwa? Czy w ogóle miała do tego prawo? Zarówno pod względem prawnym, jak i moralnym? Widocznie Simon nie chciał go opublikować, skoro odłożył go po prostu do szuflady i nawet nie wspomniał o tym Hannah.

Nie miała pojęcia, co byłoby słuszne.

Ale jedną sprawę załatwiłaby natychmiast. Otrzymała właśnie poniekąd swe oświadczyzny. Będzie więc fair, jeśli odwoła rezerwację pierścionków.

Hannah wzięła do ręki komórkę, wygooglowała numer właścicielki sklepu jubilerskiego przy Eppendorfer Landstrasse i zadzwoniła.

– Bernadette Carlsen – zgłosiła się kobieta po drugim dzwonku.

– Halo, dzień dobry! Tu Hannah Marx.

– Ach, halo! – wykrzyknęła uradowana jubilerka. – A więc już się pani dowiedziała?

– Yy, a czego miałam się dowiedzieć?

– No, że wszystko się udało! – Zaśmiała się. – Tak się cieszę!

– Nic nie rozumiem. Co pani ma na myśli?

– A co niby mam mieć na myśli? – odparła Bernadette Carlsen,

a w jej głosie słychać było rozbawienie. – Był tu dziś rano pani przyjaciel i kupił pierścionki! Nie wahał się ani sekundy, gdy mu je pokazałam, lecz od razu je wziął. Kopertę też mu dałam.

– Co? – Hannah zakręciło się w głowie. – To przecież nie może być prawda!

– Tak, ja też się z początku zdziwiłam, bo przecież powiedziała pani, że przyjdzie dopiero jedenastego maja. Ale był taki ciekaw, tłumaczył, że nie chce tak długo czekać.

– Ale to nie może być prawda! – zawołała Hannah głośniej, niż zamierzała.

– Hm – doszedł ją niepewny głos z drugiego końca przewodu – czyżbym zrobiła coś nie tak? Może jednak nie powinnam dawać mu pierścionków i listu, lecz kazać mu przyjść jedenastego maja? Tak mi przykro, nic sobie przy tym nie...

– To nie może być prawda, bo mój przyjaciel nie żyje – przerwała jej Hannah.

Bernadette Carlsen zamilkła.

– Umarł, rozumie pani? – mówiła Hannah, teraz już trochę spokojniej. – Dlatego jest niemożliwe, żeby to on kupił te pierścionki.

– No, teraz to już nic a nic nie rozumiem.

– Ja też nie – odparła Hannah. – Zadzwoiłam do pani tylko dlatego, bo chciałam pani powiedzieć, żeby już pani nie rezerwowała tych pierścionków.

– Tak, ale... – Jubilerka zamilkła. – Kim wobec tego był ten mężczyzna, który pojawił się w moim sklepie?

– Sama bym to chciała wiedzieć! Spytała go pani, jak się nazywa?

– Nie, oczywiście że nie. Założyłam, że to pani przyjaciel. Miał przy sobie kalendarz i pokazał mi nawet wpis, wtedy już cała sprawa była dla mnie jasna.

– A jak on wyglądał?

– Hm, całkiem dobrze, moim zdaniem. Wysoki, czarne włosy,

tu i ówdzie już nieco siwizny. Pod czterdziestkę, a może trochę ponad. I miał bardzo błękitne oczy, niezwykle.

– Okej – powiedziała Hannah. – Pasuje.

– Co pasuje?

– Nieważne – odparła.

– Więc to nic złego, że sprzedałam pierścionki?

– Nie, nic!

– Uspokoiła mnie pani. – Hannah słyszała, jak kobieta odetchnęła głęboko. – A to z pani przyjacielem – strasznie mi przykro, zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– W porządku – odparła Hannah. – Co tu można mówić.

– No tak. – W głosie Bernadette Carlsen słychać było zakłopotanie. – No to...

– Niech się pani nie martwi, naprawdę.

– To wobec tego życzę pani, żeby... No więc, żeby przeszła pani dobrze przez ten trudny okres.

– Dziękuję bardzo.

Pożegnały się i rozłączyły. Hannah nie ruszała się z podłogi, gapiąc się bezradnie przed siebie. Co tu się działo? Nie dość, że właśnie odkryła, iż Simon już dawno napisał książkę i trzymał to przed nią w tajemnicy. Nie, do tego jeszcze pojawił się jakiś facet, który miał terminarz i postępował zgodnie z jego wpisami.

A jego opis podany przez Bernadettę Carlsen faktycznie się zgadzał. Zgadzał się z tym, jak opisała swego klienta Sarasvati. A przede wszystkim pasował do mężczyzny, który w piątek w Lütt Café – a więc w tym czasie i miejscu, które także były zanotowane w kalendarzu – tak się w nią wpatrywał, że poczuła się nieswojo. To musiał być on, była tego całkowicie pewna.

To już nie mógł być przypadek, wykluczone. Coś tu się działo! I nawet jeśli nie przywróci to Simona, Hannah wszelkimi sposobami chciała się dowiedzieć, co to jest!

Więc dobrze. Istniał zatem ten mężczyzna, który realizował „idealny rok” Simona. A Hannah nie miała bladego pojęcia, kto to

jest. Wiedziała tylko jedną rzecz. Ściśle mówiąc, dwie. Po pierwsze, miał nie tylko kalendarz, ale teraz także pierścionki zaręczynowe, które przeznaczone były dla niej i dla Simona. Po drugie, jedenastego maja pojawi się o ósmej wieczorem w Da Ricardo.

A wtedy zobaczy!

Jonathan

19 marca, poniedziałek, godzina 18.23

Tak. Jonathan Grief miał wyrzuty sumienia. Bo skłamał. A to w ogóle nie leżało w jego charakterze, jeszcze nigdy tego nie zrobił. Ale nie miał wyjścia. Usprawiedliwiał przed sobą ten postępek jako kłamstwo z konieczności, gdy przed jubilerką podawał się za kogoś, kim nie jest. Gdy bezczelnie twierdził, iż jest prawowitym właścicielem kalendarza i tym samym prawowitym odbiorcą tego, co zostało tu dla niego odłożone. Musiał tak twierdzić, czyż nie? W końcu chodziło o... No tak, właściwie o co?

Przecież nie miał nawet pewności, czy cała ta sprawa ma coś wspólnego z kobietą z kawiarni. Zabrzmiałoby to bowiem dość dziwnie, gdyby zapytał jubilerkę: „Proszę mi powiedzieć, jestem wprawdzie tą osobą, dla której odłożono pierścionki zaręczynowe – ale czy mogłaby mi pani przypadkiem powiedzieć, kto o to poprosił? Może kobieta z rudymi włosami? A jeśli już o tym mówimy, to czy zna też pani jej nazwisko i numer telefonu? Chętnie bym zadzwonił do mojej przyszłej narzeczonej!”.

Siedząc teraz w fotelu, zastanawiał się, czy jest jeszcze przy zdrowych zmysłach, że tak się ugania za jakimś urojeniem. Był oto w posiadaniu dwóch pierścionków, nieprzeznaczonych dla niego. Zapłacił za nie własnymi pieniędzmi, chociaż

w momencie, gdy sprzedawczyni powiedziała mu, że kosztują dokładnie pięćset euro, w jednej chwili uświadomił sobie, na co były przeznaczone banknoty z kalendarza. Mimo to ogarnęły go wtedy skrupuły. Kupić pierścionki przeznaczone dla kogoś innego, to jeszcze mogło ująć. Wydać na to jego albo jej pieniądze – no, to już byłoby przegięcie.

Także teraz Jonathan miał skrupuły, czy otworzyć kopertę, którą wręczyła mu wraz z pierścionkami kobieta w sklepie jubilerskim. Już od przedpołudnia miotał się po domu jak tygrys w klatce, co chwila wchodził do gabinetu, siadał w fotelu i brał do ręki kopertę – ale do tej pory jej nie otworzył. Co było trochę dziwne, bo teraz zaszedł już tak daleko, że przecież nie miało to żadnego znaczenia, czy zajrzy do niej, czy nie. Ale tajemnica korespondencji pozostawała tajemnicą korespondencji, a skrzydełko koperty było przyklejone, a nie tylko po prostu założone. Czy ten trik, o którym czytał jako chłopiec w jednym ze swoich uwielbianych komiksów, że można otworzyć list bez śladów, trzymając go nad gotującą się wodą, rzeczywiście działa?

Sam nad sobą pokiwał głową. Już znowu mentalnie miał dwanaście lat, jak tak dalej pójdzie, wkrótce wyląduje w szpitalu psychiatrycznym. Aczkolwiek na oddziale dla dzieci i młodocianych, jak pozwolił sobie w myślach zażartować.

Właśnie chciał rozerwać kopertę, wykrzykując głośno: „A co tam!”, gdy zadzwonił telefon. Klnąc, wygrzebał się z fotela. Akurat się przemógł, i właśnie w tym momencie ktoś musiał mu przeszkodzić!

– Jonathan Grief! – rzucił zirytowany do słuchawki.

– Tu Markus Bode, dobry wieczór!

– Co jest?

Jego dyrektor zarządzający nie odpowiedział natychmiast, zamiast tego zapytał z dwusekundowym opóźnieniem:

– Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

– Nie – odrzekł Jonathan takim tonem, który zapewne

sugerował bardzo stanowcze „tak!”. – W czym mogę pomóc? – dodał dla zatarcia nieprzyjemnego wrażenia.

– Właściwie chciałem tylko spytać, kiedy pojawi się pan znów w wydawnictwie. Rok gospodarczy niebawem się kończy i pomyślałem, że...

– Niebawem – przerwał mu Jonathan.

– Słucham?

– Jak pan sam przed chwilą powiedział: niebawem się skończy. Czyli jeszcze nie teraz.

– Ale, proszę pana, ja...

– Przykro mi, panie Bode, ale teraz właśnie nie mam w ogóle czasu.

– W porządku – dobiegł ze słuchawki nieco zdezorientowany głos. – To proszę zadzwonić...

– Oczywiście. Życzę miłego wieczoru! – Jonathan odłożył słuchawkę.

Oddychał z trudem. Serce waliło mu jak młotem. Właściwie powinien był od razu sięgnąć po telefon, zadzwonić do dyrektora i przeprosić za swoje niemożliwe zachowanie. To było kompletnie chore. On, Jonathan N. Grief, chyba zupełnie zwariował. Ale czuł ogromne wewnętrzne napięcie, było ono prawie nie do zniesienia, sam siebie nie poznawał. Co się z nim działo, co się z nim wydarzyło w ostatnich tygodniach?

Uprzedzając ewentualność, że zamiast do Bodego zadzwoni na oddział psychiatryczny i grzecznie poprosi o zabranie do szpitala, jego przypadek jest bowiem stosunkowo pilny, chwycił kopertę i rozerwał ją.

Ten sam charakter pisma co zapisy w terminarzu.

A więc kupiłeś pierścionki. Strasznie się cieszę! Jak bardzo, dowiesz się dziś wieczór w Da Ricardo. Na godzinę 20 zarezerwowałam tam „nasz” stolik.

Kocham Cię!

H.

H.! Znowu tylko to H! H, H, Haaaaa! Ale przynajmniej: Da Ricardo. Konkretnie miejsce. I konkretna godzina. Tyle że dziś przecież wcale nie było dziś, lecz dopiero za sześć tygodni. Jedenastego maja!

Chyba jednak będzie musiał zadzwonić po psychiatrę, tak długo nie wytrzyma.

Ale potem, zanim porwał się na jakiś desperacki czyn, przyszedł mu do głowy pomysł, że zamiast tego powinien lepiej zadzwonić do Da Ricardo. W końcu zarezerwowany stolik to jakiś konkret – a rezerwację robi się chyba z reguły na nazwisko, czyż nie?

*

Pięć minut później Jonathan był bardzo zadowolony. Usiadł przed swoim notebookiem, znalazł w internecie włoską restaurację, zadzwonił tam i od bardzo sympatycznego i niedyskretnego aż miło kelnera z włoskim akcentem (Czyżby jakiś znak? Jakiś znak!) uzyskał informację, że jak dotychczas jest tylko jedna rezerwacja na jedenasty maja. Stolik dla dwóch osób. Na nazwisko „Marks”, jak przeliterował mu jeszcze ten sympatyczny pan; jakże miło z jego strony! No więc „H. Marks”.

Jonathan znów zaczął surfować w Google. H. Marks. W Hamburgu. To nie mogło być trudne. H. znaczy pewnie... Helga? Nie, na takie imię kobieta, którą widział w kawiarni – jeśli, jak miał ogromną, ogromną, ogromną nadzieję, to była w ogóle ta właściwa osoba – była za młoda. Przy czym w przypadku niektórych rodziców nie sposób było dociec, co im przyświecało przy nadawaniu imion swoim dzieciom, zwłaszcza w tak eleganckiej dzielnicy jak Buxtehude. Ale Helgę mimo to

wykluczył. Hannelore także. I Hedwig też. Jakie imiona żeńskie zaczynają się na H?

Kliknął na stronę leksykonu imion. Hadburga? Hadelinde? Hadwine? Zgroza!

Kwadrans później zdecydował się na następujący wybór: Hanna albo Hannah, Heike. Helene. Henrike. Hilke – to brzmiało przynajmniej północnoniemiecko.

Z powrotem do Google, tym razem na stronę ze zdjęciami.

*

Po pięciu godzinach Jonathan N. Grief był nie tylko niezadowolony, ale i zrozpaczony. Klikając, przebrnął przez, jak mu się zdawało, chyba z dziesięć tysięcy zdjęć i osiemdziesiąt tysięcy stron. Jednak albo za Hanną bądź Hannah, Heike, Helene, Henrike, Helgą, Hedwig, Hannelore, Hadburgą, Hadelinde, Hadwine – ba, rozszerzył swój wybór nawet o imiona rodem z Absurdystanu: Helewidis, Heilgard i parę innych obrażeń ciała – Marks nie kryła się po prostu ta kobieta, której szukał, albo też nie można jej było znaleźć w internecie. W każdym razie on nie mógł lub sposób był zły.

Jonathan wyczerpany złożył głowę na blacie stołu obok swego notebooka. A sekundę później zasnął mocno i głęboko.

Hannah

19 marca, poniedziałek, godzina 23.07

– Myślisz, że to naprawdę dobry pomysł? – Hannah patrzyła z powątpiewaniem na Lisę, która siedziała obok niej na siedzeniu pasażera w jej twingo.

– Nie – odpowiedziała tamta ze śmiechem.

– Co? I dlaczego mówisz to dopiero teraz?

– To był tylko żart – odparła Lisa skruszona. – Przepraszam.

– Kobieto, nie mów przepraszam, tylko czy ten pomysł był dobry, czy nie!

– Taak! Był dobry! Jest dobry! Poza tym rzecz jest już w skrzynce na listy, już się do niej nie dostaniemy.

– A niech to szlag! – zakląła Hannah. – Powinnyśmy się nad tym dłużej zastanowić, to było zbyt spontaniczne!

– Wcale nie. Przecież sama zawsze mówisz, że trzeba iść za tym, co dyktuje ci twój brzuch – i właśnie to zrobiłaś.

– To prawda.

– I co niby może się wielkiego stać?

– Że Simon przekręci się w grobie?

– I powinien! To wprost niepojęte, co przed tobą zataił.

– Hm. Taak.

– Właśnie, taak. A teraz ruszaj. Muszę iść spać.

Hannah zapaliła silnik i skierowała samochód z szerokiego podjazdu willi z powrotem w kierunku nabrzeża Falkensteiner

Ufer. Lisa miała rację, nie powinna już sobie zaprzętać głowy tym, czy postąpiła słusznie, czy nie, bo już to zwyczajnie zrobiła.

Prosto z mieszkania Simona Hannah pojechała do przyjaciółki, opowiedziała jej historię z pierścionkami i pokazała sekretny maszynopis Simona. Lisa z obu powodów była podobnie wytrącona z równowagi jak ona sama – i również wyraziła zdanie, że jedenastego maja Hannah powinna obowiązkowo udać się na swą „randkę” w Da Ricardo, aby zapytać tam faceta, który miał kalendarz, a teraz już także pierścionki, czy aby mu nie odbiło.

Potem wspólnie wymyśliły, co zrobić z książką Simona. Wyszukały najbardziej renomowane wydawnictwo w Hamburgu, pojechały do Bandy Urwisów, gdzie Lisa przepuściła trzysta dwadzieścia trzy strony przez ich leciwą kserokopiarkę, podczas gdy Hannah sformułowała krótkie, ale odpowiednio wzruszające pismo.

*Do Dyrektora Zarządzającego
Do rąk własnych*

„Poufne”, napisała jeszcze za radą Lisy na dużej kopercie, do której wcisnęła kopię tekstu. „Żeby miało odpowiednią wagę”, oświadczyła przyjaciółka.

I tak właśnie było. Powieść Simona *Śmiech Hannah* od pięciu minut tkwiła w skrzynce na listy wydawnictwa Griefson & Books.

Hannah skręciła na Falkensteiner Ufer i nacisnęła na gaz. Zanim dręczące ją nadal wątpliwości spowodują, że zawróci i będzie próbowała włamać się do redakcyjnej skrzynki.

Jonathan

30 kwietnia, poniedziałek, godzina 9.03

Jonathan jakoś dał radę. Przetrwał cały kwiecień, nie tracąc całkowicie zmysłów. Pomógł mu w tym terminarz (nie, własnej mowy pogrzebowej nie napisał, ograniczył się tylko do lakonicznego wpisu w części na notatki: *Jonathan N. Grief – był dobrym człowiekiem, niech odpoczywa w pokoju*) i rozmowy z Leopoldem, który przez ostatnie tygodnie zmienił się w autentycznego przyjaciela. Ze swoimi pokrzepiającymi hasłami w rodzaju: „Konieczność czekania na coś czyni to jeszcze bardziej podniecającym” (podwędzone od Andy’ego Warhola, jak przyznał), „menel”, jak niekiedy nazywał go żartobliwie Jonathan, wywarł większy wpływ terapeutyczny na jego duchowe życie niż dokonaliby tego wszyscy dostępni doradcy życiowi razem wzięci. Jonathan stał się mistrzem spokoju i opanowania. Prawie.

Pomijając fakt, że Markus Bode nadal siedział mu na karku ze swą potrzebą porozmawiania z nim, a Jonathan wciąż jeszcze nie wiedział, co ma zrobić.

Pomijając też to, że próbował wycisnąć więcej czasu – na cokolwiek byłby on potrzebny – i zakomunikował dyrektorowi, że po marcu chce odczekać jeszcze jeden kwartał, by poobserwować, w jakim kierunku zmierza sytuacja w wydawnictwie. Żeby tylko nie podejmować pochopnych

decyzji, których by później żałowali. Czy jakoś tak.

W ostatnim okresie Jonathan sam sobie wydawał się już stuknięty, że nie mógł się zdobyć na to, by najzwyczajniej krzyknąć stanowczo do swego dyrektora: „Niech pan po prostu to robi, mój staruszek i tak już tego nie rozumie, chodzi ze swoją niby-żoną na ciastka, ja w kwestiach handlowych jestem kompletnie bez pojęcia, a pan sobie da radę!”.

Śmieszne. I całkowicie niezrozumiałe. Co go powstrzymywało? Co sprawiało, że był taki lękliwy, taki niezdecydowany, taki... niezdolny do podjęcia decyzji? Był przecież dorosłym, inteligentnym mężczyzną, czyż nie?

A teraz jak zwykle siedział rano przy stole w jadalni z kawą i rogalikiem i zastanawiał się, na czym polega jego problem. Nie wiedział. Wiedział jedynie, że w jego wnętrzu coś było: jakieś pęknięcie, jakiś deficyt, jakiś... jakieś...

„Za dużo myślisz”, przerwałby stanowczo jego rozmyślenia Leo. Ale „menela” akurat nie było, szczęśliwie od tygodnia pracował jako kucharz w pewnej hamburskiej kawiarni i o tej porze zajęty był przypuszczalnie przyrządzaniem najlepszej jajecznicy w całym mieście.

Wzdychając, Jonathan otworzył terminarz na stronie z dzisiejszą datą. No fantastycznie! Jakby ktoś (autorka kalendarza?) zaglądał mu skrycie przez ramię, wpis kolejny raz pasował idealnie do jego sytuacji. A także do Leopolda, który akurat smażył jajka:

Zrób swój wewnętrzny remanent!

Czy znasz program Anonimowych Alkoholików? Nie? Szkoda, gdyż „12 kroków”, za których pomocą zwalczają oni swój nałóg, nadaje się dla każdego człowieka, który chce przejść szczęśliwy przez życie. Najważniejszym punktem jest tu wewnętrzna, a przede wszystkim bezwzględnie uczciwa inwentaryzacja. Działa to w następujący sposób: usiądź i pomyśl nad tym, jakie błędy

popętnieś w swoim życiu. Kogo być może one zraniły, komu zaszkodziłaś; gdzie nie byłeś uczciwy – także wobec siebie. Jakie sprawy powinieneś jeszcze uregulować i wyjaśnić z innymi ludźmi? Bądź przy tym całkowicie szczery, nieważne, jak trudno to przychodzi! A potem zabierz się do naprawiania tych błędów, tam gdzie jeszcze jest to możliwe. Usuń z życia wszelkie niejasności. I od dziś idź przez życie uczciwie i szczerze wobec siebie i innych ludzi. Co to ma przynieść? Wewnętrzny spokój. Odporność na ciosy. A nade wszystko wolność. Wolność od wszelkiego lęku.

Jonathan czytał ten wpis wielokrotnie. I jeszcze raz. Ale ile razy by go czytał, jego przesłanie pozostawało tak wyraźne i jednoznaczne, jakie po prostu było. Obojętne, jakkolwiek by na to patrzył, stało tu czarno na białym wyraźne wezwanie do działania.

Już od czasu rozmowy z Leopoldem nad kanałem Jonathan czuł obawę, że w jego życiu była może jakaś maleńka, drobna rzecz, którą być może, ewentualnie powinien wyjaśnić czy uregulować. Tyle że jego wewnętrzny uparciuch do tej pory bronił się mężnie przed porzuceniem fochów. Bo chociaż od tamtej pory zrozumiał, że w kwestii swojego osobistego poczucia sprawiedliwości trochę się mija z prawdą, to przyznać się do tego, przed sobą i przed innymi, tak naprawdę się do tego przyznać – było... konieczne. Było słuszne.

Zdecydowanym ruchem odsunął krzesło, wstał i pomaszerował do gabinetu. Chwycił za słuchawkę telefonu. Dopiero w tym momencie zorientował się, że nie zna numeru telefonu stacjonarnego owej osoby, sięgnął więc po komórkę, poszukał właściwego numeru w kontaktach i wcisnął „łączenie”.

– Jonathan? – rozległ się po chwili zdziwiony kobiecy głos.

Odchrząknął.

– Tak, halo, Tina!

– To ci niespodzianka!

- Tak, yyy... Wiem.
 - Co się stało, że do mnie dzwonisz?
 - Chciałem cię przeprosić.
 - Przeprosić? – odpowiedział głos, teraz jeszcze bardziej zdziwiony. – Za co niby?
 - Za to, że wyrządziłem ci krzywdę.
 - A wyrządziłeś?
 - Tak.
 - Wcale tego nie zauważyłam. Coś się stało?
 - Tak – powiedział. Potem się poprawił. – To znaczy, nie. Nic się nie stało.
 - No to jak w końcu? – Roześmiała się.
 - Coś sobie tylko uświadomiłem.
 - Brzmi interesująco.
 - Uświadomiłem sobie – zaczął od nowa – że cała ta moja złość, którą od lat żywiłem do ciebie i Thomasa, to była kompletna bzdura.
- Milczenie. A po chwili słowo, wyrażające jeszcze większe zdumienie:
- Naprawdę?
 - Tak. Nie opuściłaś mnie dla mojego najlepszego przyjaciela. Odeszłaś, bo nie kochałem cię naprawdę.
- Ponowne milczenie. Wreszcie Tina poprawiła go:
- Odeszłam, bo my nigdy nie kochaliśmy się naprawdę.
 - My? – powtórzył Jonathan zdumiony.
 - Tak, Jonathanie. Przez długi czas obydwoje sobie coś nawzajem wmawialiśmy, usiłowaliśmy być superparą, bo czysto zewnątrznie to przecież dobrze do siebie pasowaliśmy. I tak też było, tylko że brakowało nam autentycznej miłości. To było coś, czego zawsze szukałam – a kiedy to sobie uświadomiłam, musiałam odejść.
 - Mówisz szczerze?
 - Szczerze.

– A dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś?

– Próbowałam, ale po prostu nie mogłam do ciebie dotrzeć.

– Nie?

– Nie, Jonathanie. – Znów się roześmiała, tym razem jakoś smutno. – Ale bardzo, bardzo się cieszę, że do mnie dzwonisz i mówisz mi to teraz. – Westchnęła. – To może u ciebie jeszcze nie wszystko stracone.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Coś miłego, Jonathanie. Mam na myśli coś miłego.

– Rozumiem – rzekł, ale nie rozumiał ani słowa.

– A co poza tym u ciebie? – dopytywała się Tina.

– Wszystko super – powiedział. – No dobrze, tata jest coraz bardziej zdemencjały, ale to raczej błogosławieństwo niż przekleństwo. W wydawnictwie wszystko po staremu, a poza tym... – Zająknął się. Nie, tego nie będzie teraz mówił.

– Poza tym? – podchwyciła jego była żona.

– Poza tym spotkałam naprawdę fantastyczną kobietę. – No, nie było to przecież tak CAŁKIEM zmyślane. Spotkał ją. Rudowłosą kobietę. W pewnym sensie. No, przecież tak właściwie było. A jeśli będzie miał szczęście, to niebawem znowu ją spotka.

– To wspaniale! – wykrzyknęła Tina. – Mam nadzieję, że tym razem to będzie kobieta odpowiednia dla ciebie.

– Tak. Też mam taką nadzieję.

– Słuchaj, muszę kończyć, Tabea marudzi. Naprawdę się ucieszyłam, że mogłam cię usłyszeć. No to trzymaj się!

– Ty też – odpowiedział. Potem dodał jeszcze: – Przepraszam, że nigdy nie podziękowałem ci za życzenia noworoczne. – Ale ona zdążyła się już rozłączyć.

Jonathan mimo to poczuł się dobrze. Wsłuchiwał się w siebie. Faktycznie, czuł się naprawdę dobrze. Tak, można to było nawet określić jako rodzaj „wewnętrznego spokoju”. Przy tym nie okazało się to wcale takie trudne i nie sprawiło bólu. Oblędne! To

było naprawdę obłądne!

Uskrzydłony ponownie sięgnął po telefon. Tym razem, by zadzwonić do swej asystentki Renate Krug. Już teraz, natychmiast, ma ustalić termin spotkania z Markusem Bodem. Najwyższa pora, by usiąść z dyrektorem zarządzającym i zamienić parę szczerych słów. Jeśli będzie to równie proste jak rozmowa z Tiną, to czego miał się bać?

– Jak dobrze, że się pan odezwał! – wykrzyknęła Renate Krug, gdy tylko podniosła słuchawkę. – Ja też właśnie chciałam do pana zadzwonić. Markus Bode był tu dwie minuty temu i...

– To się świetnie składa! – przerwał jej Jonathan rozbawiony. Tak, tak, los! – Właśnie chciałem ustalić z nim termin spotkania.

– I złożył wypowiedzenie – dokończyła jego asystentka rozpoczęte zdanie.

– Słucham?

– Złożył wypowiedzenie, panie Grief. Markus Bode był przed chwilą w moim gabinecie i złożył pisemne wypowiedzenie.

Hannah

11 maja, piątek, godzina 19.53

Zdenerwowanie. Wściekłość. Chaos w myślach. Smutek. Ciekawość. Lęk.

To wszystko odczuwała Hannah, gdy – prawie dziesięć minut przed czasem – zajęła miejsce przy stoliku zarezerwowanym na nazwisko Marx w Da Ricardo.

A więc nadeszła godzina prawdy. Teraz się dowie, kim jest mężczyzna, który od blisko pół roku latał po mieście śladami Simona z jego kalendarzem. W każdym razie Hannah miała nadzieję, że się tu pojawi, gdyż pytanie, kto to może być, nie dawało jej spokoju.

Wielokrotnie dyskutowała z Lisą o tym, jaki normalny człowiek mógłby wpaść na pomysł, żeby znalazłszy terminarz, zamiast go po prostu oddać (na policji, w biurze rzeczy znalezionych, gdziekolwiek), żyć według zapisanych w nim terminów. Łącznie z kupnem nie swoich PIERŚCIONKÓW ZARĘCZYNOWYCH! Nie przyszedł im do głowy żaden logiczny powód, poza jednym, że nie chodzi tu o jakiegoś normalnego człowieka, ale o wariata.

Dlatego Lisa początkowo nalegała, by towarzyszyć Hannah dziś wieczór w Da Ricardo, nie chciała bowiem, by jej przyjaciółka padła ofiarą mordercy z piłą łańcuchową. Jednak po kilku rozmowach Hannah zdołała wreszcie przekonać Lisę, że

prawdopodobieństwo, iż w piątkowy wieczór zostanie zabita w uczęszczanej restauracji, na oczach licznych świadków, było stosunkowo niewielkie. Mimo to musiała obiecać, że co godzina będzie się odzywać do Lisy przez komórkę. „Inaczej dzwonię po policję! – zagroziła Lisa. – Albo przyjdę sama!”.

W międzyczasie także Lisa przeczytała powieść Simona. I była nią tak samo zachwycona, a więc nie tylko zdaniem Hannah była to dobra książka.

Niemniej z Griefson & Books Hannah nie otrzymała do tej pory żadnej odpowiedzi, co ją trochę rozczarowało. Nie miała wprawdzie pojęcia, jak działają wydawnictwa, ale oczekiwała jakiegoś odzewu w ciągu sześciu tygodni. No dobrze, właściwie spodziewała się nawet euforycznego telefonu w rodzaju: „Natychmiast wysyłamy pani umowę do podpisania!”.

Nie ze względu na pieniądze, wcale nie. Nie wiedziała przecież nawet, czy ma jakieś prawa do książki (wcale nie chciała ich mieć), ale była zdania, że powieść Simona zasługuje na to, by ją opublikować nawet po jego śmierci.

Hannah znów pomyślała o historii, którą jej ukochany przelał na papier. Taka piękna historia miłosna! I znowu do oczu napłynęły jej łzy. Taka cudowna historia – i niestety zupełnie nieprawdziwa.

Akurat chciała sięgnąć po torebkę i wyjąć z niej chusteczkę, gdy kotara oddzielająca jej małe *separé* rozsunęła się.

Hannah uniosła wzrok. Mężczyzna z niebieskimi oczami i czarnymi, przetykanymi siwizną włosami. To był rzeczywiście ten typ, który tak szczególnie wpatrywał się w nią w kawiarni, zapamiętała bardzo dobrze jego twarz.

Teraz też wlepił w nią wzrok. Chociaż trochę niepewnie, jego spojrzenie było rozbiegane.

– Dobry wieczór – powiedział cicho. – Nazywam się Jonathan Grief. Czy pani Marks?

Odsunęła nieco krzesło, na którym siedziała, podniosła się

i podeszła do niego.

– Hannah – przedstawiła się.

Jonathan

11 maja, piątek, godzina 19.55

Jonathanowi drżały kolana, gdy za pięć ósma wysiadł z samochodu przed włoską restauracją Da Ricardo. Serce mu się tłukło w piersi, inaczej trudno to było określić. I pozostawało dla niego zagadką, jak w tym stanie w ogóle przetrwa najbliższe pięć minut, nie mówiąc już o całym wieczorze, do którego, miał nadzieję, dojdzie. W każdym razie za kilka minut faktycznie stanie twarzą w twarz z rudowłosą kobietą, czego wszak nadal nie wiedział z całkowitą pewnością. Ani tego, czy „H. Marks” była tą właściwą osobą, ani też, jeśli to ona, czy w ogóle przyjdzie do restauracji.

Stosownie do sytuacji był tak zdenerwowany jak jeszcze nigdy w życiu. Mimo to nie wchodziło w rachubę, by teraz się wycofał, wyczekiwał tego momentu nazbyt długo i żarliwie.

W minionych tygodniach nie mógł już jednak zbyt dużo rozmyślać o brzemiennej w skutki dacie jedenastego maja. Ostatnie dwa tygodnie po niespodziewanym odejściu Markusa Bodego okazały się niezmiernie absorbujące. Jonathan był codziennie w wydawnictwie. Po pierwsze, by demonstrować zespołowi swą obecność, po drugie, by jakoś się wdrożyć do pracy, którą dotychczas wykonywał jego dyrektor zarządzający. Przynajmniej jako tako.

Z piskiem opon zajechał do wydawnictwa i wpadł do biura

Markusa Bodego zaraz po tym, gdy Renate Krug powiadomiła go o złożonym przez niego wypowiedzeniu. Próbował go na wszelkie sposoby przekonać, by został, oferował wyższą pensję, nowy służbowy samochód, wyłączną odpowiedzialność za całe wydawnictwo, jeśli trzeba, także codzienne masaże w jego biurze – wszystko na nic.

– Już nie mogę – powiedział jego dyrektor. – I nie ma to nic wspólnego z tym, że od lat czułem się jak pajac, który dokładnie jak pan wisi na sznurku trzymanym przez pańskiego ojca i tak czy owak nie wolno mu naprawdę o czymkolwiek decydować...

– Zaraz – przerwał mu Jonathan. – Co pan ma na myśli z tym pajacem i że dokładnie jak ja?

Bode jednak najspokojniej w świecie pakował swoje rzeczy z biurka, mówiąc z niezmaconą determinacją dalej:

– Moja żona i ja zrozumieliśmy, że tak dalej być nie może.

– Co? – zapytał na to zaskoczony Jonathan. – Myślałem...

– No cóż, dogadaliśmy się z powrotem.

– Naprawdę? Jak to? – Jonathan miał nadzieję, że jego głos wyrażał raczej radość niż przerażenie. To przecież go cieszyło, w każdym razie powinno. To przecież dobrze, gdy pary się z powrotem „dogadują” – ale jeśli to miał być powód wypowiedzenia Markusa Bodego, to właśnie bardziej go to przerażało, niż cieszyło.

– Tak – odpowiedział jego dyrektor, jego były dyrektor generalny. – Jak to w życiu: kryzys jako szansa. No, wie pan. Moja żona podczas długiej rozmowy wyłuszczyła mi wczoraj, że wprawdzie nadal mnie kocha, ale nie uważa już nas za rodzinę, gdyż od lat poświęcam się wyłącznie pracy. – Roześmiał się. – Jak już powiedziałem, pracy, która... ale zostawmy to.

– A co to teraz oznacza?

– Robię sobie przerwę. Wybieramy się z dziećmi w podróż dookoła świata.

– Podróż dookoła świata? Z dziećmi?

– Pora jest idealna, nasza najstarsza córka za dwa lata idzie do szkoły, wtedy nie będzie to już możliwe.

– Ale z tego powodu nie musi się pan od razu zwalniać!

– Owszem – powiedział Bode. – I nie mam też zamiaru tu wracać. Poszukam sobie czegoś innego, mniej stresującego.

– No tu już pan trochę przesadził! Aż tyyyyyle stresu chyba pan tu nie miał!

– Ach, panie Grief – rzekł Markus Bode, a potem poklepał go przyjaźnie po ramieniu. – Kiedy pan przejmie moje obowiązki, to szybko pan zrozumie, o czym mówię. – Mrugnął do niego porozumiewawczo. – Ale gdy tylko wrócę z podróży, to z przyjemnością wznowię nasze wspólne partie tenisa. Wygrywanie z panem zaczyna mi powoli sprawiać prawdziwą przyjemność.

– Ehm – Jonathanowi odebrało mowę. – Ale... ale... od kiedy pana nie będzie? To znaczy, w wydawnictwie?

– Od zaraz, już.

– Od zaraz? Jak to?

– Jestem tu od dobrych piętnastu lat, przysługuje mi zatem półroczne wypowiedzenie. A zaległe urlopy i nadgodziny to więcej niż pół roku – sędzę, że tak jest w porządku.

– Panie Bode, ja...

– Powodzenia, panie Grief – powiedział Markus Bode i ustawił sobie karton z rzeczami osobistymi na ramieniu. – Da pan sobie radę! A poza tym... – Wskazał na stos papierów na swoim biurku. – Leży tu kilka znakomitych tekstów. Może zajrzy pan do nich przy okazji? – Powiedział to i już go nie było.

To tyle na temat Bodego względnie jego nagłego odejścia. Ale o tym Jonathan nie chciał wcale myśleć w tym decydującym, ba, wręcz przełomowym momencie. Zgoda, jeśli ma być szczerzy, to również w ostatnich dniach specjalnie o tym nie myślał. W wydawnictwie na początek ustalił plan działań: „Wszystko jak dawniej”, a poza tym modlił się, by cała reszta się jakoś ułożyła.

Jakoś.

– Nic z tego nie będzie – zawyrokował z miejsca Leo, gdy opowiedział mu o kłopotach, co Jonathan skwitował tylko zdaniem:

– Ty się martw swoją jajecznicą, menelu.

A teraz wchodził do Da Ricardo. Restauracja za ciężkimi drzwiami wejściowymi okazała się małym włoskim lokalem, urządzonym z dużym smakiem. Wszystkie stoliki były zajęte. Jonathan rozglądał się podekscytowany za rudowłosą kobietą, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. W ogóle przy żadnym stoliku nie siedziała samotna osoba – stwierdziwszy to, poczuł, jak ogarnia go fala rozczarowania.

– *Buonasera*. – Podszedł do niego uśmiechnięty kelner. – Pan rezerwował stolik?

– Tak – odrzekł Jonathan zrezygnowany. – Na nazwisko Marks.

– Proszę za mną! – Kelner skinął mu grzecznie głową i ruszył przed siebie. Jonathan szedł za nim przez restaurację, serce znów zaczęło mu walić jak szalone. Czyżby jednak była? CZYŻBY-JEDNAK-BYŁA?

Kelner podszedł do kotary i rozsunał ją ze słowami:

– Bardzo proszę.

Siedziała tam. Na wprost niego. Kobieta z zielonymi oczami i rudymi lokami. To była naprawdę kobieta z kawiarni, bardzo dobrze zapamiętał jej twarz.

Patrzyła na niego z nieruchomą twarzą.

– Dobry wieczór – powiedział cicho. – Nazywam się Jonathan Grief. Czy pani Marks?

Odsunęła nieco krzesło, wstała i podeszła do niego.

– Hannah – przedstawiła się. Następnie zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek.

Hannah

11 maja, piątek, godzina 21.20

Również tego wieczoru Hannah nie mogła się nacieszyć smakiem tak ponoć doskonałego jedzenia w Da Ricardo. Po jej nieco chłodnym powitaniu szef we własnej osobie znowu nalał im do kieliszków wina Gavi i od tej pory więcej nie wychynął zza kotary. Prawdopodobnie już tego nie robi – zapewne uznał Hannah za jakąś wariatkę, która przychodzi do tego *separé* wyłącznie po to, by doprowadzać mężczyzn do płaczu.

Gdy Hannah wyjaśniła Jonathanowi powód spoliczkowania, mianowicie że „przywłaszczył” sobie prezent dla zmarłego, wyglądał na autentycznie wstrząśniętego.

– Nie miałem pojęcia! – powiedział. – Tak mi przykro! Na początku naprawdę po prostu próbowałem znaleźć właściciela kalendarza, ale z czasem to, co tam pani wpisała, absolutnie mnie zafascynowało. I tak, moja wizyta u tej wróżki... Jakoś tak po niej zacząłem wierzyć, że to los zesłał mi ten wspaniały dar. Niestety chyba przez to stałem się trochę bezkrytyczny i zwariowałem do tego stopnia, że nawet kupiłem pierścionki. To była oczywiście kompletna przesada, niech mi pani wybaczy. Ale jak już powiedziałem, uznałem to za zrządzenie losu.

Od tego momentu Hannah była rozbrojona – jak potępić jego postępowanie, wierząc w to, w co zawsze wierzyła?

Teraz przysłuchiwała się uważnie Jonathanowi. Jak opowiadał

jej, że torba z kalendarzem w Nowy Rok wisiała na kierownicy jego roweru. Że charakter pisma przypominał mu jego matkę, która opuściła go, gdy był dzieckiem. I jak spotkał nad jeziorem zdezorientowanego nieco „Harry’ego Pottera”, i dopiero teraz zrozumiał, kto to musiał być.

Rozmawiali długo i obszernie, tylko co jakiś czas Hannah wysyłała Lisie esemesa, że wszystko w porządku, i prosiła ją, żeby tamta nie zawiadamiała policji ani sama nie przyjeżdżała. I to też była prawda, wszystko było w porządku, tyle że Hannah niekiedy płakała tak rozpaczliwie, że Jonathan raz ujął jej rękę, ale natychmiast ją puścił, gdy tylko się nieco uspokoiła.

Wyjaśnili sobie sprawę nazwiska, że mianowicie Hannah nazywa się Marx, a nie Marks. Gdyby Jonathan poszukał w internecie niejakiej H. Marx, to dość szybko natknąłby się na właścicielkę Bandy Urwisów. Hannah opowiedziała mu o chorobie Simona i jego lęku, o jego rozpaczach, która dopadła go zresztą już wcześniej z powodu utraty pracy, na co Jonathan wtrącił, że gdy czytał notatkę o zaginięciu Simona Klamma w „Hamburger Nachrichten”, jego nazwisko od razu wydało mu się znajome, bo normalnie czyta gazetę codziennie. I że, to znowu los!, zdjęcie przyjaciela Hannah było oderwane. Inaczej na pewno rozpoznalby w nim mężczyznę znad jeziora i zgłosił się na policję.

Rozmawiali godzinami, i chociaż Hannah właściwie zamierzała wygłosić w Da Ricardo kazanie temu „pospolitemu złodziejowi pierścionków i kalendarza”, to w trakcie rozmowy musiała dość szybko przyznać przed sobą, że polubiła Jonathana Griefa. Podobał jej się jego nieco staromodny i niezgrabny sposób bycia. Miał urok, jak powiedziałyby jej matka, aczkolwiek trochę osobliwy.

– Tyle już gadaliśmy – stwierdziła Hannah, gdy zrobiło się po północy. – A ja wciąż nawet nie wiem, czym się pan właściwie zajmuje. To znaczy, oprócz tego, że żyje pan według czyjegoś

kalendarza. Kim pan jest z zawodu?

– Jestem wydawcą – wyjaśnił Jonathan.

– Wydawcą czego?

– Książek.

– Nie! – wyrwało się zaskoczonej Hannah.

– A jednak – odparł jej rozmówca powoli i nieco niepewnie.

– Jonathan Grief? – pytała dalej. – Ma pan coś wspólnego z Griefson & Books?

Teraz uśmiechnął się do niej.

– Tak, mam. To moje wydawnictwo.

– Coś podobnego! – Hannah uderzyła dłonią w blat stołu, zupełnie niekobieco, tak mocno, że kieliszki zadźwięczały.

– Obawiam się, że nie rozumiem...

– Simon napisał powieść – oświeciła go. – Znalazłam maszynopis dopiero po jego śmierci. – Chrząknęła i na wspomnienie tego momentu musiała się przez chwilę pozbierać. – *Śmiech Hannah* nazywa się ta książka i kilka tygodni temu wrzuciłam ją do pana skrzynki pocztowej w wydawnictwie.

– Och – powiedział Jonathan. I z miejsca zaczął się jąkać. – Ja... no więc... do tej pory... no więc, z programem mam... – Zaczął od nowa. – *Śmiech Hannah*, powiedziała pani?

– Tak. – Skinęła głową.

– Simona...

– Klamma.

– Nie jestem pewny, czy coś mi to mówi. – Patrzył na nią wręcz przepraszająco.

– Wrzuciłam to bezpośrednio w wydawnictwie. Z dopiskiem „Dla dyrektora zarządzającego”.

– Ach tak! – Jonathan poczuł ulgę. – Mój dyrektor zarządzający właśnie się zwolnił, dlatego... No tak, to dlatego. Przypuszczalnie maszynopis leży gdzieś w redakcji. Ale zaraz się tym zajmę, gdy tylko będę w wydawnictwie.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się do niego. – To byłoby

naprawdę wspaniale, gdyby pan na niego zerknął.

– Ależ zrobię to bardzo chętnie!

– Bardzo dziękuję!

Rozległo się chrząknięcie, kurtyna się rozsunęła. Wszedł Ricardo, grzecznie zapytał, czy chcą jeszcze coś zamówić, bo jeśli nie, to chcieliby wkrótce zamykać, w końcu jest już prawie pierwsza.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała Hannah. – Zaraz wychodzimy. – Popatrzyła na Jonathana i wydało się jej, że dostrzegła na jego twarzy cień rozczarowania. Ale może to sobie tylko uroiła.

Kwadrans później wyszli na ulicę. Stanęli naprzeciwko siebie, obydwoje trochę niepewni, jak mają się po tym wszystkim ze sobą pożegnać.

– Czy mogę panią odwieźć do domu? – spytał Jonathan i wskazał na swojego saaba, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. – Jest już bardzo późno.

– To byłoby wspaniale.

Poszli do samochodu, Jonathan grzecznie otworzył Hannah drzwiczki od strony pasażera, ona wsiadła. Następnie siadł za kierownicą.

– Gdzie mam panią zawieźć?

Hannah wahała się przez chwilę.

– Czy mógłbyś – zapytała, przy czym forma „ty” przeszła jej przez usta zupełnie automatycznie – pokazać mi to miejsce nad jeziorem, gdzie widziałeś Simona?

Jonathan zapalił silnik.

– Oczywiście.

Jonathan

12 maja, sobota, godzina 8.30

Maszynopis. Gdzie się podziewał ten przekłety maszynopis? Jonathan przerzucał nerwowo stertę papierów na biurku Markusa Bodego, której do tej pory nie zaszczycił jednym spojrzeniem. Po prostu jeszcze nie zdążył. No tak, zbytnej ochoty też na to nie miał.

Ale teraz, po wczorajszym wieczorze z Hannah... Po wieczorze z tą cudowną kobietą musiał, musiał, musiał znaleźć ten przekłety maszynopis. Bo był ważny dla niej. I dlatego był też obecnie ważny dla niego. Logiczne więc, że dziś, w sobotę, z samego rana pojechał do wydawnictwa. Bardzo mu było na rękę, że żaden z pracowników nie widział go w tym stanie konfuzji, w jakim się znajdował.

Przez całą noc Jonathan nie zmrużył oka. Wciąż od nowa odtwarzał w głowie wieczór z nią, taki wspaniały. I oczywiście również bardzo smutny. A więc niedawno straciła mężczyznę swego życia. To było oczywiście nie tylko straszne, ale też komplikowało całą sprawę. Początkowo chciał bowiem po prostu powiedzieć Hannah Marx, że od chwili, gdy zobaczył ją w kawiarni, na zabój się w niej zakochał, ba, wyobraził już sobie tę scenę w najżywszych kolorach, ze wszystkimi romantycznymi szczegółami. Jednak w myślach natychmiast się z tego wycofał, gdy od razu na początku rozmowy wytłumaczyła mu, że

policzek, który mu wymierzyła, był spowodowany śmiercią jej ukochanego i gniewem na Jonathana, gdyż wykorzystał jego kalendarz. W tym momencie spontaniczne wyznanie miłości nie wydało się Jonathanowi dobrym pomysłem. Gdyż było oczywiste, że Hannah nie ma w ogóle nastroju do takich wynurzeń. W każdym razie, jeśli ma coś takiego jak serce. A że je miała, tego Jonathan był absolutnie pewny. Po wczorajszym wieczorze był wręcz zachwycony nie tylko wyglądem Hannah, ale całą jej osobowością, jej serdecznym sposobem bycia i urzekającym śmiechem, któremu nie sposób było się oprzeć. Miała w sobie niewiarygodnie pozytywne nastawienie do życia. I to mimo tak ciężkiego ciosu, jaki wymierzył jej los; przed jej dzielnością mógł się tylko w duszy pokłonić.

Wracał myślą do tego, jak późno w nocy pojechali nad jezioro i pokazywał jej miejsce, gdzie odbył z Simonem krótką rozmowę o łąbodziach jako symbolu transcendencji. Hannah znowu wybuchnęła płaczem, a Jonathan objął ją i trzymał bardzo mocno, w tamtym momencie nie przyszło mu do głowy nic innego. Hannah, szlochając, wtuliła się w niego jak małe dziecko, była tak blisko niego, że czuł bicie jej serca. Zamknął wtedy oczy i wyobrażał sobie, że jest w jego ramionach nie dlatego, że rozpacza po innym, lecz że pragnie bliskości jego, Jonathana N. Griefa. Niemal zbyt piękne, by było prawdziwe, ale może któregoś dnia... w końcu dzięki Hannah w jego życiu zdarzyło się tak niewiarygodnie dużo, że nigdy wcześniej by w to nie uwierzył.

No więc gdzie się podziewał ten głupi maszynopis? *Śmiech Hannah*, powiedziała. Zaadresowany do dyrektora zarządzającego i wrzucony do skrzynki wydawnictwa. Czy w ogóle znalazł się na biurku Bodego? Powiedział on Jonathanowi, że leży tam parę „znakomitych” tekstów. A co, jeśli właśnie ten nie był znakomity, ba, nie był nawet chociaż dobry? Czy Markus Bode, nie zastanawiając się długo, wyrzucił go do

kosza?

Ale czegoś takiego w wydawnictwie z zasady się nie robiło, zwykle każdy nadesłany tekst archiwizowano, nawet jeśli nie był interesujący. Przy czym archiwizowanie znaczyło w tym przypadku, że asystentka redakcji pakowała wszystko do wielkich skrzyń, które znoszono gdzieś do piwnicy. W myślach widział już, jak wędruje między niekończącymi się rzędami żółtych pocztowych kartonów, w migającym świetle jednej jedynej neonówki...

Jest! Jonathan poeksycytowany chwycił stos kartek. Na pierwszej stronie napisano wielkimi literami: „Śmiech Hannah. Powieść Simona Klamma”.

Niecierpliwie zasiadł za biurkiem Markusa Bodego, odwrócił stronę tytułową i z miejsca zabrał się do lektury. Jednak nie przeczytał dużo. Już po pierwszym akapicie się zatrzymał.

Zrobiło mu się trochę niedobrze. Simon Klammm. Tak, to nazwisko rzeczywiście coś mu mówiło. I niestety nie tylko jako nazwisko dziennikarza „Hamburger Nachrichten”. Nie, w głowie Jonathana narastało wspomnienie, które pojawiło się z początkiem lektury *Śmiechu Hannah*. Bardzo, bardzo nieprzyjemne.

Zerwał się z krzesła Bodego. Tak gwałtownie, że ciężki obrotowy fotel przewrócił się z hukiem, ale Jonathan nie zwrócił na to uwagi i popędził do własnego biura.

Podczas gdy jego komputer się otwierał, bębnił niecierpliwie palcami po blacie biurka. Miał nadzieję, że się myli. Miał wielką nadzieję, że tak jest.

Niestety nie mylił się. Szukanie dokumentu z nazwiskiem „Klammm” po chwili dało wynik. Komputer wypuł pismo odmowne, które Jonathan napisał osobiście mniej więcej cztery lata wcześniej i również osobiście razem z maszynopisem *Śmiechu Hannah* włożył do koperty i odesłał nadawcy.

Teraz Jonathanowi było już nie tylko niedobrze. Czuł się

okropnie, czytając ponownie list, który wystukał wtedy własnymi rękami:

Szanowny Panie,

wczoraj z rosnącym zachwytem zacząłem czytać maszynopis Pana debiutanckiej powieści. Mogę w tym miejscu powiedzieć, że ze strony na stronę jej lektura sprawiała mi coraz większą przyjemność, wieczorem zabrałem nawet wydruk do domu, bo nie chciałem przerywać czytania. Pana sposób pisania jest błyskotliwy, dowcipny i tak zajmujący, że czas mija jak z bicza trząśł – a Pan ma bardzo piękny dar, mianowicie opisuje Pan swe postaci w taki sposób, że odnosi się wrażenie, że ma się je przed oczami.

Mogę tylko powiedzieć: TAK TRZYMAĆ! Odkryłem w Panu wielki talent i niezmiernie się z tego cieszę! Nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam całość, i już się cieszę na to, że wkrótce, mam nadzieję, poznam Pana osobiście.

Tacy autorzy nie rodzą się codziennie.

Tak.

Kropka.

Akapit.

Od nowej linijki.

Taki mały żarcik. Szanowny Panie Klamm, nie będę owijał w bawełnę i postaram się streszczać. Tak zły tekst (przy czym słowo tekst tak naprawdę tu nie pasuje, nazwijmy to raczej przypadkową zbieraniną posklejanych niepotrzebnie słów) nie trafił jeszcze na biurko w całej mojej karierze. Za grzech uważałbym już choćby tylko sugerowanie Panu dalszego pisania. W takiej sytuacji mówię zawsze: szewcze, pilnuj swego kopyta. Nie wiem wprawdzie, jaki ma pan zawód, ale jedno jest pewne: nie jest nim pisarstwo. Zatem zalecam Panu (prawie napisałem PROSZĘ): niech Pan pośle ten plik

z monitora do kosza i PROSZĘ (teraz to jednak napisałem) nie zapomnieć, by kosz następnie opróżnić.

Odpowiedzi na to pismo nie oczekuję (nie chciałbym czytać jeszcze więcej...).

Z wyrazami szacunku

Jonathan N. Grief

Gorąco i zimno. Jonathanowi robiło się na przemian gorąco i zimno. Potem znowu gorąco. I znowu zimno. Lodowato zimno. Czy on to naprawdę napisał? A potem jeszcze wysłał?

Tak, zrobił to. Nie potrafił sobie za bardzo wytłumaczyć, w jakim psychicznym stanie się wtedy znajdował, by napisać aż tak raniący list – ale, by być szczery, musiał się przyznać przed sobą, że teraz, gdy miał przed oczami swój odmowny list, przypominał to sobie bardzo dobrze.

Także wtedy nie przeczytał zbyt dużo ze *Śmiechu Hannah*. Po ledwie dwóch czy trzech stronach odhaczył maszynopis jako „przeraźliwy kicz”. Jako coś, czego świat nie potrzebował, a już zwłaszcza świat literacki. Na koniec napisał ten list i go wysłał.

Dlaczego? No dlaczego? Pytał teraz siebie o to zupełnie szczerze i uczciwie, tak jak zalecała to „wewnętrzna inwentaryzacja”. Czemu tak postąpił?

Tego już nie wiedział, Jonathan N. Grief najzwyczajniej nie miał pojęcia, co w niego wtedy wstąpiło. Wiedział tylko jedno: jeśli w ogóle chce mieć jakąś maleńką szansę, by spędzić z Hannah jeszcze więcej czasu, a może nawet zaskarbić sobie jej sympatię, to nie ma ona prawa dowiedzieć się o tym nigdy, PRZENIGDY!

Jonathan

20 maja, niedziela

– Powiedz, nie sądzisz, że to jest trochę głupie?

– Przepraszam, co jest głupiego w tym, żeby pobiegać boso po łące? Uważam, że to piękne! – odparła Hannah.

– Naturalnie samo w sobie nie jest to głupie. Ale wpisywać to ekstra jako zadanie do kalendarza chyba nie jest konieczne. Coś takiego można chyba robić i bez tego.

– Tak uważasz? – Popatrzyła na niego wyzywająco. – A kiedy ostatni raz to robiłeś?

– Hm. – Jonathan poczuł się przyłapany.

– No widzisz – powiedziała Hannah i wyglądała na bardzo zadowoloną. – I właśnie dlatego, że się tego nie robi tak po prostu, wpisałam to do kalendarza.

– Już dobrze – zamruczał nieco zawstydzony i brodził dalej bosymi stopami po trawie obok Hannah. Wcale się zresztą nie zamierzał uskarżać. Przeciwnie! Jonathan był szczęśliwy, że chciała się z nim ponownie zobaczyć. A jej propozycję, by w kwestii następnego spotkania kierować się kalendarzem, uważał zasadniczo za dobrą.

Tylko że: boso wydawał się sobie tak... no właśnie, nagi, bezbronny. Niemęski.

– No już chodź, sieroto! – zawołała ze śmiechem, gdy bardzo ostrożnie obchodził łukiem kępę pokrzyw. – Kto pierwszy

dobiegnie tam do lodziarni na dole, ten płaci. – Ruszyła pędem.

– Kto pierwszy, ten płaci? Co to za logika? – krzyknął za nią.

– Moja! – prychnęła przez ramię.

Ach, lubił ją. Naprawdę ją lubił. Naprawdę bardzo.

Hannah

4 czerwca, poniedziałek

– Przepraszam, ale już nie mogę. Jeszcze jeden kęs i pęknię – oświadczył Jonathan i ze wstrętem odsunął od siebie talerzyk ze zjedzonym tylko do połowy lubeckim tortem orzechowym.

– Pękać nie należy. Chodzi tylko o to, żeby człowiekowi zrobiło się niedobrze – odparła.

– Niedobrze jest mi już od przedostatniego kawałka.

– Mogłeś to powiedzieć.

– Nie chciałem cię zawieść.

– Ale to przecież są twoje urodziny – a nie moje.

– Jak w ogóle wynalazłaś datę moich urodzin? – chciał wiedzieć Jonathan. Przedwczoraj zaskoczyła go, oznajmiając, że w poniedziałek po południu zaprasza go do Lütt Café na kawę i ciastko. To wprawdzie nie było zapisane w kalendarzu pod datą czwartego czerwca, i Jonathan zwrócił Hannah uwagę na to, że w tygodniu nie może urwać się z wydawnictwa w godzinach pracy – ale ona wygrała. Bo taki program ustaliła na obchodzenie urodzin i basta!

– Zadzwoiłam do ciebie do biura i zapytałam.

Jonathan zakrztusił się herbatą, którą właśnie pił.

– Zadzwoiłaś do biura? – powtórzył za nią jak echo, z trudem łapiąc oddech.

– No tak. A dlaczego by nie? – Uśmiechnęła się do niego. – Twoja miła asystentka była nadzwyczaj życzliwa.

– Tak, tak. – Teraz i on uśmiechał się i wyglądał przy tym

sympatycznie łobuzersko. – Kochana pani Krug, no, będę musiał zamienić z nią poważnie słówko w kwestii ochrony danych osobowych.

– Bez obawy, zdradziła mi tylko dzień, a nie rok.

– A co to ma niby znaczyć? – zapytał oburzony.

– Nic, zupełnie nic. – Zachichotała. Sprzeczenie się z Jonathanem sprawiało jej po prostu frajdę. To był taki umysłowy ping-pong. Ping i pong. I pong, i ping. – À propos wydawnictwo: znalazłeś już książkę Simona?

Popatrzył na nią ze skruchą.

– Niestety nie. Nie mam pojęcia, gdzie Markus Bode go wetknął przed swoim odejściem.

– Ale mogę ci go jeszcze raz skopiować, żaden problem!

– Jutro poszukam jeszcze raz, dobrze? A jeśli nie znajdę, to chętnie skorzystam.

Jonathan

15 czerwca, niedziela

– Słońce mi nie szkodzi, wiesz? – wyjaśniał Jonathan, dysząc. – Włoskie geny, rozumiesz.

– Ale twoje plecy są już dosyć czerwone – odparła Hannah, która siedziała za nim. – Jesteś całkiem pewny, że nie powinnam cię posmarować kremem?

– Nie, nie, to niepotrzebne. – Czuł, że nie tylko plecy miał czerwone, ale i twarz. Co nie było spowodowane słońcem, które od godziny – od kiedy to płynęli łodzią po kanałach Alster – prażyło na nich z góry. To także nie wyczerpujące wiosłowanie ani okoliczność, że Jonathan z powodu upału i wyciskającego pot wysiłku po dziesięciu minutach musiał zdjąć koszulkę (przy czym Hannah, jak zauważył ucieszony, wprawdzie tylko na chwilę, ale za to z dużym zainteresowaniem popatrzyła na jego

tors), były powodem, że się zarumienił. To było wyobrażenie, że Hannah, nacierając go kremem, dotykałaby jego nagiej skóry, a potem... tak, wtedy nawet Jonathan Grief nie mógłby za nic ręczyć!

– Czy właściwie redakcja wydała w międzyczasie jakąś ocenę?
– Hannah unicestwiła ten niemal erotyczny moment.

Jonathan drgnął w poczuciu winy.

– Jak dotąd jeszcze nie.

Cholera! Znowu pytała o książkę Simona. W swym zakłopotaniu Jonathan twierdził, że go znalazł i przekazał redakcji, bo „koledzy stamtąd potrafią to o wiele lepiej ocenić niż ja”.

No to ma teraz pasztet. Hannah w regularnych odstępach czasu pytała o sytuację. Co oczywiście potrafił zrozumieć. Chciała po prostu wiedzieć, czy powieść jest coś warta, czy nie. Gdyby od początku był wobec niej szczery i powiedział jej, że przeczytał kawałek i jest zdania, że wprowadzie na użytek domowy to jest fajne, gdy ktoś siada i pisze – ale nie każdemu dane jest robić to także dla publiczności. Jednak po prostu nie chciał sprawiać Hannah zawodu.

No tak, a jeśli miał być zupełnie szczery, to nie chciał psuć sobie wszystkich szans u niej miażdżącą oceną, gdyż to mogłoby dość znacznie... pogorszyć jej nastawienie do niego. I oczywiście cały czas obawiał się, że Hannah w jakiś sposób – jakkolwiek – mogłaby się dowiedzieć o jego obrzydliwym piśmie z odmową. Mimo że w maju oczywiście natychmiast i ostatecznie usunął ten plik z twardego dysku.

Ach, myśląc o tym, Jonathan czuł się podle. W zaleceniu, żeby iść przez życie szczerze i uczciwie, jednak coś było, jeśli chodzi o wewnętrzny spokój.

Postanowił jak najszybciej powiedzieć Hannah, że redakcja niestety odrzuciła książkę Simona. Nawet jeśli z pewnością będzie zawiedziona. Ale musi to zrobić. Tylko jeszcze nie teraz,

nie dziś. Nie tego cudownego, letniego dnia z nią...

Hannah

25 sierpnia, sobota

- Szczerze mówiąc, czuję się dosyć idiotycznie – szepnęła Lisa.
- Nie jestem przecież przyzwoitką!
- Nie tak głośno! – syknęła Hannah. – Jeszcze go obudzisz!
- Tego tu? – Lisa wskazała na chrapiącego Jonathana. – Dla mnie to on wygląda, jakby leżał w śpiączce.
- Hannah się roześmiała.
- Ale to nader głośna śpiączka.
- Zaraz, jak to było? – zastanawiała się Lisa. – Mężczyźni chrapią dlatego, że w nocy muszą odstraszać dzikie zwierzęta?
- No to dobrze. Bo inaczej kto wie, jakie dzikie bestie by nas tu napadły?
- Na plaży St. Peter-Ording? – odpowiedziała pytaniem Lisa. – Niech się zastanowię... Krewetka pospolita?
- Hannah ponownie musiała się roześmiać. Potem westchnęła, otuliła się szczelniej śpiworem i popatrzyła ku gwiazdom.
- Powiedz, ale tak szczerze: czy to nie cudowne spać w taką noc pod gołym niebem? Z szumem morza jako muzyką w tle?
- Tak – potwierdziła Lisa. – Aczkolwiek byłoby jeszcze piękniej, gdybyście mnie nie wzięli ze sobą, ale byli tu sami.
- Nie mogę przecież spędzić nocy sama z Jonathanem!
- Po pierwsze, leżymy tu na plaży w śpiworach, a po drugie, od kiedy jesteś taka pruderyjna?
- Ja przecież wcale nie jestem pruderyjna!
- Chyba jesteś.
- Do tej pory nie wiem nawet, czy go lubię.
- Wierz mi, bardzo go lubisz. Znam cię już parę lat.
- Hannah milczała przez chwilę, bo nie wiedziała, co ma na to

odpowiedzieć. W końcu wyszeptała:

– Tak, bardzo go lubię. Ale mam taki mętlik w głowie. Od śmierci Simona nie minął nawet rok!

– No i co z tego? – spytała Lisa. – Za trzy lata, gdy ty i Jonathan dorobicie się już trójki dzieci, nikogo nie będzie interesowało, czy przy waszym poznaniu się zachowane zostały reguły przyzwoitości i czy odczekaliście co najmniej dwanaście miesięcy od zgonu twojego pierwszego narzeczonego.

– Ach, ty! – Hannah nabrała garść piasku i cisnęła nim w przyjaciółkę.

– Halo! – poskarżyła się Lisa. – To nie fair rzucać piaskiem!

– Słowami też!

Jonathan

22 września, sobota, godzina 22.30

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że nigdy w życiu nie zabawieś się na St. Pauli – powiedziała Hannah, wciąż jeszcze potrząsając z niedowierzaniem głową, gdy przeciskali się przez zbity tłum ludzi na Reeperbahn. – Coś takiego nie zdarza się prawdziwemu chłopakowi z Hamburga!

– Mnie się jednak zdarzyło. – Jonathan czuł się przykro dotknięty, poniekąd przyłapany. Sam często już o tym myślał. Ale nie chciał Hannah w tej kwestii oszukiwać i dlatego, gdy kalendarz zaordynował im dziś spędzenie nocy w dzielnicy rozrywki łącznie ze śniadaniem na targu rybnym, natychmiast wypowiedział się jej ze swego całkowitego braku doświadczeń z Reeperbahn. – Po prostu się nie złożyło – dodał.

– A jak byłeś zbuntowanym nastolatkiem? – dopytywała się.

– To robiłem inne rzeczy.

– Co na przykład? Żeglowanie, golf?

– Golf tak, na przykład.

– I jeszcze nigdy nie zataczałeś się kompletnie zalany po Hamburger Berg, nie rzygałeś i nie zachowywałeś się naprawdę nagannie?

Czuł, jak rośnie w nim irytacja, zatrzymał się i popatrzył surowo na Hannah.

– Nie, już to przecież mówiłem! Czy mogłabyś dać już spokój? Proszę! Nie ma potrzeby, żebym czuł się jeszcze głupiej, niż i tak już się czuję.

Na twarzy Hannah pojawił się wyraz konsternacji.

– Przepraszam – powiedziała. – Na pewno nie chciałam, żebyś czuł się głupio.

– Ale tak się czuję – odparł Jonathan ponuro. – Jak mały głupi dzieciak, który niczego jeszcze nie przeżył.

– No to chodź, ty mały dzieciaku! – Chwyliła go za rękę, Jonathan odczuł to jak porażenie prądem. – Nadrobimy teraz galopem to wszystko, żebyś nie musiał się tak czuć. – Ze śmiechem pociągnęła go za sobą w kierunku Hans-Albers-Platz.

Cztery godziny później Jonathan stwierdził, że mimo braku doświadczenia ma dryg do bycia wytrawnym bywalcem dzielnicy rozrywki. Kołysząc się na palcach, stał obok Hannah na barze La Paloma i razem z blisko setką innych co najmniej lekko podchmielonych gości wywrzaskiwał hity Rolanda Kaisera & Co.

Godzinę później tańczyli w knajpie Zum Silbersack. Przy czym słowo „tańczyć” wobec braku miejsca nie było całkiem adekwatnym określeniem, raczej jak dwie sardynki w puszcze usiłowali poruszać się w miarę równo wraz z innymi sardynkami.

Po kolejnej godzinie Jonathan przygrywał w powietrzu na gitarze do utworu *With or without you* zespołu U2 w Molly Malone, podczas gdy Hannah, piszcząc, odgrywała zachwyconą fankę.

A tuż przed szóstą stali w budynku aukcyjnym na targu rybnym. Przyglądali się, wprawdzie bez bułeczek z krewetkami,

barwnemu, żądnemu zabawy towarzystwu, do którego też przecież w jakiś sposób przynależeli.

A dokładnie o godzinie piątej trzydzieści cztery Jonathan pochylił się do Hannah, pocałował ją w usta, a potem szepnął jej do ucha:

– Kocham cię.

Hannah

23 września, niedziela, godzina 16.55

Zrobił to. Jonathan ją pocałował. A ona odwzajemniła pocałunek. Wprawdzie trwało to krótko, ale zawsze.

A teraz od paru godzin Hannah siedziała w swoim mieszkaniu na podłodze, z dwoma pudłami rzeczy Simona obok siebie; w przyływie nostalgii przyniosła je z piwnicy. Czowała się bezradna. Skołowana. Smutna. Szczęśliwa. Miała ochotę się śmiać, oczywiście też znowu płakać, wszystko razem i jednocześnie.

Pocałunek Jonathana był cudowny, a przy jego wyznaniu miłości poczuła, że ma miękkie kolana.

Ale już niecałe dwie sekundy później opadły ją jednak tak silne skrupuły, że odsunęła się od niego. Powiedziała mu, że jeszcze nie jest na to gotowa, że to za wcześnie i że musi teraz jechać do domu. Potem wsiadła do taksówki i po prostu zostawiła Jonathana samego, stojącego w tłumie na targu rybnym. Nie była nawet pewna, czy w ogóle zrozumiał wyjąkane przez nią wyjaśnienia. Ale w tym momencie nie potrafiła postąpić inaczej, w jej myślach i sercu w jednej chwili zapanował tak totalny chaos, że wyglądało to na obronę konieczną: jak najszybciej wrócić do domu.

U siebie w domu wcale nie czuła się jakoś mniej oszołomiona niż dziś krótko po wpół do szóstej. Na odwrót. Badala swe

odczucia. I mimo to nie doszła do żadnych wniosków.

Jonathan powiedział, że ją kocha. Czy ona też go kochała? Nie. To znaczy, nie umiała tego powiedzieć. Miłość to takie wielkie, takie silne uczucie. Uczucie, które musi rosnąć. Takie, które łączy się z zaufaniem, a to nie rodzi się w kilka tygodni. Ale nie ulegało wątpliwości, że czuje coś do Jonathana. Lubiała go. Nawet bardzo. Imponowało jej jego poważne podejście do wszystkiego, sposób, w jaki w gryzał się w problemy. Jego nieoczekiwane poczucie humoru, który mógł być równie zuchwały, jak i współczujący. I nawet jeśli nie miało to wielkiego znaczenia, nie uszło jej uwadze, jak inne kobiety odwracają się za nim; musiała przyznać przed sobą, że już czysto zewnątrz bardzo jej się podobał. I z tego „podobania się” mogłaby kiedyś narodzić się miłość.

Ale tylko wtedy, gdy ona do tego dopuści. Gdy ona w to wejdzie. Czy była do tego zdolna? Czy chciała tego? Czy miała prawo? Już teraz?

Otworzyła jeden z kartonów, na samym wierzchu leżało jej zdjęcie z Simonem. Hannah włożyła je tam, bo jego widok był dla niej nie do zniesienia. Teraz patrzyła na nie długo. Na niego, który był mężczyzną jej życia – i na siebie samą.

– Co ja mam robić? – zapytała cicho, gładząc palcami twarz Simona. – Możesz mi powiedzieć? – Zdjęcie milczało, jakżeby inaczej.

Hannah pomyślała o kalendarzu, który przygotowała dla Simona. W którym próbowała udzielić mu rad, co powinien robić, by przetrwać swoją chorobę i nadchodzący rok. Przy wszystkich wyrzutach, jakimi się dręczyła, koszmarnych samooskarżeniach z powodu swej wiary w to, że wszystko jest możliwe, której Hannah złorzeczyła po śmierci Simona – obecnie zawarła pokój z tym fatalistycznym prezentem dla nieżyjącego przyjaciela.

Bowiem absurdem był choćby cień przypuszczenia, że on odebrał sobie życie tylko dlatego. I ponieważ wszystko, co

wypisała w kalendarzu, było dokładnie tym, w co wierzyła i czemu była niezmiennie wierna: każdy dzień, każda pojedyncza sekunda życia jest zbyt cenna, by ją marnotrawić. By pogrzebać ją pod zmartwieniami i troskami. Życie trzeba było PRZEŻYWAĆ – wszystko jedno, jak długo ma trwać. Gdyż w ostatecznym rozrachunku żaden człowiek nie wie, kiedy nadejdzie jego ostatnia chwila. Czy jest chory, czy nie. Dlatego zawsze liczy się tylko TERAZ, tylko DZIŚ. „Wczoraj” jest nieważne i już się nie liczy, a „jutro” nie może na nikogo wpłynąć.

Wprawdzie Simon nie znalazł zastosowania dla jej prezentu, za to „zapisał go w testamencie” Jonathanowi. Czy to z rozmysłem, losowo, czy z jakiegoś innego powodu, Simon wybrał akurat rower Jonathana, by zawiesić na nim torbę z terminarzem. A dziś w nocy Jonathan zapewniał ją, że kalendarz zrobił dla niego dokładnie to, co ona chciała przy jego pomocy sprawić: popchnął go w życie, w sam środek Tu i Teraz. Jego rozczulające wyznanie było zresztą całkowicie zbędne, w końcu Hannah miała oczy: radość, swoboda, jaką promieniał Jonathan, gdy rozmowa schodziła na terminarz, zdradzała więcej niż słowa.

Czyżby więc to wszystko, co się wydarzyło od ostatniego Nowego Roku, w rzeczywistości może miało się potoczyć właśnie tak? Miało się dokładnie tak stać? Musiało się tak stać? I czy wobec tego słuszne było, że dała sobie i Jonathanowi szansę? Że kierując się własnymi radami, nie przejmowała się na jotę dniem wczorajszym?

Wzdychając, wyjęła z pudła segregator z próbami pisarskimi Simona. Kartkowała artykuły, jakby tu miała znaleźć odpowiedź na wszystkie swoje pytania, jakby między wierszami kryło się sekretne przesłanie dla niej. Przewracała stronę po stronie, przekopywała się przez jego dokonania, pamiętała jeszcze dobrze jedną czy drugą historię i to, jak podniecony bywał niekiedy przy tej pracy jej ukochany.

Tylko swoje najważniejsze dzieło, *Śmiech Hannah*, zataił przed

nią.

Czy rzeczywiście nadeszła już pora, by odpuścić? Czy powinna po prostu pozbyć się tych pudeł? Segregatory oddać na makulaturę, te parę rzeczy, które zatrzymała po nim, wyrzucić? Odciąć się tak naprawdę i zacząć nowe życie? Doszła do ostatnich stron segregatora. Na samym końcu Simon wpiął swoje świadectwa. Matura. Dyplom magisterski. Kilka zaświadczeń o praktykach. Zaświadczenie z wolontariatu, wszystko to tkwiło porządnie posegregowane w przezroczystych koszulkach. Całe cholernie krótkie życie.

Przy jednej z ostatnich stron Hannah się zdumiała. To był list z jakiegoś wydawnictwa.

„Szanowny Panie Klamm”, przeczytała, „dziękujemy za nadesłany maszynopis *Śmiech Hannah*. Niestety powieść nie pasuje do profilu naszego wydawnictwa, dlatego też z przykrością informujemy, że nie możemy zakomunikować Panu pozytywnej...”.

A więc Simon jednak próbował. Posłał swoją książkę do wydawnictwa i otrzymał odmowę. Nic przyjemnego – ale prawdopodobnie też nic nadzwyczajnego. Ona sama przecież, mimo swej, no cóż, osobistej znajomości z wydawcą, nie miała żadnej wiadomości z redakcji Griefson & Books i nie liczyła już także na entuzjastyczny odzew. Na to sprawa trwała już nazbyt długo. Dobre wieści zawsze przychodziły szybko.

Hannah przewróciła stronę i znalazła jeszcze jedną odmowę z innego wydawnictwa. I jeszcze jedną. I kolejną. A na ostatniej stronie w segregatorze jeszcze jedną. Czy to był powód, dla którego Simon nie powiedział jej nic o swej powieści? Czyżby się wstydził? I po wszystkich tych odmowach nie zdobył się już na odwagę, by dalej rozsyłać swój maszynopis albo zacząć nową książkę? Możliwe. Cóż jednak znaczyło pięć czy sześć odmownych odpowiedzi? Było tyle wydawnictw, co to miało za znaczenie?

Już chciała zamknąć segregator, gdy zauważyła, że całkiem na końcu przegapiła jeszcze jedną koszulkę. Kartka w niej była złożona i dlatego trudno ją było od razu zauważyć. Hannah wróciła do tej strony, chciała ją rozprostować.

Na widok nagłówka firmowego zmarszczyła czoło.
Griefson & Books?

Jonathan

24 września, poniedziałek, godzina 9.54

– Proszę mi natychmiast zejść z drogi albo coś się stanie!

Jonathan wzdrygnął się, gdy usłyszał głośny i zdenerwowany głos z sekretariatu Renate Krug. To przecież była Hannah!

– Oddzwonię do pana później – przerwał agentowi, z którym akurat rozmawiał przez telefon, i rozłączył się.

W tym momencie drzwi do jego gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła wzburzona, nie, wściekła i szalejąca Hannah. Tuż za nią Renate Krug, która wyjąkała tylko bezradnie:

– Przepraszam, panie Grief, ta pani jest po prostu tak...

– W porządku – uspokoił swą asystentkę. – Znam panią Marx, wszystko dobrze. Proszę nas zostawić samych.

Przez chwilę Renate Krug stała jak wryta w drzwiach, najwidoczniej niepewna, czy słusznie będzie się wycofać, czy raczej wezwać policję. Było to zrozumiałe, bo w oczach Hannah malowała się prawdziwa żądza mordu, która przeraziła też Jonathana. I której nie rozumiał. Pocałował ją, tak. Przypuszczalnie potraktowała to jak napaść, ale ten popis był chyba jednak nieco przesadzony!

– Hannah – powiedział spokojnie i podniósł się z krzesła, gdy tylko jego asystentka opuściła gabinet. – Proszę cię, o co chodzi?

– Ty! – cisnęła w niego złym głosem zamiast odpowiedzi.

– Ja? – spytał zdezorientowany i chciał do niej podejść. Ale ona ryknęła na niego znów tak głośno, że zastygł jak słup soli.

– Ty dupku! Ty potworze! Ty tchórze! Ty zły, zły człowieku! – krzyczała tak, że zatrzęśły się mleczone szyby w drzwiach gabinetu.

– Hannah – powtórzył. – Przykro mi, ale nie rozumiem...

– Nie? – Trzema wielkimi krokami zbliżyła się do jego biurka. Patrzyła na niego z obrzydzeniem, a potem z impetem cisnęła kartkę na blat.

Jonathan rzucił na nią okiem. Zaczął drżeć. Chętnie by się wytłumaczył. Ale wiedział, że nie ma nic, co mógłby w tej sytuacji powiedzieć. Wewnętrznie zapadł się w sobie. Stało się. Hannah znalazła jego straszny list.

– Jesteś ostatnim ścierwem – powiedziała teraz cichym, niestety aż nazbyt wyraźnym głosem. – Nie tylko dlatego, że mnie okłamałeś. Że prawdopodobnie nawet przez cały czas zrywałeś boki ze śmiechu ze mnie i mojego nieżyjącego przyjaciela z jego ambicjami literackimi...

– Hannah! – Teraz jednak spróbował jej przerwać.

– Zamknij się! – krzyknęła. – Zniszczyłeś życie człowieka. Odebrałeś temu człowiekowi wszelką nadzieję, bo przypuszczalnie sprawiło ci to radość. Potraktowałeś go okrutnie i bez potrzeby zniszczyłeś!

– Ja...

– Zamknij się, powiedziałam! – wykrzyczała. Potem znów mówiła ciszej. – Nie chcę cię widzieć nigdy, nigdy więcej w moim życiu. Nigdy! I żeby było jasne: gdy się teraz odwrócę i opuszczę to biuro, nie chcę nigdy więcej o tobie słyszeć.

Jonathan przełknął z trudem ślinę, ale się nie odezwał. Bo i co miałby powiedzieć? Że sam wie, jak straszne, okropne i niemożliwe było jego zachowanie? I, no tak, niewybaczalne?

– Ale jeśli wolno mi udzielić ci ostatniej rady, żebyś miał może maleńką szansę nie wylądować w piekle: zrób sobie wewnętrzną

inwentaryzację. I zrób ją porządnie! Nie znam nikogo na świecie, kto by jej potrzebował bardziej niż ty.

Zanim zdążył na to zareagować, ona już wymaszerowała z biura, szarpnęła przy tym drzwiami z takim impetem, że walnęły o ścianę, aż posypał się tynk. Po chwili rozległ się kolejny grzmot, który powiedział Jonathanowi, że Hannah opuściła już także sekretariat Renate Krug.

Sekundę później asystentka wyjrzała lękliwie zza framugi.

– Wszystko w porządku, panie Grief?

Nic nie odpowiedział. Zamiast tego opadł na krzesło. Nie. Zupełnie nic nie było w porządku.

Hannah

24 września, poniedziałek, godzina 10.17

Jadąc do domu, Hannah tylko płakała, płakała i płakała. A co jakiś czas uderzała z furią w kierownicę. A każdy pojedynczy z piętnastu chyba telefonów, które rozlegały się na trasie między Blankenese a Lokstedt, odbierała i natychmiast wyłączała.

Nigdy więcej nie będzie z nim rozmawiać, poprzysięgła to sobie. Nigdy więcej. Jonathan Grief dla niej umarł.

Jonathan

2 października, wtorek, godzina 11.08

Tuż po ósmej Jonathan wylądował na lotnisku Ameriga Vespucci we Florencji. Był zdenerwowany. I to bardzo.

Ściśle biorąc, Jonathan N. Grief był tak zdenerwowany, że już w hali przylotów zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby znaleźć sobie jakąś zaciszną ławeczkę i poczekać na niej, aż jeszcze tego samego wieczoru jego samolot będzie odlatywał z powrotem do Hamburga.

Bo i co mogło tu na niego czekać? Zapewne tylko matka, która nawet go nie rozpozna, która od paru dziesiątków lat go ignorowała i która po filiżance letniego espresso będzie mu życzyła przyjemnego powrotu i wszystkiego dobrego na przyszłość. Jeśli będzie miał szczęście. A jeśli pecha, to nie spotka w ogóle nikogo i sfrustrowany wróci do siebie. Dlaczego, u diabła, miał to sobie zrobić?

Zbliżając się niechętnie do biura wypożyczalni samochodów, gdzie zarezerwował auto, przywołał sobie w pamięci odpowiedź na swe nieme pytanie: Hannah.

Ponieważ to przedsięwzięcie było jedyną więzią, jaka go jeszcze z nią łączyła. Ponieważ kalendarz z wyznaczonymi przez nią zadaniami stanowił żalostną resztkę tego, co było kiedyś. Tego, co kiedyś mogło być. I dlatego, że Hannah miała rację. Nie tylko z tego powodu, że był tchórzem, który podczas ponownej

„bezlitosnej inwentaryzacji” musiał przyznać, jak złe, jak fatalne było okłamywanie Hannah w sprawie jego odmownego pisma do Simona. Lecz dlatego, że poza tym wszystkim była jeszcze jedna, bardzo ważna rzecz, którą musiał wyjaśnić, jeśli chciał choćby tylko w niewielkim stopniu odzyskać wewnętrzny spokój: Jonathan N. Grief musiał się dowiedzieć, dlaczego matka nigdy się już do niego nie odezwała.

Naprawdę tylko z powodu tej jednej kretyńskiej pocztówki? Napisanej przez gniewnego nastolatka, któremu hormony czy co tam jeszcze zamuliły mózg? Czy był to wystarczający powód dla matki, by porzucić swe jedyne dziecko?

Jonathan nie mógł oczywiście z całą pewnością powiedzieć, czy pozostał jedynym dzieckiem Sofii. Trzydzieści lat to długi czas, może miał we Florencji siedmiu przyrodnych braci i pięć sióstr, Włosi, jak wiadomo, bardzo chętnie się rozmnażają.

To wyobrażenie sprawiło, że jednocześnie się przeraził, ale i uradował (z czasem przyzwyczał się do nowej, właściwej mu schizofrenii). Czyżby był częścią licznej rodziny z południa? Potomkiem rodzinnego klanu, łącznie z *capo di tutti capi* kierującego losami Florencji? Fantazja go poniosła, niemniej uśmiechnął się do tych myśli, gdy w biurze wynajmu samochodów wypełniał wręczone mu formularze.

Na uniesioną pytajaco brew młodego pracownika za kontuarem Jonathan aż nazbyt chętnie zareagowałby rzuconym z werwą zdaniem: „Czy pan wie, kim ja jestem?”, ale na to nie pozwalała jeszcze niestety jego skąpa znajomość włoskiego. Poza tym sam przecież nie wiedział, kim jest dla tego młodego człowieka: czy jakimś tam Jonathanem N. Griefem z Hamburga, czy też prawowitym potomkiem Sofii Wielkiej, małżonki osławionego Alfonsa di Firenze, a tym samym... Nie, nawet gdyby tak było, na takie wyjaśnienia musiałby odbyć znacznie więcej lekcji włoskiego, niż dotychczasowe niecałe czterdzieści za pośrednictwem swej aplikacji językowej. Zatem ograniczył się do

skromnego „mille grazie”, gdy wręczono mu kluczyki do samochodu i opis drogi do miejsca jego postoju.

Dziesięć minut później usiadł za kierownicą przydzielonej mu lancii. Odetchnął z ulgą. Do tej pory wszystko poszło gładko. Był we Włoszech, miał samochód z systemem nawigacji, a nawet adres w pobliżu Florencji, dokąd właśnie zamierzał się udać.

Znaleźć ten adres nie było zresztą tak prosto, jak sądził. Jego asystentka Renate Krug z początku stanęła okoniem, gdy ją o to poprosił. Lotu do Florencji też nie chciała zarezerwować, zamiast tego oświadczyła, że jej zdaniem to niedorzeczny pomysł, a jego matka po upływie wszystkich tych lat z pewnością w ogóle już tam nie mieszka. Jonathan był zirytowany. Wprawdzie od ich „wspólnych rodzinnych wycieczek” Renate Krug już od dawna nie zachowywała się w stosunku do niego tak oficjalnie jak dawniej, niemniej nie spodziewał się z jej strony słów sprzeciwu czy wręcz odmowy wykonania polecenia.

I gdy najpierw próbował wytłumaczyć jej, że ta podróż ze względów osobistych jest dla niego niezmiernie ważna i dlatego ponownie prosi ją o ostatni adres matki. Gdy zapewnił ją, że nawet w wypadku niepowodzenia tej misji on nie wpadnie w żadną emocjonalną dziurę, a ponadto ze swymi ponad czterdziestoma latami (!) jest jak najbardziej w stanie sam podejmować samodzielne decyzje i ponosić wynikające z nich konsekwencje. Gdy jej nawet wyznał, że jest poniekąd winny tej młodej damie, Hannah Marx, którą miała okazję poznać, kiedy ta odwiedziła go w wydawnictwie (na temat bliższych okoliczności jej pamiętnego wystąpienia nie wypowiedział się ani słowem, całą tę sprawę wokół swojego pisma odmownego wolałby zabrać ze sobą do grobu, niż wyznawać ją jeszcze komuś), wyjaśnienie wreszcie tego „urwanego końca” swej biografii. A gdy i to nie poskutkowało i Renate Krug nadal upierała się przy swoim stanowisku, że ta podróż nic mu nie przyniesie, Jonathanowi nie pozostało nic innego, jak przypomnieć, że jest jej przełożonym,

ona natomiast nie jest jego matką, z którego to powodu on wprawdzie rzecz jasna ceni jej osobiste zdanie, niemniej nie jest skłonny brać go pod uwagę przy podejmowaniu decyzji.

Dopiero po tych zaciętych zmaganiach Renate Krug z kwaśną miną napisała mu adres i zarezerwowała loty, nie omieszkawszy jednak zauważyć, że na miejscu Jonathan i tak nie znajdzie nic innego jak opuszczony barak i wyschnięty gaj cyprysowy.

No cóż, wkrótce Jonathan sam się tego dowie; według systemu nawigacji z lotniska do Via di Monteceneri 20 w Fiesole, gdzie ostatnio mieszkała jego matka, było niecałe pół godziny.

Gdy siedząc jeszcze w biurze w wydawnictwie, po raz pierwszy wygooglował ten adres, było mu naraz i do śmiechu, i do płaczu. Monte Ceneri znaczy bowiem „wzgórze łabędzie”; z niego Leonardo da Vinci startował w szesnastym wieku do swych pierwszych prób lotu.

To odkrycie o próbach Leonarda było Jonathanowi serdecznie obojętne, ale łabędzie! Natychmiast poczuł chęć, by chwycić za słuchawkę, zadzwonić do Hannah i na gorąco opowiedzieć jej o tym szczególnym zbiegu okoliczności (łabędzie – Alster – Simon – *capito?*). Ale oczywiście nie zrobił tego, wiedział przecież, co by na to odpowiedziała: nic. Tylko trzaśnięcie przerwane połączenia, a po nim ciągły sygnał.

Był dla niej na zawsze i na wieki persona non grata, łabędzie nic w tym nie zmieniają, może wręcz na odwrót. Kolejny raz przypominać Hannah o momencie, gdy jako ostatni widział Simona żywego – nie trzeba było szczególnie bujnej wyobraźni, by wiedzieć, że jej reakcją nie będzie zroszone łzami pogodzenie się, lecz raczej histeryczny atak najwyższej próby.

A jednak postąpił właściwie, przyjeżdżając tu. Niezależnie od tego, że Hannah nigdy mu nie wybaczy, a jego serce do ostatniego tchnienia pozostanie złamane – tak, taak, taaak, patos, obok schizofrenii to także było dla niego jeszcze trochę nowe – musiał przebyć tę drogę do końca. Bo jeśliby tego nie zrobił,

pozostałby mu już tylko powrót do dawnego życia. A tego Jonathan za żadną cenę nie chciał, jakkolwiek miałyby się zakończyć ta wyprawa.

Włączył silnik i ruszył w drogę, jaką wskazywała mu nawigacja. Piękne krajobrazy, mijane z prawej i lewej strony, łagodne wzgórza, w ogóle niewyschnięte cyprysy i pinie, drzewa oliwne i winnice nie przyciągały jego wzroku, za bardzo był zdenerwowany.

By zapanować nad nerwami, ćwiczył zdania na powitanie, które ułożył sobie na pierwsze spotkanie z matką. Jeżeli w ogóle do niego dojdzie: „*Ciao, mamma!* To ja, twój syn Jonathan. Gdzie byłaś tak długo?”. Nie był jeszcze całkiem zdecydowany, czy już na samym początku zaatakuje ją pytaniem, gdzie się podziewała przez te wszystkie lata. Ale niby dlaczego miałyby to owijać w bawełnę? Po pierwsze, jego samolot już wieczorem odlatywał z powrotem, a po drugie, po trzydziestu latach człowiek nie musi się bawić w jakieś grzecznościowe formułki.

– *Ciao, mamma* – powtarzał jak mantrę. – *Ciao, ciao mamma!* – I jeszcze raz: – *Mamma!* – Energicznym ruchem ręki wyłączył dmuchającą klimatyzację, gdyż oczy mu łzawiły, podczas gdy ręce leżące na kierownicy były mokre od potu.

Dwadzieścia minut później dojechał do Fiesole i szukał drogi pośród wąskich, krętych uliczek. Pamiętał, że jako mały chłopiec był tu kilka razy, ale wspomnienia ze ślicznego miasteczka leżały przysypane, podobnie jak przez długi czas jego ambicje tenisowe czy śpiewacze. Wzdłuż ulicy stały jasnożółte domy z zielonymi okiennicami i czerwonymi dachówkami, i już same dźwięczne nazwy, takie jak *Via Giuseppe Verdi*, *Via Santa Chiara* czy też *Piazza Mino da Fiesole*, pozwoliły mu się domyślić, dlaczego jego matce tam na górze, na północy, w oczywisty sposób cały czas brakowało radości życia. Wystarczyło, że pomyślał o nazwach ulic w Hamburgu, jak *Pepermölenbek* albo *Brandstwiete*. W porównaniu z tutejszymi były one tak wdzięczne jak sucha

kromka chrupkiego pieczywa.

A ten widok! Gdy tylko Jonathan dotarł do Via di Montececeri, zatrzymał się na skraju ulicy przy kamiennym murze – także po to, by jak skazaniec odwlec jeszcze moment egzekucji – i powiódł wzrokiem po leżącej przed nim dolinie. Musiał przyznać, że jego dom przy parku Innocentia w oczach północnoniemieckich agentów nieruchomości może i był szczytem doskonałości, jeśli chodziło o kryterium: „Lokalizacja! Lokalizacja! Lokalizacja!”, ale tu i teraz, w tym miejscu i w tym momencie stało się dla niego jasne, że tak naprawdę, gdy u siebie w domu patrzył przez okno, to miał widok tylko na parę drzew i kontenery na makulaturę. Wzgórze Łabędzi tymczasem idealnie pasowało do swej nazwy; patrząc na nie, człowiek czuł się naprawdę uskrzydłony. Nie dziw, że Leonardo da Vinci swego czasu był przeświadczony, iż jeśli człowiek w ogóle będzie zdolny latać, to tu jest do tego najlepsze miejsce.

Jonathan podjechał lancia kawałek dalej w prawo, wyłączył silnik i odpiął pasy. Kilka razy odetchnął głęboko, zanim otworzył drzwi samochodu i wysiadł, by na piechotę poszukać numeru 20.

Łatwo go było znaleźć, a dom, podobnie jak inne pomalowany na żółto, nie wyglądał ani na zrujnowany, ani na opuszczony. W skrzynkach pod zielonymi okiennicami kwitły... jakieś ładne kwiaty. Jedno z okien za ozdobnymi kratami było uchylone, a do jego uszu dotarły dźwięki popularnej włoskiej piosenki.

Jonathanowi N. Griefowi serce waliło w piersi jak młotem, gdy stanął pod drzwiami. Gdy jeszcze raz zaczerpnął powietrza. I gdy wreszcie nacisnął guzik dzwonka.

Kilka sekund później muzyka ucichła. Jonathan usłyszał kroki. Potem zobaczył, jak obraca się gałka u drzwi. A chwilę później stanęła przed nim pulchna kobieta koło siedemdziesiątki w kolorowym fartuchu i przywitała się z nim pytającym: *Si?*

Serce mu zamarło.

To nie była jego matka, poznał to od razu.

– Nicolò! – Jednym susem kobieta była przy nim, porwała go w ramiona i obsypała jego twarz pocałunkami.

Nie, to nie była jego matka. Ale jakby znała Jonathana.

Jonathan

2 października, wtorek, godzina 12.23

Francesca. Jego ciotka nazywała się Francesca. Jonathan nie miał pojęcia, dlaczego w pamięci miał imię Nina czy Gina, gdyż nawet przy dobrej woli nie miało to nic wspólnego z Franceską. Ale ostatecznie było to nieistotne. Liczyło się tylko, że siedział oto z ciotką w jej toskańskiej chłopskiej kuchni z talerzem parującego makaronu przed sobą. Każdemu autorowi podczas redagowania tekstu wyrzuciłby bezlitośnie ten stereotypowy opis wizyty u włoskich krewnych – w prawdziwym życiu było właśnie tak.

Ledwie przetrwał euforyczne powitanie ze wszystkimi tymi całusami i litanią niezrozumiałych dla niego słownych salw, a już Francesca wciągnęła go do domu i zaserwowała coś do jedzenia. Siedzieli więc teraz przy stole i przyglądali się sobie, podczas gdy Jonathan posłusznie ładował w siebie ogromną górę makaronu. Wprawdzie nie miał w ogóle apetytu, ale ponieważ nawet ta jego szczątkowa znajomość włoskiego na razie gdzieś się kompletnie ulotniła, w końcu było to całkiem praktyczne, że ma pełne usta.

Gdy Jonathan opróżnił talerz, Francesca zerwała się, by mu dołożyć, ale za pomocą gestykulacji i wyjąkanego *No, basta, grazie!* udało mu się uniknąć dokładki.

– *Alora* – zaczął wreszcie. I zamilkł.

Ciotka patrzyła na niego w napięciu.

– Hm – odezwał się. Cholera! Było tak dużo rzeczy, o które chciał zapytać. Czy jego matka jeszcze tu mieszka. I czy akurat jest w domu, w co jednak nie wierzył, gdyż inaczej ciotka by ją już zawołała. Ale to było bez sensu, parę lekcji włoskiego nie uczyniły z niego Umberta Eco. – *Parli tedesco?* – spytał bezradny, czy Francesca może mówi po niemiecku.

Wzruszyła ramionami.

– *Inglese?* – spróbował z angielskim.

Znów wzruszenie ramion.

Już chciał spytać o francuski czy hiszpański, ale potem przypomniał sobie, że sam ich nie zna.

Co robić? Łacina? Bądź co bądź była bardzo podobna do włoskiego. Ale jak daleko zajdzie w rozmowie ze swą ciotką z „*Veni, vidi, vici*”?

– Nicolò – odezwała się Francesca. – *Sono molti anni che non ci vediamo.*

Kiwnął głową, chociaż nie miał bladego pojęcia, co to miało znaczyć.

– *Come stai?*

– Ha! – To zrozumiał, chciała wiedzieć, jak się miewa!

– *Sto abbastanza bene, grazie* – odpowiedział. Niezbyt zgodnie z prawdą, ale to była jedyna odpowiedź, którą w jego aplikacji do nauki włoskiego podano przy tym pytaniu. Bardziej skomplikowane odpowiedzi, jak „No cóż, jakoś leci, moja firma pada, tata jest zdemencjały i uważa swoją sekretarkę za twoją siostrę, mój dyrektor zarządzający złożył wymówienie, a ja właśnie straciłem kobietę, w której się śmiertelnie zakochałem”, miały się przypuszczalnie pojawić dopiero trochę później.

Cholera. W ten sposób nie posuną się dalej, to było beznadziejne. Ale może to wcale nie było konieczne szukać wielkich słów.

– *Mamma?* – rzekł pytającym tonem.

Jego ciotka uniosła w górę brwi i uderzyła się dłonią w usta,

wyglądała na naprawdę przerażoną. Czyżby myślała, że bierze ją za swoją matkę?

– *Dove è Sofia?* – spróbował nieco konkretniej.

– *Che Dio la protegé!* – wykrzyknęła. – *Non ne hai idea?*

– *Yyy, scusi?* – Co ona powiedziała?

– *Tua madre é morta. Da molto.*

– *Scusi?* – powtórzył.

– *Aspetti un momento.* – Wstała i wyszła z kuchni. Jonathan został sam, bezradny; gdzie ona poszła?

Chwilę potem Francesca wróciła. Trzymała w ręce zdjęcie, które położyła przed nim na stole.

Na widok fotografii w jednej chwili do oczu napłynęły mu łzy.

Na zdjęciu widać było białą marmurową płytę przed grobem z urną, typową dla włoskich cmentarzy.

Widniał na niej napis:

„Sofia Monticello, 18.07.1952 – 22.08.1988”.

Jonathan

2 października, wtorek, godzina 21.34

Gdy o wpół do dziesiątej wieczorem samolot lądował w Hamburgu, Jonathan wciąż jeszcze był tak wściekły, że musiał się z największym wysiłkiem opanować, by mimo późnej godziny nie jechać od razu do Sonnehofu i tam wykopać swego staruszka z fotela.

Co za kłamstwo! Co za niepojęte kłamstwo, którym ojciec karmił go przez całe życie! Wszystkie te lata, podczas których Wolfgang Grief okradał go z prawdy! Wystarczyło, że o tym pomyślał, a ogarniała go taka wściekłość, że miał chęć zignorować późną porę i niezwłocznie odwiedzić ojca, by zażądać od niego rozmowy. Pani doktor Knesebeck może sobie dostać zawału albo wzywać ochronę, w tym momencie byłoby mu to całkowicie obojętne.

Ściśle biorąc, istniała tylko jedna rzecz, która powstrzymywała Jonathana od tego, by z miejsca wyjaśnić sprawę: stan zdrowia ojca.

Nie żeby się martwił tym, iż ojciec mógłby nie przeżyć jego napadu szału. Chodziło o to, że Jonathan chciał rozmowy, gdy ojciec będzie miał w miarę klarowny umysł, by choćby w jakimś stopniu zrozumiał, co ma mu do powiedzenia. A szansa na to w dzień była po prostu większa niż w porze nocnej.

Z drugiej strony, gdyby już teraz, natychmiast, udał się do

rezydencji seniorów, będąc tak wściekły jak w tym momencie, jego ewentualna napaść mogłaby być zakwalifikowana jako „czyn w afekcie”. Jeśli natomiast prześpi się z tym przez noc, to z pewnością przypiszą mu premedytację.

Jonathan zacisnął pięści i czekał niecierpliwie, by zgasło światełko nakazujące pozostanie z zapiętymi pasami, a samolot osiągnie „pozycję postojową” do czasu wyłączenia silników, jak to się ładnie nazywa. Musiał wyjść, potrzebował powietrza! Gdy tylko znowu podsumowywał wydarzenia dzisiejszego dnia, chciało mu się krzyczeć.

Gdy Francesca i on zrozumieli, że wszelka komunikacja, która wykraczałaby poza pytania „Czy chcesz jeszcze coś zjeść?” albo „Dziś jest piękny dzień”, rozbija się o barierę językową, Jonathan, nie zastanawiając się, zapakował ciotkę do wynajętego samochodu i powiózł ją do Florencji, do Instytutu Kultury Niemieckiej, i tam znalazł pomocnego pracownika. Ten, z czerwieniejącymi coraz bardziej uszami, tłumaczył Jonathanowi to, co miała do opowiedzenia Francesca.

Historia była równie banalna jak niesmaczna. Akurat! Jego matka wcale nie odczuwała aż takiej tęsknoty za Italią! Nie, prawda wyglądała nieco inaczej. Jego ojciec, czcigodny Wolfgang Grief, pozwolił sobie na romans, tak właśnie. A gdy Sofia to odkryła, to – jak prawdziwa Włoszka, którą wszak była – nie zamierzała dłużej być żoną cudzołożnego małżonka.

Oczywiście, zapewniała ciotka Jonathana, syna najchętniej zabrałaby ze sobą do Fiesole. Ale po prostu sądziła, że pozostanie w Niemczech będzie dla niego lepsze. Szkoły, studia, a wreszcie także rodzinna scheda, przejęcie w przyszłości wydawnictwa – nie chciała go tego wszystkiego pozbawiać. Nie mogła wszak przewidzieć, jak się sprawy potoczą. Tego dnia, gdy otrzymała wściekłą kartkę od Jonathana, natychmiast zabukowała lot do Hamburga, by mu wyjaśnić na miejscu, że nie odeszła „ot, tak sobie”. Do tego momentu Sofia była zdania, że nie powinna

obciążać swego dziecka problemami małżeńskimi, ale gdy pojęła, że jej syn poczuł się przez nią porzucony, nie widziała innego wyjścia, jak wyjawić mu prawdę.

W drodze na lotnisko Sofia najwidoczniej ze zdenerwowania jechała o wiele za szybko, i na jakimś zakręcie wyrzuciło ją z drogi.

Zginęła na miejscu.

– Nic nie czuła – zapewniała go ze łzami ciotka, i nawet sympatyczny tłumacz zaszlochał przy tych słowach i wytarł nos w chusteczkę.

Nic nie czuć. Jonathan nie mógłby powiedzieć tego o sobie. Przeciwnie, w tym momencie odczuwał wręcz całą masę emocji. Na przykład ogromny, straszny żal. Z powodu tych wszystkich lat, gdy na myśl o matce miał w sercu zawsze tylko ten okropny supeł, ten bezsilny gniew, gdyż był święcie przekonany, że zawsze był jej obojętny. Albo przynajmniej nie tak ważny jak *dolce vita* w Italii.

Jakże się mylił! Jaką krzywdę – kolejny raz! – wyrządził drugiemu człowiekowi! I wreszcie: co to wszystko z niego zrobiło? Emocjonalnego kalekę, osamotnionego starego kawalera, wyniosłego, bezkrytycznego wobec siebie besserwissera, nieznośnego nadzorcę. A do tego jeszcze tchórza, który nawet nie potrafił przeciwstawić się swemu zamroczonemu umysłowo ojcu i bronić swych poglądów. Na przykład tego, że on sam nie miał w ogóle nic przeciwko literaturze popularnej, że przejął ten nonsens bez namysłu, nawet uznał go za własny. Że gdy wreszcie, wreszcie był wobec siebie szczerzy, to w istocie podziwiał autorów, którzy potrafili naprawdę, naprawdę wzruszyć swych czytelników, poruszyć głęboko ich serca i dusze. Czy była to niejaka J.K. Rowling czy jakiś Sebastian Fitzek – czy wreszcie Simon Klamm.

Tak, jeszcze na lotnisku we Florencji Jonathan faktycznie zaczął czytać *Śmiech Hannah* Simona Klamma, który

zeskanowała mu Renate Krug, a on ściągnął go na swojego iPada. I choć czytanie, co ten niemal obcy człowiek pisał o swojej (choć ponoć czysto fikcyjnej) Hannah, sprawiało też ogromny ból, to wreszcie zrozumiał, dlaczego do tej pory z trudnością znosił takie książki. Bo właśnie potrafiły sprawiać ból. Nawet duży.

Nie chciał tym usprawiedliwiać swego odmownego pisma do Simona Klamma, to było i pozostawało niezmiennie jednym OGROMNYM, niewybaczalnym błędem – ale potrafił się przyznać przed sobą, dlaczego to zrobił. Nie dlatego, że tekst był zły, przeciwnie. Bo wtedy, w całym swoim żalu i nieuzasadnionym gniewie po rozstaniu z Tiną, w swej niezdolności do przeskoczenia własnego cienia i dopuszczenia do siebie jakichś uczuć, nie zniósł czytania czegoś takiego i dlatego po kilku stronach zbył to oceną „straszliwy kicz”.

Jakimże to człowiekiem stał się Jonathan N. Grief? Naturalnie przesadą byłoby twierdzić, że nawet jego małżeństwo z Tiną było skutkiem jego niezdolności do uczuć. Że z pełną świadomością zdecydował się na kobietę, która wprawdzie jakoś do niego pasowała, ale której tak naprawdę nie kochał, która, jak ona sama to określiła? – nie mogła do niego „dotrzeć”. Nie, tak daleko Jonathan nie chciał się zapuszczać, toby była w końcu tylko jakaś kuchenna psychologia.

Z drugiej strony, co właściwie można było zarzucić kuchennej psychologii? Przy kuchennym stole ciotki (no dobrze, z małym odskokiem do Instytutu Kultury Niemieckiej) bądź co bądź dowiedział się czegoś o sobie, co, patrząc wstecz, w ujęciu psychologicznym miało nawet całkiem sporo sensu.

Spiesznym krokiem Jonathan maszerował długim korytarzem w kierunku punktu odbioru bagażu. Wciąż jeszcze się nie uspokoił, a widok ludzi, którzy po drugiej stronie otwieranych automatycznie drzwi czekali w hali przylotów na jakichś podróżnych, machając do nich radośnie, nie przyczyniało się

zbytnio do poprawy jego nastroju. Gdyby miał prawo do jednego, jedyne go życzenia, to życzyłby sobie, by witała go tu teraz Hannah.

Zamiast tego wsiądzie sam do taksówki i pojedzie do swego pustego domu przy parku Innocentia. Nikogo, kto by go odebrał z lotniska. Ani jednego człowieka, który by się nim interesował. No dobrze, pomijając może Leopolda. Ale ten ciągle jeszcze nie miał prawa jazdy.

– Halo, panie Grief!

Jonathan zatrzymał się w pół kroku i odwrócił zaskoczony. Stała przed nim Renate Krug i uśmiechała się niepewnie.

– A co pani tu robi?

– Chciałam pana powitać, ale tak szybko pan biegł, że tylko mi pan mignął.

– Przepraszam, nie spodziewałem się pani.

– Bo i dlaczego? – Nadal sprawiała wrażenie niepewnej.

– No to bardzo dziękuję! – powiedział Jonathan i usiłował nie wyglądać tak strasznie ponuro. Zapewne na próżno.

– Teraz już pan wie, prawda?

– Co mam wiedzieć?

– To, że pana matka nie żyje.

– Pani też to wie? – spytał on z kolei, zdumiony.

Renate Krug przytaknęła i spuściła wzrok.

– Tak – odrzekła cicho.

– Ale jak to... dlaczego... – Zaczął się jąkać.

Jego asystentka popatrzyła znów na niego.

– Jonathanie – teraz zwróciła się do niego po imieniu, a jej głos brzmiał przy tym mocno i zdecydowanie. – Obawiałam się, że może sam pan to wszystko odkryje. Albo prawie wszystko. Dlatego tu przyszłam. Żeby opowiedzieć panu jeszcze tę resztę.

– Jaką znowu resztę?

– Że to byłam ja. To ja byłam kobietą, z której powodu pana matka opuściła ojca.

*

Jonathan N. Grief siedział w taksówce wiozącej go z lotniska do domu i rozmyślał. Jego asystentka zaproponowała, że go odwiezie, ale odmówił. Chciał być sam, właśnie żeby w spokoju pomyśleć nad wszystkim. Nad tym, co wyznała mu Renate Krug przy stoliku w bistro w hali przylotów. Przy kawie, której ostatecznie żadne z nich nie wypilo.

O tym, jak ona i ojciec Jonathana mieli przed laty romans. Nawet nic wielkiego i ważnego, ot, głupia miłośćka, ale na tyle raniąca dla Sofii Monticello, by opuścić męża. Jak wszyscy postanowili nie mówić nic „chłopcu”, bo tak „będzie dla niego lepiej”. A już zwłaszcza gdy jego matka zginęła, gdyż obarczyłoby go to poczuciem winy na całe życie, jeśliby uwierzył, że swoją głupią pocztówką w jakiś sposób przyczynił się do jej wypadku. To wszystko opowiedziała mu Renate Krug. Prosiła go o wybaczenie za swoje zachowanie, wytłumaczyła mu, że od lat między nią i ojcem Jonathana nic nie było (jakby teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie) i że świadoma jest tego, jaki niewybaczalny błąd popełnili, jak bardzo zgrzeszyli wobec Jonathana.

Poprosiła go, by mimo wszystko nie opowiadać tego ojcu, gdyż wie, że by tego nie przeżył. Bowiem, jak zapewniała Jonathana, w głębi serca Wolfgang Grief był aż nadto świadomy wielkiej winy, jaka na nim spoczywała. I że żałował swego czynu już ze sto razy, chociaż nigdy nie potrafił powiedzieć o tym synowi. Nikt go nie nauczył okazywania uczuć, podobnie jak on nie nauczył tego Jonathana. Niemożność, tak. Ale nie zła wola. Jonathan nie wiedział, czy powinien w to uwierzyć, choćby w jakiejś nikłej części, czy mógł w to wierzyć. Ale czy w ostatecznym rozrachunku nie było to wszystko jedno?

A teraz siedział w taksówce i rozmyślał. O tym, co powinien zrobić. A było tego cała masa. Ale po kolei, jedno po drugim.

Upłynęło już tyle czasu, kilka tygodni więcej nie robi żadnej różnicy. Trzeba się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić i zabrać do pracy.

Tak spokojnie, że ledwie dojechał do domu, chwycił za telefon i zadzwonił do Leopolda.

– Jonathan? – odezwał się zaspany przyjaciel. – Czego chcesz? Jest po północy, jutro muszę rano wyjść!

– Teraz mnie posłuchaj, menelu – powiedział Jonathan. – Jutro zwolnisz się z kawiarni.

– Co zrobię?

– Zwolnisz się!

– A dlaczego niby?

– Bo od zaraz zostajesz moim nowym dyrektorem zarządzającym w Griefson & Books.

– Jonathan?

– Tak?

– Pięś?

– Przeciwnie. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie myślałem tak trzeźwo.

– Ale jak to ma być?

– Zobaczymy, jak to pójdzie. Bez obaw, już ja się tym zajmę, żeby nie było to dla ciebie zbyt stresujące. I żebyś miał zawsze dosyć wody mineralnej z plasterkami cytryny w biurze.

– Zgrywasz się! Nie znam się na tym.

– Sprzedawanie wszędzie funkcjonuje tak samo. Kto umie sprzedawać jajecznicę, to może też i książki.

Nie dając Leopoldowi możliwości dalszego protestowania, Jonathan odłożył słuchawkę. Dobrze. To by było załatwione. A zaraz w czwartek rano, gdy tylko otworzą się sklepy po świętach, wyjdzie i kupi kalendarz.

Terminarz, wyjątkowo ładny, oprawiony w skórę – na następny rok.

Hannah

24 grudnia, poniedziałek, godzina 12.28

– „Cicha noc, święta noc...”.

Hannah zerkała dyskretnie na zegarek. Razem ze swymi dzisiejszymi podopiecznymi, odstawionymi do Bandy Urwisów o godzinie dziesiątej przez zestresowanych rodziców – „musimy jeszcze kupić prezenty i ubrać choinkę” – ona i Lisa śpiewały jeden bożonarodzeniowy klasyk po drugim.

Dzieciaki miały zabawę, tylko Hannah przeżywała prawdziwe katusze. Już na samą myśl o tym idiotycznym „święcie miłości” robiło się jej niedobrze.

Pierwszy raz od pięciu lat bez Simona. Zgoda, on nigdy nie był fanem tej świątecznej krzątaniny, uważał Boże Narodzenie za czysto komercyjny wymysł handlu detalicznego (choć oczywiście obdarowywali się czymś nawzajem), a słabość Hannah do grzanego wina i kiełbasy z grilla na hamburskich jarmarkach świątecznych, na przykład Santa Pauli & Co., za niezrozumiały eksces jej zawsze nieomylnie dobrego smaku. Za coś, czego przy całym stresie, jaki i tak się ma w tym czasie, nie powinno się sobie jeszcze dodatkowo serwować.

Akurat w tym roku Hannah za pomocą kalendarza chciała go zmusić, by po raz pierwszy poszli razem choćby po Gwiazdce na jeden z bożonarodzeniowych jarmarków, które otwarte były jeszcze do sylwestra. Chciała spróbować przybliżyć Simonowi tę

szczególną, romantyczną atmosferę, w przyćmionym świetle i przy nastrojowej muzyce.

No tak, z tą nastrojową muzyką Hannah musiała sobie właśnie jakoś sama poradzić. Jeszcze jedna kolęda wyśpiewana cienkimi dziecięcymi głosikami, a ona z wszelkim prawdopodobieństwem zwariuje.

Ale była już prawie pierwsza, te ostatnie pół godziny jakoś jeszcze wytrzyma. Potem zamkną na dziś lokal i na szczęście będzie koniec zabawy. Przynajmniej do trzydziestego pierwszego grudnia. W sylwestra będą miały cały dzień otwarte, dla rodziców z gatunku: „Musimy jeszcze kupić parę rzeczy na fondue, nabyć fajerwerki, bo i w tym roku sylwester nas totalnie zaskoczył”; pierwszego stycznia będzie zamknięte, a od drugiego znowu się zacznie na całego. Tak, Banda Urwisów kwitła, trudno to było określić inaczej.

A Hannah znowu poleciały łzy. Sama tego nie zauważyła, dopiero gdy Lisa pogłodziła ją delikatnie po policzku, zorientowała się, że przy pieśni *Szła Maria przez ciernisty las* w którymś momencie musiała się rozplakać.

Ale było też jasne, że wciąż jeszcze łatwo płakała. Jej prawie narzeczony nie żył – a do tego przeżyła solidny zawód miłosny. Nie, nie tak solidny, na to nie znała Jonathana dostatecznie długo. Poza tym wstydziłaby się nazwać to „zawodem miłosnym”, mając w pamięci fakt, że Simona nie było zaledwie od roku. Było to raczej... jakby maleńkie, ale bardzo skoncentrowane, bolesne uczucie smutku. Uczucie, że została opuszczona przez człowieka, którego – nawet jeśli tylko przez krótki czas – uważała za kogoś zupełnie szczególnego. Za kogoś, kogo zesłał jej los.

Głupi los! To już Poczta Niemiecka była bardziej niezawodna!

– No to jakoś będzie? – zapytała Lisa, gdy tuż przed drugą wreszcie doholowały ostatniego malca w szczęśliwe ramiona rodziców i posprzątały. – Mam na myśli Boże Narodzenie.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Hannah i wytarła sobie

rękawem nos. – Po wszystkim położę się pod choinką u moich rodziców i wstanę dopiero przed sylwestrem.

– Dobry plan – pochwaliła z uśmiechem Lisa.

– A ty?

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

– Zrobię pewnie to samo. Ale możemy się też zobaczyć w święta.

– Bardzo chętnie – zgodziła się Hannah. – Jeśli tylko nie pójdziemy na żaden jarmark bożonarodzeniowy!

Lisa uniosła ręce w obronnym geście.

– W żadnym razie! Wiem przecież, jak tego nienawidzisz. Już sama tylko kiełbasa z różną i grzane wino – brrr!

Musiały się obydwie roześmiać.

Dziesięć minut później były gotowe i włożyły palta, by udać się w drogę, każda do swoich rodziców. Lisa otworzyła drzwi Bandy Urwisów i podniosła paczuszkę, która leżała przed nimi.

– Spójrz – powiedziała i podsunęła ją Hannah pod nos. – To dla ciebie.

Rzeczywiście ktoś napisał na paczuszce „Hannah”.

– Co jest, czyżby to już Gwiazdka? – spróbowała zażartować Hannah. Jednocześnie poczuła, jak twarz jej zaczyna płonąć. Rozpoznała bowiem pismo Jonathana.

– Czy myślisz to samo co ja? – spytała szybko Lisa.

– Tak – potwierdziła Hannah.

– No to otwórz! – naciskała Lisa.

– Tak myślisz?

– Oczywiście, że tak myślę, co za pytanie!

– No dobrze! – Wróciły do środka, gdzie Hannah drżącymi palcami rozcięła nożyczkami gruby papier.

Ich oczom ukazała się koperta i prezent zawinięty w świąteczny papier.

– Najpierw prezent – zażądała niecierpliwie Lisa.

– Nie – sprzeciwiła się Hannah. – To moja paczka, a ja chcę

najpierw zobaczyć, co jest w kopercie.

Otworzyła kopertę, która nie była zaklejona, i wyjęła złożony arkusz papieru listowego, po czym zaczęła czytać.

Szanowna Pani Marx,

z wielkim zachwytem przeczytałem maszynopis książki „Śmiech Hannah” Pani zmarłego niestety przyjaciela Simona Klamma. Bardzo bym się cieszył, gdyby wolno mi było opublikować tę powieść w wydawnictwie Griefson & Books, i dlatego chciałbym przedłożyć Pani moją ofertę. Czy byłaby Pani zainteresowana rozmową ze mną na ten temat? Uważam „Śmiech Hannah” za naprawdę wspaniałą książkę. I myślę, że przesłanie Pani narzeczonego sprawiłoby wielu ludziom ogromną radość.

Serdecznie pozdrawiam

Jonathan N. Grief

PS Droga Hannah, to prawda, byłem tchórzem. I dupkiem. Bardzo chciałbym przeprosić za to, co zrobiłem. Obawiam się tylko, że to niewybaczalne. Ale myślę, że mógłbym Ci to chociaż wytłumaczyć, jeśli w ogóle jeszcze chcesz.

Jonathan

PPS Nawet gdybyś nie chciała żadnych wyjaśnień i nie chciała już nigdy ze mną rozmawiać, to oferta opublikowania „Śmiechu Hannah” jest ważna.

– Cholera! – Hannah pociągnęła nosem.

– Cholera, to piękne! – skomentowała Lisa. – A teraz, proszę, otwórz paczkę! – ponagliła. – Już!

Hannah kiwnęła głową i rozerwała papier. Ich oczom ukazał się terminarz. Kalendarz oprawiony w ciemnoniebieską skórę, z białym stębnowaniem.

– Nie wierzę! – wykrzyknęła Lisa.

– Jak też nie. – A potem Hannah otworzyła książeczkę.

Był to kalendarz na następny rok. Z ręcznymi wpisami na każdy dzień, od pierwszego stycznia do trzydziestego pierwszego grudnia. Znowu pismo Jonathana. A przy każdej dacie tylko to jedno zdanie:

11. Wybaczyć Jonathanowi.

12. Wybaczyć Jonathanowi.

13. Wybaczyć Jonathanowi.

14. Wybaczyć Jonathanowi.

15. Wybaczyć Jonathanowi.

Hannah wpatrywała się oszołomiona w strony kalendarza. Oszołomiona i niezdolna cokolwiek powiedzieć. Zrobiła głęboki wdech, a potem wydech. I wolno, bardzo powoli, zamknęła kalendarz.

– Chodź, pojedziemy do moich rodziców – rzekła do Lisy.

– Nie możesz przecież jechać teraz do swoich rodziców, jakby nic się nie stało!

– Dlaczego? Przecież nic się nie stało.

– Hannah, ja cię proszę! To, co Jonathan ci przysłał, jest czarujące.

– Zgadza się – przyznała Hannah. – Ale tego, co zrobił, naprawdę nie można wybaczyć.

Lisa spojrzała na nią prowokacyjnie.

– A kto właściwie nie może tego wybaczyć?

– No dobrze. Ja. Ja nie mogę tego wybaczyć.

– Naprawdę nie?

Hannah zastanawiała się przez chwilę. Potem powoli i smutno potrząsnęła głową.

– Nie. Za bardzo to zabolęło, żeby wybaczyć. I... Jonathan

wyrządził Simonowi swoim listem straszną krzywdę. Złośliwie i z premedytacją go zranił.

– Tak – przytaknęła Lisa – ale z pewnością nie zdawał sobie sprawy ze skutków tego, co robi. W każdym razie nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Mimo to musimy żyć z konsekwencjami swojego postępowania, każdy z nas. Czy było to rozmyślne, czy nie.

Lisa westchnęła.

– Pewnie masz rację. – Wzruszyła ramionami. – Mimo to uważam, że prezent Jonathana jest słodki. Czy jest złośliwy, czy nie.

– Jest słodki, ale nie może naprawić tego, co on zrobił.

– Zastanowisz się nad propozycją książki?

– Może. Jeszcze nie wiem.

Na ulicy przed Bandą Urwisów pożegnały się długim i mocnym uściskiem, potem Lisa pomaszerowała w kierunku metra, a Hannah poszła do swojego auta. Otworzyła je, usiadła za kierownicą i ruszyła.

Dziesięć minut później zaparkowała swoje twingo. Jednak nie przed domem rodziców. Podeszła do drzwi wejściowych kamienicy, poszukała odpowiedniego dzwonka i nacisnęła.

Niemal krzyknęła z ulgą, gdy ledwie po paru sekundach odezwał się brzęczyk, sygnalizujący otwieranie drzwi. Hannah popędziła po schodach i dotarła na górę, ciężko dysząc.

– Jak się cieszę, że panią zastałam! – zawołała. – To ja, Hannah Marx. Znajdzie pani trochę czasu dla mnie? Wiem, że jest Boże Narodzenie, ale to bardzo pilne i ja...

– Oczywiście, że tak. Proszę wejść! – Sarasvati uśmiechnęła się do Hannah i otworzyła szeroko drzwi do mieszkania.

Jonathan

27 grudnia, czwartek, godzina 17.28

Komórka Jonathana dzwoniła, ale on nie zadał sobie trudu, by wstać, podejść do biurka i sprawdzić, kto dzwoni. Nie była to Hannah, dla niej zainstalował sobie specjalny sygnał, a żaden inny dzwoniący go nie interesował. Był na to zbyt zajęty.

W gorączkowym pośpiechu dokonywał właśnie ostatnich poprawek w powieści, którą chciał wydać najbliższej jesieni. *Moje serce tak zimne*, taki tytuł nosił debiut pewnej utalentowanej młodej autorki, który zafascynował Jonathana.

Jeśli pół roku temu już choćby ze względu na sam tytuł nie tknęłyby takiej powieści, a co dopiero ją czytał, to teraz był absolutnie zachwycony postaciami i zwrotami akcji, jakie wymyśliła pisarka. Co za książka! Co za historia! Epokowa! Historia jak... jak... no tak, fascynująca jak samo życie!

Tego bowiem Jonathan też się ostatnio nauczył: życie pisało najbardziej zadziwiające historie, wystarczyło, że pomyślał o sobie. I o Hannah, która niestety nie dała znaku życia po jego gwiazdkowej paczce, i przypuszczałnie już tego nie robi. Wciąż jeszcze odczuwał z tego powodu ból, a powodem wcale nie było to, że nie będzie mógł kupić praw do *Śmiechu Hannah*. Nie, serce łamała mu świadomość, że śmiechu Hannah nigdy już nie usłyszy.

Westchnął i zagłębił się ponownie w *Moje serce tak zimne*.

Chwilę potem jego myśli znów gdzieś powędrowały, gdy opowieść doszła do wielkiego finału, w którym główna bohaterka odkryła całą perfidię zdrady swego ukochanego.

Tym razem nie pomyślał o Hannah, lecz o swym ojcu. Tak jak prosiła Renate Krug, Jonathan nie rozmawiał z Wolfgangiem o tym, czego dowiedział się we Włoszech. Postanowił, że da sobie z tym spokój; wystarczy, iż teraz sam już wie. I że ta wiedza pomogła mu wyjaśnić wszystkie jego emocjonalne deficyty, a także pozbyć się ich. Co wprawdzie nie posunie go do przodu, jeśli chodzi o Hannah, ale w innych sferach życia może tak. Przynajmniej w wydawnictwie; pierwsze wstępne, ułożone wspólnie z Leopoldem wiosenno-letnie plany wydawnicze wyglądały w każdym razie całkiem obiecująco, jeśli chodzi o wyniki. A co się tyczyło jego ojca, to z czasem rzeczywiście przestał żywić do niego urazę. Było mu raczej żal Wolfganga Griefa. W końcu musiał on żyć z sobą samym – a do tego w przeblyskach świadomości rozumieć, że jego umysł coraz bardziej gaśnie. Renate Krug troszczyła się o niego naprawdę wzruszająco. Jonathan wysłał ją na wcześniejszą emeryturę, tak więc jego dawna asystentka mogła teraz dzień w dzień jeździć do Sonnenhofu jako „Sofia”.

Komórka zadzwoniła ponownie. Niezadowolony, tym razem odłożył jednak maszynopis i wstał. Kto był taki uparty, do tego jeszcze w końcu roku? Jeśli to nie będzie coś ważnego, to...

– Halo, Jonathanie. Tu Lisa, przyjaciółka Hannah – rozległ się w słuchawce szept.

Och, to było ważne.

– Ehm, tak? – spytał, a jego serce dudniło.

– Jesteśmy akurat na Marie-Jonas-Platz w Eppendorfie – powiedziała znów tak cicho, że ledwie ją rozumiał.

– Tak, no i?

– Na jarmarku bożonarodzeniowym!

– Nic mi to nie mówi.

– To zajrzyj do kalendarza, idioto!

Przez chwilę Jonathan nie wiedział, co ma począć z tym, co powiedziała mu przyjaciółka Hannah. Ale potem chwycił granatowy terminarz leżący na jego biurku. Otworzył stronę na dwudziestym siódmym grudnia.

Najlepszy czas na kiełbasę z grilla na jarmarku bożonarodzeniowym jest PO Gwiazdce. Cały ten stres przedświąteczny już minął i człowiek nareszcie ma czas na refleksję. Dlatego dziś o piątej marsz do Eppendorfu na Marie-Jonas-Platz. Jeśli się będziesz opierał, to przywiążę Cię łańcuchem do karuzeli dla dzieci i będziesz się kręcił tak długo, aż zrozumiesz, że jarmarki bożonarodzeniowe są super!

– Czy mam tam przyjść? – spytał Jonathan, a jego głos drżał.

– Chyba nie jesteś taki nierozgarnięty, jak powtarza Hannah. Tak, głupku!

– Ale Hannah nie chce mnie widzieć, posłałem...

– Bzdury! – syknęła Lisa. – Była nawet specjalnie z twojego powodu u Sarasvati i kazała sobie położyć karty. Niestety ta pocziwa osoba powiedziała jej tylko coś w rodzaju: „Jeśli coś ma być, to będzie”. A teraz ja muszę się zająć tym, żebyście w końcu coś ze sobą zrobili!

– Wierzysz, że Hannah tego chce?

Z drugiej strony przewodu rozległ się jęk.

– Wczoraj specjalnie ukradłam Hannah komórkę, odszukałam twój numer i wbrew jej woli zaciągnęłam ją na ten jarmark, żeby wreszcie los mógł wkroczyć do akcji, a ja nie będę musiała więcej wysłuchiwać jej okropnego biadolenia. Więc poderwij wreszcie swój dumny wydawniczy tyłek! I to *pronto*, jeśli mogę prosić!

– Okej, już leczę! – Jonathan wyłączył telefon.

A potem wybiegł z domu. Tak jak stał. W džinsach, koszulce

i kapciach popędził po schodach, szarpnął drzwi i wyskoczył z domu w ciemny już grudniowy dzień.

Gdyż zimno, no więc zimno było Jonathanowi w tym momencie obojętne.

Epilog Hannah

31 grudnia, poniedziałek, godzina 18.28

– No super – powiedziała Lisa, stawiając ostatnie dziecięce krzeselko nogami do góry na jednym z małych stolików, żeby mogły z Hannah pozamiatać i usunąć pozostałości bałaganu po dniu w Bandzie Urwisów. Zorganizowały z dziećmi „party sylwestrowe”, łącznie z szaloną bitwą na konfetti i serpentyny. – Jeszcze tylko pięć i pół godziny do Nowego Roku!

– Tak, no i co? – chciała wiedzieć Hannah, zmiatając z bufetu okruszki ciastek do worka na śmieci.

– Co za „no i co”? – odparowała Lisa i obdarzyła przyjaciółkę pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– Przepraszam, ale właśnie nie rozumiem, co masz na myśli.

– Oczywiście nie rozumiesz! – Lisa skrzywiła i tak już wygięte w łuk usta. – Ty pójdziesz sobie potem z Jonathanem na super kolację i będziesz z nim świętowała Nowy Rok, a ja będę sama!

– Może chcesz pójść z nami?

– Na waszą randkę? – Lisa popatrzyła na nią przerażona. – Tylko nie to!

– To nie jest żadna randka – sprostowała Hannah. – Jeszcze nam do tego daleko. Czy też w każdym razie mnie. Lubię Jonathana, to wszystko. Zobaczymy, jak to się dalej potoczy.

– Gdybym tam z wami siedziała przy stole, to miałabym niejasne przypuszczenie, jak to się potoczy – odparła Lisa i znów się uśmiechnęła. – W żaadanym przypadku w kierunku romantycznym.

– Nie bądź głupia! Dla mnie byłoby zupełnie w porządku, gdybyś z nami poszła. A dla Jonathana na pewno też.

– Co się tyczy Jonathana, to nie mogę sobie tego tak do końca wyobrazić. Nawet gdyby oczywiście odgrywał perfekcyjnego dżentelmena. A dla mnie to też nie byłoby w porządku. Poza tym nie chodzi mi o to, że jestem sama dziś wieczór. Ten cały cyrk sylwestrowy to dla mnie zgroza, przed północą jestem już najczęściej w łóżku.

– No to już w ogóle nie rozumiem, jaki masz problem.

– No bo wkrótce mija rok!

– Zgadza się. I zaczyna się nowy. Jak zresztą co roku.

– Ale ja nikogo nie poznałam! – wydusiła z siebie Lisa.

Nareszcie Hannah zaskoczyła.

– Kurczę, na śmierć zapomniałam! Masz na myśli, że Sarasvati przepowiedziała ci, że jeszcze w tym roku spotkasz mężczyznę.

– Właśnie. – Znów te nadąsane usta.

– Ach, złotko! – Hannah upuściła worek na śmieci, podeszła do przyjaciółki i objęła ją. – To zdarzy się na pewno w przyszłym roku – powiedziała, gładząc Lisę po plecach.

– Nie rozumiem – mamrotała Lisa wtulona w ramię Hannah. – Sarasvati jeszcze się nigdy nie pomyliła.

– Może miała wtedy zły dzień.

– Bardzo śmieszne.

– Albo... – Hannah zastanawiała się przez chwilę. – Albo mówiła o jakimś innym roku.

– He? – Lisa uniosła głowę i patrzyła z irytacją na Hannah.

– Tak, mogło tak być. Na przykład... kalendarz chiński? A może to był hinduski? Wszystko jedno, w każdym razie istnieje jakiś kalendarz, w którym nowy rok rozpoczyna się dopiero w końcu

stycznia albo nawet lutego. Czy jakoś tak.

Lisa musiała parsknąć śmiechem.

– Fantastycznie! Czyli niebawem zakocham się w Chińczyku?

– Albo w Hindusie. Ktokolwiek by to był.

– To miło z twojej strony, że próbujesz mnie rozbawić. – Lisa westchnęła. – Ale sądzę, że jeśli chcę jeszcze kogoś poznać, to w przyszłości powinnam chyba zainwestować pieniądze w giełdę partnerską online, zamiast w kolejne seanse tarota.

– Tylko nie to! Pomyśl o tych maminsynkach z piwnymi brzuchami, którzy się tam kotłują! Poza tym jesteś zbyt wielką pesymistką, w końcu rok się jeszcze nie skończył.

– Właśnie. Przypuszczalnie w drodze do domu potknę się o mężczyznę swojego życia.

– Całkiem możliwe.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Lisa i Hannah aż podskoczyły. Na zewnątrz przed szklanymi drzwiami wejściowymi stała okutana męska postać i rozpaczliwymi gestami prosiła o wpuszczenie.

– Dzisiaj już zamknięte! – zawołała Lisa.

Mężczyzna złożył błagalnie ręce w rękawiczkach i zamarkował klęknięcie.

– Może to jakiś tatuś, który czegoś zapomniał? – powiedziała Hannah i podeszła do drzwi, żeby otworzyć.

– Albo ktoś, kto nas napadnie! – krzyknęła za nią Lisa.

– Jasne. Zasadził się na resztkę naszych rozmokłych pianek w czekoladzie – odparła Hannah i otworzyła drzwi.

– Bardzo dziękuję! – wysapał mężczyzna, gdy wszedł i oswobadzał się z czapki i szalika. Ich oczom ukazał się wyglądający na zupełnie zdesperowanego facet z lekko odstającymi uszami i włosami sięgającymi podbródka. Ta fryzura zapewne miała zakrywać uszy. Tragiczna mina i piwne oczy sprawiały, że przypominał jamnika, który koniecznie chce wskoczyć na sofę swej pani, ale dobrze wie, że mu nie wolno.

Właściwie robił całkiem sympatyczne wrażenie.

– Więc w czym możemy panu pomóc? – zapytała Hannah.

Nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem, bo patrzył wyłącznie na Lisę. I już nic nie mówił. Jakby ktoś zaszył mu usta.

– Halo? – Hannah ponagliła go zirytowana. Najpierw chciał, żeby go koniecznie wpuścić, a teraz milczy? – Czego pan chce?

– Co proszę? – Odwrócił do niej głowę. – Przepraszam, byłem... no więc jestem...

– Tak, no więc co? – Hannah rzuciła Lisie z ukosa rozbawione spojrzenie i musiała skonstatować, że jej przyjaciółka znajdowała się w podobnym stanie co osobliwy facet.

– Yy, no więc chciałem spytać... Proszę mi powiedzieć, czy mają panie otwarte w pierwszym tygodniu stycznia? I czy mają panie jeszcze miejsce dla czteroletniej dziewczynki?

– Ma pan szczęście – rzekła Hannah. – Mamy zamknięte tylko jutro, od drugiego znów pracujemy i możemy przyjąć jeszcze jedno dziecko.

– Bogu dzięki! – westchnął mężczyzna. Jego wzrok znowu powędrował w kierunku Lisy. – Ratują mi panie życie!

– Jest tak źle? – zaciekawiała się Hannah.

Mister Wzrok Jamnika skinął głową.

– Tak. Mam strasznie ważny projekt, który muszę skończyć do następnego tygodnia. Właściwie córką miała się zająć moja matka, bo przedszkole otwierają z powrotem dopiero szóstego stycznia. Ale akurat dziś pośliznęła się na lodzie i upadła naprawdę nieszczęśliwie. A teraz leży w szpitalu z podwójnym złamaniem nogi.

– Co za pech! – odezwała się wreszcie Lisa. Jednak jej głos nie brzmiał szczególnie współczująco.

– Można tak chyba powiedzieć! – odparł mężczyzna i uśmiechnął się do Lisy tak szeroko, jak gdyby jego biedna matka nie znajdowała się akurat na oddziale ortopedycznym szpitala, lecz zwiłała na Antyle Holenderskie z facetem, który

wygrał milion na loterii.

– Wobec tego cieszymy się, że możemy panu pomóc – rzekła Lisa, uśmiechając się słodko.

– Tak, mogą sobie panie wyobrazić, jaką poczułem ulgę. – Zniżył zarówno wzrok, jak i głos. – Bo wiedzą panie, jestem ojcem samotnie wychowującym dziecko.

Ach. Cóż za cudowna wiadomość! Trudno o bardziej wyrazisty komunikat. Hannah musiała się naprawdę powstrzymać, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

– Dobrze, wobec tego idę do biura po formularz zgłoszeniowy – oznajmiła i zostawiła tych dwoje samych.

– Jak ma na imię pana córeczka? – usłyszała jeszcze pytanie Lisy.

– Luzie – odpowiedział.

– Jakie śliczne imię! Swoją córkę też bym tak nazwała, gdybym ją miała.

– Ach, naprawdę?

Hannah uderzyła się dłonią w usta, bo o mało jej się nie wyrwało prychnięcie. To było całkiem zwariowane!

Podczas gdy szukała w biurze właściwego formularza, poprawiła się w myślach. Nie, to nie było zwariowane, to było piękne.

Równie piękne jak fakt, że dzisiejszy wieczór spędzi z Jonathanem, bo jeśli ma być wobec siebie szczerą, to już się na to bardzo cieszyła. Jak dobrze, że Lisa odrzuciła jej zaproszenie. Hannah posłała krótkie, nieme pozdrowienie dla Simona. Gdzieś wysoko na chmurę albo gdzie się akurat znajdował: nie bierz mi tego za złe, moje serce. Ale mogę sobie wyobrazić, że w przyszłym roku się zakocham. W końcu sam mi tego życzyłeś. I wiesz przecież, co zawsze mówię: uważaj na swoje myśli!

Podziękowania dla...

Bettiny Steinhage, mojej redaktorki w wydawnictwie Lübbe. Powiedziałaś mi kiedyś, że zawsze chciałaś ze mną współpracować. Po tym pierwszym wspólnym projekcie mogę tylko powiedzieć: Chciałabym JAK NAJCZĘŚCIEJ pracować z Tobą! Dziękuję, dziękuję, DZIĘKUJĘ! Jesteś WSPANIAŁA!

Wibke Bode. Nie tylko cudownej przyjaciółki, ale też świetnej lekarki, która wspomagała mnie radą przy wszelkich kwestiach medycznych!

Mojej kuzynki Heike Lorenz za burzę mózgow na mojej sofie. To wspaniale, że jesteś w moim życiu!

Mojej przyjaciółki Sybille Schrödter za dyskusje na temat szczęścia w życiu.

Mojej przyjaciółki i koleżanki Jany Voosen za cenny wkład i inspiracje jako czytelniczki testującej.

Alexandry Heneki, cudownej doradczynie literackiej – czym byłyby moje opowieści bez Twojej pomocy?

Holgera Vehrena z biura prasowego policji w Hamburgu za inspirujące fachowe uwagi.

Regine Weisbrod, wspaniałej redaktorki, która towarzyszyła mi przy rozwijaniu fabuły.

Dr Petry Eggers, najlepszej agentki literackiej wszech czasów. Nic dodać.

Jutty Verständig za rady eksperta na temat „tarota”. I za prywatną sesję stawiania kart. J

Zespołu Laufwerk Hamburg (www.laufwerk-hamburg), którego członkowie mnie, „asowi sportu”, wyjaśnili wszystko, co ważne na temat szybkości biegania i pracy serca.

Mojej kuzynki Caroline Dimpker, Nicole Dolif i Adriana Liotty z Mamma Leone przy Eppendorfer Weg w Hamburgu za odświeżenie mojej szczątkowej znajomości włoskiego.

Całego wspaniałego zespołu wydawnictwa Lübbe, w szczególności dla Klause Klugego, Claudii Müller, Torstena Gläsera, Stefanie Folle, Marca Schneidersa i Christiana Stüwego. To piękne, że tak we mnie wierzyliście!

Anji Hauser za cudowny projekt graficzny.

Mojej córki Luzie. Za każdym razem, gdy się do mnie śmieje, wiem, co jest ważne w życiu. W każdym razie w moim.

Matthiasa Williga. Dziękuję za wszystko. ZA WSZYSTKO! Zwłaszcza za zwrócenie uwagi na fantastyczne zdanie Erharda F. Freitag: „To, co trafia, jest trafne. A to, co jest trafne, trafia”.

Szczególne podziękowania kieruję do Sebastiana Fitzka, który był tak miły, że dał się w tej powieści zrobić na mega gwiazdę. Dziękuję, Sebastianie! Ale ty przecież naprawdę jesteś gwiazdą!

I jeszcze jedno.

Pismo odmowne redaktora, zawarte w powieści, to dokument AUTENTYCZNY. Nie zdradzę jednak, do którego autora zostało wysłane (później odniósł on – lub ona, kto to wie? – wielki sukces), a już zwłaszcza, od którego redaktora pochodziła ta odmowa.

Aby uniknąć spekulacji: To NIE ja byłem tym biedakiem, który znalazł coś takiego w swojej skrzynce pocztowej.

Last not least: Podziękowania dla mamy i taty.

Bez Was przecież nie byłoby mnie.